

JAMES FORRESTER

UŚWIĘCONA ZDRADA



JAMES FORRESTER

UŚWIĘCONA ZDRADA

Z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA



Wydanie elektroniczne

O książce

Anglia, rok 1563. Mija pięć lat od objęcia tronu Anglii przez Elżbietę I, córkę Henryka VIII i Anny Boleyn. Pierwszym aktem królowej jest zniesienie papieskiej kontroli nad kościołem angielskim. Biskupi niechętni nowej polityce religijnej zostają usunięci z urzędów i zastąpieni ludźmi oddanymi władczyni. Panuje atmosfera zastraszenia. Główni doradcy królewscy, sekretarz Francis Walsingham i kanclerz William Cecil, z zapałem tropią katolickie spiski. Gdy w domu Wielkiego Herolda Clarenceux zjawia się jego przyjaciel, katolik Henry Machyn, i przekazuje mu pod opiekę własnoręcznie spisaną księgę, mówiąc, iż „zależy od niej los dwóch królowych”, Clarenceux – także katolik – jest rozdarty pomiędzy lojalnością wobec Elżbiety a wiernością zasadom własnej religii. Machyn prosi go, by w razie niebezpieczeństwa przekazał manuskrypt Rycerzom Okrągłego Stołu. Co zawiera księga? Wydaje się zwykłą kroniką, ale na ostatniej stronie autor zdradza datę swojej śmierci. Kiedy ginie dokładnie tak, jak to zapisał, Clarenceux zaczyna wierzyć w znaczenie rękopisu. Wkrótce potem zostaje aresztowany i oskarżony przez Walsinghama o spiskowanie przeciwko Elżbiecie. Z braku dowodów wypuszczony na wolność i tropiony przez gwardię królewską, próbuje rozwikłać tajemnicę księgi. Pomaga mu żona Henry’ego, Rebecca – kobieta, której urokowi Clarenceux coraz trudniej się oprzeć. Wszystko wskazuje na to, że członkowie tajemniczego bractwa – dziewięciu mężczyzn, którym nadano arturiańskie imiona i przypisano jedną z zapisanych w manuskrypcie dat – chronią pewien bezcenny dokument podważający prawo królowej do sukcesji tronu Anglii...

JAMES FORRESTER (dr Ian J. F. Mortimer)

Brytyjski historyk, absolwent University of Exeter i University College London. Członek Królewskiego Towarzystwa Historycznego. Zdobywca Nagrody Alexandra za prace z dziedziny historii społecznej. Autor kilku książek niebeletrystycznych poświęconych historii średniowiecza, m.in. *The Time Traveller's Guide to Medieval England*, oraz trzech thrillerów historycznych – *Uświęcona zdrada*, *Korzenie zdrady* i *The Final Sacrament*.

www.jamesforrester.co.uk

Tego autora

UŚWIĘCONA ZDRADA

KORZENIE ZDRADY

OSTATNI SAKRAMENT

Tytuł oryginału:
SACRED TREASON

Copyright © Ian Mortimer writing as James Forrester 2010
All rights reserved

Published by arrangement with United Agents Ltd.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2014

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2014

Cover illustration © Hachette UK Ltd. 2010

Redakcja: Marta Bogacka

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-027-3

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



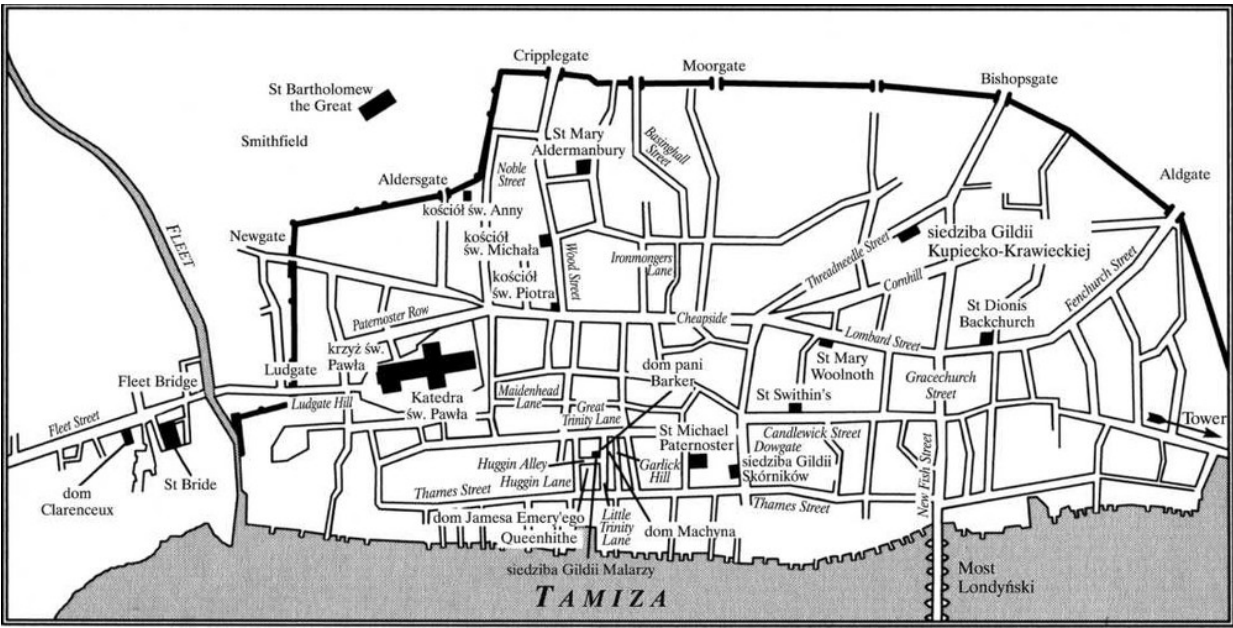
Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

*Zakowi Reddanowi,
najpoczciwszemu człowiekowi na świecie.
Minęły 7443 dni, od kiedy się znamy.
Żaden nie był stracony.*



*Jeśli wiara staje się wrogiem człowieka,
nie ma dla niego schronienia*

Prolog

Wtorek, 7 grudnia 1563

To był zimny dzień na zabijanie. Czekał na Threadneedle Street w Londynie, Szkot, Robert Urquhart zacierał dłonie i chuchał w nie, aby się rozgrzać. Obserwował drzwi siedziby Gildii Kupiecko-Krawieckiej i zaciskał co chwila palce, aby nie stracił w nich czucia. Przeklinał szare grudniowe niebo, lecz gdy na szczycie schodów pojawiło się dwóch mężczyzn, idących niespiesznie i pogrążonych w rozmowie, w mgnieniu oka zapomniał o zimnie przenikającym go do szpiku kości. Jego ofiarą był William Draper, pierwszy od lewej. Zdradzał go złoty łańcuch na szyi wysadzany klejnotami.

Urquhart przyjrzał się Draperowi: miał pociągłą twarz, siwe włosy i brodę. Dobiegał sześćdziesiątki. Był niezbyt wysoki, ubrany w kosztowny aksamitny dublet z koronkowymi mankietami i kryzą. Miał lisie oczy. Wyglądał na człowieka samolubnego, surowego i zgorzkniałego. Łatwo było się domyślić, co pozwoliło mu dorobić się fortuny: ambicja równie zimna i bezlitosna jak grudniowa pogoda i serce pozbawione skruchy.

Urquhart obserwował, jak Draper owija się szczelnie płaszczem i czeka na najniższym stopniu schodów, tuż nad zamarzniętym błotem. Nie przestawał mówić do swego ubożej odzianego towarzysza. Obok nich przepływał strumień pieszych i powozów, w porannym powietrzu

rozchodziły się kłęby pary wydobywające się z ust woźniców i pysków parskających koni.

Urquhart rozumiał, że nie da się zrobić tego tutaj bez ryzyka aresztowania, które byłoby równoznaczne z porażką. A nawet gorsze, bo gdyby go złapali, torturami wydobyliby z niego informacje o jego chlebobawczynie. A wtedy jasnie pani musiałaby wysłać następnego człowieka, aby zabił i jego, i Drapera.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i obejrzał się jakby od niechcienia. Z podwórza budynku gildii służący przyprowadził kasztanowego rumaka, zatrzymał go przy schodach i podał cugle Draperowi, który dosiadł wierzchowca z zaskakującą lekkością. Z siodła powiedział coś jeszcze do swego rozmówcy, machnął mu ręką na pożegnanie i odjechał.

Na zachód. W stronę domu.

Urquhart ruszył przed siebie żwawym krokiem. Sięgnął ręką do pasa, aby sprawdzić, czy nóż tkwi na miejscu, potem wyczuł sztylet w rękawie koszuli i okrąglą kolbę niemieckiego pistoletu skałkowego w kieszeni dubletu na lewej piersi. Miał nadzieję, że nie będzie go musiał używać. Hałas ściągnąłby mu na głowę połowę Londynu.

Śledził ofiarę aż do domu przy Basinghall Street. Był to czteropiętrowy budynek o fasadzie szerokiej na trzy wykusze, z herbowymi witrażami w oknach. Odczekał kilka minut przed wejściem, analizując w myślach czekające go zadanie, po czym nabrał głęboko powietrza i powoli wypuścił je z piersi.

Wszedł po stopniach i mocno zapukał. Drzwi otworzył łysy człowiek w płudrach do kolan.

– Dzień dobry. Mam pilną wiadomość dla twojego pana.

Łysy służący dosłyszał szkocki akcent.

– Kiedy indziej będziemy ci radzi, dobry człowieku, ale dzisiaj mój pan surowo zakazał, aby go niepokoić.

– Na pewno mnie przyjmie. Powiedz mu, że przynoszę wiadomość od jaśnie pani. Przysłała mnie, abym szukał u niego pomocy.

– Przykro mi, ale dostałem wyraźne polecenie, aby nikogo...

– Twoja gorliwość zasługuje na pochwałę, ale wejrzyj w swe katolickie sumienie, i to rychło. Jaśnie pani przysłała mnie pilnie, to sprawa życia i śmierci. Powiedz panu Daperowi, że przybyłem z daleka, aby się spotkać z sir Dagonetem. On zrozumie.

Służący stał przez chwilę w milczeniu, oceniając w myślach powierzchowność i manery przybysza. Popatrzył na jego buty oblepione ulicznym błotem. Z drugiej strony nieznajomy wydawał się taki pewny siebie... pan Draper może się na niego rozgniewać, jeśli odprawi z kwitkiem Szkota przynoszącego pilną wiadomość.

– Zaczekajcie tu, z łaski swojej – powiedział i zniknął w mroku.

Pojawił się znów po kilku minutach.

– Pan Draper was przyjmie. Tędy, proszę.

Urquhart ruszył za służącym w głąb ciemnego korytarza. Minęli wysoki hol, dwie drewniane ławy zarzucone mnóstwem kolorowych jedwabnych poduszek. Na ścianie wisiał portret pana domu w pozłacanej ramie, a obok wizerunek innego mężczyzny, o surowej twarzy, w staromodnym napierśniku i hełmie. Może to ojciec Drapera, pomyślał Urquhart. Gobelin na przeciwległej ścianie przedstawiał oblężone miasto. Kominek ozdabiały dwie jaskrawo pomalowane gipsowe rzeźby czarnoskórych kobiet w czerwonych spódnicach. Pogańska egzotyka posągów pozwoliła rzemieślnikowi ukazać ich bezwstydnie obnażone piersi. Ale oto i pobielone kamienne schody. Na szczycie obraz Marii Panny. W końcu dotarli do szerokich drewnianych drzwi.

– Jak się nazywacie? – spytał łysy mężczyzna przez ramię.

– Thomas Fraser – odrzekł Urquhart.

Służący zapukał, otworzył rygiel i pchnął drzwi. Urquhart przeżegnał się ukradkiem, poluzował rękaw, pomacał rękojeść sztyletu i śmiałym krokiem wszedł do środka.

Pokój był długi, ciepły, wyłożony boazerią, z sufitem bogato zdobionym stiukami. W dwu kominkach po przeciwnej stronie płonęły polana na polerowanych rusztach ze srebrnymi wykończeniami. Służący odwrócił się w lewo i ukłonił.

– Panie, przybył posłaniec z wiadomością od jaśnie pani. Nazywa się Thomas Fraser.

Draper siedział przy stole na końcu pokoju i wpatrywał się w kartkę. Urquhart dostrzegł pociągłą twarz i siwą brodę, które widział przed drzwiami gildii. Postąpił naprzód i skłonił się z szacunkiem. Usłyszał, jak zamykają się za nim drzwi i zasuwa rygiel.

– Przysłała cię jaśnie pani? – spytał łagodnie kupiec, podnosząc wzrok.

W oczach miał łzy.

Nagle Urquhart poczuł niepokój, niczym chłopiec, który zamierza skraść monety z mieszka swego pana.

Skąd te łzy? Czyżby się mnie spodziewał? On miał jednak do wykonania zadanie i nie powinien zwlekać.

– Panie – powiedział, podchodząc jeszcze bliżej, aż zaledwie cztery kroki dzieliły go od stołu. – Przychodzę z poleceniem od jaśnie pani.

Sięgnął po sztylet.

Nagle za jego plecami rozległ się głęboki głos.

– Stój! Ani kroku dalej! – zawołał przybysz z północnym akcentem.

Urquhart się odwrócił. W otwartych drzwiach stał rosły brodaty mężczyzna w czarnym dublecie i płaszczu. Włosy też miał czarne

i kręcone. Musiał przekroczyć trzydziesty rok życia i z całą pewnością nieraz trzymał broń w ręku. Od jego prawej brwi do ucha biegła ciemnoczerwona blizna. Przy prawym udzie miał przypasany rapier, a w ręku trzymał pistolet.

Na jedno uderzenie serca Urquhart zamarł bez ruchu. Pojął, co się stało. Jaśnie pani została zdradzona. Nie wiedział, przez kogo ani jak, lecz nie miał cienia wątpliwości, co powinien uczynić. W chwili gdy dostrzegł, że brodac z blizną podnosi dłoń z pistoletem, wyciągnął z rękawa sztylet i cisnął prosto w jego pierś. Zaraz potem rzucił się naprzód, jedną rękę wyciągając, by chwycić pistolet, drugą sięgając do pasa po nóż.

Broń wypaliła, pocisk trafił go w bieg. Chwilę później leżał na boku, a huk wystrzału dzwonił mu w uszach.

Dopiero wtedy poczuł ból. Zupełnie jakby z przeciętych nerwów lewego uda wydarł się krzyk cierpienia. Krew nabiegła do rany. Zobaczył strzaskaną kość. Kiedy widok rozszarpanego ciała i krwawych strzępów uświadomił mu straszliwą prawdę, jęknął i podniósł głowę oszołomiony i wstrząśnięty. Rozdarcie, które jego sztylet uczynił w czarnym płaszczu i koszuli nieznajomego, odsłoniło błyszczący napierśnik. Mężczyzna wyciągnął rapier.

– Spóźniłeś się – powiedział z północnym akcentem. – W nocy przybył nasz posłaniec ze Szkocji. Pan Walsingham już o wszystkim wie.

Urquhart znowu krzyknął z bólu. Nie panując nad emocjami, grzmotnął pięścią o podłogę. Ale to nie rana przysparzała mu największych cierpień, lecz porażka. Trudniej ją było znieść niż udręki ciała. Nieważne, że był już trupem. Liczyło się tylko to, że jego ofiara nadal żyła.

Oczy zaszły mu łzami wstydu, sięgnął za kaftan po pistolet. Miał niewielkie szanse, mężczyzna z blizną był za blisko. Mimo to zmusił drżące

dłonie do posłuszeństwa i odciągnął kurek. Odwrócił się z jękiem, wycelował w głowę Drapera i nacisnął spust.

Huk wystrzału był ostatnią rzeczą, jaką usłyszał. Mgnienie oka później ostrze rapiera błysnęło na jego gardle i utkwiło w kości karku. Zaczął się dławić i tarzać w spienionym morzu własnej krwi.

Niełatwo patrzeć na taką śmierć.

1

Piątek, 10 grudnia 1563

Wielki Herold Clarenceux siedział przy biurku w gabinecie tonącym w blasku świec i nasłuchiwał deszczu, który bębnił o dach i rozpryskiwał się w kałużach na ulicy. Owinął się szczelniej przed grudniowym chłodem, wtulił gęstą brodę w futrzany kołnierz i wciągnął w nozdrza zapach dymu, którym przesiąkło futro w ciągu długich lat spędzonych przy kominku w tej samej szacie, w tym samym fotelu. Po niebie przetoczył się grzmot. Deszcz się wzmógł, jakby w odpowiedzi na rozkaz gromowładnej dłoni. Był sam, tylko on, jego papiery i mała aureola złocistego światła.

Od narodzin ich drugiego dziecka, siedemnaście miesięcy temu, każdego wieczoru przesiadywał nad swymi manuskryptami heraldycznymi, które sporządzał po każdej wizytacji. Jego żona, Awdrey, jak zawsze udała się na spoczynek wcześniej i haftowała przy świecy w alkwie ustawionej we wnęce nad ich małżeńskim łóżem. Lubił o niej myśleć, jak siedzi z igłą w dłoni, w jasnym kręgu roztaczanym przez migoczący płomień, gdy tymczasem on pracuje przy własnym świetle w drugim końcu domu. Zupełnie jakby każdego wieczoru łączyły ich dwa złote płomyki. Chociaż robili różne rzeczy z dala od siebie, nadal byli razem.

Sięgnął po złoty kielich – sądząc po emaliowanym herbie, dawną własność jakiegoś księcia krwi – i upił łyk wina. Otworzył rękopis

i przeczytał pierwszą stronę. Tytuł brzmiał: *Wizytacja w hrabstwach Essex i Suffolk, rozpoczęta dwudziestego dnia roku Pańskiego tysiąc pięćset sześćdziesiątego pierwszego przeze mnie, Williama Harleya, Wielkiego Herolda Clarenceux*. Była to jedna z rutynowych podróży sprzed dwu i pół roku, odbyta w celu spisania wszystkich szlachetnie urodzonych mieszkańców obydwu hrabstw, uprawnionych do pieczętowania się herbem. Wyjazdy należały do jego ulubionych obowiązków herolda. Funkcja ta stawała się dużo uciążliwsza i niebezpieczniejsza, kiedy nad krajem wisiało widmo wojny, a on musiał przedzierać się przez wrogie terytorium, aby stanąć przed obcym królem lub generałem. Jednak tamta wizytacja w Essex i Suffolku była szczególnie udana; poznał wielu przyjaznych arystokratów, bardzo niewielu zaś wyniosłych. Uśmiechnął się na wspomnienie dnia, gdy wyruszał wraz ze swymi towarzyszami ubranymi w barwne liberie. Dołączył do nich nawet jego stary służący, Thomas, który wyjątkowo zgodził się przywdziać jaskrawy strój heroldowej świty. Marszczył czoło i nie przestawał gderać, ale widać było, że rozpiera go duma.

Właśnie miał odwrócić stronę, kiedy z dołu dobiegło pukanie. Trzy wyraźne uderzenia do drzwi frontowych zadudniły echem w cichych, ciemnych korytarzach.

Niewielu ludzi wychodziło z domów po zamknięciu bram. Królowa Elżbieta zniosła prawo, wedle którego palono na stosie protestantów, innowierców i niebezpiecznych wolnomyślicieli, lecz wszyscy doskonale wiedzieli, że poszukiwań bynajmniej nie przerwano. Po prostu teraz polowano na katolików. Tydzień temu znaleziono katolickiego księdza ukrywającego się w jednym z londyńskich domów. Królewska straż zakłuła go w dyby na Cornhill. Na oczach gawiedzi przybili go za uszy do deski. Kiedy pociekła krew, napisali nią na czole skazańca słowo *papa*, papież,

i śmiejąc się, pili wino i pluli mu w twarz. Po trzech godzinach odcięli mu uszy i zawlekli wrzeszczącego do Tower. Od tamtej pory nikt go nie widział.

Znowu rozległo się łomotanie w dębowe drzwi.

Clarenceux znieruchomiał. Nigdy dotąd nie przeszukiwano jego domu, zwłaszcza w środku nocy. Nigdy go nie przesłuchiowano. Zawsze uważał, że człowiek na jego stanowisku nie musi obawiać się oskarżeń o zdradę religijną. Prowadził ambasady dyplomatyczne w Niemczech, Hiszpanii, Holandii i Danii. W Rheims osobiście wypowiadał wojnę Francji w imieniu królowej Marii...

Pukanie się powtórzyło, mocne i natarczywe.

...Niemniej jednak był katolikiem.

Ukrył twarz w dłoniach i zaczął szeptem odmawiać modlitwę. Miał niewiele czasu. Gdzie są wszyscy? Chłopcy służebni zapewne śpią na poddaszu od podwórza. Awdrey leży w łóżku obok dziecięcej kołyski. Jego córka Annie jest w swoim pokoju, służąca Emily i niania Brown w swoich izbach na poddaszu od frontu. Thomas sypia zwykle w holu na pierwszym piętrze, ale dobrze się zastanowi, zanim o tej porze otworzy drzwi.

Znowu rozległo się pukanie. Dźwięk rozniósł się po całym domu.

Clarenceux podszedł do drzwi i otworzył rygiel. Poczuł na twarzy lekki powiew powietrza. Na korytarzu panowały ciemność i cisza.

Oczami wyobraźni zobaczył pochodnie płonące w środku nocy i siebie prowadzonego do Tower. Poczuł, jak żelazne kajdany wrzynają mu się w nadgarstki, usłyszał dzwonięcie łańcuchów. Nie ocali go fakt, że nie popełnił zdrady. Liczą się tylko oskarżenia, widowisko aresztowania. Szlachcic wiedziony przez miasto w liberii herolda, z uszami przybitymi do dybów, posłużyłby za doskonałą przestrożę dla innych.

Następne dwa silne grzmotnięcia do drzwi.

Obejrzał się i omiótł wzrokiem pokój skąpany w blasku świecy, herby namalowane na drewnianej ścianie nad kominkiem. Nadano je jego ojcu, którego portret również ozdabiał komnatę. Po jednej stronie kominka wisiał miecz ojca, po drugiej jego własny. Clarenceux był szlachcicem, tak jak jego rodzic, który służył starymu królowi. Miał przywileje. Lecz być może po raz ostatni widzi ten pokój. W każdej chwili może stracić owe przywileje, pozycję i wszystko, co posiada.

A razem z nim cała jego rodzina.

Podszedł do kominka, zdjął z haka swój miecz, wziął ze stołu świecznik i opuścił gabinet. Schody skrzypiały mu pod stopami, kiedy ostrożnie badał drogę na dół, w lewej ręce ściskając pochwę z mieczem.

Zszedł do holu. Uniósł świecę, a wtedy w małym okrągłym lustrze na przeciwległej ścianie odbił się blask płomienia. Nieco dalej po lewej stronie przed kominkiem leżał siennik Thomasa ze stertą koców. Po ogniu pozostały tylko blado żarzące się węgle.

– Thomasie? – zawołał Clarenceux.

Usłyszał własny głęboki głos zapadający w ciszę. Usiłował przebić mrok blaskiem świecy.

– Thomasie, jesteś tu?

Drzwi naprzeciwko były otwarte. Za nimi schody prowadziły do głównego wejścia.

– Panie Clarenceux – doszedł z dołu niecierpliwy szept.

– Co mam zrobić?

Clarenceux podszedł do drzwi. Thomas stał na najniższym stopniu schodów i patrzył na niego z dołu. Z czupryną siwych włosów, głęboko osadzonymi oczami i pobrużdżoną twarzą zawsze wyglądał mizernie, teraz zaś przestraszony wydawał się jeszcze starszy.

– Otwórz. Jeśli to ludzie królowej, i tak powrócą. A jeśli to nasi przyjaciele, to widocznie potrzebują pomocy.

Thomas skinął głową i odwrócił się do drzwi.

Clarenceux przytknął świecę do kaganka na ścianie po lewej stronie i knot natychmiast zapłonął jasnym płomieniem. Usłyszał zgrzyt trzech otwieranych zamków w ciężkich dębowych drzwiach. W napięciu nasłuchiwał, czy nie usłyszy kroków, szczęku zbroi, dobytego miecza uderzającego o napierśnik, ludzi odtrącających na bok służącego stojącego im na drodze.

Chwila ciszy.

– To Henry Machyn, panie! Przyszedł Henry Machyn.

Clarenceux poczuł taką ulgę, że jej blask musiał chyba rozświetlać go od środka. Uśmiechnął się. Machyn był nieszkodliwym staruszką, grubo po sześćdziesiątce, który świata nie widział poza swymi ukochanymi katolickimi świętymi i ceremoniami. Spojrzał w dół ze szczytu schodów, Thomas brał właśnie od Machyna ociekający deszczem płaszcz.

Tylko szalaniec wychodziłby w taką noc.

Clarenceux pokręcił głową i czym prędzej wrócił do holu, aby zapalić więcej świec i należycie przyjąć gościa. Mrok panujący w całym domu przypominał mu, która jest godzina. Na dworze lało jak z cebra, a jednak Machyn przyszedł tu, nie zważając ani na porę, ani na to, że nieuchronnie podniesie alarm. A przecież jego dom stał daleko stąd, w obrębie murów miejskich, w parafii Holy Trinity the Less. Co, na Boga, robi ten starzec w nocy poza murami miasta?

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał z powrotem w stronę drzwi oświetlonych kagankiem płonącym na ścianie przedsionka.

Coś musiało się stać.

Usłyszał powolne kroki i stukot laski na schodach, a po chwili zgrzyt rygła zasuwanego przez Thomasa.

Podszedł do dużego wiązowego stołu pod oknem. Okiennice były zamknięte. Ostrożnie położył na blacie miecz i przysunął dwa świeczniki. Jedna świeca się przekrzywiła, więc wyprostował ją w zadumie i podpalił obydwie knoty. Uchwycił swoje odbicie w okrągłym lustrze po lewej – brązowe oczy, krótkie ciemne włosy przetykane tu i ówdzie siwizną; krótka, starannie przystrzyżona broda. Życzliwa twarz i badawcze spojrzenie. Był wysoki i zachował dobrą kondycję, chociaż miał już czterdzieści pięć lat. Jazda konna, spacer i niesłabnąca aktywność umysłowa utrzymywały w formie jego ciało i ducha.

Mężczyzna, który powłócząc nogami, wszedł ciężko do holu, prezentował się całkiem odmiennie. Był niski, poruszał się powoli, podpierając laską. Przypominał białowłose widmo. Przemókł do suchej nitki, od kołnierza aż po buty, staromodna kamizela ociekała na matę z sitowia, podobnie jak skórzane zawiniątko, które ścisnął pod pachą. Twarz miał nalaną, ubranie wisiało na nim żałośnie, lecz najbardziej zaszokował Clarenceux wyraz jego oblicza. Zwykle było dobrotliwe i łagodne, jak u człowieka, który w karczmie lubi zabawiać kompanów opowieściami. Tym razem twarz otoczona owalem rzadziejących siwych włosów wyrażała rozpacz i przerażenie. Patrzyło na Clarenceux dwoje mlecznoniebieskich oczu: błagalnie, lecz bez nadziei, jakby oglądały właśnie śmierć najdroższego przyjaciela.

– W imię Pańskie, co cię tu sprowadza o tej porze, Machyn? – Clarenceux skinął na służącego, który wchodził po schodach za przybyszem. – Przynieś ręczniki, Thomasie.

– Przeniósł wzrok na zmartwiałą twarz starca. – Wszak wiesz, jakie to niebezpieczne chodzić nocą samotnie po ulicach.

– Potrzebuję waszej pomocy, panie Clarenceux – rzekł Machyn chrypliwym głosem. – Zaufałem niewłaściwemu człowiekowi. Wszystko przepadło. Jestem skończony. A moja najdroższa Rebecca... – Głos mu się załamał, twarz skurczyła, zaczął szlochać. – Moja żona... mój syn... przyjaciele... wszyscy...

Wyglądał, jakby jego duszę rozdarto na dwoje, a każda połówka umierała oddzielnie, osamotniona w swej rozpacz, niezdolna pocieszyć drugą.

– Co ty mówisz, Henry, drogi przyjacielu? Któż chciałby cię skrzywdzić? Lecz Machyn nie odpowiedział. Rozpłakał się na dobre, aż jego policzki i broda lśniły od łez w migotliwym świetle świec.

Clarenceux podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Chodź, spocznij na chwilę.

Machyn pokręcił głową. Minęło kilka sekund, nim zdołał się nieco uspokoić.

– Nie potrzebuję siadać, panie Clarenceux. Muszę wam coś powiedzieć. – Nabrał w piersi powietrza. – Pewnie uważacie, że niezbyt blisko się znamy, ale ja wierzę, że dobrze was poznałem. W ostatnich latach spotykałem was wiele razy i bacznie obserwowałem wasze poczynania i osiągnięcia. Dlatego teraz, na koniec, wiem, że jesteście uczciwym człowiekiem i mogę wam zaufać.

– O jakim końcu mówisz? Co to ma znaczyć?

Machyn zawahał się, ścisnął w dłoni przedmiot, który wchodząc, trzymał pod pachą.

– Czy uczynicie mi zaszczyt i zaopiekujecie się tą księgą? To moja kronika.

Wyciągnął rękę z pakunkiem.

Clarenceux zdjął dłoń z ramienia starca i wziął od niego zawiniątko. Ostrożnie odwinął mokre skórzane opakowanie i rzucił je na podłogę.

Księga prawie nie zamokła. Obrócił ją w rękach. Była oprawiona w przedni welin, ozdobiony z obu stron wizerunkiem wieloryba otoczonego kręgiem fal.

– Pracowałem nad nią trzynaście lat – rzekł Machyn, wycierając twarz. – Zapisałem w niej każde zdarzenie, którego byłem świadkiem, każdy pogrzeb, na który przygotowywałem całun i emblemata, każde nabożeństwo pod krzyżem świętego Pawła, każdą egzekucję na Tyburnie, każdy stos, na którym w Smithfield spłonął protestant lub heretyk, każdą procesję, jaka przeszła przez miasto... wszystko.

– Wygląda na wspaniałe dzieło – zauważył Clarenceux.

– W dodatku oprawione w welin.

– Tak jak księgi w waszej bibliotece.

Clarenceux skinął głową i uśmiechnął się przelotnie.

– Niektóre.

Jego kolekcja była może największa, jaką widział Machyn, ale nawet w jego zbiorach niewiele woluminów wyróżniało się tak elegancką oprawą.

– Oczywiście, że... – zaczął.

Lecz po chwili urwał. Milczał. W pokoju zaległa cisza. Słyszał deszcz bębniący na dworze. Znowu ogarnął go niepokój, jak wtedy, gdy usłyszał pukanie.

– Czemu chcesz mi ją dać?

– Ponieważ jesteście najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam. Szanujecie stare kroniki, a ta jest tak bardzo drogocenna. Jej wartość nie zmaleje po mojej śmierci, a może nawet wzrośnie. To dla mnie niezmiernie ważne, byście się nią zaopiekowali.

Clarenceux odwrócił wzrok i popatrzył na świece płonące na stole. „Tak bardzo drogocenna”. Te słowa wypowiedział starzec, który przed nim stał, lecz nie zrodziły się one w tym pokoju. Najbardziej jednak zafrapowały go

słowa „to dla mnie niezmiernie ważne”. Machyn chciał mu coś powiedzieć, coś bardzo ważnego. Clarenceux był jego ostatnią deską ratunku.

– Masz innych przyjaciół, Henry. I syna.

Machyn pokręcił głową.

– Johna nie interesuje historia ani żałosna sytuacja naszej wiary. Jest porywczy i trawi go młodzieńczy głód życia. Pragnie zobaczyć świat. Pewnego dnia może nie powrócić z podróży. Chcę, aby ta księga przetrwała stulecia. Jak te stare kroniki, do których zaglądacie, kiedy wyprawiacie się na swoje wizytacje. Zawsze chowałem w sercu nadzieję, że trafi w wasze ręce. Zapisalem wam ją nawet w testamencie.

– Spisałeś testament? – spytał Clarenceux zdziwiony.

Większość ludzi zwlekała do ostatniej chwili i dopiero na łożu śmierci porządkowała swoje sprawy.

Machyn uniósł prawą dłoń i przeżegnał się drżącymi palcami.

– Proszę was tylko o jedno, panie Clarenceux. Obiecacie, proszę, że jeśli coś mi się stanie, pójdziecie do malarza Lancelota Heatha...

– Henry...

– Proszę – przerwał mu Machyn, kręcąc głową. – Błagam, wysłuchajcie mnie, bo to sprawa najwyższej wagi. Jeśli coś mi się stanie, musicie się spotkać z Lancelotem Heathem z parafii St James Garlickhithe. Przedstawcie się jako król Clariance z Northumberland. Powiedzcie, że podałem wam datę, ale jej nie zdradzajcie. On zrozumie.

– Co to za data?

– Czerwiec dwudziestego tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego. Dokładnie tak: czerwiec dwudziestego.

Clarenceux przyjrzał się ociekającemu wodą starcowi. Najwyraźniej Machyn prosił go o coś więcej niż przechowanie kroniki. Widział, jak drży mu wargą.

Odwrócił wzrok. Patrząc na światło lichtarza płonącego na stole, pomyślał o Awdrey siedzącej w sypialni na górze w blasku innej świecy.

– Henry – powiedział łagodnie, odwracając się z powrotem do starca. – Co się wydarzyło dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego roku? Czemu mam zapamiętać tę datę?

Wrócił Thomas z ręcznikami. Podał jeden Machynowi, który powoli wytarł twarz i roztrzęsione dłonie.

Tymczasem Clarenceux ciągnął:

– Posłuchaj, drogi przyjacielu, znamy się od piętnastu lat, a może dwudziestu. Nigdy przedtem nie zjawiałeś się w moim domu w środku nocy, bez lampy, nie bacząc na miejskie zakazy. Jak ci się udało przejść przez bramę? Ominąć strażę? Nigdy dotąd nie prosiłeś mnie o przysługę, czasem jeno pożyczaleś jakąś księgę, lecz i to z rzadka. Tymczasem zjawiasz się w środku nocy, prosisz, abym zaopiekował się twoją kroniką, i mówisz, że stanie się bardzo ważna po twojej śmierci. I jeszcze oświadczasz, że sporządziłeś testament. Albo tracisz zmysły, albo nie jesteś ze mną szczery.

Machyn otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wytarł oczy i twarz.

Clarenceux podszedł do wiązowego stołu. Ostrożnie położył na nim księgę, wygładził oprawę, po czym odezwał się półgłosem, nie odwracając się.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne przechowywać heretyckie i podżegające pisma. Wiesz, że wszędzie czają się szpiedzy. Podlegam prawom tego kraju tak samo jak ty.

– Nie tak samo, panie Clarenceux. Nie w tym wypadku. A jeśli chodzi o bramę... Przy bramie Cripplegate rośnie wielki wiąz. Za nim są drzwi, które prowadzą do kamienicy kowala Lowe'a. Wyświadczył mi przysługę i zostawił je dla mnie otwarte pomimo zakazu burmistrza.

Clarenceux odwrócił się i złożył dłonie jak do modlitwy. Rozmyślał przez chwilę. W końcu opuścił ręce wzdłuż boków.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie zdradzisz mi znaczenia tego... depozytu?

– Jeśli zajdzie kiedyś potrzeba... sami się dowiecie.

– „Jeśli zajdzie potrzeba”? – Clarenceux uprzytomnił sobie, że podniósł głos. Odetchnął głęboko, aby się uspokoić.

– Henry, uważam, że mam prawo wiedzieć, co przyniosłeś do mojego domu.

Starzec skinął głową.

– Macie absolutne prawo.

Clarenceux zerknął w stronę Thomasa.

– Chcesz, abyśmy zostali sami?

– Macie absolutne prawo wiedzieć – powtórzył Machyn – ale to nie znaczy, że powinienem wam to wyjawić. – Przez długą chwilę patrzył przyjacielowi w oczy. – Ufam Thomasowi, wiem, że to dobry człowiek, który służy u was od wielu lat. – Przerwał. – Ale pozwólcie, że was o coś spytam. Czemu jesteście katolikiem?

Clarenceux zebrał myśli.

– Ponieważ... wierzę, że ta religia stoi na straży prawdy. Że Bóg chce, abyśmy tak się modlili, że w ten sposób właściwie rozumiemy wolę Wszechmogącego, że nie wolno wyznawać tego lub owego, wedle własnej woli. Nie można okazywać Bogu częściowego posłuszeństwa.

Machyn nic nie odrzekł, więc Clarenceux ciągnął trochę niepewnie:

– Można być zarazem wiernym wyznawcą religii katolickiej i lojalnym poddanym Jej Wysokości.

– Jeśli tak uważacie, to sami się oszukujecie – odparł Machyn.

Jego twarz, okolona białymi włosami i brodą, nabrała nagle jakiejś surowości graniczącej z gniewem.

– Kiedy zapukałem do waszych drzwi, zastanawialiście się pewnie, czy nie przyszli po was gwardziści. Długo czekałem, aż ktoś otworzy. – Urwał i przyjrzał się heroldowi badawczo.

– Człowiek może pozostać wierny zarazem królowej i Bogu tylko wtedy, kiedy królowa jest Mu wierna. Nasza monarchini nie jest. Wiecie o tym. W końcu będziecie musieli wybrać, komu okazać posłuszeństwo: Stwórcy czy Jego stworzeniu. Powiedzcie mi, czy jesteście gotowi przeżyć całe życie, bojąc się tej chwili?

Clarenceux obejrzał się na księgę leżącą na stole. Złoty blask muskał jasną oprawę. Podszedł do niej i położył dłoń na okładce. Poczul pod palcami dotyk cienkiej wytłaczanej skóry.

– W księdze Malory’ego, w opowieści o sir Urrym... czy to nie tam występuje król Clariance?

– Tak, w istocie.

Clarenceux odwrócił się z powrotem do Machyna.

– Czy możesz mnie zapewnić, Henry, że nie narażam na niebezpieczeństwo swojej rodziny, biorąc tę księgę pod swój dach? Powiedz mi to, a ja ci obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Starzec bawił się rączką laski.

– Nie mogę.

– Czy zatem zastanawiałeś się, co uczynisz, jeśli odmówię?

– Wierzę, że nie odmówicie, panie Clarenceux. Jesteście dobrym człowiekiem. – Spojrzał na niego niczym święty wydający polecenie wiernemu wyznawcy. – Wiecie, jaka jest wola Boga. Nosicie ją w sercu.

W tej przelotnej chwili jego oczy były naprawdę oczami świętego.

Przez długą chwilę Clarenceux ważył jego słowa. Cały świat, jaki znał, wszystkie dźwięki, jakie słyszał, i wszystko, co widział, było ze sobą w zgodzie. Nie miał pojęcia, jak powinien postąpić, ale co do jednego nie miał wątpliwości: że wolą Boga jest, aby pomógł swemu współwyznawcy.

– To jest próba wiary.

– Dla mnie owszem, panie Clarenceux. Od wielu lat. Dwukrotnie dłużej niż okres, jaki obejmuje ta księga.

Clarenceux pogładził dłonią brodę. Ani na chwilę nie opuszczał go lęk przed rewizją. Ale nie odstępowało go także poczucie niesprawiedliwości ani lojalność wobec przyjaciół i Boga. Jego Boga. Subtelna potęga, która prowadziła go w chwilach zwątpienia. Wszystkowidzący stróż, bez którego nic nie chroniłoby go przed wrogami.

– Dobrze – powiedział cicho. – Zrobię to, o co mnie prosisz, lecz ty również musisz mi wyświadczyć przysługę. Musisz mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy. Chcę wiedzieć, na co mam być przygotowany.

– Dziękuję, panie Clarenceux. – Po raz pierwszy od przyjścia Machyn się uśmiechnął. Podszedł do przyjaciela i wyciągnął rękę. Ujął jego dłoń, uścisnął, a potem przytrzymał.

– Nie znam nikogo innego, kto zrozumiałby, kim był król Clariance. Gdybyście zobaczyli cytat z Księgi Hioba, rozpoznalibyście go, nie mam wątpliwości. Jesteście człowiekiem, który walczyłby o to co słuszne, o sprawiedliwość i prawdę. Jeśli zależy wam, aby poznać tajemnicę, którą skrywa ta księga, odkryjecie ją.

Wypowiadając ostatnie słowa, Machyn puścił dłoń Clarenceux i znów się przeżegnał.

– Księga Hioba?

Lecz Machyn ciągnął z ożywieniem:

– Nieważne. Jesteście dużo młodszy ode mnie. Przeżyjecie te prześladowania. Pewnego dnia dowiedziecie się tego co ja, a kiedy ten dzień nadejdzie, lepiej niż ja będziecie wiedzieli, jak postąpić. – Zerknął na miecz leżący na stole. – Na własne oczy ujrzycie, jak zwycięża sprawiedliwość i prawda. Uwierzcie, że chciałbym wam wszystko powiedzieć, lecz nie mam na to czasu. Jeśli spotkacie się z Lancelotem Heathem, a on zbierze Rycerzy Okrągłego Stołu, dowiedziecie się, jak zrozumieć tę księgę. Tylko wy, panie Clarenceux. Nikt inny.

– Poczekaj, Henry. To, co mówisz, niczego nie wyjaśnia – zaprotestował Clarenceux. – Przeciwnie, jeszcze bardziej wszystko gmatwa. Kim są Rycerze Okrągłego Stołu?

Machyn położył dłoń na czole.

– Przepraszam, myśli mi się mąca. Stary głupiec ze mnie. Idąc tu, próbowałem się przygotować, zastanawiałem się, co powiedzieć, ale... wszystko uleciało mi z głowy.

Ręka opadła mu wzdłuż boku. Zmarszczył czoło i ścisnął w dłoni laskę.

– Powiem tylko tyle: od tej księgi zależy los dwóch królowych. – Pokiwał głową, rozmyślając nad tym, co właśnie powiedział. – Muszę już iść – dodał, odwracając się do drzwi.

– Dwie królowe? Henry, musisz mi powiedzieć coś więcej!

Lecz Machyn się nie zatrzymał.

– Późno już.

Clarenceux zerknął na Thomasa. Służący wziął ze stołu świecę i ruszył za starcem.

– Musisz mi to wyjaśnić – powtórzył Clarenceux. – Jeśli chcesz, abym strzegł tej księgi, musisz mi zdradzić, jakie niebezpieczeństwo skrywa. Mam obowiązek dbać o swoją rodzinę.

Machyn przystanął.

– Panie Clarenceux, ta księga jest niebezpieczna tylko wtedy, jeśli się o tym wie. Jeżeli nic mi się nie stanie, nigdy się nie dowiecie, co zawiera. Nikt się nie dowie. – Uśmiechnął się blado. – To tylko zwyczajna kronika, panie Clarenceux, bełkot starca stojącego nad grobem, nic więcej.

Odwrócił się.

– Zaczekaj – rzekł Clarenceux, obserwując go. – Zostań u nas na noc, Henry. Pogoda jest okropna.

Machyn stał na szczycie schodów, blask kaganka oświetlał kontury jego sylwetki.

– Nie. Dziękuję wam za tę wielkoduszną propozycję, panie Clarenceux. Obawiam się, że mógłbym powiedzieć za dużo. Poza tym ciemność i zła pogoda są mi sprzymierzeńcami. Szukają mnie ludzie niejakiego Richarda Crackenthorpe’a, sierżanta gwardii królewskiej. Im gorsza pogoda, tym łatwiej przemknąć się niepostrzeżenie uliczkami.

Zaczął schodzić po schodach. Clarenceux poszedł za nim.

– Szukają cię? Czemu?

– Możecie się domyślić – odrzekł Machyn, nie zatrzymując się i nie oglądając na idącego za nim Thomasa.

– Z tego samego powodu, dla którego tu przyszedłem.

Stanął na ostatnim stopniu. Clarenceux został na górze przy lampie. Patrzył, jak Thomas odstawia świeczkę i wkłada na ramiona Machyna duży mokry płaszcz. Kiedy starzec odwrócił się do gospodarza, płomień świecy oświetlił połowę jego twarzy.

– Zostańcie z Bogiem, panie Clarenceux.

Thomas pociągnął za rygiel i otworzył drzwi. Machyn przytrzymał się futryny, po czym wyszedł i rozpułynał się w ciemności.

2

Henry Machyn znalazł się znów na tonącej w deszczu i mroku Fleet Street. Przeszedł na drugą stronę, aby schronić się przed deszczem pod dachami domów. Był zmęczony. Zimno szczypało go dotkliwie w twarz i dłonie, opierał się ciężko na lasce. Kiedy znalazł się pod osłoną wystającego piętra budynku, przystanął. Na razie był bezpieczny.

Między spadzistymi dachami zamigotała błyskawica. Minęła chwila i uderzył grzmot. Ulewa nie słabła ani na moment.

Trzeba mi było przyjąć zaproszenie pana Clarenceux i zostać u niego na noc, pomyślał. Zamrugał, bo woda ciekła mu z brwi do oczu. Nie. Postąpiłem słusznie. To by było zbyt niebezpieczne.

Stał bez ruchu, jedną ręką trzymał się ściany, drugą wspierał na lasce. Wszystkie jego plany kończyły się na przekazaniu kroniki panu Clarenceux. Dokąd ma się teraz udać? Nie może wrócić do domu. Musi znaleźć jakieś suche miejsce, gdzie mógłby odpocząć. Był tak zmęczony, że zasnąłby w każdej pozycji.

Otuchy dodawała mu iskierka satysfakcji. Udało mu się. Księga znajdowała się teraz w rękach najmądrzejszego, najuczciwszego i najbardziej honorowego człowieka, jakiego znał. Człowieka, który ma wpływowych przyjaciół i może się bronić. Wyteżając wzrok, popatrzył na dach domu herolda. Na pierwszym piętrze spomiędzy okiennic sączył się pasek żółtego światła: to blask świecy w lichtarzu na wiązowym stole.

Obok niej leży jego księga. Niedługo pan Clarenceux ją przeczyta. Dojdzie do końca... i wtedy się dowie.

Mimo wiszącej nad nim groźby i pościgu Richarda Crackenthorpe'a księga jest bezpieczna. Żaden królewski gwardzista nie ośmieli się przeszukać domu herolda. Bez względu na to, co się z nim teraz stanie, jego rola dobiegła końca. Nareszcie zdjęto mu z barków brzemień, które dźwigał przez dwadzieścia sześć lat.

3

Clarenceux stał pochylony nad otwartą księgą Machyna, leżącą na wiązowym stole. Na górze pierwszej stronicy widniał tytuł napisany nierównym pismem: **Chronika Henriego Machina, krafca i kupca jakoż i zakrystiana parafi Holy Trinitie de Lesse**. Pod spodem, sporządzona równie niepewną ręką, zaczynała się linijka pierwszego ustępu: **Tszynastego dnia miesionca czerfca 1550 Ser Artur Darse rycesz John Hethe malasz drewna oras Hare Machyn kupiec spotkali sie...** Kilka linijek dalej przeczytał: ... **a nastepnie do kszysza św. Pawła, gdzieśmy wysłuhali nabożenstfa Bożego przez biskupa Dorham**.

Clarenceux wpatrywał się w pierwszy ustęp. Nie tylko pismo było wyjątkowo koślawe, w oczy biła również pożałowania godna ortografia. Nigdy w życiu nie widział tak źle sporządzonego rękopisu. Machyn informował, że on oraz jego towarzysze, sir Arthur Darcy i John Heath, „wysłuchali nabożeństwa odprawionego przez biskupa Durham”.

Odwrócił stronicę. Kolejne paragrafy były podobne. Po prawej stronie znalazł wpis o pogrzebie hrabiego Southampton w sierpniu tego samego roku. Machyn dostarczył na ceremonię aksamit, złotogłów, czarną materię do udrapowania w kościele oraz tkaniny na chorągwie pogrzebowe na procesję. Właśnie tak się poznali: Clarenceux pełnił funkcję herolda na pogrzebie, na który Machyn dostarczył czarny jedwab i chorągwie z herbami.

Jego przyjaciel zawsze przestrzegał w pracy najsurowszych zasad moralnych. Był samoukiem i zdawał sobie sprawę z braków w swym wykształceniu. To go uczyniło pokornym, a także wrażliwym na niezaspokojone pragnienia innych ludzi. Był pod każdym względem poczciwym człowiekiem. Clarenceux nie miał prawa krytykować jego kroniki. Wielu ludzi jego pochodzenia w ogóle nie umiało czytać ani pisać.

Zaczął sobie przypominać wszystko, co wiedział o Henrym Machynie i jego bracie, Christopherze. Przyjechali do Londynu z Leicestershire jako chłopcy we wczesnych latach panowania Henryka VIII. Obaj ukończyli termin, po czym zostali członkami Gildii Kupiecko-Krawieckiej, obaj uprawiali swe rzemiosło z całkiem sporym powodzeniem. W chwili śmierci Christopher miał sześć lub siedem sklepów. Henry'ego ambicje pchały raczej w kierunku historii i spraw duchowych. Wydawało się całkiem naturalne, że najcenniejszą własnością tego kupca samouka nie były kamienice czynszowe, lecz pięknie oprawiona kronika, wypełniona jego własnymi skromnymi zapiskami.

– Wasza miłość – odezwał się Thomas, który stał na środku holu, niedaleko swego posłania – mogę spytać, co zamierzacie robić? Czy mam napalić w kominku?

Clarenceux obejrzał się przez ramię i popatrzył najpierw na Thomasa, potem na kominek. Przypomniawszy sobie datę, którą mu podał Machyn: dwudziesty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego.

– Zaczekaj – mruknął, wracając do księgi.

Odwrócił stronicę i jął przeglądać wpisy.

Dziewiętnasty dzień czerwca... dziesiąty dzień... trzynasty dzień... Nawet kolejność dat się nie zgadzała. W pierwszej chwili pomyślał, że Machyn się pomylił. Potem jednak zrozumiał, że wpisy zostały po prostu

pomieszane. Przeniesiono je do księgi ze wstępnych notatek. Nie było w niej prawie żadnych skreśleń.

Wreszcie go znalazł, prawie na samym dole strony. Przeczytał najpierw po cichu niewyraźne bazgroły.

Dwudziestego dnia misionca czerfca wygłosił kazanie muj pan opat westmisteru u kszysza św. Pawła i nałuczał o bogaczu i Łazażu, a ministrant czymał pastora u wczasie kazania i było dużo suhaczy jako burmiszcz, sendziowie i rajcu i wielu pszezacnyh.

Podniósł księgę do świecy i odwrócił się do służącego.

– Rozumiesz coś z tego, Thomasie? Henry zapisał to pod datą, którą kazał mi zapamiętać. Brzmi to mniej więcej tak: „Dwudziestego dnia miesiąca czerwca wygłosił kazanie mój pan opat Westminsteru pod krzyżem świętego Pawła i nauczał o bogaczu i Łazarzu, a ministrant trzymał pastorał podczas kazania, i było wielu słuchaczy: burmistrz, sędziowie, rajcy miejscy i wielu przezacnych”. Na tym koniec. Jak sądzę, miał na myśli „przezacnych ludzi”. Byłem tam tego dnia.

– Z całym szacunkiem, wasza miłość, nawet jeśli tam byliście, nie rozumiem, co w tym niezwykłego.

– Ani ja, Thomasie, ani ja. – Clarenceux spojrział ponownie na służącego: wyglądał bardzo mizernie. – Nie, Thomasie, nie będę potrzebował ognia. Wracaj do łóżka. Przykro mi, że wyrwano cię ze snu.

Thomas z podziękowaniem skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

– Słucham?

– Jak żem zobaczył pana Machyna, poczułem taką ulgę.

– Wiem. Ja również obawiałem się tego co ty.

Zapadło milczenie. Clarenceux znowu przez głowę przebiegła myśl o kajdanach i Tower.

– Dobrej nocy, Thomasie.

– Dobrej nocy, wasza miłość.

Clarenceux zgasił jedną świecę, drugą zostawił Thomasowi na stole, a ostatnią zabrał ze sobą na górę do gabinetu. Zamknął drzwi i położył księgę na stole. Owinął się szczelniej futrzaną szubą, nasunął na głowę filcową czapkę, usiadł, ponownie otworzył księgę i zaczął czytać.

4

Henry'ego Machyna bolały ręce. Nogi również. Wykręcił boleśnie dłoń w nadgarstku, aby precyzyjnie ją między deskami w płocie, dosięgnął rygla i popchnął furtkę, która otworzyła się ze skrzypnięciem. Wziął z powrotem laskę i wszedł na podwórze, przemarznięty do szpiku kości. Wdepnął w kałużę, ale prawie nie zwrócił na to uwagi, gdyż buty dawno mu przemokły. Nie zadał sobie nawet trudu, aby zamknąć za sobą bramkę. Myślał tylko o tym, że za chwilę znajdzie się w suchym miejscu, gdzie nareszcie się położy. Pragnął jedynie spocząć w cieple, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Ruszył przed siebie, potknął się, wyciągnął dłoń, szukając po omacku drzwi do stajni. Były dalej, niż mu się wydawało, ale w końcu poczuł pod palcami mokre drewno. Woda ciekła mu po twarzy strumieniami, kiedy obmacywał deski, aby znaleźć klamkę. Jest. Lecz drzwi były zamknięte.

Nie! Proszę, tylko nie to, niech się otworzą. Tak bardzo potrzebuję odpoczynku.

Znalazł szczelinę między drzwiami a futryną, przebiegł palcami w górę, aż trafił na drewniany skobel. Otworzył.

Rozkoszował się bębnieniem deszczu o dach i słodkawym zapachem siana i końskich odchodów. Usłyszał poruszające się konie i swój własny przyspieszony oddech. Kręciło mu się w głowie, kiedy szedł w stronę drabiny prowadzącej na strych pełen siana. Zwierzęta kręciły się

niespokojnie w ciemności. Wymacał ręką szczebel drabiny i wsunął laskę pod pachę. Zaczął wchodzić na górę. Powtarzał sobie, że na szczycie drabiny czeka miejsce, gdzie będzie mógł spocząć i zasnąć na sianie, jak to czynił w dzieciństwie w stajni, która sąsiadowała z młynem jego ojca. Jeszcze jeden krok, postawił stopę na szczebelku i dźwignął zmęczone ciało odrobinę wyżej. Znowu zawirowało mu w głowie, tym razem mocniej. Musi wytrzymać, jeszcze tylko kilka chwil. Oparł czoło o drabinę. Zaraz znajdzie się w bezpiecznym, suchym miejscu.

Nieważne, co się z nim stanie jutro, przynajmniej tę jedną noc spędzi w spokoju. Crackenthorpe'owi nie przyjdzie do głowy, żeby go szukać na strychu w stajni pana Clarenceux.

5

Minęła północ, lecz Clarenceux nie potrafił zamknąć kroniki Machyna. Od czasu do czasu trafiał na swoje imię lub tytuł Clarenshux. Znalazł wiele wzmianek o Norreyu, Norroyu oraz Norrayu we wpisach z wcześniejszych lat, kiedy był Wielkim Heroldem Norroy. Przeczytał opis uczyty wydanej przez „Przezacną Gildię Skórników”, gdzie pełnił funkcję podstarszego gildii. Cofnął się o kilka stronic i znalazł notatkę o pogrzebie lady Darcy: *i byli obecni haroldowie, pan Clarenshux i pan Somersett w sfyh bogatych szatah.*

Przewracał karty w przód i wstecz. *Norrey, Clarenshux...* jego własne tytuły dzwoniły mu w głowie, kiedy zauważał je na kolejnych stronicach. Pośród wpisów z minionych lat znalazła się relacja z obwieszczenia o spotkaniu królowych Anglii i Szkocji, Elżbiety oraz jej katolickiej kuzynki Marii. Obwieszczenie ogłoszono po angielsku i francusku i, jak zanotował Machyn, *z dąciem tromp i heroldem Clarenshux w bogatych szatah i z orszakiem zbrojnych.*

Znowu Clarenshux. Poczł się nieswojo. Można rzec, że była to kronika o nim. Prawda, że wiele wpisów nie zawierało o nim żadnej wzmianki ani nie miało z nim nic wspólnego, ale księga wywoływała wrażenie, jakby życie Machyna obracało się wokół jego osoby. Prawie jakby Machyn go szpiegował. Trudno było znaleźć choćby skąpe informacje o wydarzeniach z jego własnego życia, za to wiele notatek mówiło o osobistym życiu

Clarenceux. Oto na przykład jedna z nich opisywała chrzest jego młodszej córki. Inna jego ślub. Jeszcze inna wspominała o jego nominacji z HeroldaNorroy na Clarenceux. Kolejna o wizytacji w Suffolku.

Rozejrzał się po gabinecie. Popatrzył na prasy do ksiąg stojące po obu stronach komnaty; na kominek i drewniany herb wiszący na ścianie; na skrzynię i księgi piętrzące się na wierzchu, i na sterty ksiąg na podłodze. Z jednej wypadła kartka. Obok leżał stos dokumentów sporządzonych na delikatnym papierze welinowym. Przeniósł wzrok na biurko zarzucone aktami własności i woluminami. Wszystko wyglądało normalnie: trzy lichtarze, w tym dwa bez świec; cztery gęsie pióra, z których dwa wymagały naostrzenia. Nóż. Metalowe pióro. Atrament. Czerwony воск do pieczęci. Rzeczy leżały w lekkim nieładzie, lecz należały do niego lub były z nim związane.

Odwrócił się z powrotem do kroniki Machyna.

Ta księga wcale nie przypominała kroniki. Sprawiała wrażenie, jakby jej autor pisał dziennik o życiu innego człowieka – o życiu Clarenceux. Czemu, na miłość boską, ktoś miałby spisywać cudzy życiorys? Owinął się szubą jeszcze szczelniej. Przez trzynaście minionych lat Machyn spisywał kronikę jego życia i ani razu nie pisał mu o tym słówka. Dlaczego? Co znaczy ów wpis z dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego roku?

O bogaczu i Łazarzu...

Podszedł do prasy na drugim końcu pokoju i sięgnął po Nowy Testament. Wracając do stołu, znalazł Ewangelię świętego Łukasza, rozdział szesnasty, i zaczął czytać historię bogacza i biedaka Łazarza spisaną po łacinie. Bogacz odmówił Łazarzowi jałmużny i trafił do piekła, biedak zaś wstąpił do nieba, by zasiąść u boku Abrahama.

Czyżby Machyn w ten sposób przedstawił siebie jako biedaka, a Clarenceux jako bogacza? Czytał dalej. Bogacz błagał Abrahama, aby wysłał Łazarza do jego braci z wiadomością, aby byli hojni dla biedaków. Abraham odrzekł na to, że jego żyjący bracia mają pisma Mojżesza i proroków. Jeśli nie zechcą słuchać tych starożytnych tekstów, nie posłuchają również człowieka, choćby powstał z martwych.

Przetarł oczy. Nic w tej historii nie miało sensu. Jaki był związek przypowieści o Łazarzu z tamtą datą? Clarenceux nie miał braci. Czy Machyn uważał, że był nie dość hojny dla biedaków? Na pewno nie. A wzmianka o starożytnych tekstach – czy oznaczała, że ludzie w przyszłości powinni przykładać większą wagę do kronik? Takich jak ta Machyna? Czy tylko o to chodziło?

Po niebie przetoczył się grzmot. Deszcz nie słabł ani na chwilę.

Clarenceux odłożył Biblię na półkę i odwrócił się z powrotem do kroniki Machyna. Jeśli naprawdę chodziło o zachowanie pamięci o przeszłości, czemu starzec dał mu księgę już teraz? Mógłby wszak jeszcze wiele napisać.

Zadałem mu niewłaściwe pytanie. Nie powinienem był pytać dlaczego ja, tylko dlaczego teraz.

Odwrócił ostatnią stronicę. Dolna połowa była niezapisana. Jego wzrok padł na ostatni ustęp: *iedenastego dnja grudnia Machyn pisaż tej hroniki zabity z roskazu Richarda Crackenthorpa, sirzanta jej królefskiej mości. Esperance.*

Clarenceux poczuł, jakby dostał cios w twarz. Machyn zabity? Przez tego Crackenthorpe'a? Data jest jutrzejsza. Jak to starzec powiedział? „Jeśli coś mi się stanie”. Tak naprawdę nie myślał „jeśli”. Był pewien, że jutro zginie. Wierzył w to dość mocno, by zapowiedzieć swoją śmierć w kronice.

Clarenceux potrząsnął głową, jego myśli wirowały. Wszak niemożliwe, żeby staruszek chciał się zabić. Chyba że wpadł na szaloną myśl, aby popełnić samobójstwo, a w dzienniku obarczyć winą swego wroga. Co chciał wyrazić tym *esperance*? Co nadzieja ma wspólnego z jego zabójstwem? Wychodząc, wspomniał na schodach nazwisko Crackenthorpe'a. Jeśli pragnął mu coś wyjawić, czemu tego nie zrobił? Bardziej martwił się o księgę i o to, czy Clarenceux się nią zaopiekuje.

Teraz Machyn ukrywa się gdzieś pod nieprzeniknionym płaszczem ciemności, wśród piorunów i lejącej się z nieba wody. Nie ma nadziei, aby znaleźć go przed świtem. Clarenceux może spokojnie położyć się do łóżka. Ale przecież nie zaśnie, wiedząc to, co wie. Jeśli przewidywania Machyna są słuszne, staruszkowi zostało zaledwie kilka godzin życia. Otworzył okiennicę i wyjrzał na dół. Poczował na twarzy zimne powietrze, usłyszał deszcz bębniący o dachówki i bruk. Panowała nieprzenikniona ciemność. Nie widział nawet zarysów budynków po drugiej stronie ulicy. Przyciągnął z powrotem okiennicę, a wtedy kątem oka zauważył księgę leżącą na stole – tę, którą otworzył, tuż zanim zapukał Machyn.

Wizytacja w hrabstwach Essex i Suffolk.

Na miłość boską, życie człowieka wisi na włosku, a ja się martwię, że zmoknę!

Zrzucił szubę, wziął do ręki świecę i zszedł na dół.

– Nie wstawaj, Thomasie – powiedział, przechodząc przez hol.

Zdjął kobierzec ze skrzyni, uniósł wieko i wyjął ze środka skórzane buty i opończę.

– Wychodzę poszukać pana Machyna – wyjaśnił, widząc w półmroku, jak Thomas unosi się na łokciu.

Odpiął klamry przy butach i cisnął je w kąt.

– Czy przy bocznym wejściu stoi lampa?

– Przy drzwiach do kuchni, panie, jak zawsze. Ale, wasza miłość... nie widzicie, jaka pogoda na dworze...?

Clarenceux jął wzuwać buty.

– Wiem, że pada, Thomasie, ale obawiam się o jego życie. Powiedz pani, dokąd poszedłem, gdyby pytała. Wrócę przed świtem.

6

Clarenceux i Thomas nie byli jedynymi mężczyznami, którzy tej nocy nie spali. W całym Londynie dziesiątki ludzi kręciły się niespokojnie w ciemnych sypialniach, nasłuchując grzmotów i ulewnego deszczu. Niektórzy leżeli u boku swych żon i wyobrażali sobie błoto, w jakim nazajutrz tonąć będą ulice; inni martwili się pieniędzmi, chorobą, pracą, Bogiem albo śmiercią. Kobiety budziły się i wsłuchiwały w chrapanie mężów, płacz dzieci lub oddech niemowląt w kołyskach i modliły się, aby ich pociechy przeżyły nadchodzące mrozy. Nieliczni rozmyślali w łóżkach o rewizjach, podczas których królewscy żołnierze szukali w domach heretyckich pism, o torturach i egzekucjach ludzi, których przyłapano na kultywowaniu starej religii. Czy Bóg ich opuścił? Czy tego pragnie ich królowa – siłą i terrorem nawracać poddanych na nową wiarę protestancką? Błądzili w ciemnościach, po omacku odnajdując drogę przez sypialnie, wokół kołyszek, wśród lęków, zwątpienia i niesprawiedliwości.

W gronie tych, którzy tej nocy nie spali, było dwóch bogato odzianych mężczyzn rozmawiających w wysokiej komnacie okazałego domu przy Strand Street. Jeden miał nieco ponad czterdzieści lat. Ubrany był w oficjalny strój: czerwoną aksamitną szubę ze złotymi guzikami, ozdobnymi epoletami i urzędowym łańcuchem na ramionach. Jego szyję otaczała niewielka kryza, prawie niewidoczna spod fałd kaptura. Rudą brodę miał długą i gęstą, podobnie jak wąsy, oczy dość życzliwe, lecz

zmęczone, co wydatnie podkreślały fałdy zwiotczonej skóry. Na obydwu środkowych palcach lśniły ciężkie pierścienie. Przyglądał się dokumentowi, który po chwili odłożył na ozdobny stolik przykryty piękną serwetą. Pochylił się i podpisał gęsim piórem: *Cecil*. Odłożył pióro na podstawkę i sięgnął po kielich z winem.

– Kolejni zdrajcy, wasza miłość? – spytał jego towarzysz, który czekał przez chwilę w milczeniu.

– Więcej niż kiedykolwiek przedtem, Francisie. To jak zabijanie żuków. Widzisz jednego, podnosisz kamień, żeby go zabić, a pod spodem roi się dziesięć następnych. – Wziął do ręki kolejny dokument, zerknął nań, po czym przeniósł wzrok na swego rozmówcę. – A skoro mowa o zabijaniu, czy twój informator przeżyje?

Francis Walsingham był trzydziestojednoletnim, niskim, starannie ubranym mężczyzną. Czarne wąsy i brodę nosił krótko przystrzyżone. Włos mu zaczynał rzednąć, na skroniach tworzyły się dość głębokie zakola, pośrodku czoła zaś pozostał spiczasty klin włosów, co mężczyzna usiłował ukryć pod czarną czapką, przylegającą ciasno do głowy. Ubrany był na czarno – w dublet, pończochy i szubę – tylko biała kryza i złoty pierścień na palcu stanowiły wyjątek. Pomimo mikrej postury sprawiał wrażenie człowieka o wielkiej ambicji, nieskłonного do współczucia ani litości. Rzadko się uśmiechał, a kiedy to czynił, zwykle dawał wyraz nie tyle radości czy zadowoleniu, ile raczej satysfakcji z osiągnięcia osobistego celu.

– Więc teraz Draper jest moim informatorem, sir Williamie? – Walsingham podszedł do kominka. Rozchylił połę szuby, aby poczuć ciepło, i stał, wpatrując się w płomienie.

– Przeżyje. Chyba. Nie bardzo mnie to obchodzi. Bardziej interesuje mnie to, co wie.

– Nie dowiedziałeś się nic więcej o napastniku?

– Nie. Crackenthorpe głupio uczynił, że go zabił. Pistolet był niemiecki, bardzo kosztowny, ale mógł go kupić każdy dobrze sytuowany człowiek. Noże wykonali dwaj różni rzemieślnicy, jeden z Londynu, drugi z północy. Niczego się od nich nie dowiedzieliśmy.

– Co teraz zamierzasz?

– Jeszcze tego nie postanowiłem. Jeśli wypuścimy Drapera, czy spełni rolę przynęty? Czy ostrzeże Machyna i pozostałych?

Cecil odłożył dokument, który trzymał w dłoni.

– Sądzę, że nie mamy wyboru. Jeśli nie chce powiedzieć o kronice nic więcej, możliwe, że naprawdę niewiele o niej wie, albo i zgola nic. Nie wątpię, że zastosowałeś swoje metody jak zwykle. Musimy wykazać się większą wyobraźnią, być bardziej twórczy.

Walsingham podszedł do swego mocodawcy i wziął ze stołu kielich.

– To może być niebezpieczne.

– Niebezpieczeństwo było dużo większe, zanim przyszła wiadomość ze Szkocji. Tylko o tym nie wiedzieliśmy.

Walsingham skinął głową.

– Rozważałem podpalenie domu Machyna. Zakładam, że zniszczylibyśmy wszystko, łącznie z kroniką.

– Pożary są w Londynie niebezpieczne.

Walsinghamowi zwęziły się oczy.

– Mnie martwi tylko fakt, że nie zdołalibyśmy się upewnić, czy kronika rzeczywiście tam była. Nie moglibyśmy wykluczyć możliwości, że przekazał ją któremuś z Rycerzy Okrągłego Stołu. Ilu ich jest? Draper utrzymuje, że czterech, lecz ja sądzą, że więcej. Tak więc nie mamy pewności. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie moglibyście spojrzeć Jej Wysokości w oczy i powiedzieć po prostu, że kronika została zniszczona,

bo tak wam się wydaje. Lord Dudley nie szczędziłby wam szyderstw, i to nawet w obecności królowej. Odprawiłaby was bez chwili namysłu.

Cecil nie odpowiedział. Walsingham często pozwalał sobie na bezpośredniość graniczącą z obcesowością. Nie tylko wobec niego, zdarzało mu się to nawet wobec samej królowej. Był to niefortunny skutek uboczny jego wyjątkowego zapału, determinacji, by osiągać doskonałe efekty. Najlepiej było nie zwracać na niego uwagi.

– Nie sprawię jej zawodu, Francisie – odrzekł Cecil spokojnie, spoglądając na następny dokument na stercie papierów. – Jesteś za młody, aby pamiętać koronację jej brata, ale uwierz mi, że do tej pory nie przestaje jej dręczyć to wspomnienie.

Uwadze Walsinghama nie umknęła aluzja na temat jego wieku.

– Jestem od was młodszy, sir Williamie, ale wiem o tym incydencie. Podpisaliście dokument, w którym król Edward wydziedziczył obie swoje siostry...

Cecil spojrzał ostro na swego protegowanego.

– Podobnie jak ojciec Dudleya, księżę Northumberland.

– Ale kiedy zmarł król Edward i Maria przejęła władzę, a potem skazała Jane Grey na śmierć, całą winę zrzuciliście na Northumberlanda. Staliście z założonymi rękami, kiedy i jego prowadzono na stracenie. A teraz jego syn jest jej faworytem. Kiedy tak skakaliście po kamieniach przez wartki potok, o mały włos nie daliście się porwać nurtowi.

Cecil nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi.

– Czasami mam wrażenie, że zapominasz, do kogo mówisz. Byłem tylko świadkiem wydziedziczenia, nie jego rzecznikiem.

Walsingham ostrożnie odstawił kielich na stół i spojrzał Cecilowi prosto w oczy.

– Nigdy nie zapominam, do kogo mówię, wasza miłość, szczególnie, jeśli rozmawiam z wami. Nie ma nawet godziny, w której nie byłbym wdzięczny za waszą protekcję. I za miejsce w parlamencie. Ale przestalibyście mnie cenić, gdybym zamykał oczy na wasze słabości. Sami powinniście poświęcać im więcej uwagi. Każde wypowiedziane kłamstwo jest słabością, albowiem kłamstwo jest zakładnikiem prawdy. Ja wiem, że byliście kimś więcej niż tylko świadkiem. Sami to przyznaliście przed naszą poprzednią królową. Słyszałem o tym z ust ludzi, którzy widzieli to na własne oczy.

Cecil zawahał się, a po chwili zmusił się do uśmiechu.

– To prawda, Francisie. Na mą głowę, prawda. Ja również poszedłbym pod topór, gdyby nie nasza dawna królowa, Panie, świeć nad jej duszą. I jej błogosławiona siostra Elżbieta, Boże, miej ją w swej opiece. – Urwał i milczał, pozwalając Walsinghamowi snuć domysły, co powie dalej. – To ironia losu, że winienem wdzięczność zarówno katolickiej królowej, jak i protestanckiej. Nie sądzisz?

Walsingham nie odpowiedział. To nie była ironia losu, tylko przejaw geniuszu Cecila. A on, Walsingham, wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Może poza samą Elżbietą.

Wrócił do kominka.

– Nie przyszedłem tu dzisiaj, by czarować was swymi manierami. Jestem świadom, że niektóre rzeczy, a wśród nich żonglowanie pochlebstwami, przerastają moje umiejętności. Nie potrafię też dysputować o subtelnych aspektach religijnej tolerancji i zdrady stanu. Bardziej interesuje mnie odnalezienie Rycerzy Okrągłego Stołu. Podobnie jak wy, nie wierzę, aby Draper wiedział coś więcej ponad to, co już wyznał. Jest tchórzem jak większość ludzi samolubnych. Nie zdradziłby nam nazwiska Henry’ego Machyna ani nie powiedział o kronice, gdyby próbował kryć jakiś spisek.

Sądzę więc, że powinniśmy go puścić i uczynić zeń przynętę. Będziemy go obserwować. Ale gdy dopadniemy Machyna lub któregoś z jego konfratrów, jak daleko się posuniemy, aby wydobyć z nich prawdę?

– Jeśli pytasz o to, czy twoi ludzie mogą zastosować tortury...

– Rozumiem, że to delikatny temat. Niektórzy z przyjaciół Drapera są bogaci i wpływowi.

– I wiesz również, że królowa nie pochwała takich metod.

– Cecil uniósł kielich i upił wina. Potem odstawił go z powrotem na stół i zaczął obracać w palcach. – Wszelako w równym stopniu nie pochwała buntu.

– Więc jeśli działania tych osób groziłyby rebelią...?

– Wtedy Bóg podziękowałby ci za uczynienie tego, co musisz uczynić.

Walsingham skinął głową i odwrócił się do wyjścia. W połowie drogi zatrzymał go głos Cecila.

– Nie zapominaj, Francisie, że dopóki królową jest Elżbieta, Bóg jest nie tylko litościwy. Jest również protestantem.

7

Clarenceux szedł ostrożnie przez ciemne podwórze przed stajnią. W lewej ręce trzymał niezapaloną latarnię, prawą wyciągnął przed siebie, szukając po omacku muru. Po twarzy ciekły mu strugi deszczu. Wyczuł pod palcami kamień i skręcił w lewo, aż dotknął drewnianej furtki. Była otwarta. Stajenny widać nie zamknął jej jak należy, pomyślał.

Gdzieś trzasnęła okiennica, poza tym słyszeć było tylko uporczywy szum deszczu. Powoli ruszył ciemną Fleet Street, przesuając dłoń po frontowej ścianie swojego domu. Gdyby choć nie było tak ciemno. Nawet niewyraźny zarys linii dachów pomógłby mu w marszu.

Zastanawiał się, w którą stronę skręcić. Jak przejdzie obok wartowników i dostanie się do miasta? Bramy są zamknięte, a mury bardzo wysokie. Niektóre domy przylegały do muru, ale Clarenceux nie miał pojęcia, gdzie szukać miejsca, w którym mógłby przesadzić ogrodzenie. Pozostawało tylko jedno wyjście – znaleźć drzwi, którymi przeszedł Machyn, ukryte za wiązem nieopodal Cripplegate. Starzec musiał wrócić tą samą drogą do domu, do swojej żony Rebekki i syna Johna.

Udało mu się dostrzec ciemne kontury kościoła St Bride i linię murów na drugim brzegu podziemnej rzeki Fleet, płynącej do Tamizy. Słyszał szum wody przelewającej się pod mostem. Znał dobrze tę ulicę, więc poszedł szybszym krokiem, wyciągając przed siebie ręce, na wypadek gdyby natknął się na niewidoczną przeszkodę.

A oto i most. Wody rzeki wezbrały. Czuł smród śmieci zalegających obydwoma brzegi, widział cień miejskich murów. Niekiedy wieczorami, gdy pogoda była ładna, przychodził tutaj i patrzył na Tamizę, na księżyc odbijający się w wodzie.

Za rzeką mur skręcał gwałtownie i oddalał się w stronę wzgórza Ludgate. Wzdłuż niego stały dwa rzędy domów, jeden za drugim. Ruszył dalej, ścierając wodę z twarzy, aż dotarł do wznoszącej się czarnej sylwetki Ludgate. Brama była zamknięta na głucho, lecz Clarenceux poczuł się pewniej, zmarzył co prawda i przemókł do suchej nitki, ale przynajmniej wiedział, gdzie jest. Skręcił i ruszył wzdłuż budynków stojących pod murem przy Old Bailey.

Doszedł do rogu. Po prawej stronie majaczył wysoki cień więzienia Newgate. Dobiegały stamtąd stłumione krzyki, widocznie wśród więźniów wywiązała się bójka. Jęknął zniechęcony. Jeśli dalej będzie poruszał się w tym tempie, cała noc minie, zanim dotrze do domu Machyna.

Miał przed sobą bramę klasztoru St Bartholomew the Great. Kiedyś był to przepiękny kościół. Clarenceux zaklął na starego króla, jak zwykł był czynić zawsze, ilekroć tędy przechodził. To Henryk VIII zarządził, by zniszczono nawę główną i wszystkie budynki opactwa. Minęło już dwadzieścia lat, ze wspaniałej budowli zostały nędzne ruiny. Właśnie z tego powodu czuł największy gniew na protestantów. Może i przemawiali z głębi serca, może i szukali prawdy bożej równie żarliwie jak wyznawcy starej wiary, ale zniszczyli prawdziwie boskie piękno. Tego nie można było uczynić z Jego błogosławieństwem. Działali we własnym imieniu, bez Boga w sercach.

Wytań twarz i oparł się o ścianę. Przed nim gęstniała w mroku sylwetka kościoła St Giles's. Już niedaleko do więzienia, o którym wspominał Machyn. Widział kontury północnych murów miasta oraz bramę Cripplegate.

Podążył w tamtą stronę, aż poczuł pod dłonią dotyk zimnego kamienia wieży bramowej. Ostrożnie stawiał kroki, ślizgając się w błocie i trzymając muru. Wyczuł wiąz, który rósł na nasypie, i obmacał korę. Wcisnął się pomiędzy pień i ścianę i wkrótce znalazł drzwi. Nikt ich jeszcze nie zamknął, zaskrzypiały, kiedy je otworzył i przeszedł na drugą stronę.

Znalazł się na ciemnym osłoniętym podwórzu pod północnym murem miasta, równie ślepy, jak w chwili, gdy wyszedł z domu. Wyciągnął rękę i poczuł pod dłonią mokry gont niskiego dachu. To musi być stajnia albo kuźnia, pomyślał. Jak się nazywał ten kowal? Lowe. Ale o tej porze nikt nie wyściubi nosa z domu, nie przy tej pogodzie.

Uderzył kolanem o kamień. Schylił się i trafił na wielką kadź z wodą, prawdopodobnie do kuźni. Obszedł ją dookoła. Nieopodal znalazł drugie drzwi. Wymacał rygiel i otworzył go ostrożnie. Potem zamknął za sobą furtkę i ruszył prawą stroną ulicy.

Trzymając w lewej ręce niezapaloną latarnię, prawą przesuwiał po murach domów, sklepów, po drzwiach i kamiennych kolumnach. Wpadał na beczki, przestępował nad drewnianymi kłocami, wózkami, skrzyniami i stertami drewna. Zahaczył kostką o skrzynię leżącą w ciemności na środku ulicy, poślizgnął się i upadł w błoto. Wsparł się na dłoniach i kolanach i jął na oślepie szukać lampy oraz kapelusza, które upadły w śliską maź.

Po co ja to robię? To są problemy Machyna, nie moje.

Nie. Henry potrzebuje pomocy. Jest dużo starszy ode mnie, a mimo to odbył tę drogę po ciemku, więc i ja mogę.

Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. Clarenceux niepewnie wyciągnął rękę i wymacał kamienną kolumnę. To były drzwi kościoła St Mary Aldermanbury.

Pomóż mi, Jezu Chryste, Zbawicielu mój.

Oparł się o kościelny mur, z trudem łapiąc powietrze. Nagle poczuł ból i uprzytomnił sobie, że z całej siły trze dłonią o ścianę budynku. Co się z nim dzieje? To strach. Iść dalej znaczy opuścić bezpieczne schronienie kościelnych murów i pogrążyć się w złą, nieprzeniknioną ciemność, w której diabeł zobaczy go wyraźnie jak w dzień, za to wszystkie niegodziwości nocnego miasta pozostaną przed nim ukryte.

8

Rebecca Machyn otarła w ciemności łzy. W wąskim łóżku przewróciła się na drugi bok.

Czym sobie zasłużyliśmy na taki los? Co złego uczyniliśmy?

Przypomniały jej się słowa Henry'ego i jego pożegnalne łzy. I pustka, która kryła się za jego słowami. Pocieszenia brzmiały tak płytko i nieprzekonująco, tyle w nich było słycać cierpienia.

Zrobiła to, co kazał. Pani Barker była dla niej bardzo dobra, jak zawsze. Pozwoliła jej zająć pokój od frontu, aby miała oko na swój dom. Kilka razy słyszała przechodzących ludzi i pukanie do drzwi. Jeśli Henry wrócił do domu, to nie odpowiadał na niczyje wołania.

Próbowała sobie przypomnieć szczęśliwsze czasy. Dzień, w którym poślubiła Henry'ego: słoneczny styczniowy poranek piętnaście lat temu. Lecz każde wspomnienie tego dnia nieubłaganie wiodło do pierwszego nieszczęścia w ich małżeństwie – kiedy półtoraroczna Mary leżąca bez ruchu w łóżeczku zamilkła na wieki. Zupełnie jakby umarłe dziecko stało się szatańską mistyfikacją, jakby dziewczynka nigdy nie żyła, a przejawiała tylko pozory życia. Potem Katherine, w tym samym wieku – martwy przedmiot leżący w kołysce z otwartymi oczami, nienależący już do niej. Niebędący już dziewczynką ani w ogóle człowiekiem.

Ileż dobroci okazał jej wtedy Henry. Ile zrozumienia.

Kiedy zdarzyło się to po raz trzeci, trzy lata temu, sama zapagnęła umrzeć. Dołączyć do swoich dzieciątek, otworzyć im drzwi do raju.

Gdyby nie Henry, uczyniłabym to. Rzuciłabym się z mostu. Tylko on mnie powstrzymał. Jest taki mądry. Rozumiał mnie. Stracił czworo z pięciorga dzieci, które miał z Joan, swoją pierwszą żoną. A potem i ona umarła. Moje trzy dziewczynki nie były nawet połową jego żałoby. Do tej pory modli się za nią i za swoich siedmioro dzieci. Czemu miałyby go spotkać jeszcze więcej nieszczęść? Nie zasłużył na nie.

Na dworze jacyś mężczyźni rozmawiali półgłosem. Znowu przewróciła się na materacu i położyła policzek na mokrej poduszce.

9

Clarenceux ciężko łąpał oddech. Po twarzy ciekły mu strugi deszczu. Był mokry i dygotał z zimna.

To ta ulica, Little Trinity Lane. Dom Machyna stoi na lewo, jakieś czterdzieści kroków dalej. Pierwsze piętro wiszące nad fasadą parteru jest niższe niż w sąsiednich budynkach.

Ruszył przed siebie. Gdy wyciągnął rękę, czubkami palców dotykał wystających górnych elewacji mijanych domów. Idąc, wiódł ręką po drewnianych konstrukcjach, aż poczuł tę najniższą. Obmacał belkę, tynk, drzwi...

Wyciągnął zza pasa nóż i zapukał trzykrotnie ręką, tak jak to uczynił poprzednio Machyn.

Nikt nie odpowiedział. Słysząc było tylko plusk kropeł w kałużach. Jeśli Henry'ego nie ma w domu, porozmawiam z jego żoną lub synem.

Zapukał drugi raz.

Kiedy tak czekał, zaczęły go ogarniać wątpliwości. A potem znowu strach. Tym razem wiedział, że ma powód się bać. Usłyszał chlupot kroków w kałużach.

Nagle czyjaś dłoń zacisnęła się na jego gardle i brutalnie przygwoździła twarzą do drzwi. Ramię napastnika uderzyło go w plecy, a żelazna śruba mocująca deski wbiła mu się boleśnie w żebra. Szarpnięty za szyję, upuścił latarnię. Dłoń w rękawiczce zaczęła go przeszukiwać, siłą rozwierać palce.

– Rzuć nóż.

Głos był chrapliwy i głęboki – nieokrzesany warkot żołnierza z północnej Anglii.

Clarenceux nie wypuścił broni.

– Jestem William Harley, Wielki Herold Clarenceux Jej Królewskiej Mości Elżbiety z bożej łaski królowej Anglii, Francji, Walii i Irlandii – zawołał w ciemność. – Precz z łapami!

– Rzuć nóż – powtórzył mężczyzna – albo wbiję ci go w krocze.

Clarenceux wyczuł wokół siebie obecność kilkorga ludzi.

– Podajcie swe imiona! – odkrzyknął, puszczając nóż.

– Co tu robisz, heroldzie? Czemu łazisz bez światła?

– Gdybyście sami je mieli, zobaczylibyście, że mam ze sobą latarnię. Zgasła jakiś czas temu na tym przeklętym deszczu. Leży pod moimi nogami.

Nieznajomy zwolnił uścisk na tyle, że Clarenceux mógł się odwrócić. Nagle w twarz buchnęło mu jaskrawe światło i poraziło oczy, aż się cofnął. To jeden z napastników otworzył zasłonę lustrzanej latarni i podniósł ją do góry. Clarenceux zamrugał, blask zatoczył łuk i oświetlił próg domu oraz błoto, gdzie leżała jego lampa.

Było ich sześciu. Przelotnie zauważył krąg kapeluszy i twarzy. Potem światło zgasło i znów pochłonęła ich ciemność.

– Podnieś nóż i go schowaj.

Clarenceux się schylił i wsunął ostrze do pochwy u pasa.

– Chcę wiedzieć, kto zwraca się do mnie w ten sposób.

– Jestem Richard Crackenthorpe, sierżant w służbie Jej Królewskiej Mości. Ci ludzie to strażnicy miejscy pod moimi rozkazami. A teraz gadaj, co tu robisz, heroldzie.

Znów czyjeś ramię przyparło go do drzwi.

Clarenceux odtrącił je gwałtownie.

– Żądam, abyście traktowali mnie uprzejmie. Dla was jestem panem Clarenceux, Cracken...

Dłoń Crackenthorpe'a przycisnęła mu głowę do drzwi i przytrzymała za gardło.

– Nie obchodzi mnie twój tytuł ani to, kim jesteś. Obchodzi mnie tylko, co tu robisz. I dojdę prawdy, choćbym miał ją z ciebie wycisnąć. Rozumiesz?

– To, co tu robię... jest moją sprawą – wykrztusił z trudem Clarenceux. – A za ten gwałt... każę cię zawlec końmi przed oblicze burmistrza.

– Jeszcze pożałujesz tych słów. Twoim protektorem był lord Paget. Nieboszczyk. Szczam na twoje groźby.

Mężczyzna, który go trzymał, cofnął się i walnął go w brzuch. Clarenceux jednak spodziewał się ataku i przygotował się na cios. Tylko dzięki temu do reszty nie stracił tchu w piersi. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Clarenceux przełknął ślinę i gniewnym gestem wytarł wodę z twarzy. Crackenthorpe musiał służyć w wojsku, pomyślał. Tylko w ten sposób mógł się dowiedzieć o Pagecie.

– Wydłubię ci żebra dłutem – warknął Crackenthorpe.

– Pytam jeszcze raz: co tu robisz?

Clarenceux pokręcił głową. Nie rozumiał niebezpieczeństwa, z którym się zetknął, ale wiedział, że niczego nie zyska, jeśli się teraz podda.

– Gdzie jest Henry Machyn? Co mu zrobiliście?

– Do stu piorunów! Po co do niego przyszedłeś?

– Wiedziony miłosierdziem. W imię tego, który zginął za nas na krzyżu. Oraz z obowiązku: jestem urzędnikiem w służbie Jej Królewskiej Mości!

– Ja też, Clarenceux. I również wykonuję swoje obowiązki.

– Służąc interesom królowej czy swoim własnym?

– Marnujesz mój czas, heroldzie. Prowadzę śledztwo w sprawie zdrady stanu. Uważasz, że dla przyjemności włóczę się po nocy w przemoczonych butach i pończochach? Myślisz, że z upodobania sterczę na wichrze i deszczu? Dobrze, powiedziałem ci więc, co tu robię. Teraz twoja kolej. Nie przyszedłeś tu projektować po ciemku tarcz herbowych. Ani badać historii szlacheckich rodów. Gadaj.

Clarenceux otarł twarz. Zrozumiał teraz, czemu nikt z Machynów nie otwierał drzwi. Crackenthorpe obserwował wejście do budynku.

– Idę do domu.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie odpowiesz na moje pytanie.

– Nie obchodzą mnie twoje pytania! – zawołał Clarenceux, wiedząc, że słyszą ich ludzie w sąsiednich posesjach. – Jestem nie tylko heroldem. Jestem wolnym mieszkańcem tego miasta. Jestem podstarszym gildii. Mam prawo chodzić wieczorem po ulicach i nosić ze sobą lampę. Nie ma nic złego w pukaniu do drzwi starego przyjaciela nawet w środku nocy, jeśli troszczę się o jego słabnące zdrowie.

– Ostrzegam cię, Clarenceux...

– Nie, Crackenthorpe, to ja cię ostrzegam. Jestem członkiem królewskiego dworu. Mogę straszyć albo się przypocholebiać i panoszyć tak samo jak ty, lecz moja pozycja jest o niebo wyższa i więcej waży wśród wpływowych ludzi. Ciekawe, co by powiedziała Jej Wysokość, gdybyś mnie oskarżył o zdradę, nie mając na to żadnych dowodów poza tym, że odwiedziłem starego przyjaciela.

– Ty głupcze! Nie masz pojęcia...

– Powiedz mi, Crackenthorpe: komu uwierzy sir William Cecil, tobie czy mnie? Kiedy się z nim ostatnio widziałem na chrzcinach mojej córki, zalecał, abym bacznie zważał na wypadki obrazy majestatu Jej Królewskiej

Mości. Chcesz zachować stanowisko czy skończyć jako oberżysta w ciemnym zaułku z rynsztokiem pełnym rzygowin i cuchnącą garbarnią w podwórzu? To chyba w tym mieście jedyne zajęcie dla byłych żołnierzy.

Crackenthorpe przysunął twarz do twarzy Clarenceux.

– Ja też mam potężnych przyjaciół, którzy wyproszą u królowej ułaskawienie za twoją śmierć. A ja wiem, że nie przyszedłeś tu pytać starca o zdrowie.

– Domyślam się więc, że masz podstawy, by mnie napastować. Jeśli tak, sędzia pokoju skwapliwie cię wysłucha.

– Wiem o sir Dagonecie – syknął Crackenthorpe, zniżając głos. – Zaczął gadać.

– Na twą przeklętą duszę, a kimże znowu jest sir Dagonet?

Clarenceux wyczuł wśród mężczyzn poruszenie. Nikt się nie odezwał. Schylił się i podniósł z ziemi czapkę i latarnię. Czapka była zimna i mokra, kiedy ją wkładał na głowę.

– A teraz – rzekł – jak już powiedziałem, zamierzam wrócić do domu.

– A jak przejdiesz przez bramę? Może w ten sam sposób, w jaki się tu dostałeś? – W głosie Crackenthorpe’a zabrzmiała drwina.

Clarenceux milczał niepewnie. Obawiał się wspominać o przejściu Cripplegate, aby nie zdradzić Machyna.

– Zapytam strażę przy Ludgate, czy zechcą mnie przepuścić.

– Znam wszystkie drogi, którymi można wejść w nocy do miasta lub wydostać się poza mury. Może wszedłeś rowem na tyłach kamienic przy Ludgate? Albo górą po dachu i nad murem? A może przepłynąłeś łódką do nabrzeża Dowgate, co?

– Sierzancie Crackenthorpe, nie masz przed sobą złodziejzka. Będę wdzięczny, jeśli zechcesz towarzyszyć mi do Ludgate. Nie muszę ci przypominać, że moja lampa zgasła.

– Odprowadzę cię do samego domu, Clarenceux. Chcę wiedzieć, gdzie mieszkasz.

*

Clarenceux zatrzymał się przed drzwiami.

– To tutaj.

– Dobrze – mruknął Crackenthorpe, podnosząc lampę, aby obejrzyć dom.

– Będziemy wiedzieli, dokąd przyjść. Dobranoc, Clarenceux.

Clarenceux nie odpowiedział, odwrócił się i ruszył uliczką biegnącą wzdłuż domu. Wymacał klamkę w bocznych drzwiach i wszedł do środka. Zdjął czapkę, nasłuchując kropel wody kapiących na podłogę, a potem skierował się korytarzem w stronę kuchni. Po omacku znalazł rygiel w drzwiach spiżarni, wciągnął w nozdrza słodkawy zapach piwa i wina. Nie mógł przestać się trząść. Klnąc na fatalną noc, cisnął na podłogę czapkę i odwiązał opończę, której też pozwolił upaść pod nogi. Rozsznurował tasiemki ociekającej kryzy i rozpiął przemoczony dublet. Zostawił rzeczy tam, gdzie upadły, razem z pończochami. Po ciemku rozebrał się do koszuli i kalesonów i w mokrej bieliźnie wyszedł ze spiżarni, po czym ruszył na górę.

Bolały go nogi. Zatrzymał się na szczycie schodów. Drzwi po lewej stronie prowadziły do holu, drzwi naprzeciwko do salonu i pokoju gościnnego. Zastanawiał się, czy nie położyć się na wolnym łóżku dla gości, ale uznał, że woli wrócić do swojej sypialni. I zobaczyć żonę.

Na drugim piętrze było nieco jaśniej. Drzwi do sypialni jego starszej córki były zamknięte i żaden blask nie wydobywał się przez szczeliny. W ciemności skinął do siebie głową.

Niechaj Bóg ma cię w swej opiece, Annie. Śpij słodko, najdroższa córeczko.

Odwrócił się i spojrzał w stronę swojej sypialni. Przez uchylone drzwi sączyło się światło świecy. Kiedy je pchnął, otworzyły się ze skrzypnięciem.

Świeca paliła się we wnęce nad łóżkiem. Jego żona, Awdrey, spała wsparta na wezglowiu. Widać czekała na niego. Poruszyła się na odgłos otwieranych drzwi, ale się nie zbudziła. Ich młodsza córka spała w łóżeczku po stronie Awdrey, owinięta przed zimnem. Uśmiechnął się. Awdrey była dobrą matką, taką obowiązkową wobec obydwu córek. Blask świecy oświetlał buzię śpiącego dziecka i złociste włosy jego żony. Zasnęła bez czepka. We śnie wygląda najpiękniej, pomyślał, tak naturalnie. Nie miała już dwudziestu pięciu lat. Lubił wymawiać jej imię po łacinie, *Etheldreda*, a także po staroangielsku – Aethelfrith. Była jego saksońską księżniczką. Kiedy na nią patrzył, wiedział, że jest szczęśliwym człowiekiem.

Za trzy godziny zacznie świtać. Wtedy wyłonią się poważne pytania.

10

Henry Machyn poruszył się na odgłos otwieranych drzwi. W pierwszej chwili pomyślał, że to stajenny przyszedł nakarmić konie, lecz zaraz potem oprzytomniał i zeszywniał. Na podwórzu kręciło się czterech albo pięciu ludzi. Słyszał ich głosy, przez otwór z drabiną zobaczył światło. Jeden z mężczyzn trzymał latarnię.

Serce załomotało mu ze strachu i niedowierzania. Jakim sposobem dowiedzieli się, że tu jest?

Clarenceux musiał mnie zdradzić.

Ta myśl rozdarła mu serce, łzy napłynęły do oczu. Ufał temu człowiekowi. Dał mu księgę. Jego najdroższą księgę! Wszystko, co jeszcze budziło w nim nadzieję, co było mu tak drogie, legło w gruzach. Dwadzieścia pięć lat starannie dochowywanej tajemnicy poszło na marne.

Jak mógł to zrobić?

Usłyszał trzeszczące szczebelki drabiny, a sekundę później z otworu wyłonił się kapelusz i zarys głowy. Mężczyzna uniósł latarnię. Żłoty blask oświetlił uprząż, która tu wisiała, sterty siana, beczki z jabłkami i górę worków konopnych wypełnionych owsem.

Mężczyzna zobaczył Machyna i wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby.

– Panie sierżancie! – zawołał na dół. – Znalazłem go!

11

Sobota, 11 grudnia

Clarenceux siedział w swoim gabinecie przy świecy, szczelnie owinięty szubą. Był znowu sam na sam z kroniką Machyna i wciągał w nozdrza zapach dymu z kominka. Na schodach usłyszał kroki. Chwilę później w drzwiach stanęła jego córka Annie z pomarańczą w ręku. Brązowe włosy związane z tyłu odsłaniały wysokie czoło.

– Powinnaś już spać, Annie. Jest bardzo późno – powiedział, biorąc ją w ramiona.

– Tak, ale mamusia powiedziała, że mogę to tatusiowi pokazać – odparła, wyciągając dłoń z owocem i uśmiechając się. – Byłyśmy na rynku i kupywałyśmy owoce. Kosztowała szylinga.

– „Kupowałyśmy”, nie „kupywałyśmy” – poprawił ją. Wziął pomarańczę i zaczął oglądać pod światło. – Całego szylinga? Wiesz, czemu tak dużo?

– Czemu?

– Pomarańcze rosną na drzewach w kraju, który leży daleko stąd. Nazywa się Hiszpania. Słońce świeci tam przez cały dzień. Zrywają je, wkładają do beczek...

Ale Annie nie słuchała. Patrzyła na kronikę, która leżała otwarta na stole.

– Co to jest? – spytała.

– Książka. Kronika.

– A co tu jest napisane?

– Tu jest napisane: „Jedenasty grudnia. Tego dnia Ann, córka pana Clarenceux...

Urwał raptownie. Następne słowa brzmiały: *umira od zjecenia owocu pomarańczy.*

– Idź! Natychmiast idź na dół – rozkazał.

Patrzył, jak odchodzi. Zostawiła otwarte drzwi. Wiedział, że się rozpłacze, potraktował ją zbyt szorstko. Ale miał powód: to było oburzające. Jak Machyn śmiał napisać coś podobnego! Przecież zależało mu na jego przyjaźni. Czy tak bardzo mąciły mu się myśli?

Wrócił do kroniki. Następny wpis informował:

Po tym zmarła jego żona od zatrucia japkem, kturę dał jej pan Clarenshux, albowiem już jej nie kochał.

Zrzucił książkę ze stołu, aż jego wizytacje, dwa inne woluminy, kałamarz i papier przeleciały przez cały pokój. Kiedy upadły na podłogę, wstał i w gniewie wywrócił stolik do góry nogami. On nie kochał swojej żony? Schylił się, podniósł kronikę i cisnął nią z całej siły w drugi koniec izby. Czyż nie kochał ich wszystkich? Córek? Żony? Matki jego dzieci? Jak można było napisać...

– Williamie! Williamie! – usłyszał wołanie żony. – Williamie, przestań!

Otworzył oczy. Przez otwarte okiennice do pokoju wpadało światło dzienne. Nad nim pochylała się Awdrey, kosmyk jasnych włosów kołysał się swobodnie.

Potarł dłonią twarz i czoło zroszone potem. Leżał we własnym łóżku, w ciepłej świeżej pościeli, a gabinet ze snu wydawał się zadymiony i zimny. Zupełnie jakby nieprzyjemne przeżycia minionej nocy przyszyły za nim do domu.

Ta księga...

To był proroczy sen. Musi oddać kronikę Machynowi. Ale wszak Machyn przepowiedział, że dzisiaj umrze...

– Rzucałeś się we śnie jak opętany – powiedziała Awdrey, a w jej głosie pobrzmiwał strach. – Gdzie byłeś w nocy? Ktoś pukał do drzwi, a potem czekałam, ale nie przyszedłeś do łóżka. Rano Thomas powiedział, że wychodziłeś. A teraz krzyczysz przez sen o mnie, o Annie i wymachujesz rękami jak szaleniec. Co się stało? Gdzie byłeś w nocy?

Podniósł się, wziął głęboki oddech. Uspokoiwszy się nieco, spuścił nogi na podłogę i siedział tak w samej koszuli, patrząc przez otwarte okno. Niebo było błękitne, deszcz ustał. Spojrzał na krzyż wiszący na ścianie.

– Czy Thomas ci powiedział, kto w nocy pukał do drzwi?

– Powiedział, że przyszedł pan Machyn.

– Tak, to był Machyn – potwierdził Clarenceux, zerkając na żonę. – Ma kłopoty.

– Kłopoty? Jakie kłopoty?

– Boi się o swoje życie. Był przerażony. Z początku nie pojmowałem, że sytuacja jest tak poważna. Zrozumiałem to, dopiero kiedy wyszedł. Ubrałem się i poszedłem za nim. Zatrzymał mnie królewski sierżant.

– To było bardzo nierozsądne, Williamie.

Clarenceux popatrzył za okno.

– Wtedy wydawało mi się, że mogę mu pomóc.

Awdrey nie odpowiedziała. Clarenceux wstał.

– Podasz mi wodę?

Awdrey zeszła z łóżka. Wzięła dzban i napełniła mosiężną misę, która stała na podłodze, przewiesiła sobie ręcznik przez ramię i zniosła je mężowi. Skinął głową na znak wdzięczności, po czym ochlapał twarz zimną wodą, nie bacząc, że moczy sobie koszulę.

– Machyn jest zamieszany w jakiś spisek. Uważa, że go dzisiaj zabiją.

Zdjął ręcznik z żoninego ramienia i wytarł nim twarz. Rzucił go na łóżko, podniósł się, po czym spojrzał jej w oczy.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że chodzi o zdradę stanu. Nadal w to nie wierzę. Myślałem... – Popatrzył badawczo w jej przestraszone oczy. – Właściwie nie wiem, co myślałem. Czułem, że jest dobrym człowiekiem, nawet jeśli wpadł w tarapaty. Uznałem, że nie mam wyboru i muszę mu pomóc.

– Jak? – spytała trochę chłodno. – W jaki sposób mógłbyś mu pomóc?

Clarenceux pokręcił głową.

– Nie wiem, najdroższa. – Odwrócił wzrok. Puścił ją i podszedł do skrzyni z ubraniami. Uniósł wieko i wyjął złożoną koszulę. Jak reszta bielizny, pachniała intensywnie lawendą i goździkami. – Wiem tylko, że... muszę się dowiedzieć więcej. Chcę rano iść i go poszukać.

– Naprawdę zamierzasz go szukać? Chociaż jest zdrajcą? I pójdziesz sam?

– Henry Machyn nie jest zdrajcą. Wezmę ze sobą Thomasa.

– Idź z przyjaciółmi. Nikt nie ośmieli ci się przeciwstawić, jeśli będziesz miał ze sobą swych heroldów i justycjariuszy.

Clarenceux wyjął ze skrzyni parę czystych pończoch.

– Wezmę Thomasa – powtórzył. – Muszę zadać Machynowi jedno pytanie.

12

Clarenceux stał na progu swojego domu i rozglądał się po Fleet Street. Niebo było błękitne, w zimnym porannym powietrzu unosił się jego oddech. Kilkoro ludzi wchodziło do miasta przez zachodnią bramę. Mężczyzna w starym zielonym płaszczu prowadził muła, zaprzężonego do wozu ze stertą drewnianych skrzyń. Kobieta w białym czepku dźwigała na ramionach koromysło z dwiema beczkami wody. Wracała spiesznie do domu. Dwaj dobrze ubrani kupcy rozmawiali, jadąc konno ramię przy ramieniu. Na pierwszy rzut oka widok ulicy nie przedstawiał niczego niezwykłego.

A jednak coś było nie tak.

Wyszedł na drogę, czekając, aż zjawi się Thomas.

Nieco dalej o mur opierał się młody człowiek. Kiedy Clarenceux spojrzał w jego kierunku, szybko ukrył się za załomem.

– No, nareszcie, Thomasie – powiedział głośno na widok wychodzącego służącego. Jego oddech wzbił się w zimnym powietrzu kłębem pary. Zatarł dłonie przed zimnem. – Chodźmy.

Ulica zamieniła się w zryte grzęzawisko. Poranne słońce odbijało się od zmarszczek wody w kałużach, a powietrze po deszczu było świeże. Thomas ruszył dwa kroki za swoim panem. Wyprzedził ich wóz, cofnęli się i zatrzymali, żeby nie ochlapały ich rozbryzgi błota spod kół.

– Thomasie, komu dzisiaj mówiłeś o wizycie Henry’ego Machyna?

– Tylko pani Harley. Wasza żona bardzo nalegała, abym jej powiedział, kto pukał tak późno w nocy i czemu nie przyszlście do sypialni. Obawiała się najgorszego.

– Najgorszego?

– Że was aresztowano, wasza miłość.

Zbliżyli się do mostu na rzece Fleet. Woda nadal była spiętrzona, płynęła wartko i przelewała się nad śmieciami i gruzem, zupełnie jakby oczyszczała miasto z brudu – smród zepsutego jedzenia i odpadków wydawał się mniej dojmujący. Na powierzchni płynął z prądem niewielki konar. Clarenceux przystanął i obserwował, jak unosi go wirujący nurt.

– Thomasie, obejrzyj się w kierunku, skąd przyszlśmy. Powiedz mi, czy widzisz mężczyznę w rdzawej kamizeli.

Thomas zerknął wstecz.

– Patrzy w naszą stronę, osłania oczy przed słońcem.

Clarenceux dalej obserwował rzekę.

– To dobrze, że za nami idzie. To znaczy, że nie czekał, aż wyjdziemy, żeby przeszukać dom.

Przeszli pod kruszącym się sklepieniem bramy Ludgate. Minął ich jeździec, kopyta zadudniły na bruku pod kamiennym sklepieniem. Clarenceux podniósł wzrok na wieżę katedry Świętego Pawła. Jaka szkoda, że po uderzeniu pioruna dwa lata temu straciła wspaniałą iglicę. Zerknął przez ramię i odnotował, że młody mężczyzna w rdzawej kamizeli podąża sto kroków za nimi.

– To musi być człowiek Crackenthorpe’a. W nocy mieliśmy z sierżantem Crackenthorpe’em małą wymianę zdań.

– Wymianę zdań?

– W domu Machyna nikogo nie zastałem. Tylko Crackenthorpe i jego ludzie kręcili się w pobliżu. Obserwowali budynek i czekali na staruszką,

choć pogoda była okropna.

Okrążyli kościelny dziedziniec, sklepy papierników i księgarzy.

– Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy powiedziałaś komuś o księdze? Na przykład mojej żonie?

– Nie, wasza miłość. Powiedziałem tylko, że w nocy przyszedł pan Machyn i żeście za nim poszli.

Nie zatrzymując się, Clarenceux położył dłoń na ramieniu Thomasa. Mówił cicho, patrząc przed siebie w stronę rzędu piekarni i ludzi stojących w kolejkach.

– Chcę, abysь zapomniał, że ta księga trafiła do mego domu. Zapamiętaj, że odmówiłem jej przyjęcia i Machyn zabrał ją z powrotem.

– Teraz sobie przypominam, panie, że tak właśnie było. Pamiętam dokładnie, że trzymałem mu ją, kiedy wdziewał płaszcz.

– Dobrze. Dziękuję ci.

Szli dalej w milczeniu. Clarenceux tak zatopił się w myślach, że całkiem zapomniał o śledzącym ich mężczyźnie. Co skłoniło Machyna, żeby w taką pogodę snuć się nocą po mieście i szukać bezpiecznego miejsca dla kroniki? Strach przed Crackenthorpe'em? Może, ale to nie wszystko. Czego się bał? Co takiego zawiera ta księga? Po powrocie do domu muszę przeczytać ją uważniej. Cóż za dziwne uczucie patrzeć na te domy, wiedząc, że gdzieś za witrynami ukrywa się tajne stowarzyszenie. Czy tym właśnie są Rycerze Okrągłego Stołu? Lancelot Heath ze swym arturiańskim imieniem musi do nich należeć. Może należał do nich również sir Arthur Darcy, ale zmarł wiele lat temu. Czy to możliwe, aby Rycerze istnieli od tak dawna? Czyżby spisek trwał tyle lat, a mnie przez cały ten czas szpiegowano? Czy Machyn odgrywał w bractwie jakąś rolę? Czy Crackenthorpe go zdemaskował? Co jeszcze dzieje się w tych domach, za tymi okiennicami?

– Miasto kryje tyle tajemnic.

Thomas spojrział na niego zdziwiony.

– Rozmyślałem o tych wszystkich tajemniczych rzeczach, które dzieją się w mieście. Człowiek nie ma o niczym pojęcia. Intrygi, spiski, kunszachty, konspiracje... Czasem się zastanawiam... wydaje mi się, że kolejna rewolucja jest całkiem możliwa.

– Rewolucja?

Clarenceux wskazał gestem drogę.

– Tu w lewo, a potem w prawo w Little Trinity Lane. Mam na myśli bunt przeciwko królowej, aby nawrócić kraj z powrotem na wiarę katolicką.

Skreśli za róg i ominęli wielką kałużę na środku ulicy.

– Przyznaję, że to były szczęśliwsze czasy – rzekł Thomas ze smutkiem – ale nie wierzę, żeby do tego doszło. Ludzie nie chcą powrotu stosów. Pamiętacie martwego kundla, wasza miłość?

Clarenceux skinął głową. Kilka lat temu do sali audiencyjnej królowej Marii wrzucono zdechłego psa z wygoloną tonsurą i ubranego w kapłańską dalmatykę. Było to wkrótce po tym, jak zmusiła parlament do zakazania protestanckich nabożeństw.

– Gdyby miało dojść do buntu – ciągnął Thomas – oglądalibyśmy w mieście więcej procesji.

– Czy to by cię uczyniło szczęśliwszym, Thomasie? – spytał Clarenceux z uśmiechem. – Pan burmistrz i mistrzowie cechów wystrojeni w odświętne toalety?

– Mówię o młodych chłopcach i dziewczętach. To było kiedyś wielkie święto. Mistrzowie gildii rzucali nam pensy. Piekarz z naszej ulicy rozdawał placki. Mój ojciec, świeć, Panie...

Nagle Thomas urwał. Przed nimi na ulicy tłum około dwudziestu osób gapił się na drzwi jednego z domów. Domu Henry'ego Machyna.

– Nie wierzę własnym oczom – szepnął Clarenceux.

Drzwi i okno na parterze domu Machyna zabito deskami, a na nich namalowano wielkie czerwone krzyże. Przy wejściu stał młody mężczyzna w napierśniku, hełmie i z mieczem u boku.

– To niemożliwe – mruknął Thomas, marszcząc brwi.

– Ostatnią ofiarę zarazy pochowano trzy tygodnie temu – zauważył Clarenceux.

Rozejrzał się po Little Trinity Lane. Spodziewał się ujrzeć gdzieś Crackenthorpe'a, ale nigdzie go nie było. Zniknął również mężczyzna, który do niedawna za nimi szedł.

– Thomasie – powiedział cicho, spoglądając na boki. – Idź do domu i znajdź łom. Leży chyba na strychu w stajni. Owiń go w szmatę i przynieś.

– Tak jest, wasza miłość. Czy mam sprowadzić pomoc?

– Nie. Ci ludzie szukają informacji. Nie zrobią nam krzywdy. W każdym razie jeśli nie dostaną takich rozkazów.

13

Walsingham siedział w swoim salonie przy stole pod oknem. Poranne słońce oświetlało leżącą przed nim kartkę, w dużym ozdobnym palenisku płonął ogień. Zanurzył pióro w kałamarzu i znieruchomiał, patrząc przez okno na wodę w fosie otaczającej Tower. Nie chodziło o to, że nie był pewien, co miał napisać, lecz opadły go wątpliwości, czy powinien przekazywać tę konkretną informację na papierze. Może bezpieczniej byłoby wysłać posłańca? Mógłby nieść podwójną wiadomość: jedną prawdziwą, drugą fałszywą na wypadek pojmania.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Tak?

– Panie Walsingham, jakiś człowiek chce się z wami widzieć. Mówi, że nazywa się Crackenthorpe.

– Ma bliznę?

– Nad prawym okiem, panie.

– Wpuść go.

Do komnaty wszedł Crackenthorpe z kapeluszem w dłoniach. Ukłonił się. Walsingham podniósł na niego wzrok.

Gdyby ten człowiek nie znalazł u mnie posady, dawno by go powiesili, pomysłał. To nic niezwykłego, że żołnierze w czasie bitwy zabijają mężczyzn i gwałcą kobiety, takie jest naturalne prawo wojny. Ale Crackenthorpe nie dostrzega różnicy między wojną a pokojem. Gdyby

odesłano go z powrotem na północ, jego pobratymcy zabiliby go szybciej niż Szkoci.

– Aresztowałem Henry’ego Machyna.

Oczy Walsinghama rozszerzyły się ledwo zauważalnie.

– Aresztowałeś? To dobrze. Gdzie on jest?

– Pod strażą, w domu w Bishopsgate.

– W piwnicy, mam nadzieję?

– Z nogami zakutymi w kajdany.

Walsingham odłożył pióro i wstał od stołu. Przeszedł przez pokój, zatrzymał się przy misie z wetami, przez chwilę przebierał nad nią palcami, aż w końcu wybrał smakołyk i ugryzł go, wracając do biurka. Pierwszorządnie, myślał. Skuli mu nogi. Crackenthorpe się uczy. Ludzie nie doceniają daru chodzenia.

Zauważył, że jego zwalisty gość patrzy nań łakomym wzrokiem, więc gestem wskazał misę z przysmakami, aby się poczęstował.

– Gdzie był? Jak go znaleźliście?

Crackenthorpe podniósł do ust kandyzowany owoc.

– Obserwowałem dom Machyna przez całą noc, jak kazaliście. – Włożył kąsek do ust i mówił dalej, żując. – Ktoś się w końcu zjawił... bardzo późno... zaczął pukać do drzwi.

– Kto?

– Powiedział, że nazywa się William Harley i jest heroldem.

Twarz Walsinghama rozjaśnił uśmiech.

– No proszę. Owszem, jest heroldem. Wielki Herold Clarenceux we własnej osobie. – Zauważył, że jego rozmówca łypie pożądliwie w stronę misy z łakociami. – Śmiało, sierżancie, bierzcie, ile chcecie. Opowiedzcie mi dokładnie, co zaszło.

Crackenthorpe wziął dwie następne bakalie i żując, kontynuował.

– Odprowadziłem Clarenceux z powrotem do Ludgate. Poprosił strażnika, żeby nas przepuścił. Powiedział, że tak samo uczynił wcześniej, aleja mu nie uwierzyłem. Przeszliśmy przez most, a potem do jego domu...
– Przełknął, nie spuszczać wzroku z Walsinghama, po czym wytarł usta rękawem. – Wszedł do środka bocznymi drzwiami. Czekalem w deszczu jeszcze kwadrans, potem zostawiłem człowieka przed wejściem, a z resztą zacząłem obchodzić dom dookoła, żeby się rozeznać w rozkładzie podwórza na wypadek, gdybym musiał zlecić komuś obserwowanie domu. Boczne wejście było zamknięte, ale jak poświeciłem latarnią, zauważyłem, że drzwi stajni są uchylone. Mój człowiek znalazł Machyna na strychu, na sianie.

Walsingham wziął do ręki kartkę, na której pisał przed przyjściem Crackenthorpe'a. Podszedł do paleniska i puścił ją nad ogniem, aby opadła w płomień niczym liść. Nie miał już wątpliwości, że następną wiadomość musi przekazać Cecilowi ustnie. Pójdzie i spotka się z nim osobiście.

– Jej Wysokość będzie bardzo rada tym nowinom. Zacząłeś już przesłuchiwać Machyna?

– Nie. Ale zostawiłem strażnika przed jego domem.

– A co z domem Clarenceux? Przeszukaliście go?

– Nie, panie Walsingham – odrzekł Crackenthorpe po chwili milczenia. – Uznałem, że powinienem przyjść do was po kolejne instrukcje.

Walsingham patrzył, jak szerniałe skrawki papieru ulatują kominem w górę.

– Trzeba to zrobić – powiedział, odwracając się do sierżanta. – Ale najpierw opowiedz mi wszystko, co wiesz o Clarenceux. Wszystko, co mówił wczoraj w nocy. Chcę znać każde jego słowo.

14

Clarenceux stał w tłumie. Na Little Trinity Lane zebrało się około czterdziestu gapiów, ich oddechy połyskiwały w jaskrawym zimowym słońcu, kiedy szeptali ze sobą niespokojnie. Raz po raz spoglądali na drzwi z czerwonymi krzyżami. Zaraza tego lata zebrała krwawe żniwo, ale ludzie uwierzyli już, że się skończyła. Krzyże zwiastowały nowe nieszczęścia nie tylko dla mieszkańców tego domu, lecz dla wszystkich w okolicy.

Clarenceux spojrział w głąb ulicy. Zauważył w końcu szpiega, który szedł za nimi od Fleet Street – czaił się pięćdziesiąt kroków dalej u wylotu ulicy. Thomas wracał właśnie z łomem zawiniętym w czaprak. W kałużach odbijały się promienie słońca. W niektórych miejscach błoto zostało całkowicie zryte, niczym ziemia wokół koryta.

Herold wziął od Thomasa łom, zważył go w dłoni, obejrzał końcówkę, po czym oddał z powrotem służącemu.

– Zostań w tłumie.

– Wasza miłość, powinniście wiedzieć, że ktoś był w naszej stajni.

Clarenceux zamarł.

– Kto? Może któryś ze stajennych?

– Nie wiem, panie, ale na strychu i pod drabiną ktoś porzrzucał siano.

Wygląda nawet, jakby doszło tam do szarpaniny.

Clarenceux przypomniał sobie, że w nocy widział otwartą furtkę. Spojrzął na wartownika, potem na szpiega i położył dłoń na ramieniu

Thomasa.

– Pokażesz mi to później.

To rzekłszy, podszedł do drzwi Machyna.

Wartownik był młody i chudy, nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Piegowatą twarz porastał rzadki rudy zarost. Zamiast liberii miał hełm, napierśnik i miecz, co odróżniało go od strażników, których zwykle widywało się przed domami dotkniętymi zarazą.

– Dzień dobry – powiedział Clarenceux wesoło. – Jak cię zwą?

Młodzieniec spojrział na niego nieufnie.

– Nazywam się Grey – odrzekł, prostując się, kiedy tłum ucichł.

– Panie Grey – ciągnął Clarenceux donośnym, pewnym głosem – chcę cię o coś zapytać. Jak to możliwe, że człowiek, który jeszcze wczoraj wieczorem cieszył się dobrym zdrowiem, dziś rano został napiętnowany jako ofiara zarazy?

– Dom jest zamknięty z rozkazu konstabla, panie.

– Oczywiście. Ale którego konstabla? I kiedyż to zdążył przysłać kobiety, aby obejrzały chorych?

– Tego nie mogę wam powiedzieć – odparł Grey.

Poprawił dłoń na rękojeści miecza, aby dodać sobie odwagi, i spoglądał to na Clarenceux, to na tłum, który rósł z minuty na minutę.

– W to nie wątpię. I ośmielę się twierdzić, że pan konstabl również nie może tego powiedzieć. Albowiem byłem tu sześć godzin temu i na tych drzwiach nie było żadnego krzyża. Wiedziałaś o tym?

Na twarzy Greya odbił się niepokój.

– Nie, panie.

Clarenceux odwrócił się do tłumy i głosem właściwym swemu urzędowi zawołał:

– Czy ktoś widział, żeby przeszukiwano dzisiaj ten dom? Jego wołanie odbiło się echem od budynków po drugiej stronie ulicy. Otworzyło się kilka okien. Wyrzały z nich twarze, a w tłumie rozeszły się szepty i pomruki, lecz nikt się nie odezwał.

Na Little Trinity Lane zebrało się już ponad pięćdziesięcioro ludzi i cały czas ich przybywało. Clarenceux odwrócił się do młodego strażnika i patrzył na niego bez słowa.

– Czego chcecie, panie?

– Chcę wiedzieć, czy w tym domu ktoś jest.

– Myślę, że jest tam pan Machyn i jego rodzina, panie.

– Myślisz? To znaczy, że tego nie wiesz?

Grey nie odpowiedział.

Clarenceux wciągnął w płuca świeże poranne powietrze i rozejrzał się dookoła.

– Więc ujmę to tak, młody Greyu – zagrzmiał donośnie.

– Ten dom jest pusty. Nie było w nim nikogo w nocy i teraz też nie ma. – Przerwał, obserwując tłum i łowiąc jego emocje.

– Coś ci powiem. Kiedy znakuje się domy dotknięte zarazą... o ile zachodzi konieczność postawienia strażnika, co nie zawsze się zdarza, ma on służyć dwóm celom. Pierwszym jest dopilnowanie, aby mieszkańcy nie opuścili domu. Drugim, aby dostali jedzenie. Przez które okno kazano ci podawać jedzenie Henry'emu Machynowi i jego rodzinie? – Wskazał pierwsze piętro budynku. – Przez tamto? Bo tylko tego nie zabito deskami.

Grey milczał.

– Thomasie – zawołał Clarenceux, nie odrywając wzroku od strażnika.

Stary służący wyszedł z tłumy. Herold wziął od niego łom i zdjął z niego czaprak.

– Ależ, panie! – zawołał Grey, dobywając miecza. – Muszę was ostrzec, byście nie próbowali otwierać...

Clarenceux stanowczym gestem położył dłoń na ramieniu Greya i odepchnął go w tył, aż chłopak się zatoczył.

– Panie, mam rozkaz aresztować każdego, kto usiłuje się skontaktować z mieszkańcami tego domu.

– Każdego? – zapytał Clarenceux, puszczając młodego człowieka. – Każdego? A co z aptekarzem, który przyniesie driakiew i mithridatium? Co z kobietami, które mają pielęgnować chorych w ostatnich chwilach agonii? Co z księdzem? Czyż nie ma w tobie krzty miłosierdzia? Aresztowałbyś tych dobrych bogobojnych ludzi?

– Tak, panie. Aresztowałbym.

– W takim razie mnie również musisz aresztować – oznajmił Clarenceux, podchodząc do Greya tak blisko, że stanął z nim twarzą w twarz. Chwycił go za nadgarstek dłoni dzierżącej miecz. Przez chwilę zamierzał zmusić młodzika do upuszczenia broni, uznał jednak, że to by zanadto uraziło jego dumę. Puścił go ostrożnie. Gdyby chłopak naprawdę chciał spełnić swe groźby, już dawno sięgnąłby po nóż. Był jednak zbyt młody i zbyt przestraszony.

Upewniwszy się, że zamknął strażnikowi usta, podniósł łom i odwrócił się do drzwi. Wsunął narzędzie pod najwyższą deskę i zaczął ją podważać.

– Panie, nakazuję wam przestać – powiedział Grey.

Clarenceux nawet się nie odwrócił.

– Thomasie! – krzyknął, ciągnąc za deskę.

Thomas podszedł do niego, popatrzył wartownikowi w oczy i powoli przyłożył palec do ust. Grey zauważył poraną twarz służącego i żelazną determinację w jego cierpkim uśmiechu.

Pierwsza deska odpadła łatwo i niebawem Clarenceux podważał drugą. Kilka mocnych szarpnięć i wkrótce trzymała się futryny na jednym gwoździu. Niedługo potem wszystkie cztery deski leżały na ulicy, a wejścia do domu broniły już tylko dębowe drzwi.

Clarenceux zamachnął się łomem i wałnął, aż zadudniły.

– Henry Machyn! Pani Machyn! John! – wrzasnął. – Jesteście tam?

Nikt nie odpowiedział.

Jeszcze raz uderzył łomem i znów zawołał po kolei wszystkich mieszkańców domu. Jeszcze więcej okien otworzyło się po obu stronach ulicy.

Przyłożył krawędź łomu do futryny i pociągnął. Drzwi nie ustąpiły. Ciągnął coraz mocniej, wypróbowując coraz większą siłę, zapierając się stopą o drewnianą ościeżnicę. Po kilku sekundach rozległ się głośny trzask i jeden gwoździez wyskoczył, a wyrwana deska wpadła do środka. Szybko wsunął łom w szczelinę i jął naciskać jeszcze mocniej.

Musiał działać szybko. Tłum za jego plecami rósł. Wkrótce ściągnie uwagę straży. Wepchnął końcówkę łomu w otwór i odwiódł deskę na bok.

Zajrzał przez dziurę do mieszkania, lecz poza ciemnym korytarzem niczego nie zobaczył. Przysunął usta do dziury w drzwiach i zawołał:

– Henry! Pani Machyn! Tu William Harley, Wielki Herold Clarenceux. Odpowiedzcie, jeśli jesteście w domu.

Cisza.

Odwrócił się. Thomas stał pomiędzy nim i strażnikiem. Z okien wychylali się ludzie. Schodziło się coraz więcej gapiów. Za plecami gawiedzi stał również szpieg. Łącznie z ludźmi w oknach około setki świadków obserwowało poczynania herolda.

Clarenceux podszedł do wartownika.

– Czy twoim zwierzchnikiem jest Richard Crackenthorpe? Młodziak nie odpowiedział.

– Przekaż mu moje pozdrowienia, panie Grey.

Łagodnym gestem położył dłoń na ramieniu chłopaka, po czym ruszył przed siebie.

15

Minęło południe. Od kilku godzin Clarenceux ślęczał nad kroniką Henry'ego Machyna. Zmęczony położył brodę na dłoniach, łokcie oparł na stole. Godzinę temu Awdrey przyniosła mu piwo, chleb i ser na desce do krojenia, ale ledwie je tknął. Postanowił za wszelką cenę dowiedzieć się, czemu ta księga była dla Machyna cenniejsza niż życie.

Zaczął od początku przewracać karty. Tu i ówdzie jakiś wpis przyciągał jego uwagę. Dwudziestego ósmego kwietnia tysiąc pięćset pięćdziesiątego szóstego roku dwóch mężczyzn zawieziono z Tower na Tyburn i powieszono, zdjęto, poćwiartowano, a ich głowy zawisły na Moście Londyńskim. Następnego dnia zakuto w dyby pewnego rajfura za stręczenie nierządnic terminatorom londyńskich kupców. Uczniowie płacili towarami skradzionymi swym mistrzom. Kolejnego dnia w podobny sposób ukarano za krzywoprzysięstwo niewiastę i mężczyznę, z tą jedną różnicą, że mężczyznę przybito do dybów za uszy. Z kart księgi wyłaniał się Londyn opisany być może bardziej szczegółowo niż w jakiegokolwiek innej kronice. Machyn miał wszelkie prawo być dumny ze swego dzieła. Lecz Clarenceux wiedział, że wszystko to zaledwie zasłona dymna, środek wiodący do celu. Jednak cel pozostawał ukryty.

Jego własne nazwisko pojawiało się w księdze wielokrotnie. W notatce z drugiego grudnia tysiąc pięćset sześćdziesiątego drugiego przeczytał

o pogrzebie swojej siostry i obiedzie, jaki on i jego żona wydali później w swoim domu.

To już rok minął?

Tamtego popołudnia rozmawiał z Machynem kilkakrotnie. Dziwnie było pomyśleć, że starzec skrupulatnie notował wszystko, co się wtedy działo. Nazwisko Clarenceux pojawiło się również w następnym wpisie – o pogrzebie żony sędziego Sądu Apelacyjnego Browne'a. Kilka stron wcześniej znalazł obszerną informację o chrzcinach swojej córki. Przeczytał ją jeszcze raz, tym razem na głos, szukając uzasadnienia dla osobliwej fonetycznej pisowni.

Dwudziestego usmego dnia lipca okszczona została curka Williama Harleya, czyli Wielkiego Herolda Clarenceux w parafi St Bride. Ojcem kszesnym został pan Cordall, pszewodniczocy sodu apelacyjnego i arkiwiasz, rycesz, a matkami kszesnymi Lejdi Bacon, żona lorda stażnika, oraz Lejdi Cecil, żona sir Williama Cecila. Poczym w domu pana Clarenceux odbyła sie najfspanialsza uczta, jako widziałem z wielko opfitosicią jabecznika i hipokrasa, win francuskih, gaskonskih i rejskih, i fszyscy służący takosz ucztkowali w holu przy ruźnorakih potrawah.

Pamiętał ten dzień doskonale. Rzeczywiście było to wielkie wydarzenie, goście biesiadowali w salonie, a służba przy dwóch długich stołach w holu. Spotkał go wielki zaszczyt, że lady Mildred Cecil została matką chrzestną jego młodszej córki. Uważano ją za najmądrzejszą niewiastę w królestwie, a jej mąż, sir William Cecil, był kanclerzem i zaufanym doradcą królowej Elżbiety, a zarazem najpotężniejszą figurą w państwie, pomimo rywalizacji z faworytem królowej, Robertem Dudleyem. Awdrey uznała, że powinni ochrzcić córkę imieniem Mildred, aby w ten sposób uhonorować lady Cecil.

Westchnął, wstał i podszedł do deski z jedzeniem. Chleb zaczynał już wysychać. Zjadł go z kawałkiem pikantnego sera, wpatrując się bezmyślnie w stół.

Przeszukiwanie kroniki zabierze zbyt dużo czasu. Machyn może patrzy już w oczy śmierci. Clarenceux nie ma innego wyboru, jak podążyć za jedyną czytelną wskazówką, jaką zostawił mu Henry.

Znaleźć Lancelota Heatha.

16

Sir William Cecil szedł przez Komnatę Malowideł w pałacu westminsterskim. W półmroku tonęły wspaniałe sceny bitewne ze Starego Testamentu – wyblakłe wspomnienie dawnej świetności. Idąc, przyciskał do piersi szubę, albowiem w pałacu było pusto i zimno. Kiedyś w tej wielkiej sali obradował parlament, ale to było dawno temu.

– Jadłeś już obiad? – zawołał do Francisa Walsinghama, który siedział w drugim końcu komnaty.

Jego głos zadudnił echem. Walsingham szybko podniósł się z ławy.

– Nie, wasza miłość, kiedy pracuję, jadam raczej skromnie.

Cecil przyłożył palec do ust na znak, aby nic więcej nie mówił. Walsinghamowi oczy się zwężyły, lecz nie odezwał się ani słowem. Cecil odczekał, aż Francis się z nim zrówna, i poprowadził go w dół po schodach w kierunku wielkiego dziedzińca.

Słoneczny poranek ustąpił miejsca pochmurnemu popołudniu. Pod nieobecność dworu w pałacu prawie nie widywało się służących. Lekki wiatr chłodził ich twarze.

– Co masz mi do przekazania? – zapytał Cecil, idąc szerokim dziedzińcem.

– Znaleźliśmy Machyna.

Cecil nawet nie zwolnił kroku.

– Powiedział coś?

– Jeszcze nie. Wszystkiemu zaprzecza. Twierdzi, że zna Drapera tylko jako kupca bławatnego.

– Więc co właściwie masz?

Walsingham rozejrzał się i skinął w kierunku okien.

– Ktoś może nas zobaczyć.

Cecil rozumiał jego ostrożność. Mimo chłodu dwa okna pałacu były otwarte.

– Ależ omawiamy wszak tylko twoje instrukcje parlamentarne. Chociaż masz trochę racji.

To rzekłszy, wskazał bramę prowadzącą na ustronniejszy dziedziniec pałacu i ruszył w jej stronę. Niespodziewanie zza chmur wyjrzało słońce, lecz kwadratowy plac tonął w cieniu.

Walsingham odchrząknął.

– Machyna znaleziono w stajni domu w parafii St Bride – powiedział cicho. – Posesja należy do przyjaciela waszej żony, Williama Harleya, herolda Clarenceux. Jeśli pamiętacie, wasza żona i jej siostra zostały matkami chrzestnymi...

– ...jego córki. Rok temu. Dziękuję, Francisie. Kiedy następnym razem zapomnę szczegółów swoich koneksji rodzinnych, poproszę cię, abys pomodlił się w moim imieniu.

– Cecil ruszył wzdłuż muru otaczającego niewielki dziedziniec. Na tę stronę nie wychodziły żadne okna. – To jeszcze nie znaczy, że jest zamieszany w spisek.

– To prawda – zgodził się Walsingham, idąc nieco z tyłu za ramieniem Cecila. – Lecz Clarenceux spotkano pół godziny wcześniej pukającego do drzwi domu Machyna. W środku nocy, pomimo okropnej pogody. Przyszedł tam drugi raz dziś rano. Kiedy znaleźliśmy Machyna, wydałem swojemu człowiekowi rozkaz, aby zamknięto jego dom i postawiono przy nim strażę.

Niestety głupiec wpadł na pomysł, aby zabić mieszkanie deskami i namalować krzyże na znak zarazy.

– Co zrobił Clarenceux?

– Wyłamał drzwi łomem.

Cecil doszedł do końca dziedzińca i się zatrzymał.

– Wszedł do środka?

– Nie, ale otworzył drzwi na tyle szeroko, aby się przekonać, że nikogo nie ma w domu.

Cecil myślał w milczeniu, wpatrując się w bruk pod nogami. Gdyby Clarenceux chronił Machyna, nie potrzebowałby wyważać drzwi, aby się przekonać, czy nie ma go w środku. Wiedziאלby, że jest w jego stajni. A jednak takie sprawy najlepiej zostawić do zbadania Francisowi. On wygrywa wszystkie bitwy... prędzej czy później.

– Rozumiecie chyba, że to bardzo komplikuje sytuację – powiedział Walsingham.

– Nie urodziłem się wczoraj, Francisie.

– Zarówno waszą osobistą sytuację, jak i nasze śledztwo – ciągnął Walsingham. – Istnieje prawdopodobieństwo, że przyjaciel waszej żony jest jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu. To nie jest drobny spisek kilku londyńskich kupców. W tę sprawę są zamieszani ludzie na wysokich stanowiskach, szlachetnie urodzeni.

– W rzeczy samej – zgodził się Cecil. – Nasz pan Clarenceux jest z pewnością inteligentnym człowiekiem. I uczciwym. O ile wiem, nie cieszy się sympatią wśród innych heroldów. Nie lubią go, bo nie daje się przekupić. A także dlatego, że rozumie żołnierzy, ponieważ sam nim kiedyś był. Służył pod komendą świętej pamięci lorda Pageta. Lubię go, gdyż nie znosi egoistycznych karierowiczów, którzy nie chwyciliby za broń

w imieniu królowej, a mimo to domagają się tytułów i herbów, aby się nimi pysznić i wieszać nad bramami ogrodów.

Urwał i przystanął, rozmyślając.

– Gdzie są żona Machyna i jego syn? Czy im również Clarenceux udzielił schronienia?

– John Machyn jest marynarzem. Nie ma go w kraju. W zeszłym tygodniu popłynął do Francji. O żonie Machyna nic nie wiem. Muszę nakazać dokładną rewizję domu Clarenceux.

– Przerwał z wahaniem. – Chciałem się najpierw upewnić, czy nie postawi was w kłopotliwym położeniu, kiedy przyjdzie do was po wstawiennictwo.

Cecil przeszył Walsinghama wzrokiem.

– Wiesz dobrze, że nie musisz przychodzić do mnie po zatwierdzenie rewizji mającej na celu uzyskanie informacji.

– Ale taki człowiek jak Clarenceux...

– Jeśli przyjdzie do mnie po wstawiennictwo i ochronę przed tobą... to nie będzie twoje zmartwienie. Badaj i badaj pilnie. Jeśli twoi ludzie wejdą do jego domu i niczego nie znajdą, to dobrze. Nikomu nie stanie się krzywda. Lecz jeśli ma coś na sumieniu, musimy o tym wiedzieć. Musimy wyrwać ten chwast z korzeniami.

– Lecz wasze osobiste powiązania z tym człowiekiem skłoniły mnie do...

– Osobiste powiązania? – wykrzyknął Cecil i natychmiast zniżył głos, usłyszawszy echo, jakie rozbrzmiało w ogrodzie.

– Jak sądzisz, ilu swoim przyjaciołom pozwoliłbym na zdradę królowej? Uważasz mnie za hipokrytę, który gotów jest przymknąć oko na zdradę stanu, jeśli popełnia ją przyjaciel? Panie Walsingham, sugeruję, abyś w najbliższych dniach starannie przemyślał sobie tę kwestię. Żaden

przyjaciel nie jest dla mnie ważniejszy niż racja stanu. Jeśli twoje stanowisko jest inne, sugeruję, byś dokładnie rozważył, komu zamierzasz być wierny.

Walsingham przełknął ślinę, ale śmiało patrzył Cecilowi w oczy, on zaś kontynuował:

– Pamiętaj, co jest stawką w tej grze, Francisie. Wiem, że czasem masz mnie za głupca, ponieważ nie rozumiem się na twoich niuansach, na twoich subtelnych przebiegłościach. Talent, jaki wykazałeś, śledząc człowieka, który może nas doprowadzić do zdemaskowania trzech następnych zdrajców, podziwiają wszyscy, którzy wiedzą, co uczyniłeś. Przewidujesz ich posunięcia ze zdumiewającą skutecznością. Przejawiasz również niewysłowiony talent do... wywierania nacisku. Niewykluczone, że i w tej sprawie masz rację. Może twoja intuicja, która kazała ci powstrzymać się od interwencji, została natchniona przez boską opatrność, pozwól jednak, że przypomnę ci o jednej rzeczy: twoim obowiązkiem jest zdobywać informacje, ja zaś decyduję, co należy z nimi uczynić w imieniu Jej Królewskiej Mości. Ty wykrywasz spiski, ja je udaremням. To, co robimy, to nie jest gra. Tu chodzi o stabilność okrętu, jakim jest państwo. Nie ma ważniejszej rzeczy niż jego bezpieczeństwo. Kiedy za burtę wypada marynarz, nie ryzykuje się zatopienia statku. Wolę pozwolić, aby utonęło kilku niewinnych ludzi, niż narazić okręt na wywrócenie.

– Z czym się...

– Dość już. Strwoniłeś wystarczająco dużo czasu, przychodząc tu na spotkanie ze mną. Kiedy Clarenceux odkryje, że Machyn zniknął z jego stajni, przestraszy się. Stajenni z pewnością mu powiedzieli, kto zabrał Machyna.

– Machyn był w stajni sam. Widocznie Clarenceux pozwala stajennym spać zimą w domu.

– Tym lepiej.

– Owszem – odparł pokornie skarcony Walsingham.

Cecil wziął głęboki oddech.

– Pamiętaj, Francisie, że na razie wiemy o tym spisku bardzo niewiele, lecz możemy się domyślać, że jest wyjątkowo niebezpieczny. Przypomina wściekłego psa. Kiedy widzisz wściekłego psa, ujadającego i toczącego pianę z pyska, czy czekasz, aż kogoś ugryzie? Nie, zabijasz go na miejscu. Bez chwili namysłu. Rozumiesz mnie?

Walsingham skinął głową.

– Dobrze. Postępuj z założeniem, że Clarenceux jest winny. Ciekawie będzie usłyszeć, co takiego nasz herold ma do powiedzenia na swoją obronę.

17

Clarenceux rozejrzał się po ulicy Skinners Lane. Na zachodzie popołudniowe słońce zabarwiło chmury na różowo i złociście. Nieopodal mężczyzna na drabinie odnawiał szyld z wizerunkiem noża, wiszący nad sklepem wytwórcy sztucców. Gromadka chłopców bawiła się w berka, biegała z jednego końca ulicy na drugi, wykrzykując z radosnym entuzjazmem i raz po raz wybuchając śmiechem. Ze wschodniego końca ulicy nadchodziło troje ludzi. Prowadzili grupę koni jucznych i patrzyli w ziemię, chroniąc oczy przed jaskrawym słonecznym blaskiem. Minęli go i wolno poczłapali dalej z ciężkim bagażem. Wydawało się, nikt nie zwraca na niego uwagi.

Podszedł do dębowych drzwi umocowanych na żelaznych zawiasach, zapukał i cofnął się, czekając, aż ktoś otworzy.

W miejscach, gdzie nie było kałuż, droga tonęła w gęstym błocie. Latem, przy suchej pogodzie, Londyn dręczyła plaga much i zewsząd dochodził smród dołów kloacznych. Późną jesienią i zimą najbardziej dawały się we znaki wszechobecne kałuże; w powietrzu wisiał odór mokrej gliny i łajna.

Drzwi się uchyliły i wyjrzała przez nie kobieta w staromodnym czepku na głowie. Miała około czterdziestu pięciu lat, okrągłą twarz, a na sukience fartuch. Rękawy wisiały luźno, jakby je niedawno podwinęła, piorąc lub sprzątając, a teraz opuściła w pośpiechu, aby otworzyć drzwi.

– Witajcie. Jestem William Harley, Wielki Herold Clarenceux. Chcę się zobaczyć z Lancelotem Heathem w sprawie niecierpiącej zwłoki.

– Nie ma go – odrzekła szybko niewiasta.

Clarenceux zauważył worki pod jej zaczerwienionymi oczami.

– W takim razie czy powiecie mi, kiedy wróci?

– Nie. Wyjechał. W interesach.

– Dobra kobieto, nie lubię się wtrącać w cudze sprawy, lecz mam powody sądzić, że Lancelot Heath, podobnie jak mój przyjaciel Henry Machyn, jest w poważnym niebezpieczeństwie.

Na dźwięk nazwiska Machyna kobieta zaczęła zamykać drzwi.

– Przekażę mu waszą wiadomość, kiedy wróci. A teraz...

– Chwileczkę... –przerwał jej Clarenceux. –Powiedzcie mu, że noszę miano króla Clariance'a z Northumberland. Z opowieści o sir Urrym.

– Powiem mu – odparła szybko. – On wie, gdzie was znaleźć. A teraz idźcie.

To rzekłszy, zamknęła mu drzwi przed nosem.

18

Oczekiwane pukanie rozległo się jeszcze tego samego popołudnia. Clarenceux stał w holu z kupcem bławatnym z prowincjonalnego miasteczka, który chciał zamówić u niego herb. Clarenceux nie był w nastroju do spełniania żądań kapryśnych dorobkiewiczów. Kiedy usłyszał pukanie, skorzystał z okazji, aby otoczyć mężczyznę ramieniem i odprowadzić do drzwi, zapewniając, że rozważy różne pomysły, teraz jednak musi przyjąć innego klienta.

Thomas otworzył drzwi. Kupiec włożył kapelusz i chłodno skinął głową kobiecie czekającej za progiem, ubranej w opończę, z szalem na głowie.

– Kto przyszedł? – zapytał Clarenceux w połowie schodów, rozczarowany, że to nie oczekiwany Lancelot Heath.

Zanim Thomas zdążył odpowiedzieć, niewiasta weszła do środka. Zdjęła z głowy szal, a wtedy na jej ramiona opadły ciemne włosy. Nie był to zwyczajny widok. Zamężne kobiety obowiązywał zwyczaj upinania włosów lub ukrywania ich pod kornetem. Podniosła wzrok na Clarenceux i spojrzała mu prosto w oczy z nieskrywaną determinacją.

– Błagam, panie Clarenceux, zamknijcie szybko drzwi.

– Pani Machyn... tak, oczywiście. Proszę, idźcie od razu na górę. Thomasie, zarygluj drzwi. Weź od pani Machyn kaptur i szal.

Była dużo młodsza od męża, miała niespełna czterdzieści lat i piękne, lecz smutne oczy. Uwagę przykuwał duży pieprzyk nisko na policzku.

Kiedy Clarenceux zobaczył ją po raz pierwszy, uznał to znamię za przykrą skazę, jednak z biegiem lat, kiedy traktował ją z rosnącym afektem – choć zawsze zachowywał należyty dystans – ten pieprzyk zaczął go nawet rozczulać. Absurdalna zdawała się myśl, że taką kobietę mógłby oszpecić drobiazg wielkości jednej trzeciej paznokcia. Nauczył się widzieć w nim coś wręcz przeciwnego niedoskonałości – stygmat osoby wyjątkowej. Kobietę tę zawsze otaczała aura tragizmu. Uśmiechała się trochę smutno, jakby wiedziała, że prawdziwe uroki życia są czymś, czego nigdy nie zasmakuje.

– Słyszałam was wczoraj koło naszego domu – zaczęła.

– Rozmawialiście z sierżantem Crackenthorpe'em. I dzisiaj rano widziałam, jak zerwaliście deski z drzwi.

– To nic takiego, ja tylko...

– Nie, panie Clarenceux, to nie było nic takiego. Kiedy jest się w takiej sytuacji jak my, to błogosławieństwo wiedzieć, że ktoś ma dość serca i życzliwości, żeby otworzyć usta i zapytać: „Co się stało tym ludziom?”. Ale nie przyszedłam tu dziękować. Przyszedłam, aby z wami porozmawiać.

– O Henrym?

Ruszyła w stronę więzowego stołu.

– Wczoraj wieczorem oznajmił mi, że podjął decyzję. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi, ale kazał mi się udać do pani Barker. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

Clarenceux zauważył, że służąca Emily przyniosła drewno do kominka i stanęła przed drzwiami z wahaniem, niepewna, czy może wejść. Gestem dał jej znak, aby nie przeszkadzała.

– Co wiecie o kronice Henry'ego?

– To był jego największy skarb. Nikomu nie pozwolił go dotykać, zabraniał nawet patrzeć na tę księgę. Dlatego tak się martwię. Wczoraj

wieczorem płakał, kiedy się za mną żegnał. Nie przestawał mnie całować, a potem wziął kronikę z takim namaszczeniem, jakby to było Pismo Święte. Popatrzył na nią ze śmiertelną powagą, a potem odwrócił się do mnie i powiedział, żebym odczekała trochę po jego wyjściu, a następnie pobiegła do pani Barker i została u niej. Oczywiście zrobiłam, jak kazał, ale okropnie się martwiłam. Nie mogłam spać. Słyszałam na dworze głosy, jacyś mężczyźni pukali do drzwi i kłócili się. Kiedy dzisiaj o świcie wyszłam na ulicę, zobaczyłam, że na naszych drzwiach namalowali krzyże, jakby w domu panowała zaraza. Byłam zbyt wstrząśnięta i przerażona, żeby coś zrobić. Wbiegłam z powrotem do środka i patrzyłam z piętra, jak wyważaliście drzwi.

– Pani Machyn, czy wiecie, gdzie może być teraz Henry?

– Myślałam, że może przyszedł tutaj.

Clarenceux zerknął w stronę drzwi. W progu zobaczył, jak Emily rozmawia z jego żoną. Zastanawiał się, ile z tej rozmowy usłyszała Awdrey.

– Chodźcie ze mną – powiedział cicho. – Lepiej porozmawiajmy o tym w gabinecie.

Skierował się do głównych schodów, wszedł na górę i otworzył drzwi do izby. Podsunął pani Machyn fotel, po czym ułożył na podłodze kilka ksiąg jedna na drugiej i usiadł na nich. W pokoju panował półmrok, na dworze zapadał wieczór.

– Nie chcę, aby Awdrey się o tym dowiedziała. Słyszała tylko, że wasz mąż przyszedł do mnie wczoraj wieczorem. Prawda jest taka, że zostawił mi swoją kronikę...

– Zostawił ją wam?

– Powiedział także, że zapisał mi ją w testamencie.

– Niemożliwe... Nigdy nie słyszałam, żeby mój mąż spisywał testament.

– Naprawdę?

– Słowo daję.

Clarenceux milczał przez chwilę.

– Teraz rozumiem, czemu zabili wasz dom deskami. Mają nadzieję, że znajdą tam kronikę, a jeśli nie, to przynajmniej wskazówkę, gdzie Henry mógł ją ukryć. Za tym nie stoi Crackenthorpe. On jest tylko narzędziem.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Wiem, że sierżant Crackenthorpe był w nocy w naszym domu, ale kim on jest? Czy wiecie, gdzie jest Henry?

Clarenceux wstał i podszedł do prasy w drugim końcu pokoju. Leżały na niej dwie książki. Odwrócił się z powrotem do pani Machyn.

– Umiecie czytać?

– Trochę. Henry mnie nauczył.

Odłożył na bok Pismo Święte i wziął do ręki kronikę.

– Proszę spojrzeć na ostatni wpis.

Kobieta zaczęła przewracać od tyłu niezapisane karty, aż trafiła na ostatnią notatkę. Pochyliła się niżej.

Clarenceux stał i obserwował ją bez słowa.

Nie poruszyła się. Zastygła w tej samej pozycji, jakby nadal czytała, chociaż herold dobrze wiedział, że już dawno skończyła. Przygryzł wargę. Słyszał, jak łza kapnęła na papier. Wytarła ją ostrożnie brzegiem rękawa.

– To wygląda na jego ostatnie słowa – powiedziała, nie podnosząc głowy.

Clarenceux przypomniał sobie błagalne spojrzenie w dobroduszej twarzy starca, łzy płynące po policzkach na białą brodę. I jego cierpienie.

– Przepraszam – dodała, wycierając dłońmi twarz.

– Nie macie za co przepraszać. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Henry, wy i ja również. Ta księga zawiera jakąś tajemnicę. Kiedy wasz mąż przyszedł do mnie wczoraj wieczorem, powiedział, że poznam tajemnicę kroniki, jeśli będę tego chciał. Podał mi nazwisko malarza Lancelota

Heatha. Byłem u niego dziś rano. Zostawiłem wiadomość u dość nieuprzejmej niewiasty, która otworzyła mi drzwi.

Pani Machyn ostrożnie zamknęła księgę, wzięła ją w obydwie dłonie i podała heroldowi.

– Wiadomo wam, kim są Rycerze Okrągłego Stołu? – spytał.

Kobieta znowu otarła łzy.

– Bohaterami ze starych romansów.

– Henry powiedział, że kiedy zbiorą się Rycerze Okrągłego Stołu, odkryję sposób, jak odczytać księgę. Bardzo wyraźnie podkreślał, że nikt inny, tylko ja mogę poznać ten sekret. – Przerwał. – Myślę, że Rycerze Okrągłego Stołu są katolickim bractwem. Lancelot Heath... Wiecie może, czy Lancelot Heath wyznaje starą religię?

– O tak, bardzo żarliwie. Często do nas przychodzi i nawet klęka w holu i się modli. Pracują razem z Henrym przy wystrojach pogrzebowych. Henry dostarcza czarne tkaniny i przystraja karawan barwami zmarłego. Lancelot maluje herby na drewnie.

– W takim razie pewnie go znam z widzenia. – Clarenceux postukał palcem w księgę. – Czy mówi wam coś imię króla Clariance’a z Northumberland?

Kobieta pokręciła głową.

Otworzył kronikę i znalazł wpis z dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego roku.

– A to?

Podsunał jej księgę przed oczy. Przeczytała notatkę na temat kazania wygłoszonego przez opata Westminsteru pod krzyżem świętego Pawła.

– Nie – odpowiedziała szeptem.

– Henry podał mi tę datę, mówiąc, że to bardzo ważne, abym ją zapamiętał.

Odłożył księgę na półkę. Odwrócił się i spojrzał na kobietę. Ostatnie promienie słońca oświetliły jej twarz. Z ulicy dobiegały odgłosy bawiących się dzieci. Pani Machyn odwzajemniła jego spojrzenie z uśmiechem. Clarenceux z roztargnieniem spuścił wzrok. Czemu akurat ta data? Dlaczego krzyż świętego Pawła? Dlaczego ja? Dlaczego król Clariance?

– Domyślam się, że jest kilku Rycerzy Okrągłego Stołu – powiedziała.

– I można się też domyślać, że wasz mąż wie, kim oni są. Lecz co oznacza ta data? Arturiański król Clariance pojawia się w *Opowieści sir Urry’ego*. Z początku buntował się przeciwko królowi Arturowi, lecz później się doń przyłączył, by walczyć z Sasami. Lecz niewiele ma to wspólnego z czerwcem pięćdziesiątego siódmego i z notatką zawartą w tej kronice. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że data, jaką mi podał Henry, dotyczy opata Westminsteru i że każdy z rycerzy ma taką datę, która łączy go z inną postacią z księgi. A może z jakimiś rzeczami lub miejscami.

Pani Machyn patrzyła na niego z dłońmi opartymi na kolanach. Wzruszyła tylko ramionami.

– Myślę, że przesłanie zawarte w kronice stanie się dla nas jasne, kiedy poznamy wszystkich Rycerzy, tak jak powiedział Henry. Tylko że John Howman, ostatni opat Westminsteru, od trzech lat siedzi w Tower. Jest w Anglii uważany za czołowego katolika i nadal nie zamierza się wyrzec dawnej wiary. Nie mam więc pojęcia, jak moglibyśmy się z nim skontaktować, zwłaszcza w tajemnicy. Nie wiemy, czego ani kogo szukamy. Nie znam nawet liczby Rycerzy Okrągłego Stołu. Wiem tylko, że losy dwóch królowych zależą od tego, czy uda się bezpiecznie ukryć tę księgę.

– Na tych wyspach są tylko dwie królowe.

– To prawda. A wasz mąż jest katolikiem, jak królowa Szkocji. Mimo to nie mam pojęcia, co takiego mógłby wiedzieć Henry, co wpłynęłoby na los

jednej z nich, nie mówiąc o losach obydwu...

Clarenceux urwał.

Nie „losy”, lecz „los”, przypomniał sobie. Henry Machyn zdecydowanie powiedział „los dwóch królowych”. Dwie królowe, jeden los. O Chryste, Boże słodki, litościwy... czy to znaczy to, co mi się wydaje? Że losy obydwu połączą się w jedno przeznaczenie? I że możemy mieć na nie wpływ?

– Co się stało? – spytała pani Machyn.

Clarenceux podniósł na nią wzrok.

– W wypadku śmierci królowej Elżbiety, Maria Szkocka zostałaby królową Anglii, czyli władczynią dwóch krajów. Rozumiecie teraz: dwie królowe, jeden los. Na ostatnim posiedzeniu parlamentu Elżbieta odmówiła wyznaczenia następcy. Jedyną kontrkandydatką dla królowej Szkotów jest jej kuzynka, lady Catherine Grey, młodsza siostra lady Jane, lecz to możliwość mało prawdopodobna, zwłaszcza po tym, jak królowa dowiedziała się o potajemnym małżeństwie lady Catherine. Wpadła we wściekłość i skazała jej męża na wygnanie. Elżbieta nie ma żadnego uznanego następcy, który choć w połowie cieszyłby się takim poparciem jak Maria Szkocka, darzona sympatią przez wszystkich wyznawców dawnej religii. Jeśli Elżbieta umrze, nie wyznaczysz następcy, Anglia znów stanie się katolicka.

Ogarnęły go złe przeczucia. Uprzytomnił sobie, że sprawy, z którymi ma do czynienia, są tyleż doniosłe, co złowróźbne. Już kiedyś czuł się podobnie, w czerwcu tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego, kiedy stał w wielkim holu w Rheims, w otoczeniu francuskich dygnitarzy i swym najdonośniejszym i najdumniejszym głosem oświadczał, że Anglia i Francja są od tej pory w stanie wojny. Wtenczas jednak był tylko mówcą, posłańcem. Teraz nikt go nie poinstruował, co ma mówić i robić.

Pani Machyn popatrzyła na niego zdziwiona.

– W wypadku śmierci królowej?

– Wiem, że to trochę zbyt dalekosiężne wnioski, ale nie można wykluczyć, że Henry...

Urwał. Spojrzał w stronę gasnącego światła dnia za oknem i poczuł przejmująco zimny wiatr. Niebawem trzeba będzie zamknąć okiennice.

– Wczoraj w nocy Crackenthorpe powiedział, że prowadzi śledztwo w sprawie zdrady stanu. Podejrzewam, że ta informacja wymknęła mu się mimowolnie, że była to niezamierzona szczerłość. Wątpię, żeby ośmielił się zamknąć wasz dom, gdyby nie działał z upoważnienia wysoko postawionej osoby. Wejść w kompetencje konstabla i oznakować dom jako dotknięty zarazą... ryzykował, że wywoła panikę.

Rebecca Machyn zamknęła oczy.

– Och, Henry – jęknęła. – W cożeś ty się wdał? W co nas wplątałeś? – Wstała i podeszła do kominka. – Nie wiem, co zamierzał. I tak naprawdę nie chcę wiedzieć. To nie moja sprawa. Chcę się tylko czuć bezpieczna i chcę, aby mój mąż był bezpieczny.

Crackenthorpe na pewno już wie, że wyważyłem drzwi do domu Machynów, pomyślał Clarenceux. Ktokolwiek wydaje mu rozkazy, bez wątpienia usłyszał już o naszej nocnej awanturze. Zostałem w to wciągnięty, chociaż nie rozumiem, co się dzieje.

Zerknął na panią Machyn.

– Ta księga zawiera coś, co może zostać uznane za zdradę stanu. Fakt, że nie mamy pojęcia, co to takiego, nie gwarantuje nam bezpieczeństwa.

– Ale powiedzmy, że znajdą księgę i będzie nas przesłuchiwał jakiś sędzia. Wszak możemy zaprzeczyć, że wiemy coś na temat tego, co tam zostało zapisane? Cokolwiek Henry tam zanotował, mógł po prostu się pomylić.

– Pomylić? Pani Machyn, rozmawiamy o płatnych zabójcach królowej, o ludziach, którzy walczyli w wojnach i nigdy nie nauczyli się żyć w pokoju. Sierżant Crackenthorpe albo ktoś, kto wydaje mu rozkazy, uważa, że treść kroniki przedstawia zagrożenie dla królowej. Henry przechowywał księgę w tajemnicy. Zgodnie z waszymi słowami nigdy nie pozwalał nikomu jej nawet dotknąć.

– Chcecie powiedzieć, że Henry planował zamach na życie królowej? Ależ to śmiechu warte. Jest tylko biednym kupcem i zakrystianem. I ma sześćdziesiąt sześć lat.

Clarenceux wstał i zaczął się przechadzać, pocierając czoło, aby zmusić się do myślenia.

– Crackenthorpe wie, że księga zawiera niebezpieczne informacje. Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, domyśli się, że jestem powiązany z waszym mężem. Przyjdzie tu, nie ma co do tego wątpliwości. Przetrząśnie dom, szukając Henry’ego, kroniki, a zapewne także was.

Podniósł wzrok. Wkrótce się ściemni, pomyślał. Niebawem dzwony ogłoszą koniec dnia i zamknięcie bram miejskich. Ale dom Machynów jest obserwowany, ta kobieta nie może tam wrócić.

Mój dom zresztą też pewnie mają na oku.

Podszedł do okna. Zawahał się, lecz po chwili wyjrzał na dwór. W blednym świetle nie zauważył nikogo, kto kręciłby się beczynnym po ulicy lub zachowywał podejrzenie.

Ale to o niczym nie świadczy. Crackenthorpe myśli jak żołnierz, przyjdzie w nocy, żeby mnie zaskoczyć. Będzie miał straż miejską na rozkazy.

– Pani Machyn, proszę mnie posłuchać – rzekł, odwracając się od okna. – To bardzo ważne. Mamy kronikę. Ktokolwiek spróbuje udaremnić spis, nie ma pojęcia, ile wiemy. Nawet jeśli zdecydujemy się oddać księgę, to

niczego nie zmieni, bo nikt nam nie uwierzy, że jej nie czytaliśmy. Moje nazwisko pojawia się co kilka stron, nie przekonam ich o swojej niewinności. Jeśli natomiast zdołamy się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, zdobędziemy argument przetargowy. Mam wysoko postawionych przyjaciół, których mogę poprosić o protekcję.

– A co z moim mężem?

Clarenceux wziął głęboki oddech.

– Henry jest w wielkim niebezpieczeństwie. Póki żyje, przedstawia w ich oczach zagrożenie. Nie uratujemy go, oddając księgę.

– Więc co poczniemy?

Herold pokręcił głową.

– Miałem nadzieję, że zjawi się u mnie Lancelot Heath albo przynajmniej przyśle wiadomość, ale im dłużej o tym myślę...

Zerknął przez okno. W gęstniejącym mroku ledwie widział jej twarz.

– Tak?

– To tylko kwestia czasu. Kiedy nas znajdą, kiedy znajdą księgę... na cóż, myślę, że nie wywinę się z tej kabały tylko z uszami przybitymi do dybów.

– Czy nie możemy jej po prostu ukryć?

– Musimy opuścić ten dom. I wynieść kronikę.

– Ale jeśli jej nie znajdą, skąd będą wiedzieć, że ją mieliście?

Clarenceux nie odpowiedział. Podszedł do prasy i wziął wolumin do ręki.

– Crackenthorpe jest sierżantem gwardii królewskiej, żołnierzem i zabójcą. Jeśli jego polityczni mocodawcy chcą poderżnąć komuś gardło, to wysyłają właśnie jego. Jeśli rozkażą mu odnaleźć księgę, uczyni to choćby po trupach. Byłem głupcem. Nie powinienem był przyjmować kroniki pod swój dach. Nie powinienem był chodzić w nocy do waszego domu. Ale...

Nagle w całym budynku zadudniło głośne pukanie do drzwi.

Clarenceux spojrział na panią Machyn. Wiedział, że myśli o tym samym co on. To mogą być ich ostatnie chwile wolności.

– Co teraz? – spytała szeptem.

– Może to Lancelot Heath – odrzekł.

Odwrócił się do okna i wyjrzał na dół. Chociaż piętro domu wystawało nad ulicę, zobaczył plecy dwóch mężczyzn stojących przed drzwiami.

– Boże przenajświętszy, to oni. Są uzbrojeni.

– Więc musimy ukryć księgę tutaj – powiedziała pani Machyn.

Clarenceux nie zwracał uwagi na jej słowa.

– Idźcie na dół. Powiedzcie mojemu służącemu Thomasowi, żeby nie otwierał od razu. Niech odczeka, niech się nie odzywa, niech mi da kilka minut.

Pukanie się powtórzyło głośniejsze i bardziej natarczywe.

Bez dalszych zbędnych dyskusji Clarenceux wsunął kronikę pod pachę i ruszył za Rebeccą na korytarz. Zbiegł za nią na pierwsze piętro, przeszedł przez hol, szybko pchnął drzwi w głębi i zszedł na dół tylnymi schodami. Z kuchni na końcu korytarza sączyło się trochę światła. Otworzył drzwi do spiżarni. W środku było całkiem ciemno. Spowił go ostry zapach piwa. Wymacał pierwszy z brzegu antałek i położył na nim księgę. Potem podszedł do dużej beczki z winem, stojącej w najgłębszym kącie. Objął ją i na przemian to przechylając, to przesuwając na boki, przyciągnął do siebie.

Znowu usłyszał pukanie dochodzące od frontu budynku.

Uklęknął i zaczął po omacku szukać obluzowanej deski w podłodze. Nie mógł jej znaleźć. Zaczęła go ogarniać panika, przestał szukać i wrócił do antałka, na którym zostawił kronikę. Wziął ją do ręki i znieruchomiał. Jeśli Crackenthorpe zabije deskami mój dom i oznakuje go czerwonymi

krzyżami, pozostanie tylko kwestią czasu, kiedy znajdzie księgę. Musi być jakieś wyjście, jakiś subtelniejszy sposób.

Lecz było już za późno. Usłyszał odciąganie rygla w drzwiach wejściowych. A potem kroki. Zaklął i wszedł do kuchni. Chłopak kuchenny, Will Terry, cioteczny wnuczek Thomasa, podpalał właśnie świeczki z knotem z sitowia. Clarenceux wrzucił księgę do otwartego worka z owsem i zagrzebał w ziarnie na samym dnie. Skończywszy, odwrócił się do chłopca, który stał i przyglądał mu się bez ruchu.

– Will, to bardzo ważne – powiedział pospiesznie. – Nikt nie może się dowiedzieć, że ona tam jest, rozumiesz mnie?

Jasnowłosy chłopak spłoszony skinął głową i patrzył, jak Clarenceux wybiega z kuchni i przemierza korytarz. To była głupota. Malec ma dopiero jedenaście lat. Oby wykazał dość rozumu, by zwierzyć się Thomasowi i zapytać go o radę.

Wbiegł tylnymi schodami i wszedł do holu. Awdrey stała tam z panią Machyn, obejmowały się, aby dodać sobie otuchy. W mieście rozdzwoniły się dzwony. Wkrótce zamkną bramy.

– Dostałeś wezwanie – poinformowała zaniepokojona Awdrey, podchodząc do niego szybko. – Niejaki pan Walsingham chce się z tobą widzieć.

– Kiedy? – spytał Clarenceux, przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą.

Wtedy usłyszał na schodach wejściowych odgłos wielu kroków.

Spojrzał na panią Machyn i wskazując na górę, zaczął bezgłośnie wypowiadać słowa „ukryjcie się”, lecz żona Henry’ego wyczytała jego intencję w spojrzeniu i błyskawicznie odwróciła się w stronę schodów prowadzących do jego gabinetu.

Chwilę później do holu wkroczył ciemnowłosy mężczyzna z długą blizną z prawej strony twarzy. Rozejrzał się po drewnianych ścianach, po obrazach i tynkowanym suficie. Nieco w tyle towarzyszyło mu trzech uzbrojonych ludzi. W pierwszej chwili Clarenceux go nie rozpoznał, lecz kiedy nowo przybyły się odezwał, herold zorientował się natychmiast, kto zjawił się w jego domu.

– Clarenceux – powiedział Crackenthorpe – pójdziesz ze mną.

– Dokąd? Z jakiej przyczyny?

– Do domu Francisa Walsinghama, głównego doradcy kanclerza Jej Królewskiej Mości, członka Parlamentu z Lyme Regis.

– Protestuję. Czemu miałbym z wami iść?

– Ponieważ pan Walsingham chciałby ci zadać kilka pytań. Jeśli odmówisz, aresztuję cię w imieniu Jej Królewskiej Mości. Wtedy zaprowadzę cię do pana Walsinghama w kajdanach.

Clarenceux patrzył to na Crackenthorpe'a, to na pozostałych mężczyzn. Jeden był bardzo wysoki, brązowe włosy zwisały mu niczym strąki, a wyraz jego twarzy przypominał tępego psa. Drugi, wymuskany i niski, podobny do wydry, wyglądał na kogoś, kto szybciej działa, aniżeli myśli. Trzeci, średniego wzrostu, miał wąską twarz z kozią bródką i bezlitosne spojrzenie. Wszyscy czterej patrzyli na niego bez słowa. Ucieczka nie wchodziła w grę.

– Wybór należy do ciebie, Clarenceux.

Na górze zaczęła płakać jego młodsza córka, Mildred. Odwrócił się do żony i zobaczył jej szkliste oczy. On sam ze zdenerwowania niemal odchodził od zmysłów, zbyt się niepokoił, żeby czuć smutek. Podszedł do niej, położył dłonie na jej policzkach i kciukami otarł łzy. Płacz córki i myśl o rozstaniu rozdarły mu serce. Czas płynął tak wolno, a zostało go tak mało.

– Panie Clarenceux, mówiłem...

– Cierpliwości, na litość boską!

Wziął głęboki oddech i popatrzył w błękitne oczy swojej żony. Potem przemówił spokojniejszym głosem, ale nie tak cichym, żeby go nie słyszano.

– Pójdę z tymi mężczyznami, kochanie. Jeśli nie wrócę do rana, wyślij wiadomość do naszych przyjaciół i poinformuj ich, co się stało. Powiedz im, że zostałem aresztowany przez sierżanta Richarda Crackenthorpe'a z rozkazu niejakiego pana Walsinghama, chociaż nie przedstawiono mi żadnego zarzutu ani dokumentu. Poproś, aby natychmiast interweniowali w sprawie najścia wbrew zasadom Wielkiej Karty Swobód, w sprzeczności z powszechnie panującym prawem. – Odwrócił się do Crackenthorpe'a. – Nawet jeśli rzekomo to z woli królowej.

19

Rebecca siedziała zgarbiona na fotelu w gabinecie Clarenceux z dłońmi na kolanach. Było już prawie całkiem ciemno. Wytarła oczy. Była rozdygotana, ścisnęła ją w żołądku. Wzięła głęboki oddech, potem jeszcze kilka. Nie mogła zapanować nad drżącymi rękami.

Co z nami będzie?

Rozejrzała się po ciemnym pokoju. Pod ścianą zobaczyła prasę do książek. Jeszcze niedawno, kiedy do pokoju wpadało więcej światła, te książki wydawały się naturalną częścią świata Clarenceux, symbolem jego profesji; podnosiły na duchu i kołysły. Teraz nagle zostały w ciemności, porzucone i bezużyteczne. Zupełnie jakby pan Clarenceux już był martwy, niczym nieprzeczytana księga. Henry też umarł. Obydwu zabrał ten sierżant Crackenthorpe. Jakże go nienawidziła, całego, od obcasów skórzanych butów, aż po bliznę nad okiem. Nienawidziła samej myśli o nim. Jego nazwisko brzmiało jak trzask patyka łamanego stopą. Chętnie jego by tak strzaskała.

Usłyszała na schodach kroki. O Boże święty, czy teraz idą przeszukać dom? Na odgłos trzeszczących desek przeszły ją ciarki, zakręciło jej się w głowie. Miała ochotę zerwać się i zacząć krzyczeć, żeby ta ciemność odeszła, żeby wrócił jej mąż, żeby pan Clarenceux wszedł do pokoju i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

– Pani Machyn – szepnął kobiecie głos.

Chciała odpowiedzieć, ale kiedy otworzyła usta, z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Ta niemożność wydobywania z siebie choćby jednej głoski jeszcze bardziej pogrążyła ją w rozpacz.

– Pani Machyn?

Zobaczyła migotanie świecy.

Do pokoju weszła Awdrey. Postawiła świecę na stole i położyła Rebecce dłoń na ramieniu.

– Czy... Mildred zasnęła? – spytała Rebecca, ocierając oczy i uspokajając się powoli.

– Tak. Annie też się kładzie. Niania się nią zajmuje.

Rebecca wzięła się w garść.

– No to płyniemy teraz w tej samej łodzi bez sterów, wy i ja. Obu naszych mężów zabrał sierżant Crackenthorpe.

Awdrey obracała na palcu rubinowy pierścień.

– To prawda, znalazłyśmy się w tej samej łodzi – zgodziła się po chwili milczenia.

– Wiecie, że oni to zrobią dzisiaj? – spytała Rebecca, odgarniając włosy z twarzy. – Mówię o rewizji.

– Rewizji?

– Znajdą księgę.

Awdrey wzięła świecę i przysunęła ją do zapłakanej twarzy Rebekki.

– Jaką księgę?

Rebecca spojrzała na nią zdumiona. A potem sobie przypomniała. Clarenceux powiedział, że nie chce, aby jego żona się o tym wszystkim dowiedziała. Popatrzyła na przestraszoną Awdrey. Potem zerknęła przelotnie na płomień i zamknęła oczy.

– Więc naprawdę o niczym nie wiecie?

– Nie. Czemu mają przeszukiwać nasz dom? Niczego ciekawego tu nie znajdą.

– To nieprawda.

– Co to znaczy? Czemu tak uważacie?

– Wiecie, że mój mąż był tutaj wczoraj w nocy?

– Tak, oczywiście. Thomas mi powiedział. I William.

– A czy wiecie, po co tu przyszedł?

– Ponieważ... – Urwała i próbowała sobie przypomnieć.

– William powiedział, że pani mąż jest w niebezpieczeństwie. Bał się, że zostanie dzisiaj zamordowany.

Rebecca nie spodziewała się, że to brutalne przypomnienie prawdy tak nią wstrząśnie. Spuściła wzrok. Próbowała wziąć się w garść.

– Wybaczcie... nie chciałam...

– To nic, macie rację. – Rebecca pokręciła głową. – Tylko że mój mąż nie przyszedł tu z tego powodu.

Awdrey się nie poruszyła. Czuła pustkę, jakby została odsunięta na bok.

– Więc czemu?

Przez chwilę obie kobiety patrzyły sobie w oczy.

– Jest pewna księga – powiedziała Rebecca, prawie siłą wydobywając z siebie słowa. – Henry pisał ją przez wiele lat. Zawiera jakąś tajemnicę. Wczorajszej nocy w tę okropną burzę pożegnał się ze mną tak, jakbyśmy mieli się już nigdy nie zobaczyć, a potem przyniósł ją tutaj. Dał ją waszemu mężowi.

– Co to za księga?

– Kronika.

Awdrey westchnęła.

– Musicie ją stąd zabrać – oświadczyła.

Odeszła ze świecą kilka kroków i Rebecca została w cieniu.

– To nie będzie łatwe.

– Więc ją spalimy – odrzekła Awdrey, zerkając na wystygłe palenisko.

– A wiecie, gdzie ona jest?

– Powiemy, że ją spaliłyśmy – powiedziała Awdrey po chwili wahania. –

Wtedy uznają, że nic o niej nie wiemy.

Rebecca pokręciła głową.

– Przyjdą i przeszukają dom od dachu aż po piwnice. Przewrócą go do góry nogami. A kiedy znajdą księgę, bo na pewno ją znajdą, potraktują wasze kłamstwo jako współudział. O ile wiem, pani Harley, to wystarczy, aby wysłać waszego męża na szubienicę. Pan Clarenceux mi wszystko wyjaśnił – ciągnęła. – Spalenie księgi niczego nie rozwiąże. Nie uwierzą nam, że jej nie przeczytaliśmy i nie poznaliśmy jej sekretu. Tak więc... macie rację, musimy ją jak najszybciej znaleźć i potajemnie wynieść z domu.

Awdrey skinęła głową. Uniosła świecę i rozejrzała się po pokoju.

– Pewnie jest gdzieś tutaj. William trzyma wszystkie księgi w swoim gabinecie.

Rebecca spojrzała na ciemne wejście do pokoju.

Biedaczka. Nie zasłużyła sobie na to. Henry ściągnął na nią nieszczęście tylko dlatego, że ufał jej mężowi. A ona nie ma pojęcia, co się dzieje w jej własnym domu. Trzeba coś zrobić, a skoro pana Clarenceux aresztowano, mój mąż zniknął, a ta dumna kobieta jest kompletnie zagubiona, muszę wziąć sprawy w swoje ręce.

20

Kiedy Clarenceux doszedł do domu Walsinghama, było już ciemno. Dwóch strażników niosło płonące pochodnie. Poza trzema mężczyznami, którzy towarzyszyli Crackenthorpe'owi podczas aresztowania, na zewnątrz czekało jeszcze dwóch zbrojnych. Gdy prowadzili go ulicami, otaczała go cała szóstka, ale przed drzwiami rezydencji Walsinghama cofnęli się i do środka wprowadził go tylko Crackenthorpe.

Wielka sala na piętrze wyłożona była egzotycznym drewnem sprowadzanym z zamorskich krajów. Sufit zdobiły wymyślne gipsowe wzory. Podłogi z dębowych desek niczym nie przykryto. W komnacie stało kilkanaście srebrnych lichtarzy, w których płonęły woskowe świece. Świadczyły o wytworności, a w tych okolicznościach symbolizowały władzę. W sali panował pedantyczny porządek, nawet masywny dębowy stół starannie uprzątnięto. Przy brzegu w równej linii poukładano kilkanaście dokumentów. Widok ten jaskrawo kontrastował z zatłoczonym gabinetem Clarenceux, z jego biurkiem zarzuconym księgami i papierami. Herold czekał, drapiąc się prawym kciukiem w lewą dłoń.

Niepokój. Jak dobrze go znam. Przed zebranymi ludźmi, gdy czekam na moment, w którym przemówię. Lęk, aby się nie pomylić. Świadomość, że tak łatwo mogę okryć się hańbą, jeśli powiem coś niewłaściwego w sprawie międzynarodowej wagi, w obecności ważnego księcia albo kanclerza. Należy przygotować się do wygłoszenia tego, co trzeba, a jednocześnie

zachowywać się naturalnie. A nade wszystko myśleć i nie dać się obezwładnić lękowi. Jeśli mam zachować nad sobą kontrolę, muszę pamiętać, kim jestem.

Słyszał, jak Crackenthorpe rozmawia z kimś półgłosem przed drzwiami. Tymczasem do sali wszedł młody chłopiec służebny, żeby podłożyć polan do kominka. Spojrzał na stół i zauważył jakiś okruch, który wymagał uprzątnięcia. Zgarnął go szybko na dłoń i wrzucił do ognia. Zanim wyszedł, zamknął w sali wewnętrzne okiennice. Zerknął ukradkiem na Clarenceux, po czym bezgłośnie opuścił pokój.

Chwilę później Clarenceux zrozumiał, czemu chłopiec spoglądał ukradkowo w jego stronę. W komnacie był poza nim ktoś jeszcze. Za jego plecami.

Drzwi się zamknęły i szczerknął zamek. Clarenceux odwrócił się i zobaczył mężczyznę w czarnej szacie i dublecie z kluczem w dłoni. Był prawie stopę niższy od niego. Ich spojrzenia się spotkały. Potem tamten się odwrócił i włożył klucz do niewielkiej sakiewki u pasa.

– Czy to wy jesteście Francisem Walsinghamem?

– Tak – odrzekł mężczyzna, idąc powoli przez pokój i mierząc herolda wzrokiem.

Clarenceux nie spuszczał go z oka.

– Coście uczynili z Henrym Machynem?

– Dziękuję, panie Harley, ale to ja będę zadawał pytania.

Walsingham przystanął, po czym podszedł do kredensu i wziął do ręki srebrną tacę ze smakołykami. Poczęstował herolda. Clarenceux nawet nie pokręcił głową, aby odmówić.

– Czy rozumiecie, czemu was tu sprowadzono?

Odłożył tacę i gryząc przysmak, okrążył stół.

Clarenceux nie odpowiedział. Obserwował, jak jego rozmówca usiłuje wydłubać jedzenie, które mu utkwilo między zębami. Wykrzywił szczękę i poruszał językiem w ustach, dopóki nie udało mu się pozbyć uporczywego kęsa.

– Zakładam, że wasze milczenie oznacza w pewnej mierze odpowiedź twierdzącą.

– Zakładajcie sobie, co wam się podoba.

Clarenceux stał nieruchomo, wysoki i wyprostowany, tymczasem Walsingham pochylał się nad stołem, oparty kłykciami o blat.

– Jesteście tu, ponieważ znaleziono was pod domem Henry'ego Machyna w nocy, kiedy zniknął.

– Uważacie, że mam coś wspólnego z jego zniknięciem?

Walsingham pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie.

– Oczywiście, ponieważ aresztowano go z waszego rozkazu. Co z nim zrobiliście, wy i ten zbir Crackenthorpe?

Walsingham podszedł do ściany i uruchomił niewidoczny mechanizm. Fragment boazerii odsłonił ukrytą w ścianie wnękę z winami. Wziął dwa gładkie srebrne kielichy i niską pękatą flaszkę. Postawił naczynia na stole, napełnił je czerwonym trunkiem i podniósł jedno w kierunku Clarenceux.

Herold nawet nie drgnął.

Po kilku sekundach Walsingham cofnął dłoń i odstawił wino na stół.

– Kto powiedział, że Henry Machyn jest w moich rękach? Macie na to dowód?

– Brak dowodu nie wystarczy, aby rozwiązać podejrzenia.

Walsingham upił łyk wina, nie spuszczając wzroku z Clarenceux.

– Dobrze. Bądźcie podejrzliwi. Nie na wiele to się wam zda.

– Panie Walsingham – powiedział Clarenceux, czując wzbierający w nim gniew. – Zostałem aresztowany i sprowadzony tu wbrew własnej woli. Uwięzienie człowieka bez powodu jest sprzeczne z Wielką Kartą Swobód. Jestem urzędnikiem Jej Królewskiej Mości. Nie macie prawa...

Walsingham podniósł dłoń.

– Chwileczkę, panie Harley. Nie aresztowałem was. Uczynił to sierżant Crackenthorpe. On również służy Jej Królewskiej Mości. Jeśli chcecie złożyć skargę, musicie złożyć wniosek do Ławy Królewskiej.

– Do diabła z Ławą Królewską! O co jestem oskarżony?

– Powiedzcie, jakie są wasze winy, to... – Walsingham urwał raptownie i uśmiechnął się, uprzytomniwszy sobie ironię tego, co zamierzał powiedzieć. – Nie, raczej: powiedzcie, jakie są wasze winy, a wtedy nie zostaniecie oskarżeni. Bardziej mnie interesuje to, co wiecie, niż to, czy zostaniecie ukarani.

Clarenceux wpił wzrok w irytującego człowieka.

– Nierozsądnie jest ze mną igrać. Żądam natychmiastowego uwolnienia. Lub przedstawienia mi dowodów winy.

Walsingham podszedł doń i spojrzał mu w oczy.

– „Nierozsądnie”? A któż to, jeśli wolno spytać, jest waszym protektorem? Jeśli nie trup?

Clarenceux usiłował pojąć, do czego Walsingham zmierza. Według jego rozeznania postanowił właśnie obalić prawa tej ziemi, które obowiązywały od trzystu lat albo i dłużej, kierując się tylko i wyłącznie własnym widzimisię.

– Jak zauważyliście, panie Harley, mam królewskich gwardzistów na skinienie ręki. Uważacie, że nie wiem, co jest rozsądne? Nie domyślacie się, że ja również mam swego mecenasa i protektora?

Clarenceux przygryzł wargę. Ból pomógł mu się skupić. Myśl i nie daj się obezwładnić lękowi.

– Zastanawiacie się teraz, kim jest mój protektor? – ciągnął Walsingham.
– Myślicie sobie: kto stoi za Francisem Walsinghamem? Czy człowiek ten jest potężniejszy od mojego mecenasa? Tak właśnie sobie myślicie, prawda, panie Harley? I cóż, do jakiego wniosku doszliście?

Clarenceux już zrozumiał, dokąd to wszystko zmierza.

– Pytacie siebie, czy to ktoś, komu królowa chętnie nadstawia ucha? – Walsingham prawie szydził. – Może Dudley, myślicie sobie. Może. Niewielu jest bardziej lojalnych mecenasów niż bohater protestanckiej Anglii, choć wielu jest poczciwszych ludzi. A co z dostojnikiem, który jest niewątpliwie równie potężny, a zarazem poczciwy? Co z kanclerzem Jej Królewskiej Mości, sir Williamem Cecilem?

Walsingham otarł twarz rękawem.

– A jeśli nie jesteście głupcem, zastanawiacie się już: a co, jeśli protektor Walsinghama jest zarazem moim? Tym samym, którego żona i szwagierka uczestniczyły w chrzcinach mojej córki w lipcu przeszłego roku?

Clarenceux poczuł, jakby ziemia usuwała mu się spod stóp. Lina, której się trzymał, właśnie pękła. Słowo „zdrada” wpadło mu do głowy i utkwilo niczym drzazga. Zdrada Cecila. Zastawiono na niego pułapkę, a on dał się złapać, ponieważ nie miał pojęcia o jej istnieniu.

– Widzicie, panie Harley, wiedza jest potężną bronią. Przyjaźń jeszcze potężniejszą. Lecz jeśli macie jedno i drugie, jesteście właściwie niezwyciężeni.

Dopił resztę wina.

Clarenceux uprzytomnił sobie teraz, jak bardzo polegał na Cecilu w kwestii swego bezpieczeństwa, jak bardzo liczył na jego pomoc. Myśl

o jego przyjaźni, chociaż nigdy niewystawionej na próbę, chroniła go dotąd przed najgorszymi obawami. Nagle ta opoka legła w gruzach.

Walsingham ma rację. Jeśli obaj będziemy potrzebować pomocy Cecila, którego z nas wybierze? Nie może wybrać obydwu. Jeśli Walsingham cieszy się poparciem kanclerza w takim stopniu, jaki sugeruje, jestem nie tylko osamotniony, ale i stracony.

– Powiedzcie mi, panie Harley – zaczął Walsingham – czy kiedykolwiek...

– Clarenceux! Jestem Clarenceux, na miłość boską! – warknął.

– Panie Harley, pan najwyraźniej...

– Proszę mnie tytułować Clarenceux! – ryknął.

Jego głos zadudnił w komnacie.

– Nie zwracam uwagi na heraldyczne tytuły, panie Harley, szczególnie jeśli powołują się na nie zdrajcy, którzy usiłują sobie dodać powagi.

– Nie macie prawa nazywać mnie... – Urwał, zbyt rozgniewany, by wytaczać logiczne argumenty. – Nadal mam wysoko postawionych przyjaciół – ostrzegł zamiast tego.

– Nie tak wielu jak królowa.

– Ale za to mniej wrogów.

Walsingham pokręcił głową.

– Nie liczylibym na to na waszym miejscu. Nawet nie wiecie, kim są wasi wrogowie.

Clarenceux oddychał głęboko. Kiedy tu szedł, zastanawiał się, czemu zabierają go do domu Walsinghama zamiast do jakiegoś lochu na przesłuchanie i tortury. Teraz zrozumiał. Groźby są skuteczniejsze, kiedy nie ograniczają się do fizycznego bólu. A to jeszcze nie koniec. Jedynym dobrym znakiem był fakt, że Walsingham dużo mówił.

– Chyba jednak napiję się wina – powiedział, czując, jak pot występuje mu na czoło.

Walsingham się zawahał. Odstawił swój kielich i pomału napełnił go ponownie, zanim podał drugie, nietknięte naczynie heroldowi.

– Chcecie rozmawiać o przyjaciółach? W takim razie opowiedzcie mi o waszym znajomym Henrym Machynie.

– To... kupiec i krawiec. Stary człek, nader pocziwy. Nie zasługuje na to, aby go źle traktowano.

– Czy jest waszym przyjacielem?

– Znam go od wielu lat.

– Lecz czy jest waszym przyjacielem?

– To zależy...

– Pozwolicie, aby was zniszczył?

– Czemu miałyby uczynić coś podobnego?

– Więc przyznajecie, że może to zrobić?

– Wysnuwacie zbyt pochopne wnioski.

– Doprawdy? Jakiż to konkretnie wniosek wysnułem?

Clarenceux nie odpowiedział.

– Powiem wam, jaki wniosek. Z waszej niechęci do pomocy w moim śledztwie wnioskuję, że bierzecie udział w spisku, który obejmuje tajne bractwo, nazywające siebie Rycerzami Okrągłego Stołu. Będę w to wierzył, dopóki nie przekonacie mnie, że tak nie jest. A jedynym sposobem, aby mnie przekonać, jest oddanie mi księgi, którą napisał Henry Machyn i która ma tytuł oraz charakter kroniki. Rozumiecie mnie? Tylko tak możecie dowieść przede mną swej niewinności: zdradzając przyjaciół, ponieważ ja wiem, że oni są winni.

Clarenceux wziął głęboki oddech, starając się nad sobą zapanować.

– Nie mam tej książki. Nie słyszałem również o bractwie, o którym mówicie.

– Ale widzieliście ją?

– Co?

– Księgę. Kronikę Henry’ego Machyna. Widzieliście ją?

Clarenceux zdał sobie sprawę, że stoi przed rozstrzygającą decyzją.

Jeśli zaprzeczę, że ją widziałem, a ludzie Walsinghama przesłuchają Thomasa, moja deklaracja stanie w sprzeczności z jego zeznaniami. A może i innych służących. Will Terry nie utrzyma języka za zębami. Nie mam wyboru.

– A więc ją widzieliście.

Clarenceux podniósł do ust kielich z winem i pociągnął. Ale nie odpowiedział.

– No więc?

– Widzę, że was to bardzo nurtuje, panie Walsingham. Nie należę do żadnego spisku. Ani bractwa. Chcę się tylko dowiedzieć, czy moi przyjaciele są bezpieczni. Chronieni przed takimi ludźmi jak wy. To prawda, że pan Machyn pokazał mi swoją kronikę. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, że przedstawia ona jakąś wartość i zawiera coś więcej poza zapisem historycznych zdarzeń. Rzuciłem okiem na pierwsze stronicę i stwierdziłem, że jest bardzo nieudolnie napisana, fatalną ortografią. Powiedziałem mu najuprzejmiej, jak umiałem, że nie chcę tej książki. Przekonywałem go, że będzie to ogromna strata dla jego syna, jeśli przekaże w obce ręce skarb, nad którym pracował przez tyle lat. Oddałem mu kronikę. Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie mojego służącego Thomasa.

Walsingham przyglądał mu się długo. To, co właśnie usłyszał, zbiło go z tropu.

Clarenceux upił następny łyk wina.

Walsingham wyjął z sakiewki klucz i powoli podszedł do drzwi.

– Dobrze, panie Harley – rzekł, nie patrząc w jego stronę.

– Robimy postępy. Zdecydowaliście się wyznać przynajmniej część prawdy. Że widzieliście kronikę... – Otworzył drzwi i Clarenceux, obejrzawszy się, ujrzał wchodzących do środka dwóch mężczyzn. – Rzeczywiście Machyn przyniósł wam księgę. Wiem o tym. Lecz resztę opowieści wyssaliście z palca. Zmyśliliście. Skłamaliście. Nie zabrał jej z powrotem. Kronika nadal jest w waszym domu.

Wrócił do stołu. Znowu stanął po drugiej stronie, oparł dłonie na blacie i się pochylił.

– Chcę tylko dostać tę księgę. Nic więcej. To całkiem proste.

Clarenceux zmusił się, aby odpowiedzieć spokojnie.

– Nie mam jej. Przysięgam. Machyn zabrał ją ze sobą z powrotem.

– Nie przysięgajcie, panie Harley. Nie chcę, aby wasza dusza została przeklęta na wieki, tak jak wasze śmiertelne ciało.

Spojrzał na strażnika, wskazał herolda i wydał szybką komendę:

– Prawa.

Chwilę później Clarenceux poczuł przeszywający ból w prawym kolanie. Leżał na podłodze i zwijał się w mękach, na próżno próbując złapać oddech. Kielich po winie potoczył się na środek komnaty.

– Nie lubię się powtarzać, panie Harley. Kłamstwa są zakładnikami prawdy, nie zapominajcie o tym. Prędzej czy później was zdradzą. Ilekroć będziecie próbowali wywieść mnie w pole swoimi uciążliwymi łągarstwami, dam wam wyraz swego niezadowolenia. A więc zacznijmy jeszcze raz: gdzie jest...

– Na miłość boską, Walsingham! – ryknął Clarenceux, leżąc na podłodze.

– Powiedziałem ci prawdę. Czego jeszcze chcesz?

– Odpowiedzi – odrzekł Walsingham zimno.

Clarenceux z trudem odwrócił głowę, aby spojrzeć w górę.

Jeden z mężczyzn stał nad nim z żelazną sztabą w dłoni.

– Zdumiewające, ludzie tak często nie doceniają swoich własnych nóg – zauważył Walsingham. – Jakby nie zdawali sobie sprawy, ile im zawdzięczają. Wierzymy, że zawsze pomogą nam uciec przed niebezpieczeństwem. Polegamy na nich w czasie wojny i podczas pokoju, chodząc pieszo i jeżdżąc wierzchem. Czyż może być lepszy sposób, aby uczynić człowieka bezradnym, niż roztrzaskać mu nogi?

Clarenceux skrzywił się pod wpływem fali ostrego bólu w kolanie.

Walsingham podszedł do tacy z łakociami. Przyniósł je na stół i zjadł jeden, patrząc na leżącego herolda.

– Wydajecie się bardzo zadowoleni z siebie, panie Harley. Myślicie, że nie rozumiemy powagi sytuacji? Nie przychodzi mi do głowy nic, co by przedstawiało w tej chwili większą wagę dla Jej Wysokości niż miejsce, gdzie ukryto tę księgę. Rozumiecie mnie? Nie ma nic ważniejszego. Nawet Francja nie przedstawia takiego zagrożenia.

Przerwał, pozwalając, aby jego słowa w pełni dotarły do świadomości słuchacza.

– Spróbuję przedstawić wam to bardziej obrazowo. Wyobraźcie sobie, że dyndacie nad ziemią powieszani za ręce, niezbyt wysoko, powiedzmy, jakieś osiem lub dziesięć cali. A potem wyobraźcie sobie, jak strażnik, bardzo podobny do tego tutaj, łamie wam nogi. Jedną kończynę macie przywiązaną do stołka i nagle spada na nią cios żelaznej sztaby. Potem drugi. Wisicie z pogruchotanymi nogami, znosząc katusze, i możecie sobie krzyczeć do woli lub trwonić czas w dowolny, równie bezużyteczny sposób. W końcu przestaniecie. Wtedy spytam was ponownie, gdzie jest kronika Machyna. Jeśli mi powiecie, zostaniecie delikatnie ściągnięci na ziemię, a ja wezwę nastawiacza kości, aby się wami zajął. Jeśli jednak

postanowicie dalej milczeć, każę przeciąć linę i pozwolę wam upaść... Skutki będą nie do wyleczenia. A na tym ból się bynajmniej nie skończy, przeciwnie, to będzie dopiero początek, ponieważ zostawię was tam, gdzie upadniecie.

Walsingham skinął na strażników, aby postawili Clarenceux na nogi.

– Jesteś... – zaczął herold, lecz urwał, bo ból w kolanie wzmógł się nie do wytrzymania, kiedy mężczyźni zmusili go, by się podniósł. Przeniósł ciężar ciała na lewą kończynę. – Nasze... prawo zabrania tortur.

Walsingham spokojnie położył dłonie płasko na stole i znowu pochylił się do przodu.

– Powtórzę to, co powiedziałem przed chwilą. Wydajecie się bardzo zadowoleni z siebie. Jeszcze pięć lat temu za herezję paliliśmy niewiasty i mężczyzn na stosach. Czterdzieści lat temu gotowaliśmy kobiety żywcem za trucicielstwo na królewskim dworze. Niektóre zbrodnie zasługują na najgorsze kary. Jedną z nich jest herezja. Drugą zdrada stanu. Musimy przyżegać jątrzący się ropień religijnego rozłamu. Jeśli nie ogniem, to czymś równie skutecznym.

– A więc stąd te wasze przeklęte poszukiwania – syknął Clarenceux, cały czas krzywiąc się z bólu.

– Cieszę się, że to rozumiecie. – Walsingham sięgnął po kolejny smakołyk. – To, co opowiedziałem wam o łamaniu nóg, nie nastąpi dzisiaj. A jeśli mi powiecie, gdzie jest ukryta księga Machyna, nie nastąpi w ogóle. Uderzenie w kolano nie spowoduje trwałych uszkodzeń.

– Nie? – spytał Clarenceux.

Miał całkiem odwrotne wrażenie.

– Oczywiście, że nie – warknął Walsingham. – Najpierw muszę was zakuć w dyby i przybić do nich za uszy. Potem chcę, żeby widziało was całe miasto, jak idziecie ulicami do Tower. W łańcuchach. Z całą procesją.

Aby wszyscy katolicy zobaczyli, co ich czeka, żeby się ukorzyli przed potęgą Jej Królewskiej Mości i zaczęli donosić na współpiskowców.

Clarenceux milczał.

– Gdzie jest ta księga?

– Nie wiem.

– Pytam jeszcze raz: gdzie jest kronika Machyna?

Clarenceux miał ochotę wrzasnąć, dać ujście wściekłości, ale wiedział, że Walsingham tylko na to czeka. Skupił się na bólu w kolanie.

– Jesteście głupcem, panie Harley. Albo, jak to nazwaliście wcześniej? Człowiekiem „nierozsądnym”. Ja wiem, że macie tę księgę.

– Więc wyślijcie ludzi, żeby ją znaleźli.

– Właśnie jej szukają, kiedy my tu sobie rozmawiamy. Wydałem sierżantowi Crackenthorpe’owi rozkaz, aby był tak skrupulatny, jak to tylko możliwe. Ma zajrzeć do każdej skrzyni i wnęki, w każdą szczelinę w podłodze i ścianie. Sprawdzi każdą beczkę, pustą i pełną, każdą baryłkę w waszej kuchni, każdy sprzęt, każdy mebel zostanie wywrócony do góry nogami, każde palenisko przetrząśnięte. Znajdzie ją.

– Więc po co mnie pytacie, gdzie ona jest?

– Jeszcze się nie domyśliliście?

Clarenceux wytrzeszczył oczy.

O co mu chodzi? Oczywiście, jestem przesłuchiwany... przemawiam w swojej obronie, bronię swojej sprawy. Czy to nie bitwa, w której orężem jest informacja, którą mam ja, i kara, którą może wymierzyć on?

– Rozczarowujecie mnie, panie Harley. Miałem nadzieję, że będziecie ze mną szczerzy i oszczędzicie mi zachodu. Ale to nie ma znaczenia. Pan kanclerz Cecil z pewnością wyrzeknie się wszystkich miłych wspomnień związanych z wami, kiedy mu powiem, z jakiego powodu zostajecie wysłani na szubienicę.

Clarenceux zamknął oczy. Może tu wcale nie chodzi o mnie... Jeśli z góry uznali mnie za winnego, przesłuchują mnie tylko po to, aby sprawdzić, czy się przyznam. Aby się przekonać, kogo jeszcze wmieszam w spisek Machyna.

Otworzył oczy. Walsingham się uśmiechał. Próbował nie zwracać uwagi na irytującą pewność siebie u swego przeciwnika i dodać sobie otuchy.

Przyznałem się do wielu rzeczy, od kiedy wszedłem do tego pokoju, lecz niewiele z nich było dla niego nowością. Sam dowiedziałem się dużo więcej niż on.

– Czy powiecie mi w końcu prawdę, panie Harley? Czy chcecie poczuć żelazną sztabę na drugim kolanie?

– Nawet gdybym miał tę księgę, nie pomógłbym wam. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest czymś więcej niż kiepsko napisaną kroniką. Taka jest prawda. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłaby...

– Nie wierzę wam!

– Ale to prawda! – wybuchnął Clarenceux. – Najszczęsza prawda, powtarzam wam! Jeśli to jakiś tajny dokument, tylko Henry Machyn może wam powiedzieć, jak się nim posłużyć. Ja nie potrafię wam pomóc.

Walsingham nalał sobie kolejny kielich wina i podszedł do tacy ze słodyczami.

– To mi nadal nie wystarcza. Widzicie, panie Harley, ja wiem, że kłamiecie. Lepiej, żebyście to zrozumieli.

Lekki prąd powietrza targnął płomieniami świec, światło w komnacie zamigotało. Po twarzy herolda płynęły łzy.

– Nie wiecie, gdzie aresztowano Machyna?

– Oczywiście, że nie wiem.

– W waszej stajni.

– Co takiego?

W pierwszej chwili Clarenceux nie wierzył własnym uszom. Potem przypomniało mu się, że Thomas mówił o śladach szarpaniny na strychu w stajni, a on sam zauważył otwartą furtkę, kiedy wychodził w nocy.

Walsingham skinął głową.

– Kiedy sierżant Crackenthorpe odprowadził was do domu po owej uroczej wymianie zdań, znalazł Machyna na terenie waszej posiadłości.

– Nie. Nie!

– Lewe kolano.

– Nie!

Odwracając się na zdrowej nodze w kierunku mężczyzny z żelazną sztabą, Clarenceux stracił równowagę i upadł. Uderzył całym ciężarem ciała o podłogę i jął szlochać z przerażenia na myśl o czekających go torturach i szubienicy. Poczł mdłości. Próbował wytrzeć łzy. Zaczł się cofać w stronę stołu, osłaniając się przed napastnikiem, lecz człowiek ze sztabą go nie uderzył.

Ktoś zapukał do drzwi i Walsingham wyszedł z pokoju. Z korytarza dochodziły odgłosy ściszonej rozmowy.

Mijały minuty. Clarenceux przypomniał sobie płaczącego Machyna. To się wydarzyło zaledwie wczoraj wieczorem. Po wyjściu z mojego domu Machyn musiał się schronić w stajni przed burzą. Głupiec! Czemu nie został na noc, kiedy mu proponowałem? Nie poszedłbym wtedy do miasta, nie złapałby mnie Crackenthorpe...

Nagle zaświtała mu w głowie inna myśl. Skąd Machyn wiedział, że Crackenthorpe go dzisiaj zabije? Skąd wiedział, że znajdzie go w mojej stajni? Czy był to czysty domysł, czy też od początku to sobie zaplanował? Czy napisał ten ostatni wers w kronice, żeby mnie sprowokować do działania? Czyżby wszystko to było wyrafinowaną pułapką?

Tymczasem Walsingham wrócił do komnaty.

- Zostaniecie zamknięci na noc w piwnicy, a jutro rano zabrani do Tower.
- Walsingham podniósł kielich do ust. – Przez te mury nikt was nie usłyszy.
Clarenceux leżał bez ruchu jak sparaliżowany.
- Więc nie będę miał nawet procesu?
- Walsingham zmarszczył czoło.
- Czy ty nadal nic nie rozumiesz, Harley? To był twój proces. Właśnie się zakończył.

21

Awdrey otuliła córeczkę kocami i patrząc na jej śpiącą buzię, jęła się modlić szeptem. Postawiła świecę na podłodze i otarła oczy. Chusteczka była już do cna przemoczona. Odłożyła ją i ogarnęła wzrokiem zniszczenia.

Byli bezwzględni. Siekierą roztrzaskali na kawałki jej skrzynię na ubrania. Podarli nawet odzienie. Gdzieś leżał rękaw od koszuli, gdzie indziej stanik od jej ulubionej niebieskiej sukni. Czemu to zrobili? Przecie nie da się ukryć księgi w szwach spódnicy.

Podniosła do góry rozdartą lnianą halkę. Znowu otarła oczy. Przysunęła bliżej świecę i zobaczyła wgnieciony bok i oderwane wieko skrzyni Williama. Świecznik we wnęce nad łóżkiem został złamany. Materac i poduszki pocięto, a całą podłogę zaścielało pierze, które unosiło się też w powietrzu. Odłamali nawet bieguny od kołyski. Z drzwiczek szafki zostały same drzazgi. Mosiężna misa, w której jeszcze dzisiaj rano podawała wodę Williamowi, leżała wywrócona do góry dnem i wyszczerbiona.

William. Co się z nim stało?

Przeżegnała się niepewna, czy ma się na niego gniewać za to, że ściągnął na nich nieszczęście, czy lękać się, że skrzywdzono go lub wtrącono do więzienia.

Wspominał o swoich obawach, że Henry Machyn mógł zostać zabity, ale dopiero Rebecca powiedziała jej o księdze. A potem zabrała ją z domu kilka

minut przed powrotem sierżanta Crackenthorpe'a. Dlaczego William nie dał jej kroniki? Czemu nie powiedział, gdzie ją ukrył? Teraz cały ich majątek został obrócony w perzynę. Rozcięli nawet materac Annie. Dziewczynka spała na posłaniu z koców.

To wszystko przez Williama. Jeśli go oskarżą i skażą, sam będzie sobie winien. Powinien być mądrzejszy, jest doświadczonym człowiekiem. Bez wątplenia zniszczyli też wszystkie księgi w jego gabinecie.

Znowu się przeżegnała. Rano pojedzie do Devon, do swojej siostry, żeby uciec od tej grozy, od miejsca, które kochała jako swój dom.

Popatrzyła na śpiącą córeczkę i pobłogosławiła ją znakiem krzyża. Potem po cichu wyszła z pokoju.

Ze świecą w ręku zeszła na dół. Kiedy zajrzała do salonu, blask płomienia wydobył z ciemności połamane drewno i obłupany tynk za drzwiami. Odwróciła się. Wyjedzie z samego rana. Tylko z dziećmi. Niczego ze sobą nie zabierze, żeby zniszczone rzeczy nie przypominały jej tej potworności.

Ale gdzie się wszyscy podziali? Gdzie jest Thomas? Emily? Niania Brown? Chłopcy? Kiedy żołnierze zdewastowali jej sypialnię, kazano jej iść na górę i zostać z córkami. Nie widziała, co się działo na dole.

Rozejrzała się po pustym holu. Wiązowy stół był jedną z niewielu rzeczy, które ocalały nieuszkodzone. Poza nim nietknięte pozostały tylko srebrne lichtarze. Schyliła się, podniosła jeden z nich i postawiła na stole. Po lewej stronie drogocenne okrągłe lustro Williama zostało strzaskane i leżało w kawałkach na podłodze, gdzie któryś z żołdaków zdeptał je butem. Kobierzec na skrzyni pocięli nożem.

Kiedy szła powoli przez hol i skromnym płomykiem oświetlała kolejne fragmenty ponurego krajobrazu, czuła, że zniszczeniu uległo coś więcej niż jej własność. Zniszczono ufność, jaką darzyła to miejsce. Jej mąż nie

zapewniał domowi wystarczającej ochrony. Otaczała ją martwa pusta przestrzeń i głucha cisza. W całym domu nie było żywego ducha.

Czy to możliwe, żeby wszystkich aresztowali?

Zeszła otepiała po ciemnych tylnych schodach. Kałuże stojące w korytarzu świadczyły o tym, że intruzi porozbijali wszystkie beczki w spiżarni. Drzwi stały otworem, w środku leżały przewracane antałki.

Weszła ze świecą do kuchni. Cała podłoga zasłana była zdeptanymi jabłkami i warzywami, a także zbożem wysypanym z worków. Połacie mięsa, które wisiały na krokwiach, odcięto i wrzucono w ogień. Resztki kilkunastu solonych udźców wieprzowych skwierczały cicho w żarzącym się popiele razem ze szerniałymi kośćmi i przewróconym trójnogiem. Rondel też wrzucono do paleniska, tak że uchwyt spalił się do cna.

Łzy stanęły jej w oczach. Nie pozostało nic, co by ją tu trzymało. Wzięła do ręki świecę, odwróciła się i wyszła. Wtedy uprzytomniła sobie, że z belki pod stropem, dokładnie nad jej głową, zwisa stary brązowy pled. Podniosła świecę i spojrzała w górę. Jeden róg materiału był mokry i kapały z niego krople błyszczącej cieczy. A z przemoczonego brzegu tkaniny sterczała brudna stopa. Awdrey powędrowała wzrokiem jeszcze wyżej i w ciemności zobaczyła podartą koszulę z plamami krwi i kamizelkę obsypaną trocinami, a w końcu bladą twarz Willa Terry'ego i jego martwe oczy wpatrzone w nicość.

22

Trzasnęły drzwi do piwnicy i Clarenceux został w ciemności sam. Usłyszał szcęk zasuw. Jediną rzeczą, jaką zdołał zauważyć w miejscu, w którym miał spędzić ostatnią noc swego życia, były kamienne schody prowadzące w dół w nieprzenikniony mrok. Panowały tu wilgoć i dojmujące zimno. Cuchnęło uryną i rozkładającymi się ekskrementami. To musi być duża piwnica, pomyślał, a na dole stoją pewnie beczki, do których opróżniają się szyby z wygódek na górnych piętrach.

Wyciągnął rękę i dotknął ściany. Od smrodu zrobiło mu się niedobrze. Mdlilo go już wcześniej, w czasie przesłuchania, a ten odór prawie zaczął go dławić. Ból w prawym kolanie odrobinę zelżał, mógł chodzić, lecz nadal trudno mu było stąpać na uszkodzonej nodze.

Zszedł w ciemności jeden stopień niżej, przytrzymując się ręką ściany. Jakiś kamyk lub kawałek tynku stoczył się po schodach i z pluskiem wpadł do wody stojącej na dnie lochu.

Zatrzymał się. O tej porze roku, przy tej temperaturze wszędzie utrzymywała się wilgoć. Jego własny dom nie miał piwnic, lecz sąsiadów często zalewało. Ludzie mówili, że to dobrze, bo od moczu w beczkach gniło drewno i odchody przesączały się na podłogę i rozpuszczały w wodzie. Clarenceux był jednak pewien, że ta rozwodniona kloaka nigdzie nie odpływała. Stała całą zimę i cuchnęła.

Przytrzymując się zimnej ściany, ostrożnie usiadł na stopniu. Kolano bolało go okrutnie. Z góry dobiegały krzyki i kroki kilku mężczyzn. A potem zaległa cisza.

Gdzieś w ciemności po wodzie przemknął szczur.

Clarenceux przesunął dłonią po aksamitnym dublecie. Na pewno znaleźli już księgę. I mają Henry'ego. Będą go torturować, póki nie wyzna prawdy. A kiedy wyzna, on, Clarenceux, zostanie uznany za współwinnego wszystkich zbrodni. Jego również wezmą na męki, a choć niewiele się od niego dowiedzą, zostaną skazani obaj. Nazwisko Clarenceux pojawia się prawie na każdej stronie kroniki. Jego pozycja społeczna jest o niebo wyższa niż Machyna, więc krawca uznają za podrzędnego żołnierza w tej bitwie, a herolda za przywódcę.

Pomyślał o Awdrey, wspomniawszy jej twarz, jej złociste włosy rozsypane na łóżku, kiedy patrzył na nią wczoraj wieczorem. I Annie, błyszczące niewinne oczy jego córki, siedzącej mu na kolanach i opowiadającej o rzeczach, które widziała w mieście.

Co zrobili z jego domem? Miał nadzieję, że byli powściągliwi. A Awdrey? Czy ją też gdzieś uwięzili? Jak ją traktują? I co się stało z panią Machyn? Jeśli aresztowali jej męża, ją na pewno także zechcą przesłuchać. Wyobraził sobie jej smutne brązowe oczy patrzące z przerażeniem, kiedy przyjdą ją aresztować. Boże, modlił się, proszę, nie pozwól, aby stało im się coś złego.

Otarł oczy rękawem i poczuł narastający gniew. Wszystko przez Machyna. Taka jest prawda. Co on powiedział o Biblii? Że Clarenceux rozpoznaliby słowa z Księgi Hioba, gdyby je zobaczył.

Czy pamiętał słowa z Księgi Hioba? *Izali mądry odpowie, jakoby na wiatr mówiąc, i napełni gorącością żołądek swój. Strofujesz słowa tego, który nie jest równy tobie, i mówisz, co tobie nie pomaga. Ile z ciebie jest,*

wypróżniłeś bojaźń i odjąłeś prośby przed Bogiem. Nauczyła bowiem nieprawość twoja usta twoje, i naśladujesz języka bluźniących. Potępią cię usta twoje, a nie ja: i wargi twoje odpowiedzą tobie¹.

Prawdopodobnie Machyn właśnie zeznaje. *I lekceź sobie ważysz pociechy boskie? I maszże jeszcze co tak skrytego w sobie?².*

Maszże co tak skrytego w sobie? Clarenceux zacisnął pięść i nacisnął nią na kamienny mur. Machyn go przecenił. Miał zbyt wysokie mniemanie o jego wiedzy i pozycji. A on powinien być mądrzejszy. Wykorzystał go człowiek stojący na drabinie społecznej znacznie niżej od niego, a on w swej próżności uległ.

Pod jednym względem Walsingham miał rację. Clarenceux był zbyt zadowolony z siebie. Naiwny. A teraz umrze.

– Jestem niewinny!!! – wrzasnął na całe gardło. Jego głos rozjarzył się w ciemności jak kolorowa błyskawica. – Jestem niewinnym człowiekiem!

Jakie to będzie uczucie, kiedy nałożą mu pętlę na szyję? Nie, nie musi się tego obawiać. Zamęczą go na śmierć. Czy będzie się bał śmierci, czując tylko ból?

Czego użyją? Zadrzał z zimna. Słyszał o machinach, których używają we Francji. Kole do łamania ludzkiego ciała. Czytał o nim w *De Laudibus Legum Angliae* Johna Fortescue. Autor był do tego stopnia przejęty grozą tego urzędnika, że nie opisał go nawet w swojej księdze. Opisał za to katusze gorsze od śmierci, które zadawano niewinnym rycerzom, póki nie przyznali się do zdrady tylko po to, aby ich prędzej zabito i nie musieli dłużej znosić okropnych mąk.

Lecz Clarenceux mógł tylko czekać i się modlić.

Gdzie jest Bóg? Czy to możliwe, aby to wszystko działo się z jego woli? Aby człowieka torturowano na śmierć za zbrodnie, o których nie miał pojęcia?

Bóg opuścił tę piwnicę. Clarenceux wkroczył w krainę umarłych.

23

W ciemnej stajni Thomasowi, leżącemu na ziemi w końskim łajnie, udało się wyswobodzić z pęt prawą dłoń. Od kilku godzin walczył, aby się uwolnić. Bolało go ramię. Szarpiąc sznur, poobcierał sobie dotkliwie skórę. Will miał zaledwie jedenaście lat. Wyznał im wszystko, co wiedział. A oni go zabili.

Umierając, wzywał matkę.

Żołnierze pytali, gdzie jest księga, lecz nikt nie potrafił udzielić im odpowiedzi. Drugi chłopiec służebny, John Wrightson, płakał i krzyczał, że już jej nie ma w domu, więc go pobili i kazali patrzeć, jak wieszają Willa. A choć Thomas wołał i błagał, wciągali go coraz wyżej i wyżej. Chłopak wierzgał rozpaczliwie i próbował złapać oddech.

Umierał powoli. Kiedy jego ciało zwisło bezwładnie, Thomasowi pękło serce. Do ostatniej chwili nie wierzył, że go zabiją. Pomyślał o swym siostrzeńcu, ojcu Willa, przypomniał sobie dzień, kiedy oznajmił mu z dumą, że znalazł chłopcu miejsce w domu pana Clarenceux. Jacy byli szczęśliwi. Poszli razem do karczmy, aby uczcić tę wiadomość winem.

Z trudem chwycił powietrze, po policzkach ciekły mu łzy. Uwolnił z więzów lewą dłoń.

Nie wiem, gdzie jest mój pan, ale jeśli żyje, proszę, Boże, spraw, aby wrócił i zemścił się na mordercach.

24

Niedziela, 12 grudnia

Clarenceux klęczał w ciemności i modlił się, chociaż spędził tu już tyle godzin, że dawno stracił czucie w ciele.

Niepokój był tylko obłokiem, przez który po prostu przepłynął. Złoty rydwan zaprzężony w sześć białych łabędzi niesie go po błękitnym niebie i pokazuje świat roztaczający się w dole. Widzi tysiące kościołów w całej Europie, małe, dalekie, zupełnie jakby był aniołem i mógł wybrać, którą świątynię zechce nawiedzić. Zauważa, że kościoły katolickie przeważają nad protestanckimi. Choroba, która toczy wiarę, ma swoje ognisko tutaj, w Anglii.

Nie, zdaje się mówić kobieta, która trzyma wodze łabędzi i wskazuje na jego parafię St Bride i ludzi wychodzących przez drzwi kościoła. To nie jest kwestia wiary. Każda wiara jest dobra. Winowajcą jest brak wiary, to on toczy wojnę z religią. Oto prawo śmierci: zostaniesz wyniesiony do nieba; będziemy śpiewać w niebiesiech. Ci zaś, którzy wybierają niewiarę, którzy przeciwstawiają się Bogu, pozostaną na ziemi i służyć będą za gnijące pożywienie dla robactwa.

Zaczynają się opuszczać. Spoglądając między chmurami, widzi Tamizę i setki łodzi przycumowanych i kołyszących się na roziskrzanej wodzie. Otwiera się brama wjazdowa na moście. Biją dzwony. Pośród ludzi

wychodzących rankiem z domów jest pani Machyn. Idzie pewnym krokiem w stronę rynku w Cheapside, na którym właśnie rozpoczyna się handel. Przed jego domem przejeżdża powóz. Jego rodzina jest w środku. Są szczęśliwi, mimo że go z nimi nie ma. Bóg ich wszystkich pobłogosławił. Wiedzą, że William poszedł lub właśnie idzie do nieba.

Odwraca się do pięknej kobiety powożącej łabędzim zaprzęgiem, lecz nie może na nią spojrzeć. Nie śmie. Jest Duchem Świętym. Przysłano ją, aby go prowadziła.

Ze snu na jawie wyrwał go krzyk dochodzący z głębi domu. Znowu poczuł zimno i ból jeszcze dotkliwszy niż poprzednio.

Na górze biegali ludzie. Może służący rozpoczynali swe poranne obowiązki. Ale jeśli już świta, to znaczy, że zostało mu zaledwie parę godzin życia. Żywa istota, która jeszcze w nim oddychała, skurczyła się, skostniały mu zwinięte palce. Ukrył twarz w ramionach i przełożył jeden nadgarstek nad drugi, układając je w znak krzyża.

Chociaż nic nie widział, czuł ten znak, uczyniony z własnego ciała. Podniósł ramiona, nie rozdzielając skrzyżowanych rąk. To był symbol jego wiary, ciemne słońce, które świeciło nawet w najmroczniejszą noc.

Odrodzenie światła. Mimo bólu poczuł, jakby urodził się na nowo. To on miał rację, nie Walsingham, było to równie pewne jak samo życie. I nic nigdy tego nie zmieni.

25

Odgłos odsuwanego rygla przerwał ciszę – pierwszy dźwięk w dniu jego egzekucji.

– Hej ty, Harley – zawołał mężczyzna, schodząc po schodach. Szturchnął go mocno stopą. – Wstawaj – rozkazał.

Chwycił go za kołnierz dubletu i pociągnął do góry. Clarenceux zmusił się, aby wyprostować nogi. Nadal klęczał na kamiennym stopniu. W obu kończynach do reszty stracił czucie.

– Niech cię szlag, rusz się!

Mężczyzna dusił go, ciągnąc za kołnierz. Clarenceux złapał się jego ramienia.

– Puszczaj! – warknął nieznajomy.

– Podajcie mi dłoń, na miłość boską – wychrypiał herold. Aż się zdziwił, słysząc swój głos. W gardle wyschniętym z braku wody, jedzenia i snu, brzmiał inaczej. Jak odmieniony. Był to głos potęgi i władzy. Strażnik nie odpowiedział, ale wyciągnął rękę i pomógł mu wstać.

Clarenceux wchodził po schodach, opierając się dłonią na każdym stopniu. Nie mógł oderwać wzroku od światła, byle opuścić tę piwnicę, opuścić ciemną zimną noc.

Nagle dostał pięścią w podbródek. Upadł jak długi na posadzce korytarza, a wtedy usłyszał głos Crackenthorpe'a.

– Pan Walsingham chce ci dać jeszcze jedną szansę. Jeśli z niej nie skorzystasz, pójdziesz na śmierć.

Heroldowi wirowało w głowie. Zrobiło mu się niedobrze. Leżał na ziemi, tak jak upadł, przed oczami widział kurz pokrywający deski podłogi, ból rozsadzał mu czaszkę. Co to za szansa? Usłyszał kroki w innej części domu – mężczyzn zbiegających po schodach. Czy oni też po mnie idą? Widział jednak nogi tylko dwóch osób: Crackenthorpe’a i żołnierza, który po niego przyszedł.

– Dzwony wybiły siódmą. Masz czas do ósmej wieczorem, żeby przynieść nam kronikę Henry’ego Machyna. Jeśli tego nie zrobisz, wiesz, co się stanie.

Clarenceux podniósł głowę i wpatrzył się w nierówno pobieloną kamienną ścianę. Jeszcze go nie zabijają... Myśl ta powoli przedzierała się przez jego zamglony umysł. Puszczają go do domu, żeby przyniósł im księgę. Więc jej nie znaleźli.

Kiedy sobie uprzytomnił, co to może oznaczać, znowu zawiroowało mu w głowie i żołądek podszedł mu do gardła. W ustach poczuł gorzki smak żółci.

Crackenthorpe zrobił szybki krok i kopnął go w żołądek.

– Nawet nie próbuj rzygać na podłogę pana Walsinghama.

Clarenceux podniósł wzrok i popatrzył mu w oczy.

– Nie musicie tego robić. Żaden pan nie żąda tego od swego sługi.

Crackenthorpe zeszywniał, słysząc ostatnie słowo, ale się nie odezwał. Odwrócił głowę, zniecierpliwiony czekaniem, aż herold się podniesie. Clarenceux oparł się jedną ręką o ścianę, a drugą odepchnął od podłogi.

– Do ósmej?

Crackenthorpe skinął głową.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Dał żołnierzowi znak, żeby wyprowadził więźnia z piwnicy, a kiedy ten zarzucił sobie ramię Clarenceux wokół szyi, poszedł z nimi korytarzem.

Skęcili za róg i herold zobaczył przed sobą drzwi do wolności.

Nigdy przedtem słońce nie świeciło tak pięknie. Czuł się, jakby znalazł się w niebie.

26

Jego dom stał ponad milę od rezydencji Walsinghama, który mieszkał nieopodal Tower. Clarenceux szedł bardzo wolno. Z powodu bólu w kolanie musiał raz po raz przystawać, dokuczały mu też ramiona i głowa. Na Lombard Street zrobiło mu się słabo i usiadł na stopniu jakiegoś domu. Zauważył go człowiek, który podobnie jak on należał do Gildii Skórników, Clarenceux widywał go nieraz, lecz nie znał jego nazwiska. Należeli jednak do tego samego towarzystwa i to wystarczyło, by mężczyzna zaproponował, że każe go zanieść do domu. Clarenceux odmówił. Musiał przemyśleć wiele rzeczy i nie na rękę mu były rozmowy z obcymi. Pożyczył tylko od życzliwego znajomego szylinga, aby sobie kupić węgorza w cieście, po czym podziękował mu za zainteresowanie i pomoc.

Ryba smakowała wyśmienicie. W każdej innej sytuacji powiedziała by, że węgorz w cieście od ulicznego sprzedawcy nie jest wart nawet, żeby dać go świniom, lecz teraz czuł się jak wniebowzięty. Był wolny, a smak przesolonego węgorza wydawał się rozkoszą. Kilka minut później, gdy dotarł do kanału w Cornhill, napił się wody i był to najbardziej błogosławiony płyn, jaki kiedykolwiek dotknął jego ust.

Stał się cud. Trudno nazwać to inaczej. Pochylając się nad korytem i ochlapując twarz wodą, zastanawiał się nad tym niezwykłym uśmiechem losu. Modlił się i modlił, przygotowywał na tortury i śmierć, a tymczasem Bóg go ocalił. Boska opatrzność musiała powstrzymać ręce ludzi, którzy

przeszukiwali dom, i czuwać nad chłopcem, który nie zdradził kryjówki. Czy cudem była jego decyzja, by włożyć księgę do worka ze zbożem, czy odwrócenie wzroku mężczyzn przeszukujących dom? Nieważne. Wobec wspaniałości tego zdarzenia nie miało znaczenia, jak do niego doszło. Oczy zaszklily mu się od łez.

Chociaż stał przed korytem na środku szerokiej ulicy, otoczony tłumem trajkoczących ludzi, idących na rynek lub właśnie stamtąd powracających, wznosił ręce do nieba. Zamknął oczy i wyszeptał podziękowania. Kiedy skończył rozkoszować się tą cudowną chwilą, otworzył oczy i poszedł dalej. W słonecznym blasku czuł, że z boską pomocą wracają mu siły.

Przechodząc przez most, spojrział na kipiące wody rzeki Fleet płynące w kierunku Tamizy. Przyszła mu do głowy myśl: on też uda się na południe. Weźmie ze sobą Awdrey i dzieci i pojedzie do Kentu, do domu swego przyjaciela, Juliusa Fawcetta, który ma niewielki majątek nieopodal Chislehurst. Julius udzieli im schronienia, przynajmniej do czasu, gdy całe to nieporozumienie się wyjaśni. Tam również będzie mógł złożyć dzięki za swe wybawienie z rąk Walsinghama i Crackenthorpe'a.

Doszedł do domu.

Drzwi frontowe były lekko uchylone. Pchnął je i zobaczył na schodach porozrzucane sitowie i połamaną ławę w korytarzu prowadzącym do pomieszczeń dla służby. Na podłodze za drzwiami leżało denko malowanego ceramicznego dzbana, a na schodach pokruszone skorupy. Wszędzie panowała głucha cisza.

Wszedł pomału po schodach, walcząc z bólem w kolanie, lecz niecierpliwił się, aby zobaczyć, co zastanie w holu. Najwyraźniej ludzie Walsinghama poczynali sobie podczas przeszukania dość bezceremonialnie. Więc jak to się stało, że nie znaleźli kroniki?

Na szczycie schodów zobaczył nienaruszony kaganek – knot i oliwa były nietknięte. Lecz kiedy podniósł wzrok, obraz zniszczenia wstrząsnął nim do głębi. Na podłodze leżały odłamki stłuczonego lustra, świece zdeptane przez żołnierzy, nawet odrapany tynk znad kominka. Zrujnowano obrazy, drewniane płyty wyrwano z ram i roztrzaskano. Ktoś postawił nienaruszony lichtarz na wiązowym stole, jakby próbował ocalić choć strzępek cywilizacji z morza zniszczeń. Poza tym jednym drobiazgiem wszędzie panował niewyobrażalny bałagan.

– Awdrey! – zawołał. – Awdrey!

Jego głos zadudnił głucho w zimnych murach. Zerknął w stronę kominka – z paleniska unosiło się cieniutkie pasmo dymu. Pokruszyli tynk, ale nie posunęli się tak daleko, aby spalić dom. Mogli z łatwością porzucić węgielki po podłodze, podpalić maty z sitowia i puścić z ogniem całą ulicę. To dzieło zniszczenia nie było bezmyślne, ktoś sprawował nad nim kontrolę.

Clarenceux poszedł powoli do tylnych schodów i ruszył w dół. Na kamiennych płytach przed spiżarnią stała kałuża rozlanego wina. Dobiegł go jakiś szmer.

– Kto tu jest? – zawołał.

Usłyszał w swoim głosie strach.

Nikt nie odpowiedział. Tylko daleki zduszony dźwięk dochodził z pomieszczenia w głębi korytarza.

Zacisnął zęby i nie zważając na ból w kolanie, ruszył dalej w stronę spiżarni. Podeszedł do drzwi i zajrzał do środka. Kiedy jego wzrok przywykł do ciemności, zaczął rozróżniać kształty rozbitych beczek i antałów.

To nie było przeszukanie. Wszystko to uczyniono, aby go zastraszyć.

Znów usłyszał zduszony odgłos. Odwrócił się od spiżarni i skierował w stronę kuchni. Thomas siedział oparty plecami o ścianę i trzymał na

kolanach ciało swego ciotecznego wnuka. Twarz miał mokrą od łez, koszulę wyciągniętą ze spodni, podartą kamizelkę i oderwany rękaw od kaftana. Na twarzy i ramieniu widać było ślady krwi.

W pierwszej chwili Clarenceux zobaczył tylko Thomasa, kołyszącego się i płaczącego nad chłopcem. Kilka chwil potrwało, zanim pojął, że Will Terry nie żyje.

Ogarnęło go okropne obezwładniające uczucie, znacznie gorsze niż ból po ciosie Crackenthorpe'a, ponieważ płynęło z jego wnętrza. To się stało przez niego. Naraził Willa Terry'ego na śmierć, ponieważ obarczył go groźną tajemnicą. Przytrzymał się futryny, żeby nie upaść.

– Zabili go – powiedział Thomas, patrząc na twarz swego młodego krewnego. – Powiesili go w kuchni. Nic nie mogliśmy zrobić. Nie chcieli nikogo słuchać.

Clarenceux miał uczucie, jakby cała krew tętniąca w jego ciele zamieniła się w żal. Rozejrzał się, szukając worka z owsem, gdzie ukrył księgę. Leżał niedaleko pusty, jego zawartość rozsypano po podłodze. Kronika najwyraźniej znikła.

– Wasza miłość, ja... – Thomas podniósł na niego wzrok i szukał słów. – Muszę... muszę się zemścić. Jeśli tego nie zrobię... będę skończonym człowiekiem. To był taki dobry chłopak, traktowałem go jak syna. Dobrze wam służył. Czemu to mnie nie zabili?

– Thomasie, żaden z nas nie jest skończony. Zemścimy się. Przysięgam. Opowiedz mi, co się stało.

Thomas pokręcił głową, próbował nad sobą zapanować.

– Kiedy was zaarrestowali, w domu rozpętało się piekło. Pani Machyn wybiegła z waszego gabinetu i powiedziała, żeście musieli ukryć kronikę w pomieszczeniach dla służby, bo wyszliście stamtąd, kiedy zapukali

żołnierze. Upierała się, że zabierze księgę. Wasza żona, panie, się z nią zgodziła. Will...

Głos mu się załamał. Przycisnął do piersi zwłoki chłopca, które wciąż trzymał na kolanach.

– Mów dalej.

Thomas westchnął i pogładził chłopca po policzku.

– Will bardzo się przestraszył pani Machyn. Krzyczała na niego, a włosy jej fruwały jak jakiejś wszetecznicy. Ale kiedy wasza żona kazała mu odpowiedzieć, pokazał, gdzie ukryliście księgę. Pani Machyn wzięła ją i uciekła, nie mówiąc ani słowa, dokąd idzie. Nie minęło dziesięć minut, jak przyszli żołnierze. Dowodził nimi ten człowiek z blizną.

– Crackenthorpe.

– Ten sam. Jego ludzie zebrali wszystkich domowników i służbę w holu, a sami jęli przeszukiwać komnaty na górze. Zostawili nam tylko jedną świecę. Pani też z nami była. Dzieci płakały. I Emily płakała. Niania Brown robiła, co mogła, żeby pocieszyć dziewczynki. Will i John byli przerażeni. Trzymałem ich obu za ramiona. W końcu żołnierze zeszli z góry, źli, że nic nie znaleźli. Ich dowódca, Crackenthorpe, kazał pani zabrać córki na górę. Protestowała, ale zagroził, że ją zaciągnie siłą, więc posłuchała. Usłyszeliśmy, jak krzyknęła, kiedy wchodziła po schodach, ale nie wiem dlaczego. Kilku żołnierzy się roześmiało, a jeden próbował zadrzeć suknię niani Brown. Crackenthorpe zapytał, ile lat ma Emily, a kiedy mu powiedziano, że nie skończyła jeszcze jedenastu, przykazał, żeby nikt jej nie tknął. Ale ten, kto znajdzie kronikę, będzie mógł pierwszy wziąć nianię Brown.

– Więc w zamian powiesili chłopca – powiedział Clarenceux, czując, jak rośnie w nim gniew.

– Kiedy już wszystko przeszukali i wszystko zniszczyli, zawlekli nas do kuchni. Ale pani i wasze córki zostały na górze. Sierżant przewiesił sznur przez belkę i powiedział, co zamierza zrobić: powiesi jedno z nas, jeśli mu nie powiemy, gdzie jest kronika. Wtedy John się przestraszył, że to jego zabiją, i zawołał, że księgi już nie ma w domu. Człowiek ze szramą mu nie uwierzył, myślał, że chłopak chce go wywieść w pole. Wskazał Willa i zagroził, że go powiesi...

Głos Thomasa zmienił się w zawodzenie. Clarenceux aż w piersi paliło ze współczucia. Thomas nie miał dzieci i opiekował się Willem jak własnym synem. W jego życiu nigdy więcej nie zagości dziecięcy uśmiech.

– Umierał przerażony, szarpiąc się i krzycząc. Na miłość boską, panie Clarenceux. Wołał matkę i błagał mnie, żebym go uratował. Jeden z tych drani trzymał mi nóż na gardle, nic nie mogłem zrobić.

– Thomasie, współczuję ci z głębi serca. Gdzie się wszyscy podziali? Gdzie są moje córki?

Thomas wytarł twarz.

– Pani zabrała je do siostry w Devon. – Urwał i popatrzył na swego pana ze zrozumieniem. – Nic im się nie stało. Myślę, że ten pan Walsingham wydał bardzo ścisłe instrukcje co do kobiet.

Clarenceux skinął głową. Walsingham przykazał pewnie, aby nikt nie ośmielił się tknąć jego żony ani córek ze względu na ich powiązanie z lady Cecil. Mimo to musiały być przerażone. Zamknął oczy i wyszeptał modlitwę. Kiedy je z powrotem otworzył, były mokre od łez. Podeszedł do Thomasa, przyklęknął, położył dłoń na zimnym czole chłopca i za niego również pomodlił się bezgłośnie. Na koniec przeżegnał się i rzekł:

– Musimy powiedzieć jego ojcu.

Thomas wyciągnął dłoń i z całej siły chwycił Clarenceux za nadgarstek.

– Musimy się na nich zemścić, wasza miłość.

– Zemścimy się, Thomasie. Uczynię to za wszelką cenę. Nieważne, ile mnie to będzie kosztowało.

Thomas zajął w wilgotne oczy herolda.

– Dobry z was człowiek, panie Clarenceux. Powiem ojcu Willa, żeście dobry człowiek.

– Staram się być dobry, ale zawiodłem was wszystkich.

Thomas nie spuszczał z niego wzroku.

– Nie, nie, wasza miłość. To nie wasza wina. Mam dla was wiadomość. Musicie się dowiedzieć, gdzie był sir Arthur trzynastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku. Zanim żołnierze odjechali, zabrali mnie do stajni i związali. Powiedzieli, że spalą mnie żywcem razem z końmi. Chyba myśleli, że wiem, gdzie jest księga, chociaż mówiłem im, że nie mam pojęcia. Ale w końcu niczego nie spalili. Po kilku godzinach udało mi się poluzować więzy i uwolnić. Na podwórzu czekała jakaś kobieta. Powiedziała, żebym przekazał wam wiadomość. „Powtórzcie mu, że sir Lancelot spotka się z nim tam, gdzie sir Arthur był trzynastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku”. To wszystko.

Clarenceux wpatrywał się w Thomasa, próbując zrozumieć, o co chodzi. Śmierć chłopca, dom przewrócony do góry nogami, groźby podpalenia – wszystko to tak go zszokowało, że dopiero po długiej chwili domyślił się, kim była kobieta na podwórzu – żoną sir Lancelota. Powoli imiona i nazwiska zaczęły układać się w całość. Przypomniał sobie, że pierwszy wpis w kronice mówił o spotkaniu, do którego doszło mniej więcej tego dnia między Henrym Machynem i niejakim Johnem Heathem, może jakimś krewnym Lancelota Heatha. Wielu rzeczy jednak nie pamiętał. Gdzie się spotkali? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Thomasie, jesteś pewien, że nie wiesz, dokąd udała się pani Machyn?

Thomas pokręcił głową.

Clarenceux zaczął się podnosić. Nie było to łatwe. Nadal nie mógł stanąć na chorej nodze, musiał przytrzymać się ściany.

– Zrobię, co się da, ale nie mogę obiecać niczego, co nie leży w mojej mocy.

Spojrzał w oczy swego starego sługi. Pochylił się i położył mu ze współczuciem dłoń na ramieniu. Thomas podniósł wzrok.

– Wasza miłość, wy sami nie wiecie, co leży w waszej mocy. Ile łaski ześle wam Bóg, ile okaże wam ufności. Jeśli jesteście wiernym sługą bożym, stanie się tak, jak przyrzekliście. Nie mam co do tego wątpliwości.

Clarenceux wziął głęboki oddech i na chwilę zakrył dłońmi twarz. Potem spojrzał na bezwładne zwłoki chłopca.

– Nie zrobiłem nic złego, nie popełniłem zdrady, a jednak zabito mi służącego, obrócono mój dom w perzynę, a rodzinę zmuszono, by uciekła z miasta niczym banici. Uwierz mi, Thomasie, zapłacą mi za to, choćbym miał popełnić zbrodnię, aby położyć kres terrorowi. Jeśli zajdzie potrzeba, będę popełniał jedną zbrodnię za drugą. Nie pozwolę, aby śmierć Willa uszła im bezkarnie. W myślach już im wyrwałem języki i wyłupiłem oczy. Poślę ich dusze do piekła, a serca rzucę psom na pożarcie. Uczynili sobie ze mnie wroga. Nie chcę już dłużej być niewinnym człowiekiem.

27

Rebecca uklękła na podłodze w małej izbie i oparła czoło na wezgłowiu łóżka. Nuciała cichutko, nie melodię, lecz dźwięki, które same układały się jakby w kołysankę i kołysały duszę. Palcami przewijała paciorki różańca. Dźwięki kołysanki były jej modlitwą.

Z domu po drugiej stronie ulicy dochodziły krzyki. Jakiś mężczyzna łomotał w drewniane drzwi. Od zeszłej nocy przychodzili tu różni ludzie. Przestali udawać, że w domu panuje zaraza, oderwali deski, drzwi zostawili otwarte, a na straży postawili dwóch żołnierzy.

Nie reagowała na żadne odgłosy. To już nie był jej dom. Zaledwie miejsce z przeszłości, w którym kiedyś mieszkała. Stało się kwaterą żołnierzy, obcą jej i Henry'emu.

Święta Mario, Matko Boska chroń go przed tymi prześladowcami. I przed wszelkim nieszczęściem, cierpieniem, strachem i bólem.

Przerwała i się przeżegnała. Miała szczęście, że udało jej się wrócić do pani Barker. Była prawie ostatnią osobą, którą straże przy bramie wpuściły do miasta. Udało jej się przemknąć niezauważenie w gasnącym świetle i nikt jej nie rozpoznał. Lecz najwięcej szczęścia dopisało jej u pana Clarenceux, kiedy znalazła kronikę. Dobrze, że pani Barker przyjęła ją powrotem do swego domu. Mogła przecież zamknąć przed nią drzwi ze strachu, że ją zdemaskują, ale tego nie uczyniła. Była lojalną przyjaciółką.

Kronika leżała na łóżku. Najważniejsze, że wyniosła ją z domu herolda. Zrozumiała wtedy, że tylko ona może uratować jego rodzinę. Pani Harley chciała zrobić wszystko po swojemu, ale nie miała dość sprytu, żeby znaleźć ukryty wolumin, za bardzo paraliżował ją strach o córki. Co do starego Thomasa, czekałby tylko na rozkazy.

Dobrze uczyniła, przynosząc ją tutaj.

28

Henry Machyn nie miał pojęcia, gdzie jest. Tonąca w półmroku piwnica z ceglanymi ścianami mogła znajdować się wszędzie. Słyszał kapanie wody – cichutki plusk co osiem lub dziesięć sekund. Krople trzymały się ściany najdłużej, jak mogły, zanim w końcu spadły do kałuży. Tak samo jego dusza: próbowała przetrwać jak najdłużej, czekając na ostateczne uwolnienie.

Przypomniał mu się dzień, gdy umierał jego dziadek. On i jego bracia byli wtedy chłopcami. Bawili się na brzegu rzeki niedaleko młyna. Niespodziewanie przyszedł ojciec i kazał im natychmiast wrócić do domu. Staruszek umiera, powiedział. Zdawało się, jakby już w następnej chwili wszyscy uroczyście stali u stóp łóżka, na którym leżał dziadek, a on udzielał im błogosławieństwa. Henry spytał siebie: skąd on wie, że umiera? Pożegnali się wszyscy bardzo grzecznie i pocałowali go. A potem poszli bawić się nad rzeką. Godzinę później pojawiła się mama i powiedziała, że dziadek odszedł do nieba.

Niebo. Żył z nadzieją, że po śmierci trafi do nieba. Na każdym kroku towarzyszył mu strach, że zostanie przeklęty za grzechy i święty Piotr nie przepuści go przez bramę. Jednak w ciągu kilku ostatnich godzin przekonał się, jacy okrutni bywają ludzie. Nic, co w życiu uczynił, nie mogło się równać z tym barbarzyństwem. W głębi serca wiedział, że nigdy nie pragnął skrzywdzić drugiego człowieka. Tymczasem tym podłym psom

sprawiwały przyjemność jego krzyki, kiedy darli zeń pasy i sypali sól na rany lub cęgami wyrywali paznokcie. Albo kiedy przywiązali go do wielkiej kraty i powiesili nad ogniem. Znosząc te męki, myślał tylko o jednym, i tylko ta jedna myśl podtrzymywała go na duchu: że nikogo nie zdradził. Dopóki nie piśnie ani słowa, droga do nieba stoi przed nim otworem, nawet jeśli prowadzi przez ogień i ciemność.

Kiedy go aresztowali, myślał, że Clarenceux go zdradził, ale później w czasie przesłuchania i tortur zrozumiał, że nie miał racji. Clarenceux był niewinny. Chcieli wiedzieć, gdzie jest kronika, a nie pytaliby o to, gdyby Clarenceux im powiedział. Chcieli też wiedzieć, gdzie jest Rebecca, widocznie i ona się ukrywała. Pozostało mu do zrobienia tylko jedno: czekać, aż zniszczą to kruche śmiertelne ciało i uwolnią jego duszę.

Usłyszał za drzwiami kroki i wstrzymał oddech. Nadal czuł niepokój, pomimo całego bólu, który już zniósł. Tym razem żołnierz powiesi go na linie i połamie mu nogi. Tak mu powiedzieli. A on tak jak jego dziadek wiedział, że nadszedł jego czas. To prawda, że nikt nie stanie u stóp jego łoża. Jego bracia od dawna nie żyją, syn jest za granicą, żona się ukrywa. Umrze samotnie, ale to nie szkodzi. Bóg zobaczy, że odejdzie ze świata z godnością. Na swój skromny sposób jego śmierć będzie zwycięstwem.

Otworzyły się drzwi i wszedł strażnik ze zwiniętą liną. Henry Machyn się przeżegnał.

– Zostańcie z Bogiem, moi Rycerze Okrągłego Stołu i królu Clariance – wyszeptał. – Mój synu, Johnie, moja żono Rebecco, ostańcie z Bogiem. Harry Machynie, bądź dzielny.

I drżącym głosem, ze łzami w oczach zaczął śpiewać.

29

Spośród porozrzucanych kart i kawałków roztrzaskanego drewna Clarenceux wydobył złamany grzbiet oprawionego w skórę woluminu i spojrzął na jego zniszczoną zawartość. Odłożył go na stół. Tyle stronic powyrywano z jego ksiąg...

Ze ściany zniknął portret ojca. Clarenceux przeszukał porozrzucane rzeczy i pod spłowiałym dokumentem zauważył róg złoconej ramy. Pociągnął i stwierdził, że malowidło znikło. Coś czerwonego w kącie pokoju przyciągnęło jego wzrok. Odsunął wolumin, który leżał na wierzchu, i pod spodem znalazł płótno z namalowaną szkarłatną szubą i połową twarzy jego ojca. Rozcięcie u góry świadczyło o tym, że intruzi wyrwali obraz z ramy i rozerwali na pół.

Odwrócił się do okna. Właściwie jedyną rzeczą, jakiej nie zniszczyli, było okno.

Pomyślał o Awdrey. Nie zawahała się wyjechać z Londynu i wcale się temu nie dziwił. To nie była ucieczka, jego żona pragnęła chronić córki. Zapewne zabrała z domu pieniądze i nianię Brown do pomocy. Aktem wielkiej odwagi było wyruszyć kobiecie w daleką podróż bez towarzystwa mężczyzny. Przydrożne oberże nie oferowały wielu wygod, samotnie podróżujące niewiasty nie mogły czuć się bezpiecznie. Konstable niechętnie dawali ucha obcym przybyszom, zwłaszcza kiedy ci wnosili skargi przeciwko miejscowym. W wypadku przestępstwa na sędziów często

powoływano znajomych oskarżonego, którzy go uniewinniali, powołując się na jego „dobrą opinię”. Właściciele zajazdów liczyli też kobietom wyższe stawki, ponieważ nie dzieliły łóżek z innymi podróżnymi.

To pierwsza rzecz, jaką musi zrobić: upewnić się, że Awdrey jest bezpieczna i zdrowa. Zastanawiał się, czy samemu nie wyruszyć w ślad za nią. Niemożliwe, pomyślał, nie mogę jechać do Devon i jednocześnie szukać kroniki oraz Lancelota Heatha. Muszę wysłać Thomasa, gdy tylko skończy wypełniać rodzinne obowiązki. Jeśli się pospieszy, dogoni ją w dwa dni. Chłopiec stajenny od sąsiadów może doglądać koni, kiedy nas nie będzie.

Clarenceux zobaczył na podłodze jeden ze swoich własnych manuskryptów. Część stronic wydarto z oprawy. Podniósł go i położył na zniszczonym stole.

A co z pieniędzmi? Wygląda na to, że ludzie Crackenthorpe’a zrabowali każdy grosz, jaki był w domu. Nie mam nawet nic, co mógłbym sprzedać, bo wszystko zostało zniszczone.

Podszedł do małej drewnianej szkatułki przewróconej w kącie pokoju. Nawet ślad nie pozostał po monetach, które w niej trzymał. Po kilku minutach poszukiwań pod welinowym dokumentem znalazł złote pół suwerena, które uszło uwagi żołnierzy. Wystarczy na podróż Thomasa. Ja będę musiał zdać się na przyjaciół...

Ale jacy przyjaciele mnie wspomogą?

Uprzytomnił sobie niezręczność swojej pozycji. Nie wróci z kroniką do Walsinghama, nie mógłby, nawet gdyby chciał. Ale nie może też wrócić z pustymi rękami. Od tej pory musi się ukrywać. A Crackenthorpe niech go sobie szuka.

Oddychając ciężko, próbował się skoncentrować i ułożyć plan. Muszę odzyskać kronikę, to najważniejsze. Pani Machyn na pewno ukryła się

w miejscu, gdzie bez trudu ją znajdę. Chce, abym udzielił im obojgu ochrony. Nie ma nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc i ochronę. Poza panią Barker.

Przypomniał sobie twarz Rebekki Machyn, wyobraził sobie, jak ucieka z jego domu z księgą wsuniętą pod pachę. Była silną i inteligentną kobietą, mimo smutku, który nieodłącznie jej towarzyszył.

Znajdę ją, a kiedy odzyskam księgę, pojedę do Chislehurst. Najbezpieczniej będzie opuścić miasto. Julius zapewni mi jedzenie i pieniądze. Potem wrócę do miasta i zemszczę się za śmierć Willa Terry'ego, zniknięcie Henry'ego Machyna i zniszczenie mego domu.

Popatrzył na drzwi, zobaczył rozłupane drewno i poczuł, że to nie jest już jego dom. Stracił wszystko – dobytek i nawet dach nad głową, gdzie mógłby się bezpiecznie schronić. Od tej chwili nic w jego życiu nie jest oczywiste ani trwałe.

30

Walsingham szedł żwawym krokiem w stronę salonu. Był w złym humorze. Rozdrażniła go podróż powrotna z Westminsteru, a wcześniej zezłościł go Cecil. A teraz ta ostatnia nieudolność Crackenthorpe'a. Musi to z nim wyjaśnić.

Gniewnym pchnięciem otworzył drzwi i usiadł przy biurku pod oknem. Po kilku sekundach poderwał się z powrotem, podszedł do tacy z wetami, wziął jeden i odstawił tacę z powrotem. Kąsek mu nie smakował; wyjął go z ust i wrzucił w ogień, gdzie zaskwierczał na płonących polanach.

Odwrócił się do lustra i zaczął studiować swoje odbicie, jak to często czynił. Przyjrzał się po kolei każdej części garderoby: czarnemu dubletowi, czarnej kamizeli, małej kryzie z wysokim kołnierzem, czarnej przylegającej czapce. Zajrzał sobie głęboko w oczy. Skupił się mocno, aby zobaczyć, co się w nich kryje.

Zmarszczył brwi. To on ucieleśniał żelazną wolę królowej.

I Cecila również. To było jego życie. On był metodą. Cała jego osoba, od intuicji po wyobraźnię, była narzędziem, które zapewniało Cecilowi bezpieczeństwo. Miał zapał, spryt i inteligencję. Ów wspaniały byt – boska królowa Elżbieta – była nie tylko kobietą, była nim i Cecilem, i tysiącem innych ludzi, którzy czynili ją wielką, wszytkowidzącą, wszechpotężną i umiłowaną przez Boga. To, że Crackenthorpe nie znalazł kroniki, nie

znaczy, że Clarenceux gdzieś jej nie ukrywa. On, Walsingham, ją znajdzie. Pokaże heroldowi, że jego los leży w jego rękach.

Zajrzał głębiej. A jeśli się mylę? Jeśli to był przypadek, że Machyna znaleziono w stajni Clarenceux? Nie, to niemożliwe. Clarenceux poszedł w nocy do jego domu, a potem jeszcze raz nazajutrz rano. Między jednym a drugim zdarzeniem znaleziono Machyna w jego obejściu.

Więc gdzie jest ta przeklęta kronika?

– Wasza miłość – doszedł od drzwi głos służącego – wrócił sierżant Crackenthorpe. Chce się z wami widzieć.

– Najwyższa pora. Wpuść go.

Zanim Crackenthorpe wszedł do komnaty, zanim nawet zdążył zauważyć niską postać Walsinghama stojącą przed lustrem, usłyszał surowy wyrzut, wypowiedziany lodowatym spokojnym głosem.

– Zawiodłeś mnie.

– Panie Walsingham...

– Milcz! Nie znoszę, kiedy mi się przerywa. Powiedzieć, że jestem rozgniewany, byłoby wielkim niedomówieniem. Księga Machyna była w domu herolda, a tyś pozwolił, żeby ci się wymknęła. Jesteś jak armata, zbyt wielka i niezgrabna, żeby mogła się na coś przydać, za ciężka, żeby ją przemieścić lub skierować na cel. Głupiec i niezdara! Ile błędów popełniłeś? Najpierw zabiłeś Szkota, zanim zdążył coś powiedzieć. Owszem, wiem, że miał zamordować Drapera, lecz znacznie więcej byśmy zyskali, gdybyś pojmał go żywcem, gdybyś odciął mu rękę, a nie głowę. Potem przed całym Londynem próbowałeś udawać, że w domu Machyna panuje zaraza, w grudniu, dwa miesiące po tym, jak skończyło się długie lato straszego moru. A teraz nie udało ci się znaleźć kroniki.

– Ale ja uważam...

– Dość! Masz słuchać, a nie odpowiadać. Musiałem uwolnić Clarenceux, ponieważ nie znalazłeś księgi w jego domu. Jak ją teraz odzyskam bez niego? Wielkie nieba! Moi wrogowie są bardziej użyteczni niż ty! Zdrajcy są bardziej ulegli, bardziej posłuszni. Z powodu twojej nieudolności powinienem oskarżyć cię o zdradę stanu.

Crackenthorpe czekał w milczeniu. To były niesprawiedliwe oskarżenia. Ale zemści się jeszcze przed końcem tej rozmowy. Niech Walsingham się wygada, potem odszczeka każde słowo. A powód tkwi wsunięty za poję jego dubletu.

Walsingham ciągnął:

– Machyn przyszedł do Clarenceux przedwczoraj w nocy. Jeśli nie dał mu wtedy kroniki, to zrobił to wcześniej. Nie było jej w domu herolda, kiedy zacząłeś rewizję, a jednak Clarenceux przyznał, że ją widział. Zatem pomiędzy wizytą krawca a przeszukaniem domu kronikę ktoś wyniósł. Dokąd? Czy kiedy wróciliście do domu Clarenceux, nie brakowało kogoś ze służby?

– Nie. Było dwóch chłopców, pokojówka, starzec i...

– Jeśli ktoś z nich wyniósł kronikę, zdążył wrócić do domu. Mam nadzieję, że wszystkich przesłuchałeś?

Crackenthorpe spojrzał na niego pochmurnie.

– Kronikę zabrała żona Machyna. Moi ludzie jej szukają.

– Żona Machyna? A gdzie jest teraz rodzina i służący Clarenceux? Zakładam, że nie spuszczasz jego domu z oka.

– Oni nie mają kroniki. Jak powiedziałem, zabrała ją Rebecca Machyn. Wywróciłem w tym domu do góry nogami każdy przedmiot, w którym dałoby się ją ukryć.

– Ale oni wiedzą, co się z nią stało, sierżancie Crackenthorpe. I zapewne wiedzą, gdzie jest Rebecca Machyn. Jakie kroki przedsięwziąłeś, aby

wydobyć z nich informacje?

– Do diabła, Francisie Walsingham! Jednego z nich nawet powiesiłem!

Zapadło długie milczenie.

– Co takiego?

Crackenthorpe rozejrzał się po komnacie, jakby szukał drogi ucieczki. Mijały sekundy. W końcu spojrzał swemu chlebobdawcy w oczy.

– Powiesiłem jednego z chłopaków służebnych. Byłem tak samo pewny jak wy, że muszą wiedzieć, gdzie jest kronika. Więc kiedy jeden z tych szczeniaków powiedział, że zabrała ją żona Machyna, postanowiłem zmusić go do gadania. Powiesiłem drugiego na sznurze u belki w kuchni. Wszyscy wrzeszczeli i tracili zmysły, ale nikt nie pisnął ani słowa o kronice, nawet kiedy chłopak już dogorywał. Gdyby któreś z nich coś wiedziało, puściłoby parę z gęby.

Walsingham wytrzeszczył na niego oczy. A Crackenthorpe ciągnął:

– To oczywiste, że żona Machyna musiała przyjść w tym czasie, kiedy eskortowałem Clarenceux do waszego domu, zanim wróciłem na rewizję. Ona ją zabrała. Starzec powiedział to, kiedy chłopak umierał.

– Musiałeś go wieszać? Bardzo trudno jest upozorować wypadek wisielca. Także obronę własną. Zwłaszcza gdy chodzi o młodego chłopca.

Crackenthorpe wzruszył ramionami.

– Nie powinniście narzekać. Będzie z tego podwójny zysk, po pierwsze, zdobyłem dla was informację, a po drugie, zapamiętają sobie, że nie cofnę się przed niczym, żeby odkryć prawdę.

– Głupcze! Miałeś świadków! Mogą cię postawić przed sądem. A ja znowu będę musiał ratować ci skórę. Tym razem nie zamierzam się trudzić. Oszczędzę sobie mnóstwa zachodu, jeśli cię pošlę do diabła.

Wziął głęboki oddech i podszedł do okna, z którego widać było Tower. Spojrzał na ponure mury. Były niczym lustro jego umysłu. Jego oczy

patrzyły na ściany zwieńczone blankami, lecz w myślach widział własną duszę.

Crackenthorpe rozkoszował się ciszą. Na ten moment czekał. Przettrzymał burzę, a teraz mógł przeprowadzić własne natarcie.

– Tak jak powiedziałem, nie wiemy, gdzie jest teraz żona Machyna. Służący nie mieli pojęcia, dokąd poszła, ale zgodnie zeznali, że to ona zabrała księgę. Próbowałem coś jeszcze wycisnąć ze starego, ale po śmierci chłopaka zaciął się na dobre. Biłem go aż do krwi, zagroziłem, że spalę go żywcem razem ze stajnią, ale nic już nie wskórałem. Lecz jeśli żona Machyna u kogoś się ukrywa, wiem, gdzie rozpocząć poszukiwania.

– Wiesz? – zapytał Walsingham z nagłym zainteresowaniem.

Crackenthorpe sięgnął do dubletu, wyciągnął zwitek papieru, po czym rozwinął go i położył na biurku. Walsingham wziął go bez słowa i podszedł z nim do okna. Jeden rzut oka na koślawe pismo wystarczył, aby się zorientował, że ma przed sobą testament Machyna, napisany jego własną niewprawną ręką ósmego listopada, czyli miesiąc temu.

W rzeczywistości jednak było to coś więcej niż testament. Był to dowód, cudowny dowód. Na początku dokument wyszczególniał kilka zapisów na rzecz żony i syna Johna. Potem tekst brzmiał, jak następuje:

Pozostawiam w spatku Panu Clarenshux wszystkie moje tarcze herbowe oraz moją chronikę a także resztę moich dóbr Ruchomości Długów tależy klejnotuw gotowizny po zapłaceniu Długów wydatków pogrzebowych i Uczynionych zapisuw.

Walsingham podniósł wzrok na Crackenthorpe'a.

– Zostawił heroldowi kronikę. To żadna niespodzianka. Ale tarcze herbowe? Talerze i klejnoty? I cały dobytek? To bardzo dziwne, że nie zostawił sreber i biżuterii żonie lub synowi, tylko heroldowi, człowiekowi znacznie zamożniejszemu, z wyższej klasy społecznej.

Crackenthorpe poczuł głęboką satysfakcję.

– Przeczytajcie do końca.

Walsingham spuścił wzrok z powrotem na papier. Kilka linijek niżej, po kolejnym zapisie dla swojej żony, Machyn napisał: **Ustanowiłem i mianuję Lancelotta hetha, Obywatela i malarza nadzorczą mego testamentu.**

– Lancelot Heath – mruknął Walsingham.

Po czym kontynuował. Ostatni ustęp brzmiał, jak następuje:

Niniejszem świątecznym ja rzeczony Henrie Mackyn ten obecny testament i Ostatnio wole spisałem własnoręcznie i zapieczętowałem datą dnia i roku jak powyższy świątkowie są tej woli i zapieczętowania i dostarczenia także samo.

Walsingham prawie się zawahał przed odczytaniem nazwisk, tak wielką radość sprawiło mu to odkrycie. Crackenthorpe nie spuszczał z niego oczu – to właśnie Walsingham ubóstwiał, dreszczyk pościgu, nowy trop.

Walsingham odchrząknął.

– Oto nazwiska świadków: Lancelot Heath, kupiec i krawiec William Draper, kupiec żelazny Nicholas Hill, krawiec Michael Hill i Daniel Gytens. – Walsingham skinął głową w kierunku Crackenthorpe’a. W milczeniu przyglądał się swemu podwładnemu. – Dobrze się spisałeś. Nadal utrzymuję, że nie powinieneś pozwolić, aby wykradziono ci kronikę sprzed nosa. I z całą pewnością nie powinieneś być zabijać chłopca. Ale ten testament z nawiązką rekompensuje twoje błędy.

– Myślę, że to są nazwiska Rycerzy Okrągłego Stołu.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Łącznie z Clarenceux i Machynem to siedem osób. Więcej, niż William Draper był skłonny wymienić. Wspomniał tylko cztery: siebie, Machyna, Jamesa Emery’ego i Lancelota Heatha. – Odłożył testament na stół. – Sądziłem, że powiedział nam wszystko, co wie. Okazuje się, że jest coś więcej.

– Z mojego doświadczenia wynika, że zawsze jest coś więcej, panie Walsingham.

Walsingham popatrzył na sierżanta.

– To chyba najgłębsza myśl, jaką w życiu wypowiedziałeś.

– Poszedł po tacę ze słodyczami i podsunął Crackenthorpe'owi.

– Weź wszystkie. To mała nagroda. Później odwiedzimy razem pana Drapera i zamienimy z nim słówko. Przemówisz do jego śmiertelnego ciała, ja zaś do nieśmiertelnej duszy.

31

Clarenceux oparł się o most nad rzeką Fleet i spojrział w kierunku murów miejskich. Dzień był pochmurny, a on żałował, że nie ma na sobie podbitej futrem szuby. Czuł też inne zimno, jakby woda rozpryskiwała się na nowo wykutej głowni.

Ktoś zapłaci za zabójstwo Willa.

Spojrział w dół na wirującą wodę. Uprzytomnił sobie, że zawdzięcza życie pani Machyn. Gdyby nie zabrała kroniki z mego domu, nie oglądałbym teraz słonecznego światła, pomyślał. Walsingham kazałby mnie zbić na kwaśne jabłko, a potem powiesić. Albo jeszcze gorzej.

Popatrzył na szarobure niebo i rad, że żyje, ruszył wzdłuż muru. Wiatr mierzwił mu włosy, kiedy mijał sklepienie bramy Ludgate. Nie miał pojęcia, jak znajdzie dom pani Barker. Musi stać gdzieś w zasięgu wzroku od domu Machynów. Mógłbym poprosić o wskazówkę przechodniów, pomyślał, lecz jeśli Walsingham odkryje, że rozpytywałem o dom pani Barker, narażę ją na niebezpieczeństwo.

Idąc, raz po raz zmuszał się, aby przewyciężyć ból. Minał dziedziniec kościoła Świętego Pawła i ruszył prosto w stronę Maidenhead Lane, cały czas wyobrażając sobie, co robi Crackenthorpe'owi, kiedy go dopadnie.

Na Maidenhead Lane przystanął i się opamiętał. Co zyska, zatracając się w gorzkich rozmyślaniach o zemście? Ma znaleźć panią Machyn. Jeśli mu

się uda, dowie się, gdzie spotka sir Lancelota. Potem zbierze wszystkich Rycerzy Okrągłego Stołu i w końcu odkryje, o co chodzi w całej tej historii.

Przystanął na rogu ulicy, gdzie mieszkali Machynowie. Z drzwi domu zerwano deski. Nigdzie nie widać było strażników. Clarenceux najchętniej zapukałby od razu do jednego z sąsiednich domów i zapytał o panią Barker, lecz obawiał się, że ktoś go śledzi. Chociaż oglądał się kilkakrotnie i nikogo nie zauważył, nie miał pewności, czy Walsingham nie wysłał ludzi, aby go obserwowali. W końcu wiele ryzykował, puszczając go wolno. Sprawiał wrażenie, jakby wierzył, że dostanie księgę, ale musiał wszak podejrzewać, że Clarenceux nie ma najmniejszego zamiaru powracać. Nie był chyba takim głupcem, by spuścić go z oczu i nie posłać za nim szpiegów.

Niebo wisiało nisko, ciężkie od szarych chmur. Zbierało się na deszcz. W oknie na piętrze pokojówka z trzaskiem zamknęła okiennice. Gdzieś na podwórzu czekał pies. Na ulicy gawędziły dwie służące, zamiatając ulicę przed drzwiami. W jego stronę szła szybkim krokiem niewiasta w lnianym kornecie, z koszem w ręku i z zatroskaną twarzą. Zauważył, że w koszu niesie dużo ryb, i błyskawicznie podjął decyzję. Taka ilość ryb wskazywała, że kobieta zaopatruje zasobne gospodarstwo, żwawy krok zaś świadczył, że jest sumienną i obowiązkową służącą. Uznał, że warto zaryzykować.

– Szczęść Boże, dobra kobieto. Czy powiecie mi, który dom należy do pani Barker?

– Nie słyszałam o nikim takim – odrzekła niewiasta, prawie nie zwalnając kroku. – Nie jestem z tej parafii. Życzę dobrego dnia, panie.

Clarenceux rozejrzał się dookoła, lecz nie zauważył nikogo więcej, kogo mógłby zaczepić. Służące, które zamiatały ulicę, za bardzo rzucały się w oczy, ludzie Walsinghama mogą je później przesłuchać. Odwrócił się z powrotem w stronę domu Machyna i podszedł do sąsiedniego budynku. Chwycił ciężką mosiężną klamkę i nacisnął. Drzwi były zamknięte na

klucz. Sięgnął po nóż i stwierdził, że go nie ma. Zaklął, podniósł dłoń i załomotał łokciem. Czekał, a po chwili powtórzył pukanie, lecz nadal nikt nie odpowiadał.

Rozejrzał się nerwowo po ulicy. Nie zauważył, żeby ktoś go obserwował. Odwrócił się, aby podejść do budynku sąsiadującego z domem Henry'ego po drugiej stronie. Była to wyższa, okazalsza rezydencja z główką cherubina ozdabiającą narożnik. W tej samej chwili jednak usłyszał w zamku zgrzyt klucza.

Z domu Machyna wyszedł żołnierz, bardzo wysoki, wyższy nawet od niego, z prostymi brązowymi włosami i ciężkimi powiekami. Clarenceux rozpoznał w nim jednego z ludzi, z którymi Crackenthorpe przyszedł wczoraj wieczorem, żeby go aresztować.

Clarenceux znieruchomiał. Przypomniawszy sobie, że jest nieuzbrojony i słaby. Żołnierz stanął zaskoczony na widok rosnącego mężczyzny, którego twarzy nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć i który wyrósł przed nim jak spod ziemi i patrzył nań dziwnie. Potem przypomniał sobie, skąd go zna i co zaszło w jego domu, co zrobiono z jego młodym służącym.

Clarenceux rzucił się na żołnierza i sięgnął po jego miecz. Żołnierz odruchowo opuścił rękę, aby go osłonić, lecz herold był o sekundę szybszy. Wyciągając broń, odciął dwa zaciśnięte palce przeciwnika. Mężczyzna skulił się i krzyknął z bólu i wściekłości, zamachnął się pięścią, lecz chybił, i zataczając się do przodu, spróbował chwycić Clarenceux za gardło. Ten cofnął się o krok, aby użyć miecza, lecz strażnik już go dopadł. Usłyszał za plecami kobiecy krzyk i tupot nóg. Zaraz potem leciał w tył, a jego przeciwnik za nim. Aby nie upaść na plecy, obrócił się w powietrzu, wyswobodził i pchnął żołnierza w pachwinę. Poczuł, jak ostrze zagłębia się w miękkim ciele i trafia na kość.

Z impetem uderzył ramieniem o ziemię. Od upadku poczuł w kolanie tak przeszywający ból, że zacisnął zęby.

Kątem oka zobaczył, że drugi mężczyzna, ten, który musiał od tyłu podstawić mu nogę, bierze zamach drewnianym kubłem z żelazną obręczą. Próbował poderwać się na nogi, lecz w tej samej chwili dostał wiadrem w skroń. Krzyknął z bólu i runął z powrotem na ziemię. Tamten zamachnął się po raz drugi, jednak tym razem herold w porę zauważył zagrożenie i przetoczył się w bok. Kiedy podniósł spojrzenie, mężczyzna właśnie ciskał w niego kubłem. Zasłonił się odruchowo ramieniem i ceber trafił go w łokieć. Zaczął się podnosić, nie zwracając uwagi na ból w kolanie, lecz zanim zdążył się dźwignąć, przeciwnik wyjął długi sztylet i rzucił mu się do gardła. Clarenceux mógł tylko usunąć się z drogi i zasłonić mieczem. Mężczyzna odwrócił się natychmiast i skoczył na niego po raz drugi, mierząc tym razem w twarz, on tymczasem ślizgał się i zataczał w błocie, usiłując stanąć na lewej nodze. Wycofywał się na czworakach, podpierając dłońmi z tyłu, lecz nie mógł w tej pozycji użyć miecza. Przeciwnik znowu pchnął sztyletem w jego kierunku. Clarenceux obronił się kopnięciem, a jednocześnie poczuł pod łokciem stopień i wykorzystał go, aby kucnąc, wyciągając przed siebie miecz. Odparował dwa, trzy ciosy i wreszcie stanął na nogach.

Tym razem żołnierz się zawahał, widząc, że stracił przewagę. Clarenceux obserwował go oparty plecami o ścianę i czekał, aż uderzy. Czuł, że zaatakuje nagłym, błyskawicznym ruchem. Pamiętał lekcję, jaką dostał podczas oblężenia Boulogne – swojej jedynej wojskowej kampanii. „Więcej się dowiesz o człowieku w ciągu jednej minuty walki niż przez cały rok gadania”. Zdawał sobie sprawę, że przeciwnicy przewyższają go umiejętnościami, miał szczęście, że udało mu się zranić pierwszego żołnierza. Brakowało mu jednak doświadczenia i wprawy.

Nagle rozległ się przeraźliwy ryk żołnierza, który jeszcze przed chwilą leżał w błocie i tarzał się, trzymając się za podbrzusze i klnąc z bólu. Na ulicy zebrała się garstka ludzi, ale stali zbici w grupkę po drugiej stronie i tylko patrzyli, nikt nie pomógł rannemu. On tymczasem się podniósł i zakrwawiony ruszył z wrzaskiem na herolda. Clarenceux czekał, rzucił w jego stronę szybkie spojrzenie, lecz wiedział, że mężczyzna z nożem wybierze właśnie ten moment, aby ponownie zaatakować.

Kiedy padł cios, Clarenceux już robił unik, jednocześnie tnąc mieczem, po czym szybko uskoczył w lewo. Ostrze zacięło nożownika przez środek twarzy, a tymczasem herold usunął się za jego ramię i uderzył nadbiegającego żołnierza w krwawiący brzuch. Nie zwracał uwagi na krzyk człowieka z nożem, nawet go nie słyszał. Czuł tylko narastającą panikę, kiedy przewracał się razem z drugim przeciwnikiem na ziemię. Pchnął gorączkowo w żebra, przekręcił głownię i pociągnął. Wylądował na dogorywającym strażniku, przytrzymał go za twarz i jeszcze raz dźgnął w pierś. Dopiero kiedy trzeci raz zatopił ostrze w ciele mężczyzny, odwrócił się w stronę nożownika, lecz ten był już daleko i uciekał, zataczając się na oślep, zasłaniając dłońmi zakrwawioną twarz.

Clarenceux popatrzył na krew na własnych rękach. Lśniący strumień przeciekał przez kaftan żołnierza i wsiąkał w ziemię. Rana w pachwinie odsłaniała połyskujące jelita.

Zrobiło mu się słabo. Próbował się podnieść, ale nie mógł. Świat wokół niego zamykał go w uścisku; w głowie dudniło mu od uderzenia kubłem; bolało go całe ciało. Poczł mdłości, nie potrafił się powstrzymać i zwymiotował na ziemię obok zwłok. Potem opadł w błoto i patrzył na szare niebo. Nie miał nawet siły się modlić; słyszał swoje własne dyszenie, czuł w ustach gorzką żółć.

Zaczęło padać. Przez kilka sekund leżał bez ruchu i czuł chłodne krople rozpryskujące się na jego twarzy.

– Moja pani kazała wam powiedzieć, żebyście szybko weszli do środka, jeśli wam życie miłe.

Clarenceux podniósł wzrok i zobaczył nad sobą mniej więcej dwudziestoletniego młodzieńca o surowych, ostrych rysach.

– Błagam, panie Clarenceux, dla dobra nas wszystkich, wstańcie i chodźcie szybko za mną!

Clarenceux oprzytomniał. Podniósł się na kolana, zaklął z bólu i z wielkim trudem stanął na nogach. Ludzie na ulicy obserwowali go z ciekawością. Widzieli, jak zaatakował żołnierza bez widocznego powodu. Na oczach wielu świadków popełnił przestępstwo, za które groziła szubienica.

Deszcz padał coraz gęstszy.

– Panie Clarenceux, proszę!

Spojrzał w kierunku, w którym wskazywał chłopak. W domu po drugiej stronie ulicy zobaczył otwarte drzwi.

Odwrócił się do zabitego żołnierza i wyjął z jego piersi miecz. Cisnął go obok ciała na ziemię. Czuł wstręt, jakby sam dla siebie był obcym człowiekiem.

Powinienem pomodlić się za jego duszę, pomyślał. Ale nie wiem nawet, jak się nazywa.

Przeżegnał się i rzekł:

– Spoczywaj w pokoju. Amen.

Potem odwrócił się i ruszył za chłopakiem.

Dopiero wtedy świadkowie posłali po konstabla. Coraz grubsze krople deszczu padały na zakrwawione zwłoki Johna Crackenthorpe'a, brata sierżanta w służbie Jej Królewskiej Mości.

*

Clarenceux wszedł za młodzieńcem na teren posiadłości po drugiej stronie ulicy, a następnie ścieżką na ogrodzony dziedziniec na tyłach domu. Stąd mała furka prowadziła na podwórze sąsiedniej rezydencji. Żadne drzwi nie były zamknięte na klucz, młody pacholek doskonale wiedział, dokąd idzie i którądy się tam dostać.

Na czwartym i ostatnim dziedzińcu zatrzymali się pod drabiną opartą o mur. Służący wszedł po niej bez wahania i czekał. Herold wdrapał się za nim powoli i stanął niepewnie na szczycie muru, tymczasem chłopak wciągnął drabinę do góry, opuścił ją po drugiej stronie i zręcznie zszedł na dół. Clarenceux zrobił to samo znacznie wolniej.

Kiedy znalazł się na ziemi, podniósł wzrok. Miał przed sobą wymyślnie rzeźbioną drewnianą tylną ścianę eleganckiego miejskiego domu. Liczne okna wpuszczały światło do pokoi na wyższych piętrach. Wielkie ołowiane zbiorniki na podwórzu łapały deszczówkę spływającą z dachu budynku oraz jego skrzydła. Po drugiej stronie dziedzińca stała stajnia, obok niej brama prowadziła na ulicę. Z tyłu, za murem, widać było stary gmach, w którym Clarenceux rozpoznał siedzibę Gildii Malarzy.

Z domu wyszła pani Machyn, przestraszona, a jednocześnie z determinacją wymalowaną na twarzy. Niosła na ramieniu białe lniane ręczniki. Clarenceux zapragnął ją objąć, poczuć ciepło jej ciała, lecz wiedział, że nie może jej tknąć. Ani jej, ani nikogo, nie tylko dlatego, że był zboczony krwią, lecz ponieważ był nieczysty. Zabił człowieka, nie ma prawa do ludzkiego ciepła.

Dopiero teraz poczuł, że się trzęsie. Muszę się wypowiadać, pomyślał.

- Przyłóżcie to sobie do rany. – Rebecca owinęła mu głowę ręcznikiem.
- I przytrzymajcie, o tak.

– Jestem w wielkim niebezpieczeństwie, pani Machyn – powiedział, idąc za nią w stronę drzwi.

– Wiem. Widziałam przez okno. Czy ten człowiek nie żyje?

– Tak myślę.

– Nie rozmawiajmy tutaj. Musimy jak najszybciej wejść do środka.

Wprowadziła go do domu i powiodła dalej ciemnym korytarzem.

– Gdzie jest kronika?

– Ukryta.

Odwróciła się i wskazała na górę, a jednocześnie położyła palec na ustach.

– Muszę ją zobaczyć – powiedział szeptem. – Jak najszybciej.

Weszli do wysokiej kamiennej sali z olbrzymimi paleniskami pod każdą ścianą. W świetle sącącym się przez okna umieszczone wysoko pod sufitem kłębiła się para. Gotowano właśnie drugie śniadanie – szczupaki dla pani domu oraz jej gości i owsiankę dla służby. Clarenceux poczuł zapach smażonej cebuli i czosnku. Dwaj chłopcy kuchenni doglądali ognia, roznów i kotłów, a kucharz zapisywał w księdze rachunkowej wydatki na jedzenie. Przerwał na chwilę pracę i spojrzał na Rebecę, a potem na Clarenceux, który przykładał sobie do głowy lniany ręcznik.

Rebecca poprowadziła herolda na dół do zimnego pomieszczenia, pełnego wielkich beczek leżących na boku. W powietrzu unosił się cierpki zapach zwiędłego piwa. Położyła mu dłoń na ramieniu i szepnęła do ucha:

– Służący pani Barker odbierają tu zamówione towary. Za ścianą jest wyjście na Huggin Lane. Drzwi po drugiej stronie są zamknięte, ale zdobędę klucz. Na końcu Huggin Lane, za Thames Street, stoi magazyn. Należał kiedyś do brata Henry’ego, Christophera, teraz jest własnością jego

córki, ale ona go nie używa. Korzysta zeń pani Barker. Tam będziemy bezpieczni. Musicie tu poczekać, pójdę po kronikę i klucze.

Clarenceux patrzył, jak pani Machyn wychodzi z piwnicy, po czym odjął ręcznik od głowy. Był mocno zaplamiony. W półmroku krew na białej tkaninie wydawała się czarna. Cały czas nie przestawał dygotać. Zabił człowieka, a razem z nim umarła część jego duszy. Przypomniawszy sobie gniew, jaki ogarnął go na widok zwłok Willa, i co powiedział wtedy Thomasowi: że nie chce już więcej być niewinny. Pragnienie, aby chwycić za broń i dopełnić zemsty, nadal w nim wrzało, lecz jakże mało wiedział wtedy, jakie to uczucie utracić niewinność. Kiedy jako żołnierz zabijał ludzi na rozkaz dowódcy, to było zupełnie co innego.

Zaczął drzeć jeszcze bardziej. Czuł zapach piwa, a w ustach gorzki smak wymiocin. Dotknął obolałej głowy, a potem popatrzył na dłoń; jego palce były ciemne od krwi. Przykładając z powrotem ręcznik, zastanawiał się, czy z taką samą pasją zabiłby tego żołnierza, gdyby nie dostał w głowę.

Tak, odpowiedział sobie. Decyzja zapadła wcześniej, kiedy położyłem dłoń na zimnym czole Willa.

Z kuchni dobiegły hałasy, tłuczenie garnkami. Czyżby to było ostrzeżenie? Nerwy miał napięte do ostatnich granic, jakby lada chwila miał się tu zjawić sierżant Crackenthorpe. Czy naprawdę oślepił drugiego napastnika? Na pewno pobiegnie do Crackenthorpe'a i powie mu, co się stało. A sierżant tym razem nie zaryzykuje, nie przyjdzie go aresztować z kilkoma ludźmi, tylko sprowadzi całą armię.

Usłyszał kroki, podniósł wzrok i zobaczył Rebecę. Miała na sobie długą opończę w kolorze morwy i filcowy kapelusz ozdobiony strusim piórem. Pod pachą trzymała kronikę, a na ramieniu niosła starą brązową szubę, która kiedyś była przedniej jakości, z futrzanymi obszyciami i długimi rękawami. Przyniosła też szeroką aksamitną czapkę.

– Przyda się wam – powiedziała, podając mu ubranie.

Jeszcze raz wytarł głowę, a potem odłożył ręcznik na odwróconą beczkę. Wdział szubę. Śmierdziała stęchlizną i zwietrzałymi perfumami, ale przynajmniej była ciepła. I zasłaniała krew.

Rebecca położyła na beczce kronikę i kapelusz, po czym podeszła, aby obejrzeć jego głowę. Dotknęła włosów palcami, zobaczyła ciemną świeżą krew. Oderwała kawałek lnianej ściereczki i przyłożyła do rany.

– To niedaleko, ale nie możemy ryzykować, że ktoś was zobaczy – oznajmiła, podając mu aksamitną czapkę. – Dobrze – dodała, kiedy włożył ją na głowę.

Wręczyła mu kronikę.

– Wy ją weźcie – powiedział. – Mnie będą ścigać za zabójstwo. Jeśli mnie rozpoznają, wam uda się uciec.

– Nie – zaprotestowała. – Kobiety z księgami zwracają powszechną uwagę, bo to znaczy, że umieją czytać. Poza tym tylko wy macie szansę coś z niej wyrozumieć.

To rzekłszy, Rebecca podeszła do drzwi na drugim końcu piwnicy i włożyła klucz do zamka. Clarenceux wsunął księgę pod pachę. Obserwował w półmroku, jak unoszą się i opadają jej ramiona, jak bierze głęboki oddech, a potem przekręca klucz. Otworzyła drzwi i wyszła na ulicę.

Cały czas padało. Rebecca zajrzała w głąb uliczki i skinąwszy na niego ręką, zamknęła drzwi. Ruszyła szybkim krokiem, aż Clarenceux z trudem nadązał, patrząc, jak obcasami rozchlapuje wodę i błoto w kałużach a potem skręca w Huggin Lane.

– Proszę, zwolnicie trochę, pani Machyn – wysapał.

Odwróciła się i w tej samej chwili zauważyła, że jego wzrok powędrował w stronę wylotu uliczki. W ich kierunku pędził na koniu strażnik miejski.

– Nie zatrzymujcie się – powiedział Clarenceux. – Weźcie mnie pod ramię – ponaglił ją.

Zmusił się, aby odwrócić wzrok od jeźdźca, a jednocześnie przygotował się na atak. Czy wystarczy mu sił na następną walkę? Nie. Mimo to stawił mi czoło.

Nie chcę dłużej być niewinnym człowiekiem.

Jeździec był już blisko, lecz nie zwolnił. Clarenceux czekał w napięciu, czy lada chwila usłyszy rozkaz, aby się zatrzymali. Zesztywniał, przycisnął do siebie ramię Rebekki i zmówił szeptem modlitwę.

Żołnierz minął ich galopem. Herold zerknął za siebie i zobaczył, jak skręca za rogiem w ulicę za ich plecami.

– Znacie go? – spytała Rebecca.

– Nie. I na szczęście on nas również nie poznał. Ale gotów jestem się założyć, że to żołnierz na rozkazach Crackenthorpe’a.

Ruszyli dalej w stronę Thames Street. Clarenceux przeszedł za Rebeccą na drugą stronę i skręcił w zaułek na tyłach długiego rzędu budynków. Rozciągał się stąd rozległy widok na rzekę, maszty statków przycumowanych do nabrzeża, dziesiątki marynarzy, robotników i rozładowaczy portowych, a także kupców oraz urzędników miejskich i celnych. Rebecca odwróciła się tyłem do tłumu i otworzyła furtkę między dwiema kamienicami. Za nią leżało małe ciche podwórze. Podeszła do ciężkich masywnych drzwi, które dawały miłe poczucie bezpieczeństwa, wyjęła z sukienki klucz i weszła do środka.

Znaleźli się w ogromnej hali. Pierwsza część magazynu sięgała aż pod dach. W kilku miejscach, gdzie brakowało dachówek, do środka wpadały snopy światła, tu i ówdzie kapąła woda i zbierała się na podłodze w kałuże. Druga część podzielona była na trzy poziomy – dwa otwarte podesty bez ścian, za to z blokiem do wciągania skrzyń. Na ziemi leżały sterty desek ze

skandynawskich sosen, między nimi stały ogromne dębowe kadzie. Obok w rzędach poukładano wielkie worki, w jakich kupcy przewozili owcze skóry.

Na pierwszy podest prowadziła drabina. Rebecca weszła od razu na górę, a Clarenceux podążył za nią, rozglądając się dookoła. Dach po tej stronie zabezpieczono przed gniciem. Byle jak sklecone wrota wychodziły na nabrzeże dość wysoko nad ziemią. Chociaż były zamknięte, światło wsączało się do środka przez szpary wokół futryn i nieco rozjaśniało wnętrze.

Clarenceux opadł na gołe deski między dwoma workami z wełną i oparł się plecami o jeden z nich. Rad był, że ma na sobie szubę. Zdjął aksamitną czapkę i przyjrzał się zakrwawionej szmatce. Dotknął rany, wydawało się, że krew przestała lecieć tak obficie.

– Nie mam pojęcia, skąd się wziął ten drugi mężczyzna. Gdyby był tylko jeden, nie musiałbym go zabijać, ale dwaj...

– Szedł przed wami. Widziałam was z okna. Czekałam na was cały dzień. Zdjęła opończę i kapelusz. Uśmiechając się przelotnie, pokazała przemoczone strusie piórko, po czym wyciągnęła je i cisnęła w bok.

– Pani Machyn, muszę wam coś powiedzieć. To poważna sprawa. Sierżant Crackenthorpe aresztował waszego męża przedwczoraj w nocy. Henry ukrywał się mojej stajni, musiał się tam schronić po wyjściu ode mnie. Dowiedziałem się tego od Walsinghama.

– Gdzie widzieliście się z Walsinghamem?

– W jego domu niedaleko Tower.

– I puścił was wolno?

– Tylko dlatego, że jego ludzie nie znaleźli kroniki. Crackenthorpe wrócił i przeszukał mój dom. Znalazłby księgę, gdyby nie wy. Byli bardzo skrupulatni, zniszczyli wszystko, co wpadło im w ręce.

– Przykro mi. A co z waszą żoną i córkami? Jak sobie radzą?

Clarenceux spojrzał jej w oczy.

– Awdrey pojechała z córkami do Devon. Dom nie nadaje się do mieszkania.

Powoli wyprostował prawą nogę i sięgnął po kronikę.

– Coś przede mną ukrywacie.

Zawahał się. Ukrywał przed nią kilka rzeczy. Na przykład, że dla jej męża nie ma już nadziei. Jak również to, że bardzo się ucieszył na jej widok i że wzruszyła go jej obecność. I ukrywał przed nią śmierć Willa.

– Czemu rzuciliście się na strażnika przed moim domem? – spytała. – Nie jesteście porywczym człowiekiem. Przynajmniej nigdy przedtem tego nie zauważyłam.

– Pamiętacie chłopca, który powiedział wam, że schowałem kronikę w worku z owsem?

– Oczywiście.

– Powiesili go. Na oczach innych, łącznie z Thomasem, który był jego stryjecznym dziadkiem.

Rebecca przypomniała sobie przerażoną twarz chłopca.

– Tak mi przykro. Nie widziałam innego sposobu... wydawało mi się, że powinnam zabrać kronikę.

– I bardzo dobrze się wam wydawało. Mogli go zabić, nawet gdyby znaleźli kronikę. A na pewno zabiliby mnie. Prawdopodobnie zawdzięczam życie waszej decyzji.

Rebecca uśmiechnęła się słabo, jakby dziękując za to małe dobrodziejstwo.

Doszły ich nawoływania robotników portowych. Clarenceux wyjrzał przez szczeliny między deskami na łodzie przycumowane przy Queenhithe.

– Co teraz? – spytała Rebecca.

– Żona Lancelota Heatha przysłała mi wiadomość. Lancelot ma się z nami spotkać w miejscu, gdzie był sir Arthur trzynastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku. Pamiętam, że to jeden z pierwszych wpisów w kronice waszego męża. Odłóżmy więc na razie na bok nasze żale. Później pomodlimy się za duszę Willa. Najpierw zróbmy, co się da, aby naprawić szkody.

Otworzył kronikę i szybko, w milczeniu przebiegł wzrokiem pierwszy wpis. Potem podał jej otwartą księgę i patrzył, jak powoli, na głos czyta zdania pozbawione interpunkcji.

– Trzynastego dnia czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego szlachcic sir Arthur Darcy, malarz John Heath i kupiec Harry Machyn spotykają się przy wieczerzy na piętrze pod szyldem Byczej Głowy przy Kamieniu Londyńskim i wszystko ustanawiają w należyтым porządku w zielonym pokoju nocnym a potem pode krzyż świętego Pawła gdzieśmy wysłuchali mszy świętej dobrego biskupa Durham.

– Idę do Byczej Głowy. Zmieniłem się. Jestem innym człowiekiem niż dwa dni temu. Wszedłem na tę drogę i nie mogę już z niej zawrócić. Lecz wy nadal jesteście niewinną kobietą. Wróćcie do domu pani Barker i zostańcie tam tak długo, jak będzie trzeba. Dopóki ten koszmar się nie skończy.

Rebecca pokręciła głową.

– Panie Clarenceux, oboje wiemy, że Walsingham nie wypuści mojego męża. Jeśli tajemnica Henry’ego może zaważyć na losie królowej, a nawet dwóch królowych, i jest tak ważna, że żołnierze królewscy bez skrupułów powiesili waszego służącego, to na pewno go nie uwolnią. Jest słabego zdrowia, możliwe, że już nie żyje. Co pocznę, jeśli on umrze? Jestem samotna. Nie mam pieniędzy ani żadnego źródła utrzymania.

Odwróciła wzrok.

– Jeśli... jeśli Henry nie żyje, co mi pozostanie poza wspomnieniami? Będę czcić jego pamięć i nigdy nie zrobię niczego, co by mu się nie spodobało. – Wytarła oczy. – A skoro oddał wam tę księgę i z takim uporem obstawał, że to wy jesteście jego prawdziwym dziedzicem, a nie jego syn, muszę wam pomóc, przez wzgląd na niego i na siebie. I na was również. Spójrzcie jeno na siebie. Cali jesteście we krwi i błocie. Nie zdołacie ujść w ten sposób przed pogonią. Kiedy ostatnio jedliście?

– Dziś rano. Kupiłem sobie węgorza w cieście.

– To za mało. W nocy prawie nie spaliście, pewnie myśli się wam mąką. Zabiliście na ulicy człowieka i myślicie, że uda wam się tak po prostu odejść? Nie dotrzymałabym obietnic złożonych mężowi, gdybym wróciła teraz do pani Barker i porzuciła człowieka, któremu on zawierzył swoją spuściznę.

Clarenceux spojrział na nią z podziwem. Była nieugięta i odważna. Odwzajemniła jego spojrzenie, zajrzała mu głęboko w oczy i pozwoliła, aby uczynił to samo.

– Wiecie, że Crackenthorpe pracuje dla Walsinghama?

– Nie jestem tym zaskoczona.

– Jego mocodawcą zaś i protektorem jest sam kanclerz Jej Królewskiej Mości, sir William Cecil. Stawiamy czoło największym potęgom królestwa z całą ich bezwzględną machiną bojową.

– Bóg ma nas w swojej opiece – powiedziała.

Clarenceux skinął głową.

– Dobrze więc, niechaj tak będzie. Musimy się dostać do oberży Pod Byczą Głową przy Kamieniu Londyńskim, gdzie czeka Lancelot Heath. Ten magazyn posłuży nam za kryjówkę. Zostawimy klucz w miejscu, gdzie oboje łatwo go znajdziemy. Będziemy mogli się tu schronić, jeśli zajdzie potrzeba.

32

Młody człowiek ściągnął ostro cugle, aby nie wjechać na wóz z sianem, który przejeżdżał przez skrzyżowanie. Niecierpliwił się. Zadanie, jakie otrzymał – przekazanie tragicznych wieści najbardziej porywczemu i brutalnemu człowiekowi, jakiego znał – było w najwyższym stopniu niemiłe, lecz przekazanie ich zbyt późno, po stokroć bardziej pogorszyłoby jego sytuację.

Ponaglił konia i pogalopował dalej Thames Street. Zauważył duży ruch przy nabrzeżu. Spodziewał się, że o tej porze ludzie wrócą już do domów na wieczerzę lub schronią się przed mżawką, która na dobre rozgościła się nad miastem. Tymczasem Dowgate zapełniały grupki ludzi, które musiał omijać, przejeżdżając przez kałuże i ochlapując je w pośpiechu wodą i błotem. Krzyczeli za nim, lecz on nie zwracał na nich uwagi. W Queenhithe stało przycumowanych kilka sporych statków. Tragarze nosili worki z przyprawami, wyładowywali żurawiami beki z winem do składu w portowych magazynach. Młodzieniec obrzucił wzrokiem tłum robotników i pocwałował dalej Huggin Lane. Nawet ta maleńka uliczka nie była pusta. Jakiś wysoki mężczyzna w brązowej szacie i aksamitnej czapce szedł z kobietą w kapeluszu ze strusim piórem. Przestraszyli się, kiedy popędził w ich stronę pustą ulicą.

W końcu ze szczytu Ludgate Hill zauważył Crackenthorpe'a i jego trzech towarzyszy. Dźgnął konia piętami i zmusił do jeszcze szybszego galopu.

Crackenthorpe jechał dość wolno i przy Fetter Lane posłaniec prawie go dogonił.

– Panie sierżancie! – zawołał. – Zaczekajcie. Mam dla was wiadomość.

Crackenthorpe wydał rozkaz i wszyscy ściągnęli cugle. Tylko parskanie koni wypełniało ciszę.

– Mam złe nowiny – oświadczył jeździec, zatrzymując wierzchowca.

Przypomniał sobie, co mu powiedział konstabl. „Przekaż mu to, jakby to był rozkaz. Z rozpaczy wpadnie w gniew, może się stać nawet gwałtowny, lecz sierżant Crackenthorpe wie, co to rozkaz, i szanuje tych, którzy wypełniają swoje obowiązki”.

– Chodzi o zdrajcę Clarenceux. Zabił pańskiego brata. Zaatakował go na ulicy przed domem Machyna i zabił na oczach świadków.

Koń Crackenthorpe’a zatańczył niespokojnie, wyczuwając nagłe wzburzenie swego jeźdźca. Sierżant ściągnął cugle, żeby go uspokoić, i popatrzył na posłańca.

– Jak to się stało?

– Zdaje się, że Clarenceux chwycił miecz Johna i pchnął go jego własną bronią.

– Czy nikt go nie pilnował? Wydałem rozkaz, aby nie spuszczano tego zdrajcy z oka. Dom Machyna też miał być pod obserwacją. Dlaczego nikt nie przyszedł memu bratu z pomocą?

– Ralph French śledził Clarenceux, ale herold wykłuł mu oko.

– Matko święta! Kiedy to się stało?

– Trzy kwadransy temu.

Crackenthorpe zacisnął pięści. Czekali na niego w Whitehall. Walsingham pojechał przodem, aby złożyć relację Cecilowi. Nie mógł zaniedbać tego obowiązku. Najchętniej by zawrócił i puścił się w pogoń za Clarenceux, ale mogłaby mu zająć kilka godzin.

– Wy trzej wróćcie z tym chłopcem do konstabla. Każcie mu rozstawić warty na wszystkich rogach ulicy. Powiedzcie, że kiedy wrócę, chcę poznać każdy szczegół tego zdarzenia. Potem pojedźcie do burmistrza i szeryfów. Poinformujcie ich, że Clarenceux spiskuje, aby zamordować królową. Jest uzbrojony i zabił już królewskiego żołnierza. Wyślijcie listy gończe do wszystkich konstabli, żeby go natychmiast aresztowali, gdy tylko go zobaczą. Niech zatrzymają też wdowę po Machynie, na pewno mu towarzyszy. Potem jedźcie do domu Clarenceux i zabierzcie konie z jego stajni. Sprzedajcie je, aby zapłacić za pogrzeb mego brata. Jeśli ktokolwiek spróbuje was powstrzymać, aresztujcie go.

– A co z wami, panie sierżancie? – spytał jeden z jego ludzi.

– Muszę się spotkać z Walsinghamem, zanim pojedzie do Cecila. Obiecałem mu i nie złamię obietnicy. Tak samo obiecuję, że Clarenceux odpowie za śmierć mego brata. Przysięgam. Zrobię z nim i z jego służącym to, co jeszcze niedawno robiono ze zdrajcami: wyrwę mu trzewia i spalę na jego oczach. Was czterech biorę na świadków.

Posłaniec spodziewał się gwałtownej reakcji na wiadomość, którą przyniósł – krzyków, oskarżeń, wyrzutów. Tymczasem zobaczył tylko, jak Crackenthorpe uderzył konia piętami i pognął galopem w stronę Whitehall.

Gwałtownych reakcji mogą dopiero oczekiwać.

33

Na parterze oberży Pod Byczą Głową znajdowały się dwie izby. Clarenceux i Rebecca weszli przez niskie dębowe drzwi i znaleźli się w wielkiej sali, którą niegdyś podzielono na dwie części z potężnym piecem w każdej. W pierwszej grał na skrzypcach muzykant, a jego towarzyszka wybijała rytm na tamburynie. Dookoła zebrało się kilkanaście osób, niewiast i mężczyzn z drewnianymi albo cynowymi kuflami piwa, i wystukiwało do taktu palcami. Między nogami przemykały psy, w kącie czterech jegomościów grało w karty. Siedzieli na niskich stołkach i rzucali karty na matę z sitowia. Towarzyszyły im dwie niewiasty, które z kubkami w dłoniach pomagały odganiać psy, gdy podchodziły za blisko. Obok paleniska leżało kilka kotłów przewróconych na bok i czekających, aż zabierze je pomywacz. Jeden z chłopców kuchennych pilnował różna, na którym piekł się wielki kawał mięsiwa, chociaż był adwent. Obróciwszy różen, chłopak za każdym razem odwracał się, żeby pobaraszkować ze szczeniakiem, który plątał się koło jego nóg.

Clarenceux zmarszczył czoło, czując zapach mięsa, i poprowadził Rebeccę do sąsiedniej sali. Tutaj stały trzy stoły nakryte lnianymi obrusami. Przy jednym siedziała grupka mężczyzn, zapewne kupców i rzemieślników, którzy pozostawiając swe sklepy i warsztaty pod opieką terminatorów, przyszli pokrzepić się w towarzystwie. Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta w sukni z jaskrawoczerwonym stanikiem; na kolanach trzymała

dziecko. Po chwili wstała, oddała malca starszej niewieście siedzącej naprzeciwko i podeszła porozmawiać z jednym z dwu mężczyzn stojących przy palenisku z kufłami piwa. Nad ich głowami z belek zwisały półcie solonego mięsa, gałązki liści laurowych oraz kosze owoców.

Clarenceux rozejrzał się za oberżystą. Po krótkiej chwili przez drzwi w głębi izby wszedł mężczyzna w skórzanym fartuchu, około czterdziestki, brodaty, o szerokiej czerstwej twarzy i gęstej czuprynie złocistych włosów, które kręciły się nad uszami. Na ramieniu niósł przewieszoną lnianą ścierkę i zagadywał jowialnie do swoich gości.

– Dobry człowieku – powiedział, podchodząc doń Clarenceux. – Słyszałem, że macie tu pokój na piętrze.

– To zależy, panie. W istocie mam na górze pokój, lecz wynajmuję go pewnemu szacownemu człękowi. Obawiam się, że nie mogę wam służyć, o ile nie jesteście przyjacielem owego jegomościa.

– Szukamy mężczyzny nazwiskiem Heath.

Oberżysta nawet nie drgnął.

– Jakiej nocy oczekujecie, panie, wy i wasza szanowna małżonka?

– Nie jesteśmy małżeństwem – wtrąciła Rebecca.

Lecz Clarenceux nagle zrozumiał.

– Zielonej.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważniej, po czym spytał półgłosem.

– Przyszliście od Henry’ego Machyna?

– Jestem Rebecca Machyn, żona Henry’ego, a to pan Harley, Wielki Herold Clarenceux.

Oberżysta skinął głową i rzucił ścierkę na najbliższą ławę.

– Lancelot na was czeka. Chodźcie za mną.

Wyszli z sali na korytarz i ruszyli wąskimi schodami na górę. Dochodziło tu niewiele światła, ledwo było widać, że tynk płatami odpada od ścian. Na

szczyt schodów stanęli przed dwojgiem drzwi. Podłoga zatrzeszczała pod nogami oberżysty, kiedy podszedł do tych po prawej stronie. Zapukał trzy razy i odczekał. Potem zastukał jeszcze raz, a wtedy w zamku prawie natychmiast zgrzytnął klucz i w szparze ukazała się widna ciepła izba.

W progu stał złotowłosa mężczyzna o niebieskich oczach, uderzająco podobny do oberżysty. Sprawiał wrażenie podenerwowanego i skrępowanego, jakby z trudem sobie radził ze swoim położeniem.

– Przyszedł pan Clarenceux.

Lancelot Heath poklepał oberżystę po ramieniu.

– Dziękuję – mruknął. – Witam was z całego serca, panie Clarenceux. I was też, pani Machyn. – Gestem zaprosił całą trójkę do środka, po czym zamknął drzwi. – Wybaczcie mi ten zbytek ostrożności, lecz sami wiecie, że sytuacja jest niebezpieczna. – Wskazał oberżystę. – To mój brat, Gawain, poczciwa dusza i człowiek godzien zaufania.

Pokój miał kamienne ściany, był bowiem częścią dużo starszego budynku. W kominku płonął ogień, nad nim wisiał wieszak na łuki i muszkiety. Spoczywał na nim jeden łuk. Ścianę po lewej stronie ozdabiał piękny stary gobelin z wizerunkami sir Gawaina i Zielonego Rycerza. Resztę murów pobielono wapnem. Całe umeblowanie izby składało się z niewielkiego łóżka, kilku skrzyń i stołu z ławą. Na cynowym talerzu zostały resztki posiłku. Stare okno w kamiennej ramie wychodziło na niewidoczny z ulicy dach oberży.

Clarenceux skłonił się uprzejmie obydwu mężczyznom.

– Witam was, panowie. Miło mi was poznać. Zaiste arturiańska rodzina. Lancelot, Gawain... czy macie jeszcze innych rycerzy w rodzinie?

– Mój ojciec, świętej pamięci John Heath, był wielbicielem starych romansów. Mamy w Mile End siostrę Izoldę. Druga siostra, która zmarła

kilka lat temu, nosiła imię Ginewra. Stąd gobelin i oczywiście Rycerze Okrągłego Stołu. Domyślam się, że przyszedliście rozmawiać o tych drugich.

– Spodziewałem się raczej czegoś od was dowiedzieć. Henry Machyn pozostawił mi kronikę oraz imię króla Clariance’a z Northumberland. Podał mi również datę. Powiedział, abym was odnalazł i kazał wezwać Rycerzy Okrągłego Stołu.

– Oczekiwałem tego. Niestety teraz to niemożliwe. Wszystkie nasze dawne plany zostały pokrzyżowane. Ułożył je wiele lat temu mój ojciec, wspólnie z Henrym Machynem oraz sir Arthurem Darcym. Dzisiaj zwołanie Rycerzy nie będzie takie proste. Nie znam wszystkich, nie wiem również, gdzie ich znaleźć.

– Ale kim są Rycerze Okrągłego Stołu? – spytała Rebecca.

– Co robili i w jakim celu? Mnie to wszystko wygląda na jakąś grę. Osobliwą zabawę.

Gawain Heath uchwycił spojrzenie brata.

– Zostawię was – oznajmił. – Zrobię, co się da, aby wam pomóc, Lancelocie, ale im mniej się dowiem o tych sprawach, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Do widzenia, panie Clarenceux, do widzenia, pani...

– Zanim odejdziecie, panie Heath, chciałbym was zapytać, czy to z waszym błogosławieństwem na dole piecze się mięso? Zważywszy na to, że wasz brat walczy o starą wiarę, dziwi mnie, że nie przestrzegacie adwentu.

– Nie wątpię, że was to dziwi, panie Clarenceux. Ale moi klienci życzą sobie mięsiwa, a nowa religia go nie zabrania. Poza tym czyż można sobie wyobrazić lepszą kryjówkę dla mojego brata? Czyż nie jest to w tych dniach najmniej katolicki zapach?

To rzekłszy, uśmiechnął się, skłonił i wyszedłszy z pokoju, zamknął za sobą drzwi.

Lancelot przekręcił klucz i zostawił go w zamku.

– Siadźcie, proszę – powiedział, wskazując łóżko.

Sam wysunął ławę na środek izby i usadowił się na niej.

– Od czego mam zacząć? To niełatwe, ponieważ nie jestem w tej historii pierwszym pokoleniem, jak zapewne już wiecie. Mój ojciec i wasz mąż skrywali wielką tajemnicę, pewien dokument. Dotyczył on, zdaje się, naszej obecnej królowej i jej brata, naonczas króla. Rozmawiali o tym z sir Arthurem Darcym i uznali zgodnie, że powinni założyć bractwo, Rycerzy Okrągłego Stołu, aby chronić dokument i wykorzystać go, gdy nadejdzie pora. Ukryli go, a szyfr potrzebny do jego odnalezienia zapisali w kronice. Miało go strzec dziewięciu rycerzy. Każdemu nadano arturiańskie imię oraz przyporządkowano datę. Nikomu nie wolno było ujawnić swojej daty, chyba że w odpowiednim momencie zbiorą się wszyscy Rycerze. Jak wam wiadomo, mnie nadano imię Lancelot na chrzcie i mój ojciec wybrał je dla siebie. Umyślił sobie, że odziedziczyć je po jego śmierci. Henry Machyn zawsze pragnął uczynić was, panie Clarenceux, dziedzicem swego imienia, więc obrał sobie króla Clariance'a i jak się domyślam, przekazał wam również swoją datę.

– Owszem. Mówcie dalej, proszę.

– Niewiele już zostało do opowiedzenia. Ostatnim razem wszyscy Rycerze spotkali się krótko przed śmiercią mego ojca, dziesięć lat temu, tuż po koronacji królowej Marii. Rodzic mój pozostawił w testamencie pieniądze na wieczerną w oberży mego szwagra w Mile End, znajdziecie o tym wzmiankę w kronice Henry'ego, lecz nie wszyscy Rycerze uczynili przed śmiercią to samo. Myślę, że po części stracili serce dla sprawy. Chociaż Henry przypominał, że powinni chronić dokument, uznali, że nie

jest aż taki ważny. Kiedy niedawno zwołał Rycerzy, aby byli świadkami jego testamentu, tylko pięciu z nas stawilo się na wezwanie. Przyznaję, że ja również nie czułem szczególnego zainteresowania, chociaż rozumiem, że testament miał związek z dokumentem, a kronika może się okazać przedmiotem wielkiej wagi. Kilka dni temu w moim domu zjawili się żołnierze. Szukali mnie, wypytywali o Henry'ego. Podarli wszystko na strzępy, szukając kroniki.

Clarenceux skinął głową. Teraz zrozumiał, czemu żona Lancelota tak usilnie próbowała się go pozbyć, kiedy zapukał do ich drzwi.

– Kto z Rycerzy był obecny przy spisaniu testamentu Henry'ego?

– Ja, Michael Hill i jego syn Nicholas, Daniel Gytens i krawiec William Draper. Dziwne, ale Henry napisał, że jest zdrow na umyśle, lecz chory na ciele. Mnie się jednak wydawał równie krzepki i rześki co zawsze.

– Jakie ci ludzie noszą imiona arturiańskie?

Heath pokręcił głową.

– William Draper był sir Dagonetem, lecz reszty nie znam.

Clarenceux przypomniał sobie deszczową noc przed domem Machyna, kiedy to Crackenthorpe wymienił imię sir Dagoneta.

– Gdzie mieszkają?

– Nicholas Hill mieszka w parafii St Dionis, a jego ojciec w St Mary Woolnoth naprzeciwko kościoła. Dom Drapera to taki duży budynek z cegły po lewej stronie Basinghall Street. Gytens. nie wiem.

– A pozostali?

– Tego również nie wiem. Musicie zrozumieć, że zgodziłem się być świadkiem testamentu Henry'ego nie dlatego, że jestem jednym z Rycerzy, lecz przez wzgląd na jego dawną przyjaźń z moim ojcem. Dopiero podczas tego spotkania dowiedziałem się, że wszyscy obecni są Rycerzami Okrągłego Stołu. Henry zaznaczył, że najważniejsze jest, abyśmy

dopilnowali wypełnienia jego woli, zwłaszcza zapisu na temat kroniki. Życzył sobie wam ją pozostawić. Ta wieczerza w oberży Pod Wschodzącym Słońcem w Mile End dziesięć lat temu pozostaje dotychczas jedynym spotkaniem wszystkich Rycerzy. Nie pamiętam, które imiona usłyszałem tamtego dnia, a które pozostały w pamięci z opowieści arturiańskich, wszak moje dzieciństwo było nimi przesiąknięte. Wiem natomiast, że jeden z Rycerzy był pod jakimś względem wyjątkowy, Henry zastrzegł, że nie zdradzi nam nawet jego imienia. Wydaje mi się, że ktoś go nazwał sir Reynoldem, ale nie jestem pewien. Jedynym imieniem, jakiego jestem pewien poza swoim własnym, jest sir Dagonet. Pamiętam je, ponieważ było dla mnie niezwykle, nigdy przedtem nie słyszałem o sir Dagonecie.

– Był błaznem na dworze Artura – odrzekł Clarenceux.

Zaczęło go ogarniać niemile, dręczące uczucie, aż ścisnęło go w dołku. Do tej pory przyjmował, że kiedy znajdzie Lancelota Heatha, pozbędzie się, przynajmniej częściowo, brzemienia odpowiedzialności. Lancelot zwoła Rycerzy, którzy zaczną działać, a on przyłączy się do nich lub nie, w zależności od tego, co uzna za stosowne. Teraz jednak ujrzał jasno, że cała ta sprawa jest bardziej chaotyczna, niż sobie wyobrażał.

Wstał z łóżka i podszedł do okna.

– Nasze życie wywrócono do góry nogami – rzekł, wyglądając na dwór.

– Wasz dom splądrowano, mój nie nadaje się do zamieszkania. Henry Machyn zniknął, mojego służącego zamordowano, a ja zabiłem królewskiego żołnierza. Nie możemy tego tak zostawić. Coś trzeba zrobić.

– Wiecie tyle samo co ja, panie Clarenceux.

– Podajcie mi swoją arturiańską datę.

– Henry powiedział, aby jej nie ujawniać...

– Panie Heath, ktoś musi się dowiedzieć, co tu się dzieje. To nie jest dziecięca zabawa w tajemnice. Grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Musimy powiedzieć sobie wszystko, co wiemy. Henry podał mi datę dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego. W kronice jest wpis o tym dniu, ale nie widzę w nim sensu. Mówi coś o mszy odprawionej przez opata Westminsteru pod krzyżem świętego Pawła.

Lancelot nadal milczał niepewnie. Przenosił wzrok to na Rebeccę, to na herolda.

– Pan Clarenceux ma rację – poparła go Rebecca. – Musimy współdziałać. Znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie. Jeśli wymienimy się informacjami, nie pomoże to naszym wrogom, za to może pomóc nam.

Lancelot wstał i w zadumie podszedł do ściany.

– To data, o której wam mówiłem, pierwszy wpis w kronice. Trzynasty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego. No dobrze, i co teraz?

Clarenceux kiwnął głową.

– Dziękuję. – Zerknął rozczarowany na Rebeccę. – Gdyby to był jakikolwiek inny dzień, zasugerowałbym, abyśmy sprawdzili go w kronice, lecz skoro wiemy, jak brzmi wpis, nie ma takiej potrzeby. Mamy zatem dwie daty i trzy lub cztery nazwiska. Jeśli o mnie chodzi, nie wiem, co począć.

Zapadło milczenie, które przerwała Rebecca.

– Czy możemy dostać coś do jedzenia, panie Heath? I trochę gorącej wody? Pan Clarenceux ma brzydką ranę na głowie, którą trzeba oczyścić.

– Oczywiście. W sąsiedniej izbie jest żona Gawaina, poproszę ją.

– Będziemy też potrzebować pieniędzy – dodał Clarenceux. – Cała gotowizna, jaką miałem w domu, znikła. Nie wiem, czy zabrała ją moja żona, czy ludzie Crackenthorpe’a, ale nie zostało mi nic. Nie mam nawet kuchennego noża.

Lancelot zatrzymał się przy drzwiach.

– Jeśli o to chodzi, mogę wam pomóc. Aby być szczerym, to wasze pieniądze – rzekł, patrząc na Rebeccę. – Henry zostawił pewną sumę do dyspozycji króla Clariance’a z Northumberland w stosownej chwili. Dwadzieścia funtów w złocie, jeśli się nie mylę depozyt przechowują Izolda i jej mąż, John Crawley, w Mile End.

To rzekłszy, wyszedł z pokoju.

Rebecca położyła się na łóżku i ziewnęła.

– Chętnie bym tu zasnęła. Tak tu ciepło i spokojnie.

Clarenceux nasłuchiwał stłumionych odgłosów dochodzących z obeerży na dole. Słyszał było wysoki dźwięk skrzypiec i daleki śmiech. Rebecca miała rację, chociaż ciszę mąciły dźwięki z sali na parterze, w pokoju na górze panował błogi spokój.

– Lepiej nie zasypiajcie – powiedział.

– Więc co teraz zrobimy?

Clarenceux obmacał obolałe kolano. Poruszał nim.

– A jakie jest wasze zdanie?

– Nie jesteśmy tu bezpieczni. Nigdzie w mieście nie będziemy bezpieczni. Wiem tylko, że muszę zrobić, co w mojej mocy, aby odnaleźć Henry’ego i uratować nam życie. Nic więcej nie możemy uczynić.

Wrócił Lancelot z nożem, cebrem gorącej wody i gąbką. Clarenceux popatrzył na wiadro.

– Takie samo naczynie wyrządziło tę szkodę – mruknął.

Lancelot podał mu nóż i postawił kubek obok ławy. Herold usiadł, a Rebecca jęła przemywać mu ranę.

– Za chwilę przyniosą zupę, ser i chleb – oznajmił Lancelot.

Clarenceux poczuł przyjemne ciepło, szczypanie zranionej skóry i delikatne, lecz stanowcze dotknięcia Rebekki. Uratowała mu życie,

zabierając kronikę, a chociaż konsekwencje tego czynu okazały się katastrofalne, to przecież miała najlepsze intencje. Po walce zaprowadziła go w bezpieczne miejsce. Potrzebuje jego pomocy w odszukaniu męża. Nie może jej teraz zostawić i pojechać do Devon, tak samo jak nie może zostawić Henry'ego w rękach Crackenthorpe'a i Walsinghama.

– Pójdziemy do Mile End – powiedział. – Weźmiemy pieniądze, które Henry zostawił u waszej siostry, i przepłyniemy łodzią do Greenwich. Tam możemy nająć konie i pojechać w pewne miejsce w Kent, gdzie mam przyjaciół.

– Kiedy mówicie „my”, mniemam, że macie na myśli nas wszystkich – zauważył Lancelot. – Ja jednak zaraz po waszym wyjściu zamierzam ruszyć w swoją stronę. Wrócę do Londynu, dopiero kiedy wszystko się uspokoi.

Clarenceux popatrzył na niego nieufnie, rozważając usłyszane słowa. Po długim milczeniu rzekł:

– Zgadzam się. Większa grupa podróżnych ściąga na siebie więcej uwagi.

– Pani Machyn może pojechać ze mną – dodał Lancelot.

Herold poczuł, że gąbka na jego głowie zatrzymuje się gwałtownie.

– Pojadę z panem Clarenceux – oświadczyła Rebecca.

– Potrzebuję jego pomocy, aby odnaleźć męża.

– W takim razie czy mogę coś zasugerować? – powiedział Lancelot. – Po pierwsze, podróżujcie pieszo, przynajmniej w mieście. Gawieź zawsze jest ciekawa ludzi, którzy jadą konno, pieszych zaś uznaje za osoby mało ważne i nie zwraca na nich uwagi. Po drugie, powinniście podawać się za małżeństwo. Niewiasta podróżująca ze swym mężem budzi mniej podejrzeń niż kobieta w towarzystwie obcego mężczyzny.

Clarenceux popatrzył na Rebeccę, która przelotnie uchwyciła jego spojrzenie.

– Rzeczywiście, wasz brat również wziął nas za męża i żonę, kiedy przyszlismy – zauważyła. – Zapewne macie rację.

– Jakie było wasze panieńskie nazwisko? – spytał Clarenceux.

– Lowe.

– Wobec tego będziemy podróżować jako państwo Lowe. Kiedy się posilimy, udam się po kronikę. Sam. Pani Lowe, wy pójdziecie do oberży Pod Wschodzącym Słońcem i poczekacie tam na mnie. Dołączę do was, gdy tylko odzyskam księ...

Nagle na korytarzu za drzwiami zatrzeszczała podłoga. Wszyscy troje znieruchomieli ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Rozległo się pukanie. Raz, dwa, trzy.

Clarenceux zeszywniał i wstrzymał oddech.

W końcu usłyszeli ostatnie, pojedyncze stuknięcie. Lancelot odetchnął i poszedł otworzyć. Wziął od Gawaina miskę z gęstą zupą z warzyw i kosz, który oberżysta trzymał pod pachą. Clarenceux pociągnął podejrzliwie nosem, ale nie wyczuł zapachu mięsa.

Rebecca zauważyła, jak wącha potrawę, lecz opacznie zrozumiała jego intencje. Wycisnęła gąbkę i jeszcze raz przyłożyła ją do rany na czole.

– Ładnie pachnie, prawda? – spytała.

34

Kiedy wszedł Walsingham, Cecil siedział przy ogniu. Otrzymał zaszyfrowany list i właśnie zamierzał go odczytać. Dał swemu podwładnemu znak, aby usiadł na drewnianym zydlu po drugiej stronie kominka.

Walsingham się niecierpliwił. Irytowało go, że Cecila bardziej zajmuje czytanie listu niż wysłuchanie jego relacji. Miał mu do przekazania ważne wieści. Podejrzewał, że Cecil celowo się z nim drażni, ale nie dał się sprowokować. Podniósł wzrok na sufit, aby obejrzeć nowo ukończone stiuki i fryzy. Boazerie ścienne również były piękne, z uznaniem przyglądał się czerwono-złotym wykończeniom paneli.

W końcu zniecierpliwienie wzięło w nim górę.

– Sir Williamie, przynoszę wieści, które, jak mniemam, chcielibyście usłyszeć jak najszybciej.

Cecil odłożył list.

– No dobrze, Francisie, powiedz mi, cóż to takiego.

– Kilka rzeczy. Po pierwsze, Clarenceux przyznał się, że widział kronikę Machyna. Aresztowałem go i przesłuchiwałem, a moi ludzie przeszukali jego dom. Mimo to w krótkim czasie, kiedy eskortowali herolda przez miasto, wdowa po Machynie zabrała księgę. Jeszcze jej nie znaleziono...

– Wdowa po Machynie?

Walsingham poruszył się niespokojnie na zydlu.

– W czasie przesłuchania...

– On miał ponad sześćdziesiąt lat!

– Przyznał się, że opuszczał miasto i wracał przez dom kowala nazwiskiem Mason. Nie udało mi się jeszcze znaleźć tej kuźni. Za to podczas przesłuchania w domu Machyna znaleźliśmy jego testament. Poza Williamem Draperem wymienił w nim Lancelota Heatha, człowieka, o którym mówił Draper. Poświadczyło go dwóch mężczyzn, jeden o nazwisku Hill oraz niejaki Daniel Gyttens, o nich Draper nie wspomniał ani słowem. Obecnie ich szukamy.

Cecil rozważał w myślach świeże informacje.

– No cóż, nie są to wstrząsające nowiny, Francisie. Wróciłbym do czytania listu, gdybyś nie wspomniał, że przesłuchałeś Clarenceux. Co ci powiedział?

– Nic ciekawego na temat spisku poza tym, że Machyn był jego przyjacielem i że widział kronikę. Utrzymuje, jakoby nie wiedział, że stary ukrywał się w jego stajni. Naturalnie kłamał. Nie pisał ani słowa o Draperze ani Heacie.

– A co powiedział o mnie?

– Tylko, że liczył na waszą protekcję.

– Powiedziałeś mu, że pracujesz dla mnie?

– Nie. – Walsingham zawahał się ledwo zauważalnie. – Oczywiście, że nie.

– Cały czas go trzymasz?

– Nie. Puściłem go w nadziei, że doprowadzi mnie do kroniki.

– I doprowadził?

Walsingham zdał sobie sprawę, że wszedł prosto w jedną z pułapek Cecila. Jak to się stało? Rozmowa z Cecilem przypominała spływ rwącym górskim strumieniem: człowiek nagle uprzytamniał sobie, że niesie go nurt

spienionej wody, a on z trudem utrzymuje się na powierzchni. Ciska nim po sterczących skałach, aż nagle wyrzuca na stojące wody jeziora, ponieważ nieopatrznie wymknęło mu się coś, co było prawdą i tajemnicą zarazem.

– Są jeszcze inne niefortunne aspekty tej sprawy, wasza miłość. Podczas rewizji w domu Clarenceux sierżant Crackenthorpe powiesił jednego z jego służących. Wygląda na to, że w odwecie Clarenceux zaatakował brata sierżanta Crackenthorpe’a i zabił go w walce. Drugiego żołnierza oślepił, wykłuwając mu oko.

– Niezły wojak z naszego herolda – głos Cecila zdradzał zaskoczenie.

Szczególnie jeśli zważyć, że nie miał do czynienia z wojaczką od dwudziestu lat, pomyślał kanclerz. Lord Paget powiedział kiedyś, że Clarenceux jest najlepszym heroldem, ponieważ rozumie sposób myślenia żołnierzy, bo sam nim kiedyś był.

– Gdzie teraz jest?

– Tego nie wiem, wasza miłość.

Cecil wstał.

– To jest dopiero nowina, prawda Francisie? Pozwoliłeś wymknąć się człowiekowi, którego uważasz za głównego inicjatora spisku, a przedtem kronika przeszła ci tuż koło nosa. W dodatku dzięki tobie człowiek ten jest teraz wyjęty spod prawa. Wątpię, by w tych okolicznościach przyszedł prosić mnie o pomoc. Straciliśmy go.

– Ale znamy nazwiska z testamentu Machyna...

– On również, jeśli, jak twierdzisz, jest przywódcą konspiracji. Może pojechać na północ i wszcząć rebelię, aby posadzić na tronie Marię Szkocką, trzymając w zanadrzu tajemnicę, którą skrywa ta przeklęta księga.

– Ma przykazane dostarczyć mi kronikę przed zamknięciem bram.

– Nie zrobi tego. Po zabójstwie brata Crackenthorpe’a możemy o tym zapomnieć. Ja sam bałbym się pokazywać w twoim domu, gdybym zabił

krewnego tego człowieka. Co się stało ze zwłokami Machyna?

– Kazałem strażnikom więziennym pochować go w dole razem z ofiarami zarazy. Uznałem, że to będzie całkiem stosowne w przypadku pana domu napiętnowanego jako siedlisko choroby.

– Niemądrze postąpiłeś. Okaż mu należny szacunek. Był starym człowiekiem i pochował wielu szlachciców i arystokratów z godnym przepychem. Zasługuje na coś lepszego niż dół dla ofiar zarazy. A Clarenceux?

– Co z nim?

– No właśnie: co z nim? Co zamierzasz zrobić w jego sprawie?

– Będę go dalej szukał. Crackenthorpe postawił strażę na każdym skrzyżowaniu w Queenhithe. Dyszy żądzą zemsty.

– Jeśli znajdzie Clarenceux pierwszy, będziesz przesłuchiwał zwłoki. – Cecil milczał chwilę. – O której go wypuściłeś?

– Około siódmej. Czemu pytacie?

– Bo chcę to wiedzieć. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Nie, wasza miłość.

– Może na przykład, gdzie przebywa obecnie Lancelot Heath?

– Z przykrością przyznaję, że nie mam żadnych informacji na ten temat, wasza miłość.

– A ja z przykrością to słyszę. Spodziewam się, że zrobisz wszystko co w twojej mocy, a nawet jeszcze więcej, aby się tego dowiedzieć. On może być równie ważny jak Clarenceux. A razem mogą przedstawiać dla nas większą wartość niż kronika. Idź już, życzę powodzenia.

Cecil obserwował, jak Walsingham wychodzi z komnaty. Potem odwrócił się i zapatrzył w ogień.

Francis wypuścił Clarenceux osiem godzin temu. Jeśli przesłuchiwał go poprzedniego wieczoru i nie powiedział mu o mnie ani słowa, czemu herold

nie przyszedł do mnie natychmiast po zwolnieniu?

Wstał i przemierzył komnatę. Na końcu postukał palcem w deszczułkę boazerii, po czym ruszył z powrotem w stronę stołu.

Są dwa możliwe wyjaśnienia. Albo Clarenceux wie, że Walsingham pracuje dla mnie i ma moją protekcję, albo w istocie jest winien wszystkiemu, o co podejrzewa go Francis.

Zatrzymał się.

Albo obydwie wyjaśnienia są prawdziwe.

35

Clarenceux wyszedł z oberży w swojej starej szacie i aksamitnej czapce z zamiarem powrotu do magazynu po kronikę. Podniósł wzrok na kościół St Swithin po drugiej stronie drogi i rozejrzał się po Candlewick Street. Wyglądało na to, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Postanowił pójść w kierunku Dowgate i siedziby Gildii Skórników i dalej koło kościoła Świętego Tomasza Apostoła. Owinął się ciasno szubą przed dotkliwym zimnem.

Zaświtała mu w głowie myśl, że przecież jest podstarszym gildii, znają go dobrze wszyscy członkowie, którzy tu wchodzą i wychodzą. Walsingham mógł przekupić któregoś z nich, aby go wypatrywał. Skoro jednak chciał się dostać do Queenhithe, musiał przejść obok tego miejsca. Ostrożność jest koniecznością, lecz strach tylko zawadą.

Zaglądał w twarze mijanych ludzi, po czym szybko odwracał wzrok, gdy zamierzali odwzajemnić jego spojrzenie. Zerknął nieco dalej przed siebie i zauważył podejrzanego osobnika kręcącego się beczynn timer przed kościołem Świętego Jana i zacierającego dłonie na zimnie. Był niski i drobny, wyglądał na podenerwowanego, a u pasa zwisał mu miecz.

Czy to któryś z ludzi Crackenthorpe'a? A ten drugi, uzbrojony mężczyzna po przeciwnej stronie ulicy?

Odwrócił się i ruszył szybko w stronę Dowgate, jakby kierował się do gildii. Mógł skręcić w prawo i pójść dalej małą boczną uliczką obok

kościół Świętego Michała, potem do Little Trinity w Garlickhithe. Oddychał coraz szybciej. Skręcając, zobaczył dwóch następnych mężczyzn na rogu ulicy naprzeciwko kościoła. Obserwują całą Queenhithe.

Zatrzymał się i zaraz sobie uprzytomnił, że stojąc, zwraca na siebie większą uwagę. Schylił się więc szybko, jakby poprawiał sobie klamerkę przy bucie, a jednocześnie obejrzał na budynek gildii. Czoło zrosił mu zimny pot. Jeśli pójdzie dalej, będzie musiał przejść obok podejrzanych mężczyzn, a tego nie mógł zrobić. Szukają go, ryzyko jest zbyt wielkie. Lecz jeśli zawróci, w jaki sposób dostanie się do Queenhithe?

Wrócił po własnych śladach z sercem tłukącym w piersi, tylko czekając, aż tamci przed Świętym Michałem puszcza się za nim w pogoń. Ulicą szło sporo ludzi, jechało też kilka pojazdów, lecz żołnierze stojący na straży nie będą zważać na to, czy ktoś zobaczy, że go aresztują. Nikt nie zaprotestuje. Bolało go kolano, zastanawiał się, czy da radę biec. Na pewno niezbyt szybko. W Dowgate skierował się w stronę budynku gildii, najszybciej jak pozwalała mu na to sztywna noga.

Wszedł w bramę, szukając tam schronienia.

– Dzień dobry, jaśnie wielmożny panie Clarenceux – powiedział jeden z odźwiernych, pełniący służbę przy wejściu.

– Hoskins, dobry człowieku – rzekł Clarenceux z ulgą, widząc życzliwą twarz.

– Uwaga, za wami! – krzyknął Hoskins.

I wyciągnął rękę, aby osłonić herolda przed pojazdem wjeżdżającym w bramę.

Clarenceux przywarł plecami do drzwi stróżówki i patrzył na przetaczający się wóz załadowany kilkunastoma beczkami z winem. Woźnica miał na sobie obszerny płaszcz przeciwdeszczowy, a na głowie kapelusz nasunięty tak nisko, że nie widać było jego twarzy. Może

mógłbym się przebrać i zamienić z nim na miejsca? Lecz to może wzbudzić podejrzenia woźnicy. Co będzie, jeśli go zdradzi?

Wtedy wpadł mu do głowy znacznie prostszy plan.

– Hoskins, znasz kogoś, kto ma łódź i mógłby mnie zabrać z Dowgate do Queenhithe, a potem na Wyspę Psów?

– A jakże, jaśnie wielmożny panie Clarenceux, pewnie, że znam, jeno zależy, kiedy chcecie tam popłynąć. Mój brat cioteczny ma krypę, ale teraz jest w Southwark.

– Nie, nie, Hoskins, potrzebuję transportu natychmiast. Już teraz.

– To może młody John Gotobed, siostrzeniec nadwornego skryby? Był tu dziś rano i tylko patrzeć, jak wróci z zamówioną dostawą farby. Mam mu o was powiedzieć, kiedy się zjawi?

– Będę ci bardzo wdzięczny, Hoskins. Powiedz mu, że czekam w gabinecie podstarszych.

36

Kiedy Clarenceux dotarł wreszcie do Mile End, zapadł już zmrok. W gospodzie, oświetlonej licznymi świecami i ogniem z paleniska, tłoczno było od mężczyzn, kobiet, dzieci i psów. Przy jednym stoliku spożywała posiłek rodzina, przy innym trzech kupców w wytwornych dubletach i modnych falbaniastych pończochach dyskutowało o wspólnej podróży. Na końcu długiego stołu kilku chłopów piło piwo, po drugiej stronie komornik grał w karty z królewskim gońcem. Inny stolik zajmowali dwaj wędrowni grajkowie. Ze śmiechem oganiali się od nagabywań młodych mężczyzn i ich żon, którzy prosili, by zagrali coś do tańca. Tu i ówdzie stali miejscowi rzemieślnicy – kowal z żoną, cyrulik, piwowar, rzeźnik – a także drobni urzędnicy i pisarze, którzy prowadzili rachunki dla swych panów i kościołów.

Trzymając kronikę pod pachą, Clarenceux przecisnął się przez tłumek na środku wielkiej sali. Rozglądał się za charakterystycznym skórzanym fartuchem oberżysty. Nie mógł go nigdzie dojrzeć, lecz jego wzrok przyciągnęła kobieta w spłowiałej czerwonej sukni, koronkowym staniku i fartuszką, niosąca wielki dzban w stronę długiej ławy.

– Szukam pani Lowe – powiedział do niej, przekrzykując zgiełk. – To moja żona – dodał, nieco zażenowany koniecznym kłamstwem.

Kobieta krzyknęła coś w odpowiedzi, nalewając piwo ze skórzanego dzbana do drewnianego kufla i chowając do kieszeni srebrnego pensa

zapłaty.

– Witajcie, panie Lowe. Musiałam przenieść trzech mężczyzn do innego pokoju, skoro małżeńska para chce zapłacić za łóżko, więc dobrze, żeście przyjechali.

Skinęła na Clarenceux ręką i poprowadziła go do wyjścia na podwórze. Zmrok i zimno panujące na dworze uderzyły go niemile po wyjściu z jasnej ciepłej sali. Kobieta nie miała świecy. Ruszył za nią po zewnętrznych schodach prowadzących na galerię, gdzie otworzyła środkowe spośród trojga drzwi. Zobaczył w środku pojedynczy płomień lampy wiszącej na ścianie.

– Pani Lowe! – zawołała. – Przyszedł wasz mąż.

W pokoju prawie nie było mebli, tylko łóżko bez baldachimu, stołek, miednica do mycia, dzban i drewniana skrzynia. Brakowało też kominka. Zobaczył Rebecę, która wstała z łóżka i odwróciła się w ich stronę. Nie widział jej twarzy, ukrytej w cieniu lampy za jej plecami. Ukłonił się lekko.

– Dobry wieczór – przywitał się, patrząc na nią.

– Dobry wieczór – odrzekła.

Zauważył, że mówiła to bardzo słabym głosem. A także, że ma na sobie modną i kosztowną suknię z wymyślnie ozdobionymi ramionami. Musiała być w domu pani Barker, pomyślał.

Odwrócił się do gospodyni.

– Domyślam się, że to wy jesteście panią Crawley?

– Owszem, panie.

– Wejdźcie do środka, proszę. – Zamknął za nią drzwi.

– Czy moja żona poprosiła już was o sumę pieniędzy, którą zostawiono tu na przechowanie kilka lat temu? Złożył ją u was Henry Machyn.

Pani Crawley wyraźnie się zaniepokoiła.

– Panie, nic mi nie wiadomo, aby ktoś zostawiał u nas pieniądze. Może mój mąż...

– Wasz brat, Lancelot, powiedział nam o tych pieniądzech. Może jeśli dodam, że zostały tu zdeponowane dla króla Clariance’a z Northumberland, to sobie przypomnicie.

– Lancelot ma wybujałą imaginację. Odziedziczył ją po ojcu. Gdyby zajął się ciężką pracą, jak ja i mój mąż, nie miałyby czasu na bujanie w obłokach i opowieści o królach i księżętach.

Clarenceux zerknął na Rebecę. Odsunęła się nieco w bok i dostrzegł teraz kosztowny aksamit, z jakiego uszyto jej suknię, a nawet niewielką kryzę wokół szyi. Ze zdumieniem zauważył, że jej twarz jest mokra od łez, w których odbija się światło świecy.

– Nie zamierzam dyskutować o waszym ojcu, tylko o pieniądzech, które tu zostawiono. Lancelot twierdzi, że była to suma dwudziestu funtów. Chcecie mi powiedzieć, że wasz brat nas okłamał?

Kobieta zeszywniała, a jej głos nabrał szorstkości.

– Jeśli pozostawiono tu kiedyś pieniądze, to na pewno nie tyle. Możliwe zresztą, że zostały już wypłacone. Wybaczcie, ale muszę wracać do gości. Poproszę męża, aby porozmawiał z wami jutro rano.

To powiedziawszy, czym prędzej wyszła z izby. Clarenceux jej nie zatrzymywał. Zamknął drzwi i usiadł na łóżku.

– Gdy tylko spotka nas coś dobrego, zaraz muszą pojawić się przeszkody. Westchnął, zdjął szubę i czapkę i położył je na skrzyni obok łóżka.

Rebecca milczała.

– Co się stało? – spytał łagodnie, odwracając się do niej.

Słowa stoczyły się z jej ust i spadły ciężko niczym kamienie z dna duszy.

– Henry nie żyje.

Łzy spłynęły jej po policzkach. Wybuchła szlochem.

Clarenceux wstał i objął ją ze ściśniętym sercem. Czuł, jak jej ramionami wstrząsają spazmy rozpacz. Przycisnął ją mocno. Tylko tyle mógł zrobić.

Przypomniawszy sobie rozmowę z Henrym sprzed dwóch dni, a potem wpis w kronice, w którym przepowiedział swoją własną śmierć. Przypomniawszy sobie wszystkie sytuacje, gdy przychodził do niego w interesach lub spotykali się przy innych okazjach. Pomyślał, ile razy widywał go w konduktach pogrzebowych z pochyloną głową, pełnego godności i szacunku.

– Po wyjściu z obozu Pod Byczą Głową poszłam do domu pani Barker – ciągnęła, wycierając łzy. – Pomyślałam, że jeśli mam udawać żonę szlachcica, to powinnam się ubrać jak szlachcianka. Wszędzie było pełno żołnierzy, pewnie sami zauważyliście, ale przeszłam tuż przed ich nosem. Uznałam, że skoro wy mieliście tyle odwagi, to ja też powinnam. Pani Barker przywitała mnie z grobową miną. Powiedziała mi, co usłyszała od pewnego znajomego Henry’ego, Jamesa Emery’ego. Ponoć jego przyjaciel widział, jak wrzucano ciało mego męża do dołu dla ofiar zarazy.

– Do dołu ze zmarłymi na zarazę?

– Odmówili mu nawet przyzwoitego pogrzebu.

Clarenceux pozwolił jej wypłakać się w jego ramię. Straciła wszystko, co było dla niej ważne: męża, córki, dom. Może dlatego była tak odważna, by przejść obok swego domu i strażników w Queenhithe, podczas gdy ja zrezygnowałam.

– Pani Machyn – powiedział – przyjdzie jeszcze czas na żałobę. Najpierw musimy zdobyć coś do jedzenia. Musimy jeść, aby nie opaść z sił. Jeśli nie zamierzają nam oddać pieniędzy, po które przyszliśmy, to mogą przynajmniej dać nam posiłek na kredyt. Zapłacę za niego w przyszłości.

Rebecca odsunęła się od niego i popatrzyła na rękawy wykwintnej sukni.

– Wstyd mi.

– Wstyd? Czemu?

– Ponieważ nie mam prawa nosić tych ubrań. I wstyd mi, że nie było mnie przy mężu, kiedy umierał. Wstyd mi, że jestem tu z wami i udaję waszą żonę, podczas gdy wasza prawdziwa małżonka jedzie do Devon, bez wątpienia bardzo wystraszona. Powinniście być u jej boku. Powinniście za nią pojechać.

Clarenceux pokręcił głową. Poczł się zakłopotany wyznaniem Rebekki.

– Moja żona... Wiem. Przyznaję. Ja również to czuję, możecie mi wierzyć. Ale nie mogę się nią zająć, dopóki sprawa z kroniką się nie wyjaśni. Nie byłaby przy mnie bezpieczna, podobnie jak moje córki. A co do wstydu... czujecie się tak przez wstrząs, jakim jest dla was śmierć Henry'ego.

– Może. Nie wiem, czemu czuję się taka... wyzuta z dumy.

Próbował wymyślić coś, co pozwoliłoby jej odzyskać poczucie godności.

– Wyglądacie ślicznie w tej sukni, pani. Ale nie mniej uroczo w swym codziennym odzieniu. To tylko ładna rama dla pięknego obrazu. Więc nie mówmy ani słowa więcej na temat wstydu. Jesteście piękną niewiastą, pani, i przynosi mi zaszczyt, że zgadzacie się udawać moją żonę.

– To lukrowane słowa, panie Clarenceux. Nie musicie mi pochlebiać.

– Chodźmy więc na dół i zjedzmy wieczerzę.

Skinęła głową.

– Lepiej włóćcie z powrotem szubę – zauważyła.

– Szubę? Czemu?

Otarła dłonią łzy.

– Spójrzcie na swój dublet. Cały jest poplamiony krwią.

37

Posiłek zjedli w milczeniu. Późnym wieczorem muzykanci zaczęli grać i ludzie ruszyli do tańca, lecz oni patrzyli ze smutkiem na weselące się towarzystwo. Rebecca kilka razy zapłakała, choć starała się ukryć łzy przed Clarenceux i gośćmi oberży. Wypiła trzy czarki wina, sięgając po trunek za każdym razem, ilekroć czuła, że przestaje panować nad nerwami. Uśmiechała się wtedy do niego niespokojnie i odwracała wzrok.

Kiedy wychodzili z sali na ciemne podwórze, wziął ją za rękę. Zrobił to prawie bez zastanowienia, a Rebecca nie protestowała. Poprowadził ją na galerię, znalazł drzwi, drugą ręką otworzył rygiel i weszli do środka.

Pokój wypełniało subtelne światło lampy ściennej. Żadne z nich się nie odezwało. Clarenceux usiadł na bliższym brzegu łóżka. Uznał, że Rebecca woli spać po drugiej stronie, ponieważ tam ją zastał, kiedy przyszedł do gospody. Uklękała przy misie do mycia, opłukała twarz i dłonie i wytarła je w lniany ręcznik, który leżał na stołku. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym spuścił wzrok. Zdjął szubę i ułożył ją w nogach łoża. Potem odpiął pas i zzuł buty, które razem umieścił na skrzyni. Rozbierając się z dubletu i kryzy, zobaczył plamy krwi i przypomniała mu się walka, którą tego dnia stoczył. Zrobiło mu się niedobrze, więc zmusił się, aby o tym nie myśleć. Odwrócił wzrok, wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Nagle poczuł okrutne zimno, wszak stał w samych pończochach i koszuli

w nieogrzewanym pokoju. Odchylił kołdrę i położył się do łóżka. Odwrócił się na bok, tyłem do Rebekki, aby widziała, że jej nie obserwuje.

Rebecca musiała rozdziać się z sukni. Nikt nie zdołałby spać w odzieży z rękawami sztywnymi od haftów i brokatu.

Zaczęła się mocować z zapięciami wysoko na plecach, gdzie nie mogła ich dosięgnąć.

Clarenceux nasłuchiwał jej szamotaniny. To suknia szlachcianki, pomyślał. Szlachcianki nie ubierają się same, tylko z pomocą służących. Pani Machyn usiłuje dokonać rzeczy niemożliwej. Zrobiło mu się jej żal.

Rebecca stała bez ruchu i coraz bardziej marzła.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał cicho.

– Właśnie się zastanawiałam: czy sprawdziliście w kronice opis wieczery, o której mówił Lancelot Heath? Wtedy gdy spotkali się wszyscy rycerze.

– Znalazłem go. Nie ma w nim żadnych nazwisk. Szczerze mówiąc, w ogóle niewiele na ten temat napisał poza tym, że się odbyła.

Rebecca milczała, znowu zaczęła szarpać się z sukienką. W końcu poddała się w obliczu tego, co było nieuniknione.

– Panie Clarenceux, nie mogę rozpiąć tej sukni. U pani Barker pomagała mi jej służąca. Bardzo mi przykro, ale czy mogę prosić was o pomoc...

Clarenceux wstał i podszedł do niej. Obróciła się doń plecami i pochyliła głowę. Spojrzał na jej jasną skórę na karku, oświetloną blaskiem świecy. Uporał się szybko z zapięciem sukni, potem jeszcze raz przelotnie zerknął na szyję i plecy widoczne pod rozchyloną materią i się odwrócił.

– Zostawiacie na noc zapaloną świecę? – zapytała, kiedy położył się do łóżka i znów odwrócił tyłem.

– Tak. Niech się wypali.

Poczuł, jak pod jej ciężarem napinają się sznurki przytrzymujące siennik. Były luźne i łóżko się zapadało. Wiedział, że Rebecca leży sztywno na plecach, aby nie sturlać się w jego stronę. On również musiał mocno się napinać, aby nie zsunąć się na jej połowę.

– Panie Clarenceux – szepnęła.

– Tak?

– To bardzo krępujące. Wydaje mi się, że będziemy musieli się dotknąć.

– Ja również mam wrażenie, że jest to nieuniknione, pani Machyn. Przepraszam, że nie możecie przeze mnie zasnąć.

– Nie, panie Clarenceux, to ja powinnam was przeprosić. Położyłabym się na łóżku dla służby, gdyby tu było.

Clarenceux przewrócił się na drugi bok i podparł ramieniem, żeby nie stoczyć się na środek łóżka. W świetle lampy zobaczył jej zapłakaną twarz. Wyjął rękę spod kołdry i położył jej dłoń na ramieniu.

– Opłakuję go razem z wami, pani Machyn – szepnął.

Popatrzyła na niego, drżąc. Z zimna i ze zdenerwowania trzęsła się jeszcze bardziej.

– Panie Clarenceux, wiem, że jesteśmy tu tylko z konieczności, ale jestem wdzięczna....

– Nie musicie mnie tak tytułować...

– Ja jeno udaję szlachciankę. Jestem żoną krawca, nie ośmieliłabym się zwracać do was w inny sposób.

Clarenceux milczał. Nie chciał jej zwrócić uwagi, że powinna raczej powiedzieć: wdową.

– Wszystko, co robię, jest udawane – ciągnęła tymczasem ona. – Każdy mój ruch wydaje się toporny, każde słowo, które wypowiadam, należy do osoby z niższej klasy niż wy...

– Pani Machyn, te niespokojne myśli nie pomogą wam zasnąć. Musicie wypocząć. Spróbujcie przestać się tak trząść.

Pokiwała głową. Po krótkiej chwili przełknęła ślinę. Kolejne łzy kapnęły na poduszkę.

– Czy... czy moglibyście mnie objąć, panie Clarenceux?

Clarenceux niezręcznie otoczył ją ramieniem, tak aby dodać jej otuchy, lecz nie przyciskać jej do siebie. Ona jednak przysunęła się do niego, wtuliła weń i ułożyła głowę na jego ramieniu.

– Przepraszam, ale czuję się taka... przegrana.

– Pani Machyn, nie możecie tak mówić. Zawdzięczam wam życie. Uratowała mnie pani, zabierając kronikę. – Zamknął oczy i przypomniał sobie zwłoki Willa Terry’ego w ramionach Thomasa i pobrużdżoną, zapłakaną twarz starego służącego.

– Niczego mi nie zawdzięczacie, panie Clarenceux. Ale dziękuję wam. Dziękuję wam za zrozumienie. I za ciepło.

Clarenceux na przemian budził się i zasypiał. Nie dawało mu spać skrobanie szczurów za ścianą, a także Rebecca przewracająca się niespokojnie przez całą noc. Chwilami w półśnie zdawało mu się, że leży w domu u boku Awdrey i czując ciepło kobiecego ciała, myślał o miłości. Potem jednak przypominał sobie, gdzie jest, i odsuwał od siebie myśli o Rebecce i zagłębieniu w łożu, a zamiast tego powracał wspomnieniami do swojej żony. Potem zaczął się zastanawiać nad kroniką, a wtedy jego umysł wpadł w prawdziwy wir dat i nazwisk. Próbował to wszystko uporządkować i rozszyfrować. Przypomniawszy sobie dni trzynastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego i dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego i zastanawiał się, co je może łączyć.

Niebawem miało świtać. Świeca zgasła i panowała kompletna ciemność. Rebecca znowu się obróciła.

– Nie śpicie? – spytał szeptem.

– Nie.

– O czym rozmyślacie?

Przez długą chwilę nie odpowiadała.

– Zastanawiałam się, dokąd pojedziemy.

– Przeprowadzimy się na drugi brzeg i udamy się do Chislehurst. Mieszka tam mój przyjaciel, szlachcic i antykwariusz, niejaki Julius Fawcett. Jest

trochę zdziwaczały i bardzo staromodny, ale to dobry katolik. Zapewni nam schronienie na kilka dni.

Rebecca położyła mu dłoń na ramieniu.

– A wy? – spytała. – O czym myśleliście?

Odsunął się od niej i usiadł, opierając plecami o kolumnę.

– Zastanawiałem się, co łączy dwie daty, które znamy z kroniki: trzynastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego i dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego. Dzień jakiegoś świętego? Czy inne święto albo rocznica? Nie wiem. Henry powiedział, że na pewno rozpoznam cytat z Księgi Hioba, jeśli go zobaczę. Ale co ma wspólnego Biblia z tymi datami?

– Obydwa wpisy w kronice Henry’ego wspominają o krzyżu świętego Pawła.

– Tak. Zarówno opat Westminsteru, jak i biskup Durham wygłaszali tam kazanie. To miejsce, gdzie prałaci odprawiają najważniejsze nabożeństwa. Poza tym...

Materac zafalował, kiedy Rebecca w ciemności uniosła się na łokciu.

– A może daty innych Rycerzy również są powiązane z nabożeństwami odprawianymi tam przez ważnych duchownych?

Clarenceux wyobraził sobie krzyż na dziedzińcu katedralnym w Londynie – prawdopodobnie najczęściej odwiedzane miejsce w mieście. Była to duża drewniana ambona z kamienną podstawą i ołowianym dachem, na którym wznosił się duży pozłacany krzyż. Ogromne tłumy ciągnęły tam na msze, w całej kronice pełno było wzmianek na ich temat. Ale na ambonie nie było żadnego napisu, żadnej inskrypcji. To jedynie miejsce, skąd głośzono kazania.

– Nie wiem, co mógłby nam powiedzieć ten krzyż – oznajmił wreszcie.

– Może Henry chciał uczynić z niego jakiś znak? Może daty wszystkich Rycerzy odnoszą się do innych osób wygłaszających kazania z tego miejsca? Może to ich musimy znaleźć?

Clarenceux rozważał w myślach jej słowa. Jeśli Henry chciał wszcząć rewolucję, z pewnością potrzebował pomocy ważnych osób, takich jak opat Westminsteru i biskup Durham. Ale pani Machyn nie może mieć racji.

– W tysiąc pięćset pięćdziesiątym biskupem Durham był Cuthbert Tunstall. Zmarł cztery lata temu. A opat Westminsteru siedzi w Tower.

– Ale takie mogły być intencje Henry’ego, kiedy zakładał ze swymi towarzyszami bractwo Rycerzy Okrągłego Stołu.

– Nie. Nie należałyby tak bardzo, abym spotkał się z Heathem, gdyby kronika miała nas tylko doprowadzić do zmarłych lub uwięzionych osób. Musimy poznać więcej arturiańskich imion i dat. Henry powiedział, że kiedy zbiorą się wszyscy Rycerze, odkryję tajemnicę, ale tylko ja, nikt inny. Prawdopodobnie zapisał w kronice coś, o czym wiem tylko ja.

– Jeśli pojedziemy do Kentu, oddalimy się od innych Rycerzy – zauważyła Rebecca, układając się z powrotem i opatulając kołdrą.

– Chcecie zostać w Londynie, aby nas aresztowano?

– Gdzie się podziała wasza odwaga, panie Clarenceux?

Spuścił nogi na podłogę i usiadł na łóżku.

– Zostawiłem ją za sobą dawno temu, kiedy księżę Suffolk opuścił Boulogne.

– Nie wierzę wam.

Milczał przez długą chwilę.

– Najpierw chcę się upewnić, że nie grozi wam już niebezpieczeństwo. Potem wrócę do Londynu i znajdę pozostałych Rycerzy.

Teraz z kolei Rebecca nie odzywała się przez dłuższy czas. Usłyszał, że się porusza, i poczuł falowanie materaca.

– Nic wam nie jest, pani Machyn?

– Nie, panie Clarenceux. Myślałam sobie tylko, ile miałam szczęścia, że byłam żoną Henry’ego przez tyle lat. On również był taktownym i troskliwym człowiekiem.

Poniedziałek, 13 grudnia

Było wczesne słoneczne popołudnie, kiedy Rebecca i Clarenceux przybyli do Chislehurst i skierowali się do Summerhill – posiadłości Juliusa Fawcetta. Zimowe słońce zniżało się ku horyzontowi i przez gałęzie drzew rzucało na drogę jaskrawe cętki światła i cienia. Jechali na koniach, które najęli w Greenwich za pieniądze od Crawleya, właściciela oberży w Mile End. Crawley w końcu ustąpił i przyznał, że dostali z żoną pewną sumę pieniędzy od Henry’ego Machyna. Kiedy nadeszły ciężkie czasy, byli zmuszeni pożyczyć część, aż w końcu wszystkie się rozeszły. Nie spodziewali się, że po tylu latach ktoś się o nie upomni. Oberżysta dał Clarenceux pięćdziesiąt sześć szylingów, utrzymując, że to wszystko, co ma, i rzekł się trzech szylingów i jedenastu pensów za posiłki i nocleg. Clarenceux wyliczył, że suma ta z zapasem wystarczy na łódź i wynajęcie koni. Uznawszy, że Crawley mimo wszystko zasługuje na szacunek za swoją szczerść, wziął od niego tylko czterdzieści szylingów.

Kiedy jechali przez Kent, Clarenceux przedstawiał sobie w wyobraźni, że Summerhill będzie dla nich niczym zamek dla średniowiecznych rycerzy. Posłuży im za schronienie i bezpieczną kryjówkę. Zostawią tam kronikę. Spokojnie zaplanują następne posunięcia i będą robić wypady, niczym średniowieczne armie, kiedy narzucały swoje panowanie ościennym

krajom. Pojadą do Londynu, wejdą do miasta potajemnie przez furtkę u kowala i znajdą sposób, aby dotrzeć do Rycerzy. Mogą się ukrywać w magazynie bratanicy Machyna lub w domach, które Clarenceux znał niedaleko bramy Aldersgate. Kiedy piętnaście lat temu otrzymał tytuł herolda, królowa nadała mu prawo czerpania dochodu z tych posiadłości. Od tamtej pory zobowiązał się do przeprowadzania w nich regularnych inspekcji.

Przez większą część drogi jechał pogrążony w myślach. Rebecca również milczała. Z trudem docierało do niej wszystko, co przytrafiło jej się w ciągu trzech ostatnich dni. W piątek rano obudziła się jak zwykle u boku swego męża, a jeszcze tego samego wieczoru Henry opuścił dom po rozdzierającym serce pożegnaniu, jej zaś kazał iść do pani Barker. A teraz nie żyje. Rebecca musi się ukrywać, a cała jej przyszłość spoczywa w rękach przyjaciela jej męża. Dzielili z nim nawet łóżce i leżała w jego objęciach na własną prośbę. Żadnej z tych rzeczy nie mogła przewidzieć, podobnie jak uczuć, jakie nią owładnęły od pierwszej wizyty u Clarenceux. Widywała go przez lata wielokrotnie, a choć rozmawiała nim z osobiście tylko kilka razy, zawsze słuchała go z wielkim podziwem. Zachwyciła się jego pewnością siebie i inteligencją, lecz zawsze widziała w nim człowieka bardzo od niej różnego. Był ważną osobistością, szlachcicem, wykształconym i ustosunkowanym. Należał do innego świata niż ona i Henry. Albo raczej oni należeli do innego świata niż on.

Biedny Henry. Otaczał pana Clarenceux taką czcią. „Najszlachetniejszy człowiek, jakiego znam”, tak zawsze o nim mówił. Z nabożnym podziwem rozprawiał o jego wiedzy i pozycji społecznej. Clarenceux był żołnierzem, a jednak potępiał wojnę. Obracał się wśród wielkich panów i rycerzy, a jednak potrafił cenić również ludzi z niższych klas. Henry nigdy nie omieszkiał wspomnieć, że to Clarenceux ogłosił wojnę z Francją. W jego

umyśle ten złowieszczy moment uczynił z herolda głos Anglii i rzecznika tronu. Było dla niej nie do pojęcia, że ich losy nagle się splotły, a jej mąż nie żyje.

– Oto i on.

Słowa Clarenceux wyrwały ją niespodziewanie z zamyślenia. Popatrzyła przed siebie i między bezlistnymi gałęziami drzew ujrzała wielką rezydencję z kamienia. Stała na grzbiecie wzniesienia, otoczona lasami, i patrzyła ku północy na dolinę Tamizy. Rebecca zauważyła ołowiany dach wielkiego dworu, przylegającą doń, zwieńczoną blankami wieżę, budynki otaczające okrągły dziedziniec i jeszcze więcej zabudowań na tyłach. Po murach wspinał się bluszcz, jakby sam czas postanowił bronić tego zamku. Wyobrażała sobie uzbrojonych rycerzy wyjeżdżających przez bramę na turniejowe pojedynki. Może ich duchy nadal toczyły ze sobą potyczki. Było to niezwykle malownicze, lecz nieco podupadające świadectwo dawnych stuleci.

Kiedy przejeżdżali przez sklepioną bramę, widok dziedzińca utwierdził ją w przekonaniu o starożytnym pochodzeniu tej przeogromnej siedziby. Maleńkie stare okna w zewnętrznych murach niewiele się różniły od otworów strzelniczych dla łuczników, lecz te, które wychodziły na dziedziniec, były dużo większe. Budowla miała przeznaczenie obronne i wzniesiono ją w czasach, zanim broń palna weszła w powszechne użycie. Wielkie kamienne zbiorniki zbierały wodę deszczową, ściekającą z dachu. W jednym miejscu kręte kamienne schody w zrujnowanej wieży prowadziły donikąd lub może raczej do przeszłości. Sala, do której kiedyś wiodły, od dawna nie istniała, komnatę, w której mężczyźni i kobiety rozmawiali, sprzecali się, walczyli, kochali się i umierali, otaczały teraz ściany powietrza.

Podbiegł do nich chłopiec stajenny, aby przytrzymać cugle, kiedy Clarenceux i Rebecca zsiadali z koni. Po dziedzińcu kręciło się dużo służby, jedni nieśli drewno, inni kubły z wodą. Clarenceux poprowadził Rebecę w sklepiony szeroki korytarz. Kiedy weszli do dworu, stanęli w ogromnym przestronnym holu, długim na sześćdziesiąt stóp i wysokim na czterdzieści. Sprawiał wrażenie jeszcze starszego niż otaczające go mury, ściany bowiem udekorowane były chorągwiemi herbowymi i zjedzonymi przez mole gobelinami, na których wisiały stare miecze, piki i łuki. Długie stoły na kozłach świadczyły o tym, że na dworze przestrzega się dawnego obyczaju wspólnego spożywania posiłków. Na podwyższeniu stał stół ze starym baldachimem osłaniającym miejsca pośrodku, gdzie siedzieli państwo. Rebecca była kiedyś w Guildhall w Londynie i widziała coś podobnego, jakby zabytek z zamierzchłych czasów. Pod ścianą stała staromodna almaria z pociemniałego, zniszczonego drewna, a obok stara okuta żelazem skrzynia. Zupełnie jakby za sprawą jakiegoś czaru weszli nagle do domu sprzed dwustu lat, zapomnianego przez resztę świata.

Od drzwi na lewo dobiegł czyjś głos, do komnaty wszedł niski mężczyzna o okrągłym dobrodusznym obliczu.

– Witajcie, panie. Jestem James Hopton, szambelan... – Nagle urwał i uśmiechnął się szeroko. – Och, wszak to pan Harley. Jakże dawno was nie widziałem. I pomyśleć, że już zacząłem was witać niczym obcego. Kornie przepraszam. To ja, szambelan, zarządca, sekretarz i koniuszy pana Juliusa Fawcetta, jak zawsze do usług. Dobrze was znowu widzieć, panie.

– Dziękuję, Hoptonie. A gdzie Julius? W swoim gabinecie?

– Ależ skąd! Właśnie spieszy powitać starego druha – zawołał ktoś od strony stołu. – Williamie Harleyu, najprześwietniejszy heroldzie i bohaterze, sławny z chwalebnych czynów, z daleka wypatrzyłem twój przyjazd. Witam ciebie i twą towarzyszkę!

Julius miał pięćdziesiąt a może sześćdziesiąt lat, trudno było dokładniej określić jego wiek. Długie czarne włosy przetykane siwizną sterczały niesfornie na wszystkie strony. Zaskakiwało, że mężczyzna o tak osobliwej fryzurze golił się gładko. Był szczupły, nosił czarną szubę obszywaną futrem, a pod spodem zielony aksamitny dublet, zdobiony złotym brokatem. Jak na swój wiek poruszał się niezwykle zwawo. Kiedy podszedł do gości sprężystym, równym krokiem, Rebecca zauważyła, że ma brązowe błyszczące oczy i długie szczupłe palce ze złotymi pierścieniami na każdym.

– Witam cię z całego serca, Juliusie – rzekł Clarenceux, odwzajemniając uścisk starego przyjaciela. – Pozwól, że przedstawię ci Rebeccę Machyn, której mąż stworzył dzieło piśmiennicze szczególnej wagi. Pani Machyn, oto Julius Fawcett, szlachcic i antykwariusz, potomek w prostej linii słynnego sir Johna Fawcetta, który wybudował ten dom za panowania Edwarda Trzeciego.

Julius zauważył krew na głowie Clarenceux. Wybujala fryzura zakołysała się na boki.

– Jesteś ranny.

– Juliusie, będę z tobą szczery. Może wręcz brutalnie szczery. Pani Machyn i ja uciekamy przed królewskim sierżantem, niejakim Richardem Crackenthorpe'em. Z rozkazu Francisa Walsinghama tropi on spiszek, w który zamieszany był Henry Machyn, wyznawca starej religii. Mamy powody sądzić, że Crackenthorpe zamordował Henry'ego. Na pewno zaś zabił jednego z moich chłopców służebnych i zniszczył do reszty mój dom. W przypadkowej walce ja zabiłem jednego z jego żołnierzy. Moja żona z córkami uciekła do siostry do Devon, niedaleko Exeter. Przyjechałem tu prosić cię o schronienie, strawę, użyczenie koni oraz radę. Jeśli nie mogę liczyć na twoją pomoc, co, Bóg mi świadkiem, zrozumiem doskonale,

rzeknij tylko słowo, a wyjedziemy stąd natychmiast i zostawimy cię w pokoju.

Julius pokręcił głową.

– Williamie, nie możesz czynić mi honoru, prosząc o schronienie, a potem obrażać podejrzeniem, że jestem tak zmienny lub fałszywy, by nie stanąć w potrzebie u twego boku. Oczywiście, że musicie tu zostać. Nie przelewa nam się, jeśli chodzi o pieniądze, jak sam dobrze wiesz, ale stać mnie na to, aby wam zapewnić schronienie i jadło. Mój szlachetny przodek, sir John Fawcett, nie wybudował trzydziestu pięciu komnat w tym domu, aby mieszkali w nim służący.

– Poczciwy z ciebie człowiek, Juliusie – rzekł Clarenceux, ponownie ściskając przyjaciela. – Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

Julius odczekał, aż wylewność herolda nieco ochłonie.

– Szczerze mówiąc, mam własne powody, by z chęcią pokrzyżować plany Francisowi Walsinghamowi. Wiesz, że dorastał w sąsiedniej posiadłości, Scadbury Park? Nie znosiłem tego małego krętacza, już kiedy miał dziesięć lat. Ale chodźmy do mego gabinetu. Mam biszkopty i wino korzenne, abyście się rozgrzali. Zimno tu, w tej wielkiej komnacie, kiedy jest pusta. Rozgrzewa duszę, ale mrozi palce.

Tego popołudnia Rebecca dowiedziała się wielu rzeczy o Juliusie i Clarenceux. Obaj byli niezwykle ożywieni, w ich konwersacji nie było ani chwili przerwy ni czczej gadaniny, rozmawiali tylko o sprawach najwyższej wagi. Myślała o tym, ile Henry by dał, aby móc ich słuchać, by widzieć swego bohatera wymieniającego poglądy otwarcie i poważnie z człowiekiem, którego najwyraźniej szanował, któremu ufał i którego uważał za równego sobie pod każdym względem.

Siedzieli przy stole na środku izby wypełnionej księgami. Rebecca podziwiała liczbę woluminów w gabinecie Clarenceux, tymczasem w tej

komnacie na pierwszym piętrze wielkiego domu księgi stały nie tylko na półkach, lecz całe sterty piętrzyły się niemal na każdym wolnym skrawku podłogi. Niektóre były otwarte i poukładane jedne na drugich. Pod każdą ścianą stał rząd pras introligatorskich. Przez okno wychodzące na dziedziniec wpadało do środka popołudniowe słońce i Rebecca, obserwując kurz wirujący w powietrzu, słuchała, jak Clarenceux relacjonuje antykwariuszowi wydarzenia ostatnich trzech dni.

Dowiedziała się, ile okropnych zdarzeń zachował przed nią w tajemnicy. Rozmawiał z Juliusem otwarcie o wizycie Henry'ego, o kronice, o swej nocnej wyprawie do miasta i o pierwszym spotkaniu z Crackenthorpe'em. Poruszyła ją relacja o jego przesłuchaniu i cierpieniach, jakie przeżył potem w piwnicy domu Walsinghama, a wzruszenie, z jakim opisywał religijną wizję, jakiej doznał tej nocy, wstrząsnęło nią głęboko. Serce jej się krajało, kiedy ze łzami w oczach opowiadał o śmierci swego służącego i o jego zwłokach na kolanach starca. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jaki był powściągliwy, kiedy z nią rozmawiał.

Przez cały czas Julius słuchał uważnie, od czasu do czasu zadawał pytania, wyjaśniał szczegóły. W końcu nadeszła pora, by zająć się kroniką. Obaj mężczyźni w skupieniu biedzili się nad nierównym pismem jej męża. Julius podobnie jak Clarenceux nie potrafił odgadnąć znaczenia arturiańskich imion i dat, ale, jak zauważył, znali w najlepszym wypadku tylko cztery imiona i dwie daty.

– Skoro Henry Machyn powiedział, że nikt poza tobą nie odkryje tajemnicy kroniki – zauważył Julius – tedy obawiam się, że moja wiedza nic tu nie pomoże. Jedyne, co mogę ci zaoferować, to bezpieczne schronienie.

– To bardzo dużo. W tym domu są pewnie setki kryjówek.

– Owszem. Chociaż jestem pewien, że twoi wrogowie znają się doskonale na przeszukiwaniu starych domów. Tak się jednak składa... – Julius wysączył resztkę wina. – Chcę ci coś pokazać, Williamie, coś, czego nigdy przedtem nie widziałeś. Coś, o czym nigdy ci nie mówiłem. Musisz mi jednak przyrzec, że dochowasz tajemnicy.

– Oczywiście.

– A pani Machyn?

Julius popatrzył na nią w milczeniu. Potem przeniósł pytające spojrzenie na Clarenceux.

– Jak słyszałeś, już raz uratowała mi życie.

– Słyszałem, lecz chciałem, abyś potwierdził.

Podniósł się z krzesła. Zdjął z najbliższej półki grubą księgę i położył ją na stole. Otworzył, aby zobaczyli, że to Biblia.

– Połóżcie na niej dłonie.

Oboje posłusznie położyli dłonie na świętych stronicach.

– Czy przysięgacie na swą nieśmiertelną duszę i sąd Boga wszechmogącego nigdy nie pisnąć ani słowa o tym, co tu zobaczycie?

– Przysięgam – odrzekli oboje.

– Dobrze – powiedział Julius po chwili milczenia. – Chodźcie za mną.

Wyprowadził ich z biblioteki i powiódł przez amfiladę trzech komnat. Czwarte było małe pomieszczenie z kominkiem – pokój do pisania. Płomienie migotały łagodnie wokół kilku grubych dębowych polan ustawionych na wzniesieniu popiołu i żarzących się węgielków. Było tu ciepło i widno, duże okno wychodziło na dziedziniec, a prawie całą powierzchnię ścian pokrywały gobeliny. Oprócz skrzyni i jednego krzesła znajdował się tu stół z piórem na podstawce i kałamarzem oraz kilkoma stertami zakurzonych ksiąg.

Julius podniósł wieko skrzyni, wyjął kilka lamp i świec. Podpaliwszy pierwszą świecę w kominku, włożył ją do lampy i podał heroldowi. Potem zapalił drugą.

– Chodźcie za mną, tylko uważajcie na schodach.

Uchylił róg gobelinu i nacisnął odpowiedni fragment dębowej boazerii. Wsunął dłoń, przekręcił uchwyt po drugiej stronie, a wtedy w ścianie otworzyły się małe ukryte drzwiczki, nie wyższe niż cztery stopy. Niosąc przed sobą świecę, schylił się i wszedł w otwór. Clarenceux dał Rebecce znak, aby poszła przed nim.

Za ukrytymi drzwiami proste kamienne schody prowadziły w dół wieży. W porównaniu z przytulnym pokoikiem na piętrze było tu ciemno, zimno, wilgotno i śmierdziało stęchlizną. Rebecca i Clarenceux stąpali niepewnie, badając stopami nierówne kamienne stopnie, przesuając rękami po zimnym murze. Piętro niżej skrawek światła przedostawał się do środka w miejscu, gdzie drzwi z sekretnych schodów wiodły do komnaty na parterze. Clarenceux zajrzał przez szparę i zobaczył nieużywany pokój z podłogą zasłaną papierami, z zardzewiałym końskim pancerzem, tarczą i skrzynią wypełnioną zaśniedziałymi cynowymi talerzami.

Poszli dalej na dół. Niebawem znaleźli się pod poziomem gruntu, dokąd nie dochodził ani jeden promień dziennego światła. Clarenceux popchnął następne drzwi i w świetle świecy zobaczył pustą, zwieńczoną sklepieniem piwnicę z kilkoma roztrzaskanymi beczkami. Odwrócił się z powrotem w stronę schodów, które biegły spiralnie jeszcze niżej pod ziemię. Julius schodził dalej.

– Dokąd prowadzą? – spytał Clarenceux, nasłuchując echa swego głosu.

– Niedługo zobaczysz.

Zeszli czterdzieści lub pięćdziesiąt stopni niżej. Na samym dole schody kończyły się wejściem do korytarza. Clarenceux roztarł kolano, które

mocniej mu dokuczało po długim schodzeniu. Uniósł lampę, żeby obejrzeć kamienne ściany, lecz przy bladym ruchliwym płomieniu nie potrafił rozpoznać skały, z jakiej były zbudowane. Poskrobał powierzchnię nożem, była miękka, a rysy białe. Kreda.

W jedną stronę korytarz biegł lekko pod górę, a na końcu Clarenceux dostrzegł niewyraźną plamkę zielonkawego światła. Tam gdzie tunel opadał w dół, panowała nieprzenikniona ciemność.

– Te korytarze ciągną się pod domem na wiele mil – odezwał się Julius, a jego głos zadudnił echem. Podnosząc lampę, oświetlił swoją twarz oraz kamienne mury. – To pozostałość dawnej kopalni. Ludzie szukali tu prawdopodobnie krzemienia do budowy domów i w ten sposób stworzyli prawdziwy labirynt. Kiedy mój przodek, sir John Fawcett, kupił majątek, postanowił umocnić sieć tuneli, a nad nimi zbudować zamek. Dwór i korytarze żyją w subtelnym związku. Tam na górze, gdzie widzisz światło, jest wyjście ukryte w stoku wzgórza, mniej więcej dwadzieścia kroków od rogu zewnętrznego dziedzińca, zarośnięte cienką warstwą bluszczu. Chodźcie i popatrzcie. Tylko uważajcie, nie próbujcie się wysforować dalej, niż sięga światło mojej lampy. Trzymajcie się z tyłu.

Powiódł ich korytarzem w kierunku dalekiego blasku. Z początku szedł normalnym krokiem, lecz z czasem zaczął zwalniać.

– Ostrożnie – ostrzegł. – Już. Stójcie.

W pierwszej chwili ani Clarenceux, ani Rebecca niczego nie zauważyli. Do otworu w zboczu wzgórza nadal brakowało prawie stu kroków i podłóże było tak samo ciemne i nierówne jak wszędzie dookoła. Nagle coś zwróciło jego uwagę, coś, co wyglądało inaczej niż powinno. Kiedy przyjrzał się uważniej, zorientował się, że kredowa powierzchnia w tym miejscu nie jest pozioma, jak podłoga, lecz pionowa i opada stromo w dół niemal tuż pod

ich nogami. To, co widział, było przeciwległą ścianą szybu, długą na dwanaście stóp i szeroką na cały korytarz.

– Jeśli zrobicie jeszcze dwa kroki, spadniecie w przepaść. Czterdzieści osiem stóp i trzy cale głębokości, wiem, ponieważ zmierzyłem ją za pomocą liny, kiedy byłem chłopcem. Wylądowalibyście na ostrych kamieniach, które zrzucił tam sir John, domyślam się, że chciał, aby przypadkowe ofiary łamały sobie na nich kości. A nawet gdyby udało wam się przeżyć, musielibyście czołgać się tunelami w kompletnych ciemnościach przez pół mili, a i to pod warunkiem, że znalazłbyście drogę do wyjścia.

Clarenceux podniósł głowę i spojrzał na wylot korytarza.

– Po co zrobiono wejście poza rezydencją? Czemu nie w środku, gdzie byłoby lepiej chronione?

– Och, sir John był sprytnym człowiekiem. Kiedy był w domu, mógł po prostu uciec do tuneli drogą, którą przyszliśmy, po schodach. Lecz on myślał w odmienny sposób niż jemu współcześni. Większość zamków wyposaża się w bramy wypadowe, które w razie niebezpieczeństwa pozwalają mieszkańcom na szybką i bezpieczną ucieczkę. Lecz wykorzystując te tunele, sir John zapewnił sobie drogę wejścia do rezydencji, na przykład na wypadek pościgu. Jeśli wejdiesz tu z dworu, gdzie świeci słońce, mrok cię oślepi, dopóki twoje oczy nie przywykną do ciemności. Oczywiście on znał drogę i mógł bezpiecznie wbiec do środka na głębokość sześćdziesięciu siedmiu kroków. Potem zatrzymywał się i szukał w murze kamienia wystającego po prawej stronie na wysokości głowy. Jeden krok dalej w ścianie jest ukryte przejście. Nie widać go nawet w świetle lampy, ponieważ maskuje je skała. Z tamtej strony ściana szybu zlewa się z ziemią tak samo jak z tej. Jeśli masz ze sobą latarnię, nie widzisz nawet cienia. Nie sposób zauważyć, że pod stopami otwiera się

przepaść, dopóki nie zrobisz jednego kroku za dużo. Wtedy grunt usuwa ci się spod nóg i lecisz w ciemność.

Clarenceux aż się wzdrygnął, wyobrażając sobie upadek w ciemną otchłań, kiedy w dodatku człowiek nie wie, co się znajduje pod nim.

– Często musiał zabijać swych prześladowców? – spytała Rebecca.

– O tak. Należał do ludzi, którzy szybko się nudzą podczas oblężenia, i urządzał wypadki na swych przeciwników dla czystej rozrywki. Łatwo sobie przysparzał wrogów. Wielu z nich skończyło w tym dole. Niektóre kości, które zbadałem jako chłopiec, mogły należeć do dzikich zwierząt, lecz jestem pewien, że większość była ludzka. W innych miejscach tuneli również leżą szkielety ludzi, którzy próbowali się stąd wydostać.

– Kto jeszcze zna drogę przez te korytarze?

– Poza rodziną nikt. Tylko najstarsi służący wiedzą, że pod domem biegną tunele i że wejście do nich otwiera się w moim gabinecie. Mówimy im o tym zwykle po dwudziestu latach służby, lecz nawet wówczas mają ścisły zakaz przychodzenia tutaj. Od czasu do czasu przypuszczaliśmy do tajemnicy inne osoby. W zeszłym roku udzieliłem schronienia kilku księżom. Lecz poza tym ten podziemny świat stanowi rodzinny sekret. Oto dlaczego trzymamy się tej rezydencji, kiedy tyle innych zostało nam odebranych albo sprzedanych. Dlatego też kazałem wam przysiąc, że dochowacie tajemnicy. Teraz chodźcie tędy.

Poprowadził ich z powrotem długim, pochyłym tunelem w stronę obszernej jaskini, skąd w różnych kierunkach biegło kilka korytarzy. Skręcił w jeden z nich, potem w drugi, oświetlając lampą drogę przez labirynt. Było tu cieplej niż na górze, cieplej nawet niż w wielkim holu rezydencji. Powietrze stało nieruchome. Poza odgłosami kroków, wszędzie panowała martwa cisza. Tylko raz zdawało się Clarenceux, że usłyszał kapanie wody.

Po pięciu minutach doszli do miejsca, które przypominało długą kaplicę wykutą w kredzie, z nawą główną, kolumnami podtrzymującymi sklepienie oraz nawami bocznymi. Na ścianach coś srebrzyście migotało. W głębi stał ołtarz, nakryty zabytkowym obrusem przetykanym złotą nicią. Stało na nim sześć świec i posrebrzany krucyfiks. Julius zapalił świece i grootę wypełnił złocisty blask.

Clarenceux osłupiał. Na ścianach wisiały wysadzane klejnotami krzyże, we wnękach wykutych w kolumnach stały relikwiarze. W jednej z naw piętrzyła się sterta ksiąg, a obok w beczkach dokumenty na papierze welinowym. Zauważył skrzynię pełną srebrnych tac, kielichów i krzyży.

– Powiedziałeś, że cierpisz na niedostatek pieniędzy, Juliusie.

– To nie należy do mnie. To własność Kościoła, ja ją tylko przechowuję. Duża część tego skarbu pochodzi z opactw i ze skarbców klasztornych, ocalona przez opatów i przeorów przed zachłannością starego króla. Zebrano tu kilka bibliotek i archiwów klasztornych. Jak widzisz, twoja kronika będzie tu bezpieczna.

– Ale tu nie ma żadnych zamków – zauważyła Rebecca.

– Każdy może tu wejść.

Julius roześmiał się krótko.

– Właśnie. Gdybym wam powiedział, że schowam waszą kronikę w miejscu pozbawionym zamków, pomyślelibyście, że mój rozum postradał. Lecz zamki wskazują drogę do ukrytych sekretów. Tutaj to co ukryte i to co sekretne staje się jednym i tym samym. Nie ma potrzeby zakładać zamków. Tylko Bóg wszechmogący, ja i moi synowie wiemy, jak tu trafić. A my mamy z Bogiem umowę: jeśli my nikomu o tym nie powiemy, on także.

40

Siejesz zniszczenie w całym mieście! – wrzeszczał Walsingham. – Jeszcze wczoraj, kiedy rozmawialiśmy w tym samym pokoju, sądziłem, że zabicie chłopca jest najgorszym twoim wybrykiem.

– O co mnie oskarżacie? – zripostował Crackenthorpe, patrząc śmiało w oczy swemu mikremu chlebobdawcy stojącemu za stołem.

– To nie ja cię oskarżam, tylko służący Clarenceux. I ma na to całe mnóstwo świadków. Nie dość, żeś powiesił chłopaka, to jeszcze ukradłeś heroldowi konie.

– Nie ukradłem, wziąłem je jako zadośćuczynienie za zamordowanie mego brata.

– Nie masz prawa przywłaszczać sobie cudzej własności tylko dlatego, że jesteś w żałobie. Od tego są sądy.

– Płwam na sądy. Nikt nie będzie mordował moich bliskich ani oślepił mi ludzi, a potem się tym chełpił. Nikt.

– Nie bądź głupcem, Crackenthorpe. To nie jest twoja osobista sprawa. Jeśli będziesz urządził mi tu prywatę, potraktuję to jako zdradę. A ty skończysz jako nieboszczyk. Straciłeś Clarenceux z oczu, to jest najważniejsze. Sam jesteś winien, że zabił ci człowieka, to twoja porażka, nie moja. Powinieneś był rozstawić więcej straży. A jego sam powinieneś był śledzić.

Crackenthorpe z wściekłością kopnął krzesło i przygniół je z całej siły nogą, aż pękła rozpórka. Potem wyrwał jedną nogę i podniósł do góry jak maczugę. Wskazał nią Walsinghama.

– Moja wina, że Clarenceux zabił mi brata? Moja wina, że oślepił Ralpa Frencha? Mam ochotę wybić wam te głupoty z głowy.

Walsingham prześwidrował go wzrokiem.

– Owszem, to twoja wina. A choćbyś mnie pobił, to nie zmienisz tego, coś uczynił. Stracisz tylko jedyne obrońcę, jaki cię może uratować przed szubienicą. Jesteś winien śmierci służącego. I Machyna. I tego szkockiego zabójcy. Odpowiadasz za kradzież koni. I za to, że Clarenceux jest na wolności. Zawiodłeś mnie pod każdym względem. Według prawa jeszcze dzisiaj wyzionąłbyś ducha.

Crackenthorpe mocniej ścisnął w garści nogę od krzesła.

– To ja znalazłem testament Machyna, nie wy. I jego też znalazłem. Nikt nie wyściubił nosa w tę przeklętą noc. Czekałem całymi godzinami na deszczu i zimnie, i nie tylko znalazłem Machyna, ale odkryłem też, że Clarenceux należy do spisku. Nie przyszłoby wam do głowy, że jest w to zamieszany. To ja ochroniłem Drapera przed szkockim zabójcą i ja się dowiedziałem o Rycerzach Okrągłego Stołu. Więc nie mówcie mi, że zawiodłem pod każdym względem. Zapłaciłem wysoką cenę, pełniąc służbę pod waszymi rozkazami. I odniosłem zwycięstwa, o których nawet się wam nie śniło.

Walsingham obszedł stół dookoła i stanął niespełna pięć stóp od potężnego Crackenthorpe'a.

– Nie wyobrażaj sobie, że możesz mówić do mnie tym tonem – rzekł z niezmaconym spokojem.

Zapadła cisza. Nagle sierżant grzmotnął nogą od krzesła o stół, złamał ją i wrzucił jedną połówkę do ognia.

– Będę mówił tak, jak to widzę, panie Walsingham. I będę załatwiał sprawy po swojemu. Zabiję Clarenceux. Przysięgłem sobie, że to zrobię. A jeśli spróbujecie mnie powstrzymać, to was też zabiję.

– Nawet o tym nie myśl. Zgniotę cię jak robaka.

Crackenthorpe wybuchnął śmiechem.

– Wy? Popatrzcie tylko na siebie.

– Właśnie tak, Crackenthorpe. Państwo to ja. Jam jest prawem. Choćbyś zabił ciało Francisa Walsinghama, mnie nawet nie dotkniesz. Jestem tylko jednym z wielu narzędzi Jej Królewskiej Mości. Takich ludzi jak ty wieszam codziennie setkami, w całym kraju, ku swej chwale, bo egzekucje są miarą mej potęgi.

Crackenthorpe wlepił wzrok w Walsinghama. Patrzył na jego czarną przylegającą czapkę, wyczuwał żelazną wolę bijącą z całej jego postaci.

– No dobrze, popełniłem kilka błędów, ale przysięgam, że to, co powiedziałem, jest prawdą. Zabiję Clarenceux i każdego, kto spróbuje mnie powstrzymać.

– Najpierw musisz go złapać. Potem przyprowadzić do mnie na przesłuchanie. A potem możesz robić, co zechcesz.

– Złapię go, możecie być tego pewni.

– A także innych Rycerzy Okrągłego Stołu. Ich też masz odszukać.

– Znaleźliśmy już Drapera. Wartownicy, których rozstawiłem, aby wypatrywali Clarenceux, znaleźli w Queenhithe Nicholasa Hilla. Uciekł aż do Guildhall, zanim go złapali.

– Zaczął mówić?

– Niedługo zacznie.

– Nie zależy mi na jego dobrym samopoczuciu, ale nie chcę dawać sędziom jeszcze więcej powodów do oskarżenia ciebie. Jeśli zaczną

interweniować, skomplikują nam sprawy. Nie zabijaj go. A co z pozostałymi? Michaellem Hillem i Danielem Gyttensem?

– Na razie ani śladu.

– A ta kuźnia, przez którą Machyn wychodził z miasta? Znaleźliście ją?

– Żaden dom pod murami nie należy do nikogo o nazwisku Mason. Ale wejść do miasta jest niewiele. Jutro o tej porze będę wszystko wiedział.

41

W Summerhill żona Juliusa dołączyła na wieczerzę. Była życzliwą niewiastą o krągłym obliczu i promiennym uśmiechu. Nosiła elegancki strój haftowany złotą nicią i szeroką kryzę. Trudno było Rebecce i Clarenceux wnieść znaczący wkład do rozmowy lub choćby otwarcie odpowiadać na wszystkie jej pytania. Głównym tematem konwersacji byli dwaj synowie Fawcettów, z których jeden przebywał w Wenecji, a drugi w Oksfordzie. Rebecca uśmiechała się do pani Lychorus i od czasu do czasu odzywała, ale czuła się niezręcznie, wiedząc, że zachowuje się sztucznie wśród ludzi z wyższych sfer. Odeszli od stołu dość wcześnie, Rebecca udała się na spoczynek, a Clarenceux z Juliušem na kieliszek wina.

Gościom przydzielono sąsiadujące komnaty w wielkiej wieży. Rebecce ulokowano w pięknym pokoju, który przeszedł jej najśmielsze wyobrażenia. W kominku już się paliło, kiedy ją przyprowadzono, a pokojówka pomogła jej rozebrać się przy ogniu. Ściany wyłożone były boazerią i czerwono-niebiesko-złotymi gobelinami. Okiennice zamknięto, zasłony wokół łoża były czyste, nowsze niż niemal wszystko, co widziała w innych zakątkach domu. W srebrnym dzbanie stała świeża woda, obok starannie umyta i wypolerowana miednica. Świece płonące na stole ogrzewały blaskiem zimową ciemność. Rebecca rozebrała się, zgasła świece, jak to miała w zwyczaju, i położyła się do łóżka. W czystej pościeli nasłuchiwała strzelania ognia w kominku.

Clarenceux i Julius długo jeszcze popijali białe hiszpańskie wino. Pod wpływem trunku herold popadł w smętny nastrój. Opowiedział przyjacielowi o tym, jak całe jego życie legło w gruzach. Stracił dom i żonę, dzieci i przyjaciół. Z wolna zaczął się zatracać w alkoholowych samooskarżeniach.

– Wiem, czemu tak mówisz, Williamie. Rozumiem, że istotnie tak się czujesz, ale ja również muszę być z tobą szczery. Użalasz się nad sobą. Jeśli jutro się nad tym zastanowisz, sam zrozumiesz, że dopadła cię melancholia, większa niż wtedy, kiedy sądziłeś, że cię zabiją, albowiem wtedy nie wiedziałeś, co tracisz. Jestem gotów udzielić ci schronienia i strzec twej kroniki, lecz musisz być sobą: jak dawniej odważny, inteligentny i pełen dobrej wiary. Nie zamierzam trzymać pod dachem rozczulającego się nad sobą wraku ani narażać życia dla zdrajcy, który czeka na własną zdradę. Za to człowiek, który stracił prawie wszystko i nadal walczy w świętej katolickiej wojnie, ponieważ szczerze wierzy, że żyje w prawdzie, ten człowiek zyska mój szacunek i oddanie.

Clarenceux aż zaniemówił. Julius upominał go, aby był sobą, lecz zdawało się to teraz absolutnie niemożliwe. Człowiek, którego wspominał, należał do przeszłości. Teraz czuł pustkę.

– Wierz mi, Juliusie, chcę walczyć... – wymamrotał, lecz głos mu odmówił posłuszeństwa. Nie dlatego, że kłamał, lecz dlatego, że widać było jasno, iż jego przyjaciel ma rację. To prawda, zamieniał się w użalający się nad sobą wrak.

Julius łagodnie zaproponował, aby poszedł się położyć. Clarenceux wstał, uściskał go, po czym chwiejnym krokiem ruszył w stronę schodów.

Kiedy szedł do swego pokoju, Rebecca westchnęła w łóżku.

Próbowała oddychać głęboko, lecz na jej pierś spadł ogromny ciężar. Odchyliła kołdrę i z trudem wciągała powietrze. Całe jej ciało było

kłębkiem nerwów. Dręczyło ją uczucie dojmującej samotności. Jej życie zamieniło się w ulicę z domami po obu stronach, a każdy należał do kogoś innego. Musi iść dalej, aż w końcu dojdzie do końca tej długiej ulicy, gdzie nie będzie już więcej domów ani ludzi.

Usłyszała kroki na schodach wieży.

Clarenceux podniósł świecę i podszedł do drzwi swojej komnaty, deski w podłodze trzeszczały pod jego nogami. Spojrzał na drzwi po lewej stronie, które, jak wiedział, należały do Rebekki. Patrzył na nie przez kilka minut.

W środku Rebecca nasłuchiwała jego obecności.

W wyobraźni widział, jak na niego patrzy, jak przemawia do niego spojrzeniem. Stopniowo do jego świadomości zaczęły docierać obrazy ostatnich wydarzeń: zwłoki Willa, roztrzaskane meble w jego domu, blizna na twarzy Crackenthorpe'a, człowiek, którego zabił na ulicy. Pomyślał o bezbronnej Awdrey i Rebecce potrzebującej ochrony... Jego życie było rozdarte pomiędzy strachem i miłością. Żałował, że nie rozumiał tego tak jasno, kiedy Julius go upominał, lecz wtedy żal i niepokój przesłaniały mu prawdę. Słusznie Julius go zganił, ale on patrzył na te sprawy z boku. Wewnątrz życiem Williama targały strach i miłość. Mógł ulec albo wszystkim swoim lękom... albo wszystkiemu, co kochał.

Rebecca usłyszała, jak robi następne dwa kroki, otwiera rygiel do sąsiedniej komnaty i zamyka za sobą drzwi.

Wtorek, 14 grudnia

Poranek był zimny. Dotkliwy mróz pobielił krajobraz, muskał jesienne liście szronem i zamroził kałuże na drogach. Kiedy Clarenceux i Rebecca wyruszyli z powrotem do Greenwich na wynajętych koniach, prowadząc a dwa inne, pożyczone od Juliusa, zostawili za sobą szczyty wzgórz oprószone śniegiem. Ze strzech zwisały długie sople. Na drzewach krakało stado gawronów, niepokojących się, że ziemia stwardniała.

Ruch na gościńcu był niewielki, nikt nie spoglądał na podróżnych podejrzliwie. Mimo to Clarenceux naciągnął głęboko aksamitną czapkę i postawił wysoko kołnierz szuby. W Greenwich oddali konie i ruszyli dalej południowym brzegiem w stronę Southwark. Na horyzoncie zamajaczyła wieża starego opactwa, iglice i wieżyczki kościołów na północnym brzegu rzeki oraz budynki na Moście Londyńskim. Jechali pogrążeni w zadumie i milczeniu. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym bardziej rosło niebezpieczeństwo.

– Nie boicie się? – spytał Clarenceux.

Rebecca nie odpowiedziała.

– Nie musimy oboje wjeżdżać do miasta. Możecie zostać w Southwark.

Wstrzymała konia.

– Jeśli któreś z nas powinno jechać dalej samo, to właśnie ja. Wzbudzę mniej podejrzeń niżli wy.

Clarenceux nawet się nie zatrzymał. Miał na dłoniach rękawice od Juliusa i Rebecca zauważyła skórę napiętą na kłykciach, kiedy ścisnął w pięściach cugle. Szturchnęła konia piętami.

– No więc jak? – spytała, kiedy przez całą następną minutę się nie odzywał.

Clarenceux patrzył prosto przed siebie na wieżę opactwa.

– Kiedy Daniel wszedł do jaskini lwa, była to próba wiary. A kiedy rano król wszedł do jaskini lwa i zapytał Daniela, czy Bóg go chronił, ten odpowiedział: „Bóg zesłał anioła, który zamknął lwu paszczę”. – Kilka kroków jechał w milczeniu. – Wybór należy do was – powiedział, zerkając na nią. – Mam nadzieję, że pojedziecie ze mną. Wasza obecność jest dla mnie wsparciem. Przypomina mi o obowiązkach i dodaje siły. Lecz ostatecznie nasz los spoczywa w rękach Boga. Jeśli chce, aby się nam udało, ochroni nas. Ześle anioła, aby zamknął oczy tych, którzy nas szukają.

– Panie Clarenceux, naprawdę uważacie, że wolno wam w to wierzyć? Czy wszechmogący Bóg uratował was przed żołnierzem czekającym w moim domu? Tym, którego zabiliście? Czy osłonił was przed drugim mężczyzną, który was śledził?

– Może tak.

– Jeśli tak, to powinniście dziękować mu w pokorze, a nie unosić się pychą i wierzyć, że uczyni to po raz drugi. Nie wystawiajcie Pana Boga na próbę.

Clarenceux zatrzymał się i odwrócił.

– Czy wierzycie, że spełniamy Jego wolę, pani Machyn? Czy w głębi serca naprawdę uważacie, że mamy wybór?

– Tak, wierzę, że spełniamy Jego wolę – odparła, patrząc mu w oczy. – Ale wybór mamy. Mogliśmy uciec.

– Płonie we mnie zbyt wielki gniew, abym uciekał. Pali mnie wstyd za to, co się stało z moją rodziną. Przywiodłem ją do ruiny. Wstyd mi, że nie ochroniłem waszego męża. Wstyd mi, że zabiłem człowieka. Wstyd mi, że wierzyłem, iż Bóg dokonał dla mnie cudu, kiedy siedziałem zamknięty w piwnicy w domu Walsinghama. Zeszłej nocy Julius powiedział mi kilka rzeczy, od których także zrobiło mi się wstyd. To był moment mej największej słabości...

Nie mógł się zmusić, by powiedzieć więcej.

Zadźwięczał dzwon w opactwie Southwark. Dwanaście długich uderzeń zadzwoniło o okapy dachów.

– Bóg będzie nas miał w opiece, panie Clarenceux. Wierzę w to. Ponieważ On też się rozgniewał.

43

Zegar wybił pierwszą, kiedy zostawili konie Juliusa w gospodzie Pod Dzwonem w Southwark. Do Mostu Londyńskiego było już niedaleko. Wieże po obu stronach mostu spoglądały na nich z góry i rzucały cień na drogę, tak że przypominała raczej wąską uliczkę aniżeli przeprawę przez rzekę. Tłum ludzi wzmagał wrażenie ścisku, jakby byli oblężeni. Powozy, furmanki, bydło i owce – wszyscy ciągnęli na drugi brzeg rzeki. Bogaci mężczyźni i kobiety odwiedzali małe sklepiki jubilerów, których stało tu mnóstwo. Droga była za wąska dla tak wielu ludzi i pojazdów. Rebecca wzięła Clarenceux pod ramię i znów udając, że są mężem i żoną, wymijali niewiasty z koszami na ramionach i mężczyzn prowadzących za uzdy juczne konie.

Clarenceux szedł szybko mimo obitego kolana, co bardzo niepokoiło Rebecę. Przy wartowni na północnym brzegu na pewno stoją strażnicy, którzy ich szukają.

– Zwolnijcie trochę – mruknęła, kiedy wyprzedzali następny wlokący się wóz. – Ściągacie na siebie uwagę.

Clarenceux zwolnił. Kiedy doszli na środek mostu, zrównał krok z Rebecą, lecz nie odrywał wzroku od drugiego brzegu.

Rebecca obserwowała trzech mężczyzn czekających na końcu mostu. Czy ostrzeżono ich, aby wypatrywali herolda i żony Machyna? Widziała ich wyraźnie: byli uzbrojeni w miecze i halabardy, nosili napierśniki. Pojawił

się czwarty – dzierżył w dłoni pikę i lustrował wóz, który wyjeżdżał z miasta.

– Co robić? – wyszeptała niespokojnie.

Clarenceux nie odpowiedział. Szedł dalej, nie zatrzymując się.

Zupełnie jakby kroczył na bitwę, takim pewnym idzie krokiem, pomyślała. Miejmy nadzieję, że strażę są mniej czujne wobec ludzi, którzy wchodzą do miasta. Prawdopodobnie sądzą, że jesteśmy nadal w Londynie i spróbujemy raczej uciec, niż wracać za mury. Co zrobimy, jeśli zechcą nas schwytać? Nie możemy wskoczyć do rzeki, w tym zimnie byśmy zamarli.

Odwróciła się do Clarenceux i zobaczyła, że jego usta się poruszają. Zdołała uchwycić tylko kilka słów:

– ...w godzinie... Panie, pobłogosław kornego...

Zostało im jeszcze dwadzieścia kroków, piętnaście, dziesięć.

Narastała w niej desperacja, miała wrażenie, że jeszcze chwila i całkiem ją obezwładni. Czuła, że musi coś zrobić. Clarenceux był taki pewny siebie, szedł naprzód z taką determinacją, jakby zamierzał rzucić wyzwanie strażnikom i walczyć z całą czwórką naraz. A byli uzbrojeni. Lecz co mogła uczynić? Ścisnęła go za ramię.

Jeden ze strażników ich zauważył i podniósł dłoń.

– Jak się nazywacie?

Rebecce serce waliło w piersi. Spojrzała na trzech towarzyszy strażnika, stojących za jego plecami; dwaj nie zwracali na nich uwagi, lecz jeden uważnie im się przyglądał.

– Jak się nazywam? – powtórzył Clarenceux z emfazą i naciskiem właściwym jego profesji. – Śmiesz pytać mnie o nazwisko? Nic podobnego nie mogłoby przytrafić mi się w Cambridge. Ani w Norwich. Tylko dlatego, że nie wjeżdżam do miasta konno, chcesz wiedzieć, jak się nazywam? Wypytyujesz mnie jak kogoś, kogo można zawlec przed oblicze sędziego

pokoju! Zatem oświadczam ci, pachołku, że ja sam jestem sędzią pokoju. Nazywam się George Courtenay z Moreton Courtenay w Devonshire, kuzyn świętej pamięci hrabiego Devon. A to moja żona. Jak brzmi twoje nazwisko?

Strażnik zerknął na swoich towarzyszy.

– Moje nazwisko nie ma znaczenia, jasnie panie Courtenay. Przykro mi, że sprawiłem wam kłopot.

– Jestem pewien, że wykonujesz jeno swoje obowiązki – odrzekł Clarenceux nieco łagodniejszym tonem. – Zaiste może to i fortunny przypadek; dopiero przyjechaliśmy, nie znamy jeszcze tutejszych ulic. Czy możesz mnie z łaski swej skierować do parafii St Dionis Backchurch?

Strażnik skinął głową i odwrócił się, aby wskazać drogę. Rebecca miała ochotę rzucić się do ucieczki. Drugi strażnik przestał się nimi interesować i odwrócił wzrok.

– Oczywiście, panie Courtenay, to tylko krótki spacerek stąd. Most prowadzi prosto na New Fish Street, a potem Gracechurch Street. Na skrzyżowaniu z Fenchurch musicie skręcić w prawo. Zobaczycie kościół St Dionis po drugiej stronie drogi.

– Dziękuję, jestem wielce zobowiązany – powiedział Clarenceux, kłaniając się uprzejmie, jakby naprawdę był przyjezdnym z południowo-zachodnich krańców kraju.

– Zdawało mi się, że jesteśmy państwem Lowe – zauważyła Rebecca, kiedy poszli dalej Gracechurch Street.

– Przyszło mi do głowy, by rzec coś bardziej górnolotnego – wyjaśnił Clarenceux.

– Czy następnym razem mnie o tym uprzedzicie?

Clarenceux zatrzymał się i rozejrzał.

– Skręćmy tutaj w lewo. Lepiej nie idźmy drogą, którą nam wskazali. Chodźmy najpierw do Michaela Hilla, naprzeciwko St Mary Woolnoth. Dochodzę jednak do wniosku, że lepiej by było, gdybyśmy się rozdzielili. Jeśli Crackenthorpe mnie znajdzie, nie ma potrzeby, aby was również aresztował i wydał na tortury. Jeśli mnie schwytają, przemkniecie się dalej ulicą i uciekniecie. Gdyby tak się stało, pojedźcie z powrotem do Juliusa.

*

Dom był skromny, dwupiętrowy, lecz z szybami w oknach, który to zbytek świadczył o zamożnym właścicielu. Clarenceux przykazał Rebecce, aby poczekała w bezpiecznej odległości, na wypadek gdyby w domu byli żołnierze.

Dłonią w rękawiczce zapukał głośno do drzwi. Nikt nie odpowiedział.

Odwrócił się i rozejrzał. Spadło kilka płatków śniegu. Minęło go dwóch młodych mężczyzn w wysokich czarnych kapeluszach z szerokim rondem i eleganckich aksamitnych dubletach. Szli równym krokiem, rozmawiając i wybuchając od czasu do czasu śmiechem. Ulicą przetoczył się wóz wozivody, na solidnych dębowych kołach, z wielką beką z tyłu. Niedługo potem obok przeszła niewiasta z niemowlęciem na ręku i dzieckiem, które trzymała za rączkę. Malec zaczął tupać nóżką, żeby rozbić lód w kałuży, ale kobieta pociągnęła go za sobą, spoglądając nerwowo na nieznanego.

Clarenceux odwrócił się i zapukał jeszcze raz, mocniej. Nadal nikt nie otwierał. Czekał więc dalej.

Podeszła do niego Rebecca.

– Ta kobieta z dziećmi... widzieliście ją?

– Tak.

– Cały czas was obserwowała. Weszła do domu, który stoi przy następnej ulicy.

Clarenceux znowu zapukał i odczekał jeszcze kilka sekund. Ze środka nie dochodził żaden odgłos.

– Dobrze więc, chodźmy tam.

Podeszli z drugiej strony do domu, który wskazała Rebecca. Pani Machyn cofnęła się i pozwoliła heroldowi zapukać. Na górze otworzyło się okno i pokazała się w nim niewiasta.

– O co chodzi?

Clarenceux podniósł głowę i już się miał odezwać, kiedy Rebecca uniosła dłoń, aby go powstrzymać.

– Chcemy porozmawiać z panem Hillem – zawołała. – Grozi mu niebezpieczeństwo.

– Jakbym o tym nie wiedziała – odparła niewiasta. – Żołnierze przychodzili wczoraj w nocy i dzisiaj od rana... Zaczekajcie tam.

Nieznajoma zamknęła okno. Clarenceux zerknął na Rebecę.

– Czasem lepiej, jak kobieta porozmawia z kobietą – wyjaśniła. – Niektórzy boją się takich ludzi jak wy.

Minutę później drzwi się uchylily i wyjrzała przez nie niewiasta w białym czepku.

– Wejdźcie – powiedziała, rozglądając się po ulicy. Clarenceux i Rebecca weszli do środka, a ona zamknęła za nimi drzwi.

– To jest pan William Harley, Wielki Herold Clarenceux – wyjaśniła Rebecca. – Ja nazywam się Rebecca Machyn. Wiemy, że żołnierze szukają pana Hilla. Zabili już jednego z jego przyjaciół.

– Zabili kogoś, powiadacie? Żołnierze... przyszli wczoraj po południu, a potem znowu wieczorem. Pan Hill nie wrócił do domu. Jego żona odchodzi od zmysłów, nie wie, gdzie jest jej mąż ani kto go zabrał. Mieszka teraz u pana Sansoma i jego żony po drugiej stronie ulicy.

Clarenceux spytał:

– Nie wiecie może, czy ostatnio ktoś go odwiedzał, poza żołnierzami?

– Oczywiście, panie. Do tego domu ciągle ktoś przychodzi. Pan Hill cieszy się bardzo dobrą opinią.

– Czy możecie wskazać nam drogę do domu pana Sansoma? – spytała Rebecca.

– Jak stąd wyjdziecie, to skręćcie w prawo, a potem w lewo. Miniecie uliczkę przy kościele, a za nią to będzie trzeci dom po prawej.

– Jesteśmy wam bardzo zobowiązani – rzekł Clarenceux, uchylając odrobinę czapki i odwracając się do drzwi.

*

Rebecca dogoniła go na ulicy, unosząc rąbek sukni, aby nadążyć za jego szybkim krokiem.

– Już zaczęli ich wyłapywać – powiedziała.

– Bez wątpienia.

– Wystarczy, że aresztują dwóch czy trzech Rycerzy, a nie uda nam się odkryć tajemnicy. Potrzebujemy wszystkich nazwisk i dat.

– W dodatku Crackenthorpe ma wielu ludzi – zgodził się Clarenceux – a nas jest tylko dwoje.

Do domu Sansoma doszli po krótkim, szybkim marszu. Drzwi otworzył im rychło sam gospodarz. Wprowadził ich przez salon, gdzie sterty drewna na podłodze świadczyły o stolarskich robotach pana domu przy układaniu boazerii. Weszli do ciepłego pokoju w głębi domu, świeżo wyłożonego drewnem. Dwa spośród pięciu trójkątnych krzeseł ustawionych wokół stołu na kozach były zajęte. Na trójnogu nad stertą żarzących się węgielków gotowały się w małym garnku warzywa.

Przy ogniu siedziały dwie kobiety. Starsza, zwrócona do nich przodem, miała około sześćdziesięciu lat, białe włosy i bladą cerę. Sądząc po

zapadniętych policzkach i zaczerwienionych powiekach, była to pani Hill. Kiedy Clarenceux zapytał ją o męża, przez chwilę zdawało się, że jest zbyt słaba, aby odpowiedzieć.

– Nie wiem, gdzie jest ani co się z nim dzieje – szepnęła.

– Chcę tylko, żeby wrócił. I żeby żołnierze sobie poszli i więcej nie wracali.

– Wiecie coś, co pomogłoby nam go odnaleźć? Jego życie jest w niebezpieczeństwie, innych osób również. Zarówno w naszym, jak i w jego interesie leży, abyśmy go jak najszybciej odnaleźli. Kto go ostatnio odwiedzał?

– Pani Hill – wtrąciła się Rebecca – ludzie, którzy ścigają waszego męża, zabili już mojego. Zostałam przez nich wdową. Nie pozwólcie, aby to samo stało się z wami. Jeśli pomożecie go znaleźć, może uda się go uratować. Proszę.

Na twarzy staruszki odmalowało się wahanie.

– Waszym mężem był Henry Machyn? Człowiek, który szył całuny i czarne tkaniny do kościołów?

– Tak.

– Wczoraj rano przyszedł do nas James Emery. Słyszał, że Henry Machyn nie żyje i że wrzucono go do dołu z ludźmi, którzy zmarli na zarazę. Uradzili z moim mężem, że zabiorą jego zwłoki i urządzą mu przyzwoity pochówek. Od razu potem wyszli i od tamtej pory go nie widziałam.

– Wyszedł z Jamesem Emerym? – upewnił się Clarenceux.

– Tak.

– Gdzie on mieszka?

Clarenceux skierował to pytanie do pani Hill, ale odpowiedziała na nie Rebecca.

– Niedaleko mojego domu, przy Huggin Alley. Musimy wrócić do Queenhithe. Dziękujemy wam za pomoc, pani Hill. Pan Clarenceux i ja uczynimy wszystko co w naszej mocy, aby znaleźć waszego męża i zapewnić mu bezpieczeństwo.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Clarenceux.

– Czy wiecie, gdzie jest wasz syn Nicholas?

Kobieta pokręciła głową.

– Od wielu dni nie miałam od niego żadnych wieści.

– Dziękujemy – powtórzyła Rebecca, odwracając się do herolda.

Ten skinął jej głową, ukłonił się grzecznie niewiastom i wyszedł z pokoju.

Dwaj strażnicy bardzo marzli na Garlick Hill w Queenhithe. Powiedziano im, żeby się rozgrzewali, chodząc od skrzyżowania przy Garlick Hill do Little Trinity Lane. To krótkie ćwiczenie okazało się jednak niewystarczające. Niewiele pomagało także zacieranie rąk. Zmarzł nawet ten, który miał na sobie opończę. A na domiar złego właśnie zaczął prószyć śnieg. Grube płatki opadały powoli na zamrożone błoto londyńskich ulic.

Mieli rozkaz czekać tu do zmroku, to jeszcze dwie i pół godziny. Mężczyzna bez płaszcza wsuwał dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać, ale nie dalej jak pięć minut temu przechodził tędy sierżant Crackenthorpe i nawrzeszczał na niego za to, że źle wypełnia obowiązki.

– Teraz przynajmniej masz jeszcze godzinę, zanim znowu na ciebie naszczeka – mruknął jego towarzysz, kiedy Crackenthorpe sobie poszedł.

Obserwowali przechodzących ludzi. Dostali listę nazwisk, którą wprawdzie potrafił przeczytać tylko jeden z nich, ale ze szczególną uwagą kazano im wypatrywać wysokiego mężczyzny po czterdziestce z krótkimi ciemnymi włosami i przystrzyżoną brodą oraz niewiasty niespełna czterdziestoletniej, średniego wzrostu z długimi ciemnymi włosami. Żadna z osób, które widzieli teraz na ulicy, nie pasowała do tych rysopisów. Jakiś chłopak służebny doręczał prawdopodobnie wiadomość, trzy kobiety wracały z rynku, ale żadna nie przypominała pani Machyn. Najbliższy opisowi Clarenceux był mężczyzna w wysokim kapeluszu, noszący się

dumnie, ale ten nie miał brody. W dodatku szedł tak pewnym krokiem, na nic wokół siebie nie zważając, że nie mógł być poszukiwanym zdrajcą. Poza tymi kilkoma osobami oraz woziwodą, poganiającym leniwie swego wychudłego konia, na ulicy nie było nikogo.

Strażnik w opończy postanowił zatrzymać i nagabnąć mężczyznę w kapeluszu, choćby po to, żeby zabić nudę. W tym czasie jego towarzysz oparł się o ścianę budynku. Wóz woziwody przetoczył się ulicą i skręcił w Great Trinity. Żołnierz popatrzył na beczkę z wodą i grube drewniane koła, lecz nie zauważył niczego podejrzanego, przeniósł więc uwagę na kobiety powracające z rynku.

Clarenceux oparł się o beczkę po drugiej stronie wozu, zsunął się na ziemię i dalej poszedł piechotą, podczas gdy ciężkie koła zasłaniały jego nogi, a wielka beczka całą resztę. Dał znak woźnicy.

– Teraz w lewo w Little Trinity Lane. Potem pierwsza w prawo.

Woziwoda posłusznie skręcił w prawo w małą uliczkę biegnącą na wprost domu Henry’ego Machyna, po czym zatrzymał konia.

– Jesteśmy na miejscu.

Rebecca podniosła się ostrożnie w pustej beczce i rozejrzała.

– Pospieszcie się – ponaglił ją herold.

– Pomóżcie mi wyjść.

Nie zważając na klucie w kolanie, Clarenceux wdrapał się na wóz i wyciągnął ręce, aby jej pomóc. Chwycił ją dłońmi za boki i podniósł, aby mogła postawić stopę na beczce i zejść na ziemię. Potem się cofnął, wyjął z kieszeni monetę i trzymając ją w palcach, powiedział do woźnicy:

– Masz tu jeszcze jednego szylinga. Pojedź dalej do rzeki i skręć w Thames Street. Rozejrzyj się uważnie, ilu mężczyzn się tam kręci. Potem wróć tutaj. To powinno ci zająć około dwudziestu minut, kiedy wrócisz, dostaniesz jeszcze jednego szylinga. Rozumiesz?

Woziwoda pokiwał głową i pojechał.

Dalej drogę wskazywała Rebecca. Minęli dom pani Barker na rogu ulicy, dalej front Gildii Malarzy, a następnie skręcili w Huggin Alley. Szybkim krokiem Rebecca podeszła do skromnego kupieckiego domu i bez namysłu zapukała do drzwi. Clarenceux zatrzymał się po północnej stronie Huggin Alley i rozglądał bacznie po ulicy.

Nikt nie otworzył drzwi.

Kiedy zastukała drugi raz, herold zauważył ruch w oknie na piętrze, jakby ktoś próbował dojrzeć z góry, kto puka do drzwi. Nadal jednak nikt nie odpowiadał.

Jacyś mężczyźni jechali konno w ich stronę ulicą Little Trinity Lane. Z początku Clarenceux nie zwracał na nich uwagi, poczuł się swobodniej, od kiedy udało im się wejść do miasta. Potem jednak zauważył w środku grupy bardzo wysokiego ciemnowłosego mężczyznę.

Cofnął się za róg, a gdy tylko znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, przeszedł szybko na drugą stronę ulicy.

– Jedzie Crackenthorpe.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Rebecca zaczęła coś mówić do starszego służącego, który stanął w progu, lecz Clarenceux wepchnął się do środka i pociągnął ją za sobą, po czym zamknął za nimi drzwi.

– Przepraszam za tę bezceremonialność, dobry człowieku, lecz rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych środków. Muszę natychmiast porozmawiać z twoim panem. To sprawa życia i śmierci. Mamy mało czasu, może tylko minutę.

– Panie, wtargnęliście tu nader niegrzecznie. Gdyby był tu mój pan, bez wątpienia...

– Więc nie ma go w domu? – spytała Rebecca.

– Możesz więcej nie mówić – dodał Clarenceux. – Nie wrócił do domu na noc.

– Nie. Wyszedł wczoraj po południu. A teraz, czy zechcecie wyjść?

– Wczoraj po południu? Więc... jest tu Michael Hill?

Służący znieruchomiał, a na jego obliczu pojawiło się zakłopotanie.

– Panie, proszę was ponownie, abyście opuścili...

Clarenceux usłyszał kroki i podniósł wzrok. Na szczycie schodów stał mężczyzna około sześćdziesięcioletni, siwowłosa, lecz o przystojnej męskiej twarzy, ubrany w podbitą futrem zimową szubę. Zszedł na dół dwa stopnie i zatrzymał się, mierząc do intruza z długolufowego pistoletu.

Clarenceux uniósł dłoń.

– Popełnicie błąd, jeśli mnie zastrzelicie, panie Hill. Wiem, że jesteście jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu, dlatego właśnie muszę z wami porozmawiać. Jedzie tu pewien człowiek, który prawdopodobnie by was aresztował i skazał na tortury, gdyby się dowiedział, że tu jesteście. – Zrobił krok do przodu i stanął na pierwszym stopniu schodów. – Jestem przyjacielem Henry’ego Machyna, a to jest Rebecca Machyn, jego żona. Czy jest z wami James Emery?

– Nie. – Na twarzy mężczyzny nie drgnął ani jeden mięsień, podobnie jak pistolet w jego dłoni.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia, panie Hill. Jeśli znajdzie mnie człowiek, który przejeżdża teraz sąsiednią ulicą, będę trupem. Prawdopodobnie zabije również was oraz panią Machyn. Wszystko, co reprezentują Rycerze Okrągłego Stołu, wisi teraz na włosku. Czy mogę wejść na górę?

Michael Hill powoli opuścił broń. Clarenceux i Rebecca weszli szybko po schodach i podążyli za mężczyzną do obszernej ładnej komnaty we frontowej części budynku. Duże okna wpuszczały do środka sporo światła,

w kominku płonął ogień. Przed nim stała skrzynia do siedzenia i ława, na której można się było ogrzać. Hill usadowił się na skrzyni z artretyczną powolnością. Rebecca usiadła na ławie. Clarenceux podszedł prosto do okna.

– Przepraszam – powiedział Hill. – Przestraszyłem się, słysząc pukanie do drzwi.

– Byłem w podobnej sytuacji – zauważył Clarenceux. Na ulicy przed domem panował spokój. Odwrócił się od okna.

– Rozumiem was.

– Przykro mi z powodu waszego męża – ciągnął Hill, zwracając się tym razem do pani Machyn. – Znałem go wiele lat. Był poczciwym człowiekiem, życzliwą duszą.

– James Emery wam powiedział?

– Tak. W niedzielę dostałem wiadomość: jeden z grabarzy jest człowiekiem mego znajomego, również katolika. Znał Henry’ego Machyna z widzenia i wiedział, że się przyjaźniliśmy. Zorientował się, że Henry nie zmarł na zarazę, i doszedł do wniosku, że zechcemy się o tym dowiedzieć.

– Jak zmarł Henry? – spytała Rebecca. – Skąd grabarz wiedział, że nie od zarazy?

Michael Hill nie odpowiedział. Popatrzył w ogień płonący w kominku. Clarenceux czekał w napięciu, nasłuchując, czy nie dobiegną go z dworu głosy mężczyzn, lecz słychać było tylko trzask świeżych polan. Rebecca była roztrzęsiona, łzy napływały jej do oczu.

– Muszę to wiedzieć, panie Hill.

Starzec pokręcił głową.

– Jeśli koniecznie chcecie znać prawdę... miał złamane obie nogi. Poniżej kolan.

– Chryste, zmiłuj się! – wykrzyknął Clarenceux.

Rebecca się przeżegnała.

– Zamierzaliśmy przenieść zwłoki na Little Trinity, aby urządzić pogrzeb, ale kiedy tam przybyliśmy, wszędzie roiło się od straży. Ponoć zabito żołnierza, który pilnował domu Henry’ego. Umówiliśmy się więc na następny dzień. Spotkaliśmy się wczoraj rano, poszliśmy do księdza, a po południu James udał się po zwłoki, podczas gdy ja czekałem tutaj. Nie wrócił. To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

Clarenceux spojrzał na Rebeccę. Siedziała pochylona na ławie i patrzyła w podłogę. To musiał być dla niej okropny cios, pomyślał. Prawda jest jednak taka, że wszyscy możemy skończyć tak samo. To nie czas ani miejsce na oddawanie się współczuciu. To czas i miejsce, by odpowiedzieć ciosem na cios.

Odwrócił się z powrotem do okna, aby sprawdzić, czy nikt nie kręci się po ulicy. W dalszym ciągu było pusto, jednak świadomość, że Crackenthorpe krąży gdzieś w pobliżu, nie dawała mu spokoju.

– Domyślam się, że James Emery jest również jednym z Rycerzy? – spytał.

– Tak. Sir Yvainem.

Clarenceux odwrócił się na pięcie.

– A wy?

Hill siedział z dłońmi na kolanach. Na jego twarzy widać było niepokój.

– Sir Ectorem – odrzekł po chwili.

– Dobrze, posunęliśmy się chociaż odrobinę naprzód. Ile jeszcze znacie imion? Muszę dowiedzieć się jak najwięcej na temat Rycerzy Okrągłego Stołu.

– A kogo dotychczas spotkaliście?

– Tylko Lancelota.

Hill popatrzył z powrotem w kominek.

– Pierwotnie było nas dziewięciu. Sir Arthur Darcy, Henry i John Heath byli założycielami bractwa. Ustalili następujący system: każdy z nas dostanie datę i imię, a kiedy zbierze się wszystkie razem, ujawnią klucz do księgi, którą pisał Henry. To było coś w rodzaju kroniki, która miała nam dać wiedzę potrzebną do obalenia królowej. Tylko trzech założycieli wiedzieli na ten temat wszystko co niezbędne do odkrycia prawdy. John Heath zmarł dawno temu. Od śmierci Darcy’ego minęły dwa lata. A teraz nie żyje również Henry.

– Jakie są pozostałe nazwiska i daty? – spytała Rebecca, wycierając twarz i próbując wziąć się w garść. – Znamy króla Clariance’a z Northumberland. Lancelot podał nam swoje imię, powiedział też, że pamięta sir Reynolda i sir Dagoneta, ale nie mógł sobie przypomnieć, kto był sir Reynoldem. Teraz wy powiedzieliście nam o dwóch następnych, Yvainie i Ectorze. To sześciu. Kim są pozostali?

– Kiedy zmarł sir Arthur Darcy, mój syn Nicholas przejął imię sir Reynolda. Trzech pozostałych nie znam.

– A daty? – spytał Clarenceux, podchodząc do skrzyni.

– Lancelot zdradził nam swoją: trzynasty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego. Henry podał mi datę dwudziestego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego. Obydwie pojawiają się w kronice i mają związek z kazaniem wygłaszanym pod krzyżem świętego Pawła. Jaka jest wasza data?

Michael Hill pokręcił głową.

– Dostaliśmy surowe instrukcje, aby nie ujawniać dat, dopóki wszyscy się nie zbiorą.

Clarenceux popatrzył starcowi w oczy.

– Z całym szacunkiem, ale jeśli James Emery został aresztowany, nie zbierze się razem z pozostałymi. Ostatni z założycieli nie żyje. Jeśli nie

będziemy współpracować, zabierzemy swoje tajemnice do grobu. I taki będzie z nich pożytek.

– Złożyłem przysięgę. To by była zdrada.

– Ile dat znacie? – spytała Rebecca, pochylając się do niego. – Czy znacie datę swego syna? A pana Emery’ego?

– Jeśli to wam pomoże, pomyślcie o tej rozmowie jak o zebraniu tylko trochę innego charakteru – powiedział Clarenceux. – Zbieramy imiona i daty Rycerzy. Niczego więcej nie możemy zrobić, na ulicach roi się od żołnierzy, a nas ubywa, z powodu śmierci, morderstw i strachu.

Hill milczał przez chwilę. W końcu rzekł:

– Znam dwie: swoją i mego syna.

– Podajcie nam je – nalegał Clarenceux, wróciwszy do okna. Śnieg padał coraz gęstszy. – Ukryliśmy kronikę w bezpiecznym miejscu. Możemy rozpocząć pracę...

Rebecca potwierdziła skinieniem głowy.

– Jeśli James Emery został aresztowany, a wszystko na to wskazuje, i jeśli schwytano również waszego syna, będziemy potrzebować czegoś, co możemy zaproponować w zamian za ich uwolnienie. Jeśli zrozumiemy szyfr, może uda nam się dogadać z Walsinghamem. Bóg mi świadkiem, że ciarki mnie przechodzą na samą myśl o tym, ale to może być nasze jedyne wyjście.

Hill milczał.

Clarenceux spojrział za okno. Nadal nie było widać ani śladu strażników. Świeża warstwa śniegu na ziemi potwierdzała, że nikt tędy nie przechodził, odkąd weszli.

– Pani Machyn ma rację. Ten koszmar się nie skończy, dopóki nie złamiemy szyfru. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, wy również.

Hill ukrył twarz w dłoniach i zamyślił się.

– Osiemnasty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego piątego – powiedział w końcu.

Rebecca skinęła głową.

– A data waszego syna?

– Piętnasty czerwca pięćdziesiątego drugiego. Niech Bóg was ukarze, jeśli zdradzicie jego lub mnie.

– Macie moje słowo honoru – odrzekł Clarenceux, odchodząc od okna. – Lecz co z pozostałymi Rycerzami? Wiemy o Williamie Draperze i Danielu Gyttenzie, ale nie wiemy, gdzie mieszka Gytten.

– Nie znam innych nazwisk. Jeden z Rycerzy nie ma imienia, a w każdym razie nie wolno mu go ujawniać. A Gyttena znajdziecie na Paternoster Row. Spytajcie tamtejszego księgarza, Francisa Colwella. Powiedzcie mu, że chcecie kupić księgę z sonetami Gyttena. To jest tajne hasło. Inaczej zaprzeczy, że zna człowieka o tym nazwisku.

– Na pewno tak zrobimy. Dziękuję wam. – Clarenceux zerknął na Rebecę. – Musimy już iść. – Odwrócił się do Hilla. – Wiedźcie jedno: kilka dni temu Walsingham przeszukał dom Heatha. Przeszukał również mój dom i dom Henry’ego Machyna. Jeśli aresztował Jamesa Emery’ego, dowiedział się już, kim jest i gdzie mieszka. Zapewniam was, że żołnierze przyjdą przetrząsnąć ten dom jeszcze dziś wieczorem lub w nocy. Radzę wam, abyście zmienili kryjówkę, i to jak najszybciej.

– Rozumiem powody, dla których mi to doradzacie, panie Clarenceux. I szanuję je. Ale uważam, że muszę tu pozostać przez lojalność wobec Jamesa. Obiecałem mu to i zamierzam dotrzymać słowa. Są tu różne kryjówki.

Rebecca zdumiała się tym przejawem szlachetności.

– Panie Hill, lepiej posłuchajcie rady pana Clarenceux. To, co mówi, jest bardzo ważne i pilne. Zniszczą w tym domu każdy mebel, a was wezmą na

tortury.

- Nie przedstawiam dla nich żadnego zagrożenia.
- Zabili mojego męża, a miał sześćdziesiąt sześć lat.

Clarenceux przytaknął.

– Nieważne, czy przedstawicie dla nich zagrożenie, czy nie, wystarczy, że zagrożenie istnieje. To, co wiecie, jest ich słabym punktem. Jeśli nie chcecie tego pojąć, idziecie prosto na śmierć.

45

Clarenceux i Rebecca musieli czekać kilkanaście minut na powrót woziwody. Rebecca upierała się, że teraz jego kolej, aby jechać w pustej beczce. W pierwszej chwili, pogrążony we własnych rozmyślaniach o kronice, herold przystał na jej propozycję bez dyskusji, lecz z czasem, kiedy śnieg nie przestawał padać, zaczął protestować. Czemu ma jechać w beczce? Prawda, że jest tam dużo miejsca – więcej niż cztery stopy średnicy – ale to uwłacza jego godności. Będzie siedł obok wozu, a ona może jechać bezpiecznie ukryta w środku.

Rebecca zaprotestowała.

– To wam Henry powierzył kronikę, nie mnie. Trzeba zapewnić wam bezpieczeństwo.

– Nie zamierzam się chować w beczce, podczas gdy wy będziecie narażać życie.

– Nie pojmuję tej waszej wybujałej dumy, panie Clarenceux. Upominacie innych, aby zachowywali się rozsądnie, a tymczasem sami nie chcecie nawet wejść do beczki, chociaż ściga was królewski sierżant, który rozstawił strażę w całym mieście, aby was schwytać. Przecież wiecie, że Crackenthorpe kręci się po okolicy. To niebezpieczne dla was iść piechotą.

– Nie mniej niebezpieczne dla wdowy po Henrym Machynie.

To słowo zabolalo. Rebecca odwróciła się w milczeniu i ruszyła przed siebie. Clarenceux przestraszył się, że skręci w Little Trinity Lane na

oczach wszystkich okolicznych strażników, lecz zatrzymała się na końcu uliczki i zawróciła.

– Wiem, że nie powinnam się czuć urażona, ponieważ to, co powiedzieliście, jest prawdą: jestem teraz wdową Machyn. Ale zrobiło mi się przykro, ponieważ uczyniliście to celowo, aby mnie zranić. Przed chwilą wygłosiliście przed Michaelem Hillem mowę o tym, że to, co wie, jest słabym punktem naszych wrogów. No więc to, co wy wiecie, jest moją słabością. Proszę, panie Clarenceux, uważajcie na to, co mówicie, ponieważ jedno wasze przykre słowo może mnie zniszczyć.

Clarenceux skłonił głowę.

– Przepraszam was, pani Machyn.

Doszedł ich odgłos pojazdu woziwody. Clarenceux podniósł głowę i zobaczył starego woźnicę, który właśnie kręcił głową.

– Thames Street jest dzisiaj bardzo zatłoczona, jaśnie panie. Nie chciałbym tam jechać z waszą szanowną małżonką, wszystko jedno, w becze czy nie. Nawet za następnego szylinga.

– Nie musisz tego robić, dobry człowieku. Proszę cię tylko o jedno: żebyś pojechał stąd na północ. Będziemy iść obok wozu, ja przy przednim kole, a moja małżonka... – zerknął przelotnie na Rebecę – przy tylnym. Myślę, że tym sposobem uda nam się wymknąć strażnikom na Garlick Hill.

– Awdrey musi mieć świętą cierpliwość – mruknęła do siebie Rebecca.

46

Daniel Gyttens, podobnie jak Michael Hill koło sześćdziesiątki, był niegdyś przystojnym mężczyzną, o wysokich kościach policzkowych i wydatnej szczęce zdradzającej człowieka wojowniczego. Odziany był jednak dość nędznie w stary dublet z kamizelką, a jedno i drugie wisiało na nim niedbale.

– Nie mam odwagi nawet wyjść na dwór – wyjaśnił.

Clarenceux, widząc, że nosi przypasany miecz nawet w domu nad sklepem księgarza, uwierzył bez trudu, że jest zbyt zdenerwowany, aby wyściubić nos za drzwi. Zamiast tego jadł, pił i czytał książki przyniesione z dołu. Na stole w jego pokoju stał talerz z chlebem i serem, obok leżała otwarta kronika Edwarda Halla.

Po formalnej prezentacji szybko wyszło na jaw, że Clarenceux i Gyttens mają ze sobą wiele wspólnego. Obaj brali udział w szturmie na Boulogne za panowania Henryka VIII i obaj uważali, że taktyka wojenna króla była równie błędna i godna pożałowania, co jego polityka religijna. Clarenceux zauważył, że księga, którą czyta Gyttens, jest dziełem protestanta.

– Trzeba znać swoich wrogów – odrzekł na to Gyttens – a kiepski historyk jest najgroźniejszym wrogiem prawdy.

Clarenceux się uśmiechnął.

– Wracając do sprawy Rycerzy Okrągłego Stołu: potrzebujemy nazwisk i daty każdego członka bractwa. Uważamy, że daty odpowiadają notatkom

z kroniki Henry'ego Machyna. Nie mamy już szans zebrać razem wszystkich Rycerzy, lecz jeśli uda nam się zgromadzić wszystkie imiona i daty, a następnie znaleźć ich odpowiedniki w księdze, może odkryjemy tajemnicę Henry'ego. Wtedy będziemy mogli pertraktować z ludźmi u władzy.

Gyttens ponownie napełnił sobie kielich.

– To akurat jest proste. Ja jestem sir Reynold.

Rebecca i Clarenceux popatrzyli po sobie.

– Niemożliwe – zaprzeczyła zaniepokojona pani Machyn.

– Owszem, tak właśnie jest.

– Ale to imię nosi Nicholas Hill.

Gyttens wzruszył ramionami.

– Znam Nicholasa Hilla, to syn Michaela Hilla. Byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że nosi to samo arturiańskie imię. To by nie miało sensu.

– A jednak – powiedział Clarenceux w zadumie. – Powiedziano nam, że Nicholas Hill zajął miejsce sir Reynolda po Arthurze Darcym.

– Kto wam tak powiedział?

– Michael Hill.

Daniel Gyttens poczuł się wyraźnie zakłopotany. Podniósł kielich z winem do ust i upił łyk.

– Czy jesteście jednym z założycieli Rycerzy Okrągłego Stołu? – spytała Rebecca. – Pamiętacie, co się wydarzyło w tysiąc pięćset pięćdziesiątym roku, kiedy powstało bractwo?

– Nie, niczego nie rozumiecie. To było wiele lat wcześniej. Kiedy upadła Pielgrzymka Łaski i wielkich panów z północy powieszono za obronę prawdziwej wiary. U Edwarda Halla znajdziecie oczywiście inną interpretację tych faktów.

Clarenceux przypomniał sobie grozę tamtych zdarzeń. Dwadzieścia sześć lat temu król skazał na śmierć ponad dwieście osób, w tym opatów, przeorów, ziemian i arystokratów. Była to jedna z najbardziej krwawych plam w życiorysie Henryka VIII. Jeden za drugim dostojnicy świeccy i kościelni szli na szafot, a królewscy urzędnicy zabijali ich bez litości za mówienie prawdy.

– Ale kronika rozpoczyna się trzynastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego roku – zauważyła Rebecca zdezorientowana – kiedy mój mąż, sir Arthur Darcy oraz John Heath jedli razem wieczerzę Pod Byczą Głową. Uznaliśmy, że wtedy właśnie założono bractwo Rycerzy Okrągłego Stołu. Chcecie powiedzieć, że było inaczej?

– Mówiąc, że wszystko zaczęło się po upadku Pielgrzymki Łaski, miałem na myśli nasze spotkania. Nie przybraliśmy jeszcze wtedy arturiańskich imion, ale wrzał w nas gniew. Pragnęliśmy zemścić się na królu.

– Jaką datę podał wam Henry? – spytał Clarenceux.

– Dziewiętnastego czerwca pięćdziesiątego szóstego.

Clarenceux skinął z zadowoleniem głową.

– A więc rzeczywiście jest dwóch sir Reynoldów. Wy macie jedną datę, a Nicholas Hill inną, z czerwca pięćdziesiątego drugiego. Lecz po co dwóm osobom nadano to samo imię? Nie wyróżnia się ono wśród rycerzy Artura. Czemu nie Bediwer, Galahad, Gawain? Kay? Król Uther? Lub choćby Merlin?

– Może to są imiona osób, których nie znamy? – zasugerowała Rebecca.

– Znamy już siedem: król Clariance, Lancelot, Dagonet, dwóch Reynoldów, Ector, Yvain. Brakuje nam tylko dwóch. Pozostaje wiele arturiańskich imion, których nie użyto. – Odwrócił się do Gyttensa. – Znacie inne daty?

– Nie. Tylko swoją. Przykazano nam, abyśmy nigdy nikomu ich nie ujawniali. Tylko dlatego, że jesteście przyjacielem Henry’ego Machyna, czuję, że mogę wam ufać. Najwyraźniej inni też wam zaufali.

Rebecca odwróciła się do Clarenceux.

– Potrzebujemy kroniki. Musimy wrócić do Summerhill...

Clarenceux spojrział na nią ostro i pokręcił głową. Popatrzyła nań pytająco i nagle się zawstydzila, pojawiając, co znaczyło jego spojrzenie. Jeśli Crackenthorpe znajdzie Gytensa, będzie go przesłuchiwał. Człowiek, który chodzi w środku dnia po domu z przypasanym mieczem, nie sprawia wrażenia osoby, która wytrzymałaby tortury, ponieważ sam już je sobie zadaje.

– Macie rację, musimy zajrzeć do kroniki. Wpierw jednak spotkamy się z Draperem – odrzekł herold. – To ostatni trop, którego nie sprawdziliśmy. Zajmijmy się tym od razu, zanim się ściemni. Znamy jego arturiańskie imię, ale musimy zdobyć jeszcze datę. Kiedy z nim porozmawiamy, będzie to na razie wszystko, co możemy uczynić.

– Czy moglibyśmy przedtem coś zjeść? – spytała Rebecca.

– Ściska mnie w żołądku. – Spojrzała na chleb i ser. – Z głodu nie potrafię jasno myśleć.

– Częstujcie się, proszę – powiedział Gytens i machnął ręką, dając do zrozumienia, że trunek uderzył mu do głowy.

– Chrześcijańskie ciała potrzebują pokrzepienia w tym samym stopniu co chrześcijańskie dusze.

Ściemniało się, kiedy opuszczali dom przy Paternoster Row. Ulice zaścielał śnieżny dywan poprzecinany ścieżkami wydeptanymi przez pieszych. Rzadko kiedy miasto wygląda tak czysto, pomyślała Rebecca, wszechobecne błoto zamarzło i zasłoniła je warstwa bieli. Tak samo nieskazitelne były dachy. Kroki setek tysięcy mieszkańców i przyjezdnych ubiły puszysty śnieg w twardy, śliski lód. W powietrzu unosił się zapach dymu. Na kościelnym dziedzińcu kilku chłopców ślizgało się na gładkiej tafli zamarznętej kałuży. Właśnie wybuchnęli gromkim śmiechem, kiedy jeden z nich się przewrócił i przejechał kilka kroków na plecach.

Clarenceux podniósł głowę i wkładając rękawiczki, obserwował grube płatki śniegu opadające na dach wieży Świętego Pawła. W jego oczach katedra nadal przedstawiała obraz ruiny. Przez całe życia widywał strzelistą iglicę – jedną z najwyższych w całym chrześcijańskim świecie – a potem nagle pewnego dnia, kiedy siedział w swoim gabinecie, po schodach wbiegła Awdrey, aby mu powiedzieć, że wieża upadła. Nie uwierzył jej, dopóki nie zobaczył tego na własne oczy: symbol wzniosłości i wspaniałości zamienił się w ziejącą dziurę, w masę zgruchotanego drewna i kamieni. Teraz w tym miejscu stał zdeformowany kikut na tle szarego nieba, a płatki śniegu padały nań niczym żałosne błogosławieństwo.

Tego dnia w Londynie coś zostało nieodwracalnie zniszczone. Nic od tamtej pory nie było idealnie dobre ani doskonałe. Anglia zmagiała się ze

swymi kłopotami tak jak katedra – rozpołowiona pomimo modlitw swoich wiernych. Dla nich było to uczucie, jakby pili wino z obtłuczonego kielicha.

Szedł obok Rebekki szeroką ulicą Cheapside pogrążony w ponurym milczeniu. Na ostatnich straganach jeszcze handlowano, lecz większość była już zamknięta. Kupujący odchodzili, ponieważ w zmierzającym świetle nie mogli ocenić jakości towarów, a dodatkowo wypłoszył ich padający śnieg. Handlarze ładowali kosze i skrzynie na wozy lub juczne konie. Rozmawiali głośno przy pracy lub ogrzewali dłonie przy ogniskach, które rozpalili na ulicy z połamanymi drewnianymi skrzyń.

Jeden z ulicznych kupców rozpoznał Clarenceux i pomachał mu ręką na powitanie.

– Myślicie, że to bezpieczne? – spytała Rebecca.

– Crackenthorpe ściga mnie od niedzieli. Was prawdopodobnie szuka jeszcze dłużej. Nawet mu w głowie nie postanie, że chodzimy środkiem największej handlowej ulicy w Londynie.

– Nie wiadomo.

– W tłumie jesteśmy bezpieczni. Gdybyśmy szli wąską uliczką i wpadli na Crackenthorpe’a, bylibyśmy jedynymi przechodniami. Rozpoznałby nas w mgnieniu oka. A na pewno mnie. Tutaj jednak zbyt wiele rzeczy odwraca uwagę.

Skręcili w lewo w Ironmonger Lane razem z ciżbą skulonych z zimna niewiast i mężczyzn spieszących w tym samym kierunku. Płatki śniegu zawirowały między domami, porwane przez lodowaty podmuch wiatru, i uderzyły ich w twarze. Obok przebiegł pies drepczący za swoim panem; na białej powierzchni zostawił ślady łap. Złamany szyld nad gospodą wisiał przekrzywiony, ledwo widoczny na tle ciemniejącego nieba, pod nim kobiety i mężczyźni tłoczyli się w kolejce, żeby wejść do ciepłej izby. Ze

środku dobiegały dźwięki lutni, tamburynu i męskiego śpiewu. Przy drodze stał wóz, śnieg na kołach leżał nieporuszony, dopóki jakiś malec nie zebrał go w garść, aby rzucić śnieżką w goniącego go towarzysza.

– Już niedaleko – oznajmił Clarenceux, rozglądając się uważnie.

Nawet w tej bocznej uliczce otaczali ich zewsząd ludzie powracający spieszenie do domów. Jakaś staruszka ciągnęła w przeciwnym kierunku wózek ręczny załadowany drewnem na opał. Za nią na siwym koniu jechała młodsza niewiasta, z ramionami owiniętymi dużym, spłowiałym niebieskim kocem. Na szczeblach drabiny opartej o ścianę zalegał śnieg, pod spodem stała beczka wypełniona zamarzniętą wodą, z czapą białego śniegu.

Clarenceux wskazał duży dom z czerwonej cegły wznoszący się dumnie po lewej stronie ulicy. Wysokie okna z wieloma małymi szybkami nosiły znaki herbowe. Dwa wykusze na pierwszym piętrze wystawały nad drogą i sięgały aż drugiego piętra. Okazała, nowo wybudowana rezydencja świadczyła o bogactwie, władzy i pozycji właściciela.

Pokonawszy trzy stopnie, Clarenceux podszedł do drzwi frontowych, misternie zdobionych kutym żelazem, i mocno zapukał. Rozejrzał się po ulicy, rzucił okiem w stronę ośnieżonej drabiny, potem na skrzyżowanie dróg, nigdzie jednak nie zauważył ani śladu strażników.

Otworzyły się drzwi. Za nimi w ciemności zobaczyli łysą głowę służącego.

– Pozdrawiamy ciebie i twego pana. Przyszedłem porozmawiać z panem Draperem w sprawie niecierpiącej zwłoki. Nazywam się William Harley, Wielki Herold Clarenceux. A to jest pani Machyn.

Łysy służący spoglądał na nich ponuro.

– Czy pan Draper się was spodziewa?

– W pewnym sensie tak – odrzekł Clarenceux. – Możemy wejść do środka?

– Tu jest bardzo zimno – dodała Rebecca z uśmiechem.

Służący nie odpowiedział tym samym.

– Jeśli pan Draper się was spodziewa, zaczekajcie w holu.

– Przytrzymał uchylone drzwi, podczas gdy Rebecca i herold otrzepywali buty ze śniegu, a potem przeszli przez próg.

– Tędy – powiedział, prowadząc ich w głąb ciemnego korytarza.

Chwilę później weszli do dużego jasno oświetlonego holu. Sufit ginął w mroku czterdzieści stóp nad głowami. Górna połowa jednej ściany od wysokości głowy była w większości oszklona. Po przeciwnej stronie stały ławy zarzucone kolorowymi poduszkami, świece migotały bezgłośnie w kinkietach. Pośrodku, w eleganckim pięknym kominku płonęły wolnym ogniem świeże polana. Fryz nad kominkiem przedstawiał czarne kobiety z odsłoniętymi piersiami, po obu stronach wisiały portrety, a na końcu, nad stołem, arras przedstawiający armię oblegającą nadmorskie miasto.

– Zaczekajcie tu – polecił służący, po czym zniknął na małych schodach wznoszących się z kąta podestu.

– Widać, że Draperowi nie zbywa na pieniądzech – skomentowała Rebecca, patrząc na rzeźbiony drewniany strop, tonący w półmroku, i złote liście na belkach.

Clarenceux podniósł głowę, aby podążyć za jej wzrokiem, i uchwycił miękki łuk jej szyi oświetlony blaskiem płomieni. Potem odwrócił wzrok i popatrzył na belki. Nie obchodziło go, ile złotych liści wymalowano na suficie. Spojrzał z powrotem na Rebeccę i zobaczył pieprzyk na jej twarzy. Jakież piękno może tkwić w niedoskonałości, pomyślał, i ileż niedoskonałości w czymś tak pięknym jak ta komnata.

Znów się odwrócił, zastanawiając się, co zabiera służącemu tyle czasu, i spojrzął na gobelin. Trudno było coś na nim zobaczyć. Może to Calais? Jak powiadają, niezwyciężone angielskie miasto na francuskim wybrzeżu.

Prawie rok zajęło wielkiemu królowi Edwardowi III zdobycie go dwieście lat temu. Anglia utrzymała je aż do czasu, gdy przed pięciu laty królowa Maria pozwoliła, aby wymknęło jej się z rąk. Była wprawdzie katoliczką, ale marną władczynią. Zaniebrywała obowiązki, skupiona na sobie i swej królewskiej woli, do tego strosy, strach i ucisk... nawet katolicka królowa ma swoje wady.

Rebecca podeszła bliżej i powiedziała półgłosem:

– Jak to się stało, że pan Draper jest jedynym z Rycerzy, który pozostał w swoim domu?

W pierwszej chwili Clarenceux nie zrozumiał, skąd przyszło jej do głowy to pytanie. Czemu nie mieliby zastać bogatego kupca w jego własnym domu?

– Niepokoi mnie to, panie Clarenceux. Pan Hill tak się bał, że celował do nas z pistoletu. Wy musieliście uciekać. Ja również. Lancelot Heath mieszka potajemnie u brata. Wszyscy się gdzieś ukrywają. Poza Draperem.

Kiedy umilkła, heroldowi zadźwięczały w głowie słowa jej męża. „Zaufałem niewłaściwemu człowiekowi. Wszystko przepadło. Jestem skończony”.

– O czym oni tam tyle czasu rozprawiają? – spytał na głos i w tym samym momencie uprzytomnił sobie jedyną możliwą odpowiedź.

O niczym.

Krew odpłynęła mu z twarzy, zmroził go lodowaty strach.

– Macie rację. Weszliśmy prosto w zastawioną pułapkę – szepnął.

– Myślicie, że współpracuje z Walsinghamem?

– Nie wiem, ale zamierzam znaleźć Drapera, zanim będzie za późno...

Kończył zdanie, idąc w stronę schodów, a w połowie drogi puścił się biegiem. Nie zważał nawet na bolące kolano. Postawił stopę na pierwszym stopniu i dopiero wtedy uprzytomnił sobie, że powinien się podkraść po

cichu, więc zwolnił kroku. Odwrócił się: Rebecca szła za nim. Położył palec na ustach, potem odwrócił się i zaczął skradać.

Na piętrze, na stoliku pod obrazem Marii Panny płonęła świeca. Przeżegnał się, po czym odwrócił do drzwi po drugiej stronie. Wyciągnął rękę, zmówił krótką modlitwę i pociągnął za klamkę.

Mniej więcej dwie sekundy zajęło mu rozeznanie się w topografii zdrady. Ujrzał długi, wyłożony boazerią pokój z dwoma kominkami, świecami na ścianach i sekretarzykiem. Naprzeciwko odsunięta kotara zdradzała ukryte drzwi – widać służący nie zaciągnął jej, wychodząc. Przy biurku na końcu komnaty siedział mężczyzna o wąskiej twarzy i siwej brodzie, obok niego leżał pistolet. Obejrzał się na intruza zaskoczony. Te dwie sekundy wystarczyły w zupełności, aby Clarenceux błyskawicznie podjął decyzję.

Kiedy Draper zobaczył wchodzącego herolda, zorientował się, że nie docenił swego przeciwnika. Miał nadzieję, że będzie posłusznie czekał w holu. Był zbyt wstrząśnięty, aby jego ciało i umysł zareagowały odpowiednio szybko. Wyciągnął rękę po pistolet, lecz dłoń mu się trzęsła i zanim zdołał znaleźć spust, Clarenceux dopadł już kominka. Patrząc przerażony, jak dłoń w rękawiczce sięga po rozgrzany ozdobny stojak od rusztu, podnosi go i rzuca prosto w niego. Schylił głowę, aby uniknąć rozpalonego żelaza, lecz zrobił to za wolno; krawędź podstawy trafiła go w głowę. Chwilę później dopadł go Clarenceux. Wyrwał mu z ręki pistolet i cisnął w kąt pokoju, a jednocześnie drugą ręką chwycił za włosy i wyciągnął zza biurka. Draper zataczał się z pochyloną głową, krzycząc z bólu.

– To za Henry’ego Machyna! – ryknął Clarenceux, chwytając go za brodę.

Uderzył go z całej siły w twarz. Głowa odskoczyła Draperowi do tyłu, upadł, strużka krwi ze złamanego nosa bryznęła na podłogę.

– A to za Willa Terry’ego, niewinnego chłopca, który nigdy nie uczynił nic złego.

Ciało Drapera zwinęło się w kłębek, kiedy but herolda złamał mu żebro.

Clarenceux schylił się, chwycił go znów za włosy i wykręcił głowę tak, aby kupiec musiał mu spojrzeć w twarz.

– A teraz odpowiesz mi na pytanie. Wiem, że twoje arturiańskie imię brzmi Dagonet, błazen, którego król Artur pasował na rycerza dla żartu. Jaka jest twoja data? Gadaj!

– Niechaj twój syn smaży się w piekle, a twoje ciało zgnije... – wydyszał Draper.

Clarenceux zerknął na Rebeccę. Stała przy drzwiach, jakby gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Nasłuchiwał. Jak dotąd z dołu nie dochodził żaden dźwięk.

Odwrócił się z powrotem do Drapera.

– Masz ostatnią szansę.

Kupiec nie odpowiedział. Wtedy herold wyciągnął zza pasa sztylet i przyłożył ostrze tuż pod prawym okiem Drapera.

– Powiedziałem, że masz ostatnią szansę. Potem wyłupię ci oczy.

– Szesnasty... czerwca.

– Rok?

– Tysiąc pięćset pięćdziesiąty dziewiąty.

Clarenceux zabrał sztylet i schował go do pochwy.

– Jesteś dumnym człowiekiem, panie Draper. Musiałeś kiedyś tak samo wierzyć w sprawę, skoro Henry Machyn dopuścił cię do tajemnicy. Ale prędzej zaprzedałbyś duszę śmiertelnemu wrogowi, niż wytrwał przy swoich braciach w Chrystusie. Spośród wszystkich apostołów, tyś jest Judaszem.

Wstał i spojrzął na biurko Drapera. Zobaczył na nim dużą skórzaną sakwę, podszedł i zajrzał do środka. Były w niej trzy złote suwereny, kilkanaście półsuwerenów i nobli, dziesięć nowych dużych srebrnych koron oraz trochę srebrnych szylingów i pensówek. Zawahał się, lecz po chwili przypomniał sobie pieniądze, które zabrano ze szkatułki w jego domu oraz złote liście w holu. Ściągnął sznurek sakiewki i włożył ją do kieszeni dubletu, po czym spojrzął z powrotem na Drapera.

– Przez twoją niewierność zginęli ludzie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Po raz ostatni rozejrzał się po pokoju, podszedł do drzwi w głębi komnaty i skinął na Rebeccę.

– Służący pomyśli, że nie znamy tego wyjścia, więc wejdzie z Crackenthorpe'em drzwiami frontowymi. Chodźcie szybko.

Na wąskich krętych schodach było ciemno i zimno. Clarenceux trzymał się ścian, żeby nie stracić równowagi. Nie miał pojęcia, dokąd trafią. Kiedy schody się skończyły, znalazł się w nieprzeniknionej ciemności, nie wiedział nawet, czy stoi na parterze, czy na półpiętrze.

– Coś słyszę – wyszeptała Rebecca. – Odgłos szybkich kroków.

Clarenceux zrozumiał, że nie mają ani chwili do stracenia. Upadł na czworaki, zaklął pod nosem na stłuczone kolano i zaczął macać podłogę wokół siebie. Po chwili trafił na ścianę, a potem na stopnie biegnące w dół. Mogą prowadzić do piwnicy, pomyślał.

Z góry dochodziły głosy. Słyszał własny pospieszny oddech, czuł niepokój Rebekki. Nagle zauważył mdły blask na wysokości swoich stóp.

To szare światło, nie świeca. Musi dochodzić od drzwi wyjściowych. Mam nadzieję, że służący nie zamknął ich na klucz.

– Pani Machyn – szepnął, wstając i szukając jej po omacku. Dotknął najpierw ściany, a potem jej wyciągniętej dłoni. Przytrzymał ją. –

Ostrożnie, tu są następne schody – powiedział, prowadząc ją tak, aby je ominęli.

Za ich plecami na kręconych schodach zamigotało światło pochodni.

– Nie obawiajcie się – powiedział jej, znajdując drzwi i szukając skobla.

Drzwi były otwarte. Uchylił je. W ciemności mroźnego wieczoru wyszli na wyłożone cegłą podwórze. Prowadziła stąd tylko jedna widoczna droga: przez bramę, która była na tyle szeroka, że mieściły się w niej furmanki dostawcze, a to znaczyło, że musiała prowadzić na ulicę. Clarenceux pociągnął Rebeccę w tamtą stronę.

– Stać! – wrzasnął ktoś za nimi.

Na bramę padł blask płonącej pochodni. Lecz Clarenceux nie zamierzał zawracać. W świetle łuczywa zobaczył uchwyt w środku bramy, złapał go i przekręcił, a potem pociągnął lewe skrzydło, aby przepuścić Rebeccę. Sam ruszył w ślad za nią. Kiedy ich prześladowcy rzucili się za nimi z krzykiem, zamknął bramę od zewnątrz i złapał mocno metalowy pierścień uchwytu.

– Uciekajcie tą ulicą – wysapał, ciągnąc z całej siły bramę, którą mężczyźni po drugiej stronie próbowali otworzyć.

– Skręćcie w prawo i biegnijcie dalej prosto. Spotkamy się przy kościele Świętego Michała od strony cmentarza.

Rebecca stała niepewnie. Ulicą w obie strony szli ludzie, niewyraźne cienie w kapturach, niektórzy z latarniami, większość po prostu wracała z rynków do domu.

– Pospieszcie się! – krzyknął, mocując się z uchwytem.

Rebecca odwróciła się i pobiegła.

Clarenceux miał tylko kilka sekund, aby podjąć decyzję. Pod wpływem wzmożonego naporu mężczyźni drzwi uchyliły się o kilka cali. Udało mu się przyciągnąć je z powrotem, lecz nie zdołał ich zamknąć. Przez szczelinę

widział migotanie pochodni, niczym płomieni stosu pogrzebowego. Ludzie Crackenthorpe'a biegną już pewnie przez dom, pomyślał, lada chwila dopadną mnie od frontu i zamkną w pułapce. Rozejrzał się gorączkowo za jakąś kryjówką. Wiedział, że nie zdoła im uciec. Było jednak za ciemno, aby mógł coś zobaczyć. Nagle jego wzrok spoczął na grupie nadchodzących ludzi w kapturach i natychmiast zrozumiał, co powinien zrobić. Odczekał jeszcze chwilę, aż kilkanaście latarni zbliży się do furtki, po czym puścił.

*

Z pochodnią w lewym ręku Richard Crackenthorpe jednym szarpnięciem otworzył frontowe drzwi i zbiegł po schodach na zaśnieżoną ulicę. Dobył miecza i skierował się do bramy. Spodziewał się ujrzeć ją zamkniętą, blokowaną przez Clarenceux. Tymczasem furтка była otwarta i nikt się z nią nie szarpał. Dookoła kręciły się tylko ciemne sylwetki jego ludzi.

– Gdzie on jest?! – wrzasnął do tłumu na ulicy.

Jakaś kobieta krzyknęła na widok miecza i wszyscy ludzie w uliczce zaczęli się od niego odsuwać, on zaś ciskał się między nimi z obnażonym ostrzem i zdierał im z głów czapki i kapelusze.

– Gdzie on jest? – krzyknął w twarze trzech strażników, którzy wypadli z podwórza. – Przecież nie mógł nagle zniknąć.

– Niczegośmy nie widzieli – wyjaśnił mężczyzna, który wyszedł przez bramę pierwszy. – Kiedyśmy otworzyli drzwi, było za ciemno, żeby kogoś rozpoznać. A potem wy przybiegliście i światło pochodni odbiło się w śniegu.

– Niech was zaraza! – Crackenthorpe wziął głęboki oddech. – Psiamać, macie ścigać... Nie! – Wbił miecz w śnieg. – Nie. Bramy są zamknięte. Będą próbowali wyjść z miasta przez podwórze kowala przy Cripplegate.

Dwóch ma tu zostać i pilnować Drapera. Nie ufam mu. Wy dwaj chodźcie ze mną.

– Po co zawracać sobie głowę pilnowaniem Drapera? Nie widzieliście, co Clarenceux zrobił z jego twarzą?

– Ale zostawił go przy życiu. Gdyby to mnie Draper zdradził, poderznąłbym mu gardło.

48

Clarenceux biegł w ciemności, ile tylko miał sił. Jego ciało za dużo już zniosło, wszystko go bolało, nie tylko obite kolano. Najbardziej na świecie pragnął się gdzieś położyć i usnąć.

Ale przynajmniej żył i był wolny.

Poszedł dalej szybkim krokiem, utykając mocno na chorą nogę. Ból mnie nie złamie, dzisiaj nic mnie nie złamie. Jeszcze tylko jeden skręt w lewo, potem w prawo i znajdę się na prostej drodze do kościoła Świętego Michała na Wood Street, gdzie ma czekać Rebecca.

Zwolnił. Nadchodziła następna większa grupa z latarnią, ci nie wracali do domu. Była to regularna straż miejska. Przez chwilę pomyślał o ironii losu – uciec przed niebezpieczeństwem pod osłoną ciemności, by zostać aresztowanym za chodzenie bez lampy. Zatrzymał się i cofnął w boczną uliczkę, aby minęły go cienie z kołyszącym się światłem.

Czuł na szyi padający śnieg i mokre futro kołnierza. Owinął się szczelniej szubą i pokuśtykał dalej, wpadając od czasu do czasu na stojące wozy, beczki i śmieci w miejskich zaułkach. Wkrótce na ciemnym niebie ukazała się wieża kościoła Świętego Michała. Podszedł do muru cmentarza, przesunął po nim ręką w poszukiwaniu bramy, po czym przeszedł na drugą stronę.

Czapka mu przemokła i roztopiony śnieg spływał za koszulę. W mieście panowała prawie nieprzenikniona cisza. Tylko od czasu do czasu spokój

zakłócały wołania strażników na sąsiednich ulicach lub głos jakiegoś ojca krzyczącego na dzieci za okiennicami pobliskiego domu. Gdzieś niedaleko wrzasnęły walczące koty, po czym znów zapadła cisza.

– Pani Machyn? – powiedział półgłosem.

Lecz z kościelnego cmentarza nie dochodził żaden głos.

Gdzie ona jest? Powiedziałem przecież wyraźnie: przy kościele od strony cmentarza, chyba nie zrozumiała, że w środku? Świątynia jest o tej porze zamknięta.

– Pani Machyn? – zawołał nieco głośniej. – Rebecca?

Potknął się o wzniesienie świeżo wykopanej ziemi i zatoczył do przodu. Dłoń w rękawiczce zagłębiła się w świeżym śniegu. Podniósł się, otrząsał rękę i ruszył dalej.

Wszędzie pusto. Tylko lodowata cisza. I zapach dymu unoszącego się z domów. Przed nim wyrosły kamienne mury kościoła.

Nie ma jej tu. Zaczęła go dręczyć myśl: a jeśli ją złapali? Co zrobię, jeśli ją aresztowali? Nie znajdę jej. Jeśli stąd pójdę i schronię się tam, gdzie zamierzałem, w stajni domu przy bramie Aldersgate, nie będzie wiedziała, gdzie mnie szukać.

Myśli wirowały mu w głowie, jego umysł zmartwiał, jakby zamarł pod lodowatym niebem. Nie mogę jej teraz stracić, kiedy zaszliśmy tak daleko.

– Rebecca?

Odpowiedziała mu tylko śnieżna cisza i szczekanie psa w sąsiedniej uliczce.

Czekał dwadzieścia minut, oparty o ścianę kościoła. Szuba na nim ociekała wodą. Odwrócił się i położył dłonie na zimnym kamieniu. Nawet święte mury nie przyniosły mu pocieszenia. W oczach miał tylko obraz Rebekki. A więc ją stracił. Oparł czoło o mur i przypomniał sobie słowa, które jego ojciec wypowiedział dawno temu, kilka dni przed śmiercią jego

siostry: „Złoto, sława ani piękne konie nie mają żadnej wartości, oto nauka, jaką czerpiemy ze śmierci ukochanej osoby”. Jego siostra miała szesnaście lat, a on czternaście; wszystkie radosne chwile, jakie wspólnie przeżyli, znikły bezpowrotnie. Od tej pory zaczął szukać pocieszenia w wierze. Wiara nie pierzcha ze śmiercią człowieka. Nagle przestał być tego taki pewien. Gdzie jest teraz jego wiara? Jakie pocieszenie może mu zesłać Bóg? Jeśli człowiek traci osobę, która jest mu droga, i znajduje pocieszenie w Bogu, czyż nie znaczy to, że nie była dlań aż tak ważna?

Nagle sam siebie zdumiał. Jeśli świat duchowy jest tak samo rzeczywisty jak materialny, to jeden nic nie znaczy bez drugiego.

– Sam Bóg to jeszcze nie wszystko – szepnął do siebie.

Miał uczucie, jakby poruszał się w głębokich przestworzach prawdy. Zrobiło mu się słabo. Ruszył wzdłuż kościelnego muru, przytrzymując się ręką kamiennych ścian. Uczynił w ciemności znak krzyża.

Sam Bóg nie wystarczy.

Coś poruszyło się w ciemności.

– Czy to wy? – zapytał niewieści głos.

– Pani Machyn?

Sam się zdziwił, jak anemicznie zabrzmiał jego własny głos. Poczul na ramieniu dotyk dłoni.

– To ja, Rebecca.

– Rebecco.

Ujął jej dłoń i rozpoznał ją po dotyku. Otoczył ją ramieniem, przycisnął mocno i przytulił jej policzek do swego.

– Przez chwilę myślałem, że Bóg był okrutny – powiedział.

– Bóg nigdy nie jest okrutny. To tylko my jesteśmy słabi. Jak udało się wam uciec?

– Opowiem wam, ale nie tutaj. Najpierw musimy się gdzieś ukryć. Znam pewne miejsce całkiem niedaleko.

Wziął ją za rękę i powiódł w ciemność.

*

Wydawało się, że w stajni jest gorąco, kiedy weszli prosto z mrozu. Po lodowatych, zaśnieżonych ulicach miasta ciepło i zapach zwierząt sprawiały wręcz niewypowiedzianą przyjemność. Clarenceux wiedział, gdzie w ciemności szukać drabiny, weszli więc na strych i położyli się na stercie siana, które pachniało zapomnianym latem. Leżeli obok siebie i przez długą chwilę nic nie mówili.

– Więc jak wam się udało zbiec?

– Żołnierze stali w blasku pochodni, ich oczy przywykły do światła; uprzytomniłem sobie, że kiedy wyjdą, znajdą się w kompletnych ciemnościach. Niczym ćmy skierują wzrok na pierwsze źródło światła, jakie zobaczą na ulicy. Doszedłem do wniosku, że mam kilka sekund, zanim zaczną rozróżniać ludzkie sylwetki. To wystarczy, aby człowiek w ciemnej szacie i czarnej czapce mógł rozpląnąć się wśród cieni.

– Okropnie się martwiłam. Wróciłam, żeby was odszukać, pomyślałam, że jeśli was złapali, to muszę o tym wiedzieć. W jakiś sposób odkryć, dokąd was zabrali, aby powiedzieć o tym Juliusowi. Ale kiedy tam wróciłam, was już nie było.

– Już wszystko dobrze. – Clarenceux położył się na plecach i popatrzył w górę, w ciemność. – Myślę, że zrobiliśmy w mieście wszystko, co było w naszej mocy. Wiemy, kto jest zdrajcą. Nie udało nam się poznać dwóch ostatnich Rycerzy ani nawet ich arturiańskich imion. Pora wrócić i sprawdzić w kronice daty, które udało nam się zdobyć, spróbować odkryć, co one znaczą.

– Jak myślicie, czemu jednego z imion Rycerzy nie wolno wspominać?

– Nie wiem. Nikt nie znał Henry’ego lepiej niż wy, pani. Jakie jest wasze zdanie na ten temat?

Rebecca milczała.

– Rebecco?

Westchnęła, ale nie było to westchnienie ulgi, lecz niepokoju.

– Dlaczego połamali mu nogi?

Clarenceux wiedział, że odpowiedź złamie jej serce. Jemu również ten obraz nie dawał spokoju.

– Mają różne metody torturowania ludzi. To mogła być pierwsza lepsza. Ale teraz już Henry spoczywa w pokoju. Dla niego jest już po wszystkim.

– Musimy dokończyć to, co zaczęliśmy.

– Ja również tak uważam. Oboje się co do tego zgadzamy.

– A więc naszym następnym posunięciem będzie powrót do kroniki – powiedziała, opierając głowę na jego piersi. – Nie ma sensu wyruszać stąd przed świtem. Nie dostaniemy koni, dopóki nie otworzą oberży.

– Nie, ale łatwiej będzie opuścić miasto nocą niż za dnia. Crackenthorpe wie, że jesteśmy po tej stronie murów. Ustawi dodatkowe warty przy każdej bramie.

– Więc co proponujecie? Inne wyjście?

– Tak. Z podwórza kowala przy bramie Cripplegate prowadzi furтка. Henry mi o niej powiedział, skorzystałem z niej tamtej nocy, kiedy szedłem do waszego domu.

– Znam to przejście. Kowal to mój brat, Robert.

Clarenceux nie skojarzył tego wcześniej.

– Naturalnie, wszak wasze panińskie nazwisko brzmi Lowe. Nie wiedziałem, że macie brata.

– Nie jesteśmy ze sobą zbyt zżyli. Ale Henry go lubił.

– W takim razie musicie znać to miejsce. Stamtąd pójdziemy do mego domu, gdzie zaczekamy do świtu. Żołnierzom nie przyjdzie na myśl przeszukiwać go drugi raz, zwłaszcza że wszystko zniszczyli. Nie będą go też obserwować, bo stoi pusty.

– Ale najpierw tu trochę odpocznijmy – poprosiła Rebecca. – W środku nocy na ulicach będzie bezpieczniej, a oboje jesteście zmęczeni.

Było mu dobrze, kiedy tak leżał, czując jej głowę na piersi.

Sam Bóg to jeszcze nie wszystko.

Po chwili spytała:

– Co wiecie o Pielgrzymce Łaski?

– Czemu pytacie?

– Ponieważ Gyttens powiedział, że Rycerze zaczęli się spotykać z powodu upadku Pielgrzymki Łaski. To było długo przed tysiąc pięćset pięćdziesiątym rokiem, prawda? Pamiętam, że ludzie gadali o jakimś katolickim buncie na północy i o tym, że w egzekucjach zginęło mnóstwo ludzi, ale miałam wtedy zaledwie dziewięć albo dziesięć lat.

– W Lincolnshire doszło do powstania niezadowolonych wyznawców dawnej religii. To było w październiku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku, po tym jak Henryk Ósmy zerwał z Rzymem i zamierzał narzucić swoją wolę Kościołowi Anglii, jakby te ziemie były jego własnością i mógł z nimi czynić, co mu się podoba. Ziemianie i arystokraci, tak samo jak lud, uznali, że to, co czyni król, jest herezją i tyranią. Ich przodkowie fundowali klasztory, aby duchowni mogli śpiewać msze za ich dusze, więc jakim prawem król je rozwiązywał i wyprzedawał ich ziemie? Jakie miał prawo zerwać z Rzymem i ogłosić się duchową głową Kościoła w Anglii? Jakie miał prawo wyprzedawać opactwa, w których spoczywali przodkowie najznacześniejszych szlacheckich rodów? W tej sprawie szlachta znalazła wspólny język z ludem, który patrząc na ołtarze swych kościołów, nie mógł

uwierzyć, że posągi świętych, do których modlił się jeszcze tak niedawno, zostały zrujnowane. Zapominamy, jaki to był wstrząs, nawet ci z nas, którzy patrzą wstecz na ich zmagania i wierzą, że byli prawymi i dobrymi ludźmi. Pamiętajmy, jak to było dawniej: kiedy koń złamał nogę lub matka rękę, kładło się na ołtarzu woskową albo glinianą figurkę, składało ofiarę i zanosilo modły. Król tego zabronił. Dla wielu wyznawców równie dobrze mógłby uczynić herezją modlitwę o zdrowie. Jeśli dołożycie do tego zniszczenie krucyfiksów w kościołach, wprowadzenie nowych modlitewników, zaczniecie rozumieć, czemu ludzie w Lincolnshire wzniesli bunt. Zarówno biedni, jak i bogaci, starzy i młodzi, wszyscy zrobili dokładnie to, czego im zabraniano: udali się na pielgrzymkę do Lincoln. Czterdzieści tysięcy ludzi. Chcieli powrotu swoich świętych, chcieli chodzić na pielgrzymki i składać ofiary. Chcieli się modlić po swojemu, czynić to, co według nich jest posłuszeństwem wobec Boga.

– To była Pielgrzymka Łaski?

– Nie, to był tylko początek. Król odpowiedział, wysyłając splamionego krwią księcia Suffolk. Księżę zagroził wiernym śmiercią, jeśli nie zaniechają pielgrzymki i nie powrócą do domów. Ogłosił, że król zakazał okazywania pielgrzymom litości. Wtedy mieszkańcy Yorkshire wznieśli bunt pod wodzą prawnika, Roberta Aske'a. Był to człek pobożny, który nie chciał podzegać do konfliktu ani przeciwstawiać się królewskiemu wojsku. Poprowadził dziewięć tysięcy mężczyzn do Yorku i przywrócił tam zakony i klasztory. Dzięki swym przywódczym zdolnościom zdobył zamek w Pontefract bez rozlewu krwi, umiał też tak skutecznie zapanować nad swymi zwolennikami, że nie doszło do grabieży.

Poradził sobie nawet z politycznymi żądaniami swych arystokratycznych sprzymierzeńców. Król był jednak obłudny. Zaakceptował listę żądań przysłaną przez Aske'a, lecz na nie nie odpowiedział. Pod wpływem

nacisków udał, że je przyjmuje, a Aske, wiedząc, że nie może w nieskończoność trzymać ludzi w gotowości, puścił ich do domów. W styczniu tysiąc pięćset trzydziestego siódmego roku, po rebelii w Cumberland, król wydał rozkaz, aby wszystkie osoby, które uczestniczyły w zajściach w Yorku, aresztowano i powieszono. Zabito w ten sposób ponad dwustu rycerzy, opatów, księży i sług kościelnych. Aske'a zawleczono do Yorku i powieszono zakutego w łańcuchy.

Clarenceux pokręcił głową, głos mu się łamał z emocji.

– Kiedy ludzie mnie pytają, co mam na myśli, mówiąc, że jestem katolikiem, myślę o tych wszystkich, którzy próbowali strzec miejsc pochówku swych rodzin, sposobu, w jaki wolno im się modlić, oraz swej rozpaczliwej wiary w świętych. Podziwiam ich za walkę w obronie Kościoła przed potworem, jakim był Henryk Ósmy. A mimo to, co czyniłem? Walczyłem w Boulogne za nikczemnego, bezbożnego króla. Walczyłem za niego u boku lorda Pageta pod dowództwem tego samego księcia Suffolk. Będę tego żałował do końca swoich dni. I do końca swoich dni będę wierzył, że to, co zrobił Henryk na północy, było dziełem szatana. Królowie nie powinni pożądać władzy kościelnej ani potępiać innych za to jeno, że wyznają inną wiarę.

Rebecca milczała przez długą chwilę.

– A teraz my robimy to samo, prawda? Jesteście nowym Robertem Aske'em.

Clarenceux oparł głowę na dłoniach. Tamci błagali Aske'a, aby został ich przywódcą; Henry błagał mnie, abym wziął od niego kronikę. Tak jak Aske gotów jestem walczyć za to, co uważam za słuszne. Dla nas obu to kwestia wolności. Ale jest między nami różnica: Aske wiedział, z czym walczy.

– A jeśli tak, czy ma to dla was znaczenie?

– Tak. To sprawia, że w was wierzę.

*

Opuścili stajnię około trzeciej nad ranem. Chmury na niebie się rozproszyły, księżyc po nowiu jeszcze nie wyszedł, lecz światło gwiazd wystarczało, aby uwydatnić biel śniegu. Clarenceux i Rebecca widzieli ulice i zarysy domów, więc nie musieli iść po omacku.

Mimo to posuwali się bardzo ostrożnie. Mróz ścisnął jeszcze mocniej, śnieg zamarzał i stwardniał, ale na brzegach ścieżek był mniej zbity i chrzęścił pod nogami. Clarenceux prowadził, zatrzymywał się tu i ówdzie, aby sprawdzić, czy nie widać gdzieś rozstawionych straży, lecz jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było żywej duszy. Jakby na świecie istniało tylko światło gwiazd i puste nieruchome powietrze.

Przyszło mu do głowy, że furka w obejściu kowala może być zamknięta. Z początku nie podzielił się obawą z Rebecą, a kiedy to zrobił, odparła, że według Henry'ego jej brat rzadko zamyka bramkę. Nie do końca go to uspokoiło. Zauważył w ciemności szczura przemykającego po białej ulicy, potem dwa następne. Szczury często biegają nocą po ulicach, pomyślał.

– Jesteśmy prawie na miejscu – szepnął.

– Wiem – odparła również szeptem. – Czemu się zatrzymaliście?

– Jeśli to dom waszego brata... – nie musiał kończyć zdania.

– Nie obawiajcie się. Niewiele osób o tym wie.

– Mimo to... Jeśli coś się stanie i zostaniemy rozdzieleni, spotkamy się znów w tej samej stajni.

– Nic się nie stanie – zapewniła Rebecca.

Poszli dalej. Zobaczyli wreszcie dom Roberta Lowe'a. Uliczka przed podwórzem jaśniała od śniegu, lecz furka tonęła w cieniu budynku.

– Zaczekajcie tu. Pójdę przodem i sprawdzę. Jeśli droga będzie wolna, zaraz tu wrócę, jeśli nie, wracajcie tą samą drogą, którą przyszliśmy. Rebecco, muszę być pewny, że to zrobisz. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.

– Zostań z Bogiem – powiedział.

Przemierzył kilka ostatnich kroków dzielących go od pogrążonego w ciemności domu i wyciągnął rękę, aby dotknąć muru, najpierw ściany domu, potem ogrodzenia. Zrobił jeszcze dwa kroki i jego palce trafiły na drewno. Popchnął je. Furtka była zamknięta. Po omacku odszukał w ciemności rygiel, otworzył i wszedł na podwórze.

49

Francis Walsingham nie mógł zasnąć. Odrzucił kołdrę, rozsunął zasłony łóżka i usiadł na brzegu materaca w koszuli nocnej i czapce. Zauważył, że ogarek w świeczniku mruga i lada chwila zgaśnie. Włożył grubą szubę, wziął świeżą świecę woskową, odpalił od dogorywającego knota i umieścił w lichtarzu. Nowy płomyk zamigotał i zapłonął idealnym językiem światła. Francisowi zrobiło się zimno, więc wrócił do łóżka i usiadł.

Aresztowali sześciu Rycerzy. Machyn nie żyje – wszystko to była opłakana historia, bezbożna i brudna, od początku do końca. W sumie jednak Crackenthorpe spisał się nieźle. Roberta Lowe’a i Michaela Hilla pojmano dziś wieczorem, a Emery i Nicholas zaczęli mówić. Draper też wyznał więcej niż podczas pierwszego przesłuchania. Doprawdy tak się przestraszył na myśl o tym, co mu mogą zrobić za poprzednią powściągliwość, że wygadał wszystko, co wiedział. A dzisiejszy dzień dostarczył im ewidentnego dowodu na to, że Clarenceux i Rebecca Machyn działają wspólnie.

Kluczowym tropem w tej sprawie są daty, to nie ulegało wątpliwości. Dotychczas udało mu się zdobyć trzy. Drapera – szesnasty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego dziewiątego; Nicholasa Hilla – piętnasty czerwca pięćdziesiątego drugiego i Emery’ego – dwudziesty pierwszy czerwca pięćdziesiątego ósmego. W sumie było ich dziewięć. Jeśli Lowe i Michael

Hill puszcza farbę, nadal będzie potrzebował czterech, aby odczytać informacje zawarte w kronice. Zgodnie z tym, co powiedział Draper.

Sześciu Rycerzy aresztowanych, w tym jeden nie żyje. Znam nazwiska trzech pozostałych: Gytens, Heath i Clarenceux.

Położył się na boku. Był pewien, że coś mu umyka, coś oczywistego. Clarenceux nie może zebrać wszystkich Rycerzy, aby poznać ich daty, ale Walsingham owszem. Nawet jeśli nie znajdzie Gytensa ani Heatha, to nie ma znaczenia, wystarczy, że dopadnę Clarenceux, on będzie je znał. Prawdopodobnie już do nich dotarł.

Przewrócił się na drugi bok. Gdybym tylko mógł obejrzeć kronikę. Czy daty odsyłają do fałszywych wpisów? To by miało największy sens: kronika pełna faktów, lecz usiana fałszywymi opisami, które dadzą wskazówkę, jak wznieść bunt. Genialne. Gdyby nasz szpieg nie przysłał w porę wiadomości z Edynburga, żeby Crackenthorpe ochronił Drapera przed zabójcą, niczego byśmy się nie dowiedzieli.

Znów się obrócił. Lecz kim jest kobieta, którą Draper określił jako „jaśnie panią”? Niemożliwe, żeby to była żona Machyna, prawda?

50

Rebecca czekała w ciemności przy drzwiach domu swego brata, kiedy rozległ się krzyk.

– Stój! Nie ruszaj się!

Zaskoczona o mało się nie przewróciła, nogi i ręce zrobiły jej się nagle ciężkie jak z ołowiu. Co począć?

Skądś dochodziły odgłosy walki. Coś metalowego uderzyło o kamień, ktoś zawołał:

– Ściągnijcie go stamtąd!

A potem zaległa cisza, przerywana od czasu do czasu pojedynczym trzaskiem.

Chryste, dopomóż! Obiecałam panu Clarenceux, że zawrócę drogą, którą przyszlismy, ale on mnie potrzebuje. Gdzie jest Robert? Muszę go obudzić, on może nam pomóc. Wtedy jednak zaświtało jej w głowie, że próżno oczekiwałyby pomocy brata, skoro nie wyszedł nawet z domu, aby sprawdzić, co za krzyki słyszą na jego podwórzu. Bez względu na to, co mu zrobili, czy go zabili, czy gdzieś związali, jest zdana tylko na siebie.

Minęła kolejna minuta, a Rebecca stała bez ruchu, jakby czekała, aż Clarenceux wykuśtyka z ciemności po zwycięskiej walce. Lecz na ulicy panowała cisza. Wracaj tą samą drogą, którą tu przyszłaś, powiedziała sobie. Nic więcej nie zdasz. Obiecałaś, że tak zrobisz. Mimo to nadal nie ruszała się z miejsca. Wracać? Po co? Żeby przymierać z głodu

i czekać, aż zawłoką Clarenceux do... Nawet nie wiem dokąd. Do Tower. Albo do domu Walsinghama. Muszę się przynajmniej dowiedzieć, dokąd go zabiorą.

Nagle brama od podwórza otworzyła się z hukiem. Rozległy się pospieszne kroki na śniegu i jakieś cienie ruszyły w jej kierunku. Przyłgnęła do ściany domu, modląc się, aby jej nie zauważyli.

A potem znikli na zaśnieżonej uliczce prowadzącej na zachód.

W końcu, trzęsąc się i obejmując ramionami przed zimnem, trafiła z powrotem do stajni. Kiedy znalazła drabinę i zaczęła wchodzić na strych, chowała jeszcze w duchu nadzieję, że jakimś cudem heroldowi udało się uciec i czeka na nią na górze. Nie czekał. Nie czekało tu na nią nic, co by ją mogło pocieszyć, poza sianem, na którym niedawno leżeli.

51

Pierwszym sygnałem niebezpieczeństwa był zapach dymu węglowego, roznoszący się w ciemności. Clarenceux przystanął. Nagle ktoś chwycił go z tyłu i przyłożył mu nóż do gardła.

– Ani drgnij, jest nas tu czterech – syknął napastnik.

Clarenceux nie próbował walczyć, ostrze naciskało na jego tchawicę. Wyczuł obecność innych mężczyzn wychodzących z budynku w głębi podwórza. Kątem oka zauważył blask: podpalili kuźnię.

– Gdzie kobieta?

– Uciekła z domu przy Basinghall Street. Od tamtej pory jej nie widziałem.

– Łżesz – warknął obcy głos. Ale ponieważ i tak mało już brakowało, by poderznął heroldowi gardło, niewiele mógł więcej zrobić, aby zmusić go do mówienia prawdy. – Związać go. Zabierzemy go prosto do sierżanta.

Clarenceux czuł, jak rozpływa się jego ostatnia szansa ucieczki. Usiłował sobie przypomnieć rozkład podwórza, który pamiętał ze swej poprzedniej wizyty, kiedy po omacku szukał przejścia na tę stronę murów. Pamiętał furtkę w ścianie i niski dach kuźni. Był też kamienny zbiornik z wodą. Ostra krawędź sztyletu cały czas naciskała na jego gardło, drugi mężczyzna próbował związać mu dłonie za plecami. Jeśli mu się uda, Clarenceux może się uważać za trupa, którego od szafotu dzielą tylko tortury w wilgotnym lochu.

– Na litość boską, trzymaj ręce nieruchomo, człowieku.

Clarenceux wyczuł, że mężczyźni są zmęczeni i zdenerwowani. Jeszcze raz lekko się poruszył, a wtedy jego palce musnęły rękojeść broni wystającej żołnierzowi zza pasa.

Panie Boże, miej mnie w swojej opiece.

W jednej chwili stał z uniesioną brodą i głownią przytkniętą do gardła, a w następnej niespodziewanie skręcił się i przykucnął. Ostrze rozcięło mu policzek, lecz udało mu się chwycić i wykręcić dłoń ściskającą sztylet. Potem rzucił się na mężczyznę trzymającego sznur i chwycił rękojeść, którą wyczuł pod palcami. Niestety okazała się jelicem długiego sztyletu, a liczył na miecz. Dźgnął ciemność na oślep, mierząc w niewidoczne ramię przeciwnika, i natychmiast usłyszał krzyk bólu. Na moment stracił równowagę i runął do przodu razem z dwoma zaatakowanymi mężczyznami, lecz zdołał się od nich odbić i pobiec w stronę kuźni. W bladej czerwonej poświacie widział kontury beczki z wodą oraz niski dach. Postawił stopę na beczce, podciągnął się i przeszedł po ośnieżonym goncie na środek dachu, gdzie śnieg stopniał od żaru płonącej kuźni.

– Ściągnijcie go stamtąd! – wrzasnął jeden z mężczyzn, kiedy Clarenceux wyteżał wzrok, rozglądając się po okolicy.

Dwa cienie wdrapywały się za nim na dach, przed nim krawędź pokruszonego miejskiego muru pokrywała warstwa lodu. Uznał, że to najlepsza droga ucieczki, przynajmniej dopóki nie będzie musiał odwrócić się i walczyć.

Nie złapią mnie. Nie pozwolę po raz drugi zrobić z siebie więźnia. Będą musieli mnie pokonać, jeśli chcą pojmać mnie żywego.

Byli tuż za nim. Stawiał niepewne kroki na śliskim goncie. W końcu dłońmi w rękawicach uchwycił się krawędzi muru i spróbował się podciągnąć, lecz nie udało mu się dosięgnąć ramionami szczytu i osunął się

z powrotem. Kopnął pierwszego ze ścigających go mężczyzn, który stracił równowagę i stoczył się z dachu w ciemność. Pozostało dwóch, widział ciemne kształty sunące w jego stronę na białoburym tle dachu. Odwrócił się i ze sztyletem w dłoni przygotował się na spotkanie.

Miał nad nimi przewagę, ponieważ mur za plecami zapewniał mu oparcie. Lecz oni mogli mieć miecze, a sztylet w jego dłoni nie dodawał mu wiele kurazu.

Zawahali się. Czuli się niepewnie na oblodzonym spadzistym dachu naprzeciw uzbrojonego mężczyzny. Mam za plecami mur, pomyślał, oni mnie nie widzą, nawet zarysu sylwetki. Lewą dłonią jął obmacywać mur, szukał jakiegoś zagłębienia między kamieniami, gdzie zaprawa murarska była ukruszona. Boże, błagam! Za chwilę zaatakują. Jego dłoń trafiła na wystający gwóźdź. Idealny.

Bez chwili zastanowienia odwrócił się i podskoczył, opierając lewą stopę na gwoździu, a dłoń na krawędzi muru. Gwóźdź wytrzymał. Dopiero teraz żołnierze go usłyszeli i zobaczyli jego postać na tle zmrożonego śniegu.

– Włazi na mur! – krzyknął jeden, podbiegając i próbując go dźgnąć mieczem, lecz Clarenceux wspiął się właśnie na mur i wyprostował. – Idzie do Aldersgate!

Trochę czasu zajęło żołnierzom znalezienie wystającego gwoźdźdź. Kiedy im się w końcu udało, zasapany Clarenceux miał już nad nimi pół minuty przewagi. Szczyt muru był pokruszony i nierówny, przysypany warstwą śniegu. Wsunął sztylet za pas, aby uwolnić obie ręce, których potrzebował do utrzymania równowagi. Potknął się kilkanaście razy, zanim dotarł do narożnika i skręcił na południe. Ostatnio nikt tędy nie chodził. Co rusz zaczepiał nogą o popękane kamienie. W niektórych miejscach brakowało płaskich kamiennych płyt, które pokrywały powierzchnię muru, i nogi herolda zapadały się w przysłonięte śniegiem dziury. Zaklął, bo

właśnie stopa ugrzęzła mu w kolejnym otworze, a ostre krawędzie kamieni zraniły go w łydkę. Jak tak dalej pójdzie, to złamię sobie nogę, pomyślał. Podniósł się i znów ruszył przed siebie.

Szedł dalej przemoczony, zdyszany, z trudem chwytając oddech w lodowatym nocnym powietrzu. Po minucie obejrzał się za siebie. Z początku nikogo nie zauważył, dopiero po chwili się zorientował, że żołnierze czekali, aż ich towarzysz przyniesie lampę; mniej więcej sto kroków w tyle na zwieńczeniu muru zobaczył blade światło.

Po dziesięciu minutach uciążliwej wędrówki po ośnieżonych kamieniach przystanął i spojrzał przed siebie, dysząc ciężko. Zobaczył załom muru przy Noble Street. Za nim wznosiła się ciemna iglica kościoła Świętej Anny. Usłyszał krzyk od strony Aldersgate i po chwili zobaczył na murze płonące pochodnie wyłaniające się z wartowni. Upadł na duchu. Któryś ze strażników w domu kowala musiał pobiec z wiadomością. Zamknęli mnie w pułapce. Muszę koniecznie zejść na dół.

Pobiegł jak najszybciej do załomu, gdzie mur skręcał ostro w prawo, na zachód, a pięć kroków dalej znów zawracał na południe. Jeśli będę dłużej zwlekał, zobaczą, gdzie zeskoczyłem. Przeżegnał się, usiadł, spuścił nogi za krawędź muru. Wiedział, że czeka go upadek z wysokości dwudziestu stóp. Ułożył dłonie po obu stronach załomu i już zaczął się opuszczać, kiedy usłyszał ścigających go ludzi. Znieruchomiał, wisząc na rękach, a tymczasem ludzie od strony kuźni zbliżali się szybko do miejsca, gdzie przed chwilą stał. Jeśli teraz zeskoczę, na pewno mnie usłyszą. Ale nie mógł tak dłużej wisieć, dłonie w rękawiczkach ześlizgiwały się po oblodzonej powierzchni.

Spadł. Zamierzał się przetoczyć po upadku, lecz z góry nie mógł należycie ocenić wysokości i upadł na plecy, aż zaparło mu dech w piersi. Leżał na miękkim śniegu na podwórzu jakiegoś domu i rozpaczliwie łapał

powietrze, modląc się zarazem, aby udało mu się wydostać na ulicę. Podniósł głowę. Pochodnie zbliżały się na murze, nad jego głową stali strażnicy; musiał natychmiast stąd uciekać. Dźwignął się na nogi i jął się przedzierać między niewidocznymi przeszkodami w stronę płotu.

– Tam! Widzę go na śniegu! Tam w dole!

Clarenceux walił pięścią w płot, z nadzieją, że trafi na furtkę lub drzwi, lecz na próżno. Za to płot miał zaledwie sześć stóp wysokości. Wziął głęboki oddech, złapał się szczytu i podskoczył. Podciągnął się, wyprostował łokcie, przerzucił kolejno nogi na drugą stronę i zeskoczył na ziemię w tej samej chwili, kiedy pod murem wylądował pierwszy żołnierz.

Przebiegł przez następne podwórze. Na śniegu ciągnęły się koleiny po kołach wozu. Gdzieś tu musiała być brama. Dotarł do kamiennego muru i zaczął obmacywać go w ciemności. Jest! Zamknięta, ale gdzieś tu musi być rygiel... gdzieś tutaj... gdzie? Znalazł go na wysokości głowy, otworzył i wypadł na ulicę, podczas gdy pierwsi strażnicy przeskakiwali właśnie przez płot.

Wiedział, gdzie jest. Przebiegł na drugą stronę Noble Street, skręcił w małą alejkę i puścił się nią najszybciej, jak mógł. Niedaleko stąd była stajnia, gdzie odpoczywali z Rebeccą. Ona pewnie już tam czeka, musi odwieść pościg od tego miejsca.

Skręcił w prawo w następną uliczkę i poślizgnął się na lodzie. Tymczasem jeden z mężczyzn wybiegł właśnie zza rogu i zobaczył na śniegu jego sylwetkę. Clarenceux poderwał się na równe nogi i skoczył przed siebie, wyciągając zza pasa sztylet i chwytając go w gotowości do ataku. Napastnik już go prawie doganiał, gdy herold odwrócił się raptownie, i pchnął nożem przed siebie. Trafił go w rękę czubkiem ostrza, potem przeciął powietrze tuż przed jego twarzą i zahaczył o nos. Znowu

puścił się biegiem, skręcił w następny zaułek, zmierzając z powrotem w stronę Wood Street.

Dzięki skutecznemu atakowi zyskał kilka cennych sekund, lecz zatrzymując się raptownie i odwracając w pędzie, znów nadwreżył chore kolano i wiedział, że wkrótce musi odpocząć. Wtedy mnie otoczą, myślał gorączkowo. Muszę się gdzieś ukryć. Wykorzystać ciemność i zniknąć.

W mroku zamajaczył kościół, a przed nim rozpościerała się połać jaśniejszej ziemi. Clarenceux wiedział, że to kościół Świętego Piotra, a jasny fragment gruntu to przykościelny cmentarz położony od północy. Skręcił w uliczkę, która biegła równoległe do nekropolii, i dziesięć kroków dalej przylgnął do ciemnej ściany domu stojącego przed zaśnieżoną otwartą przestrzenią. Trzymał sztylet w pogotowiu.

Ostrożnie przesuwiał się wzdłuż muru, lecz po chwili znieruchomiał, słysząc, że ścigający go mężczyźni dobiegają do zakrętu.

– Tutaj skręcił – powiedział jeden z nich.

Clarenceux słyszał swój ciężki oddech. Zorientował się, że dwaj żołnierze idą w jego stronę, lada moment wyczują jego obecność. Najciszej, jak mógł, cofnął się głębiej w mrok, przygryzając wargę, starając się uspokoić ciężko falującą pierś. W murze za plecami wyczuł szczelinę i ukrył się za załomem. W zaułku było jeszcze ciemniej, ponieważ górne piętra budynków wystawały ponad front parteru i zasłaniały nawet światło gwiazd. Spadło tu też niewiele śniegu, który zmieszał się z błotem.

Clarenceux przekradał się w głąb uliczki, dopóki jego dłoń za plecami nie trafiła na drewno. Za nim stała beczka z zamrożoną wodą. Jeśli spróbuje ją okrążyć, mogą go zauważyć. Widział sylwetki żołnierzy u wylotu uliczki zarysowane w słabym blasku gwiazd, pięć kroków od niego. Szli w jego stronę, jeden badał mieczem głębokie cienie.

Bardzo powoli Clarenceux przykucnął z plecami przyciśniętymi do beczki.

– I jak myślisz? – szepnął jeden z mężczyzn do drugiego.

– Musi gdzieś tu być – odpowiedział ten z mieczem. – Ty idź lewą stroną, ja pójdę prawą.

Clarenceux wytężał wzrok, aby przeniknąć ciemność. Żołnierz z mieczem wywijał nim wzdłuż rynsztoka, szukając herolda w głębokich cieniach na poboczu ulicy. Clarenceux był pewien, że go nie widzą, ale szli prosto na niego. Słyszał, jak ostrze szoruje po murze i dźga kamienie na ziemi. Cień mężczyzny zbliżał się coraz bardziej. Nie pozostawiał mu wyboru.

Walka jest nieunikniona.

Czekał. Kiedy miecz zatoczył łuk w jego stronę, poderwał się, zrobił jeden bezgłośny krok w przód i pchnął mocno sztyletem w gardło, aż długie ostrze przebiło język, podniebienie i utkwilo w czaszce. Mężczyzna nie zdążył nawet krzyknąć ani nabrać powietrza. Pół sekundy po tym, jak uprzytomnił sobie, że herold rzeczywiście ukrywa się w cieniu, wyzionął ducha, a z jego ust i szyi trysnęła spieniona krew. Clarenceux wyciągnął sztylet. Próbował złapać ciało, lecz było za ciężkie i już osuwało się w tył. Miecz upadł bezgłośnie w zamarzniete błoto ze śniegiem, lecz zwłoki głucho zadudniły o lód.

– Roger? – zawołał przestraszony mężczyzna.

Clarenceux schylił się powoli i pomacał ziemię, szukając upuszczonego miecza. Podniósł go, przerzucił sztylet do lewej ręki. W cieniu budynków po drugiej stronie uliczki niczego nie widział.

Kroki żołnierza zachrzęściły na zamarznietym błocie. Po chwili umilkły.

– Jest tutaj! – zawołał strażnik do swoich towarzyszy kręcących się przy kościele. Odsunął się od zwłok. – Gdzieś tu się chowa.

Clarenceux obserwował, jak przechodzi na drugą stronę uliczki i niknie w ciemności. Nasłuchiwał uważnie, czy przeciwnik się porusza, ale nic nie usłyszał. Najwyraźniej nie zamierzał go szukać.

Jeśli jeszcze raz krzyknie, będę miał na karku trzech wrogów, jeśli podejmę walkę z tym, skończy się na jednym.

Nie miał wyboru. Ukrywanie się w jednym miejscu było niebezpieczne, skoro wiedzieli, gdzie go szukać. Wystarczy, że zamkną uliczkę z obu stron i zaczekają do świtu. Zaczął się po cichu przekradać. Tamten go nie widział. Kiedy oddalił się jeszcze kilka kroków, Clarenceux błyskawicznie przebiegł na drugą stronę i czekał, nasłuchując.

Po minucie jął powoli i bezszelestnie skradać się z powrotem w stronę wylotu uliczki. Niebawem zobaczył niewyraźny ciemny kształt żołnierza, skulonego nisko na wysokości nieruchomych zwłok. Po chwili on również przebiegł przez ulicę i ukrył się w cieniu naprzeciwko Clarenceux.

– Szybko, on gdzieś tu jest! – krzyknął znowu.

Był tchórzem, postanowił czekać na pomoc. Nie widział herolda, więc Clarenceux miał teraz okazję do ucieczki. Zaczął się wycofywać, uważając, czy nie nadchodzą następni żołnierze. W końcu odwrócił się i szybko, lecz cicho pobiegł do drugiego wylotu uliczki, zostawiając przeciwników, by w najlepsze, drżąc o życie, przeszukiwali cienie, podczas gdy on będzie już daleko.

52

Mniej więcej półtorej godziny brakowało jeszcze do świtu, kiedy Clarenceux otworzył drzwi do stajni. Nasłuchiwał. Z góry nie dochodził żaden odgłos. Po omacku znalazł drabinę, zaczął wchodzić na górę, lecz zatrzymał się w połowie, by zapytać szeptem:

– Jesteście tam?

Usłyszał ruch.

– Och, Bogu niech będą dzięki! Usłyszałam odgłosy walki na podwórzu i wróciłam tutaj, jak kazaliście. Jesteście ranni?

– Jeszcze bardziej poobijany, ale poza draśnięciami na twarzy i ramieniu ta cała krew, którą widać, nie jest moja.

– A czyja? – spytała, kiedy doszedł do szczytu drabiny.

– Jednego z żołnierzy Crackenthorpe’a.

Przypomniał sobie tamten moment. To było bezlitosne zabójstwo, dokonane z zimną krwią, chociaż technicznie bez zarzutu. Czuł do siebie wstręt, był heroldem, na miłość boską, nie katem.

Schylił się, obmacał siano i zanurzył się w jego miękkie ciepło.

– Pani Machyn, nie możemy tego dłużej ciągnąć. Crackenthorpe wie, że jesteśmy razem. Wśród Rycerzy panuje zamęt, są bezradni i zagubieni, nie potrafią pomóc nawet sobie samym. Musimy wydostać się z miasta.

Przysunęła się do niego i ułożyła obok.

– Przecież właśnie próbujemy to zrobić. Po to poszliśmy do mojego brata.

– Pewnie tak. Chcę się tylko wydostać z tego miasta, byle jak najdalej od...

Rebecca z niepokojem wychwyciła w jego głosie rozpaczliwą nutę. Nigdy do tej pory nie słyszała u niego takiego zmęczenia i zniechęcenia. Jeśli wcześniej przychodziły mu do głowy takie myśli, to nie dawał im wyrazu w jej obecności. Zawsze starał się być przy niej silny. Teraz jej kolej, by wykazać siłę, wyrwać go z otchłani wątpliwości.

– Kiedy tu na was czekałam, zastanawiałam się nad imionami Rycerzy.

– I co wam przyszło do głowy?

– Nic, tylko pewien pomysł. Może w imionach zostało zaszyfrowane jakieś słowo.

– Czemu tak uważacie?

– Pytaliście kiedyś, czemu było dwóch sir Reynoldów zamiast jednego Galahada czy Gawaina. Albo Mordreda. Może dlatego, że słowo, którego potrzebował Henry, wymagało dwóch „R”.

Dla Clarenceux nie brzmiało to przekonująco.

– Uważacie, że mógł tak uczynić? Czy to do niego podobne?

– Nie mniej niż wszystko inne, co mi przychodzi do głowy.

– Więc jakie litery uzyskamy, jeśli zbierzemy razem wszystkie imiona?

– Lancelot Heath, czyli „L”. Wy i Henry to „C” od króla Clariance’a. Michael i Nicholas Hillowie to Ector i Reynold, czyli E i R. Mamy D z Dagoneta, drugiego Reynolda i Yvaina. Więc...

– L, C, E, R, D, R, Y – powtórzył. – Za mało samogłosek.

– Pozostałe imiona mogą zawierać samogłoski. Na przykład Artur mógłby dać A.

– Lecz dziwne by było, gdyby ktoś inny przyjął imię króla Artura, skoro sir Arthur Darcy, jeden z założycieli bractwa, został zaledwie sir Reynoldem.

– Więc jeśli nie A, to może U? Na przykład król Uther? Myślicie, że to też powinniśmy odrzucić?

– Myślę, że nie uda nam się tego odgadnąć. Gdyby było A, jedno ze słów mogłoby brzmieć Darcy, ale kto to może wiedzieć? Nie wiadomo nawet, czy chodzi o pierwsze litery imion. Musimy zajrzeć do kroniki.

Środa, 15 grudnia

Zaczęło świtać. Brzask wkradł się do stajni przez szczeliny wokół drzwi i otworami pod okapem. Jeden z koni poruszył się i zaczął szukać paszy. Jego sąsiad też się obudził i zarżał.

Na strychu Clarenceux otworzył oczy, zamrugał i się rozejrzał. Dźwignął się na łokciu. Rebecca spała obok niego. Patrzył, jak porusza się niespokojnie we śnie, jak część jej umysłu czuwa i nawet teraz nasłuchuje sygnałów do alarmu. Ale dźwięk kopyt nie wystarczył, aby ją zbudzić, przywykła bowiem do odgłosów stajni.

Popatrzył na jej zamknięte oczy, nadające twarzy łagodny wyraz głębokiego spokoju. Popatrzył na jej brązowe włosy, na białą szyję, na pieprzyk na policzku. Poruszyła go jej uroda. Kiedy spała, mógł się jej przyglądać do woli. A jednak nie była tą samą kobietą co za dnia. Gdyby się teraz zbudziła, miałby wyrzuty sumienia.

Nagle na dworze ktoś zakaszał. Zatrzeszczały drzwi do stajni, czyjaś niedbała dłoń pociągnęła za skobel.

Clarenceux błyskawicznie poderwał się na kolana i sięgnął po miecz, który zabrał zabitemu żołnierzowi. Podniósł go i przyczaił się w gotowości, nasłuchując odgłosów na dole i pomruków budzącej się Rebekki. Podczołgał się do przodu i wyjrzał na dół.

Rebecca wydała zduszony okrzyk. Kiedy się odwrócił, aby dać jej znak, żeby była cicho, zobaczył, że patrzy nań rozszerzonymi oczami.

– Matko przenajświętsza – wyszeptała.

Odwrócił się z powrotem w stronę stajni i obserwował, co się dzieje. Do środka wszedł mniej więcej dwunastoletni chłopiec. Poklepał pierwszego konia i podał mu z ręki garść owsa.

– Panie Clarenceux, popatrzcie tylko na siebie – powiedziała szeptem Rebecca, dotykając jego ramienia.

Clarenceux spojrział w dół. Jego szuba posklejała się od wielkich brązowych smug zaschniętej krwi. Dłonie miał podrapane i również zakrwawione, odzienie podarte, wielkie dziury i pęknięcia biegły aż do nóg. Co do twarzy, to mina Rebekki powiedziała mu wszystko. Malec zacznie wrzeszczeć, kiedy zobaczy mnie w takim stanie, pomyślał.

Odsunął się od drabiny.

– Chłopiec, który przyszedł do stajni, nazywa się Philip – powiedział również szeptem. – To syn Toma Griffithsa, handlarza skór. Powiedzcie mu, że tu jestem i że jestem ranny. Potrzebujemy jego pomocy.

Słyszając kroki na drabinie, chłopak przestraszony upuścił wiadro, które trzymał w ręku, i szybko się cofnął. Na widok kobiety zmieszał się jeszcze bardziej.

– Philipie – powiedziała Rebecca, schodząc ostrożnie z drabiny.

Malec uciekł na drugi koniec stajni. W świetle wpadającym przez małe okienko zauważyła, że ma jasne kręcone włosy.

Nie odpowiedział. Rzucił w stronę drzwi niespokojne spojrzenie, lecz Rebecca stała bliżej wejścia niż on.

– Nie bój się – rzekła. – Na górze leży przyjaciel twego taty. Jest ranny. Znasz go? To bardzo ważna osobistość, nazywa się William Harley, Wielki Herold Clarenceux.

Chłopak znowu zerknął w stronę drzwi. Rebecca czuła, że w każdej chwili może uciec do wyjścia. Czekała, obserwując jego oddech.

– Czy panu Clarenceux grozi niebezpieczeństwo? – spytał po długiej chwili.

Rebecca skinęła głową.

– Ścigają go ludzie, którzy chcą go zabić. Potrzebuje twojej pomocy, aby się umyć i przebrać w czyste ubrania, nie muszą być nowe, żebyśmy tylko mogli wydostać się z miasta. Czy mógłbyś to dla nas zrobić?

Chłopiec wahał się długo, w końcu powiedział:

– Za pozwoleniem pani, zapytam ojca.

Rebecca nie była zachwycona, lecz nie miała wyjścia. Cofnęła się, a wtedy malec niepewnym krokiem podszedł do drzwi i zniknął na podwórzu. Ich los spoczywał teraz w rękach ojca tego chłopca, handlarza skór Toma Griffithsa. Jeśli człowiek ten przedkładał własne bezpieczeństwo nad przyjaźń herolda, mogli pożegnać się z życiem. Będą tu czekać, aż zjawią się strażę.

Wróciła do drabiny i weszła na górę. Clarenceux kucał w małej plamie światła i opatrywał sobie rany. Podniósł na nią wzrok.

– Poszedł sprowadzić ojca – poinformowała go.

Skinął głową i spojrzał w dół. Patrząc na nią, nie potrafił ukryć niepokoju. Rebecca wyczytała go z jego twarzy. I niepokój odbił się na jej własnym obliczu.

Znowu otworzyły się drzwi stajni. Usłyszeli ciężkie kroki na drabinie. Clarenceux zerknął w stronę miejsca, gdzie pod sianem ukrył miecz. Jeśli dojdzie do najgorszego, będzie walczył, może uda mu się choć na chwilę ich zatrzymać i Rebecca zdoła uciec.

Następny krok, i jeszcze jeden. Na szczycie drabiny pokazała się wąsata twarz Toma Griffithsa. Mężczyzna zauważył przyczajonego w sianie

Clarenceux i stojącą obok Rebecę, po czym wspiął się po ostatnich szczebelkach.

– Mój chłopak powiedział, że macie kłopoty.

Clarenceux nie miał pojęcia, jak zakończy się to spotkanie.

Nie wiedział, jaką religię wyznaje Griffiths. Znał go z Gildii Skórników, a także stąd, że jego rodzina wynajmowała jeden z jego domów. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak ten szorstki w obejściu, zacięty tradycjonalista postanawia oddać go w ręce władz.

– Panie Griffiths, znalazłem się w opałach. Pewnej nocy w zeszłym tygodniu przyszedł do mnie człowiek, którego znałem od wielu lat, i poprosił mnie o pomoc. Naturalnie zrobiłem co w mojej mocy, lecz człowiek ten był zamieszany w sprawę, która ściągnęła na mnie uwagę królewskiego sierżanta. Nie wiem, co to za sprawa, próbuję się tego dowiedzieć, lecz żołnierze sierżanta obrócili mój dom w perzynę i zabili mego służącego, jedenastoletniego chłopca. Ten sam człowiek zamęczył męża tej kobiety na śmierć. W nocy urządzono na mnie obławę, udało mi się zbiec, w rozpaczy schroniłem się tutaj. Muszę opuścić miasto i na jakiś czas się ukryć. Potrzebuję czystych ubrań i miednicy z wodą.

Griffiths myślał dłuższą chwilę.

– Zostawiliście ślady. Nie tylko odciski stóp, ale plamy krwi. Przyprowadzą ich prosto do tej stajni.

– Bardzo mi przykro. Proszę was o wybaczenie, panie Griffiths.

Mężczyzna milczał.

– Przysporzyliśmy wam kłopotu, nie będę się wam dłużej naprzykrzał – powiedział Clarenceux, czując, że Griffiths jest nieskory do pomocy. Zaczął się podnosić.

– Wysłuchajcie mnie wpierw, zanim pójdziecie. Wiem, że nie musicie tu przychodzić, aby sprawdzać domy. Królewski komornik i tak by pobrał te

same dwa funty i pięć szylingów za każdy kwartał, a wy byście je dostali, nawet gdyby za grosz was nie obchodziło, w jakim stanie są budynki. Ale przychodzicie je sprawdzać i przysyłacie ludzi, żeby naprawiali uszkodzenia. Dbacie o nas bardziej niż komornik. Może robiliście to wszystko po to, żeby mieć dzisiaj gdzie się schronić, ale podstarszym gildii też jesteście dobrym, więc zawrę z wami umowę. Mam młodą rodzinę i nie przelewa nam się. Co kwartał z trudem płacimy czynsz. Jeśli zamiast dać wam czyste ubranie, wywożę was z miasta wozem garbarskim, ile to będzie dla was warte?

– Wozem garbarskim?

Clarenceux omal nie wybuchnął śmiechem na tę odstręczającą myśl, po chwili jednak zrozumiał, że to doskonały pomysł. Nikt nie będzie podejrzewał, że ukrywają się na wozie pełnym cuchnących skór i futer.

– Musimy przedostać się przez most, do Southwark.

– Przewiozę was przez most. Myto za pełny wóz wynosi trzy pensy.

Clarenceux popatrzył na Rebeccę. Była zdenerwowana, ale wzruszyła ramionami, jakby mówiąc: jaki mamy wybór?

Poszperał w kieszeni, wyjął sakiewkę, którą zabrał z gabinetu Drapera, i zajrzał do środka.

– Półroczny czynsz. Cztery funty i dziesięć szylingów.

– Niech będzie pięć funtów.

– Płatne, kiedy dowieziecie nas na podwórze gospody Pod Dzwonem w Southwark.

– Umowa stoi, panie Clarenceux.

54

Lady Percy, wdowa po hrabim Northumberland, miała około sześćdziesięciu lat. Z bladej twarzy, głęboko pooranej zmarszczkami, nie schodził wszechobecny mars. Siedziała bez ruchu na masywnym koniu w parku swego majątku Sheffield. Ziemię, drzewa i krzewy pokrywał delikatny szron. Nie odrywała spojrzenia małych błyszczących oczu od martwego królika, który leżał przed nią na ziemi. Królika upuścił na ziemię jastrząb gołębiarz, a ponieważ pozwolono mu pożreć ofiarę, wydziobał wpierw dziurę w czaszce i wyjadł mózg. Następnie zabrał się do pozostałej części głowy i górnej połowy ciała. Kiedy skończył, obrócił truchło do góry łapami i zaczął wyrywać kępki futra, które rozrzucał dookoła. Teraz wydziobywał dziury w udkach ptaka. Od czasu do czasu podnosił głowę i rozglądał się, przenosząc spojrzenie czerwonych oczu z jednego punktu krajobrazu na inny.

Lady Percy stała nieruchomo i obserwowała zafascynowana.

Kątem oka zauważyła jeźdźca, lecz on mógł zaczekać. Służący mieli rozkaz jej nie przeszkadzać. Domyślała się, kim jest jeździec i w jakiej sprawie przyjechał.

Dzisiaj jastrząb nie był głodny i szybko stracił zainteresowanie jęzieniem. Zatrzepotał nagle potężnymi skrzydłami i odfrunął. Hrabina skinęła ręką na sokolnika i zawróciła konia w stronę rezydencji, aby się spotkać z gościem.

*

Nikt się do niej nie odzywał, dopóki nie zsiadła z konia i nie weszła do domu. Służący za dobrze znali jaśnie panią, aby w ten sposób się narażać; gość również zrozumiał i czekał na odpowiedni moment, obserwując, jak hrabina wchodzi do wysokiego holu i dopiero wtedy odwraca się, aby go formalnie przyjąć.

– Pani, ten człowiek zapowiedział się jako sir Parsifal.

– Nie wątpię – odparła hrabina, po czym spojrzała na gościa. – Wasz przyjazd oznacza złe wieści.

– Zaiste, jaśnie pani hrabino – odrzekł sir Parsifal, kłaniając się i zdejmując opończę.

Był wysokim szczupłym mężczyzną około czterdziestki, ze starannie przystrzyżoną brodą i twarzą o ostrych rysach, które znamionowały człowieka bystrego. Spojrzenie miał nie surowe, ale i nie dobrodusze, usta ściągnięte, jakby nieustannie rozmyślał o śmiertelnie poważnych sprawach.

– Kiedy wyjechaliście z Londynu?

– W niedzielę późnym rankiem.

– Musimy porozmawiać na osobności – oznajmiła, po czym odwróciła się do służących, którzy zebrali się w holu.

– Wasza obecność jest zbędna.

Obróciła się na pięcie, weszła na podest i skierowała się w stronę szerokich, biegnących łukiem schodów.

Znaleźli się sam na sam w ustronnym pokoju przylegającym do buduaru, z jednym tylko miejscem do siedzenia – dużym drewnianym tronem, na którym spoczęła lady Percy. Poza gobelinami na ścianach i skrzynią stojącą za fotelem w pokoju nie było żadnych mebli.

– O której umarł?

– Tego nie wiem, pani. Wyjechałem z Londynu, gdy tylko otrzymałem potwierdzenie od człowieka lady Barker.

– Ale nie ma wątpliwości, że przekazał kronikę swemu następcy?

– Tak, pani. Królowi Clariance’owi.

– To już jest coś.

Lady Percy postukała palcami w poręcz tronu.

Mężczyzna stojący przed nią był pewnego rodzaju łącznikiem, Rycerzem, którego imienia nie znał nikt inny i który miał za zadanie informować ją, kiedy kronika zmieniała właściciela. Zgodnie z pierwotnym planem powinien teraz wrócić do Londynu i ujawnić się królowi Clariance’owi, lecz ponieważ spisek został odkryty, było to zbyt niebezpieczne.

– Zakładam, że jak dotąd nie ujawniliście swojej tożsamości?

– Nie. Nowy król Clariance nic o mnie nie wie.

Lady Percy wstała i podeszła do okna.

– Decyzja o tym, co należy dalej czynić, jest niezwykle trudna. Plan zakładał wyznaczenie odpowiedniego czasu do działania, lecz nikt się nie zastanawiał, jak sobie radzić w wypadku zdrady. Zakładam, że rozumiecie, co się stało?

– Nie całkiem, pani.

Chodząc, hrabina starannie ważyła każde wypowiedane słowa.

– Jednego z Rycerzy, sir Dagoneta, którego prawdziwe imię i nazwisko brzmi William Draper, podsłuchano, kiedy rozmawiał na temat bractwa z przedstawicielem królowej Marii Szkockiej w Holyrood. Świadcami było wiele osób, z których jedna okazała się szpiegiem królowej Elżbiety, był to człowiek nazywany Woodem. Wygląda na to, że Draper rozpowiadał o kronice Henry’ego Machyna. Jak wiecie, jeden Rycerz może wyrządzić bractwu niewielką szkodę, dzięki czemu zresztą nadal ono istnieje. Jednak

zbadawszy tę sprawę bliżej, dowiedziałam się, że Wood natychmiast opuścił Szkocję, a Draper pojechał za nim do Londynu. Ponieważ nie było wątpliwości, że Wood przekaze wieści królowej, postanowiłam wyeliminować Drapera, aby zapobiec jego przesłuchaniom. Nie mieliśmy czasu do stracenia, uznałam, że sprawa jest najwyższej wagi. Wysłałam swojego człowieka, zaopatrując go w odpowiednie instrukcje: miał mi odesłać pewien pistolet, kiedy Draper zginie. Nie muszę dodawać, że pistolet nie wrócił.

Sir Parsifal skinął głową. Dopiero teraz zrozumiał w pełni, jakie okoliczności naraziły spisek na niebezpieczeństwo.

– W piątek Henry Machyn powiedział mi, że jeszcze tego wieczoru zamierza przekazać kronikę. Wiedział, że Draper na przesłuchaniu zaczął mówić. Podobno królewski sierżant dał Machynowi dwadzieścia cztery godziny na oddanie kroniki i zagroził mu śmiercią. Lecz on się nie ugiął. Wysłał swoją żonę do pani Barker i kazał jej tam zostać. Czekałem te dwadzieścia cztery godziny i w niedzielę już się wybierałem w podróż na północ, kiedy przyszła wiadomość do pani Barker, że zwłoki Henry’ego Machyna wrzucono do dołu dla ofiar zarazy.

– Czy pani Barker jest nadal w Londynie?

– Tak.

– A jej tożsamości nikt nie odkrył?

– O ile mi wiadomo, nie.

– To dobrze. Dzielna kobieta z tej mojej siostry. Jeśli nowy król Clariance postąpi zgodnie ze wskazówkami, jakie otrzymał, mamy jeszcze szanse.

Podróż do domu Juliusa daleka była od wygod. Clarenceux i Rebecca czuli każdy wybój na zamarzniętych ulicach miasta. Ponieważ leżeli na wozie pod górą zwierzęcych skór, nie było im zimno, za to ciężar ładunku sprawiał, że z trudem oddychali. Do tego dochodził smród. Zapachy towarzyszące procesom garbarskim nigdy nie należały do przyjemnych, lecz podróż zamkniętym wozem załadowanym skórami i futrami przyprawiała o mdłości. Clarenceux co chwila męczył odruch wymiotny, zwróciłby, gdyby nie to, że miał pusty żołądek. Słyszał, jak Rebecca znosi podobne katusze, jak jej ciało buntuje się przeciwko wstrętnemu odorowi.

Lecz nie wygoda była w obecnej sytuacji najważniejsza, tylko bezpieczeństwo, i pod tym względem ta podróż była idealna. Przejechali przez miasto, przeprawili się na drugi brzeg Mostem Londyńskim i ani razu nie zaczepiły ich strażę. Rebecca czekała na dziedzińcu oberży Pod Dzwonem, gdy tymczasem Clarenceux, cuchnący skórami martwych zwierząt, poszedł zapłacić za paszę i stajnię dla koni, które tu zostawili. Tom Griffiths podziękował heroldowi za pieniądze, życzył mu zdrowia i czym prędzej wyruszył w drogę powrotną, Clarenceux i Rebecca udali się zaś w kierunku Chislehurst. Kiedy przybyli do Summerhill, właśnie zaczynało zmierzchać.

Julius powitał ich w holu i zażądał, aby oboje niezwłocznie zażyli kąpeli. Do holu przyniesiono wielką balię, którą ustawiono przed

kominkiem. Pół godziny później w balii parowała gorąca woda, przyniesiona z kuchni przez całą armię służących, a na powierzchni pływały różane płatki. Po obu stronach ustawiono wielkie kandelabry na dwanaście świec każdy. Clarenceux i Rebecca dostali po dwie gąbki – jedną, by na niej usiąść, i drugą do umycia. Patrzyli, jak służąca dodaje do wody mleko oraz odpowiednie zioła: złocień, pokrzywę, liście fiołka, koper włoski i rozmaryn. Julius siedział przy stole na podeście i studiował kronikę. Inna służąca ułożyła czyste ubrania na przygotowanej ławie.

Pierwszy mył się Clarenceux. Zdjął cuchnące ubrania i zostawił je na podłodze. Pończochy wrzucił do ognia. Kiedy wszedł do gorącej wody, zapiekły go wszystkie rany i zadrapania na nogach. Zamoczył dużą gąbkę, ułożył ją na dnie i usiadł. Potem zaczął szorować się drugą.

Julius nie odrywał wzroku od kroniki.

– Dwie pierwsze daty odnoszą się do nabożeństw pod krzyżem świętego Pawła. Podaj mi trzecią.

– Spróbujcie z datą Nicholasa Hilla: piętnasty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego – powiedziała Rebecca, dyskretnie podglądając myjącego się herolda.

Julius odchrząknął.

– Wpis brzmi jak następuje: „Piętnastego czerwca pogrzebano kapelusznika Baptystę Borowa przy Cripplegate w parafii St Giles’s, z proporcem i tarczą herbową, i heroldem, i dwudziestoma trzema pochodniami, które niosło dwudziestu trzech biedaków i wielu żałobników w czerni; i było towarzystwo urzędników i miejsce było zawieszane czernią i bronią sześć tuzinów”.

Clarenceux podniósł wzrok na Rebeccę i zobaczył jej zdziwioną minę. Odwrócił się do Juliusa, który również patrzył na niego pytająco.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi – powiedział. – Spróbuj inną datę. Osiemnasty czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego piątego.

Julius odwrócił strony.

– Trudno się tu rozeznać, który rok jest który. To chyba tutaj...

Przez chwilę czytał w milczeniu.

– I co tam jest napisane? – spytała Rebecca, dotykając ramienia służącego i biorąc od niego mosiężną misę i niewielki dzban z pachnącym ługiem. Clarenceux zanurzył głowę pod wodę, a po chwili wyłonił się z powrotem na powierzchnię. Tymczasem Rebecca podeszła doń i poląła mu włosy odrobiną ługu. Odwrócił się zaskoczony, lecz zrozumiał, że jej intencje, odprężył się i pozwolił pocierać sobie głowę.

– Nic nie ma – odrzekł Julius.

– Jak to? – spytał Clarenceux, odwracając się.

Rebecca znieruchomiała.

– Pod tą datą nie ma żadnego wpisu.

– Obejrzyj sąsiednie strony, daty nie są uporządkowane chronologicznie – podpowiedział Clarenceux, Rebecca powróciła do swojego zajęcia.

Julius przewertował kartki.

– Nie, nie ma tu żadnej adnotacji opatrzonej tą datą. Zaczyna się od trzeciego czerwca... w tym dniu jest dużo wpisów, aż do dziesiątego, jedenastego, siedemnastego i czternastego. A potem zaczyna się lipiec.

Clarenceux powstrzymał dłoń Rebekki.

– Jesteś pewien, że nie brakuje żadnej kartki? – Odczekał chwilę, po czym zanurzył się pod wodę, aby zmyć ług, i wstał nagi, żeby wziąć od służącego ręcznik.

Julius obejrzał grzbiet księgi.

– Całkiem pewien. Pod osiemnastym czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego piątego nie ma żadnego wpisu. To wszystko, co mogę

powiedzieć.

– A co z datą Gyttensa? Dziewiętnasty czerwca pięćdziesiątego szóstego?
– spytał Clarenceux.

Wyszedł z wanny i wycierając się, spojrzął przelotnie na Rebeccę, która zmieszała się, przyłapana na zerkaniu na jego nagie ciało.

Julius ponownie przewertował rękopis, starannie przeglądając stronice, aby się upewnić, że nie przegapi żadnej zabłąkanej notatki.

– Przykro mi, ale ta data też nie figuruje w kronice. Czerwiec zaczyna się dziewiątego, potem jest dziesiąty, czternasty, piętnasty, osiemnasty. Tutaj wspomina o trzech egzekucjach: pierwsza Thomasa z Watheryng za obrabowanie powozu, po czym pisze: „tego samego dnia oskarżono w Guildhall za spiskowanie pana Francisa Varneya i kapitana Turnera i skazano ich na powieszenie, wywleczenie i poćwiartowanie”. Jest też wpis z dwudziestego siódmego: spalenie jedenastu mężczyzn i dwóch kobiet między czterema palami w Stratford le Bow, czego świadkiem było dwadzieścia tysięcy ludzi. Potem następuje jeszcze wpis z dziesiątego oraz ostatniego dnia miesiąca: powieszenie i poćwiartowanie lorda de Warre’a za zdradę stanu. To wszystko w czerwcu pięćdziesiątego szóstego.

Clarenceux wziął koszulę i włożył ją przez głowę. Podeszedł do Juliusa i zaglądając mu przez ramię, zaczął czytać kronikę.

– Nie wiem, co to wszystko znaczy. Zastanawiam się, czy Henry dał mi dobrą księgę.

Rebecca zdjęła wierzchnie ubranie i wcierała nad balią ług we włosy.

– To na pewno właściwa księga – powiedziała, przerywając, lecz nie podnosząc głowy. – Miał tylko jedną taką kronikę.

– W takim razie po cóż było tyle zachodu z zapamiętywaniem i przekazywaniem dat, skoro nie znajdują odpowiednika w dzienniku?

– Może mają jakieś inne znaczenie? – zasugerowała, zdejmując koszulę i wchodząc do wanny.

– To oczywiste – zgodził się Julius, patrząc to na herolda, to na Rebecę i zauważając, że jego przyjaciel nie odrywa od niej wzroku.

Trącił go, a wtedy Clarenceux odwrócił głowę i na powrót zajął się ubieraniem, nasłuchując plusku wody.

Na drugim końcu holu zjawił się James Hopton.

– Kolacja będzie gotowa, gdy sobie zażyczycie, panie – oznajmił, kłaniając się.

– Dobrze. Chodźmy, Williamie, zostawmy panią Machyn, aby w pokoju mogła moczyć się w wannie.

*

Rozmawiali o kronice przed kolacją, podczas jedzenia i po odejściu od stołu. Julius robił notatki, zainteresowany w tym samym stopniu szczegółami z życia towarzyskiego Londynu, co tajemnicą, którą skrywała księga. Clarenceux zastanawiał się, kiedy w końcu przestanie czytać na głos relacje o mężczyznach i niewiastach palonych na stosie za herezję, wleczonych na szafot, wieszanych i ćwiartowanych za zdradę stanu.

– Nie rozumiem, czemu daty nie pokrywają się z ustępami w kronice – powiedział po raz nie wiadomo który. – A nawet te, które mają swoje odpowiedniki, nic nam nie mówią.

Rebecca postukała palcami w stół.

– Proponuję, abyśmy zapisali wszystkie daty na kartce w odpowiednim porządku. Aby zobaczyć je wszystkie razem.

– Co wam chodzi po głowie? – spytał Clarenceux.

– Myślę, że tworzą jakiś wzór.

Julius wzruszył ramionami, przysunął bliżej świecę i podał przyjacielowi pióro, kałamarz i kartkę. Clarenceux zaczął wypisywać daty, a obok każdej z nich imię odpowiedniego Rycerza.

13 czerwca 1550 – sir Lancelot
15 czerwca 1552 – sir Reynold
18 czerwca 1555 – sir Ector
19 czerwca 1556 – sir Reynold
20 czerwca 1557 – król Clariance
16 czerwca 1559 – sir Dagonet

Na samym dole dopisał sir Yvaina, którego daty nie znali.

– Pozwólcie mi rzucić na nie okiem – powiedziała Rebecca z twarzą jaśniejącą od blasku świec.

Clarenceux podał jej kartkę i obserwował, jak studiuje zapisane cyfry. Zainteresowała go uwaga, z jaką przyglądała się datom.

– Ile z tego umiecie przeczytać?

– Mam trudności z pisaniem, lecz Henry nauczył mnie czytać. Uważał, że każdy powinien to umieć. – Urwała, po czym oddała kartkę Clarenceux.

– Tak jak myślałam. William Draper nas okłamał. Podał nam niewłaściwą datę.

Julius pochylił się nad stronicą.

– Co? Czemu tak uważacie?

Clarenceux popatrzył ponownie na listę.

– Przyjrzyjcie się układowi dat – wyjaśniła Rebecca. – Osiemnasty czerwca, potem dziewiętnasty; liczba roku zwiększa się o jeden i tak samo liczba oznaczająca dzień. Jeśli wypełnić luki, czternasty czerwca będzie się odnosił do tysiąc pięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Szesnasty czerwca do tysiąc pięćset pięćdziesiątego trzeciego, a nie dziewiątego. Draper skłamał, podając nam swój rok.

– Albo podając niewłaściwy dzień.

– Możliwe, ale wątpię w to. Pan Clarenceux przyłożył mu nóż do gardła. Wiemy, że podał właściwy miesiąc. W tamtych okolicznościach łatwiej było mu wymyślić niewłaściwy rok.

Clarenceux podniósł dłonie do twarzy, a potem położył je na stole.

– Chyba macie rację. Te wszystkie dni, miesiące i lata są jedną zamaskowaną datą. – Przez chwilę wpatrywał się w papier, po czym wskazał na cyfry. – Podając mi swoją datę, Henry powiedział coś w rodzaju: „dokładnie tak”. Nie jestem pewien, ale myślę, że mówiąc „dokładnie tak”, miał na myśli kolejność: „czerwiec dwudziestego tysiąc pięćset pięćdziesiątego siódmego”, a nie dwudziesty czerwca. Myślę, że „dwudziesty” nie odnosi się do dnia, lecz do roku. Rebecca ma rację, Draper skłamał. To wszystko jest jedna data: czerwiec tysiąc pięćset trzydziestego siódmego lub ósmego.

Julius położył dłonie na stole.

– Nie do końca rozumiem, czemu akurat trzydziesty siódmy lub trzydziesty ósmy?

– Ponieważ „dwudziesty” był związany z tysiąc pięćset pięćdziesiątym siódmym, dziewiętnasty z pięćdziesiątym szóstym, osiemnasty z pięćdziesiątym piątym, trzynasty z pięćdziesiątym i tak dalej. Tak więc drugi był trzydziestym dziewiątym, a pierwszy trzydziestym ósmym.

– Więc czemu czerwiec trzydziestego siódmego lub ósmego? Czemu nie po prostu ósmego?

Clarenceux nie odpowiedział. Wydawał się głęboko czymś zaniepokojony. Nagle wstał i odszedł w drugi koniec pokoju, gdzie pozostał odwrócony do nich tyłem.

To takie proste. To wcale nie jest żaden szyfr, tylko akrostych.

– Juliusie – powiedział – kiedy zmarł stary hrabia Northumberland?

Julius popatrzył na sufit.

– Och, około tysiąc pięćset trz...

– Nie – przerwał mu nagle Clarenceux. – Muszę wiedzieć dokładnie, dzień i miesiąc. Musisz gdzieś tu mieć księgę, z której się tego dowiemy.

Julius skinął głową, podniósł się z krzesła i podszedł do najbliższej prasy, gdzie leżał duży foliał. Wziął go do ręki i położył na stole obok kroniki Machyna, po czym pochylił się i zaczął przewracać stronicę.

Clarenceux patrzył nań w milczeniu.

Julius wyprostował się i odwrócił do niego.

– Masz rację – powiedział uroczyście.

– Czerwiec tysiąc pięćset trzydziestego siódmego?

– Ostatni dzień miesiąca.

Rebecca nie mogła już tego dłużej znieść.

– Na litość przenaświętszej Marii Panny! – zawołała. – O co chodzi?

Clarenceux potarł twarz dłońmi i w zadumie zapatrzył się w płomień świecy.

– To nie są daty, tylko rocznice. Oznaczają lata, które upłynęły od śmierci Henry’go Percy’ego, hrabiego Northumberland.

– I co z tego wynika? – dopytywała się niecierpliwie Rebecca. – Skąd to wiecie i co to oznacza? Czemu nagle obaj zrobiliście się tacy... poważni, cisi i przestraszeni? Kim był ten Henry Percy? Poza tym, że nosił tytuł hrabiego Northumberland?

Clarenceux się nie poruszył.

– Pani Machyn, pamiętacie swoje słowa: że waszym zdaniem jest dwóch sir Reynoldów, ponieważ pierwsze litery ich imion tworzą wiadomość? Spójrzcie, co się stanie, jeśli poprawicie datę Drapera i wstawicie jego arturiańskie imię w odpowiednie miejsce.

Clarenceux skreślił imię i cyfry Drapera i zapisał je na nowo między tysiąc pięćset pięćdziesiątym drugim i tysiąc pięćset pięćdziesiątym piątym

rokiem.

13 czerwca 1550 – sir Lancelot
15 czerwca 1552 – sir Reynold
16 czerwca 1553 – sir Dagonet
18 czerwca 1555 – sir Ector
19 czerwca 1556 – sir Reynold
20 czerwca 1557 – król Clariance

– Brakujące daty pokazują nam brakujące litery. Tak więc mamy L, potem przerwa, potem R i D i znów przerwa, potem E, R, C. Mamy też Y, który może stać na drugim, piątym lub ostatnim miejscu. Tak się składa, że stoi na ostatnim. To akrostych, który brzmi: LORD PERCY. Percy zginął w czerwcu tysiąc pięćset trzydziestego siódmego, tuż po egzekucjach przywódców Pielgrzymki Łaski.

Rebecca w milczeniu przemyśliwała te nowe informacje.

– Nic dziwnego, że nasz świętej pamięci przyjaciel uznał cię za jedyną osobę, która może to zrozumieć – zauważył Julius. – Do diabła, całe szczęście, że to nie mnie powierzył organizowanie tej swojej rewolucji.

– Ale to nam w niczym nie pomoże – stwierdziła zmartwiona Rebecca. – Sami mówiliście, że lord Percy nie żyje od tysiąc pięćset trzydziestego siódmego roku, więc niczego nie zyskaliśmy. Poza tym po co Henry miałby przez tyle lat tak pilnie strzec księgi, jeśli szyfr w niej zawarty dotyczy tylko nieżyjącego hrabiego?

– Słuszna uwaga, doprawdy – powiedział Clarenceux. – Daty i imiona mówią nam zaledwie, gdzie powinniśmy się zwrócić, dokąd zabrać kronikę.

– Czyli?

– Do Sheffield. To majątek wdowy po Henrym Percym.

Nagle Julius podniósł księgę, w której przed chwilą sprawdzał informacje, i zamknął ją z hukiem.

– Nie, nie zgadzam się, żebyś... – zaczął, lecz coś go powstrzymało. – Czy miałeś kiedyś przyjemność spotkać panią hrabinę? Bliżej jej do smoka niżli niewiasty. Przy takiej białogłowie nawet diabeł chodzi jak trusia.

Clarenceux pokręcił głową.

– Juliusie, czy mogę pożyczyć od ciebie konia?

– Nie! Na miłość boską, Williamie, w końcu cię zabiją.

– Wielkie nieba! O czym wy mówicie? – dopytywała się Rebecca błagalnym tonem. – Co jest takiego ważnego, że nagle nie możecie rozmawiać przy mnie otwarcie? Panie Clarenceux, jeszcze nie tak dawno leżeliśmy w jednym łóżu. To chyba świadczy o zaufaniu, nieprawdaż? A teraz nie chcecie mi powiedzieć o czymś, za co wasz przyjaciel na was krzyczy i nawet odmawia wam konia. O co chodzi? Czego się tak boicie? Powiedzcie mi.

Clarenceux i Julius popatrzyli na siebie. Julius pokręcił głową, a herold zaczął:

– Człowieka, o którym mówimy, hrabiego Henry’ego Percy’ego, który, jak się wydaje, tkwi w sercu całej konspiracji, czyli spuścizny waszego męża, powszechnie uważano za pierwszego małżonka Anny Boleyn, matki naszej obecnej monarchini. Zaiste, zanim król zapragnął dzielić z tą kobietą łożę, tajemnicą poliszynela było, że Anna Boleyn i lord Percy wzięli potajemnie ślub. Ponieważ Henry Percy był jeszcze młody i należał do dworu kardynała Wolseya, nie mieszkali ze sobą, ale głęboko się kochali. Potem Anną zainteresował się Henryk Ósmy, który nie miał żadnych skrupułów, biorąc do łoża żony innych mężczyzn, a żaden mężczyzna nie był tak szalony, by powstrzymać króla przed zdobyciem tego, czego pragnął. Lecz Anna sama się uparła, że będzie sypiać jeno ze swym mężem. To było wyzwanie dla króla Henryka. Uczynił wszystko, co było w jego mocy, używał zarówno swego uroku, jak i gróźb, by zostać jej mężem.

Zmusił Wolseya, by rozdzielił Percy'ego i Annę, aż wreszcie ją poślubił. A kiedy się nią znudził i upodobał sobie Jane Seymour, wysłał Annę na szafot. Ta brutalna egzekucja była jedną z przyczyn, które doprowadziły do Pielgrzymki Łaski. Aske osobiście prosił lorda Percy'ego, by stanął na czele buntu przeciw tyranii króla.

Zapadła cisza.

– To, czego William nie powiedział wyraźnie – dodał Julius po chwili milczenia – to fakt, że według wielu osób lord Percy był nie tylko jedyną miłością Anny, lecz również ojcem miłościwie nam panującej królowej. Gdyby znaleziono dowód potwierdzający istnienie tego związku, Elżbieta utraciłaby prawo do tronu.

Clarenceux skinął głową.

– Dlatego „tajemnica, od której zależą losy dwóch królowych”, oraz nazwisko Henry'ego Percy'ego zdają się wskazywać ten kierunek. Stąd też nasze zaniepokojenie o...

– „Zaniepokojenie”? – przerwał mu Julius. – Używasz nader delikatnego języka, Williamie. Mówisz o zdradzie stanu, gdzie tam, o zamachu stanu! Jeśli was złapią, podzielicie los wszystkich zdrajców, powieszą was, potem wyrwą wam wnętrzności i poćwiartują. Z tym zastrzeżeniem, że nie ćwiartuje się kobiet.

– A co się z nimi robi? – spytała Rebecca.

– Jeszcze pytacie?

– Pali się je na stosie – odrzekł Clarenceux. Podjął już decyzję. – Pojadę sam do Sheffield. Pani Machyn, wy zostanieie tutaj. Dzięki wam udało nam się odczytać akrostych, wasz udział w tej historii się zakończył. Nie mam wątpliwości, co należy uczynić.

Rebecca podniosła nań oczy.

– Nawet o tym nie myślcie, panie Clarenceux. Pojadę z wami, choćbym miała iść piechotą całą drogę do Sheffield.

Julius pokręcił głową.

– Pani Machyn, mówimy o sprawach tak groźnych, że samo interesowanie się nimi może was posłać na stos. Żadne z was nie powinno tego robić. Williamie, nie narażaj życia dla spisku, który ciebie nie dotyczy. Nie zapominaj, że masz żonę i dzieci. A wy, pani Machyn, nie szykujcie sobie tak okrutnego losu. Na pewno widzieliście kobiety i mężczyzn palonych żywcem na stosach. Wszyscy słyszeliśmy krzyki, czuliśmy smród palonego ciała. I wiecie, że ci ludzie nie umierają szybko w płomieniach, że żyją jeszcze, kiedy ich skóra spłonie, a z nóg kapie tłuszcz. Nie ma nic gorszego nad taką śmierć.

– Być może. – Rebecca spojrzała mu śmiało w oczy. – Lecz śmierć przyjdzie prędzej czy później, ból mija, a dusza idzie do nieba. Żal i wyrzuty sumienia trwają znacznie dłużej.

– Nie pozwolę na to, żadnemu z was.

– Juliusie – powiedział łagodnie Clarenceux – nie prosimy cię o zgodę. Prosimy cię o pomoc. Żadne z nas nie zaśnie spokojnie, dopóki ta sprawa się nie skończy. Jeśli nam nie pomożesz, będę musiał poszukać kogoś innego, kto się na to zgodzi.

Julius wpił wzrok w przyjaciela.

– A czy ty byś mi pomógł iść na pewną śmierć, gdybym cię poprosił?

– Nie, ale pomógłbym ci w spełnieniu bożego dzieła, nawet gdybyś narażał się na śmierć.

– Dzieło boże? – powtórzył Julius, przenosząc wzrok na stół i kronikę. – Ty to nazywasz dziełem bożym, inni nazwaliby to zdradą stanu.

I znowu Clarenceux i Julius rozmawiali przy hiszpańskim winie do późna w nocy, kiedy Rebecca udała się na spoczynek. Była wyczerpana i z radością położyła się do ciepłego łóżka. Za dużo się wokół niej działo. Jej własny los wymykał się jej z rąk.

Usłyszała hałas na schodach, potem kroki na korytarzu.

– To wy, panie Clarenceux?

Przez chwilę panowała cisza.

– Tak, to ja, pani Machyn.

– Czemu stoicie pod moimi drzwiami?

Clarenceux nie odpowiadał. Rebecca leżała w ciemności z otwartymi oczami.

– Panie Clarenceux?

– Słucham?

– Obiecacie mi coś?

– Co takiego?

– Że nie wyjedziecie rano beze mnie.

Znów zapadła długa chwila milczenia.

– Dobranoc, pani Machyn.

56

Czwartek, 16 grudnia

Clarenceux zbudził się o świcie. Poczuł przejmujące zimno, kiedy w ciemności odrzucił okrycie. Podszedł do misy z dzbanem, lodowata woda podziałała jak wstrząs.

Wychodząc, przystanął, zanim położył dłoń na ryglu. To lepiej, że Rebecca zostanie tutaj, kiedy będę jechał z kroniką, pomyślał. Julius się nią zaopiekuje. Tak jak lepiej, że Awdrey i moje córki są bezpieczne daleko stąd. Muszę się trzymać z dala od wszystkich, którzy są mi drodzy.

Zamknął oczy i zmówił modlitwę – za swoją żonę, rodzinę, za Rebecę i za dusze Henry’ego Machyna i Willa Terry’ego. Pomodlił się też za dwóch mężczyzn, których zabił. Potem się przeżegnał, powiedział półgłosem „amen” i odsunął rygiel, aby zejść na dół.

Drzwi odskoczyły gwałtownie, jakby popchnięte od zewnątrz. Spojrzał w dół i w półmroku zobaczył rozciągnięty na podłodze kształt. Rebecca leżała tu w nocy oparta o drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała sennym głosem. – Domyślam się, że już pora?

– Pora dla mnie, abym wyruszył w drogę, Rebecca.

Oprzytomniała w kilka sekund.

– Wiem, dokąd jedziecie. Pojadę za wami, chyba że zakujecie mnie w kajdany.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył, jak Rebecca wstaje i odwraca się do niego, jak odgarnia włosy z twarzy, żeby zobaczyć jego minę.

– To nie tak, jak myślicie. Chodzi o to, że... nie miałabym żadnej pewności, że was jeszcze zobaczę. Mogliście wykraść się chyłkiem. Ratować własną skórę. I co by mi wtedy zostało? Strach. Strach przed Walsinghamem i Cecilem. Nie oszczędziliby mnie. Posłaliby mnie na tortury bez odrobiny litości.

Clarenceux pokręcił głową i ruszył w stronę starych kamiennych schodów. Dotknął ręką ściany, aby się przytrzymać, bo w głowie miał mętlik. Czuł się zarazem zmęczony i skonsternowany.

Rebecca ruszyła za nim.

– Zadajcie sobie pytanie, panie Clarenceux: jeśli to, co robimy, jest dziełem bożym, to jak możecie zabraniać mi uczestnictwa w nim razem z wami?

Clarenceux zatrzymał się na dole. Ma rację, pomyślał. Czemu przywłaszczam sobie prawo wyłączności do spełniania dzieła bożego? Czy to nie ze strachu przed nią kazałem jej tu zostać?

Stała obok niego.

– Wy musicie słuchać swego głosu powołania, a ja swego – rzekła. – Bóg przemawia tak samo do waszego serca jak do mojego. I choć może to być niebezpieczne, jako dobrzy chrześcijanie powinniśmy go posłuchać. – Przerwała, patrząc na niego w półmroku. – Uczymy się również rozumieć swoje własne posłuszeństwo, i to też jest dobre.

Clarenceux odwrócił się do niej w zadumie. Przypomniała mu się noc, kiedy spotkali się na cmentarzu pod kościołem. Przestraszył się wtedy, że ją stracił. I przypomniał sobie, co wtedy zrozumiał: sam Bóg to jeszcze nie

wszystko. Cofnął się myślami jeszcze dalej, do owej nocy w piwnicy domu Walsinghama. Kiedy teraz stali na schodach wieży, wydało mu się, że to naprawdę wola boska, aby byli razem. Jeśli to, co robili, niektórzy nazywali zdradą stanu, to on o to nie dba, ponieważ ta zdrada jest święta.

– Dobrze, pani Machyn – powiedział. – Jeśli naprawdę wierzycie, że taka jest wola boska, to jedźmy do Sheffield razem.

*

Późnym rankiem pożegnali się z Julusem i jego żoną. Jeszcze poprzedniego wieczoru Julius kazał służącym zapakować zapasowe ubrania dla obojga, ponieważ domyślił się, że pojedą razem. Kronikę obłożono starannie deseczkami, owinięto płótnem i przytroczono mocno do heroldowego siodła. Do jego zdobycznego miecza dobrano starą pochwę i ukryto go między torbami podróżnymi załadowanymi na jucznego konia. Kiedy na stajennym podwórzu szykowali się do długiej drogi, Julius wręczył mu skórzany worek, mówiąc:

– Żałuję, że nie mogę dać ci więcej.

Clarenceux zważył w dłoni sakiewkę.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Juliusie. Najhojniejszym, jakiego znałem.

– Objął go i długo trzymał w objęciach, po czym cofnął się i wsiadł na stępaka, którego przytrzymał za uzdę chłopiec stajenny. – Dziękuję. Przy odrobinie szczęścia na Boże Narodzenie będziemy jeść razem pieczeń wołową.

Julius uśmiechnął się, lecz nic nie odrzekł. Odwrócił się do Rebekki. Ujął jej dłoń, podniósł do ust i ucałował niczym dłoń kobiety szlachetnie urodzonej.

– Dbajcie o niego, pani Machyn – powiedział. – Jedźcie z Bogiem.

Oboje oglądali się kilka razy, zanim znikli z oczu mieszkańcom Summerhill na drodze do Bromley.

*

Z początku pięknie wyglądały wielkie płatki śniegu padające na tle drzew rosnących po obu stronach drogi. Wkrótce gałęzie ugięły się pod tym niespodziewanym białym ciężarem. Niestety szybko przemokły im kołnierze i ubrania, a konie z trudem szły po zlodowaciałej ziemi. Oboje z Rebeccą nierządkiem musieli zsiadać z wierzchowców, aby usunąć zbity śnieg spomiędzy końskich kopyt. Zostało tylko pięć godzin do zmierzchu i Clarenceux zrozumiał, że nawet gdyby jechali jeszcze godzinę po zmroku, mogą tego dnia przebyć najwyżej dwadzieścia mil. Zanosilo się na długą i zimną podróż.

Chislehurst leżało po drugiej stronie Londynu, więc aby kierować się na północ, mogli albo przejść przez most w Greenwich, albo przepłynąć łodzią z Putney do Fulham. Clarenceux uznał drugą drogę za bezpieczniejszą, lecz zabrała ona dużo czasu, dużo więcej, niż sobie wyobrażał. Najwięcej kłopotów przysparzały im nierówne, zamrożone gościńce. Kiedy wyjechali z zakrętu w Beckenham, tuż przy gospodarstwie ze strzechą pokrytą grubą czapą śniegu, zobaczyli przed sobą szeroką drogę, dokumentnie zrytą, pociętą głębokimi koleinami, zamrożoną i zasypaną w nocy warstwą białego puchu. Ostatnią rzeczą, jakiej im brakowało, był koń ze złamaną nogą. Clarenceux uznał, że najrozsądniej będzie zsiąść i iść dalej pieszo, prowadząc zwierzęta za uzdy. W ten sposób przyjdzie nam przebyć całą drogę do Sheffield pieszo, pomyślał, kiedy opuścili Beckenham, przeklinając zimny wiatr i śnieg, który tak pięknie wyglądał, gdy zaczynało padać.

Było już dobrze po południu, kiedy przeprawili się przez rzekę, a godzinę później zaczęło się ściemniać. Clarenceux przynaglił Rebecę, mówiąc, że muszą przed nocą dotrzeć do Barnet, choć wiedział, że niewielkie mają szanse, by im się udało. Brakowało im jeszcze czterech mil, kiedy zmrok wyssał z krajobrazu ostatnie kolory i znów pogrążyli się w całkowitej ciemności. Rebecca jechała dalej bez słowa, wiedząc, że sfrustrowany Clarenceux prawdopodobnie nie zgodzi się z niczym, co powie. Z wielką ulgą przyjęła jego propozycję, by zatrzymać się na noc w przydrożnym zajęździe, którego ciemna sylwetka wyłoniła się przed nimi z mroku. Skulonemu w swej podróźnej opanczy heroldowi lodowaty wiatr dokuczał prawdopodobnie tak samo jak jej.

Znów podając się za małżeństwo, wynajęli pokój i zjedli kolację, złożoną z dobrego gotowanego grochu, chleba, piwa i sera. Przy ogniu płonącym w kominku i dwóch zapalonych świecach Rebecca poczuła się pokrzepiona. Z ulgą przyjęła też zmianę w nastroju Clarenceux. W czasie podróży był milczący, ponury i rozdrażniony, myślał tylko o tym, aby ujechać jak najdalej, niecierpliwił się, że posuwają się tak powoli. Czowała, że to w niej upatruje przyczyn opóźnienia i żałuje, że zabrał ją ze sobą w podróż. Jednak wszystkie obawy i niepokoje stopniały, gdy weszli do gospody. Ciepło ognia wystarczyło, aby nawet Clarenceux zaczął się uśmiechać.

Suknia, w której jechała z Chislehurst, była praktyczniejsza niż ta, którą miała na sobie poprzednio, kiedy nocowali w oberży, mogła się więc rozebrać bez niczyjej pomocy. Clarenceux zdjął ubranie i położył się do łóżka w koszuli i czapce. Obserwując go kątem oka, Rebecca zrobiła to samo, po czym szybko wślizgnęła się pod kołdrę. W świetle płonącej świecy zwinęła się w kłębek na swojej połowie łóżka przodem do leżącego na plecach Clarenceux. Przez długi czas żadne się nie odezwało ani nawet nie poruszyło.

W końcu herold odwrócił się na bok i popatrzył na nią.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyciągnął rękę i odsunął jej z twarzy kosmyk ciemnych włosów. Potem powiódł palcem po jej policzku aż do pieprzyka i musnął go delikatnie. Rebecca leżała bez ruchu w milczeniu.

Zamigotała dopalająca się świeca, jakby chciała opowiedzieć historię o tym, co ich łączy – o wspólnej podróży, o czekaniu na nieuchronną noc. Odwrócił wzrok.

– Zawsze czekacie, aż zapadnie ciemność – szepnęła.

Świeca zgasła.

Teraz pozostała tylko intymność słów i dotyku. Ale Clarenceux nie odważył się jej dotknąć, nie w ciemności. Przy świetle dotyk był tylko przejawem bliskości w obliczu grożącego im niebezpieczeństwa. W ciemności zamieniał się w szept pożądania.

– Śpijmy, pani Machyn. Dobrej nocy.

Zamknął oczy i leżał nieruchomo, a przed oczami widział ich oboje jako dwa znikome istnienia w niezmiernym bożym świecie.

*

W dzień kontynuowali żmudną wędrówkę, zmagając się ze śniegiem, lodem i zamarzniętą ziemią. Odwlekali moment noclegu najdłużej, jak się dało, nawet kiedy przyszło im podróżować przy mdłym świetle księżyca. Nów skończył się piętnastego grudnia, w dniu, w którym wyruszyli, lecz chmury zaścielały wtedy niebo tak szczelnie, że niewielki mieli pożytek z księżyca. Siedemnastego grudnia światła wystarczyło, by pod wieczór wyjechali z małego miasteczka Luton, pewni, że podążając zamarzniętą ośnieżoną drogą, ujadą jeszcze cztery lub pięć mil. Niestety noc zastała ich na smaganych ostrym wichrem wzgórzach Luton, a oni nie mieli

najmniejszego pojęcia, gdzie znajdą najbliższą gospodę. W końcu zmuszeni byli skierować konie do najbliższego domu i błagać o nocleg. Na szczęście duch gościnności nie umarł w tym zakątku Bedfordshire i miejscowy bogaty włościanin za kilka monet użyczył im izby i posiłku z zimnej szynki, chleba i grzanego piwa.

Nazajutrz ruszyli dalej i ujechali trzydzieści mil, zanim o zmroku stanęli w Higham Ferrers w Northamptonshire. Długie sople lodu zwisały z dachów przy pustym zaśnieżonym rynku. Nauczeni doświadczeniem poprzedniego dnia, postanowili zostać na noc w gospodzie zamiast ryzykować jazdę o zmierzchu.

Druga i trzecia noc minęły tak jak pierwsza: w lęku przed niebezpieczeństwem, z pociechą powściągliwej intymności, dopóki nie zgasła świeca. Clarenceux zaczął się zastanawiać, czy coraz większa bliskość, jaka ich łączyła, nie czyniła ich bardziej bezbronnymi. Obecność drugiej osoby podnosiła na duchu, lecz tym dotkliwiej przypominała o czyhającym zagrożeniu.

Nazajutrz z samego rana wyruszyli do Oakham. Zrobiło się cieplej, lecz było pochmurno i wietrznie. Szare chmury przemykały po niebie, a wiatr zdmuchiwał z drzew kaskady śniegu. Wkrótce po wyjeździe trafili na małą przeszkodę. Przy drodze rósł wielki dąb, a konar obciążony śniegiem i lodem odłamał się od pnia i leżał w poprzek drogi, wśród połamanych gałęzi, liści i jemiół.

Potem zaczął padać deszcz.

Clarenceux owinął się szczelniej opończą i uśmiechnął do Rebekki.

– Dla nas to dobrze, że się rozpadało – powiedział, przekrzykując szum deszczu. – Śnieg się roztopi i będziemy mogli jechać szybciej.

Rebecca spojrzała na niego z ukosa, myśląc sobie w duchu, że jego optymizm jest trochę na wyrost. Miała rację. Godzinę później siedzieli

w przydrożnej szopie przemoknięci do suchej nitki. Śnieg rzeczywiście szybko stopniał pod strugami deszczu, za to zostawił po sobie wielkie połacie błota. Rozległe kałuże wypełniły każde zagłębienie w drodze i wkrótce ubrania podróżnych były nie tylko mokre, lecz także brudne od błota pryskającego spod końskich kopyt. Nie było mowy o przyspieszeniu kroku, a po trzech godzinach deszczu ziemia tak rozmokła, że musieli zwolnić. Wkrótce przy skąpym świetle księżyca w ogóle nie dało się jechać ciemną błotnistą drogą. W Uppingham postanowili się zatrzymać. Byli zmoknięci, nieszczęśliwi i trzęśli się z zimna, a do celu nadal brakowało im jeszcze ponad sześciu mil.

W małej zimnej izbie kolejnej przydrożnej oberży Clarenceux przybity i ponury zdejmował z siebie odzienie, aż został tylko w przemoczonej koszuli. W milczeniu powiesił ubranie na starym wieszaku.

- W tym miejscu nie wyschną nawet do jutra – zauważyła Rebecca.
- Nic na to nie poradzimy – westchnął. – Nie mamy gdzie rozpalić ognia.
- Zaraz się o niego postaram.

Dwadzieścia minut później wróciła z właścicielem oberży i dwoma służącymi. Oberżysta kłaniał się w pas i gorąco przeproszał, twierdząc, że gdyby wiedział, kim jest jego gość, na pewno nie dałby mu pokoju bez ogrzewania. Wyprowadził Clarenceux w samej lnianej koszuli na korytarz i powiódł go po schodach na górę, potem następnym korytarzem wprost do eleganckiej wyłożonej drewnem izby w głównym budynku oberży. Służący wnieśli za nimi bagaże. W kominku huczał świeżo rozpalony ogień, a przed nim stała rozłożona suszarka na stroje. W pokoju rozstawiono cztery płonące świece, a na podłodze stała nawet przygotowana płytką balia z ciepłą wodą do moczenia nóg.

Clarenceux usiadł w koszuli na łóżku i patrzył, jak ostatni służący, wychodząc, zamyka za sobą drzwi.

– Więc teraz wiedzą, jak się nazywam.

– A wolelibyście zamarznąć na śmierć w mokrym ubraniu? Owszem, powiedziałam oberżycie, kim jesteście. Powiedziałam, że odbywacie w tych stronach wizytację i choć nie należycie do ludzi wymagających i gotowi jesteście spać na twardym łożu i zadowolić się minimum wygod, ziemianie, których odwiedzicie, na pewno zapytają was, gdzie się zatrzymaliście. Przy całej swej skromności, nie moglibyście powiedzieć, że macie tu przyzwoitą kwaterę, skoro brak w niej nawet kominka do ogrzania zdrożonego ciała. Wybaczcie mi, jeśli popełniłam błąd.

Odwróciła się i zaczęła się rozbierać. Clarenceux siedział na brzegu łóżka i patrzył, jak wyżyma ubrania do miski, a potem rozwiesza na suszarce przed ogniem. Musiała bez trudu przekonać oberżystę, że jest żoną szlachcica, pomyślał.

– Nie marnujmy gorącej wody do nóg – powiedziała, nie odwracając się.

– I zdejmijcie koszulę, żeby wyschła.

Clarenceux zrobił, jak kazała. Położył się nago do łóżka i leżąc po swojej stronie, nasłuchiwał, jak Rebbeca rozwiesza ich ubrania w różnych miejscach izby. Kilka minut później zasnął. Nie poczuł, jak wślizgnęła się obok niego pod kołdrę, również bez odzienia.

Niedziela, 19 grudnia

Nie masz pojęcia, jaki człowiek może być zmęczony – powiedział sir William Cecil, siadając przy dużym stole w swoim gabinecie. – Wierzaj mi, że nikt bardziej niż ja nie pragnie, aby królowa wyszła w końcu za mąż. Kraj chce się doczekać dziedzica, ja jednak pragnę tylko, aby miała męża, który położy się z nią do łóżka o przyzwoitej godzinie i zostanie tam do rana. Jestem wyczerpany. Najpierw sprawy polityczne ciągną się do bladego świtu, a wtedy przybiega posłaniec, który mi mówi, że jestem natychmiast potrzebny na dworze. I tak dwa dni z rzędu.

– Przykro mi to słyszeć, wasza miłość – rzekł Walsingham, kładąc na biurku zapisaną kartkę. – Całkowicie was rozumiem. Spisek Rycerzy Okrągłego Stołu pochłania moje dnie i noce tak jak królowa wasze.

Cecil przysunął sobie świecę i zaczął czytać pismo, które podsunął mu Walsingham. Zmrużył oczy, przebiegając wzrokiem po odręcznym piśmie swego sekretarza. Na kartce widniały arturiańskie imiona, daty i gdzieś tam kropkowana linia biegnąca w poprzek stronicy. Odłożył papier z powrotem na stół.

– Przykro mi, Francisie, ale moja inteligencja jest dzisiaj przytępiona. Musisz mi to wyjaśnić.

– Daniel Gyttens nadal odmawia zeznań. Znamy jednak jego konspiracyjne imię. Wiemy również, że jednym z Rycerzy jest Lancelot Heath, a William Harley nosi pseudonim króla Clariance’a, który wcześniej należał do Henry’ego Machyna. Tak więc znamy tożsamość ośmiu Rycerzy, wszystkich poza jednym, oraz pięć dat.

– Domyślam się, że żaden z nich nie udzielił tych informacji dobrowolnie.

Walsingham uśmiechnął się przelotnie i wskazał kartkę.

– Tu znajdują się wszystkie szczegóły, sir Williamie. Wypisałem je, aby unaocznić wam prawidłowość ukrytą w datach. Kiedy liczba oznaczająca dzień wzrasta o jeden, to samo się dzieje z rokiem. Z pewnością ma to związek z zaszyfrowanymi wpisami w kronice. To sprytny system: każda data sama w sobie nie budzi podejrzeń, lecz razem układają się w potężny spiszek.

– Wybacz mi, Francisie, ale nadal nie masz kroniki, nie możesz więc liczyć na to, że rozszyfrujesz znaczenie tych dat.

– Nie mogę, ale wzór, który odkryłem, pozwala nam określić, czym te dane są lub czym mogą być.

Cecil ponownie przeniósł wzrok na papier.

– Kropkowane linie oznaczają brakujące nazwiska?

– Tak sądzę.

Cecil wpatrywał się w pismo. Jego wzrok skoncentrował się na trzech pierwszych nazwiskach i datach.

Robert Lowe (sir Owain) – 1551 czerwiec 14
Nicholas Hill (sir Reynold) – 1552 czerwiec 15
William Draper (sir Dagonet) – 1553 czerwiec 16
..... – 1554 czerwiec 17
Michael Hill (sir Ector) – 1555 czerwiec 18
..... – 1556 czerwiec 19
..... – 1557 czerwiec 20
James Emery (sir Yvain) – 1558 czerwiec 21

xxx

William Harley, Clarenceux (król Clariance Northumberland)

Daniel Gytens (sir Reynold)

Lancelot Heath

– Powiedziałeś, że powinno być osiem nazwisk i dat.

– Według Michaela Hilla jest jeden Rycerz, którego imienia ani tożsamości nie zna żaden inny członek bractwa poza przywódcą, czyli królem Clariance'em.

Cecil wpatrywał się w kartkę przez długą chwilę. Więc jedna z tych kropkowanych linii ukrywa dziewiątego Rycerza, rozmyślał w milczeniu. A może ma on całkiem inną datę, stojącą na początku sekwencji albo na końcu. Wreszcie zapytał:

– Jak sądzisz, czemu dla przywódcy wybrano akurat imię króla Clariance'a z Northumberland?

Walsingham wzruszył ramionami.

– Pewnie Clarenceux przybrał je, aby pasowało do jego heroldowskiego tytułu. Może odegrała tu rolę jego próżność.

Cecil popatrzył na niego uważnie.

– Nadal zakładasz, że on jest twórcą spisku.

– Clariance jest „królem” tych ludzi. Tylko on zna tożsamość ostatniego Rycerza. Kto inny poza Clarenceux miałby odpowiednią pozycję społeczną, aby ich wszystkich zrzeszyć? Na pewno nie Draper. Jest bogaty i ma stosowne koneksje, ale to tchórz. I nosi imię arturiańskiego błazna.

– Tak, Francisie, wszystko to wiem, lecz nie wydaje ci się, że podobieństwo między Clarenceux i Clariance'em trochę zanadto rzuca się w oczy? Clarenceux nie jest głupcem, prędzej poniósłby wiele wyrzeczeń, aby zamaskować swą tożsamość, niż się z nią obnosić. Podejrzewam, że uważasz go za przywódcę, ponieważ pochodzi z wyższych sfer. Jeśli tak, to zawężasz swój sposób myślenia.

– A jakże inaczej mam o nim myśleć? Wszak jest szlachcicem.

Cecil podniósł się z miejsca, podszedł do kominka i roztarł dłonie, patrząc w ogień.

– Myśl o nim po prostu jak o człowieku. Może istotnie być przewodnikiem spisku, a może nim nie być. Myślisz kategoriami hierarchii społecznej: osoba zajmująca najwyższą pozycję zawsze pełni rolę dowódcy. Lecz idee nie są wyłączną domeną ludzi bogatych lub wysoko urodzonych. Rewolucyjne tendencje rzadko płyną z góry. Znacznie częściej ich źródłem są ludzie pośledniejsi... – Odwrócił się i spojrzał w beznamiętne oczy Walsinghama. – A nawet kobiety.

– Mówicie o Rebecce Machyn? – Walsingham przypomniał sobie, jak sam się łajał za to, że ją w przeszłości przeoczył.

– Nie mówię o żadnej konkretnej osobie, po prostu zwracam ci uwagę na różne możliwości. Rozważ jedną z nich: jeśli imię króla Clariance’a należało poprzednio do Henry’ego Machyna, można w zgodzie z rozsądkiem przyjąć, że Clarenceux nie wybrał go sobie z myślą o swym heroldowskim tytule. Z oczywistych powodów w ogóle go sobie nie wybierał.

– Macie lepszą teorię?

– Och, daj spokój, Francisie. Jestem zmęczonym człowiekiem, lecz nie na tyle głupim, aby się zgodzić, że teoria jest dobra tylko dlatego, że nie mamy innej. Gdybyśmy wszyscy tak myśleli, połowa Londynu siedziałaby w więzieniu. Ale skoro pytasz, to nie, nie mam lepszej teorii.

– A więc?

– Wzięłeś sobie za punkt honoru rozwiązanie tej zagadki, traktujesz ją niczym grę, więc sam mi powiedz. Dam ci wskazówkę. Kluczem nie jest słowo „Clariance” lecz „Northumberland”.

– Książę Northumberland?

– Nie. Hrabia.

Walsingham odwrócił wzrok. Jego małe oczka wędrowały po stiukach i złożonych narożnikach komnaty, szukając podpowiedzi, czegoś, co wyzwoliłoby proces myślowy. Na próżno.

Podszedł do niego Cecil.

– Moja teoria jest następująca – rzekł. – Musi istnieć powód, dla którego wybrano króla Clariance’a z Northumberland zamiast po prostu króla Artura. Rodowe nazwisko hrabiów Northumberland brzmi Percy. Załóżmy, tylko dla celu eksperymentu, że Lancelot jest arturiańskim imieniem Lancelota Heatha. Zapisz jego imię na początku całej sekwencji. Cztery pierwsze litery ułożą wówczas słowo „LORD”. Nie twierdzę, że jest to na pewno prawidłowa interpretacja, lecz uważam, że powinniśmy ją wziąć pod rozwagę. Zwłaszcza że z pozostałych dwóch możliwości nic sensownego nie wynika. Tak więc, jeśli układ imion jest poprawny, to pozostałe pozycje powinny utworzyć pięcioliterowe słowo z drugą E, ostatnią Y oraz gdzieś ustawionymi R i C. Jeśli nieznane słowo zaczyna się na P, otrzymamy frazę „Lord Percy”.

Walsingham nie wyglądał na przekonanego.

– Obecny hrabia, Thomas Percy, został w tym roku odznaczony Orderem Podwiązki. Sądzicie, że może okazać się zdrajcą?

– A ty wierzysz, że przeszedł na nowe wyznanie? Bo ja nie. Królowa Maria przywróciła mu tytuł dwadzieścia lat po Pielgrzymce Łaski, kiedy to jego wuj i ojciec dopuścili się zdrady. Pytanie brzmi: co łączy lorda Percy’ego z kroniką?

– Sir Williamie, snujecie domysły nieoparte żadnymi przesłankami. Potrzebujemy dowodów.

– Masz dowód przed oczami, Francisie. Czasem trzeba snuć domysły, aby odkryć prawdę. Kiedy ostatni raz widziano Clarenceux w mieście?

Walsingham wziął głęboki oddech.

– We wtorek w nocy. Pięć dni temu. Próbował wymknąć się z miasta przez kuźnię Roberta Lowe’a.

– Uważasz, że mógłby ukrywać się w Londynie przez tyle dni, skoro udało ci się aresztować prawie wszystkich pozostałych Rycerzy?

– Nie, ale nie rozumiem...

– Więc może inny lord Percy?

– Naprawdę nie wiem, do czego zmierzacie.

– W porządku. – Cecil rzucił okiem w stronę ognia płonącego w kominku. – Jak twierdzisz, snuję jeno domysły. I jestem zmęczony. Lecz Henry Machyn musiał pisać swoją kronikę przez kilka lat, aby wpleść w nią te wszystkie daty, prawda? Musiał więc knuć spisek od dawna. Ponieważ aktualny hrabia Percy dzierży swój tytuł zaledwie od sześciu lat, a niektóre daty arturiańskich Rycerzy są starsze, może chodzić o poprzedniego lorda Percy’ego.

– Henry’ego Percy’ego?

– Tak, Henry’ego. Oczywiście Machyn mógł zrobić w kronice fałszywe wpisy z wstecznymi datami.

Walsingham rozważał jego słowa w milczeniu.

– Henry Percy Green zmarł w swoim domu w Newington – zauważył wreszcie. – Pochowano go w kościele Świętego Augustyna w Hackney.

– Jak widzisz, to niedaleko Londynu. – Cecil usiadł z powrotem na swoim miejscu. – Mam pewność, że mój domysł jest słuszny, bez względu na to, którego lorda Percy’ego dotyczy. Każ obserwować żyjącego hrabiego. A także wdowę po zmarłym hrabim. Mieszka w rezydencji Sheffield, w jednym z majątków swego zmarłego brata, hrabiego Shrewsbury. Przygotuję list napisany w imieniu królowej do sędziów okręgowych South Riding i Northumberland, aby przeszukano wszystkie

domy i zamki Percych. Jednak równie istotny jest fakt, że mamy osiem nazwisk i dziewięć dat. Potrzeba nam już tylko kroniki.

– Sir Williamie, z całym szacunkiem, ale nie tylko kroniki potrzebujemy. Musimy także postawić winowajców tego katolickiego plugastwa przed sądem. Człowiek, który jest w posiadaniu kroniki, musi zostać zniszczony. Wiecie o tym. Niech was nie zwiedzie na manowce wasze szlachetne serce. Clarenceux może oddać kronikę i nadal pracować nad zatopieniem okrętu, jakim jest Anglia.

Poniedziałek, 20 grudnia

Piąty dzień podróży był zdecydowanie najcięższy. Droga od Uppingham rozmokła i zamieniła się w breję. Silny wiatr gnał po niebie szare chmury, a deszcz zacinał w twarze. Woda w strumieniach wezbrała od roztopionego śniegu i deszczu, w kilku miejscach rzeki wystąpiły z brzegów. Gdzieniegdzie pola stały pod wodą. Z czasem drogi stały się jeszcze trudniejsze do przebycia. Zniknęły twarde koleiny i zamrożnięte błoto, za to teraz musieli uważać na głębokie kałuże. Wcześniej, kiedy mróz skuwał ziemię lodem, konie mogły przynajmniej po nim stąpać. Kiedy wszystko zaczęło topnieć, a miejscami stały kałuże głębokie nawet na trzy lub cztery stopy, jazda stała się jeszcze niebezpieczniejsza. Clarenceux i Rebecca musieli zsiadać z wierzchowców i prowadzić je razem z jucznymi końmi dookoła większych zagłębień.

Prawdziwe nieszczęście nie zaczęło się jednak ani od poślizgnięcia, ani głębokiej kałuży. Drogą jechał ciężki czterokołowy wóz, załadowany dębowymi pniami. Aby spowolnić zjazd ze wzniesienia po śliskiej błotnistej drodze, woźnica przywiązał z tyłu pięć koni i ostrożnie kierował pojazdem. Nagle ostatnie zwierzę upadło i złamało nogę. Słyszając żalosne rżenie towarzysza, pozostałe konie jęły się szarpać w popłochu. Wóz nabral prędkości i pociągnął za sobą zwierzęta, które po kolei traciły równowagę.

Zaprzęg toczył się z hukiem coraz szybciej w stronę Clarenceux i Rebekki, jadących z głowami spuszczoneymi przed wiatrem i deszczem.

Usłyszeli rzenie przerażonych koni i krzyki woźnicy, który zeskokczył z wozu i patrzył, jak jego furmanka pędzi w stronę spokojnie jadących podróżnych. Clarenceux odruchowo spiął konia i skierował go w bok. Juczne zwierzę, pozbawione jeźdźca, podążyło za nim, lecz wierzchowiec Rebekki, widząc przed sobą skręcającego luzaka, podniósł łeb i rozglądał się rozpaczliwie za przejściem. Wahał się o sekundę za długo. Koło rozpędzonego wozu uderzyło go w tylną nogę i zwierzę runęło na ziemię, gdzie zaczęło koziołkować, wierzgać i rzucać łbem, Rebecca zaś wylądowała w błocie.

Wóz pomknął dalej i wkrótce grzmotnął w przydrożną lepiankę, przebił ścianę frontową i zatrzymał się w izbie. Przez chwilę strzecha zwisała bezwładnie, po czym oderwała się od zrujnowanego frontu. Clarenceux zsiadł błyskawicznie z konia, aby pomóc Rebecce wstać. Potłukła się, lecz poza tym nic jej się nie stało.

Za to jej stępak nie mógł się podnieść na nogi. Kilka razy rozpaczliwie próbował się poderwać, lecz złamana kość rozrywała w nodze coraz większą ranę. Clarenceux przyklęknął obok głowy zwierzęcia, popatrzył mu w oczy, z rezygnacją pogłaskał po szyi. Potem wyjął z bagaży miecz i poderżnął zwierzęciu gardło. Przywiązawszy zwłoki do swojego konia, ściągnął je z drogi na trawę i tam zostawił, mówiąc wieśniakom, którzy zgromadzili się i oglądali uszkodzoną chałupę, że mogą je zabrać i zrobić, co zechcą, z mięsem i skórą.

Wypadek kosztował ich trzy drogocenne godziny. Pomimo usilnych próśb wieśniaków nie pozostali na noc i ruszyli w dalszą drogę. Rebecca dosiadła konia jucznego, a wszystkie rzeczy, których nie mogli zostawić, przytroczyli do siodeł. Kiedy dojechali do Melton Mowbray, byli

przemoknięci do suchej nitki, ubłoceni i ledwo żywi ze zmęczenia, a Clarenceux coraz bardziej się denerwował. Jak dotąd pięć dni zajęło im przejechanie stu dwudziestu mil, tymczasem w normalnej sytuacji jazda do Sheffield z Londynu trwałaby cztery dni. Potem doszedł jednak do wniosku, że tak dalekie podróże prawie zawsze odbywał latem, kiedy ujechanie czterdziestu lub nawet pięćdziesięciu mil dziennie nie przedstawiało trudności, bo dni były dłuższe, a drogi w nieporównanie lepszym stanie. Tym razem pogoda okazała się groźnym wyzwaniem.

Tego wieczoru Rebecca nalegała, aby pozwolono jej wziąć w gospodzie kąpiel. Razem z błotem z drogi chciała zmyć z siebie wspomnienia wypadku. Była to kosztowna fanaberia, wymagająca ogromnej ilości wody, której trzeba było nagrzać, a potem przenieść do pokoju, lecz Clarenceux nie zamierzał jej odmawiać po tym wszystkim, co tego dnia przeżyła. Zaproponowała, by do niej dołączył, i herold przyjął jej zaproszenie, lecz był tak pochłonięty swoimi myślami, że prawie się nie odzywał.

Mamy przed sobą jeszcze dwa dni drogi. I po co to wszystko? Czego się dowiemy u celu podróży? Czegóż, co jeszcze głębiej wciągnie nas w spisek i przyspieszy naszą egzekucję.

Gdzie jest Awdrey? Jak sobie radzi? Czy Thomas znalazł ją w Devon? Jak się czują moje córeczki, Annie i mała Mildred? Tyle niemowląt umiera w czasie swojej pierwszej zimy. Czy mam jeszcze dwie córki, czy już tylko jedną? Czy w ogóle któraś z nich jeszcze żyje?

Pomyślał o Walsinghamie i Crackenthorpie. Czy udało im się schwytać Nicholasa i Michaela Hillów? Lancelota Heatha i Daniela Gyttensa? A pozostałych Rycerzy? Jeśli tak i jeśli Crackenthorpe ich przesłuchiwał, co mu powiedzieli? Swoje imiona i daty, tak samo jak nam.

Rebecca zauważyła zmianę na jego obliczu.

– Co się stało?

– Jeśli my rozszyfrowaliśmy wiadomość ukrytą w imionach Rycerzy, to Walsinghamowi również się to uda. Im dłużej trwa nasza podróż, tym większe niebezpieczeństwo, że Crackethorpe będzie czekał na nas u celu.

Środa, 22 grudnia

Wczesnym popołudniem minęli otwartą bramę majątku Sheffield. Poprzedniego dnia jechali najszybciej, jak się dało, aż do późnych godzin wieczornych i pokonali co najmniej czterysta staj. Był to heroiczny wysiłek ze strony Rebekki, która w końcu przyznała, że spadając z konia, skrzyła sobie nadgarstek. Tego ranka wyruszyli o świcie i jadąc z taką samą prędkością, przebyli prawie dwadzieścia cztery mile.

Jakby na ich powitanie chmury, które wisiały nisko przez cały ubiegły tydzień, rozpierzchnęły się i przebiło przez nie słabe zimowe słońce, a mokra kora drzew przy podjeździe zaśniła złoto. Budowlę otaczała rozległa murawa, tu i ówdzie upstrzona dębami i wiązami. Pod rozłożystymi konarami wielkiego dębu pasło się stado jeleni. W oddali jechał wóz załadowany drewnem na opał. W końcu ich oczom ukazała się wspaniała trzypiętrowa rezydencja z kamienia, z wielodzielnymi oknami i wysokim gankiem. Słońce świeciło na fasadę budynku, odbijało się od szyb i nadawało kamieniom ciepły, przyjazny odcień.

Na końcu podjazdu podszedł do nich kamerdyner i jął wypytywać, kim są oraz w jakiej sprawie przybyli. Potem zaprowadził ich do wejścia. Kazał chłopcu stajennemu przytrzymać konia Rebekki, kiedy zsiadała z wierzchowca. Clarenceux wyjął kronikę obłożoną deseczkami i owiniętą

płótnem i włożył ją sobie pod pachę. Podczas gdy chłopak odprowadzał konie w stronę stajni, kamerdyner dał im znak, aby poszli za nim przez hol.

Służący rozstawiali właśnie do wieczerzy dwa długie stoły na kozłach i nakrywali je obrusami. Ściany wokół podestu wyłożone były ozdobnymi tkaninami, w palenisku na środku płonął ogień, białoszare smugi dymu wzbijały się do góry i wirowały w snopach światła wpadającego przez wysokie okna w południowej ścianie. W niższej części holu w charakterze ozdób dominowały łuki, piki, kilka strzelb z długimi lufami oraz ogromna tkanina z herbem hrabiów Shrewsbury.

Z drzwi w głębi holu wyszedł młody mężczyzna o żywym obliczu, otoczonym wąską elegancką kryzą i wysokim kołnierzem. Ukłonił się heroldowi.

– Witajcie, panie Clarenceux, pani Machyn. Nazywam się Benedict Richardson, jestem szambelanem jaśnie pani hrabiny. Pani hrabina zgodziła się przyjąć was niezwłocznie w komnacie audiencyjnej.

Powiódł ich długim korytarzem, a następnie pięknymi drewnianymi schodami, skąpanymi w jasnym świetle wpadającym przez wielkie okna. Na pierwszym piętrze znaleźli się w wysokim przestronnym holu, z którego wprowadzono ich do następnego pomieszczenia – ciepłej komnaty, wyłożonej kolorowymi gobelinami i ogrzanej płonącymi w kominku polanami.

Lady Percy, wdowa po hrabim Northumberland, patrzyła na wchodzących gości z wysokiego tronu. Miała na sobie czarną jedwabną suknię, zdobioną szlachetnymi kamieniami i brokatem.

– Pan William Harley, Wielki Herold Clarenceux, oraz pani Machyn – oznajmił Richardson donośnym głosem, kłaniając się.

Hrabina odgarnęła z twarzy luźny kosmyk siwych włosów i uważnie przyjrzała się przybyłym.

– Jesteście młodszy, niż się spodziewałam – rzekła do herolda.

Clarenceux wyszedł na środek sali i uklęknął przed nią na prawym kolanie. Potem, nie wypuszczając kroniki spod pachy, wstał i popatrzył hrabinie w oczy.

– Miłościwa pani, przybywam prosto z Londynu. Jechałem najszybciej, jak mogłem. Wasze słowa świadczą, że znacie mnie pod imieniem króla Clariance’a Northumberland. Towarzyszy mi wdowa po poprzednim królu Clariansie, Henrym Machynie, członku Gildii Kupiecko-Krawieckiej. On w istocie był starszy ode mnie. Zginął za sprawę.

Wdowa zmierzyła herolda wzrokiem z góry do dołu. Potem przeniosła uwagę na Rebeccę, zauważyła jej skromne odzienie, wysokie kości policzkowe, determinację na obliczu i domyśliła się, że jest zdenerwowana, lecz nie chce dać tego po sobie pokazać. Hrabinie się to spodobało. Opanowanie jest ważną cnotą, zwłaszcza u kobiety i w polityce.

Lady Percy uniosła prawą dłoń i machnięciem ręki odprawiła ludzi stojących pod ścianami. Benedict Richardson odczekał, aż wszyscy wyjdą, po czym zamknął drzwi sali audiencyjnej z wypracowaną ceremonialnością i zajął miejsce przy drzwiach. Poza nimi trojgiem został tylko on.

– Panie Clarenceux, mniemam, że macie ważny powód, aby narażać mój dom na najście ludzi królowej.

– Jaśnie pani hrabina zna ten powód. Trzymam go pod pachą.

– A zatem to kronika. Napisana przez Henry’ego Machyna.

– Tak. W Londynie ludzie królowej straszili, że mnie zabiją, jeśli jej nie oddam.

– Więc czemu tego nie zrobiliście?

– Ponieważ zabiliby mnie, nawet gdybym ją oddał, tylko dlatego, że miałem ją w rękach.

– Jesteście mądrym człowiekiem, panie Clarenceux. Więc czemu tu przyjechaliście?

– Z całym szacunkiem, miłościwa pani, muszę wiedzieć, co zawiera kronika.

Rebecca w pierwszej chwili poczuła się onieśmielona przepychem sali audiencyjnej, szybko jednak odzyskała rezon i pewność siebie. Wtrąciła się teraz do rozmowy.

– Miłościwa pani powiedziała, że spodziewała się króla Clariance’a. Od jak dawana?

Hrabina przeniosła wzrok na Rebeccę. Nagle jej twarz rozjaśniła się przelotnie, przemknął po niej cień zrozumienia, który prawie, lecz nie całkiem, zamienił się w uśmiech.

– Doprawdy, to trudniejsze pytanie, niż sądzicie. W pewnym sensie czekam dwadzieścia sześć lat, od śmierci hrabiego Percy’ego. W innym zaledwie kilka dni. Kiedy tydzień temu sir Parsifal spełnił swój obowiązek, przywożąc mi wiadomość, że zabito waszego męża, domyśliłam się, że tym razem spadkobierca kroniki zacznie działać. Albo zjawicie się u mnie, albo od razu wykorzystacie księgę.

Rebecca zaniemówiła zaskoczona. Zamiast niej przemówił Clarenceux.

– Kim jest sir Parsifal, miłościwa pani?

– Są sprawy, o które nie powinniście pytać, ponieważ moja niechęć, by o nich mówić, może wam się wydać nieuprzejmością, chociaż ukrywam przed wami te informacje dla waszego dobra.

Rebecca popatrzyła na herolda, potem na wdowę.

– Od kogo sir Parsifal dowiedział się, że mój mąż nie żyje?

– To kolejne pytanie, którego nie powinniście zadawać.

Zapadło milczenie.

– Dwadzieścia sześć lat to zaiste dużo czasu – odezwał się Clarenceux. – Kronika obejmuje zaledwie trzynaście. Jak to się stało, że miłościwa pani czekała tak długo? I na co?

Lady Percy przeniosła wzrok na swego szambelana.

– Możesz nas zostawić, Richardsonie. Wezwę cię, kiedy będziesz potrzebny.

Richardson uklonił się i wyszedł z sali.

– Co wiecie o hrabim Percym, panie Clarenceux?

Clarenceux przyjrzał się jej uważnie.

– Henry Percy, hrabia Northumberland, był waszym mężem, miłościwa pani. Wiem, że zmarł wkrótce po Pielgrzymce Łaski. Plotka głosi, że poślubił w młodości późniejszą drugą żonę starego króla, Annę Boleyn, lecz kardynał Wolsey zerwał ich związek.

Miał jeszcze chęć dodać, że powszechnie krytykowano go również za nadmierną rozrzutność, ale się rozmyślił. Wystarczająco ryzykowne było poruszanie drażliwego tematu Anny Boleyn.

Hrabina skinęła głową.

– Nawet dzisiaj, po tylu latach, te wspomnienia przejmują mnie goryczą. Myślę, że nie uwolnię się od tych uczuć do końca swych dni, a nie mogę się oprzeć myśli, że będą mnie prześladować również w czyścicu, albowiem nie potrafię tej kobiecie wybaczyć, chociaż mi jej żal. To, co nazywacie plotką, jest w istocie powszechnie wiadomym faktem. Lecz muszę opowiedzieć wam całą historię, abyście zrozumieli, jakie doniosłe są jej konsekwencje.

Mym ojcem był hrabia Shrewsbury, ojcem mego męża hrabia Northumberland. Rodzice nasi, jak to zwykle czynią ludzie wysoko postawieni, postanowili przypieczętować związek swoich rodów zaręczynami. Lord Percy miał wówczas czternaście lat, a ja dwanaście. Nie znaliśmy się, prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Niedługo potem lord

Percy wstąpił na dwór kardynała Wolseya i podczas wizyty w pałacu królewskim poznał Annę Boleyn, która była wówczas damą dworu królowej Katarzyny. Zakochali się w sobie. Ich miłość trwała przez lata, wymieniali sekretne pocałunki i podarki za każdym razem, ilekroć Henry przyjeżdżał na dwór królewski. Jednak według hrabiego Northumberland jego syn był zaręczony ze mną i nic nie mogło tego zmienić. Wiedząc, że nie uzyska aprobaty ojca, mój narzeczony poślubił Annę potajemnie. Oboje mieli dwadzieścia jeden lat i małżeństwo zostało skonsumowane wkrótce po ślubie, zgodnie z prawem i w pełni legalnie w oczach Kościoła. Nikomu jednak o tym nie powiedzieli. Nawet mnie.

Uwagi Clarenceux nie uszła gorycz, jaka zadźwięczała w ostatnich słowach hrabiny. Pozwolił jej kontynuować.

– Było to w roku tysiąc pięćset dwudziestym drugim. Wolsey zauważył uczucie, jakim Henry darzył Annę, i potępił je. Wiedział, że rozgniewa ono ojca Henry’ego, hrabiego Northumberland. Mniej więcej w tym samym czasie wyszło na jaw, że Anna zwróciła również uwagę samego króla, który nakazał kardynałowi rozdzielić kochanków. Wolsey skwapliwie posłuchał królewskiego rozkazu i wywiózł Percy’ego do Yorku, gdzie przypomniał mu, że jest ze mną zaręczony. Ja zaś w tamtym czasie o żadnej z tych rzeczy nie wiedziałam. Miałam dziewiętnaście lat i uważałam aranżowane małżeństwo za rzecz rozsądną, ponieważ pragnął go mój ojciec. Nie znałam hrabiego Percy’ego, lecz która żona zna swego męża przed ślubem? Matka zapewniła mnie, że z czasem się pokochamy. W noc poślubną, kiedy leżałam w łóżu, zdenerwowana dziewczica mająca stać się kobietą, a przynajmniej tak sądziłam, przyszedł do mnie mój świeżo poślubiony mąż. Wtedy po raz pierwszy zostaliśmy sam na sam. Oświadczył mi chłodno, że nie ożenił się ze mną z własnej woli i że nasz ślub jest nieważny, albowiem on jest już mężem Anny Boleyn. Dodał, że nasze

małżeństwo nigdy nie zostanie skonsumowane, ponieważ kocha swoją prawdziwą żonę i byłoby grzechem, gdyby wstąpił do mego łoża. Oznajmił też, że nie da pieniędzy na moje utrzymanie i że powinnam zażądać ich od swego ojca, który do spółki z jego rodzicem przyczynili się do naszej niedoli. Potem opuścił moją komnatę.

Ojciec mój napisał do niego list z żądaniem, by łożył na moje utrzymanie, lecz lord Percy odmówił nawet dyskusji na ten temat. Wiodłam żaloszny żywot, traktowano mnie jak niepożądanego gościa w Alnwick, Wressle i wszystkich innych majątkach rodziny Percych. Dostawałam pokój, okazywano mi minimum wymaganej gościnności i nic ponadto. Lord Percy odmawiał mi nawet pieniędzy na ubrania, mówiąc, że powinnam wrócić do rodziców lub wstąpić do klasztoru. Oczywiście nie mogłam uczynić ani jednego, ani drugiego, ponieważ w oczach świata byłam jego żoną. Mój ojciec nie chciał się przyznać, że tak niefortunnie wybrał dla mnie męża, chociaż wiedział, że nie dostaję od niego środków na utrzymanie. Nie wiedziałam, co począć, więc żyłam dalej najlepiej, jak umiałam, spędzając większość czasu w samotności, czytając pobożne księgi i modląc się, by Bóg się nade mną ulitował. Pewnego dnia niespodziewanie przyjechał do mnie hrabia Percy. Doszły go słuchy, że Anna została kochanką poety Thomasa Wyatta. Był dziwnie spokojny, opętany jakąś osobliwą mściwością. Nie gadał o niczym innym, jak tylko o tym, że Anna go zdradziła, a on nie może przestać o niej myśleć. Oczywiście nie miałam dla niego ani krztyny współczucia i wkrótce znowu się kłóciliśmy. Posunął się nawet do tego, by mnie oskarżyć o udział w spisku, w którym rzekomo miałam nakłonić Thomasa Wyatta, aby uwiódł Annę.

Lady Percy umilkła. Wstała sztywno z fotela i wzięwszy do rąk laski, podeszła do okna. Patrząc na park, ciągnęła:

– Dzisiaj, po czterdziestu latach, widzę te rzeczy dużo jaśniej. Kochał tę kobietę tak bardzo, że nie był zdolny obdarzyć uczuciem nikogo innego. Chociaż ona kochała innych, niektórych bardziej niż jego, on nigdy się z tym nie pogodził. I to go zgubiło.

– Nie czuje miłościwa pani gniewu? – spytała Rebecca.

Hrabina odwróciła się od okna.

– Oczywiście, że czuję. Ale by rzec prawdę, większy gniew czuję na króla. Uganiał się za nią przez lata niczym myśliwy za zwierzyną, a ona go kokietowała i flirtowała z nim, aż dał się kompletnie otumanić. Zmusił ją, by zerwała z Wyattem, a choć nie zgodziła się zostać jego nałożnicą, oznajmiła, że wyszłaby za niego za męża, gdyby nie był żonaty z Katarzyną. Wkrótce potem, latem tysiąc pięćset dwudziestego siódmego roku, król rozpoczął starania o rozwód. Widząc, że myśli poważnie o uczynieniu jej królową, i obawiając się, że jej potajemne małżeństwo z lordem Percym wyjdzie na jaw, Anna wpadła w panikę. Wyznała królowi, że potajemnie zaślubiła Percy'ego, lecz nie powiedziała, że ich związek został skonsumowany. Król zakochany do szaleństwa wierzył w każde jej słowo i po prostu uwzględnił tę informację w swoich planach. Wymógł na papieżu bullę pozwalającą mu na poślubienie, kogo mu się żywnie spodoba, jeśli tylko uwolni się od Katarzyny, nawet kobietę, którą łączył z innym kontrakt małżeński. W tym nowym związku obowiązywał jeden warunek: że małżeństwo kandydatki nie zostało skonsumowane. Rzecz jasna małżeństwo Anny zostało jak najbardziej skonsumowane, musiała więc zrobić wszystko, aby prawda nie wyszła na jaw. Związek Anny z królem złamał Percy'emu serce. W tym samym roku zmarł jego ojciec i choć Henry został hrabią Northumberland, nic go już w życiu nie cieszyło, nawet tytuł. Gdyby ktoś go przebił mieczem lub otrął, przyniósłby mu błogosławioną ulgę. Zachowywał się dziwnie, jeździł nawet na dwór

i wręczał królowi podarki tylko po to, by choć z daleka zobaczyć Annę. Ona nie chciała z nim nawet rozmawiać. Tymczasem król niezadowolony, że jego królowa była kiedyś zaślubiona Percy'emu, zaczął go prześladować, zmuszał do zwrotu ziem i majątków. I lord Percy oddał mu wszystko, a sam marniał pogrążony w apatii.

Potem, całkiem szybko, Anna zaczęła tracić władzę nad królewskim sercem. Była już po trzydziestce, jej uroda więdła, a niemoc, by urodzić królowi syna, widać oznaczała, że nie była miła Bogu. Król uznał, że skoro Bóg nie obdarzył jej łaską, nie można jej ufać. Podły, okrutny człowiek...

Hrabina pokręciła głową na to wspomnienie.

– Wszyscy się nawzajem nienawidzili. Ja nienawidziłam Anny za to, że zrujnowała mi życie. Nienawidziłam też mego rzekomego męża. Lord Percy nienawidził mnie, a także Anny i króla. A król nienawidził każdego z nas z osobna. Wszyscy się go bali. Lecz gdy tylko zaczął rozmyślać, jak się pozbyć Anny, Percy nagle odzyskał ducha. Zbudziła się w nim nadzieja, że ją jeszcze odzyska...

– Czemu miłościwa pani powiedziała, że król nienawidził każdego z was z osobna? – spytał Clarenceux. – Czemu miałby nienawidzić was?

– Był tak zachłyśnięty własną potęgą, że pogardzał każdym, kto kwestionował jego decyzje, kto przysparzał mu kłopotów lub rzucał kłody pod nogi. Nienawidził ludzi, którzy stali mu na drodze, nieważne, czy był to papież, czy nic nieznacząca niewiasta. Przysporzyłam mu kłopotów, ponieważ próbując unieważnić swoje małżeństwo, ogłosiłam publicznie, że lord Percy wziął ślub z Anną Boleyn. W okresie, gdy król gorączkowo usiłował zyskać jej miłość i rękę, ja byłam dlań irytującą przeszkodą. Ostatecznie, rzecz jasna, zaczął czynić starania, by się z nią rozwieść, powołując się na ten sam argument: że była wcześniej poślubiona Percy'emu. Wtedy zwrócono królowi uwagę, że jeśli rozwiedzie się z Anną

i uzna ważność jej wcześniejszego małżeństwa z Henrym, jego córka, Elżbieta, przestanie być prawowitą dziedziczką tronu.

– Z całym szacunkiem, miłościwa pani, ale dlaczego? – spytała Rebecca. Hrabina odwróciła się w jej stronę.

– Dziecko drogie, jak zapewne potwierdzi to twój towarzysz herold, następstwem tronu rządzą ściśle określone zasady, ustanowione za czasów Ryszarda Trzeciego. Poprawcie mnie, jeśli się mylę, panie Clarenceux, lecz w akcie znanym jako *Titulus Regis* zapisano dwa zastrzeżenia, które zabraniają królewskiemu dziecku dziedziczenia tronu. Mam rację?

Clarenceux rozmyślał o nienawiści, która płynie z góry, z króla na możnowładców, z możnowładców na zwykłych ludzi, zwłaszcza gdy królem jest człowiek taki jak Henryk VIII, który folguje swoim zachciankom bez umiaru. Zebrał myśli.

– Tak. Są dwa zastrzeżenia. Jeśli król lub królowa byli uprzednio w związku małżeńskim oraz jeśli ślub pary królewskiej odbył się potajemnie, potomstwo traci prawo do sukcesji. Z powodu tej ustawy utracili tytuł do tronu Edward Piąty oraz jego brat, Ryszard Plantagenet. Chociaż Henryk Siódmy uchylił to prawo, aby pozwolić swojej żonie zachować królewską godność, nadal stanowi ono poważne zagrożenie dla królowej. Już raz przyczyniło się do detronizacji monarchy. Sytuacja może się powtórzyć. Precedens został stworzony.

Hrabina wzięła do ręki jedną ze swych lasek, jakby w ten sposób chciała podkreślić wagę tego, co ma do powiedzenia.

– Jestem pod wrażeniem, panie Clarenceux. A zatem, jak widać, jeśli lord Percy i Anna Boleyn wzięli ślub i małżeństwo zostało skonsumowane zgodnie z jego deklaracją, prawo stosowałoby się również do naszej obecnej królowej, Elżbiety. Ponieważ król i Anna Boleyn zostali poślubieni potajemnie. Nawet gdyby król był rozwiedziony z pierwszą żoną zgodnie

z prawem kościelnym, a wszak nie był, to pierwszy ślub Anny i tak czyniłby królową Elżbietę nieprawomocną monarchinią Anglii.

– Dlatego mówił o „losie dwóch królowych...” – mruknął Clarenceux.

– Co proszę? – spytała lady Percy.

– Przypominałem pani Machyn słowa jej męża, że od kroniki zależy los dwóch królowych – wyjaśnił herold.

– To prawda. Tron Anglii powinna odziedziczyć Maria Szkocka. A kraj powróciłby na łono Kościoła katolickiego. Lecz przerwano mi opowieść, a mam do zrelacjonowania jeszcze kilka niezwykle ważnych rzeczy. Król, uprzytomniwszy sobie, że jego rozwód z Anną odebrałby Elżbiecie prawo do tronu, zrezygnował z takiego rozwiązania, a zamiast tego oskarżył swoją żonę o cudzołóstwo i skazał ją na ścięcie. A żeby jeszcze głębiej wbić nóż w pierś lorda Percy’ego, kazał mu zasiąść w komisji, która miała wydać wyrok. Teraz sami widzicie, czemu mówiłam, że król był okrutny. Zachowywał się jak chłopiec bawiący się maleńkimi stworzeniami. Natrafiając na najdrobniejsze trudności, stawał się bezwzględny, ścinał głowy tak, jak dziecko ze złości wyrywa nóżki komarnicy. Już wcześniej zmusił Percy’ego, aby uczynił go swym dziedzicem i zapisał mu wszystkie swoje majątki, teraz zaś zmusił go do oskarżenia własnej żony, największej miłości jego życia, o cudzołóstwo. A ponieważ Henry upatrywał w Annie Boleyn przyczynę wszystkich swoich nieszczęść, przyłączył się do członków komisji, którzy skazali ją na śmierć. Jednak jego motywami były czysto osobiste, ponieważ Anna nie dotrzymała mu wierności. Okłamała króla, a on w końcu doszedł do wniosku, że lepiej ją zabić, niż odebrać swej córce prawo do tronu.

Rebecca zapragnęła usiąść. Zrobiło jej się słabo od słuchania tej opowieści, ale wytrzymała.

– Co to wszystko ma wspólnego z moim mężem, miłościwa pani? – spytała.

– Oświadczywszy, że nigdy ze mną nie zamieszka, lord Percy spędzał większość czasu w zamku Wressle. Tam właśnie Robert Aske wraz z innymi uczestnikami Pielgrzymki Łaski poprosił go, by stanął na czele buntu przeciw królewskiej tyranii. Lecz lord Percy nie miał na to dość odwagi. Po śmierci Anny stracił chęć do życia i nawet myśl o walce z królem, który wysłał ją pod topór, nie rozbudziła w nim zapału. W końcu w swej mściwości sam skazał ją na śmierć. Ostatnie lato spędził w Newington Green w Middlesex i tam zmarł. Myślę, że się otruł, bo miał zaledwie trzydzieści pięć lat. A pozostawił bardzo szczegółowe instrukcje dotyczące swego pochówku.

– Czy mój mąż organizował jego pogrzeb?

– Tak. Arthur Darcy zawiózł waszego męża do lorda Percy’ego tuż przed jego śmiercią, a ten wydał mu polecenia dotyczące mszy żałobnej oraz grobowca. Przekazał mu także dokument, który był jego największym skarbem.

Hrabina przerwała, przenosząc wzrok z Rebekki na Clarenceux. Potem bardzo powoli, jakby każde słowo sprawiało jej ból, dokończyła:

– Dowód swego małżeństwa z Anną Boleyn.

Clarenceux ciarki przeszły od stóp do głów.

– Co takiego? Dowód, że... że królowa Elżbieta jest nieprawą dziedziczką tronu?

– Tak, panie Clarenceux. Przekazał Henry’emu Machynowi oryginał aktu małżeństwa, podpisany i opatrzony pieczęcią notariusza, biskupa Durham i Rochester oraz kapelana Jej Królewskiej Mości. Jest to niepodważalny dowód, że Anna Boleyn była zamężna, zanim potajemnie poślubiła króla.

Rebecca zadrżała. Henry wiedział o tym przez tyle lat i nigdy nie pisał na ten temat ani słowa. Jak to możliwe, że udało mu się ukryć taką tajemnicę?

Spojrzała na Clarenceux, który zmarszczył czoło.

– Czemu w takim razie kronika nie zaczyna się wcześniej, tylko dopiero w tysiąc pięćset pięćdziesiątym roku? Skoro Henry Machyn strzegł dokumentu od trzydziestego siódmego roku, dlaczego od razu nie rozpoczął pisanie?

– Pan Machyn przyjechał do mnie, kiedy zmarł mój ojciec, rok po śmierci Percy’ego. Oznajmił mi, że przekazano mu ten dokument, i poprosił mnie o radę. Spytałam go, czy uważa, że należy go zniszczyć. Odparł, że nie. Spytałam następnie, czy jego zdaniem należy go wykorzystać, na co odrzekł, że nie w tej chwili. Gdyby się jednak zdarzyło, że Elżbieta doszłaby do władzy, wtedy trzeba będzie go ujawnić. Zgodziłam się z nim. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym, kiedy Edward Szósty zachorował i było nader prawdopodobne, że umrze, pan Machyn zjawił się u mnie po raz wtóry, tym razem z sir Arthurem Darcym oraz mężczyzną, który potem przyjął imię sir Parsifala. Ustaliliśmy, w jaki sposób zabezpieczyć dokument: aby strzegło go dziewięciu mężczyzn, którzy zebrani razem będą go mogli odnaleźć bez względu na to, co się stanie z jego depozytariuszem.

– Młóściwa pani, właśnie to usiłuję wam powiedzieć – wtrącił Clarenceux. – Nie potrafimy go odnaleźć. Imiona układają się tylko w słowa „Lord Percy”, a daty wskazują miesiąc jego śmierci. Nie znaleźliśmy żadnej informacji o miejscu ukrycia dokumentu.

Hrabina milczała dłuższą chwilę.

– Panie Clarenceux, powiedziałam wam wszystko, co wiem na ten temat. Powierzyłam ukrycie pisma panu Machynowi. Jeśli jego wskazówki nie

wystarczają, by je odnaleźć, może się okazać, że przypadło na dobre. Co by oznaczało, że król Clariance zginął na próżno.

– Nadal nie rozumiem, w jaki sposób zinterpretować kronikę.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, panie Clarenceux.

O jednym mogę was zapewnić: nie znajdziecie tej odpowiedzi w Sheffield. Lord Percy nie lubił przyjeżdżać do domu mego ojca. To było jedyne miejsce, gdzie służący nie słuchali jego poleceń, tylko moich.

Clarenceux patrzył na tę starą kobietę i nie mógł uwierzyć, że ona również nie zna odpowiedzi, której szukał. Spuścił wzrok i spojrzał na księgę, którą trzymał pod pachą. Henry Machyn nie przekazał mi wszystkich potrzebnych informacji. Miał o mnie zbyt wysokie mniemanie. Myślał, że odkryję prawdę, a ja nie potrafię jej zrozumieć.

Wtedy wpadła mu do głowy pewna myśl.

– Miłościwa pani – rzekł powoli. – Czy Księga Hioba przedstawia dla was szczególną wartość?

– Sądząc ze sposobu, w jaki zadaliście pytanie, znacie już na nie odpowiedź. Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, lecz dla lorda Percy’ego miała ogromne. Czytał ją codziennie.

– Jego epitafium! – powiedział Clarenceux, przenosząc wzrok z przestraszonej twarzy Rebekki na hrabinę. – Czy miłościwa pani wie, jakie epitafium widnieje na grobowcu lorda Percy’ego? Czy to fragment z Księgi Hioba?

– Tego nie wiem na pewno – odparła hrabina. – Nigdy go nie widziałam. Lecz za drugim swoim pobytem pan Machyn oznajmił mi, że zamierza dodać na grobowcu kilka wersów z Pisma Świętego.

Clarenceux uderzył lewą pięścią w prawą dłoń.

– Teraz rozumiem. Przyjechaliśmy w niewłaściwe miejsce. Klucz do zagadki nie tkwi w datach, lecz w innym dokumencie, wyrytym

w kamieniu. Ależ ze mnie głupiec. Ślepy głupiec. „Lord Percy, czerwiec 1537”. To wskazówka, by udać się do jego grobowca, a nie tutaj. Musimy jak najszybciej wracać do Londynu.

Hrabina podparła się laskami i podeszła do Clarenceux. Spojrzała mu w oczy.

– Mimo wszystko mam nadzieję, że ta wizyta nie okazała się bezużyteczna. Radzę, abyście pozwolili pani Machyn wytchnąć przez noc, zanim zabierzecie ją z powrotem na południe. Wygląda, jakby padała ze zmęczenia, ponadto trzyma się za nadgarstek, jakby srodze ją bolał. Myślę, że mała zwłoka okaże się dla was pożyteczna. Ponieważ nigdy nie udało mi się wywalczyć unieważnienia małżeństwa, postanowiłam wykorzystać pozycję wdowy po hrabim Percym i zabrałam jego prywatne dokumenty oraz księgi rachunkowe. W moim archiwum znajdziecie kilkanaście pudeł z papierami.

Clarenceux zmarszczył brwi.

– Nie całkiem rozumiem, miłościwa pani.

– Owszem, rozumiecie. O lordzie Percym i Annie Boleyn krąży wiele plotek i legend. Niektóre z nich są prawdziwe, niektóre nie. Możecie to sprawdzić osobiście. Kiedy przejrzyte dokumenty, poznacie prawdę.

Richard Crackenthorpe trącił zwłoki butem. Postawił świecę na podłodze piwnicy i kopnął nieboszczyka jeszcze mocniej. Płomień świecy zamigotał od ruchu powietrza. Kopnął trzeci raz. Tym razem ciało przewróciło się jak wielki kawał mięsa.

Zaklął i głośno wypuścił powietrze. Jak on to wytłumaczy Walsinghamowi? Daniel Gyttens wiedział, gdzie jest ukryta kronika. W miejscu, które nazwał „Summerhill”. To musiało być gdzieś niedaleko Londynu. Według zeznań Gyttensa Rebecca powiedziała, że muszą wracać do Summerhill, żeby sprawdzić coś w kronice. Gdzie leży to Summerhill?

Nadal nie mógł uwierzyć, że mężczyzna nie żyje. Przyklęknął i obmacał szyję więźnia, lecz nie wyczuł tętna. Oparł głowę na ramieniu, a po chwili wstał i się wyprostował. Był umazany we krwi, zmęczony i zniechęcony.

Zaczął wyładowywać frustrację na zwłokach. Kopnął je jeszcze raz, a potem znowu. Czuł, jak pod jego obutą stopą pękają żebra, ogarnął go ślepy gniew. Przypomniawszy mu się Clarenceux i myśl ta wywołała taką nienawiść, że wyciągnął zza pasa sztylet i wbił nieboszczykowi w oczy, najpierw w jedno, potem w drugie, a potem poderżnął mu gardło, przeciął kręgi szyjne i podniósł głowę z wyłupionymi oczami do świecy.

– Oto głowa zdrajcy – warknął.

Szczęka zabitego wisiała bezwładnie. Z obydwu oczodołów sączył się strumyk krwi. Wydawało się, jakby trzymał w ręku gołą czaszkę.

Zamachnął się i z całej siły cisnął głową Gytensa o ścianę piwnicy.

61

Było późno. Clarenceux siedział zgarbiony nad stołem w pokoju na drugim piętrze, do którego przyprowadził go Richardson, i przy świecy czytał dokumenty hrabiego Northumberland. Po lewej stronie leżały w pudłach księgi rachunkowe, a na podłodze w skrzyni dokumenty prawne i akty własności. Na stole stała zamknięta skrzynka z zaokrąglonymi krawędziami, zawierająca kopie listów.

Wziął do ręki list napisany po hiszpańsku, w którym wspomiano inne pismo, z drugiego maja tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku, oraz sprawozdanie cesarskiego ambasadora, Eustace'a Chapuys'a, dla jego pana, świętego cesarza rzymskiego. Stwierdzał on, że król Henryk VIII postanowił pozbyć się „swojej nałożnicy”, która nazywała siebie królową Anną, ponieważ ponad dziewięć lat wcześniej zaślubiła lorda Percy'ego i małżeństwo zostało skonsumowane, co gotowych było potwierdzić wielu członków ówczesnego dworu. W liście dodano również, że król rozwiódłby się z nią, gdyby nie została skazana za cudzołóstwo.

Clarenceux rozwinął następny rulon papieru związany spłowiałą wstążką. Przeczytał adres i datę: Eustace Chapuys do cesarza, drugi maja tysiąc pięćset trzydziestego szóstego. Była to kopia oryginalnego sprawozdania, napisanego po francusku, to właśnie do niej nawiązywał poprzedni list. Chapuys donosił:

Nie pisałem wcześniej do Waszej Cesarskiej Mości na temat rozwodu króla z Anną Boleyn, albowiem czekałem na ostateczne rozstrzygnięcie tej sprawy. Lecz sytuacja rozwiązała się szybciej i w sposób bardziej satysfakcjonujący, niż można by się spodziewać, ku wielkiemu upokorzeniu i sromocie wspomnianej niewiasty, którą sprowadzono z Greenwich do miasta pod eskortą księcia Norfolk... Powodem był fakt, że żyła od jakiegoś czasu w cudzołóstwie z grajkiem umilającym jej czas grą na szpince. Grajka tego wtrącono dzisiaj do Tower, podobnie jak pana Norrisa, ulubionego królewskiego szambelana, za zatajenie informacji o cudzołożnych praktykach. Jej brata, lorda Rochforda, również osadzono w Tower sześć godzin wcześniej. Nadto doszły mnie słuchy z wiarygodnych źródeł, że jeszcze przed odkryciem karygodnego cudzołóstwa królowej król podjął decyzję o jej porzuceniu, albowiem wielu było świadków gotowych zeznać, że dziewięć lat wcześniej Anna Boleyn oraz hrabia Northumberland zawarli związek, małżeński, który został skonsumowany, i że król podjąłby decyzję znacznie wcześniej, gdyby osobisty doradca nie napomknął mu, że nie może się rozwieść z Anną bez uznania tym samym prawomocności swego pierwszego małżeństwa, a zatem oddania się pod władzę papieża, którego się obawia. Jest to z pewnością najbardziej zdumiewająca wiadomość...

Clarenceux powtórnie przeczytał ten fragment i aż usta otworzył ze zdumienia. Najważniejsze było owe „dziewięć lat wcześniej”, zanim w tysiąc pięćset dwudziestym siódmym roku król postanowił ożenić się z Anną Boleyn pomimo jej wcześniejszych zaręczyn. Jeśli informacja, jaką Chapuys uzyskał z „wiarygodnych źródeł”, była prawdziwa, Anna Boleyn skłamała królowi, mówiąc, że jej małżeństwo z lordem Percym nie zostało skonsumowane. Gdyby król się z nią rozwiódł, pozbawiłby swoją córkę prawa do tronu, tak jak powiedziała wdowa Percy. Zamiast tego wysłał więc Annę pod topór.

Powoli wypuścił powietrze. Gdzieś w zasięgu jego ręki leżał dowód, że królowa Elżbieta bezprawnie zasiada na tronie. Musi obejrzeć epitafium na grobie lorda Percy’ego w Hackney. Jeśli znajdzie tam klucz do kroniki, która z kolei wskaże mu drogę do oryginału umowy małżeńskiej, zyska

kartę przetargową, pozwalającą mu udać się do Cecila i walczyć o swoje życie.

Nie ma czasu do stracenia. Skopiuje te listy i z samego rana wyruszą w drogę. Mimo późnej pory Clarenceux nie mógł jednak powstrzymać ciekawości, by zajrzeć do ksiąg rachunkowych lorda Percy'ego. Więcej taka okazja mu się nie nastręczy. Wziął do ręki stertę woluminów, znalazł tom zaczynający się od dnia świętego Michała tysiąc pięćset trzydziestego drugiego roku i zaczął szukać wpisów z listopada i grudnia.

Czwartek, 23 grudnia

Pobyty w majątku Sheffield okazał się niezwykle niemal od samego przyjazdu. I nie mniej osobliwie się zakończył. Lady Percy objęła ich oboje w holu i dała heroldowi mieszek z dwudziestoma funtami na pokrycie wydatków w drodze powrotnej, „łącznie z wynajęciem koni, gdyby okazało się to potrzebne”. Rebecca dostała nowego wierzchowca. Hrabina położyła jej dłoń na ramieniu i ze szczególnym naciskiem oznajmiła, że może całkowicie zaufać pani Barker, chociaż czemu to powiedziała, ani Clarenceux, ani pani Machyn do końca nie zrozumieli. Kiedy herold zapytał, co chciała przez to wyrazić, wdowa tylko pokręciła głową.

– Tajemnice są jak sztylety, panie Clarenceux. Powinno się je trzymać w ukryciu, póki nie nadejdzie pora, by ich użyć.

– Czemu miłościwa pani nam pomaga? Co na tym zyska? Czemu jest to dla was takie ważne, choć od śmierci lorda Percy’ego i Anny Boleyn minęło wiele lat?

– Na to pytanie odpowiedź jest prosta, panie Clarenceux – powiedziała z kamienną twarzą. – Anna Boleyn zrujnowała mi życie oraz szanse, by mieć dzieci. Ona miała córkę, ja nie. Jej córka jest teraz królową, a w dodatku protestantką, wrogiem mojej wiary. Nie ma dla niej miejsca w moim świecie, ani doczesnym, ani duchowym. Jestem stara i skazana na

czyścić albo i gorzej. Lecz jeśli mogę coś uczynić, aby położyć kres zarazie grzechu i herezji, które ta bezbożnica, Anna Boleyn spuściła na Anglię, uczynię to bez wahania. Żywa czy martwa, nie zaznam spokoju, póki Anglia nie powróci na łono prawdziwej wiary, a uzurpatorka zasiadająca na tronie i jej poplecznicy nie spoczną w grobach. Bóg nie błogosławi kraju, w którym rządzą bękarty i heretycy, panie Clarenceux.

Clarenceux skinął głową i więcej się nie odezwał. Ukłonił się, odwrócił i wyprowadził Rebeccę z holu na dziedziniec, gdzie stajenni czekali na nich z końmi.

*

Podróż powrotna na południe przebiegła dużo szybciej niż mozolna wędrówka do Sheffield. Śnieg stopniał, po kilku suchych dniach drogi, choć nadal grząskie od błota, były łatwiejsze do przebycia. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, więc mało kto wybierał się w podróż. Większość ludzi przygotowywała się w domu na nadchodzący koniec adwentu i dwunastodniowe świętowanie. W dodatku pomału zbliżała się pełnia księżycy i mogli się nie obawiać jazdy nocą, wiedzieli bowiem, że nawet po zmroku znajdą drogę do następnej gospody.

Podróż upływała im w nastrojach niecierpliwości i niepokoju. Rebecca zauważyła, jaka ironia losu każe im się spieszyć do miejsca, w którym czyha największe niebezpieczeństwo. Lecz ona również chciała jak najszybciej odnaleźć dokument, za który oddał życie jej mąż. Nie zazna spokoju, póki go nie znajdą. A kiedy wreszcie będą go mieli w rękę... co wtedy?

– O czym myślicie? – spytała, kiedy jechali przez bród w lesistej części Nottinghamshire.

– O goryczy, która przepęniała serce lady Percy. Porównywałem jej motywy, jej nienawiść do królowej i wszystkiego, co Elżbieta sobą reprezentuje, z motywami waszego męża. Kiedy Henry przyszedł do mnie tamtej nocy, powiedział: „Człowiek może pozostać wierny zarazem królowej i Bogu, tylko jeśli królowa jest mu wierna”. I pamiętam też inne jego słowa: „W odpowiedniej chwili będziecie musieli wybrać, komu okazać posłuszeństwo: Stwórcy czy jego stworzeniu. Powiedzcie mi: czy jesteście gotowi przeżyć całe życie, bojąc się tego momentu?”. Wasz mąż nie był człowiekiem zgorzkniałym. Powodowały nim czystsze motywy, dużo bardziej uczciwe, szczerze i honorowe niż te, którymi kieruje się lady Percy.

Rebecca jechała chwilę w milczeniu.

– Henry pragnął przestrzegać tego, co uważał za wolę Boga. Lady Percy chce ją innym narzucić. Łącznie z wami i ze mną.

Clarenceux popatrzył na nią w głębokiej zadumie.

– Nie jestem pewien, czy po znalezieniu dokumentu wykorzystam go tak, jak tego oczekuje lady Percy.

– Henry powiedziała by, że większy z was tchórz niżli katolik. Ale Henry nie widział, jaką zgorzkniałą kobietą stała się lady Percy. Kiedy wiele lat temu pojechał do niej po radę, widział tylko zrozpaczoną, nieszczęśliwą hrabinę. Osobiście cieszę się, że właśnie tak myślicie.

– A ty, Rebecco? Czego ty byś chciała?

– Żeby życie wróciło do normy. Nie chcę wywoływać rewolucji. Nie chcę, aby zabraniano mi się modlić tak, jak umiem i jak mnie uczono. Ale nie chcę też, aby na tronie zasiadła katoliczka, która będzie palić ludzi na stosach za to, w co wierzą. Bóg porusza serca wszystkich, a jeśli niektórzy czują go inaczej, to któż ma prawo zabijać za to innych chrześcijan? Powodem jest brak zrozumienia, a nie rozbieżności wiary.

– Dobra z was kobieta, Rebecca. Wasza dobroć zasługuje na szacunek.

Jednak mówiąc te słowa, myślał: twoja dobroć jest zagrożeniem dla ludzi stojących u władzy. Daje ci moralną siłę do przeciwstawiania się ich woli. Modłę się, aby Bóg miał nas w opiece i raczył nas ocalić. Ponieważ nie wierzę, aby ta sprawa zakończyła się szczęśliwie.

63

Walsingham stał przy oknie z kartką w dłoni i patrzył na mury Tower.

– Podaj mi choć jeden argument, dla którego powinienem cię oszczędzić.

Crackenthorpe aż się spocił, choć w komnacie wcale nie było ciepło.

– Zrobiłem, co w mojej mocy, wasza miłość. Podejmowałem wprawdzie ryzyko, lecz tego ode mnie oczekiwaliście.

Walsingham odwrócił się od okna.

– Ryzyko? Nie masz pojęcia, o czym mówisz. – Zauważył, że Crackenthorpe spogląda na kartkę, którą trzymał w dłoni.

– Chcesz wiedzieć, co to jest? Zastanawiasz się, czy to nakaz twojej egzekucji?

Sierżant nie odpowiedział.

– Czy Gytens powiedział przed śmiercią coś ważnego?

– Wyznał wszystko, wasza miłość. Potwierdził to, co mówili inni na temat kroniki, na temat arturiańskich imion, o swoim.

– Więc czemu go zabiłeś?

Crackenthorpe przejechał dłonią po włosach i poczuł, że ręka mu drży.

– Wiedział, gdzie trzymają kronikę. Powiedział, że żona Machyna wspomniała o jakimś miejscu, dokąd muszą pojechać, żeby coś w niej sprawdzić. Nazwała to miejsce Summerhill, ale Gytens nie chciał powiedzieć, gdzie to jest, w jakim hrabstwie albo mieście. Może być wszędzie. Błagam, wasza miłość, ja tylko wykonywałem wasze polecenia.

– Dość tego. Przestań biadolić. Wiem, że wykonywałeś moje rozkazy, i osobiście rad jestem, żeś je wykonał nadgorliwie. Kiedy ktoś ginie podczas śledztwa, wina spada na ciebie, nie na mnie. A skoro posunąłeś się tak daleko, że muszę cię posłać na szubienicę, cieszę się, że cię powieszają, ponieważ inaczej znalazłbym się na twoim miejscu. To samo będzie dotyczyć twego następcy. To niezwykle subtelna różnica pomiędzy narzędziem, które gotowe jest torturować człowieka i zamęczyć go na śmierć, a takim, które ze strachu przed prawem staje się nieskuteczne.

Crackenthorpe patrzył na niego bez słowa. Walsingham podrapał się po brodzie.

– Możliwe jest... lecz tylko możliwe, że słowo Summerhill uratuje ci życie.

Złożył kartkę na czworo i powoli włożył ją do ognia. Przypomniało mu się dzieciństwo w Scadbury Park, stary dom z łuszczącą się farbą na zboczu wzgórza i jego ekscentryczny mieszkaniec.

– Czy ktoś zjawił się w domu lorda Percy’ego?

– Nie, wasza miłość.

– A przy grobowcu w Hackney?

– Nie, nikogo tam nie było. A na pewno nie Clarenceux.

– Niech twoi ludzie będą czujni. Pilnujcie obydwu miejsc. Jadę do Chislehurst, osobiście zbadać kilka spraw.

Niedziela, 26 grudnia

Było późno. Siedzieli zmęczeni w izbie gospody w Bedford. Jechali już cztery dni, nawet Boże Narodzenie po rannej mszy spędzili w siodle. Starali się omijać procesje z jasełkami i przebierańcami w poróżach na głowie. Ruszali dalej w drogę, nie zważając na zimno, na marznące dłonie i stopy.

– Za dwa dni będziemy w Londynie – oznajmił cicho Clarenceux, rozpinając dublet i wieszając go na wieszaku przed kominkiem.

Oboje uprzytomnili sobie, że wkrótce ich podróż się skończy.

– Powinnam powiedzieć, że chciałabym od tego wszystkiego uciec, żeby to się już raz na zawsze skończyło – powiedziała Rebecca. – Lecz to nieprawda. Nie chcę, żebyście uważali mnie za tchórza.

– Zrozumiem, jeśli postanowicie uciec – odparł. – Ja nie mogę się wycofać. Nie wiem, czy to dla mnie sprawa dumy, czy honoru, lecz nie ma we mnie nawet cienia rozterki. Zbyt dużo ludzi zginęło. Poza tym polegają na mnie osoby, na których mi zależy. Po trzecie zaś muszę oczyścić swoje imię.

– Duma to sposób, w jaki ludzie widzą samych siebie, a honor, to jak widzą ich inni – powiedziała Rebecca, nie przestając się rozbierać. – Myślę, że chcecie dokończyć to niebezpieczne zadanie nie z dumy, lecz dlatego, że jesteście człowiekiem honoru.

Clarenceux stał w samej koszuli i marzył od przenikliwego zimna panującego w izbie.

– Może macie rację. – Patrzył, jak zdejmuje suknię i zostaje w samej koszuli. – Jest wiele rzeczy, z których nie jestem dumny, i wiele, które chciałbym zrobić, lecz za które potem bym się wstydził. Mogę się tylko pocieszyć, że postępowiałem zgodnie z honorem.

Rebecca podniosła suknię i popatrzyła mu w oczy.

– Mogliście postąpić inaczej, mniej honorowo. Wielu mężczyzn na waszym miejscu by tak uczyniło. Możecie być z siebie dumni.

Weszła pod kołdrę i obserwowała go na leżąco. Jego nogi nadal nosiły ślady drobnych zadrapań, ale poza tym odzyskał już siły. Barki miał szerokie, ramiona mocne.

Odchylił kołdrę. Rebecca odwróciła się na bok, tyłem do niego.

Ułożył się, czując jej zastygłe milczenie.

– O co chodzi?

Po długiej chwili odrzekła:

– Myślę o rzeczach, o których nie powinnam myśleć, i żywię uczucia, o których wiem, że są niewłaściwe. Jesteście bardziej honorowym człowiekiem niż ja.

Clarenceux nie wiedział, co powinien na to odrzec.

– Często myślałem o was z czułością.

Rebecca przewróciła się na plecy i spojrzała na niego.

– A ja o was. Wiecie o tym.

Popatrzył na jej twarz spoczywającą na poduszce, na jej włosy i wyobraził sobie, jak wyciąga dłoń, aby ich dotknąć. Zrobił to kiedyś, kiedy musnął pieprzyk na jej policzku. Wtedy jednak uczynił to bez namysłu, całkiem naturalnie. Gdyby powtórzył ten gest teraz, to by go odmieniło. Gardziłby sam sobą. Pragnął rzeczy, które były głęboko

niemoralne, a fakt, że Rebecca o tym wiedziała, gorzał w jego piersi jak płomień, ale też czynił go silniejszym.

Ona ufa, że jej nie tknę, a ta wiara daje mi siłę, by się oprzeć pokusie. I wiem, że z nią jest tak samo: wie, że ja jej również ufam.

– Chodźmy spać, Rebecca.

65

Poniedziałek, 27 grudnia

Cecil patrzył przez okno na łodzie przycumowane na Tamizie, na słońce iskrzące się na masztach i takielunku. Środkiem nurtu w górę rzeki krypa wiozła pasażera z Tower do Westminsteru. Usłyszał bicie zegara w kaplicy. Jedenasta.

Gdzie jest Walsingham? – zastanawiał się. Spóźnia się już dwie godziny. To do niego niepodobne.

Wyszedł z gabinetu, minął następną komnatę i zatrzymał się na szczycie schodów, skąd widać było dziedziniec.

– Gdzie jest Walsingham? – zawołał do pokojowego czekającego pod schodami. Młodzieniec spojrział na niego przestraszony i pokręcił głową. – Idź go poszukać.

Ostatnie nerwowe dni dały mu się dotkliwie we znaki, przytłaczały go i napawały niepokojem. Kiedy czynili postępy, był spokojny, rozważny i metodyczny. Tymczasem minęły już prawie dwa tygodnie od czasu, kiedy ostatnio mieli wieści o Clarenceux. Jedna myśl dręczyła Cecila bardziej niż wszystkie inne: Clarenceux wywiózł kronikę z kraju. Poniosłem porażkę, myślał.

Wrócił do gabinetu, aby przejrzeć swoją „listę konsekwencji”. Zapisał dwie strony, przewidując wszystkie ewentualności, wiedział jednak

doskonale, że prawda może się okazać bardziej zaskakująca niż wszystko, co mógł sobie wyobrazić. Odłożył z powrotem papiery i powrócił myślami do kościoła w Hackney.

To musiało być tam. Imiona Rycerzy układały się w nazwisko lorda Percy'ego, a teraz zauważył, że daty wskazują na czerwiec tysiąc pięćset trzydziestego siódmego, datę śmierci hrabiego Northumberland. Percy najchętniej spędzał czas w Alnwick i Wressle, lecz ewidentnie mieli do czynienia z londyńskim spiskiem. Przeszukanie starego domu Percy'ego w Newington nie przyniosło efektów. Niewiele by im przyszło również z jazdy do Sheffield. Wdowa nie kochała Percy'ego, nigdy nie spędzali razem wiele czasu. Kluczem do tajemnicy musi być grobowiec.

Ale był już dwudziesty siódmy. Od tygodnia w Hackney w pobliżu kościoła pełnią wartę ludzie Walsinghama. I nic. Każda wiadomość byłaby lepsza niż ta nieznośna cisza. Gdyby Clarenceux ruszył na Londyn na czele całej armii, przynajmniej wiedzieliby, z czym się borykają. Ale nie, spisek jakby rozpułnął się w powietrzu, a Clarenceux zniknął. Przebiegły herold jakimś sposobem zdołał ich wyprowadzić w pole.

Znowu westchnął, zamknął oczy i próbował się uspokoić. Serce mu biło jak człowiekowi stojącemu pod szubienicą.

Wziął do ręki drugą kartkę, z zapisanym epitafium lorda Percy'ego. Zostało bardzo starannie skopiowane, lecz nie dopatrywał się w nim niczego osobliwego ani podejrzanego. Na jednym boku nagrobka widniał napis:

Tu spoczywa lord Henry Percy, hrabia Northumberland, rycerz zaszczytnego Orderu Podwiązki, zmarły w tym mieście ostatniego dnia czerwca 1537, 29. roku panowania króla Henryka VIII.

Po drugiej stronie wyryto cytat z siódmego rozdziału Księgi Hioba mówiący o pragnieniu śmierci. Jakże trafnie dobrane słowa dla hrabiego

Northumberland, który z pewnością pragnął umrzeć po egzekucji Anny Boleyn. Nie miał jednak nic wspólnego z katolickim spiskiem ani kroniką.

– Panie kanclerzu, przyjechał!

Do komnaty wszedł pokojowy, któremu Cecil kazał znaleźć Walsinghama, za nim zaś wkroczył Francis z kapeluszem w rękę, cały oblepiony błotem, nawet miecza nie zostawił przed wejściem.

– Summerhill w Chislehurst w hrabstwie Kent – oznajmił.

– Clarenceux był tam razem z wdową Machyn. Według zeznań wieśniaka z majątku mego kuzyna wyjechali razem szesnastego grudnia.

– Szesnastego? To jedenaście dni temu. Nie mieliście żadnych meldunków z portów?

– Żadnych. Chyba że nadeszły po moim wyjeździe. Spieszyłem prosto do waszej miłości.

– Kto jest właścicielem Summerhill?

– Katolik, w każdym razie tak podejrzewam, sądząc po nazwisku Fawcett. Mój kuzyn mówi, że przez ostatni rok w okolicy widywało się księży, a chociaż nikt nie wie, dokąd jechali ani gdzie mieszkali, najbardziej prawdopodobnym miejscem jest Summerhill. To stare zamczysko, pełne kryjówek i najróżniejszych dziwnych zakamarków.

– Aresztowałeś Fawcetta?

– Nie. Wygląda na to, że zniknął. Co samo w sobie już budzi podejrzenia.

– Prawdopodobnie ukrywa się w którejś z księżowskich nor – zauważył Cecil, odkładając kartkę z epitafium Percy’ego.

– Wyślę Crackenthorpe’a, żeby ze swoimi ludźmi przeszukał posiadłość. Znajdzie ich, jeśli się tam ukrywają.

– Nie wątpię. Nie zapominaj jednak, że chcemy mieć tego człowieka żywego. – Cecil nalał do kielichów białego wina z dzbana stojącego na stole, po czym podał jeden Walsinghamowi. – Muszę przyznać, że bardzo

się martwię, Francisie. Dochodzę do wniosku, że mogłem się jednak mylić. Od początku próbowałeś mnie przekonać, że Clarenceux był inicjatorem spisku, lecz nie zdołałeś rozwiać moich wątpliwości. Czekałem na jakiś niepodważalny dowód i żadnego nie otrzymałem. Lecz dowód nie jest równoznaczny z prawdą i nie powinienem był o tym zapominać. Myślę, że zbyt długo rozsądzałem wątpliwości na korzyść herolda. Oczyszciliśmy prawie wszystkich innych Rycerzy z poważnych zarzutów. Na wolności pozostaje tylko Clarenceux oraz ostatni, tajemniczy członek bractwa.

– W czasie wypełniania swych heroldowskich obowiązków Clarenceux podróżował do Szkocji, Francji, Hiszpanii i Niderlandów.

– Nie tylko. Mógł być w każdym kraju Europy. Myślę, że przez cały czas miałaś rację, on rzeczywiście jest prowodyrem spisku. I pomyśleć, że moja żona i szwagierka pełniły rolę matek chrzestnych jego córki. Byłem taki łatwowierny.

– Nie powinniście być dla siebie zbyt surowi, wasza miłość. Jestem pewien, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy.

Cecil zeszywniał.

– Porzuć, z łaski swojej, ten protekcyjny ton. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli człowiek robi wszystko, co w jego mocy, a mimo to nie osiąga zamierzonych efektów, to ani jego praca, ani on sam nie mają żadnej wartości. Liczy się tylko zwycięstwo. Jeśli ty i ja udaremnimy dziewiętnaście z dwudziestu spisków przeciwko królowej, to i tak przegramy.

– Nie martwcie się, wasza miłość. Ja nie przegram.

– To dobrze – warknął Cecil. – Patrząc na twój opłakany stan, mogę mieć tylko nadzieję, że za retoryką kryje się coś więcej niż pobożne życzenia i niewieście współczucie. Możesz zacząć od wzmocnienia wart obserwujących porty na południowym wybrzeżu, łącznie ze wszystkimi

przystaniami Londynu. Jeśli Clarenceux będzie próbował opuścić Anglię, chcę zostać o tym poinformowany, natychmiast. Jeśli zaś już wypłynął, masz się dowiedzieć, kiedy i dokąd się skierował. A co do Summerhill, to przetrząśnijcie je po same fundamenty.

Clarenceux i Rebecca wjechali do St Albans o zmierzchu. Ciemne chmury, które przysłaniały księżyc i gwiazdy, zniechęcały do dalszej drogi. Po wieczerzy w oberży Pod Walczącymi Kogutami opuścili w milczeniu główną salę i poszli do izby. Myśleli o tym, że będzie to ostatnia noc ich podróży. Oboje milczeli zadumani. Dopalała się świeca ich wspólnie spędzonego czasu.

Niewiele mogli zrobić ponad to, aby po prostu być razem. Rebecca myślała się w miednicy z ciepłą wodą, przyniesioną przez posługacza z oberży, a Clarenceux siedział na łóżku i rozmawiając z nią, od czasu do czasu podnosił wzrok znad listów, które spisał w Sheffield. Zaczęli wspominać dzieciństwo, a także późniejsze lata – małżeństwo, trudne chwile swego życia, minione święta Bożego Narodzenia, misje dyplomatyczne herolda. Oboje doszli do wniosku, że w porównaniu z lady Percy mieli dużo szczęścia.

Potem umilkli. Rebecca bez słowa położyła się do łóżka. Clarenceux wiedział, że myśli o swoim mężu. Pragnął ją pocieszyć i bolało go, że nie może tego uczynić. Nie miał do zaoferowania nic, co by jej przyniosło ulgę w strapieniu. Siedział więc bez ruchu na brzegu łóżka.

– Musimy zaplanować nasze dalsze poczynania – powiedział. – Zostało nam do Londynu jeszcze dwadzieścia jeden mil. Jeśli wyruszymy o ósmej, dotrzemy do miasta wczesnym popołudniem. Możemy pojechać prosto do

Hackney, trzymając się przedmieść, lub wrócić drogą, którą przyjechaliśmy, i zostawić kronikę u Juliusa. Albo udać się do mego domu, a raczej tego, co z niego zostało, i ukryć księgę wśród pobojuwiska. Ponieważ już raz go przetrzasnęli i splądrowali, zapewne jest jednym z bezpieczniejszych miejsc.

– Zdecydujcie sami. I tak zrobicie po swojemu.

– Chciałbym usłyszeć waszą opinię.

– Powinniśmy pojechać prosto do Hackney. Znaleźć klucz do kroniki najszybciej jak to możliwe.

– To ciekawe.

– To wasz sposób mówienia, że się nie zgadzacie.

Clarenceux odwrócił się do niej i uśmiechnął.

– Widzę, że poznaliście mnie już na wylot. Ja również rozważałem tę możliwość, lecz czy nie wydaje wam się dziwne, że nikt nas po drodze nie zatrzymał?

– Co z tego?

– Zastanówcie się. Ile czasu minęło od dnia, kiedy ścigano nas po całym Londynie? Prawie dwa tygodnie. Ilu Rycerzy Walsingham wytropił przed naszym wyjazdem? Dotarł do Jamesa Emery’ego przed nami. Do Lancelota Heatha również, jak pamiętacie, przeszukał jego dom. Lecz Heath był dość roztropny, by się ukryć. Rzecz jasna Walsingham wiedział również o Williamie Draperze i o waszym mężu. Skoro w ciągu kilku dni udało mu się wysledzić pięciu ludzi i przeszukać ich domy, to na pewno miał również wystarczająco informacji i środków, aby szybko dotrzeć do pozostałych Rycerzy. Kilka dni temu oboje doszliśmy do wniosku, że musiał już odszyfrować kolejność imion i dat i odczytać informację „Lord Percy czterdzieści tysięcy pięćset trzydzieści siedem”, która wskazuje na grobowiec hrabiego, a nie rezydencję Sheffield. My obraliśmy niewłaściwy kierunek,

a popełniając błąd, zaskoczyliśmy go. Prawdopodobnie piekli się, ponieważ nie może nas znaleźć. Lecz jeśli wejdziemy tak beztrąsko do kościoła Hackney, możemy stamtąd nie wyjść.

– Wobec tego pojedźmy wpierw do Juliusa i zostawmy u niego kronikę. Jest prawie pełnia, jeśli noc będzie bezchmurna, możemy dotrzeć do Chislehurst bez przystanku. A jutro ruszymy do Hackney.

Clarenceux uniósł kołdrę i położył się na drugim brzegu łóżka.

– Do tego się właśnie skłaniałem.

– Uważacie, że dowód, którego szukamy, jest ukryty w kościele w Hackney?

– Tak sędzę. I wydaje mi się, że będziemy potrzebowali kroniki, żeby go znaleźć.

– To będzie bardzo niebezpieczne.

– To prawda.

– Moglibyśmy ją ze sobą zabrać.

– Wtedy ryzykowalibyśmy jeszcze więcej.

Po tych słowach oboje umilkli w zadumie.

– O czym myślicie? – spytał Clarenceux po chwili, kiedy świeca zaczęła syczeć i przygasać.

– O królowej.

– Co takiego o niej myślicie?

– Zastanawiałam się, czy lord Percy był jej prawdziwym ojcem.

– Nie. To niemożliwe.

– Naprawdę? – Uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego. – Skąd wiecie?

– Kiedy byliśmy w Sheffield, sprawdziłem księgi rachunkowe lorda Percy'ego z okresu, gdy nastąpiło jej poczęcie. Listopad lub grudzień tysiąc

pięćset trzydziestego drugiego. Był wtedy w Northumberland. Królowa Anna Boleyn była z królem, wracali z Calais.

– A o czym wy myśleliście?

– O podobnych sprawach. niesprawiedliwością jest składać grzechy rodziców na głowę córki. Wizyta u lady Percy nieco odmieniła me serce.

– Marni byliby z nas rewolucjoniści.

– Możliwe. Ale Walsinghamowi w zupełności wystarczy, kiedy mnie powiesi zakutego w łańcuchy, a was spali żywcem za zdradę stanu.

Zapadło milczenie. Świeca zgasła.

Rebecca położyła się na plecach.

– Proszę, przestańcie mówić o paleniu i wieszaniu. Nasza sytuacja i bez tego przedstawia się wystarczająco żałośnie.

Po dłuższej chwili spytała:

– Pamiętacie pierwsze łóżce, jakie dzieliliśmy? To w Mile End?

– Próbowaliśmy leżeć na brzegach i nie stoczyć się na środek. Naturalnie, że pamiętam.

– To ostatnia noc naszej wspólnej podróży. Jutro dojedziemy do majątku pana Fawcetta, a potem...

Clarenceux zrozumiał. Oboje walczyli z instynktem. W ciemności otoczył ją ramieniem i poczuł, jak ona go obejmuje i kładzie głowę na jego piersi. Przez chwilę wsłuchiwali się w swój oddech. Przypomniawszy sobie, jak niezręcznie obejmował ją poprzednio, kiedy nie wiedział, czego się po nim spodziewa. Teraz sytuacja się zmieniła. Był szczęśliwy, mogąc ją trzymać w ramionach, szczęśliwy, że ona też tego pragnie.

– Dobranoc – powiedział szeptem, nasłuchując jej oddechu.

– Dobranoc – odrzekła.

Pocałował jej włosy.

Wtorek, 28 grudnia

Decyzja o tym, aby jechać do Chislehurst, oznaczała, że musieli się spieszyć, więc przynaglali ostro konie przez pierwsze dwadzieścia mil i przeprawili się przez Tamizę w Fulham około pierwszej po południu. Nie potwierdziły się obawy Clarenceux i ani nad rzeką, ani w pobliskiej obozynie Pod Łabędziem nie trafili na żołnierzy. Jeszcze bardziej popędzali więc wyczerpane konie, puszczali je cwałem, ilekroć droga biegła w dół, i zmusili do pokonania ostatnich piętnastu mil. Mimo to zmierzch zaczął zapadać, na długo zanim stanęli u podnóża Summerhill.

Kiedy niebo pociemniało, ich również ogarnęły ponure nastroje. Zaczęli zauważać spojrzenia napotykanym nieznajomym, którzy nie zadawali pytań, lecz wyraźnie chcieli wiedzieć, co tu robią. Jakiś szlachcic na wierzchowcu na ich widok dźgnął konia piętami i pognął przed siebie galopem. Ich myśli uciekały w stronę cieni czających się między drzewami po obu stronach drogi. Wkradał się w nie lęk. Objawiło się to długimi okresami milczenia, przerywanymi lakoniczną wymianą zdań, która zdradzała zdenerwowanie.

– Przynajmniej możemy liczyć na ciepłe palenisko i łóżko na jedną noc – powiedział Clarenceux.

W końcu, po wielu godzinach spędzonych w siodle, kiedy noc wysssała z krajobrazu resztki kolorów, a chłód szczypał ich w dłonie mimo rękawiczek, wjechali na długi, wijący się podjazd. Zobaczyli czarne kępy drzew, a tu i ówdzie prosty brzeg muru na tle ciemnego nieba. Ich uwagę zwróciły cisza, bezruch i brak świateł.

Podjechali do stróżówki przy bramie. Clarenceux zsiadł z konia i przekręcił gałkę dębowej furtki. Była zamknięta. Popchnął, lecz nie ustąpiła ani na cal. Zapukał i zawołał, ale nikt się nie zjawił. Wszędzie dookoła panowało tylko dotkliwie zimno i wiatr poruszający liśćmi drzew.

– Wystarczy nam pieniędzy na oberżę? – spytała Rebecca.

– Wystarczy, naturalnie – mruknął Clarenceux. – Ale nie w tym rzecz. Julius ma służących i żonę. – Podniósł kamień, który właśnie kopnął czubkiem buta, i zaczął walić do drzwi.

– Juliusie! Juliusie!

– Kto tam woła? – usłyszeli słaby głos po drugiej stronie dziedzińca.

– William Harley, Wielki Herold Clarenceux, przyjaciel Juliusa Fawcetta.

Czekał, zacierając dłonie w rękawiczkach. Rebecca zsiadła z konia. W stróżówce nad ich głowami otworzyła się okiennica i ktoś wyjrzał w ciemność. Potem okno znowu się zamknęło i ze środka dobiegły ich głosy. Rozległ się szcęk odsuwanej ciężkiej sztaby, a potem zgrzyt otwieranego zamka. Drzwi uchyliły się odrobinę.

– Pan Clarenceux? – spytał przestraszony męski głos.

– Tak. I pani Machyn. Wpuść nas, proszę. Muszę porozmawiać z twoim panem.

– Pana Fawcetta nie ma. Nikt go nie widział od kilku dni.

Pomimo wielu mieszanych uczuć, jakie nawiedzały Clarenceux w drodze, ta wiadomość go zaskoczyła. Spodziewał się zastać tu Juliusa, a nie pusty ciemny dom.

– Wpuśćcie nas przynajmniej do środka? – spytała Rebecca. – Przywieźliśmy konie pana Fawcetta. I potrzebujemy gościny na noc.

Służący odpowiedział ostrożnie i niepewnie.

– A skąd mamy wiedzieć, że jesteście tymi, za których się podajecie?

– A cóż to? Sąd jakiś? – warknął Clarenceux. – Jeśli poświecisz tu odrobiną światła, sam mnie rozpoznasz. Byliśmy tu dwa tygodnie temu jako goście Juliusa Fawcetta, którego znam od dwudziestu lat.

W ciemności rozległy się pomruki. W końcu odezwał się drugi mężczyzna, który dotąd milczał.

– Dobrze, panie Clarenceux, wierzymy wam – przemówił starym, chrypiącym głosem. – Musicie zrozumieć, zdarzyły się tu dziś okropne rzeczy. Zabito człowieka. Wszyscy jesteśmy w szoku. Prawdę rzekłszy, to odchodzimy od zmysłów.

Otworzyła się furka i Clarenceux z Rebeccą wprowadzili konie na ciemny dziedziniec, po czym odczekali, aż służący zaryglują z powrotem drzwi.

– Przepraszamy, panie Clarenceux – ciągnął stary sługa.

– Pan Fawcett zabronił nam używać światła, jeśli nie wiemy, kto stoi przed bramą. Powiadał, że przewagę ma zawsze...

– ...człowiek, który dzierży miecz – dokończył Clarenceux. – Tak, wiem. Co tu się wydarzyło?

Podał cugle jednemu ze służących, po czym ruszył w stronę wejścia do zamku.

– Nie tędy, panie Clarenceux. Główne drzwi są zamknięte z powodu tej tragedii. Królewski sierżant zabił szambelana pana Fawcetta, Jamesa Hoptona...

Głos mu się załamał.

– Crackenthorpe? – spytał Clarenceux.

– Nie wiem, jak się zwał, panie.

Weszli do domu małymi drzwiami kuchennymi. W wielkim, wysokim pomieszczeniu było prawie całkiem ciemno, tylko ogień w największym palenisku i jedna świeca na dużym okrągłym stole rzucały na ich twarze bladą złotą poświatę. Mężczyzna, który z nimi rozmawiał, był naprawdę stary, miał rzadkie włosy i niewiele zębów. Oboje rozpoznali w nim jednego z sekretarzy Juliusa.

– Nie wiem, jak się nazywał – powtórzył – ale w życiu nie widział tak brutalnego człowieka. Zachowywał się jak żołnierz na polu bitwy. Wdarł się dziś rano do domu ze swoimi ludźmi i jęli przeszukiwać każdą izbę. Niewielu nas zostało, między innymi pan Hopton. Próbował powstrzymać tego sierżanta, a wtedy on wyciągnął miecz i przyłożył mu do szyi, jakby go chciał nastraszyć, a potem nagle bez nijakiego ostrzeżenia przeciągnął ostrzem i poderżnął nieborakowi gardło. Tak to nami wstrząsnęło, że żaden z nas nawet nie drgnął. A najdziwniejsze, że wyglądało, jakby ten sierżant wcale nie zamierzał tego robić. Ale zabił go na miejscu! A potem spokojnie poszedł dalej, a za nim jego ludzie. Ciało pana Hoptona zostało na podłodze w kałuży krwi. Potem razem ze swoimi ludźmi powywracali meble, przetrząsnęli bibliotekę pana Fawcetta, porozpruwali poduszki. Kiedy sierżant wychodził, przeszedł po zwłokach pana Hoptona. I jeszcze je kopnął...

Clarenceux położył dłoń na ramieniu starca, któremu głos uwiązł w gardle na to wspomnienie.

– Uspokój się. Jak się nazywasz?

– Francis, panie. Francis Shepherd.

– Panie Shepherd, weź głęboki oddech i opowiedz mi wszystko po kolei. Co się stało przed zabójstwem? Powiedziałaś, że pana Fawcetta nie było od kilku dni. Kiedy go ostatnio widziałaś?

Francis Shepherd wytarł twarz rękawem. Pokręcił głową i podszedł do świecznika. Ręka mu drżała, kiedy próbował odpalić jedną świecę od drugiej. W końcu knot zapłonął. Umieścił świeczkę w uchwycie i stał ze spuszczoną głową, podczas gdy płomień rzucał na ścianę wielki cień jego sylwetki.

– To było wczesnym popołudniem w Boże Narodzenie. Wszyscyśmy siedzieli w wielkim holu: pan, pani, sześciu czy siedmiu gości, kilku dzierzawców, cała służba i wszyscy ogrodnicy, razem trzydzieści pięć osób. Nagle zjawił się jakiś człowiek i domagał się przyjęcia. Nazywał się Francis Walsingham, znaliśmy go, bo przyjeżdżał czasem do Scadbury Park. Wyszliśmy do niego razem z panem Hoptonem. Bardzo wyniosłym tonem nakazał się zaprowadzić do pana Fawcetta. Wróciłem do holu, żeby zapytać pana, co mam robić. Wiedziałem, że Francis Walsingham nie jest tu mile widziany. Tymczasem pan Fawcett zniknął. Tak samo jego żona. Gdy tylko usłyszeli nazwisko Walsinghama, wstali od stołu i wyszli. I od tamtej pory ich nie widzieliśmy.

– To wyjaśnia nieobecność Juliusa. A co z pozostałymi? Gdzie się podziała cała służba?

– Dziesięciu ludzi tego samego dnia aresztował w holu Walsingham. Po jego wyjeździe wiele osób opuściło zamek. Nie można im się dziwić. Gdybym był młodszy, też bym wyjechał. Wszyscy byliśmy przestraszeni. Dzisiaj rano zostało nas tylko sześciu. Nagle przyjechało wielu żołnierzy, ze trzydziestu, może nawet więcej. Odepchnęli nas na bok, a sierżant wdarł się do środka siłą. Pan Hopton zatrzymał go w holu, mówiąc, że nie ma tu prawa wchodzić. Wtedy właśnie tamten go zabił.

– Czy był to wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z blizną?

– Tak. Z czarnymi włosami i szramą na prawym policzku.

Clarenceux popatrzył na Rebeccę.

– Jak się dowiedział?

Kobieta nie odpowiedziała. Herold przyłożył dłoń do czoła i poczuł na nim zimny pot. Odwrócił się do Shepherd.

– Nie rozumiem, jak...

Wtedy sobie przypomniał. Spojrzał na Rebecę.

– Musieli złapać Daniela Gyttensa.

W pierwszej chwili pani Machyn nie zrozumiała, o czym mówi. Potem ona również sobie przypomniała. Gwałtownie wstrzymała powietrze i zasłoniła twarz dłońmi, jakby nie chciała niczego widzieć ani słyszeć.

– To moja wina – szepnęła. – To mnie się wtedy wymknęła nazwa Summerhill... Wszystko przeze mnie. Boże wszechmogący, Matko miłościwa, tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro...

Clarenceux milczał. Spuścił wzrok i próbował zebrać myśli. W końcu powiedział:

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie możemy rozpamiętywać jednego błędu. Czy ciało pana Hoptona leży cały czas w holu?

Shepherd otarł łzy i pokiwał głową. Clarenceux spojrział na pozostałych mężczyzn, którzy przyszedli z nimi do kuchni. Obaj byli starszymi służącymi. I obaj byli przerażeni.

– Ile osób zostało dziś wieczorem w zamku?

– Tylko my trzej, panie – odparł mężczyzna, który wziął od niego cugle na dziedzińcu. – Wszyscy inni odeszli. Nazywam się Jack, jestem stajennym. To jest lokaj Thomas, który zajmuje się holem.

– Szlachetnie postąpiliście, zostając. Mam nadzieję, że nie będziecie protestować, jeśli pani Machyn i ja przenocujemy w pokojach, które zajmowaliśmy dwa tygodnie temu?

– Panie, cieszylibyśmy się, mogąc was ugościć, ale te pokoje są całkiem zniszczone – powiedział Shepherd, biorąc się w garść. – Meble połamane,

pościel porozrzucana.

– Poradzimy sobie. Czy możecie oporządzić nasze konie w stajni i przynieść nasze rzeczy?

– Tak, panie. Już się robi.

Clarenceux zerknął na Rebeccę. Stała bez ruchu ze spuszczoną głową, ze zwieszonymi rękami. Zrozumiał. Nie chce mi spojrzeć w oczy z obawy o to, co mógłbym powiedzieć, pomyślał. Ale to nie pora na wzajemne oskarżenia. Potrzebuję jej teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Potrzebuję jej wsparcia i zachęty, aby dodały mi sił.

Rozejrzał się po kuchni. Podszedł do półki wiszącej na ścianie, wziął dwie świece woskowe, odpalił jedną od knota z sitowia i postawił ją na stole. Drugą położył obok. Po kuchni rozlało się ciepłe złote światło. Służący nie ośmieliliby się zużywać woskowych świec swego pana, ale ucieszyli się, kiedy uczynił to Clarenceux.

– Macie coś do jedzenia? – spytał. – Może jakieś mięso i chleb?

– Jest dużo zimnego mięsa, dobry biały chleb z dzisiejszego rana, sery, piwo, wino, gruszki i jabłka.

– Wystarczy chleb i mięso – rzekł Clarenceux. – Ale najpierw – urwał i spojrzał na Rebeccę – najpierw pójdziemy do holu i przygotujemy ciało pana Hoptona do pochówku.

– My? Czemu my?

– Musieliście już kiedyś to robić. Chyba wiecie, jak się przygotowuje zwłoki?

– Ja tak, ale nie chodzi o mnie, tylko...

– Panie, takie rzeczy nie przystoją szlachcicowi – zaprotestował Shepherd. – To zadanie dla niewiast. Rankiem pošlemy po kogoś do miasta.

– Nie wypada też zostawić przyzwoitego człowieka w kałuży własnej krwi. Pani Machyn mi pomoże. Chcę zobaczyć zwłoki. Chcę ich dotknąć

i zapamiętać. Chcę też zapamiętać wiele innych rzeczy. Może się zdarzyć, że jutro przyjdzie mi zabić człowieka i może nim być sierżant Crackenthorpe. Jeśli tak, zemszczę się za śmierć wielu ludzi, między nimi Willa Terry'ego, pana Machyna i pana Hoptona.

– Ale dlaczego? – dopytywała się Rebecca. – Pomogę wam, jeśli sobie życycie, lecz czemu chcecie ubierać zwłoki tego człowieka akurat teraz, po ciemku? To nie będzie zemsta.

– Czyż nie pamiętacie już dawnych tradycji? Zanim zakazano naszej starej wiary, mieliśmy zwyczaj czuwać nocą przy zmarłym.

– Co w was wstąpiło, panie Clarenceux?

– Bojaźń boża, pani Machyn. I chcę, aby tak zostało. Albowiem, jeśli będę się bał wszechmogącego Boga i miał go w swym sercu, za nic sobie będę miał strach przed sierżantem Crackenthorpe'em.

To rzekłszy, Clarenceux wziął zapaloną świecę, a także tę drugą, leżącą na stole, i wyszedł z kuchni do holu.

*

Rebecca wiedziała, że nigdy w życiu nie zapomni tej nocy. Była zmęczona, głodna i zdezorientowana; czuła coraz większą rozpacz, lecz nade wszystko strach. Kiedy tu jechali, bardzo się bała, lecz nic nie przygotowało jej na to, co tu zobaczyła. Przeraziło ją nie tylko to, że Walsingham odkrył ich kryjówkę w Summerhill, i nawet nie to, że Crackenthorpe przeszukał dom, lecz zachowanie Clarenceux. Od spotkania z hrabiną Percy coraz bardziej zamykał się w sobie. A teraz przeszedł wszelkie jej oczekiwania. Jakby się na nowo wcielił w żołnierza, który działa zgodnie z instynktem, jego umysł osiąga stan najwyższej czujności, a dusza przed niczym się nie cofa.

Przygotowuje się, by stawić czoło śmierci.

Wysoko na ścianach tańczyły cienie. Patrzyły na nich z góry gobeliny i zbroje. Ocalały jako jedyne, bo ludzie Crackenthorpe'a nie mogli ich dosięgnąć. Clarenceux zobaczył zwłoki i postawił świece po obu stronach głowy zmarłego. Twarz Hoptona zastygła z otwartymi oczami w wyrazie wstrząsu i przerażenia, nie bólu. Na gardle widać było czyste cięcie, lecz z rany wyzierały białe chrząstki i błony. Dookoła na kamiennej posadzce zaschła wielka czarna kałuża krwi, tu i ówdzie rozmazana butami. W stronę ściany pociekła gęsta stróżka, lecz zastygła na zimnym kamieniu, zanim dopłynęła do muru.

Clarenceux kazał Shepherdowi rozstawić stół na kozłach na środku holu. Potem dwaj mężczyźni dźwignęli zwłoki i ułożyli je na blacie. Światło świec migotało na trupio bladej skórze. Ciężkie bezwładne ręce już zeszywniały. Herold dobył noża, aby rozciąć ubranie. Wtedy za jego plecami stanęła Rebecca.

– To na nic, panie Clarenceux. Nie mamy całunu.

Widząc, że nikt nie zamknął jeszcze zmarłemu oczu, uczyniła to. Potem ułożyła głowę prosto i naciągnęła rozciętą skórę na szyi.

Clarenceux stał bez ruchu i patrzył na martwe oblicze ofiary. Wyciągnął dłoń i dotknął skóry.

– Chciałem wam je pokazać. Oboje powinniśmy obejrzeć skutek waszego potknięcia. Nie dlatego, abym was obwiniął, Bóg świadkiem, że wszyscy popełniamy błędy, lecz po to, byśmy nosili w pamięci obraz tego, czego dopuszcza się Walsingham. Chcę poczuć gniew, Rebecca. I chcę, aby w tobie on również wezbrał, żebyś chciała widzieć mój gniew i chciała, bym zabijał. Wszelkie współczucie jest teraz słabością. Jutro zostawię tu kronikę. A ty pojedziesz ze mną do Hackney, aby stać na straży, kiedy wejdę do kościoła. Wejdę tam jako żołnierz i jako chrześcijanin. Jeśli

czekają na mnie wrogowie, będziemy walczyć. Jeśli Bóg mnie opuści, zginę.

Pochylił się i ucałował zmarłego w czoło. Potem przeżegnał się i rozpląnął w ciemności holu.

Środa, 29 grudnia

Światło. Ptasie pióra. I odgłos kapiącej wody w sąsiedniej komnacie.

Rebecca zbudziła się z bardzo głębokiego snu. Zostawiła w nocy otwarte okiennice i w świetle dziennym zobaczyła teraz rozpruty materac, połamane kolumny, rozdarte wałki, z których sypało się pierze. Zamrugła i przypomniała sobie ostatnią noc. Kiedy zajrzeli do pokoju, zobaczyli wybebeszone łóżko, poprzecinane sznurki, porozrzucaną pościel. Słyszac, jak w sąsiednim pokoju Clarenceux opryskuje wodą twarz, usiadła i uprzytomniła sobie, że ona też powinna się szykować do odjazdu. Odrzuciła kołdrę, wstała z pociętego materaca i podeszła do miski w kącie pokoju. Nie znalazłszy dzbanka z wodą, pospiesznie narzuciła sukienkę i poszła do jego pokoju.

Clarenceux klęczał półnagi u stóp prowizorycznego posłania i ochlapował zimną wodą górną połowę ciała. Spojrzał na nią, kiedy weszła, lecz nie odezwał się ani słowem. W tym zaciętym milczeniu wyczuła jego niezłomne postanowienie, zimną determinację.

Uklękła obok niego, aby obmyć ręce i twarz. Herold wstał, włożył dublet i podszedł do miejsca, gdzie leżała kronika. Wziął ją do ręki i podał Rebecce. Potem łagodnym gestem położył jej dłoń na ramieniu. Znieruchomiała pochylona nad miską.

– Kiedy skończycie, przyjdźcie do kaplicy.

Kaplica w Summerhill była mała i podobnie jak pozostała część domu bardzo stara. Malowidła na ścianach pociemniały od sadzy z tysięcy świec zapalanych w ciągu setek lat. Tak samo ciemne było sklepienie ponad głowami. Jedno okno z witrażem rzucało zielonkawę światło na prezbiterium, resztę kaplicy zaś pozostawiało w półmroku. Nad chórem jeszcze niedawno ostentacyjnie wisiał krzyż zakazany przez prawo, lecz zdjęto go podczas wizyty Walsinghama. Stał teraz oparty o ołtarz, roztrzaskany przez ludzi Crackenthorpe’a.

Clarenceux klęczał na kamiennych płytach z głową pochyloną przed ołtarzem, na którym płonęły świece. Na ołtarzu przed srebrnym krzyżem leżała również kronika, a na podłodze po prawej stronie miecz, sztylet bez pochwy i krótki nóż przystosowany do noszenia w bucie.

Rebecca uklęknęła obok niego i oboje zaczęli się modlić.

Panie Boże, któryś jest na niebiesiach, bądź pochwalony, święć się imię Twoje. Racz wysłuchać mej modlitwy. Miej w opiece duszę mego świętej pamięci męża, Henry’ego Machyna. Nie było odeń lepszego człowieka. Niechaj zamieszka z Tobą w niebie.

Boże, w miłosierdziu swoim wysłuchaj mej modlitwy. Proszę, daj mi siłę i niezłomność, abym wymierzył sprawiedliwość tym, którzy zgrzeszyli przeciwko Tobie. Nie dopuść, bym okazał słabość. Niechaj mój miecz wykona wolę Twoją.

Odpuść mi nieczyste myśli i grzechy, które popełniłam w mowie i uczynku. Wybacz mi, że zdradziłam pana Fawcetta, który okazał mi tyle dobroci. Chroń jego i jego żonę, gdziekolwiek są.

Dzisiaj pan Clarenceux wejdzie do jaskini lwa. Będzie się modlił do Ciebie o obronę, jako wtenczas, gdy przechodził przez Most Londyński. Proszę, wysłuchaj go, albowiem jest to również moja modlitwa.

Daj mi siłę, abym wytrwała przy nim, kiedy będzie mnie potrzebował, abym wypełniła Twoją wolę.

Panie Boże, w miłosierdziu swoim prowadź go i chroń dla dobra nas wszystkich. Daj mi czas i cierpliwość, abym zasłużyła sobie na jego szacunek. Bez niego me życie jest jak niebo ciemniejące na horyzoncie.

*Miej go w swej opiece, albowiem on mi daje siłę.
Amen.*

Miej pieczę nad moją żoną i córkami. Gdziekolwiek są, obdarz je siłą i cnotą i zachowaj ode złego.

Racz roztoczyć opiekę nad mym przyjacielem, Juliusem, który okazał mi życzliwość i wyświadczył tyle dobrego, a którego ja naraziłem na wielkie niebezpieczeństwo. Zachowaj również w opiece jego żonę. Niechaj zostaną wynagrodzeni w niebie za to, że dochowali Ci wiary.

Zmiłuj się, Boże, nad duszami zmarłych, zwłaszcza tych, którzy niedawno odeszli w imię Twoje. William Terry, Henry Machyn, James Hopton oraz dwaj żołnierze, których zabiłem. Niechaj spoczywają w łasce Twojej i królestwie wiecznym.

Panie Boże, chroń także Rebecę Machyn. Wybacz mi, że naraziłem ją na niebezpieczeństwo, albowiem ona daje mi siłę, a jej obecność jest dla mnie wszystkim. Prowadź mnie, Boże, abym szedł w imię Twoje. Amen.

Spojrzał na Rebecę.

– Gotowa?

Odpowiedziała skinieniem głowy.

Wstali oboje. Clarenceux skłonił się przed ołtarzem i schylił po broń. Wsunął mały nóż do cholewy prawego buta, przypasał miecz, włożył sztylet do pochwy i znów się ukłonił. Rebecca zrobiła to samo i wyszła z kaplicy u jego boku.

W holu zwłoki Jamesa Hoptona nadal leżały na stole, gdzie zostawili je poprzedniego wieczoru. Clarenceux wszedł na podest i wziął ze stołu jedną z grubych czarnych szub Juliusa. Włożył ją, nie odrywając oczu od zwłok, a następnie się przeżegnał.

Kiedy patrzymy na zmarłych, pomyślał, zwłaszcza tych, co zginęli za sprawę, w którą wierzymy, nasza wiara i wiara w siebie stają się jednym.

Zwlekał jeszcze chwilę, potem znów się przeżegnał i zdecydowanym krokiem wymaszerował z holu.

W Greenwich zabrali konie na barkę i przeprawili się przez rzekę na Wyspę Psów. Stamtąd pojechali do Mile End, gdzie zapytali Johna Crawleya, właściciela oberży Pod Wschodzącym Słońcem, oraz jego żonę, Izoldę, czy ktoś interesował się ich poprzednią wizytą. Okazało się, że nie. Następnie Clarenceux wypytał ich o drogi, ścieżki, budynki i mosty w Hackney. Czy dochodziły ich jakieś wieści o strażnikach w tej okolicy? Crawley odrzekł tylko, że widziano mężczyzn kręcących się bez celu po okolicy, ale to wszystko. Nikt nie wiedział, czy byli tam nadal, czy nie. Herold rozpytał jeszcze o rozkład miasteczka: ile mostów łączy oba brzegi potoku Hackney? Dokąd prowadzą dalej? Godzinę później opuścili oberżę.

Dojechali do Hackney od południa, dokładnie gdy zegar na wieży Świętego Augustyna zaczął wybijać drugą. Zza grubej warstwy zimowych chmur wyjrzało słońce i pokryło ziemię po obu stronach drogi świetlnymi plamami. Ludzie nieśli do Londynu drewniane skrzynie z kurczakami, jechali konno opatuleni opończami. Kupcy w modnych strojach, furman z wozem załadowanym płytkami łupkowymi na nowy dach. Do miasta na targ ciągnęli druciarze, handlarze z jucznymi końmi, obładowanymi koszami pełnymi mosiężnych patelni i żelaznych nożyc. Kilku pasterzy gnało mleczne krowy z powrotem na pastwisko. Nieco dalej drogą chłop pędził stado owiec.

Dookoła rozciągały się głównie pastwiska, nigdzie nie widać było ani skrawka ziemi uprawnej. Clarenceux wiedział o tym ze swych licznych wizytacji i młodzieńczych podróży na północ. Wiele razy zatrzymywał się w gospodzie Pod Syreną w Hackney i raz Pod Latającym Koniem. Stary dom Percy'ego stał na północy parafii; Clarenceux uczestniczył tam kiedyś w nabożeństwie żałobnym. Pamiętał też duży dom z cegły w Homerton, należący do rodziny Machellów, gdzie swego czasu był na ślubie. Nazywano go Ceglanką. Wzdłuż tego domu ścieżka prowadziła na kościelny dziedziniec. Chociaż nie mógłby powiedzieć, że dobrze zna to miejsce, to jednak nie znalazł się na zupełnie obcym terenie.

Ściągnął cugle i wstrzymał konia na skrzyżowaniu. W oddali widział iglicę wieży Świętego Augustyna, wyglądającą nad czubkami drzew w złocistym popołudniowym słońcu. Nieco dalej po prawej stronie stała gospoda, zbudowana obok brodu na potoku Hackney.

Na gałęzi nad drogą usiadł drozd wędrowny, zaszczębiotał krótko, przekrzywił łebek, po czym odleciał.

– Tu się rozdzielimy – oznajmił Clarenceux, patrząc na drogę biegnącą w prawo. Była to wąska trawiasta alejka przylegająca do starego muru, obsadzona bezlistnymi bukami.

– Jedźcie dalej prosto, przez bród i do miasta. Mińcie kościół i sprawdźcie, czy na dziedzińcu czekają jacyś mężczyźni. Jeśli zauważycie coś podejrzanego, nie zatrzymujcie się i natychmiast poszukajcie bezpiecznego schronienia. Jeśli przed kościołem nikogo nie będzie, wjedźcie na podwórze gospody Pod Syreną i spytajcie, czy możecie tam zostawić konie, ponieważ chcecie porozmawiać z właścicielem. Ale nie wchodźcie do gospody. Zawróćcie i znajdźcie kryjówkę, z której da się dyskretnie obserwować wejście do świątyni. Pamiętajcie, jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego, macie uciekać w bezpieczne miejsce.

– A wy? Co z wami?

– Pójdę tędy piechotą. Jeśli wszystko będzie w porządku, odnajdę was. Jeśli nie... cóż, wiecie, co robić.

– Panie Clarenceux...

Clarenceux przełknął ślinę i nie spojrział na nią.

– Nie mamy czasu na pożegnania. Musimy być silni i pokładać nadzieję w Bogu.

Rebecca zamknęła oczy.

– Zanim odejdziecie...

Lecz on zsiadł z konia i podał jej cugle.

– Z Bogiem, Rebecco – szepnął. – Żyj dobrze i często składaj Bogu dzięki.

Nie wyrzekłszy już więcej ani słowa, klepnął konia po zadzie i zmusił ją, by odjechała.

Rebecca zamknęła oczy i szeptem odmawiała za niego modlitwę. Dopiero kiedy zbliżyła się do potoku, obejrzała się i zobaczyła jego samotną postać w czarnej szacie.

Odwróciła się znowu dopiero na drugim brzegu potoku, ale jego już nie było.

*

Clarenceux ruszył pieszo trawiastą drogą. John Crawley powiedział im, że na wschód od brodu brzegi potoku łączą dwa mosty – jeden kamienny, drugi drewniany. Ten bliższy, drewniany, prowadzi do drogi okrążającej tereny kościoła, kamienny zaś wiedzie do Homerton niedaleko Ceglanki.

Szedł szybko, pod szubą czuł dotyk rękojeści miecza. Pięćdziesiąt jardów od drogi zobaczył pierwszy most z pochylonymi nad wodą koronami drzew. Dwieście jardów dalej, nad trzcina porastającą bagienny brzeg, widać było

drugi, węższy mostek wsparty na świeżo wybudowanych kamiennych filarach. W błocie na drodze prowadzącej na most koła pojazdów wyżłobiły głębokie koleiny. Właśnie ten most go interesował.

Rebecca musiała już dojechać do gospody Pod Syreną. Przeszedł przez most i skierował się w stronę pobielonych domów na szczycie wzniesienia. To było Homerton. Skręcił w lewo w szeroką ulicę biegnącą łagodnymi łukami i minąwszy Ceglankę, poszedł dalej znajomą drogą prowadzącą na tyły kościoła.

Tutaj zwolnił. Po lewej stronie ciągnęły się ogrody otoczone wysokim kamiennym murem, przed nim tereny kościelne, a nieco dalej cmentarz. Jeśli ktoś tam stoi na straży, Clarenceux zobaczy go na długo, zanim tamten zdoła go rozpoznać.

Zerknął w prawo. Na polu w głębokim błocie stado bydła wyczekiwało wokół koryta, lecz nigdzie jak okiem sięgnąć, nie widać było ludzi.

Zostało mu jeszcze trzydzieści jardów. dwadzieścia... dziesięć.

Oto i brama.

Podmuch wiatru z północy zmroził mu policzek. Na cmentarzu szła niewiasta z koszem. Poza tym pusto. Ani żywej duszy. Przystanął i obserwował, jak kobieta odchodzi, nie zwracając na niego uwagi.

Wszedł na dziedziniec i ruszył w stronę drzwi w południowej ścianie kościoła. Po drugiej stronie świątyni zauważył budynek z cegły z wieloma małymi okienkami. Ktoś może mnie stamtąd obserwować, pomyślał. Miejmy nadzieję, że nie. Idź dalej, mówił sobie. Idź, póki ktoś cię nie zmusi, żebyś się zatrzymał. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Położył dłoń na klamce i nacisnął. Drzwi były otwarte...

Idź dalej. Spełniasz wolę Boga. On będzie cię miał w opiece.

Pchnął ciężkie skrzydło, które zaskrzypiało na żelaznych zawiasach.

Wnętrze kościoła tonęło w świetle wpadającym przez okna zwieńczone szerokim łukiem. Mury jakiś czas temu pobielono, aby zasłonić ścienne malowidła, kamienny ołtarz ogołococono z wszelkich paramentów. Znad ściany tęczowej usunięto krzyż. Wszystko to jednak miało teraz dla Clarenceux znikome znaczenie wobec niezaprzeczalnego faktu, że kościół był pusty. Żadnych szpiegów, żadnych żołnierzy. Nikogo. Ucieszył się i z dreszczem podniecenia zamknął za sobą drzwi. Poszedł szybko między ławki i patrząc w głąb kościoła, odnotowywał w pamięci wszystkie grobowce i posągi. W południowej nawie zobaczył okazałą rzeźbę, lecz z podniecenia nie mógł znaleźć epitafium. Kiedy w końcu trafił na tablicę z podpisem, okazało się, że widnieje na niej nazwisko Haskins. Podeszedł więc do następnego grobowca, potem jeszcze innego, i sprawdzał wszystkie płyty nagrobne, pamiątkowe, epitafijne. Jego wzrok przebiegał inskrypcje, szukał tylko nazwisk. Liddiard... Leech... Jones... Halloran...

W końcu go zobaczył, w północnej nawie. Był bardzo skromny jak na grobowiec hrabiego. Bez posągu. Wyobraźnia, która podsuwała heroldowi kamienny wizerunek pólężącej sylwetki Percy'ego rozmyślającego nad swym zbyt krótkim żywotem, najwyraźniej go zawiodła. Prawdziwy grób był surowym sarkofagiem przykrytym marmurową płytą. Elegancką skrzynią. Na marmurze nie było żadnych napisów. Na przodzie za to widniała wyraźnie widoczna inskrypcja po angielsku, łatwa do odczytania w zimowym słońcu, kontrastującym z cieniem wyrytych liter.

**Tu spoczywa lord Henry Percy,
hrabia Northumberland, rycerz zaszczytnego
Orderu Podwiązki, zmarły w tym mieście
ostatniego dnia czerwca 1537, 29. roku
panowania króla Henryka VIII**

Inskrypcja do tego stopnia niczym się nie wyróżniała, że w pierwszej chwili Clarenceux sądził, że się pomylił. Zdjął rękawiczkę i przebiegł palcami po wyrytych w kamieniu literach. To nie ma nic wspólnego z kroniką, pomyślał. Moje obawy, że złapie mnie tu Walsingham, były zupełnie bezpodstawne. Mimo to rozejrzał się bacznie, po czym uważnie przeczytał napis jeszcze raz z nadzieją, że przeoczył jakąś zaszyfrowaną wskazówkę. Wyjął przyrządy do pisania, które miał w kieszeni, po czym uklęknął, oparł się o marmurową płytę i przepisał tekst na papier.

Wstał rozczarowany. W tym musi się kryć coś więcej. Może jakiś przedmiot w pobliżu rzuca cień w taki sposób, by wydobyć z półmroku niektóre litery? Cofnął się, przesunął w bok, lecz na płycie nagrobnej nic się nie zmieniło, nie pojawił się żaden cień ani znak. Podniósł wzrok na witraż ponad grobowcem, przyjrzał się, czy nie zobaczy słów albo obrazów, które posłużyłyby za klucz do kroniki. Nie zauważył niczego nadzwyczajnego. Okno było znacznie starsze niż grobowiec. Za to kiedy się odsunął, rzucił mu się w oczy drugi napis na bocznej ścianie sarkofagu. Było to jedno słowo wyryte wielkimi literami:

ESPERANCE

Przeszedł go dreszcz podniecenia i strachu. To nie było zwyczajne motto. To było słowo, którym Machyn zakończył swoją kronikę.

Przykucnął i przyjrzał się inskrypcji. Potem przeniósł się na drugą stronę, aby sprawdzić, czy tam również czegoś nie ma. I popatrzył na grobowiec zdumiony. A więc jednak trafił we właściwe miejsce, to tutaj Machyn pragnął go skierować. Łaciński tekst wyryto drobnymi kapitalikami:

MILITIA EST VITA HOMINIS SUPER TERRAM ET SICUT DIES
MERCENARII DIES EIUS • SICUT SERVUS DESIDERA

TUMBRAM ET SICUT MERCENARIUS PRAESTOLATUR FINEM
OPERIS SUI • SIC ET EGO HABUI MENSES VACUOS ET
NOCTES LABORIOSAS ENUMERAVI MIHI • SI DORMIERO
DICO QUANDO CONSURGAM ET RURSUM EXPECTABO
VESPERAM ET REPLEBOR DOLORIBUS USQUE AD
TENEBRAS • INDUTA EST CARO MEA PUTRUDINE ET
SORDIBUS PULVERIS CUTIS MEA IRRUPUIT ET PECCATUM
APERITUM EST • DIES MEI VELOCIUS TRANSIERUNT QUAM
A TEXENTE TELA SUCCITITUR ET CONSUMPTI SUNT
ABSQUE ULLA SPE • MEMENTO QUIA VENTUS EST VITA
MEA ET NON REVERTETUR OCULUS MEUS UT VIDEAT
BONA • NEC ASPICIET ME VISUS HOMINIS OCULI TUI IN ME
ET NON SUBSISTAM • SICUT CONSUMITUR NUBES ET
PERTRANSIT SIC QUI DESCENDERIT AD INFEROS NON
ASCENDET • NEC REVERTETUR ULTRA IN DOMUM SUAM
NEQUE COGNOSCET EUM AMPLIUS LOCUS EIUS •
QUAMPROPTER ET EGO NON PARCAM ORI MEO LOOUAR IN
TRIBULATIONE SPIRITUS MEI CONFABULABOR CUM
AMARITUDINE ANIMAE MEAE • NUMOUID MARE SUM EGO
AUT CETUS QUIA CIRCUMDEDISTI ME CARCERE

Przez jedno mgnienie oka Clarenceux poczuł satysfakcję, że rozumie łaciński tekst i wie, skąd pochodzi. Zaczepnięto go z Księgi Hioba, z siódmego rozdziału, w którym Hiob usprawiedliwia swe pragnienie śmierci. Te ostatnie słowa – „Iżajem ja jest morze abo wieloryb, żeś mię obtoczył ciemnicą?”³ – były dziwnym dodatkiem do wcześniejszego fragmentu. Ściślej mówiąc, same w sobie stanowiły intrygującą zagadkę, z tego właśnie powodu Clarenceux tak dobrze je pamiętał. Nigdy nie mógł zrozumieć tego wersetu. Co on miał wspólnego z lamentami Hioba? Na

ozdobnej oprawie kroniki Machyna widnieją fale i ryba. Obie inskrypcje na bocznych ściankach grobowca nawiązują do tej księgi. Czyżby dowód małżeństwa spoczywał w grobowcu, ukryty tam w czasie pogrzebu przez Henry'ego Machyna?

Nagle usłyszał skrzypienie żelaznych zawiasów, a następnie kroki na kamiennej posadzce. Wstając, musiał osłonić oczy przed snopem światła wpadającego przez okno, lecz zorientował się od razu, co się dzieje. Sześciu mężczyzn utworzyło szpaler, po trzech z obu stron drzwi. Każdy miał na sobie inną liberię – jeden burgundowy dublet, inny czarną tunikę, jeszcze inny starą kamizelkę obszywaną futrem, wszyscy jednak nosili u pasa miecze. I wszyscy czekali na rozkazy, żaden się nie odzywał. Stali na baczność w kolorowych strojach niczym straż parafialna na przeglądzie.

W oddali, z dworu, doszedł go krzyk kobiety.

– Na miłosierdzie pańskie! – Poznał głos Rebekki. – Panie Clarenceux! Uciekajcie... ratujcie się!

Nie miał dokąd uciekać. W kościele było tylko jedno wejście. Rozglądał się za innym, lecz na próżno. Mógł jeno bezradnie patrzeć, jak do kościoła wchodzi kolejnych dwóch mężczyzn. Każdy trzymał w rękach sznur, którego drugi koniec przywiązany był do nadgarstka Rebekki. Kobieta szarpała się i skręcała, aby poluzować więzy i wyswobodzić ręce, lecz strażnicy związali ją mocno i traktowali brutalnie.

– Na Boga wielkiego! – wrzeszczała, kiedy wlekli ją do środka.

Jeden z mężczyzn złapał ją za włosy i szarpnął. Kiedy zobaczyła Clarenceux stojącego beczynnym, niepróbującym uciec ani ukryć się przed strażnikami, zrozumiała, że jej zmagania są daremne. Znieruchomiała i patrzyła nań, jakby ją zdradził.

– Czekali w gospodzie Pod Syreną – wycodziła przez zęby. – Psubraty, zaczęli się na nas. Wysłali wiadomość do Walsinghama.

Dziewiąty mężczyzna, który wszedł do kościoła, kiedy Rebecca mówiła, okazał się kapitanem. Podszedł prosto do niej i uderzył ją w twarz.

– Stul gębę, kobieto! – wrzasnął. – Wy dwaj, przeszukać go. Odebrać mu broń i związać. A ty zamknij drzwi na klucz. Poczekamy tu na sierżanta Crackenthorpe’a.

Herold oceniał swoje szanse. Jeszcze miał czas, aby dobyć miecza. Dwaj mężczyźni trzymali Rebecę. To by było siedmiu na jednego. Lecz w jego stronę szło tylko dwóch i miałyby moment przewagi. W tej samej chwili jednak kapitan zawołał:

– Nawet nie myśl, żeby sięgać po broń.

Clarenceux przeniósł na niego wzrok i zobaczył długą lufę strzelby wycelowaną w swoją pierś. Rzucił okiem w głąb kościoła. Mógłby przebiec na drugą stronę nawy, wszak trudno trafić poruszającego się człowieka. W południowej nawie stoi sarkofag, gdyby zdołał tam dobiec, mógłby wyskoczyć przez okno. Ale rozbicie szyby zajmuje czas, byłby wtedy łatwym celem. Zastrzela go. Poza tym będą mieli Rebecę.

Pierwszy ze strażników popchnął go brutalnie na ścianę i chwycił za rękojęć miecza pod płaszczem. Clarenceux pozwolił go sobie zabrać, podobnie jak sztylet. Nie protestował, kiedy odwracali go tyłem i przycisnęli twarzą do muru obok grobowca, a w tym czasie inny żołnierz pętał mu nadgarstki za plecami, z całej siły zaciskając sznur.

– Przywiążcie go do słupa – rozkazał kapitan. – Ją też, po drugiej stronie nawy. Trzymać ich oddzielnie.

Pchany w stronę chóru, Clarenceux próbował pogodzić się z własną bezradnością. Przecież przygotowywał się na pułapkę; był gotów walczyć. A tymczasem w ciągu kilkunastu sekund został obezwładniony i pokonany. Poczuł, że opasują go sznurem i przywiązują mocno do dębowego wspornika ściany tęczowej. Drugą pętlę owinęli mu wokół szyi.

Powiedli Rebecę na przeciwległą stronę nawy. Clarenceux palił wstyd. Nie chciał na nią patrzeć, nie chciał zobaczyć wyrzutu w jej oczach za to, że wprowadził ją prosto w pułapkę, która, kiedy teraz o tym myślał, była łatwa do przewidzenia. Walsingham o wszystkim wiedział. Nic nie stało na przeszkodzie, aby przysłał tu cały oddział żołnierzy, po cichu, bez szumu, przebranych za zwykłych przechodniów. Mogli tu na niego czekać wiele dni, całymi tygodniami.

Spisek upadł. Świeca zamigotała i zgasła. Z nami stanie się to samo, pomyślał.

Kapitan rozstawił dwóch ludzi, aby zostali przy drzwiach. Trzem rozkazał pilnować Rebekki, trzem innym herolda. Słońce przesunęło się na niebie i z południowego okna zniknął snop światła, wkrótce w kościele zacznie się robić ciemno. Clarenceux spojrzał na grób hrabiego Northumberland, milczący, nieruchomy, pokryty kurzem, który osiadał na nim przez ostatnie dwadzieścia sześć lat. Czy w środku kryje się dowód, że królowa Elżbieta nieprawnie sprawuje władzę nad Anglią? – zastanawiał się. Jeśli tak, była to kiepska kryjówka. Nawet gdyby udało nam się tu wejść niepostrzeżenie, to nie zdołalibyśmy otworzyć grobowca, nie ściągając na siebie uwagi. Może dlatego Henry Machyn zebrał dziewięciu rycerzy – aby razem podźwignęli wieko sarkofagu. Lecz czemu wobec tego miała służyć kronika? I po co ten cytat z Księgi Hioba? Morze, wieloryb... We wcześniejszym fragmencie inskrypcji też coś dziwnego rzuciło mu się w oczy. Słowa powinny brzmieć: *cutis mea aruit et contracta est* lub coś w tym rodzaju. Coś o skórze Hioba, która się marszczy i pokrywa bruzdami...

Jego skóra...

W tym momencie, gdy Clarenceux podniósł wzrok i zobaczył, jak ostatnie promienie słońca znikają z ostatniego rogu ostatniego okna,

zrozumiał. To był najśłodszy pokarm dla duszy. Odkrył tajemnicę grobu lorda Percy'ego, sekret Henry'ego Machyna.

70

Sierżant Crackenthorpe wszedł do kościoła krokiem potężnego, dumnego człowieka u szczytu swej chwały. W rzeczywistości jego serce płonęło. Ciało trawiła gorączka, szalała w piersi, nogach, rękach. Nie powodowała nim ani duma, ani myśl o zwycięstwie, lecz czysta, nieopanowana żądza krwi. Nie potrafił jechać spokojnym krokiem u boku Walsinghama i uśmiechać się do siebie na myśl o przesłuchaniu Clarenceux. Pragnął rozedrzeć tego człowieka na strzępy, pragnął go żywcem obedrzeć ze skóry, zdzierać pasy z pleców, sypać sól na żywe rany, przygnieść dłoń obcasem i czuć pod nogą każdą gruchotaną kostkę...

Kiedy wchodził do kościoła, towarzyszyło mu trzech żołnierzy, ale zatrzymali się i zostali w tyle, podczas gdy on podszedł do herolda. Clarenceux spodziewał się uderzenia w twarz lub żołądek. Przygotował się, napiął mięśnie brzucha, lecz cios nie padł.

– Jakież to dogodne, że Bóg oddał cię w moje ręce właśnie w tym miejscu. Zaiste muszę wielbić Wszechmogącego, który zdał cię na moją łaskę. A ja ci jej nie okażę. Dawno sobie poprzysiągłem, że uczynię z tobą to, co robiono kiedyś ze zdrajcami: wyrwę ci trzewia i spalę je na twoich oczach. We Francji przywiązują ludzi za kończyny do czterech koni i rozrywają na strzępy.

Clarenceux wyprostował się i popatrzył Crackenthorpe'owi w oczy.

– Gdzie jest Walsingham?

– W drodze. Pewnie rozkoszuje się myślą o tym, co mu powiesz, tak jak ja myślą o tym, w jaki sposób zmuszę cię do gadania.

– Lepiej pomyśl o swej duszy, nawet jeśliś jest niczym więcej niż zwykłym mordercą.

I tym razem Crackenthorpe go nie uderzył. Zapytał tylko:

– Wiesz, czemu pojechałem przodem?

Clarenceux nie odpowiedział.

– Ponieważ pan Walsingham nie pochwała niektórych moich metod. Uważa mnie za zabójcę, który nie umie nad sobą panować. Ale jak widzisz, ja doskonale wiem, co robię. Mógłbym ci zadać mnóstwo bólu. I zadam. Ale kiedy to uczynię, to tylko na swój własny użytek, nie jego. Nie po to, żeby wycisnąć z ciebie informacje. Jeśli zaczniesz gadać, to nie z powodu tego, co ci zrobię, tylko z powodu tego, co zrobię tej kobiecie. – Zerknął na Rebecę, przywiązaną do drewnianego słupa, stojącą ze spuszczoneymi oczami. – Musiała być z niej kiedyś ładna dziewczka. Jest twoją nałożnicą?

Clarenceux milczał.

– Zaboli cię jeszcze bardziej, kiedy będzie cierpieć. Uwierz mi, że wiem, jak torturować ludzi. Ja nie wydaję na męki samego ciała. Katuję również duszę. A czynię to, katując tych, których kocha ofiara. Wiem z doświadczenia, co to znaczy, lecz mnie to spotkało, kiedy byłem młody. Młodego człowieka przeciwności losu czynią silniejszym, tych, którzy najlepsze lata mają za sobą, zabijają. Sprawia mi przyjemność, kiedy będę cię torturował, ponieważ dzięki temu poczuję, że stałem się silny. A ty... najpierw będziesz płakał, potem zaczniesz gadać, a w końcu umrzesz.

– Nie tylko Walsingham gardzi twoimi metodami. W tym wypadku Bóg jest po jego stronie.

– Oszczędź mi kazań, Clarenceux. W tych sprawach jesteś naiwny. Tylko pogorszysz jej sytuację. – Uśmiechnął się. – Kiedy myślę o tym, co

zamierzam uczynić, moje ciało staje się silne i krążą w nim soki, tak jak usta napełniają się śliną na myśl o wodzie. Lubię to uczucie. Sprawia mi rozkosz upokarzanie bezsilnej kobiety. Jej bezsilność czyni mnie nieskończenie potężnym i daje jeszcze więcej przyjemności. Mogę też obdarować tą przyjemnością innych i to też jest dowodem potęgi. – Odwrócił się do żołnierzy pilnujących Rebekki. – Wy dwaj, zabierzcie ją do gospody. Możecie ją pohańbić albo zrobić z nią, co wam się żywnie podoba.

Clarenceux zamknął oczy, kiedy mężczyźni odwiązywali Rebecę od słupa.

– Panie Clarenceux – zawołała – zwyciężymy ich miłością. Bądźcie silni. Pokładajcie wiarę w Bogu...

– Zamknąć jej gębę, na miłość boską! – wrzasnął Crackenthorpe.

– Pokładajcie wiarę w Bogu, panie Clarenceux – powtórzyła Rebecca.

Wtedy jeden z mężczyzn siłą otworzył jej usta i wcisnął w nie sznur, który zawiązał z tyłu głowy. Potem we dwóch wywlekli ją z kościoła. Zaskrzypiały zawiasy i zamknęły się za nimi drzwi.

– Zastanawiasz się, czemu nie chcę jej wziąć dla siebie? To dlatego, że więcej przyjemności sprawi mi patrzenie, jak cierpisz.

– Plunąłbym ci w twarz, gdybyśmy nie byli w świętym miejscu.

– Twoja wiara czyni cię słabym, Clarenceux.

Herold popatrzył Crackenthorpe'owi w twarz. Szukał odpowiednich słów, lecz jedyne, co mu przyszło do głowy, to myśl o szramie na jego twarzy.

– Podoba mi się twoja blizna – powiedział. – Świadczy o tym, że ktoś już wcześniej bardzo chciał cię zabić.

Crackenthorpe starał się zachować zimną krew, lecz nie wytrzymał, zamachnął się i grzmotnął Clarenceux w szczękę. Głowa herolda

odskoczyła i uderzyła o rzeźbioną kolumnę, do której był przywiązany. Poczuł w ustach smak krwi, językiem dotknął obluzowanego zęba. Drugi cios pozbawił go równowagi. Zrobiło mu się niedobrze.

Kiedy wymiotował, usłyszał skrzypienie drzwi. Do kościoła wszedł Francis Walsingham, a za nim czterech mężczyzn w czarnych liberjach. Crackenthorpe odwrócił się na pięcie.

Walsingham podszedł do nich i patrząc na zakrwawioną twarz Clarenceux, na jego niewidzące, na wpół zamknięte lewe oko, wskazał gestem grobowiec Percy'ego.

– Macie dużo rzeczy do wyjaśnienia.

– Nie mam niczego do wyjaśnienia.

– Dajcie spokój, panie Clarenceux, wasza zabawa w rewolucję się skończyła. Mogłem wam uwierzyć poprzednio, kiedy twierdziliście, że o niczym nie wiecie. Puściłem was nawet wolno. Ale zdradziliście moje zaufanie i od tamtej pory staliście się moim wrogiem. Wiemy, kim są Rycerze Okrągłego Stołu. Przesłuchaliśmy waszych towarzyszy i choć próbowali was chronić, dowiedzieliśmy się prawdy. Odkryliśmy zaszyfrowane słowa „lord Percy” i datę jego śmierci. Tylko herold mógł wpaść na pomysł, by ośrodkiem spisku uczynić grobowiec zmarłego arystokraty.

Rozejrzał się po kościele, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Potem odwrócił się z powrotem do Clarenceux.

– Jakie znaczenie ma to miejsce? Czy to punkt zborny dla waszej rebelii? Czy mogę się w każdej chwili spodziewać najazdu buntowników z Essex, z Suffolku, z północy? Czy to kolejna Pielgrzymka Łaski? Do grobu hrabiego Northumberland, człowieka, który odmówił stanięcia na czele poprzedniej rebelii? Żądam odpowiedzi, Clarenceux. Natychmiast.

Clarenceux pokręcił głową.

– Wszyscy ludzie, którzy zawiązali ten spisek, nie żyją. Henry Machyn. Sir Arthur Darcy. John Heath. Przyjechałem tu, aby się dowiedzieć, jaki był jego cel i wyjaśnić wszystko sir Williamowi Cecilowi.

– Możecie wyjaśnić to mnie.

– Uczyniłbym to – wyszeptał Clarenceux – gdyby sierzant Crackenthorpe nie nakazał pohańbić pani Machyn, zanim przyszlście.

Walsingham spiorunował Crackenthorpe’a wzrokiem.

– To jego mamy posłać na tortury i z niego wydobyć informacje, nie z kobiety. Czemu wydałeś taki rozkaz?

Crackenthorpe wskazał palcem herolda.

– Słabość tego człowieka nie leży w jego ciele, tylko w sumieniu. Dajcie mi ją i pozwólcie oderznąć jej piersi na jego oczach. Zanim dotknę nożem ciała, pan Clarenceux zgodzi się na wszystko, czego zażądacie. Gwarantuję to.

Walsingham spojrzał na herolda.

– Kiepski z was rebeliant, jeśli gotowi jesteście się poddać na widok jednej cierpiącej, żalösnej wdowy.

– Jestem... tego samego zdania. Dlatego właśnie zostałem heroldem, a nie rebeliantem.

– Gdzie ona jest?

– Kazałem ją zabrać do gospody Pod Syreną – odparł Crackenthorpe.

Walsingham odwrócił się do ludzi czekających za jego plecami.

– Wy dwaj. Idźcie po nią. Przyprawdźcie ją tu z powrotem.

Znów przeniósł uwagę na Clarenceux.

– Porozmawiajmy jak szlachcic ze szlachcicem. Wasza sprawa upadła. Nie wiem, jaki bunt zamierzaliście wzniecić, ale wasz plan spelzł na niczym. Zostaniecie oboje straceni. Jedyłą otwartą kwestią pozostaje, w jaki sposób zginiecie. Załóżmy, że oddacie mi kronikę Henry’ego

Machyna i wyjawicie tajemnicę grobu lorda Percy'ego. W zamian dopilnuję, abyście oboje zostali powieszani. Was nie poćwiartują żywcem, a jej nie spalą na stosie. Żadne z was nie będzie cierpiało więcej upokorzeń.

– Jak miałbym wam oddać kronikę?

– Powieście mi, gdzie ona jest. Wyślę po nią sierżanta Crackenthorpe'a. Kiedy mi ją przywiezie, powstrzymam rozkaz i nie skazę was na okrutną śmierć.

Clarenceux potrząsnął głową.

– Nie doceniacie mnie, Walsingham – mruknął. – Obojga nas nie doceniacie. Moja broń jest... ostra.

– Zginiesz śmiercią zdrajcy.

– Kiedy dopełni się spisek, ciebie czeka to samo.

Walsingham odwrócił się ze złością.

Przekrwionymi oczami herold zobaczył, że jego brawurowa gra uczyniła wyłom w pancerzu Walsinghama. Sekretarz kanclerza nie miał pojęcia, czym jest spisek, z którym walczy.

– Panie Walsingham. Podtrzymuję swoje oświadczenie, że jestem niewinny. Proponuję jednak inną umowę. Zwolnicie wszystkich Rycerzy Okrągłego Stołu oraz ludzi, których podejrzewacie o współudział, w tym Juliusa Fawcetta, jeśli go przetrzymujecie, a ja oddam wam kronikę, ale pod dwoma warunkami. Pierwszy: że stanie się to w obecności sir Williama Cecila, drugi: że wymiany dokonamy w moim domu.

Walsingham zmarszczył czoło.

– Czemu miałbym was słuchać? Lub w ogóle brać pod uwagę układy z wami? Niedługo będziesz trupem, Clarenceux.

– Jeśli mam zostać męczennikiem, niech i tak będzie. Ale nie sądzę, abyście chcieli do tego dopuścić, panie Walsingham. Ponieważ wówczas przegracie. Moja śmierć, podobnie jak śmierć pani Machyn, nie zakończy

sprawy. Nie brałem udziału w żadnym spisku przeciwko Jej Wysokości, lecz teraz, kiedy zobaczyłem ten grób, zrozumiałem, co się stanie. A wy nie możecie uczynić nic, aby to powstrzymać.

Twarz Walsinghama pociemniała. Clarenceux kładł mu przed oczy koszmar, którego się najbardziej obawiał. Podszedł do grobowca hrabiego.

– Otworzyć go! – krzyknął ze złością do swoich ludzi.

– Natychmiast!

Żołnierze rzucili się, by wykonać jego rozkaz, nawet ci, którzy pełnili wartę przy drzwiach. Tylko strażnicy pilnujący herolda pozostali na stanowiskach. Crackenthorpe też podszedł do nagrobka. Clarenceux obserwował ich w milczeniu.

– Ty idź poszukać łomu. Reszta w tym czasie niech kruszy cement mieczami.

– Moja propozycja jest nadal aktualna, Walsingham! – zawołał Clarenceux. – Będziecie musieli się gęsto tłumaczyć, jeśli zbezcześcicie grób i niczego w nim nie znajdziecie.

– Zawrzyj gębę, bo każę Crackenthorpe'owi, żeby ci znowu przyłożył.

– To jest kościół, Walsingham – mówił dalej Clarenceux.

– Dom boży. Chcecie zakłócić spokój człowieka, który miał święty pochówek?

Kiedy wrócił mężczyzna z łodem, żołnierze zabrali się do pracy. Jęli wbijać narzędzie pod marmurową płytę. Kościół wypełnił się przeraźliwym dudnieniem, które odbijało się echem między arkadami i rzeźbionymi sklepieniami.

– Zbliża się pełnia, Walsingham – ciągnął Clarenceux.

– Jeśli przystaniecie na moje warunki, jeszcze dziś w nocy odzyskam kronikę, a jutro oddam wam ją w zamian za więźniów.

– Idź do diabła, Clarenceux! Trzymaj język za zębami, bo każę ci go odciąć.

– Nie masz pojęcia, po co zawiązano ten spisek. Potrzebujesz mojej pomocy.

Ogłuszający łoskot łomu uderzającego o kamień odbijał się od ścian i kolumn. Nagle ucichł, a jego miejsce zajęło zgrzytanie przesuwanej marmurowej płyty grobowca.

Potem zaległa cisza.

– I co widzisz? – zawołał szyderczo Clarenceux. – Niech zgadnę. Ołowianą trumnę. Może jakieś wyschnięte kwiaty od wdowy po zmarłym hrabim? Nie sądzę.

Walsingham odwrócił się od grobowca i wolnym krokiem podszedł do herolda.

– Więc jak będzie? Zgadzasz się?

– Sierżant Crackenthorpe marzy o tym, żeby cię zamordować gołymi rękami. A ja skłaniam się do tego, by mu pozwolić. Masz jedyną szansę, żeby to wyjaśnić.

W tym momencie zaskrzypiały drzwi i dwóch ludzi wprowadziło do środka Rebecę Machyn. Suknię miała rozdartą na ramieniu i utykała. Popatrzyła na herolda, zobaczyła jego zakrwawioną twarz.

– Bóg jest z nami, panie Clarenceux – powiedziała dzielnie.

– Przywiązać ją do słupa – rozkazał Walsingham.

Kiedy Clarenceux ją zobaczył, lodowate ciarki przebiegły mu po plecach. Jego zaciętrzewienie ustąpiło miejsca zimnemu, niezłomnemu postanowieniu.

– Wyjaśnię wszystko jutro w południe w obecności sir Williama Cecila i pozostałych więźniów, których mi przekażesz, Walsingham.

Walsingham odwzajemnił kamienne spojrzenie herolda. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Jego szare oczy prześlizgnęły się po twarzy więźnia, niewzruszone widokiem krwi. Nie odpowiedział, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

– Crackenthorpe! – zawołał.

Sierżant przybiegł do niego pospiesznie i razem wyszli z kościoła.

Ściemniało się. Żołnierze i strażnicy czekali w miejscu, gdzie zostawił ich Walsingham. Nie ośmielili się porzucić swych posterunków, ale wyraźnie się rozluźnili. Clarenceux popatrzył na Rebeccę. Kobieta zwiesiła ramiona i zrezygnowana wpatrywała się w kamienną podłogę.

Walsingham i Crackenthorpe wrócili po dziesięciu minutach. Długie kroki sierżanta kontrastowały z szybkim stukaniem obcasów jego chlebobdawcy, który szedł przodem.

– Clarenceux, pojedziesz dzisiaj po kronikę. Będzie ci towarzyszył sierżant Crackenthorpe z trzema ludźmi. Oczywiście zostaniesz związany. Oddasz mi kronikę jutro w południe w twoim domu, tak jak żądałeś. Jeśli tego nie zrobisz, wdowa Machyn spłonie na stosie, a więźniowie, którzy przeżyli, pójdą na szafot jako zdrajcy stanu. Zostaną powieszani i poćwiartowani.

– Którzy więźniowie przeżyli?

– Robert Lowe, Nicholas Hill, William Draper, Michael Hill i James Emery.

– Drapera możecie sobie zatrzymać – wykrztusił Clarenceux.

Głos z trudem przechodził mu przez gardło. Nie wszystkie nazwiska wymieniono.

71

Zapowiadała się zimna noc. Po granatowym niebie przepływało niewiele chmur, ostatnie promienie dziennego światła gasły szybko. Światło księżycyca oświetlało drogę wrzynającą się we wzgórze przed nimi niczym stalowe ostrze, w kałużach odbijały się srebrzyste pasma obłoków.

Strażnicy spętali heroldowi ręce z przodu i zdjęli rękawiczki. Przywiązali sznur do cugli, a drugi koniec Crackenthorpe przymocował sobie do siodła. Wokół szyi herolda zarzucili pętlę, a jej koniec sierżant trzymał w dłoni.

Clarenceux nie chciał poprowadzić ich drogą, którą tu przyjechali z Rebeccą, więc skierował się do Kingsland, a potem do Newington Green. Stąd widać było wysoką sylwetkę domu, w którym zmarł lord Percy – surowy kształt odcinający się na tle księżycowego blasku, górujący nad otaczającym ją rozległym trawnikiem. Przejechali przez Islington, minęli gospody skupione wokół Angel.

Crackenthorpe milczał. Odezwał się, dopiero kiedy zobaczył, że zbliżają się do miasta.

– Nie poprowadziłeś nas najkrótszą drogą. Mogliśmy jechać gościńcem do Bishopsgate.

– Nikt mi nie mówił, że mam jechać najkrótszą drogą. To nie wchodziło w zakres umowy.

– Jeśli to pułapka, możesz być pewien, że zacisnę ci tę pętlę na szyi, zanim zdążysz jęknąć, i zrobię to z ogromną przyjemnością.

Jadąc przez miasto tonące w księżycowym blasku, patrząc na linie dachów, na wozy stojące przed sklepami, na beczki z wodą, na kałuże na środku błotnistej ulicy, Clarenceux obmyślał taktykę. Wiedział, że ma mało czasu, żeby pozbyć się eskorty strażników. W świetle księżyca krajobraz wydawał się bardziej realny; ciemność niczym śmierć pochłaniała wszystko, co ogarniał wzrokiem. Ze związanymi rękami nie mógł sięgnąć do buta, aby dobyć noża. Za każdym razem, kiedy wjeżdżali w cień budynku lub muru, szarpał rozpaczliwie więzami na nadgarstkach i stopniowo udawało mu się je rozluźnić, lecz węzły nadal były za mocne, aby mógł wyswobodzić dłonie i zdjąć z szyi pętlę.

Zachowaj spokój, powtarzał sobie. Jeszcze nadarzy się sposobność. Do Summerhill pozostało dwanaście mil.

W Bridge Gate rzeczywiście nadarzyła się przelotna okazja. Crackenthorpe musiał zsiąść z konia, aby wytłumaczyć się kapitanowi straży. Lecz żołnierze, którzy pilnowali Clarenceux, podprowadzili go w oświetlone miejsce i nie spuszczali z oka. Jeden z nich, Christopher Fraser, kazał mu wyciągnąć ręce przed siebie, żeby nie zasłaniały ich fałdy szuby. Chociaż nie zauważył śladów, gdzie sznury wpiły się w skórę, trzymał mocno cugle i sznur oplatający szyję herolda. W końcu wrócił Crackenthorpe i pięciu mężczyzn wjechało na ciemny, pusty Most Londyński. Ponieważ księżyc świecił dokładnie przed nimi, wysokie budowle po obu stronach ulicy nie rzucały cienia. Pęta Clarenceux nadal były za ciasne, aby uwolnił ręce.

Światło księżyca odbijało się w wysokim dachu opactwa Southwark i białych frontonach domów. Muskało bezlistne gałązki drzew po obu stronach ulicy. Żaden cień drzewa nie zapewnił heroldowi osłony na tyle długo, by mógł jeszcze bardziej poluzować więzy lub sięgnąć po nóż. Próbował sobie przypomnieć, jak biegnie droga przed nimi – czy zakręca

wokół wzgórza lub obiega dolinę? Nie przychodziło mu jednak do głowy żadne miejsce, gdzie mógłby wprowadzić Crackenthorpe'a i skryć się przed blaskiem miesiąca. Potrzebował czegoś, co odwróciłoby uwagę żołnierzy.

– Jak umarł Henry Machyn? – zapytał, kiedy zbliżyli się do Peckham.

Crackenthorpe nie odpowiedział.

– Jak umarł Daniel Gyttens?

Nadal cisza.

Clarenceux widział, jak w sierzancie wzbiera nienawiść. Nawet te pytania, tak zaskakująco bezpośrednie, wyprowadziły go z równowagi. Herold czuł na szyi pętlę, którą Crackenthorpe w każdej chwili mógł ściągnąć i w mgnieniu oka udusić dokuczliwego więźnia, a ponieważ Clarenceux nie miał szans sięgnąć ręką do buta, był praktycznie bezbronny.

Mimo to ciągnął dalej.

– Musiałeś służyć w wojsku. Jak to się stało, że jesteśmy tak nieprzejednanymi przeciwnikami? Mamy ze sobą wiele wspólnego. Byłeś w Boulogne?

Crackenthorpe nadal milczał.

– Co takiego uczyniłem, co cię do mnie zraziło? Nawet złodzieje mają dla siebie wzajemny szacunek, a ty nie darzysz mnie nawet odrobiną respektu. Czy choćby pani Machyn.

Cisza. Słysząc było tylko miarowy stukot kopyt odbijający się od budynków po obu stronach ulicy. Za każdym razem, gdy wjeżdżali w cień domu, Clarenceux wykręcał dłonie na wszystkie strony i przestawał natychmiast, gdy ponownie wyłaniali się w światło księżyca.

– Powiedziałeś w kościele, że wiesz, co znaczą męki duszy, i że sprawia ci przyjemność zadawanie bólu nieprzyjaciołom. Co cię takim uczyniło? Kto cię skrzywdził?

– Gdybyś dorastał w marchiach szkockich tak jak ja i mój brat, naoglądałbyś się dość potworności. Ty też wolałbyś wtedy zadawać okrucieństwo, niż być jego ofiarą.

Mijali następny dom i znów Clarenceux odrobinę rozluźnił więzy. Mógł nieco swobodniej poruszać palcami, lecz sznur jeszcze mocniej wrzynał mu się w skórę. Potem znów wyjechali w światło księżyca.

– Większość ludzi z takich przeżyć wyniosłaby zdolność współczucia.

– Współczucie to słabość. Słabość jest powszechna.

– Więc jeśli dobrze rozumiem, boisz się, że staniesz się bezużyteczny dla Walsinghama, jeśli nie będziesz czerpał przyjemności z zadawania bólu?

– Walsingham sam mi to powiedział. Oczekuje ode mnie, że wydobywając z więźniów informacje, posunę się dalej, niż on by się ośmielił.

– A jeśli zabijesz człowieka i zostaniesz przyłapany? Nie martwi cię, że spadnie na ciebie odpowiedzialność za jego rozkazy?

– Jestem dumny ze swojej służby.

– Jesteś skończonym głupcem.

Zamiast odpowiedzieć Crackenthorpe szarpnął z całej siły linę zaplecioną wokół szyi Clarenceux, aż herold zaczął się dławić i nie mając żadnego oparcia, zsunął się z siodła. Wylądował ciężko na zmarzniętej ziemi, lecz szarpanie za sznur wcale nie ustało. Crackenthorpe włókł go po ziemi, jakby go ciągnął na egzekucję. Związanymi dłońmi herold rozpaczliwie próbował chwycić linę na szyi i powstrzymać śmiertelnoścą pętlę. Ziemia się pod nim prześlizgiwała, lina wpijała się w skórę tak mocno, że jego zziębnięte palce nie miały jak jej uchwycić. W końcu udało mu się je wcisnąć, lecz wtedy dopadły go mdłości i Crackenthorpe nareszcie ściągnął wodze. Herold leżał na ziemi, dysząc ciężko. Zdjął z szyi sznur i łąpczywie chwycił powietrze, a jednocześnie przewrócił się na

kolana i sięgnawszy niepostrzeżenie do cholewy buta, wyciągnął mały nóż. Ukrył go w prawej dłoni, powoli dźwignął się na nogi i podszedł do konia.

– Panie sierżancie, lina – zauważył jeden z ludzi.

– Podnieś ją i nałóż z powrotem na szyję.

Clarenceux wziął głęboki oddech i schylił się po sznur, aby go włożyć na głowę. Crackenthorpe natychmiast zacisnął pętlę, omal nie zwalając go z nóg.

– Na litość boską, dajże mi oddychać! – krzyknął herold, sięgając ręką do szyi i odwracając się tyłem do księżycy, by ukryć czubek ostrza sterczący z dłoni.

– Nie mam dla ciebie litości. Ani dla tej dziwki Machyn.

Clarenceux wsiadł z powrotem na konia.

– Pani Machyn nie jest dziwką – powiedział.

– Już nie – mruknął sierżant i ruszył przed siebie.

– Cóż to ma znaczyć?

– Że już nie żyje.

Clarenceux poczuł, jak ogarnia go fala paniki i obezwładnia niczym przeraźliwy, druzgocący hałas. Musiał się zdobyć na ogromny wysiłek, żeby wydobyć z siebie słyszalny głos.

– Walsingham umówił się ze mną, że zwolni wszystkich żyjących więźniów. Powiedział, że mam wrócić z kroniką przed południem.

– Nie pozwolę ci wrócić przed południem. Tamci pójdą na szubienicę. A co do tej dziwki... Walsingham nie miał najmniejszego zamiaru jej puszczać. Czekał, aż wyprowadzę cię z kościoła, a potem powiesił ją na skrzyżowaniu w Kingsland. Dlatego przystał na twoją propozycję.

Clarenceux wjechał w cień budynku, lecz nie próbował już poluzować więzów ani rozciąć ich nożem. Uszło zeń całe życie. Przypomniał sobie ostatnią noc, kiedy Rebecca zasnęła z głową na jego piersi.

– Za dużo ludzi straciło życie – powiedział, wpatrując się w księżycowy blask odbity na bezlistnych konarach przydrożnych drzew. – Za dużo przez ciebie zginęło. Nie masz umiaru w zabijaniu, jesteś okrutnym, mściwym... nędznym wyrzutkiem ludzkości.

Wściekły głos Crackenthorpe'a rozdarł nocną ciszę.

– Więc tylko ja zabijam? A co z tobą, heretyku morderco? Jak śmiesz prawić mi morały po tym, jak usiekłeś mojego brata?

– Twojego brata?

W tym momencie Clarenceux poczuł, jak mroźne jest nocne powietrze, jak zlodowaciały mu dłonie, jakie zimne jest światło gwiazd i jak cały świat nagle zamarł w okowach lodu.

– Czy teraz już wreszcie rozumiesz, czemu sprawia mi taką przyjemność zadawanie ci bólu?

Clarenceux nie odpowiedział. Krajobraz zniszczenia w jego wnętrzu przechodził szybką przemianę. Goła skała topiła się w ogniu nienawiści i instynktu przetrwania. Rebecca nie żyje, dołączyła do swego męża, a on pokaże jej ulatującej duszy, że pomści jej śmierć. Pomści śmierć ich wszystkich, łącznie z bratem Crackenthorpe'a, ponieważ on też stał się ofiarą tej historii.

Kiedy wjechali w cień młodego zagajnika, wysunął nóż z rękawa i przeciął częściowo sznur pętający mu nadgarstki. Stopniowo, cal po calu poluzował węzeł, cały czas trzymając dłonie na widoku.

Została już tylko mila. Serce rozdzierał mu ból. Kiedy ostatnio przemierzał tę drogę, jechali razem Rebeccą. Jakie były jej ostatnie słowa? „Bóg jest z nami”. A przedtem powiedziała: „Zwyciężymy ich miłością. Bądźcie silni. Pokładajcie wiarę w Bogu”. Jeszcze dziś rano klęczała obok niego w kaplicy w Summerhill i razem się modlili. Jej nieobecność piekła go niczym rana. Nie potrafił powstrzymać łez.

Jechali pod górę do Summerhill, księżyc srebrzył drzewa, drogę i parapety starej wieży. Odbijał się w szczybach na szczycie, podświetlał drewnianą bramę.

Krew tętniła heroldowi w żyłach, mimo to czekał, każdy krok przybliżał go do upragnionej zemsty. Przypomniawszy sobie poprzedni wieczór, kiedy dotykał zwłok Jamesa Hoptona, człowieka z podejrzanym gardłem. A zabójca jechał obok niego, tak blisko, tak łatwo byłoby go zabić...

Jeszcze sto jardów, jeszcze pięćdziesiąt.

– Przecież już raz przeszukiwaliśmy ten dom – odezwał się jeden z ludzi.
– Ledwo wczoraj.

– Ten heretycki morderca był tu po nas – odpowiedział Crackenthorpe.

W końcu wszyscy zaczęli zsiadać z koni. Clarenceux owinął cugle swojego wierzchowca wokół słupa przy bramie.

– Hej, ty, zapukaj do bramy – rozkazał Crackenthorpe.

– Obudź stróża.

– Nie – zaprotestował Clarenceux. – To nie będzie konieczne. Nie ukryłem kroniki w domu. Chodźcie za mną.

Zwalista sylwetka Crackenthorpe'a nie ruszyła się z miejsca, zamarła na tle księżycowego blasku tuż obok wierzchowca. Żołnierz rozważał niebezpieczeństwo.

– Dobrze. Stephens, popilnujesz koni, trzymaj je w pogotowiu. Wy dwaj pójdziecie ze mną. Tylko najpierw zacisnę mocniej sznur na szyi tego łajdaka.

Clarenceux przystanął i pozwolił Crackenthorpe'owi mocniej ściągnąć pętlę. Trzymał ręce przy ciele, żeby rozcięte więzy nie opadły z nadgarstków.

– Tędy – powiedział, prowadząc trzech mężczyzn w lewo wzdłuż kamiennego muru.

Nasłuchiwał odgłosu kroków chrzęszczących na oszronionej trawie za jego plecami.

Trząśł się. W tym miejscu ścieżka biegnąca wokół domu tonęła w mroku, nawet on prawie jej nie widział. Nie wiedział też, dokąd właściwie idzie, pamiętał tylko, że gdzieś w pobliżu ukryte jest wejście do podziemnych tuneli Summerhill, czterdzieści stóp za rogiem zewnętrznego dziedzińca zgodnie z tym, co mówił Julius. Clarenceux tratował gęste zarośla, szukając ciemniejszej plamy, klucząc to w jedną stronę, to w drugą, wypatrując znaków, wskazujących miejsce, gdzie trawa zamienia się w goły kamień i skrywa wejście do tunelu.

– Dokąd nas prowadzisz? – spytał jeden z żołnierzy, potykając się o paproć.

– Do kroniki.

W końcu je zobaczył. Między smukłymi sylwetkami dwóch drzew widać było czarną plamę. Prowadziła w jej stronę słabo widoczna, udeptana ścieżka.

– To tutaj.

Wszedł na dróżkę i zbliżył się do otworu. Sir John Fawcett... sześćdziesiąt siedem kroków. Dotknął ściany tunelu, odgarnął na bok pędy jeżyn i krzaki paproci.

– Księga jest w środku.

– Potrzebujemy światła – oznajmił Crackenthorpe. – Czy któryś ma lampę? – spytał swoich ludzi.

Żaden nie miał.

Sierżant obrócił się i rozejrzał po lesie zalany blaskiem księżyca. Wyczuwał, że coś jest nie tak.

– Czemuś nie powiedział, że ukryłeś kronikę pod ziemią? Zabralibyśmy ze sobą lampy.

Heroldowi serce waliło.

– Nie pytałeś, gdzie ukryłem kronikę. Ja nie potrzebuję światła, znam drogę.

Crackenthorpe podszedł do niego jeszcze bliżej.

– Tylko spróbuj jakichś sztuczek, a skręcę ci kark. A kronikę znajdę sam, kiedy tu wrócę ze światłem.

Clarenceux poczuł, jak sznur zaciska mu się na szyi. Skręcił w stronę tunelu.

Sześćdziesiąt siedem kroków.

Trzej mężczyźni szli za nim. Szerokość tunelu nie pozwalała, aby szli obok siebie, więc dwaj strażnicy trzymali się tuż za nim, a trzeci zamykał pochód. Clarenceux domyślił się, że to sierżant idzie na końcu, ponieważ lina na jego szyi napinała się i ani przez chwilę nie zwisała luźno. Próbował zapanować nad przyspieszonym, ciężkim oddechem, który wydawał mu się tak głośny, że odbijał się echem od kredowych skał. Zbliżył się do ściany po prawej stronie i w ciemności upuścił sznur z nadgarstków, starając się, by nie upadł strażnikom pod nogi.

Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... Ostrożnie podniósł rękę, chwycił za linę na szyi i pociągnął delikatnie z przodu. Trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści... Jeden z mężczyzn szedł teraz tuż za jego plecami. Clarenceux zaczął przecinać sznur. Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt dwa...

Nagle Crackenthorpe przystanął.

– Co to za odgłos?

Ostatnie włókno rozciętej liny pękło pod wpływem szarpnięcia i pętla opadła na ziemię.

Musiał uciekać. W ciemność. Natychmiast.

– Przeciął sznur! Brać go! – ryknął sierżant.

Clarenceux uniósł prawą rękę i rzucił się przed siebie, szukając kamienia wystającego ze ściany na wysokości głowy. Usłyszał zgrzyt mieczy wyciąganych z pochew i tupot stóp na podłodze tunelu. Byli blisko i biegli bez obaw, nie spodziewając się tego, co czyhało zaledwie kilka kroków dalej. Gdzie jest ten kamień? Stracił rachubę, ale wiedział, że przeszedł od wejścia więcej niż sześćdziesiąt siedem kroków. Ile jeszcze zostało? Czy wystający znak nadal tu jest? Potknął się o stopę mężczyzny biegnącego za nim, zatoczył, popędził dalej. Czyżbym go przegapił? Nie miał chwili do namysłu, rzucił się na oślep w bok, ryzykując, że wpadnie na ścianę.

Wtedy wyczuł pod ręką sterczący kamień, a drugą dłońią otwór w ścianie. Skręcił w prawo w wąziutki korytarz. W tej samej chwili tunel wypełnił podwójny krzyk grozy. Dwaj żołnierze runęli w przepaść, zajrzeli w oczy śmierci, a ich ciała uderzyły o kamienne dno szybu niczym dwa wielkie półcie mięsa.

Dwa krzyki zadudniły w tunelu. Tylko dwa.

Clarenceux słyszał w ciemności głośny oddech. Czuł obecność mężczyzny dźwigającego się na nogi, usłyszał brzęk miecza podnoszonego z kamiennej podłogi.

– Fraser! – zawołał Crackenthorpe. – Ridley!

Nikt nie odpowiedział.

Clarenceux obmacywał kredową ścianę drżącymi dłońmi. Wsunął się głębiej za załom i szukając dalszej drogi głównym korytarzem, nasłuchiwał odgłosów pościgu, lecz słyszał tylko swój własny urywany oddech. Przesuwał dłonie po śliskim murze, dopóki nie wyczuł, że znalazł się w miejscu, gdzie stali z Rebeccą, kiedy Julius pokazywał im tunel.

Rebecca. Oczy jak noc rozświetlona gwiazdami pełne miłości. Ukochana. Powieszona.

Zaalarmował go szmer tkaniny ocierającej się o kamień. Przykucnął, wcisnął się w kąt przy podłodze i nasłuchiwał. Usłyszał zgrzyt miecza szorującego po skale, potem kroki. Mężczyzna stanął.

Clarenceux próbował uspokoić oddech. Mógł pobiec w głąb korytarza, ryzykując, że się zgubi, lub przyłgnąć jeszcze mocniej do ściany i liczyć, że Crackenthorpe go nie zauważy. Lecz korytarz był wąski, istniało duże niebezpieczeństwo, że sierżant natknie się na niego i bez namysłu pchnie mieczem. Zaczął szukać swojego noża, który upuścił gdzieś w pobliżu, i teraz został bez broni.

Znowu usłyszał kroki, tym razem ostrożniejsze. Nasłuchiwał. Zdawało się, że Crackenthorpe wraca do wyjścia. Mimo to nie ruszył się z miejsca. Kiedy kroki ucichły, położył się na wilgotnej kredowej podłodze i zaczął rozmyślać o Rebecce. Przez dziesięć minut albo i więcej leżał i przypominał sobie jej twarz, a łzy ciekły mu po policzkach. Z błędnego koła żalonych myśli otrząsnął się, dopiero uprzytomniwszy sobie, że zdradził rodzinną tajemnicę Juliusa. Nie poprawiło mu to nastroju. Pokazał tunel obcemu, a w dodatku zaprzysięgłemu wrogowi. Co więcej, przed południem musiał zawieźć kronikę Walsinghamowi, żeby go skłonić do uwolnienia więźniów. Crackenthorpe o tym wiedział. Prawdopodobnie gdzieś po drodze zastawi na niego zasadzkę.

Wytań twarz, z trudem łapiąc oddech w zatęchłym powietrzu. Nie słyszał nic poza dalekim cichym jękiem. Jeden z mężczyzn, którzy wpadli do szybu, nie zginął na miejscu. Po chwili jednak jęki ucichły.

Clarenceux wstał i zaczął nasłuchiwać. Ruszył pod górę w kierunku, gdzie, jak mu się zdawało, schody prowadziły do domu. Szedł ostrożnie, powoli wodząc lewą ręką po ścianie, pamiętając, że po tej stronie nic go nie ostrzeże przed upadkiem, jeśli straci rachubę kroków.

Nagle zobaczył przed sobą płonącą pochodnię, zbliżającą się z góry od strony domu. Zamarł. Czy to może być ktoś z ludzi Juliusa? Skulił się i zaczął bezgłośnie modlić, aby się okazało, że przyszedł go szukać ktoś z dworskiej służby. Postać szła w jego stronę, lecz Clarenceux nadal widział tylko krąg światła, które zbliżało się, kołysząc z każdym krokiem nieznanego.

Jeśli to przyjaciel, jego krok świadczy o tym, że bardzo mu zależy, aby mnie znaleźć, pomyślał.

Lecz zwyczajny człowiek nie chodzi takim krokiem.

W tej samej chwili zrozumiał, że patrzy na ciemne włosy Richarda Crackenthorpe'a, lśniące w świetle pochodni niespełna pięćdziesiąt stóp od niego. Łajdak wdarł się do domu i zmusił służących, żeby mu dali łuczywo i pokazali ukryte schody. Szedł teraz tunelem, zamiatając żagwią od ściany do ściany, a w prawej dłoni ścisnął miecz. Szedł śmiało, krokiem, w którym znać było wściekłość. Lecz nie lekkomyślność. Clarenceux widział, jak zwalnia, jak uważnie bada podłogę pod nogami. Przeciągnął pochodnię z góry do dołu po obu stronach korytarza.

Potem płomień zatoczył w tunelu koło i Crackenthorpe dostrzegł przed sobą skulonego herolda.

Clarenceux poderwał się, odwrócił i puścił biegiem. Pędził w dół do miejsca, gdzie zaczynał się korytarz, badając dłonią kamienne ściany, nasłuchując ciężkich kroków goniącego go Crackenthorpe'a. Światło pochodni nie docierało do wylotu tunelu i nie oświetlało ściany na jego końcu, więc herold wpadł na nią z impetem, wyłamał sobie boleśnie palce, otarł brodę i uderzył głową o mur. Szybko jednak poderwał się z powrotem na nogi i skręcił w prawo, przypomniawszy sobie, że ciągnie się tam kilka rozgałęziających się korytarzy.

W kompletnych ciemnościach pobiegł w głąb jednej z odnóg. Wyciągniętymi rękami badał zakręcającą kredową ścianę z nadzieją, że znajdzie następny skręt. Potykał się co rusz na nierównej powierzchni, myśląc z rozpaczą, że nie trafi z powrotem do wyjścia. Tunel biegł łukiem, a on nie miał pojęcia, czy skręcił w boczny korytarz, czy też droga wiła się to w jednym kierunku, to w drugim. Wkrótce zgubił się kompletnie, biegł i skręcał na oślep, bez żadnej logiki, aż w końcu zwolnił i stanął. Nasłuchując odgłosu kroków, starał się uspokoić szalejący oddech.

Usłyszał je. Oświetlając sobie drogę, Crackenthorpe mógł biec znacznie szybciej niż on. I był bardzo niedaleko.

Clarenceux wyciągnął przed siebie dłonie i znów ruszył biegiem, bez końca, zdawało się, w nieprzeniknionej ciemności niczym w najgorszym koszmarze. Przed oczami drgały mu roztańczone kształty i kolorowe wzorki, jak wtedy, gdy przyciska się palce do oczu. I cały czas słyszał odgłosy pościgu. Mógłby biec szybciej, gdyby niczym ślepiec nie wyciągał przed siebie dłoni, nie obijał się o ściany w krętym korytarzu, jakby uciekał przed diabłem w piekielnym labiryncie.

Skręcił za róg i... stanął oko w oko z Crackenthorpe'em. Oślepił go blask pochodni.

– Stój! – wrzasnął sierżant.

I skoczył nań ze wzniesionym mieczem. Clarenceux odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki drogą, którą przed chwilą przybiegł, słysząc tuż za plecami tupot nóg swego prześladowcy. Tym razem w świetle pochodni widział wyloty kilku korytarzy, wijących się w nieznanne. Skręcił, pogrążył się w ciemności, dopóki Crackenthorpe nie wbiegł za nim.

Skręcał w kolejne korytarze, przez chwilę nawet brodził w lodowatej wodzie płytkiego podziemnego strumienia. I ani na moment nie milkły za nim odgłosy pogoni.

Kiedy człowiek ze światłem w ręku spotyka człowieka z mieczem, przewagę ma zawsze ten, który dzierży miecz. Lecz tym razem ten sam człowiek trzyma i światło, i miecz. Gdybym tylko znalazł wyjście z tuneli. Boże, miej mnie w swojej opiece. Chryste, zmiłuj się nade mną! Już mnie prawie dogania. Dłużej nie dam rady.

Woda. Julius nie wspominał, że w tunelach płynie strumień. To był punkt orientacyjny. Powinienem go zapamiętać, żeby odnaleźć kierunek.

Pobiegł w głąb tunelu, postanawiając, że zawróci potem do strumienia. Tylko od czasu do czasu światło pochodni migało za jego plecami. W końcu poczuł pod palcami ostry zakręt. Ukrył się za załomem w mroku i czekał, dysząc głośno. Zbyt głośno. Crackenthorpe go usłyszy i bez namysłu dźgnie mieczem ciemność za zakrętem.

Ale Crackenthorpe nie nadbiegł.

Clarenceux nasłuchiwał z lękiem. Nie dochodził go żaden odgłos kroków. Tylko sporadyczne kapanie wody.

Wyjrzał zza załomu. Ciemność.

Nawet go nie słyszę. Może upadł i pochodnia zgasła?

Ostrożnie wyszedł za róg i ruszył z powrotem drogą, którą przybiegł, wciągając w nozdrza powietrze i próbując wyczuć zapach płonącej smoły w łuczywie. Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Bał się, że Crackenthorpe celowo zgasił pochodnię i zaczął się na niego w ciemności z mieczem przygotowanym do ataku.

Wyczuł dłonią następny załom, skręcił. Cały czas szedł tą samą drogą, którą przed chwilą biegł. Znowu przystanął i nastawił uszu. Słyszał kapanie, lecz tym razem nie na kamienie, lecz do podziemnego stawu lub jeziora. Wtedy rozróżnił w oddali jeszcze inny odgłos, jakby ciche szuranie stóp i brzęk metalu.

Wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku dźwięku. Ostrożnie stawiał stopy, żeby się nie potknąć. Przed nim, w głębi tunelu, jakieś czterdzieści jardów dalej, majaczyło słabe światełko. Zbliżał się po cichu, nasłuchując, gotów rzucić się do ucieczki na pierwszy znak, że Crackenthorpe odkrył jego obecność.

Blask przybierał na sile. Dochodzi z za tego zakrętu. Co ja bym zrobił na miejscu Crackenthorpe'a? Położył gdzieś pochodnię, żeby zwabić przeciwnika jak ćmę do światła, a sam ukryłbym się gdzieś, gdzie nie mógłby mnie widzieć. W ciemności, w którymś z przyległych korytarzy.

Jego rozważania przerwał szcęk metalu uderzającego o metal, po którym natychmiast rozległ się dźwięk innego metalowego przedmiotu upadającego ciężko na podłogę.

Podkraść się bliżej do wylotu tunelu, cały czas mocno przywierając plecami do ściany. Światło migotało tuż za rogiem i oświetlało przeciwległą ścianę korytarza. Przykucnął i słuchał. Bał się ciemności czyhającej z tyłu, lecz chyba jeszcze bardziej bał się światła kuszącego go z przodu.

Podsunał się odrobinę, w końcu jednym okiem mógł zobaczyć, co się dzieje za załomem.

Crackenthorpe trafił do podziemnej kaplicy. Clarenceux rozpoznał kredowe kolumny i dwa rzędy ław, a także tonące w mroku wnęki dookoła długiej nawy. Sierżant oglądał właśnie złoty dzban, stojący na ołtarzu w głębi komnaty. Zapalił kilka świec i oparł pochodnię o rzeźbiony krucyfiks. Popatrzył na wysadzane klejnotami krzyże wiszące na ścianach, skrzynie ze skarbami wywiezionymi z klasztorów. Potem odstawił kielich, wziął z powrotem do ręki łuczywo i zobaczył herolda.

Clarenceux nie uciekł. Przeciwnie, wolnym krokiem wszedł do kaplicy i wyzywająco stanął na środku nieuzbrojony.

Oczy Crackenthorpe'a płonęły od blasku pochodni.

– Nie masz miecza.

Clarenceux zrobił następny krok w głąb kamiennej nawy, potem kolejny. A kiedy szedł przed siebie, z mroku między ławami wyłaniały się bezszelestnie ludzkie sylwetki. Kilku mężczyzn miało miecze, inni noże. Byli wśród nich służący w starych dubletach, stajenni w wypłowiałych tunikach i dwaj mężczyźni w napierśnikach.

Na koniec wyłonił się Julius ubrany w czarną szubę.

– On nie może stąd wyjść.

– Juliusie – rzekł Clarenceux ponuro, nie odrywając wzroku od Crackenthorpe’a. – Ja się tym zajmę, jeśli dasz mi swój miecz. Poprosisz ludzi, aby zapalili więcej świec?

– Nie pozwolę, żebyś się narażał. – Spojrzał na przyjaciela i dodał: – Poza tym wygląda na to, że ktoś już ci utoczył całkiem sporo krwi.

– Juliusie, to jest Richard Crackenthorpe, człowiek, który zabił Jamesa Hoptona, Henry’ego Machyna oraz mojego służącego, Williama Terry’ego. Poprzysiągł też sobie zabić mnie. Skoro jego przeznaczeniem jest tu zginąć, chcę, aby to się stało z mojej ręki.

– Bezpieczniej będzie zrobić to razem.

– Juliusie, muszę się zemścić na tym człowieku. To dla mnie bardzo ważne.

Po chwili namysłu Julius odpiął od pasa swój miecz, podszedł i podał go heroldowi.

Clarenceux nadal nie spuszczał Crackenthorpe’a z oczu. Wyciągnął broń i odrzucił pochwę na bok.

Podszedł do sierżanta, który nie cofnął się ani odrobinę, i obaj zaczęli krążyć wkoło w świetle świec i pochodni. W głuchej ciszy słychać było tylko ich kroki. Migocące płomienie lśniły odbite w drogocennych skarbach

zgrupowanych pod ścianami kaplicy, lecz oni ich nie zauważali. Żaden z walczących nie odrywał wzroku od swego przeciwnika.

Crackenthorpe pierwszy zrobił nagły wypad, mierząc wysoko w nadziei, że zaskoczy Clarenceux cięciem w żebra. Ale Clarenceux całą uwagę skupił na mężczyźnie poruszającym się naprzeciwko niego i bez trudu sparował wysoki atak.

Nie spiesz się, powiedział do siebie w duchu. Zgubi go frustracja. Odpieraj ataki, aż w końcu popełni błąd.

Crackenthorpe podniósł miecz, trzymając przeciwnika w niepewności do ostatniej chwili i każąc mu się domyślać swoich zamiarów, lecz herold był szybki i uniknął ciosu. Znowu zaczęli krążyć. Sierżant skoczył drugi raz, mierząc najpierw w ramię, które dzierżyło miecz, potem w gardło. Tym razem Clarenceux wolniej odparł atak, ostrze musnęło szyję. Niebezpieczne draśnięcie było ostrzeżeniem. Crackenthorpe był młodszy, silniejszy i szybszy niż on, zasięg ramienia również miał większy.

Znowu zaczęli krążyć. Z twarzą wykrzywioną z pasji sierżant zaatakował pierś herolda, stal napotkała stal, w nawie kaplicy posypały się iskry. Clarenceux rzucił się na miecz przeciwnika całym ciężarem, próbując wytrącić mu broń z ręki uderzeniem z boku. Lecz chociaż ich miecze starły się siedem, osiem, dziewięć razy, Crackenthorpe nadal mocno ścisnął rękę w dłoni. Prawie spacerowym krokiem chodził po jaskini, tak pochłonięty starciem, jakby całkiem zapomniał, że to jego ostatnia walka.

Świece na ołtarzu zamigotały, kiedy dwaj mężczyźni rzucili się znowu do walki. Crackenthorpe z wyciągniętą daleko lewą ręką, którą chciał złapać herolda za kołnierz, skoczył nagle do przodu, celując w pierś. Clarenceux odparował cios, usuwając się w bok, i sam ciął sierżanta w policzek. Spod miękkiej skóry wyjrzały zęby i dziąsła, zanim krew napłynęła do rany i zaczęła cieknąć po szyi. Ten udany atak dodał mu sił. Kiedy

Crackenthorpe rzucił się na niego, dysząc żądzą zemsty, herold uderzył mocno z góry w głownię jego miecza. Następnym ciosem próbował wytrącić mu z ręki broń, lecz wróg nie był jeszcze pokonany. Dostrzegłszy w ułamku sekundy nadarżającą się okazję, rzucił się do przodu i dźgnął herolda w lewy bok.

Clarenceux poczuł przeszywający ból, skulił się i straciwszy równowagę, zatoczył się na kamienną kolumnę. Stojący tam ludzie Juliusa cofnęli się przestraszeni i zmartwiali. Clarenceux podniósł głowę i zobaczył twarz Crackenthorpe'a patrzącego nań z góry niczym wcielenie mściwości. Ból go obezwładnił, ogarnęła go niemoc, a z nią pokusa, by pogрузić się w łatwej bezsilności. Lecz wola, by zadać przeciwnikowi śmiertelny cios, nie osłabła w nim ani na chwilę. Nieważne, że nie zdoła wytrwać w swej cierpliwej grze, nie zaprzestanie walki. Będzie ją toczył do ostatniej kropli krwi, a jeśli trzeba będzie, to i na tamtym świecie.

Crackenthorpe zauważył zdwojoną zaciekłość, narastającą w jego przeciwniku, i zamachnął się mieczem, kiedy tamten starał się podnieść. Mierzył w ciało, lecz napotkał ostrze. Ciął drugi raz, a potem pchnął i trafił klęczącego herolda w ramię. Znowu połała się krew. Następny atak trafił w żebra. Clarenceux nie zdołał podnieść miecza dość szybko, aby się obronić, więc rzucił się w bok i ukrył za kolumną, a jednocześnie stając na nogi, odpierał kolejne natarcia. W końcu on też natarł, uderzeniem odepchnął miecz Crackenthorpe'a w bok, a sam skrócił dystans i ramieniem przyparł przeciwnika do kolumny. Próbował przyłożyć mu ostrze do gardła, lecz broń zaczepiła o nogę sierżanta i herold musiał się uchylić przed niespodziewanym atakiem. Ale się nie ugiął. Z okrzykiem nienawiści zasypał przeciwnika deszczem wściekłych ciosów, smagał po twarzy, ramieniu, piersi. Crackenthorpe się cofnął, lecz tylko na chwilę, potem znowu natarł pod gradem koszących, śmiercionośnych uderzeń, sam

zadając razy w ramię, bark, udo, aż znów posłał przeciwnika na ziemię. Nagle dostrzegł szansę na zwycięstwo – ostatni akt chwały, sposobność, by jeszcze przez mgnienie oka upajać się swą siłą i przewagą, które były największą radością jego życia. Wzniósł miecz, by zadać śmiertelny cios w głowę, gdy nagle zaskoczony poczuł w gardle ostrze Clarenceux.

Zachwiał się, słysząc chlup własnej krwi na podłogę, nie rozumiejąc, co się stało, a jednocześnie próbując zadać ostatni cios. Lecz w jednej chwili wszystko go opuściło – skupienie, siła i zdolność myślenia. Uszły z niego jakby w eksplozji. Clarenceux wyszarpnął nóż, a Crackenthorpe nadal nie wiedział, czemu stoi z ramionami rozpostartymi w powietrzu, czemu trzyma w ręku broń.

Najpierw upadł miecz. Zadzwoił o kamienie. Potem na podłogę ciężko zważyło się ciało.

Ludzie Juliusa rzucili się naprzód, widząc przewracającego się Crackenthorpe'a, lecz Clarenceux podniósł dłoń.

– Zostawcie go – krzyknął, klęcząc.

Ciężko dysząc, niepewnie dźwignął się na nogi. Podniósł swój miecz i znieruchomiał, patrząc na umierającego. Potem zebrał w sobie cały gniew i nienawiść i spuścił je na kark pokonanego olbrzyma. Ostrze zadzwoniło o kamień, a głowa sierżanta potoczyła się po podłodze.

Osunął się z powrotem na kolana.

– Bóg jest z nami, Rebecca.

Przycisnął twarz do ziemi.

Clarenceux przeżywał istne katusze, kiedy służący nieśli go do domu kręconymi schodami.

– Postawcie mnie! – ryknął. – Natychmiast postawcie mnie na ziemi!

Obydwaj posłuchali bezzwłocznie. Głosu herolda nie sposób było zlekceważyć, zwłaszcza kiedy nabrzmiał bólem.

Przez chwilę dyszał ciężko, starając się wziąć w garść, po czym, podparwszy się dłońmi o kamienne stopnie, ruszył dalej o własnych siłach. Za nim podążył służący z latarnią. Clarenceux minął komnatę na parterze i na czworakach dotarł do gabinetu Juliusa na piętrze. Niewielkie drzwi były otwarte. Podniósł się na nogi.

– Idź przodem – powiedział służącemu z latarnią. – Prowadź mnie prosto do biblioteki pana Fawcetta. Pójdę za tobą.

– Potrzebujecie pomocy, panie. Przecie cały czas krwawicie.

– Nie teraz – wysapał Clarenceux, czując, jak nasila się gwałtownie ból w brzuchu.

Oparł się o futrynę i zbierał siły, aby przejść przez drzwi. Wokół niego zgromadziło się kilka osób. W połowie drogi upadł. Natychmiast skoczyło do niego dwóch ludzi, aby go podtrzymać.

– Pomóżcie mi dojść do biblioteki – powiedział, widząc przed sobą światło.

Kiedy zawlekli go do komnaty z imponującym księgozbiorem Juliusa Fawcetta, znów musiał wesprzeć się o drzwi, aby utrzymać się na nogach.

Wtedy do pokoju wpadł Julius, który biegł za nimi po schodach.

– Williamie, co ty wyprawiasz? Usiądź. Każę cię zanieść do łóżka.

– Nie, Juliusie. Czterech, a może i pięciu ludzi zginie w południe, jeśli nie oddam Walsinghamowi kroniki.

– Po tym wszystkim zamierzasz się poddać?

– On ich powiesi. W najlepszym wypadku. Albo pośle na stos za herezję. Nie mam wyboru. Dość już ludzi zginęło. I nie tylko mężczyzn.

– Postradałeś zmysły, Williamie. Spójrz tylko na siebie. Dostałeś w brzuch, stąd widzę, że krew nie przestaje lecieć. Do tego masz dwie lub trzy wcale nie płytkie rany na ramionach i kilka pomniejszych cięć, w tym jedno przez pierś. Ty się ledwo trzymasz na nogach, a co tu mówić o jeździe do Londynu.

– Bóg jest ze mną, Juliusie. Podsunął mi plan. Uratuję tych ludzi, ale potrzebuję twojej pomocy. Zabierz mnie do miasta. Jeśli trzeba, zawieź mnie tam furmanką, ale, do diabła, muszę tam być przed południem.

Deklamatorski głos Clarenceux, wzmocniony bólem zadzwonił w pokoju i w uszach wszystkich obecnych.

W końcu przemówił Julius.

– Pojadę z tobą. Wezmę tylu ludzi, ile mam koni. Ale najpierw musisz pozwolić, żeby Lychorous cię opatrzyła.

Clarenceux wskazał gestem prasę w drugim końcu komnaty. Piętrzyła się pod nią sterta książek.

– Tam, na samym spodzie pod tymi woluminami, leży kronika.

Julius podszedł do stosu, usunął książki z wierzchu i wziął do ręki kronikę. Położył ją na stole. Znowu tajemniczą oprawę musnął złocisty blask świecy. Żołnierze Crackenthorpe'a zniszczyli tak dużą część

biblioteki Juliusa, tyle ksiąg rozdarli na strzępy, że nietknięte karty kroniki nadawały jej niezwykłą aurę.

– Dziękuję – powiedział Clarenceux, wskazując inny wolumin w welinowej oprawie, zniszczony, z naderwaną okładką. – Czy mogę ją pożyczyć? Chyba obejdiesz się bez niej kilka dni?

Czwartek, 30 grudnia

Nikt ich nie niepokoił, kiedy wracali do Londynu. Jeśli żołnierze Walsinghama obserwowali gościniec, to nie ujawnili się przed Juliušem i jego piętnastoma ludźmi.

Clarenceux jechał na wozie przykryty kocami i przez większą część drogi milczał, czasem przygryzając z bólu wargę. Poranek był jasny, więc jechali szybko. Herold nabrał pewności, że nie umrze, rana w brzuchu krwawiła długo, ale w końcu przestała. Zdawał sobie sprawę, że powinien się nim zająć medyk, lecz nawet nie wymawiał tego słowa i nikomu na to nie pozwalał. Nie było na to czasu. Poza tym przerażało go widmo śmierci od noża chirurgicznego, podobnie jak wszystkich, którzy widzieli pracę wojskowych cyrulików. Wiejskie znachorki operowały czasem rannych i robiły to z dużym powodzeniem. Natomiast chirurdzy wojskowi przeprowadzali znacznie bardziej skomplikowane operacje, wymagające bez porównania więcej wiedzy i zręczności, lecz połowa ich pacjentów umierała po kilku dniach. Jedynym wyjaśnieniem była wola boża. Będę się trzymał z dala od cyrulików, zdecydował.

Na Moście Londyńskim Julius rozmawiał ze strażnikami. Nie podobała im się taka kawalkada jeźdźców, lecz nie mogli zabronić przejazdu. W bramie mostowej wartownicy machnęli im tylko ręką. Lecz od tamtej

pory byli śledzeni. Wreszcie wóz przetoczył się pod sklepieniem Ludgate i zadudnił na Fleet Bridge.

Zdawało się, że koszmar się kończy, lecz Clarenceux upomniał się, że to tylko złudzenie. W każdej chwili mogło na nowo dojść do rozlewu krwi.

Zatrzymali się przed domem herolda przy Fleet Street. Clarenceux odrzucił koce i dał Juliusowi znak, żeby zapukał, a sam ostrożnie przeturlał się na brzeg wozu i zszedł na ziemię. Zerknął na strażników, którzy obserwowali ich z bezpiecznej odległości. Dwaj ludzie Juliusa podtrzymywali go, kiedy powoli podchodził do drzwi frontowych.

Nikt nie otworzył.

Nawet jeśli wszyscy służący odeszli, pomyślał Clarenceux, powinien tu czekać Walsingham z uwolnionymi więźniami.

– Zapukaj jeszcze raz.

Minęła minuta. Tym razem drzwi się otworzyły i przez szparę wyjrzał siwowłosy starzec o zapadniętej, pobrużdżonej twarzy.

– Thomasie, tak się cieszę, że cię widzę – powiedział Clarenceux z uśmiechem.

Na jego widok oczy Thomasa zabłyśły, a oblicze rozjaśniło się ze szczęścia.

– Wasza miłość! Jużem porzucił wszelką nadzieję! Myślałem... Och, panie Clarenceux...

W przypiływie uczuć rzucił się swemu panu do nóg i ucałował go w rękę.

Clarenceux podniósł go i uściskał łagodnie.

– To piękne powitanie, Thomasie, dziękuję ci z całego serca. Powiedz, kto poza tobą jest w domu? Moja żona? Niania Brown?

– Nie, panie, jestem sam. Niania Brown wyjechała z miasta. Inni służący nie wrócili. Ale pani Harley i wasze córki są całe i zdrowe, mieszkają u waszej szwagierki w Devon. Dom jeszcze niegotów na ich powrót.

Wróciłem, żeby ponaprawiać, co się da, ale dużo rzeczy przepadło na dobre.

– Thomasie, jestem ci szczerze wdzięczny. Czy pan Walsingham był tu wczoraj lub dziś? A może ktoś z jego świty?

– Nie, wasza miłość, nikogo nie było. Ani na chwilę nie wychodziłem z domu.

– Rozumiem.

Clarenceux spojrział na ulicę w kierunku zachodnim. Drogą ciągnęły wozy i konie juczne, uliczni handlarze, woziwody i mleczarze. Odwrócił głowę i popatrzył w drugą stronę, w kierunku murów miejskich i bramy Ludgate, i zarysów złamanej wieży Świętego Pawła. Ludzie Walsinghama cały czas stali nieopodal mostu i nie spuszczaali ich z oka.

– Która godzina, Juliusie?

– Sądzę, że już prawie południe. Przybyliśmy na czas. Wkrótce rozdzwonią się dzwony.

– Wygląda na to, że zostałem wywiedziony w pole. Francis Walsingham nie wywiązał się z umowy. Lecz pracuje dla sir Williama Cecila, kanclerza Jej Królewskiej Mości. Co mi radzisz? Jechać do domu Walsinghama przy Tower czy złożyć wizytę kanclerzowi?

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i wskazawszy na zachód, pokuśtykał z powrotem do wozu, podtrzymywany przez służących Juliusa.

– Zostań z Bogiem, Thomasie – zawołał, kiedy wóz szarpnął i ruszył na zachód. – Wrócę później. I dziękuję.

*

Tylko krótka przejażdżka dzieliła Fleet Street od domu Cecila w Strand. Julius pierwszy wjechał przez bramę na dziedziniec. Kiedy kamerdyner podszedł, aby zapytać o przyczynę najścia, Fawcett spokojnym głosem

kazał zaanonsować pana Williama Harleya, Wielkiego Herolda Clarenceux, i nie czekając na odmowę, poprowadził swoich ludzi pod drzwi wielkiej rezydencji.

– Na miłość boską, nie widzisz, że ten człowiek cierpi? – warknął na służącego, który zagroził im drogę i ośmielił się zasugerować, że nie powinni wchodzić bez zaproszenia.

– W takim razie potrzebny mu medyk. Sir William nie może wam w tej kwestii pomóc – odparł mężczyzna z oburzeniem.

– Nie, ale sir Cecil ma ze mną do wyjaśnienia wiele innych kwestii – odparł Clarenceux, wspierając się na ramionach dwóch ludzi Juliusa. – A jeśli mu się nie uda, nie tylko medyka będzie potrzebował.

Po tej wymianie zdań dwunastu ludzi wkroczyło razem ze swym panem i heroldem do wielkiego holu, trzech zaś pozostało na dworze, by pilnować koni na dziedzińcu.

Minutę później w holu zjawił się Cecil. Natychmiast zauważył Clarenceux. Nie uszła również jego uwagi obecność drugiego szlachcica, ubranego w taką samą czarną szubę.

– Witaj, Clarenceux. Byłbym ci rad niezmiernie, gdyby nie to, że przybywasz bez uprzedzenia i w towarzystwie ludzi, których nie znam i którym nie ufam.

– A przyczyną, sir Williamie, jest to – głos herolda nawet nie zadrżał – że zaufałeś niewłaściwym osobom. Zresztą mówmy konkretnie: zaufałeś Francisowi Walsinghamowi, człowiekowi, który próbował mnie zabić, który pozwolił swemu sierżantowi zamordować mego służącego, jedenastoletniego chłopca, a także starca, niejakiego Henry’ego Machyna. Poderżnął również gardło szambelanowi tego oto szlachcica, Juliusa Fawcetta z Summerhill w Chislehurst. Wybaczcie, że nie czekałem na

zaproszenie do waszego domu, lecz wy i ja mamy tyle spraw do omówienia, że nie skoro mi było trwonić czas na kurtuazje.

– Wobec tego powiedz mi, Clarenceux, jaka jest twoja odpowiedź na oskarżenie o zdradę stanu? – Spojrzenie Williama zatrzymało się na moment na Juliusie, po czym wróciło do herolda. – Popraw mnie, jeśli się mylę: odmówiłeś przekazania memu sekretarzowi podlegającego dokumentu, który masz w posiadaniu; chroniłeś ludzi winnych tego samego przestępstwa; stawiałeś opór podczas aresztowania, zabiłeś dwóch królewskich żołnierzy, a co najgorsze ze wszystkiego, zaangażowałeś się w spisek mający na celu obalenie Jej Królewskiej Mości. Jest to zdrada stanu, czemu nie możesz zaprzeczyć.

Do komnaty schodziło się coraz więcej ludzi, zebrało się już sześciu służących w liberjach i ośmiu gwardzistów w napierśnikach. Przeważali teraz liczebnością nad świtą Juliusa, która otaczała Clarenceux i coraz bardziej się niepokoiła. Lecz herold nawet nie mrugnął okiem.

– Sir Williamie, choć o tym jeszcze nie wiesz, mogę dobrowolnie dodać do tej listy przestępstw jeszcze trzy: zabójstwo nie dwóch, lecz pięciu „królewskich żołnierzy”. Wczorajszej nocy zabiłem w pojedynku sierżanta Richarda Crackenthorpe’a, a dwóch jego ludzi wciągnąłem w śmiertelną pułapkę. Zdaje się, że nazywali się Fraser i Ridley. Jeśli chcecie dowodu, głowa Crackenthorpe’a leży na wozie, który stoi na waszym dziedzińcu.

To rzekłszy, spojrzął Cecilowi wyzywająco w oczy i czekał na jego odpowiedź. Lecz Cecil się z nią nie spieszył. Niespodziewanie głos herolda zagrział w holu, przepełniony emocjami, jakie wezbrały w nim na wspomnienie niedawnych wydarzeń.

– Chcesz wiedzieć, czemu zabiłem Crackenthorpe’a? Ponieważ przysiągł sobie zemścić się na mnie za to, że z mojej ręki przypadkiem zginął jego brat. To była dla niego sprawa osobista. Tych ludzi opłacano

z królewskiego skarbcza, lecz nie działali oni w interesie korony. Służyli wyłącznie własnym interesom. Wykorzystywali królewski autorytet, by załatwiać swe prywatne porachunki: by zastraszać, terroryzować, kraść, gwałcić, siec i mordować poddanych Jej Wysokości. Tego właśnie nie rozumiesz, sir Williamie. Jak również Francis Walsingham. Stoicie zbyt daleko od zwykłych wydarzeń, aby widzieć takie rzeczy. Nie ma żadnego spisku. To wszystko są wytwory waszego strachu i imaginacji. Jeździecie tylko między swoim wielkim domem a pałacem królowej, która daje wam chętnie ucho... nie macie pojęcia, jak żyją inni ludzie. Jesteście tak szczelnie chronieni przed niebezpieczeństwem, że każde ludzkie zgromadzenie wydaje się wam konspiracją. Walsingham i Crackenthorpe, działając rzekomo z waszego rozkazu, zabili wielu ludzi, którym nawet w głowie nie powstało obalać królowej. Może mieli swoje sekrety, ale nie byli rewolucjonistami. A teraz ja chcę się zemścić za...

Nie dokończył. Na myśl o Rebecce załało go morze rozpaczy i głos mu się załamał.

Cecil był poruszony, lecz nie stracił zimnej krwi.

– W takim razie wyjaśnij mi znaczenie kroniki Henry’ego Machyna. Nie zaprzeczysz, że ją widziałeś i wiesz, gdzie jest ukryta.

– Zgodziłem się oddać ją Francisowi Walsinghamowi dziś w południe w moim domu. Wygląda jednak na to, że jej nie chce, bowiem nie dotrzymał umowy. Nie przyjechał. Oto jak poważnie traktuje wasz spisek, panie kanclerzu. Lecz to nie wszystko. Zapewnił, że w zamian za księgę wypuści na wolność ludzi, których bezlitośnie uwięził. Gdzie oni są? Tak się składa, że kronika nie wskazuje miejsca ukrycia tajnego dokumentu, który rzeczywiście mógłby umożliwić obalenie królowej. Wystarczy, że wspomnę o małżeństwie lorda Percy’ego z Anną Boleyn, a domyślicie się, o czym mówię. Należycie do nielicznych osób, które wiedzą, jak

niebezpieczny mógłby być taki spisek. To była tajemnica, której strzegł członkowie bractwa, a nie żaden zamach stanu. Jeśli Walsingham w ciągu godziny nie zjawi się w moim domu przy Fleet Street z ludźmi, których obiecał uwolnić w waszej obecności, sam dopilnuję, aby ten spisek zaistniał. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zburzyć autorytet, który zbudowaliście i którego Walsingham nadużywa, i który zszargał Crackenthorpe. Uczynię to, ponieważ mierzi mnie na wskroś zabijanie niewinnych ludzi.

Do holu zeszło się jeszcze więcej ludzi, zaalarmowanych przez służbę Cecila. Lecz przybocznicy Juliusa nawet nie drgnęli.

Cecil podszedł do Clarenceux.

– Powiadasz, że nie ma żadnego spisku?

– Nie, jeśli nie będziecie go szukać na siłę.

– Chcesz więc przez to powiedzieć, że to ty jesteś chodzącą groźbą spisku.

– Nie, sir Williamie. Na życie swojej córki, która jest chrześnicą waszej żony, przysięgam, że nie ma żadnego spisku. Mam kronikę, która mi daje pewną wiedzę. Tę wiedzę potrafimy docenić my dwaj, lecz nie rozumie jej Francis Walsingham ani prawie nikt poza nami.

Cecil długo patrzył mu w oczy.

– Dobrze – powiedział w końcu cicho. – Niechaj ten dzień należy do ciebie, o ile zagwarantujesz mi, że przyszłość będzie należeć do mnie. Czy zawieramy taką umowę? Możecie mi to zagwarantować?

– Jeśli Walsingham się podporządkuje, macie moje słowo.

Cecil odwrócił się do najbliższego służącego.

– Znajdź Walsinghama jak najszybciej. Powiedz mu słowo w słowo, co następuje: jeśli zawarł umowę z Williamem Harleyem, Wielkim Heroldem Clarenceux, ma jej dotrzymać w najdrobniejszych szczegółach,

w przeciwnym razie zostanie oskarżony o zdradę stanu. Ma przekazać więźniów, tak jak obiecał, przed drugą po południu, pod groźbą śmierci i konfiskaty majątku. Przekaż mu to dokładnie tak, jak ci powiedziałem. – Odwrócił się do Clarenceux. – Bądź spokojny, Williamie... mam nadzieję, że nadal mogę cię nazywać Williamem. Jeśli Walsingham się nie podporządkuje, będziesz mógł wziąć sobie jego głowę do kolekcji.

Clarenceux próbował się ukłonić, lecz nie pozwolił mu na to ból, który rozdarł mu bok.

– Jestem ci wdzięczny za zaufanie, sir Williamie.

– Dobrze. Moi ludzie odprowadzą was do domu, a my spotkamy się tam o drugiej.

W holu na pierwszym piętrze ocalało niewiele mebli. Thomas robił, co mógł, aby przywrócić w domu dawny porządek, lecz gołe miejsca na ścianach, gdzie wisiały kiedyś obrazy i okrągłe lustro, przypominały o wszystkim, co zostało utracone. Roztrzaskane gipsowe ozdoby przy kominku dawały ciche świadectwo niszczycielskiej działalności Richarda Crackenthorpe'a i jego ludzi. Mimo to Clarenceux był szczęśliwy, znalazłszy się z powrotem we własnym domu. Szczególnie ucieszył go widok wiązowego stołu stojącego na swym dawnym miejscu.

– Nie ruszałem niczego w gabinecie, wasza miłość – powiedział Thomas, kiedy ludzie Juliusa pomogli heroldowi usiąść na przygotowanym krześle.
– Pełno tam porozrzucanych papierów, uznałem, że wolicie osobiście się tym zająć.

– Dziękuję, Thomasie, znakomicie się spisałeś. Jestem z ciebie bardzo zadowolony.

Następnie Clarenceux poprosił, aby na środek holu wysunięto wiązowy stół. Położył na nim kronikę Machyna. Julius kazał połowie swoich ludzi zaczekać na zewnątrz, ponieważ w środku było za mało miejsca, aby pomieścić wszystkich. Heroldowi przyniesiono kufel piwa i pierwszy słodki łyk smakował domem.

Sir William Cecil przybył wkrótce potem ze sporą świtą. Dziarskim krokiem wszedł po schodach, otoczony kilkusobową strażą. Z sąsiedniego

domu przyniesiono dlań pluszowy fotel, na którym usiadł obok herolda. Popatrzył na stół i na kronikę, a potem na rząd stojących przed nim ludzi.

– Francis gotów pomyśleć, że przyjechał na własny sąd.

– To dobrze – odrzekł Clarenceux.

Cecil pokręcił łagodnie głową.

– Jeśli przyjedzie i dotrzyma umowy, pozostaje pod moją protekcją, Clarenceux. Mam nadzieję, że nie składałeś nieuzasadnionych deklaracji, które by zafałszowały obraz sytuacji, ani gróźb, które by wam przyniosły ujmę.

Clarenceux nie odpowiedział. Zrozumiał.

Na schodach zastukały kroki Walsinghama. Przyszedł sam, ubrany jak zwykle w czarny dublet, małą kryzę, czarną czapkę przylegającą ciasno do głowy i czarne pończochy. Clarenceux zauważył tylko drobną różnicę w koronce pod szyją i w mankietach. Przypasał też do boku miecz, czego formalnie nie powinien był czynić, nie miał bowiem tytułu rycerskiego i nie wolno mu było chodzić po mieście z bronią. Clarenceux zrozumiał jednak, że gestem tym zamierzał dyskretnie przypomnieć obecnym, iż działa na zlecenie Cecila i pod jego protekcją.

– Dzień dobry, Francisie – zaczął kanclerz. – Cieszę się, że przyszedłeś. Wygląda na to, że winniśmy panu Clarenceux przeprosiny. Powiedział mi, że nie ma i nigdy nie było żadnego spisku przeciwko Jej Wysokości.

Walsingham zmroził herolda lodowatym badawczym spojrzeniem. Potem odwrócił się z powrotem do kanclerza.

– A wy mu wierzycie? Uwierzylibyście mu, gdyby wam powiedział, że przekonał Jej Królewską Mość do powrotu Anglii na łono Kościoła rzymskiego? Ten człowiek to kłamca, zdrajca i heretyk.

– No cóż, Francisie, to twoja opinia. – Cecil przerwał na moment. – Jeśli z tego powodu prześladowaliśmy ludzi, jeśli ich karaliśmy, przetrząsaliśmy

ich domy, niszczyliśmy majątek i nękali groźbami, to nie mieliśmy racji. A jeśli czyniono to wszystko w moim imieniu, to naruszono w ten sposób przywilej protekcji. Nie zgadzasz się ze mną?

– Wasza miłość, naszym zadaniem jest zachowywanie niezwykle trudnego stanu równowagi w państwie. Sami mówiliście, że przede wszystkim musimy mieć w swojej pieczy stabilność okrętu, jakim jest Anglia. Jeśli dobrze pamiętam, powiedzieliście dokładnie: „Kiedy za burzę wypada marynarz, nie ryzykuje się zatopienia statku. Wolę pozwolić, aby utonęło kilku niewinnych ludzi, niż ryzykować wywrócenie okrętu”.

Wśród zebranych mężczyzn nastąpiło poruszenie. Cecil nie dał się zbić z tropu.

– Ilu dokładnie niewinnych ludzi utonęło?

– To zależy, co rozumiecie przez „niewinnych”.

– Ilu?

– Dwóch królewskich żołnierzy zostało zabitych, jeden przed domem Machyna, drugi w uliczce przy kościele Świętego Piotra. Obu zabił pan Clarenceux.

– Powtarzam pytanie: ilu?

Walsingham się zawahał.

– Zgadzam się, że chłopak pana Clarenceux i Daniel Gyttens nie powinni byli zginąć.

– A Henry Machyn?

– Henry Machyn był zdrajcą i heretykiem. Nie był niewinny.

Clarenceux nie mógł dłużej się powstrzymać.

– Henry Machyn był tylko strażnikiem prywatnego dokumentu. Nigdy nie knuł żadnego spisku przeciwko Kościołowi ani państwu. Jego jedyną winą było napisanie kroniki, która nie zawiera żadnych podżegających treści.

– A co w niej znajdziecie pod datą piętnastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego drugiego roku? – spytał Walsingham, a oczy mu się zwężyły. – Lub szesnastego czerwca tysiąc pięćset pięćdziesiątego trzeciego? Ta księga podżega do zdrady stanu i zmuszę was, żebyście to przyznali.

Cecil podniósł dłoń, aby uprzedzić herolda.

– Myślę, Francisie, że masz teraz okazję, by poddać swoją teorię próbie.
– Wskazał gestem księgę. – Oto kronika Henry’ego Machyna.

Walsingham spojrział na wolumin leżący na stole. Wszyscy skierowali na niego spojrzenia. Sekretarz podszedł i wziął go do ręki. Okładka ledwo się trzymała i prawie odpadła, kiedy ją otworzył, lecz on nie zwracał na to uwagi. Jego wzrok powędrował od razu do nierównego pisma. Zmrużył oczy, próbując je odczytać, potem położył księgę z powrotem na stole i ją przewracać karty. W milczeniu czytał niewyraźne słowa, szukając dowodów przestępstwa. Pod pierwszą datą niczego nie znalazł, więc przerzucił kilka stron i przeczytał następny wpis. I znowu niczego nie znalazł. Coraz bardziej gorączkowo wertował zapiski, aż wrócił do początku. Szyderczy uśmiech satysfakcji wykrzywił mu twarz, kiedy znalazłszy wpis z datą trzynastego czerwca pięćdziesiątego roku, rzucił okiem na Clarenceux. Przeczytał notatkę, lecz zorientował się, że i w niej nie ma nic zdrożnego. Sprawdziwszy kolejnych sześć lub siedem dat, odłożył księgę na stół.

– Proszę przeczytać ostatni wpis – powiedział Clarenceux. Walsingham niecierpliwym gestem odwracał stronicę, od czasu do czasu zerkając na herolda, dopóki nie dotarł do ostatniej strony. Przebiegł ją wzrokiem.

– Przeczytajcie na głos – polecił Clarenceux. Walsingham spojrział na Cecila i przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym znów spojrział na księgę.

– „Jedenastego grudnia Harry Machyn, autor tej kroniki, zginął zabity z rozkazu Richarda Crackenthorpe’a, sierżanta Jej Królewskiej Mości. Esperance”.

– Więc to jest dla ciebie powód, dla którego zabijasz niewinnych ludzi w imię Jej Królewskiej Mości, Walsingham? – rzekł Cecil.

Walsingham rzucił księgę na stół.

– Słowo „Esperance” widnieje na grobie lorda Percy’ego i dowodzi współudziału Machyna w.

– W czym? Współudziału w czym, dokładnie? Wyprowadzony z równowagi łagodnym oporem Cecila,

Walsingham rozejrzał się po sali, szukając wsparcia, lecz na każdej twarzy, jaką napotykał, wypisana była historia zasłużonej zemsty. Odwrócił się z powrotem do kanclerza.

– Sir Williamie, wiecie wszak o posłańcu ze Szkocji, wiecie o zabójcach, którzy mieli zamordować Williama Drapera. Spisek naprawdę istniał. Dyskutowaliśmy o tym wielokroć.

– Nie. Ty mi wielokroć o tym opowiadałeś. Czy kiedykolwiek kazałem ci kogoś zabić? Czy kazałem ci zrobić cokolwiek poza przeszukaniem domu? Czy kiedy go przeszukałeś, znalazłeś coś? Nie. Mimo to zastraszałeś tego człowieka, zrujnowałeś jego posiadłość, zamordowałeś służącego i sprawiłeś, że jego żona i córki musiały uciekać z domu.

– Szukałem kroniki...

– I teraz ją znalazłeś. Czy to usprawiedliwia twoje zachowanie? Myślę, że nie. Więc co teraz zrobisz? Jaki będzie twój ostateczny wniosek w tej sprawie?

Walsingham milczał.

– Mam bardzo poważne podejrzenia, że gdyby nie moja interwencja, kazałbyś powiesić pana Clarenceux, a mnie powiedział, że wszystko jest

w porządku, ponieważ udaremniłeś groźny spisek. Tymczasem jedyne zbrodnie w całej tej sprawie popełniłeś ty i twoi najemnicy. Tak to wygląda z mojego punktu widzenia.

Walsingham przełknął ślinę.

– Dopilnuję, aby sierżant Crackenthorpe został należycie i zgodnie z prawem ukarany.

Cecil odwrócił wzrok.

– Za późno.

– Crackenthorpe nie żyje – dodał Clarenceux.

Walsingham otworzył usta. Szukał słów, lecz żadnych nie znalazł.

– Pokój jego duszy – powiedział w końcu chrapliwie.

– Jego dusza na pewno nie zazna pokoju – odparował herold. – Uważacie, że to z powodu wypadku mam tyle ran na ciele? Kazaliście mu mnie zabić, kiedy zdobędzie kronikę, abym nie zdążył wrócić na umówione spotkanie. Nie przyszliście tu w południe. Nie mieliście najmniejszego zamiaru dotrzymać umowy, którą zawarliście wczoraj w kościele w Hackney.

Walsingham spojrział w stronę drzwi.

– Nie odwracaj się od nas, Francisie – powiedział Cecil.

– Wyjaśnij mi najpierw, jak zrozumiałeś warunki umowy. Ty i pan Clarenceux mieliście się spotkać dzisiaj w południe w jego domu, gdzie obiecał ci oddać kronikę, ty zaś zobowiązałeś się, że zwolnisz więźniów, czy tak?

– Tych, którzy jeszcze żyją.

– To znaczy ilu?

Walsingham wbił wzrok w podłogę.

– Pięciu mężczyzn – powiedział w końcu.

– Gdzie oni teraz są? – warknął Cecil.

Sekretarz spojrział kanclerzowi w oczy.

– Jeśli byłem surowy, to dlatego, że chcieliście, bym...

– Odpowiedz mi na pytanie, Walsingham. Gdzie oni teraz są?

– W Tower, w moim domu oraz w kryjówce w Bishopsgate.

– Zatem przyznajesz, że ich tu nie ma. A więc pan Clarenceux mówi prawdę. Nie miałeś najmniejszego zamiaru wywiązać się z umowy. Najwyraźniej nie spodziewałeś się, że wróci żywy z kroniką.

– Gdzie jest Rebecca Machyn? – spytał Clarenceux drżącym głosem. – Powiedziałaś, że żyje pięciu mężczyzn. Co się stało z wdową po Henrym Machynie?

Walsingham wyglądał na przerażonego.

– Wasza miłość, błagam, wszystko, co zrobiłem, uczyniłem w najlepszej wierze i z lojalności wobec...

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie! – krzyknął Walsingham. – Dość tego. Nie dam się przesłuchiwać niczym przestępca albo zdrajca. Pracowałem w dzień i w nocy, aby wypełnić zadanie, które mi poruczono, wiedząc, że ci ludzie knują spisek. Jak sami powiedzieliście, sir Williamie, wystarczy, że na dwadzieścia razy tylko raz nie uda nam się zapewnić królowej bezpieczeństwa, a będzie to równoznaczne z całkowitą porażką.

– Co się stało z Rebeccą Machyn? – wycedził Clarenceux.

– Żyje! W tym względzie nie mam sobie nic do zarzucenia – krzyknął Walsingham. – Ale ona jest winna! Tak samo winna jak Clarenceux!

Nikt się nie odezwał. Słowa zadudniły echem w głowach obecnych mężczyzn. Walsingham zdał sobie sprawę, że wszyscy uznali ten wybuch za przejaw jego ślepego uprzedzenia. Lecz Clarenceux miał uczucie, jakby chór anielski rozśpiewał się w jego domu i wypuścił gołębice pokoju. Uniosła się nad nim zasłona żałoby. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Gdzie ona jest? – spytał.

– W Bishopsgate.

Cecil odwrócił się do herolda.

– Wygląda na to, że w istocie zostaliście poszkodowani, panie Clarenceux. Nadal jednak musimy tę sprawę jakoś rozwiązać. Co zatem zrobimy?

Clarenceux wytarł oczy i spojrzał na Cecila.

– Sposób jest prosty. Zawarłem z tym człowiekiem umowę: życie ludzi przetrzymywanych w więzieniu w zamian za kronikę. Postawiłem tylko dwa warunki: abyśmy dokonali wymiany w moim domu w twojej obecności, sir Williamie. Na stole leży kronika. Jesteśmy w moim domu. Brakuje tylko więźniów. Jako urzędnik Jej Królewskiej Mości gotów jestem podtrzymać umowę, jeśli pan Walsingham wywiąże się ze swoich zobowiązań.

– Dobrze. – Cecil odetchnął z ulgą. – Miałem nadzieję, że to powiesz. Francisie, masz dwie godziny, aby tu wszystkich zebrać, łącznie z panią Machyn. Panie Fawcett, zdaje się, że przed domem w waszym wozie leży głowa. Czy zechcecie ją oddać? Tradycyjnym miejscem dla takich artefaktów jest brama Mostu Londyńskiego. Chciałbym teraz zamienić kilka słów na osobności z panem Clarenceux, proszę więc, abyście zechcieli, panowie, zostawić nas samych.

Wszyscy czekali, aż Walsingham wyjdzie pierwszy, po czym kolejno opuścili hol, mrużąc i wymieniając uwagi. Ostatni wyszedł Thomas. Ukłonił się Cecilowi i swemu panu, a następnie zamknął za sobą drzwi prowadzące na schody.

Cecil popatrzył na herolda.

– Kiedy przyjechałeś do mego domu, powiedziałeś, że nie istnieje żaden spis. Lecz wspomniałeś również o małżeństwie lorda Percy'ego z Anną

Boleyn. Dostałem wiadomość ze Szkocji, która roznieciła owe podejrzenia. Wiem zatem, że albo kłamiesz we własnym interesie, albo po to, by chronić innych.

– Ale...

– Żadnych „ale”. Słyszałeś, że poparłem twoją wersję publicznie i bez zastrzeżeń. Przyjmuję również do wiadomości, że nie byłeś inicjatorem spisku, który jest lub był szykowany. Cały czas uważałem, że Walsingham zbyt pochopnie cię w tej materii oskarża. Wiem, że nie jesteś z natury buntownikiem. Lubisz porządek i strukturę. Lubisz drzewa genealogiczne i herby opisywane w tajemnym języku. Masz rodzinę i choć wyznajesz starą religię, to dlatego, że jesteś konserwatywny. Walsingham nigdy tego nie zrozumie, ponieważ zbyt gładko pasowałeś do jego koncepcji, jaki powinien być katolicki konspirator. Rozumiesz mnie?

– Całkowicie, sir Williamie.

– Walsingham zaczerpnie naukę z tego doświadczenia. Plany, jakie z nim wiąże, wymagają, aby odebrał wiele trudnych lekcji. I wiele więcej niewinnych osób utonie, to również jest prawdą. Lecz na naszym tronie zasiada kobieta, silna i niezłomna, a na swój sposób również bezbronna. Jest zarazem najpotężniejszą monarchinią wśród krajów protestanckich, co podwójnie naraża ją na ciosy: na kule cudzoziemskich zabójców i na sztylety angielskich katolików. W dodatku nie chce wyznaczyć swego następcy. Jestem od niej dużo starszy, lecz mówiąc między nami, jeśli Walsingham zdoła utrzymać ją przy życiu wystarczająco długo, by wyszła za mąż i bezpiecznie przekazała koronę następnemu pokoleniu, to wypełnimy swój obowiązek.

– Rozumiem.

– A więc... czy mam rację, domyślając się, że odkryłeś dowód małżeństwa Percy'ego z Boleyn?

– Tak.

– Gdzie on się znajduje? W kronice?

– Nie.

– Więc powiedz mi gdzie.

Clarenceux zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu uznał, że jedynym możliwym wyjściem jest szczerść.

– Sir Williamie, wydaje mi się, że będzie dla mnie najbezpieczniej, jeśli ci tego nie powiem. Twoim zadaniem jest chronić królową za wszelką cenę. Wiem, gdzie się znajduje ten najgroźniejszy dokument, jaki możecie sobie wyobrazić. A komu mógłbym bardziej zaufać niż sobie samemu?

Cecil nie odpowiedział.

– Przyznałeś właśnie przy świadkach, że żaden spisek nie istniał. Najlepiej więc będzie, jeśli osobiście zniszczę ten dokument, nie oglądając się na nikogo i dłużej go nie przechowując.

Cecil pochylił się do przodu i patrząc heroldowi głęboko w oczy, powiedział półgłosem:

– Nie. Nie niszcz go. Możemy go jeszcze potrzebować.

– Czy ja dobrze słyszałem? Powiedziałaś, że możemy potrzebować tego dokumentu?

– Tak. Niektórzy z nas znają historię wydarzeń z tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku. Od dawna wiedziałem o istnieniu dowodu małżeństwa Percy’ego i Anny Boleyn. Domyślam się, że mówi ci coś nazwisko Chapuys?

– To ambasador cesarza rzymskiego. Widziałem kopie jego listów mówiących o kwestii tego małżeństwa i egzekucji.

– I zapewne doceniasz fakt, że nie zawsze mieliśmy protestanckich monarchów. Jeszcze może się zdarzyć, że na tronie Anglii zasiądzie katolik. Jestem pewien, że dla Boga nie ma to wielkiego znaczenia, zapewne pod

tym względem się różnimy. Użyję jednak wszelkich możliwych środków, aby dopilnować, żeby nie groziła nam rewolucja w imię Boga katolickiego ani protestanckiego. Rozumiesz mnie?

Clarenceux popatrzył mu uważnie w oczy.

– Ależ uczyniłem właśnie dokładnie to samo.

Cecil wstał z krzesła.

– Mam nadzieję, że doszliśmy do porozumienia, Williamie. Przechowaj ten dokument w bezpiecznym i dobrze ukrytym miejscu. A jeśli będę go kiedyś potrzebował, wydobędziesz go dla mnie na światło dzienne.

Clarenceux zaczął się podnosić.

– Nie wstawaj. Twoje słowo honoru jest równie dobre na siedząco, co na stojąco.

To rzekłszy, wyciągnął rękę.

Clarenceux wahał się tylko sekundę, po czym ją uściśnął.

– Dobrze. Zobaczymy się za dwie godziny.

*

Po wyjściu Cecila Clarenceux przez dłuższy czas siedział samotnie na krześle. Wrócił myślami do dnia, w którym stał w tym samym holu z Henrym Machynem i przyjmował od niego kronikę. Przykazał wtedy małemu Williamowi Terry’emu nie zdradzić ani słowem, gdzie jest ukryta księga. Potem przypomniał sobie przesłuchanie w domu Walsinghama i upiorną noc w piwnicy, oczekiwanie na śmierć, a wreszcie niebiańską słodycz wolności. Aż się wzdrygnął na wspomnienie dwóch strażników, których zabił w przypadkowej utarczce. A jednym z nich był brat Crackenthorpe’a. Przed oczami stanęła mu walka z sierżantem w podziemiach domu Juliusa. Miał długi wdzięczności wobec kilku osób. Wobec mężczyzny z Gildii Skórników, wobec garbarza Toma Griffithsa.

Ogromny dług wobec Juliusa. Lecz największy wobec Rebekki. Zawdzięczał jej życie, ponieważ nie bacząc na własne bezpieczeństwo, w krytycznym momencie zabrała kronikę z jego domu, aby nie wpadła w ręce Crackenthorpe'a. To ona odkryła słowa zaszyfrowane pod imionami Rycerzy. Lecz przede wszystkim była przy nim w trudnych chwilach. Nie wytrzymałaby do końca, gdyby nie jej wsparcie.

Przez trzy tygodnie żyłem w strachu, myślałem. Ale wiele się w tym czasie nauczyłem. W piwnicy Walsinghama zrozumiałem, że wolę umrzeć, niż wieść nędzny żywot w nienawiści. Na cmentarzu przy kościele, gdy czekałem na Rebeccę po ucieczce z domu Williama Drapera, dowiedziałem się, że sam Bóg to jeszcze nie wszystko. Te słowa prześladowały mnie tamtego wieczoru i dotąd nie dają mi spokoju. Tak naprawdę nie ma w nich żadnej tajemnicy. Mężczyźni i kobiety potrzebują siebie nawzajem, inaczej nasze zmagania stałyby się nie do zniesienia.

Ostatni do holu w domu Clarenceux powrócił kanclerz. Najpierw wkroczyli jego gwardziści i zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Sir William przeprosił za spóźnienie, po czym przeszedł między ludźmi Walsinghama i Juliusa i usiadł na swym miejscu.

Zerknął na swego sekretarza i zauważył, że zniknął miecz, który wcześniej nosił tak ostentacyjnie przypasany. Odchrząknął.

– Francisie, Williamie, panie Fawcett. Nie chcę przedłużać tej sprawy bardziej niż to konieczne. Zgodnie z tym, co ustaliliśmy, pozostała nam do przeprowadzenia jedynie prosta wymiana. Zważywszy na emocje, które ta sprawa wywołała, oraz na reputację wszystkich nas tu obecnych, sugeruję, abyśmy w miarę możliwości ograniczyli liczbę słów. Williamie Clarenceux, myślę, że inicjatywa należy teraz do ciebie.

– Dziękuję, sir Williamie. Panie Walsingham, zawarliśmy umowę, zgodnie z którą wymienimy kronikę Henry’ego Machyna na wszystkich więźniów oraz ich utracony majątek, w tym również mój własny. Wiem, że Daniel Gytens oraz Henry Machyn nie żyją. Poza nimi zostało siedmiu Rycerzy Okrągłego Stołu. Powiedzieliście, że przeżyło pięciu, nie licząc wdowy po Henrym Machynie. Gdzie są pozostali dwaj?

– Tożsamość jednego z nich nie jest nam znana. Nic mi również nie wiadomo o Lancelocie Heacie. Moi ludzie go nie znaleźli. Przeszukaliśmy jego dom oraz gospodę jego brata, lecz ślad po nim zaginął.

– I nie aresztowaliście nikogo z jego rodziny? Brata ani siostry?

– Nie.

– Wobec tego pozostaje pięciu mężczyzn oraz Rebecca Machyn. Przeprowadźcie ich.

Walsingham odwrócił się do swoich ludzi.

– Wprowadzić więźniów.

Clarenceux czekał cierpliwie, wsłuchując się w tupot kroków na schodach. Po chwili do holu weszło gęsiego sześć osób. Wyglądali jak żebracy, umorusani, w brudnym, podartym odzieniu. Trzy twarze były heroldowi obce: Nicholasa Hilla, Jamesa Emery’ego i Roberta Lowe’a. Michael Hill w czarnym kaftanie wyglądał chudo i słabo, twarz miał zapadniętą i przestraszona, a przecież minęło zaledwie kilka dni od ich spotkania, kiedy Clarenceux ocenił go jako postawnego i wciąż przystojnego mężczyznę pomimo podeszłego wieku. Kiedy wchodzili, jeden z młodszych więźniów podtrzymywał go w pasie. Herold domyślił się, że to jego syn, Nicholas. Ubrany w płowy dublet z rzemiennym sznurowaniem na mankietach i brązowe pończochy wyglądał na potężnego mężczyznę, który w istocie może być dla starca solidną podporą. James Emery miał na sobie długi czarny płaszcz, który wisiał na nim w strzępach. Brata Rebekki, Roberta Lowe’a, poznał od razu po szerokiej piersi i ogorzałych, sękatych dłoniach. William Draper trzymał się nieco z boku, twarz miał oszpeconą przez nos, który złamał mu Clarenceux.

Najgorzej wyglądała Rebecca. Z jej twarzy znikła cała radość. Długie włosy wisiały posklejane w strąki, suknię miała podartą jeszcze bardziej, niż kiedy widział ją ostatnio. Na brudnych dłoniach widniały ślady zakrzepłej krwi. W pierwszej chwili serce mu się ścisnęło z wściekłości. Potem się uspokoił. Już po wszystkim, pomyślał.

Wziął ze stołu księgę i podał ją Walsinghamowi. Zauważył na jego twarzy szyderczy grymas. Walsingham został upokorzony, zbesztany przez swego protektora. Pewnie się zastanawiał, w jaki sposób Clarenceux omamił Cecila i przechytrył ich wszystkich. Ale kronikę musiał przyjąć.

Wyciągnął rękę i wziął od niego księgę.

– To w dalszym ciągu jest dowód.

Odpowiedział mu Cecil:

– To w dalszym ciągu jest własność pana Harleja, Wielkiego Herolda Clarenceux, któremu dość już wyrządziłeś krzywd. Oczekuję, że oddasz ją właścicielowi po upływie czasu potrzebnego na jej przestudiowanie. Zobowiąziesz się również do zwrotu całego majątku aresztowanych osób.

Walsingham nie odpowiedział. Odwrócił się i wymaszerował z sali z kroniką pod pachą, a za nim jego ludzie.

– Myślę, że możemy na tym zakończyć sprawę – oznajmił Cecil, wstając.

– Panowie, pani, opuszczam was. Mam nadzieję, że cała ta historia pójdzie wkrótce w niepamięć i wszyscy, których dotknęły bezprawne poczynania sierżanta Crackenthorpe’a, będą odtąd żyli w spokoju, bez piętna zdrady czy herezji. – Odwrócił się do herolda i skłonił głowę. – Williamie Clarenceux, twojej powściągliwości zawdzięczamy tak polubowne rozstrzygnięcie. Przyjmij ode mnie wyrazy najwyższego szacunku, a także ukłony dla żony i córek. – Przerwał, podszedł do drzwi, a zanim podążyli jego gwardziści.

– Życzę wam wszystkim dobrego dnia.

I wyszedł.

– Ja również muszę ruszać w drogę, Williamie – oznajmił Julius. – Za pół godziny zapadnie zmrok. Przyjdzie nam jechać przy świetle księżycy, a wszak nikt z nas nie zmrużył tej nocy oka. Tak więc...

Clarenceux z trudnością dźwignął się na nogi. Julius próbował go powstrzymać, lecz zrozumiał, że byłyby to próżne wysiłki. Objęli się serdecznie.

– Dziękuję ci, przyjacielu, że okazałeś mi tyle pomocy – szepnął Clarenceux, ściskając go.

– A ja dziękuję, że mi zaufałeś – odrzekł Julius. – Kiedy wydobrzejesz, odwiedź nas koniecznie w Summerhill.

– Przyjadę z największą chęcią.

Julius odwrócił się i podszedł do Rebekki Machyn, stojącej w grupie milczących, skonsternowanych mężczyzn. Ujął jej dłoń, chociaż pokryta była brudem i krwią, i ucałował niczym dłoń damy.

– Przyjmijcie ode mnie wyrazy wdzięczności i zostańcie z Bogiem, pani Machyn. Dziękuję za wszystko, co uczyniliście dla mego przyjaciela. Drzwi mego domu zawsze stoją dla was otworem. Nigdy nie zapomnę, że jesteście strażniczką mego sekretu.

Kiedy ludzie Juliusa wyszli, pozostali tylko Rycerze Okrągłego Stołu, Rebecca i Thomas. Michael Hill, James Emery i Nicholas Hill obejmowali się i ściskali. William Draper odszedł i stanął pod ścianą. Rebecca trwała w bezruchu. Herolda zaniepokoiło, że nawet do niego nie podeszła.

– Pani Machyn, skoro sir William wyszedł, proszę, zajmijcie jego miejsce przy stole.

Rebecca podeszła bez uśmiechu i usiadła.

– Wiem, że wszyscy pragniecie powrócić do domów. Najpierw jednak chciałbym powiedzieć kilka rzeczy. Bractwo Rycerzy Okrągłego Stołu przestaje istnieć. Zapomnijcie o swych arturiańskich imionach, od tej pory tracą one ważność. Takie stowarzyszenia są niebezpieczne. Wasze sprzysiężenie miało na celu przechować w pamięci pewną informację, spowodowało jednak falę grozy, która omal nas wszystkich nie zniszczyła.

Panie Draper, rozumiem, że chcieliście ratować własne życie, lecz zdradziliście swych współtowarzyszy, a także mnie, bez ostrzeżenia. Przez was zginął Henry Machyn. Byliście gotowi posłać ludzi na śmierć, wydaliście innych Rycerzy, zdradziliście ich sekrety w Holyrood i w Londynie. Jesteście wolni i możecie iść, mam jednak nadzieję, że nasze drogi nigdy więcej się nie skrzyżują.

Draper ani drgnął.

– Złamaliście mi nos i żebro...

– Sami jesteście sobie winni. A jeśli macie chęć porównać doznane obrażenia, to mogę wam pokazać głęboką ranę w brzuchu, cięcie na udzie i kilka innych, wcale nie drobnych draśnień na ramionach i rękach. Wszystkie są dziełem sierżanta Crackenthorpe'a, a konsekwencją waszej zdrady. Nawet nie myślcie o swojej krzywdzie ani tym bardziej o zemście. Bóg was ukarze. Jeśli ktoś na tej sali ma prawo do zemsty, to jest nią ta dobra niewiasta, która straciła męża. Macie teraz jedyną szansę odejść bez narażania się na naszą nienawiść. Sugeruję, abyście czym prędzej opuścili ten dom.

Draper zawahał się, lecz po chwili wyszedł bez słowa.

– Moi przyjaciele, jesteście wolni – rzekł Clarenceux. – Odzyskacie również swoje majątki, z czego jestem niezmiernie rad.

Żaden z czterech mężczyzn nie powiedział ani słowa, dopóki nie wystąpił naprzód Nicholas Hill.

– Łatwo wam mówić, że już po wszystkim, panie Clarenceux. Może dla was tak, lecz dla nas wcale tak nie jest. Wiele lat temu przysięgliśmy chronić pewien dokument nawet za cenę życia. Jeśli go stracimy lub zostanie ukryty w miejscu, do którego nie będziemy mieli przystępu, znaczy to, żeśmy nie wypełnili swych zobowiązań.

Tego Clarenceux się nie spodziewał. Przez chwilę zbierał myśli.

– Żyjecie w świecie fantazji, panie Hill. Większość mieszkańców tego kraju obróciła się przeciwko starej wierze. Nie chcieliby teraz katolickiej królowej. Zbyt dobrze pamiętają, co się działo za rządów poprzedniej: palenie na stosie, prześladowania... ludzie zrozumieli, że nieważne, jaką religię wyznaje ich królowa, liczy się tylko pokój w państwie.

– Ależ to jest wola boża! Sprawa prawowitości następstwa tronu – upierał się Nicholas Hill. – Kwestia dziedzictwa.

– Radzę wam dobrze, abyście nie czynili sobie Williama Cecila wrogiem. Dzisiaj uratował nam wszystkim życie, lecz może jeszcze obrócić się przeciwko nam.

– Mówiliście o zdradzie pana Drapera, ale to wy nas zdradziliście – uniósł się gniewem Nicholas Hill. – Oddaliście kronikę Francisowi Walsinghamowi. Mogliśmy ją ukryć, mogliśmy walczyć...

Clarenceux grzotnął pięścią w stół.

– Nie bądźże głupcem, panie Hill! Uważacie, że ta księga jest warta, byśmy wszyscy oddali za nią życie?

– Oddaliście ją Walsinghamowi – powiedział kowal,

Robert Lowe. – Przecież może nas teraz wszystkich pozabijać. Co go powstrzyma?

– Wygląda na to, że to wy jesteście głupcem, panie Clarenceux – zauważył Nicholas Hill.

Herold zmierzył wzrokiem wszystkich stojących przed nim mężczyzn. Zaczął rozpinać dublet, krzywiąc się z bólu, który przeszywał jego ramię i żebra.

– Wątpię, by którykolwiek z was potrafił odkryć sekret Henry'ego Machyna. Od samego początku wiadomo było, że przekracza to wasze możliwości. Nawet gdybyście zebrali się wszyscy razem: sir Lancelot, sir Owain, sir Reynold, sir Dagonet, sir Parsifal, sir Ector, sir Reynold, król

Clariance oraz sir Yvain; nawet gdybyście odkryli, że pierwsze litery waszych imion tworzą nazwisko lorda Percy'ego; nawet gdybyście zestawili razem wszystkie daty i odgadli, że wskazują one na jego datę śmierci w czerwcu tysiąc pięćset trzydziestego siódmego; nawet gdybyście się domyślili, że tajemnica tkwi w napisach na grobowcu Percy'ego w kościele Hackney, to i tak nie bylibyście przez to ani trochę mądrzejsi niż przedtem. Nie odnaleźlibyście dokumentu.

– Ciekawe, skąd to wiecie – burknął Michael Hill.

– Ilu z was potrafi cytować z pamięci Księgę Hioba po łacinie? Rozdział siódmy, począwszy od pierwszego wersu?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Nikt? No właśnie. Na bocznej ścianie grobowca widnieje długi łaciński ustęp, który się kończy dziwną frazą: NUMQUID MARE SUM EGO AUT CETUS QUIA CIRCUMDEDISTI ME CARCERE. Znaczy to z grubsza: „Czy jestem morzem lub wielorybem, że mnie zamykasz w więzieniu?”. Gdybyście widzieli kronikę, zauważylibyście, że na jej oprawie wytłoczono morze i wieloryba. Lecz nawet i to by wam nie wystarczyło. Tylko znając doskonale cały ustęp z siódmego rozdziału Księgi Hioba, można dostrzec błąd w tekście uwiecznionym na grobowcu. Fragment powinien brzmieć *cutis mea aruit et contracta est* – „skóra ma pomarszczona jest i ściągnięta”. Lecz w kamieniu wyryto: *cutis mea irrupuit et peccatum aperitum est*, „skóra moja spękana i wyziera spod niej grzech”. Dając mi kronikę, Henry powiedział, że tylko ja mogę odkryć jej tajemnicę, a teraz wiem dlaczego.

– Więc gdzie jest ten dokument? – warknął Nicholas Hill. – Oddaliście kronikę Walsinghamowi. Znajdzie go i...

Clarenceux wyciągnął z dubletu złożony, poplamiony krwią arkusz papieru welinowego.

– Oto wasz dokument. Oryginał umowy małżeńskiej lorda Percy’ego i Anny Boleyn. Poświadczony przez notariusza i dwóch biskupów.

To rzekłszy, rzucił pismo na wiązowy stół.

Wszyscy umilkli. Każdy zerkał na dokument, lecz nikt nie ośmielił się odezwać, ani nawet go dotknąć.

– Gdzie go ukryto? – spytał w końcu Michael Hill.

– Aż do dzisiejszego ranka stanowił welinową oprawę kroniki. W tysiąc pięćset pięćdziesiątym roku Henry obłożył weń czystą księgę i zaczął zapisywać zdarzenia ze swego życia, aby ona i jej cenna okładka zachowały się po wsze czasy. Kronika rzeczywiście kryła tajemnicę, lecz nie w treści, a w oprawie.

Czterej mężczyźni podeszli do stołu. James Emery wziął dokument do ręki i trzymał z nabożnym szacunkiem.

– Więc to znaczy, że królowa Elżbieta nie jest prawomocną władczynią Anglii?

– W zasadzie tak. Jest to dowód zawarcia umowy przedmałżeńskiej przez jedno z jej rodziców. Osiemdziesiąt lat wcześniej taki dokument wystarczył, by zrzucić z tronu Edwarda Piątego.

– Wobec tego powinniśmy go natychmiast ogłosić.

– Tylko głupiec by to uczynił. Zostalibyście publicznie straceni, a ja razem z wami. I nic by to nie dało. Sir Cecil zaprzeczyłby, że dokument jest prawdziwy. Orzekłby, że to fałszerstwo.

– Ale to przecież dowód, sami to przed chwilą przyznaliście. Jest prawdziwy – powiedział Nicholas Hill.

Clarenceux pokręcił głową.

– A czymże jest dowód? Myślicie może, że tym samym co prawda? Możecie mi wierzyć, że nikt nie ma tak mało szacunku dla prawdy, jak ludzie stojący u władzy. Takie osoby jak sir William Cecil codziennie

zatajają niewygodną prawdę, a uznają coś za dowód tylko wtedy, gdy służy ich interesom.

– Więc co zamierzacie uczynić z dokumentem? – spytał Emery, cały czas trzymając papier w ręku.

– Dokładnie to, czego chciał lord Percy.

– Skąd możecie wiedzieć, czego chciał lord Percy? – spytał Michael Hill.

– Słuszne pytanie. Lecz znajdziemy na nie odpowiedź, jeśli zważymy, że historia ukryta w tym dokumencie była tragedią. Lord Percy zakochał się w Annie Boleyn, a ona odwzajemniała jego uczucie. Lecz król mu ją ukradł. Anna okazała się kobietą niestałą, pokochała króla, ponieważ był potężnym człowiekiem i usilnie zabiegał o jej względy. Lord Percy znał prawa rządzące światem dworu i władzy, wiedział, że król manipuluje Anną, a pewnego dnia się nią znudzi. Lecz ona obróciła się przeciwko niemu, a to doprowadzało go do szaleństwa. Król również w swym obłędzie zaczął nim manipulować. W końcu zmuszony, by wydać wyrok śmierci na jedyną prawdziwą miłość swego życia, Percy zapragnął tylko jednego: by jego historia nie odeszła w zapomnienie. Przekazał dokument Henry'emu Machynowi, aby go strzegł, nie po to, by wszcząć rewolucję, lecz by ktoś wiedział, że kobieta, którą kochał przez całe życie, była jego żoną, że mu ją skradziono i że kiedyś ona go również kochała.

Nikt się nie odzywał.

– W takim razie my go przechowamy – powiedział chłodno Nicholas Hill, biorąc dokument od Jamesa Emery'ego.

– Zawierzono nam, byśmy go strzegli, i możemy to czynić jak dotąd.

Clarenceux nawet nie drgnął.

– Nie. Dokument zostanie u mnie. Dałem sir Cecilowi słowo, że będę miał nad nim pieczę. W zamian darowano wam życie i zwrócono majątki.

Jeśli ten pergamin opuści mój dom, nikt z nas nie będzie dłużej bezpieczny i utracimy na zawsze zaufanie kanclerza.

Emery oddzielił się od grupy i podszedł do okna. Zaczęło się ściemniać. Clarenceux spojrział na Rebecę. Siedziała bez ruchu i patrzyła przed siebie. Nicholas Hill przyjrzał się dokumentowi, lecz nie mógł go przeczytać w zapadającym zmroku. Podał go ojcu, który zaledwie rzucił nań okiem, po czym odłożył ostrożnie na stół przed heroldem.

– Myślę, że pan Clarenceux mądrze doradza – powiedział Michael Hill. – Nie jesteśmy ludźmi czynu. Ani rewolucjonistami. Żaden z nas nie zrobiłby z tego dokumentu użytku.

Robert Lowe popatrzył na Rebecę.

– Żałuję, że ty i twój mąż w ogóle się poznaliście. Przez was czuję się jak łatwowierne cielę, które można wodzić za nos na postronku. Nie spodziewam się od ciebie przeprosin w domu tego szlachcica, ale następnym razem, kiedy się spotkamy... – Zerknął w stronę Clarenceux i uklonił się przelotnie. – Żegnam – powiedział uprzejmie, lecz chłodno, po czym odwrócił się i ruszył do drzwi.

Rebecca słuchała w ciszy jego szybkich kroków.

– My również powinniśmy już iść – oznajmił Michael Hill, spoglądając na syna. – Panie Clarenceux, wybaczcie nam, bo pewnie macie nas za niewdzięczników. Zrozumcie, proszę, że przez długie lata przygotowywaliśmy się na więzienie i śmierć w obronie tej tajemnicy. Dawało nam to siłę, by przetrwać nieszczęścia, które nas ostatnio spotkały. Nawet w Tower czułem, że moje cierpienie służy wyższemu celowi, że dzięki niemu coś się zmieni. Wiem, że powinienem być wam wdzięczny, i jestem. Podwójnie ze względu na moją żonę i syna. Dziękuję wam w imieniu nas wszystkich.

Nicholas Hill nie odezwał się ani słowem. Podszedł do ojca, otoczył go ramieniem i skierował się do drzwi. Emery ruszył za nimi bez słowa ni jednego spojrzenia.

Clarenceux i Rebecca nasłuchiwali, jak schodzą po schodach, a potem zamykają się za nimi drzwi. W holu robiło się coraz ciemniej.

– Nie zamierzacie się do mnie odezwać? – spytał po długiej chwili milczenia.

– A o czym tu mówić?

– Co się wydarzyło w Hackney?

– Nie chcę o tym rozmawiać. To, co się wydarzyło, pozostanie między mną i sumieniem tych mężczyzn. Teraz jest już po wszystkim. Było, minęło.

Clarenceux się pochylił. W szybko zapadającym zmroku widział jej twarz bardzo niewyraźnie. Nie patrzyła na niego.

– Czy mam poprosić Thomasa o świece?

– Nie. Wolę ciemność.

– Czemu?

– Ponieważ w ciemności nie widać łez.

Clarenceux poczuł się zbesztany. Miała wiele powodów do łez, lecz najoczywistszy budził w nim wyrzuty sumienia.

– Czy mogę coś dla was uczynić?

– Nie.

Oparł się z powrotem.

– O czym myślisz, Rebecca?

Westchnęła.

– Po... po wszystkim wrzucili mnie do wilgotnej, zimnej piwnicy. Pragnęłam umrzeć. Podczas tych długich godzin w ciemności zrozumiałam, kim naprawdę jestem: biedną wdową. Nie mam pieniędzy, nie znam się na

żadnym rzemiośle. Nie mogę dalej prowadzić interesu Henry'ego. Nikt nie zechce za żonę kobiety, która nie ma nic poza nazwiskiem. Jedyna nadzieja, jaka mi pozostaje, to że pani Barker przyjmie mnie do siebie na służbę i tam dokończę swych dni.

Przerwała i otarła łzy.

– Tam w piwnicy zdałam sobie sprawę, jak bardzo się oszukiwałam. Jesteście żonatym mężczyzną, nie możecie mnie chronić. Nie mam męża, rodziców ani dzieci. Jestem nikim. Może mnie bezkarnie pohańbić każdy mężczyzna, który ma nóż i chuć, a nie ma skrupułów. Bo kto mnie obroni? Co znaczy moje słowo przeciw słowu mężczyzny, skoro nikt nie przemówi w mym imieniu? Oszukiwałam się, myśląc, że coś nas łączy, że powinnam z wami dzielić coś tak, jak dzieliłam z mężem. Teraz wiem, że to nieprawda.

Clarenceux zamknął oczy.

– Nie jesteś zwyczajną wdową, Rebecca. Jesteś niewiastą, która potrafi dawać i przyjmować miłość. W kościele w Hackney powiedziałaś, że zwyciężymy ich miłością.

– Przepraszam za to.

– Nie przepraszaj. Cieszę się, że to powiedziałaś. Cieszę się ze wszystkiego, co nas łączyło. Leżąc tyle razy u twego boku, tak bardzo pragnąłem zyskać twój szacunek, że nigdy się nie ośmieliłem cię tknąć, chociaż bardzo tego pragnąłem. A w kościele twoje słowa dodały mi siły, walczyłem dla siebie tak samo jak dla ciebie. Jadąc do Summerhill, nie przestawałem o tobie myśleć. W drodze Crackenthorpe powiedział mi, że nie żyjesz, i ta myśl sprawiła mi tyle bólu, tyle...

– Co się stało z Crackenthorpe'em?

– Nie żyje.

– Wy go zabiliście?

– Tak.

– Dziękuję.

– Nie musisz mi dziękować.

– Pomściliście śmierć mojego męża i moje nieszczęście.

– Przerwała nerwowo, szukając odpowiednich słów, które przeszłyby jej przez gardło. – Zamknęli mnie w piwnicy, gdzie zginął Henry. Powiedzieli mi o tym strażnicy Walsinghama. Opowiedzieli mi również, co mu robili, zanim go zabili. Zdzierali mu pasami skórę z pleców, palili żywcem... i wiele innych okropnych rzeczy.

Umilkli oboje. W oddali odezwał się dzwon kościelny, a wkrótce dołączyły do niego inne.

– Pojedziecie jutro do Devon po swoją żonę?

– Nie. To daleka droga. Jutro jeszcze nie, ale wkrótce. Znowu zapadło między nimi milczenie.

– Co zrobicie z dokumentem lorda Percy’ego?

– Nie miałem czasu się nad tym zastanowić. Muszę go bezpiecznie ukryć. Sir William chce, abym go strzegł.

– On was wykorzysta. To przebiegły człowiek.

– Możliwe, lecz dokument jest w moich rękach. A najważniejsze, że żyjemy.

– Pod rządami protestanckiej królowej.

Clarenceux podniósł dłoń.

– Nie mów tak. Nie bądź jako inni. Sam słyszałem z twoich ust, że nie pragniesz rewolucji, pragniesz tylko czuć się bezpieczna. Twoje pragnienie jest spełnione.

Rebecca uśmiechnęła się blado, lecz uprzytomniła sobie, że w ciemnym holu Clarenceux nie widzi jej twarzy, więc pochyliła się, ujęła jego dłoń i ścisnęła lekko.

– Tak, jestem wam wdzięczna. Chciałabym również zrobić coś, by zyskać sobie waszą wdzięczność.

Clarenceux przytrzymał jej dłoń w swojej.

– Dość już zrobiłaś. Uratowałaś mi życie. Odczytałaś kolejność liter w księdze. Dodawałaś mi sił w kościele. A najważniejsze, że żyjesz. Widziałem, jak wygląda świat bez ciebie. Przez jedną noc. Był zimny. Nigdy więcej nie chcę oglądać takiego świata.

– To piękne słowa, panie Clarenceux. Ale jestem pewna, że rozumiecie, co miałam na myśli. Wkrótce wróci wasza żona i będziecie szczęśliwi jak dawniej. Nie będzie mi rada i wy również. Teraz już rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Was. I ją. Kiedy Crackenthorpe was aresztował, tu w tej sali, ja i wasza żona rozmawialiśmy na górze w gabinecie. Wtedy nie mogłam zrozumieć, co takiego w niej pokochaliście. Wydawaliście się tacy różni. Kiedy razem podróżowaliśmy, zaczęłam myśleć, że może wy jej w ogóle nie kochacie. Teraz jednak widzę, że miłość jest dla was sprawą honoru, tak samo jak dla lorda Percy’ego. Tak samo jak on, wy również nie umielibyście się zmienić. Honor, obowiązek, miłość, szacunek, wszystko to jest dla was jednym i tym samym. Jesteście na wskroś lojalni, chronicie tych, których kochacie, bo uważacie to za swój obowiązek, a ci, których kochacie, mogą na was polegać. Zbudowaliście własny świat i będziecie go bronić do ostatniej kropli krwi.

– A teraz ty również jesteś jego częścią.

– Nie, nigdy nie będę częścią waszego świata. Byłam nią, lecz tylko przez krótką chwilę, kiedy zostaliście sami i potrzebowaliście pomocy. Teraz muszę się trzymać od was z daleka. Dla dobra nas obojga.

Na myśl, że miałaby do końca życia trzymać się od niego z daleka, Clarenceux poczuł przejmującą pustkę.

– Rebecca, dzisiaj po południu siedziałem tu przez chwilę sam, dokładnie na tym krześle, i miałem okazję zastanowić się nad wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatniego tygodnia. Myślałem o ludziach, którym winien jestem wdzięczność, i doszedłem do wniosku, że spośród nich wszystkich najwięcej zawdzięczam tobie. Nie chodzi tylko o to, że uratowałaś mi życie, lecz o wszystko, co...

– Ale ja właśnie o tym mówię, panie Clarenceux. Żyjecie przeszłością. Przeszłość dla was jest długą listą zwycięstw, przygód, dumy, chwały i wspaniałych czynów, które są oznaką szlachectwa. Kochacie przeszłość, dla mnie zaś nie ma tam nic godnego miłości. Dla mnie przeszłość to głód, niedostatek, to ból i strata trojga dzieci. A teraz również strata męża. Nie rozumiecie tego?

Clarenceux nie odpowiedział.

Głos Rebekki nabrał jakiejś natarczywości, mówiła z pełnym przekonaniem, lecz tłumiąc głębokie emocje.

– Wielka różnica między wami a Francisem Walsinghamem polega na tym, że dla niego przeszłość nie ma wielkiego znaczenia. Dla niego liczy się tylko przyszłość, chociaż wcale jej nie kocha. Boi się jej. Ja również bardzo się boję przyszłości.

Clarenceux pokręcił głową.

– Nie wiem. Wkrótce zadzwonią dzwony. Zostaniesz na noc? Nie wiem wprawdzie, czy zostało w tym domu całe łóżko, ale jeśli tak, to jest do twojej dyspozycji.

– Dziękuję wam, panie Clarenceux, ale raczej zdam się na los. Nie mogę tu dłużej zostać.

Clarenceux wytarł twarz dłonią.

– Wiem, że to egoistyczne i nieuczciwe z mojej strony, ale nie mogę się z tobą zgodzić. Potrzebuję cię...

– Nie, panie Clarenceux, potrzebujecie swojej żony. Kochacie ją. Gdyby coś jej groziło, nic by was nie powstrzymało, żeby jej bronić. Bez względu na to, co teraz czujecie, nigdy byście sobie nie wybaczyli, gdyby spotkała ją przez was krzywda. Teraz rozumiem, że zachowaliście wobec mnie wstrzeźliwość, ponieważ to ją chroniliście, ponieważ chroniliście swoje małżeństwo i wszystko inne, co uważacie za dobre, słuszne i właściwe; wszystko, co jest częścią życia, jakie zbudowaliście.

Wtedy Clarenceux zrozumiał, że Rebecca ma rację, i ta myśl przeszła go na wskroś. Zaczął szukać sposobu, który by ich oboje przekonał, że to nieprawda, lecz w głębi duszy wiedział, że kłamstwem byłoby nawet próbować i że wyrządziłby krzywdę im obojgu.

– Dokąd pójdziecie?

– Znajdę jakieś miejsce. Może do domu. A może na strych w czyjejs stajni.

– Zostań tutaj, Rebecco.

– Czy Thomas jest w domu?

– Tak, na dole. Powiedziałem, że go zawołam, jeśli będę czegoś potrzebował. Ale...

– Więc on się wami zajmie. Nie potrzebujecie mnie.

– Rebecco, proszę.

Wstała z krzesła, podeszła do niego w ciemności i pocałowała go w czoło.

– Do widzenia, panie Clarenceux...

Podniósł głowę i zobaczył ciemne kontury jej twarzy.

– Rebecco, ja... – Lecz nie mógł znaleźć słów. – Przepraszam, jeśli cię zraniłem. Nie chciałem ci sprawić przykrości... Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Ujęła w dłonie jego twarz.

– Wiem. To jedyna rzecz, jakiej nie potrafię wam wybaczyć.

A potem z sekundy na sekundę oddalała się od niego coraz bardziej. Szła przez hol, ostrożnie badając w ciemności drogę. Nasłuchiwał jej kroków na schodach, a potem skrzypnięcia otwieranych i zamykanych drzwi frontowych.

Siedział samotnie w ciemnym holu z twarzą mokrą od łez.

76

Lady Percy siedziała w półmroku swej komnaty. Całe popołudnie spędziła na tym samym fotelu, wyglądając na park, czy nie nadjeżdża posłaniec. Na próżno. Zaczęło dżdzyc, w miarę jak zapadał zmrok, ciężkie chmury na niebie wisały coraz niżej. A ona czekała dalej.

Niebawem Benedict Richardson przyniósł do pokoju lampę. Lady Percy siedziała obojętnie, odrzuciła propozycję jedzenia. Po kilku następnych pytaniach, na które nie odpowiedziała, Richardson podszedł do okna, aby zamknąć okiennice.

– Zostaw – poleciła.

– Ale, miłościwa pani...

– Możesz odejść.

Spojrzał na nią, na puste palenisko, po czym uklonił się i wyszedł. Z upływem dnia myśli lady Percy spowijał coraz głębszy mrok. Nie nadeszła żadna wiadomość. Rycerze Okrągłego Stołu zostali zdradzeni, coraz bardziej utwierdzała się w tym przekonaniu. A razem z nimi ona. Wydało się jej, że płomień, który płonął w jej piersi, który ją trawił przez całe życie, nagle zgasł.

Spojrzała na swoje laski oparte o stół niedaleko lampy, którą zostawił Richardson. Wsparła się na nich i podeszła do okna. Pochyliła się i oparła głowę o zamrażnięte szybki w ołowianych ramkach.

Po wyjściu Rebekki Clarenceux siedział bez ruchu na krześle. Minuty zamieniły się w kwadransy i godzina upłynęła w milczeniu i ciemności. W końcu do holu wszedł Thomas ze świecą.

– Dziękuję, Thomasie.

– Wasza miłość?

– Słucham.

– Czy teraz już wszystko będzie jak dawniej? Zostajecie w domu?

– Tak, zostaję. – Westchnął ciężko. – Kiedy odzyskam siły, pojedziemy obaj do Devon i przywieziemy Awdrey z dziewczynkami. Wszystko będzie mniej więcej jak dawniej.

– To dobrze, panie. To dobrze, jeśli wszystko będzie jak dawniej. W pokoju gościnnym jest jeden materac, który nie został doszczętnie zniszczony. Pozbierałem pierze i powtykałem z powrotem najlepiej, jak się dało, a potem zaszyłem. Na kilka nocy powinno wystarczyć.

Clarenceux podniósł wzrok na starca.

– Dziękuję, Thomasie. Dziękuję ci za wszystko, coś dla mnie uczynił.

Służący skłonił głowę.

– Wasza miłość?

– Słucham, Thomasie.

– Kiedy jechałem do Devon i z powrotem, przez całą drogę o tym myślałem: o co chodziło z tą kroniką Henry’ego Machyna? Nie dawało mi

to spokoju.

– O co chodziło z tą kroniką?

Clarenceux wrócił myślami do dnia, kiedy Henry Machyn przyniósł mu księgę. Zobaczył w pamięci jego zatroskaną twarz. Potem stanął mu przed oczami obraz jego gabinetu wywróconego do góry nogami, papierów i pergaminów rozsypanych po całej podłodze, roztrzaskanego portretu ojca. Ujrzał drewniane drzwi w całkiem nowym świetle, jakby niczego nie posiadał i walczył o przetrwanie w świecie, który był dla niego obcym miejscem. Przypomniawszy sobie piwnicę Walsinghama i noc, kiedy szukał Rebekki na pustym cmentarzu przykościelnym. Wreszcie jego myśli zatrzymały się na słowach Rebekki, że jest biedną, nic nieznaczącą wdową, a mimo to pójdzie własną drogą.

– Chodziło o *esperance*.

– Słucham?

Clarenceux się uśmiechnął.

– Tak brzmiało ostatnie słowo w kronice. Oznacza nadzieję. We wszystkich naszych zmaganiach na tym świecie ostatnim słowem jest nadzieja.

Nota autorska

Książka ta jest fikcją literacką, lecz zainspirowały ją dokumenty, spisane i wspominane przez postaci historyczne. Funkcję Wielkiego Herolda Clarenceux w tysiąc pięćset sześćdziesiątym trzecim roku pełnił niejaki William Harvey (nie Harley), mianowany na to stanowisko w tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym i zmarły w tysiąc pięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Prawdziwy Henry Machyn był jednym z londyńskich przyjaciół Williama Harveya, kupcem i krawcem, przedsiębiorcą pogrzebowym oraz zakrystianem. Zmarł w listopadzie tysiąc pięćset sześćdziesiątego trzeciego. Nazwisko Machyna popadłoby w niepamięć, gdyby nie jego kronika, a raczej „chronika” (jak sam ją nazywał). Zaczął ją pisać w tysiąc pięćset pięćdziesiątym roku, krótko przed śmiercią swego brata, Christophera. W testamencie zapisał ją „panu Clarenceux” (czyli Williamowi Harveyowi).

Jakiś czas po śmierci Williama Harveya kronika przeszła w ręce wielkiego kolekcjonera, Roberta Cottona (zmarłego w tysiąc sześćset trzydziestym pierwszym roku) i w ten sposób trafiła do największej biblioteki angielskich manuskryptów historycznych, jaką zgromadził jeden człowiek. Zbiór ten przeniesiono następnie do Ashburnham House w Westminsterze, gdzie w październiku tysiąc siedemset trzydziestego pierwszego roku wielki pożar strawił cały budynek. Wiele manuskryptów przepadło bezpowrotnie. Część udało się ocalić, ogień nadpalił tylko

krawędzie. Kronika Machyna była jednym z nich. Spłonęły brzegi stronic i grzbiet oraz cała oprawa, przetrwały jednak środkowe części stronic. Przez następne sto lat nadpalone karty leżały luzem nieposortowane w pudle w Muzeum Brytyjskim. W końcu w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku zostały uporządkowane przez sir Fredericka Maddena, zredagowane przez Johna Gougha Nicholasa i wydane w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym pod tytułem *The Diary of Henry Machyn, Citizen and Merchant-Taylor of London*. W okresie rosnącego zainteresowania historią szesnastego wieku zwrócono na kronikę baczniejszą uwagę i Henry Machyn znalazł swoje miejsce w pierwszym wydaniu słownika biograficznego *Dictionary of National Biography*, opublikowanego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku pracowałem w Królewskiej Komisji do spraw Rękopisów Historycznych, gdzie przydzielono mi zadanie napisania na nowo artykułu hasłowego o Henrym Machynie do przygotowywanego *The Oxford Dictionary of National Biography*. W dwudziestym wieku badano kronikę tego samouka jako jeden z niewielu przykładów transkrypcji fonetycznej, jaka przetrwała z okresu Tudorów. W dodatku jego niezwykle dobór słów, będący być może przejawem gwary, sprawił, że kronika przedstawiała dużą wartość źródłową nie tylko dla historyków społecznych, lecz także dla językoznawców interesujących się wymową języka angielskiego w czasach przedszekspirowskich oraz tworzących mapy akcentów i gwar w różnych rejonach Anglii w najdawniejszych okresach historycznych. Skąd pochodził Henry Machyn? Z Yorkshire? Czy z Londynu? Jako historyk, a nie językoznawca, postanowiłem odpowiedzieć na to pytanie metodą badań historycznych, czyli przeszukiwania archiwów. W archiwum miejskim Londynu znalazłem oryginał jego testamentu dołączony do innych

testamentów rodziny. Posługując się nimi, jak również innymi archiwalnymi źródłami, ustaliłem, że jego rodzina pochodziła z północnych rejonów Leicestershire. Posunąłem swoje zainteresowanie Henrym Machynem nieco dalej i zacząłem szukać wzmianek na jego temat w archiwach Gildii Kupiecko-Krawieckiej oraz w dokumentacji innych parafialnych urzędów. Wynikiem tych poszukiwań był artykuł *Kronikarz Tudorów czy szesnastowieczny pamiętnikarz? Henry Machyn oraz cechy jego manuskryptu*, opublikowany w „Sixteenth Century Journal” (tom XXXIII, 2002, str. 981–998). Pozostaje on jak dotąd najpełniejszym opisem jego życia i pracy.

W trakcie swoich badań śledziłem w kronice Henry’ego Machyna jego zapiski na temat malarza Johna Heatha (zmarł w 1553 roku), ojca Lancelota Heatha, który był świadkiem testamentu Machyna.

Książkę tę zainspirowało jedno zdanie z testamentu Heatha (który to dokument znajduje się obecnie w Archiwum Narodowym, PROB 11/25/Bucke):

Przedmiot, który zapisuję Rycerzom Okrągłego Stołu, jeśli nie przekażę im go za życia: dwadzieścia szylingów do wydania w Mile End.

Machyn wspomina o tym zapisie w swojej kronice pod datą dwudziestego drugiego marca tysiąc pięćset sześćdziesiątego trzeciego roku (w dniu pogrzebu Johna Heatha), pisząc, że malarze i zakrystianie „mogli się weselić razem w gospodzie za dwadzieścia szylingów”. Jednak moją uwagę przykuła wzmianka o Rycerzach Okrągłego Stołu. Jako autor artykułu do *ODNB* na temat Thomasa Talbota, jednego z członków założycieli Elżbietańskiego Towarzystwa Antykwariuszy, wiedziałem, że wiele towarzystw, które zakładano w tym okresie, zyskiwało ogromne znaczenie polityczne. Towarzystwo Antykwariuszy zostało rozwiązane

właśnie z powodu nadmiernych wpływów w sferach politycznych. Przez kolejne dziesięć lat intrygowała mnie ta aluzja do Rycerzy Okrągłego Stołu.

Kronika Machyna nie zawiera żadnych treści wywrotowych, lecz jest wyjątkowym dokumentem, ponieważ ilustruje życie codzienne we wczesnoelżbietańskiej Anglii, wyszczególnia na przykład ogromną liczbę egzekucji wykonywanych za zdradę i herezję.

Całkiem niedawno ukazało się nowe wydanie dzieła Henry'ego Machyna, zatytułowane *A London Provisioner's Chronicle, 1550–1563*, pod redakcją profesora Richarda Baileya. Udostępniono je szerokiej publiczności w internecie jako wspólne dzieło University of Michigan Press oraz Scholarly Publishing Office of the University of Michigan Library (<http://quod.lib.umich.edu/rn/machyn/>). Wyjaśnia ono między innymi słowo „wywlec” w wyrażeniu „powiesić, wywlec i poćwiartować”. W tym okresie nie oznaczało już ono wyprucia wnętrzości, lecz powleczenie skazańca na szafot. Dobrą ilustracją jest przykład Williama Thomasa: Machyn stwierdza, że został on oskarżony w Guildhall w maju tysiąc pięćset pięćdziesiątego czwartego roku i skazany na „śmierć, wywleczenie i poćwiartowanie”. Następnie Machyn pisze, że kilka dni później, osiemnastego maja tysiąc pięćset pięćdziesiątego czwartego pan Thomas:

został zawleczony na noszach... z Tower na Tyburn... A następnie powieszony, a kiedy głowa mu opadła, poćwiartowany. A nazajutrz jego głowę powieszono na Moście Londyńskim, a trzy ćwiartki nad Cripplegate.

Jak widać, skazanie na „wywleczenie” oznaczało publiczne „wleczenie na noszach” na miejsce egzekucji, a nie wyprucie wnętrzości z żyjącego jeszcze skazańca.

Jak wspomniałem powyżej, oryginalna oprawa oraz początkowe i końcowe strony spłonęły w pożarze w tysiąc siedemset trzydziestym pierwszym roku, tak więc rozwijając wątek fabularny w swojej książce,

miałem pewną swobodę i dopisałem dwie notatki, których nie było w kronice Machyna, a dokładnie pierwsze oraz ostatnie wersy. Wszystkie pozostałe cytaty są autentyczne (uwspółcześniłem jedynie pisownię). Równie dokładnie przytoczyłem fragment jego testamentu oraz epitafium z grobu lorda Percy'ego w kościele w Hackney. Słowo *esperance* było prawdziwym mottem rodziny Percych. Nie ma natomiast na grobowcu fragmentu z Księgi Hioba. Wiele innych elementów opowieści oparłem na faktach historycznych – zawalenie się wieży kościoła Świętego Pawła, domy bohaterów, dzień pełni księżyca w grudniu tysiąc pięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, patronat sir Williama Cecila nad młodym Walsinghamem, dom Cecila przy Strandzie Street, miejsce, gdzie stała gospoda Pod Byczą Głową, wygląd rezydencji Sheffield, katolickie sympatie lady Percy, kredowe jaskinie pod Chislehurst, topografia Hackney w czasach elżbietańskich, list Eustace'a Chapuys'a do cesarza rzymskiego, aby wymienić tylko kilka. Interesującym doświadczeniem było dla mnie jako historyka konstruowanie fabuły – żonglowanie realiami historycznymi, obserwowanie niektórych wydarzeń, które zachodziły niejako same z siebie, wymyślanie innych, aby pasowały do opowieści. Sir William Cecil oraz Francis Walsingham byli naturalnie postaciami historycznymi, podobnie jak lord i lady Percy oraz królowie i królowe. Trzem postaciom historycznym zmieniłem imiona lub nazwiska. Jedną z nich jest William Harvey, drugą żona Henry'ego Machyna, która w rzeczywistości nazywała się Dorothy Lawe lub Lowe (nie Rebecca). Daniel Gytens, jeden z prawdziwych świadków testamentu Machyna, miał na imię Davy.

Prawdopodobieństwo, że królowa Elżbieta bezprawnie zasiadała na tronie, jest intrygującą tajemnicą. Jak powiedziano w książce, Ustawa Parlamentu *Titulus Regis* z tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego roku naprawdę wyszczególniła dwie okoliczności, które pozbawiły

Edwarda V prawa do tronu: umowa przedmałżeńska jego ojca z inną kobietą (Eleanorą Butler) oraz późniejsze potajemne małżeństwo z matką Edwarda V, Elizabeth Woodville. Henryk VII uchylił tę ustawę wkrótce po koronacji, w tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym roku, a jej oryginał usunął z archiwum i spalił. Jednak zachowały się kopie i w szesnastym wieku były one znane. Warto również nadmienić, że to nie ustawa, lecz same okoliczności zmusiły chłopca do ustąpienia z tronu, ustawa bowiem została zatwierdzona rok po tym, jak Ryszard III objął władzę po swoim bratanku zdetronizowanym pod zarzutem nieprawomocności. Tak więc z historycznego punktu widzenia wolno się zastanawiać, czy królowa Elżbieta również była od początku swego panowania narażona na podobne zarzuty, jako że okoliczności jej urodzenia były analogiczne jak Edwarda V. Jej ojciec był wcześniej żonaty (z Katarzyną Aragońską), a jego drugie małżeństwo (z Anną Boleyn, matką Elżbiety) zostało zawarte w tajemnicy. Nawet jeśli uznamy, że pierwsze małżeństwo Henryka VIII anulowano zgodnie z prawem, pozostaje znak zapytania nad sytuacją Anny Boleyn. Gdyby się okazało, że ona również przed potajemnym poślubieniem Henryka VIII zawarła umowę przedmałżeńską z lordem Percym, Elżbieta w istocie nie miałaby praw do tronu, jeśli nie z powodu pierwszego małżeństwa ojca, to na pewno z powodu ślubu matki.

Czy lord Percy i Anna Boleyn rzeczywiście byli małżeństwem? Nie ma właściwie wątpliwości, że o ich ślubie mówiło się dość powszechnie. Dowody na to pochodzą z trzech źródeł. Pierwszym jest list Chapuys'a z drugiego maja tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku do cesarza rzymskiego (opublikowany w *Calendar of Letters, Despatches and State Papers Relating to the Negotiations between England and Spain, tom V, część II: Henry VIII, 1536–1538*, pod redakcją Pascuala de Gayangos; Londyn 1888, str. 107–108), przytoczony we fragmentach w mojej

powieści. Stwierdza się w nim wyraźnie, że Henryk VIII pragnął początkowo rozwieść się z Anną Boleyn pod zarzutem jej wcześniejszego małżeństwa z lordem Percym, a nawet potwierdza, że małżeństwo zostało skonsumowane. Drugim dowodem jest zgoda papieska udzielona Henrykowi VIII w tysiąc pięćset dwudziestym siódmym roku na poślubienie kobiety, która „została już wcześniej związana umową małżeńską z innym mężczyzną, pod warunkiem, że [małżeństwo] nie zostało skonsumowane” – cytowana w *Anne Boleyn* E.W. Ivesa (Blackwell, 1986, str. 79). Trzeciego dowodu dostarcza hrabina Northumberland Mary Talbot, która w tysiąc pięćset trzydziestym drugim roku próbowała anulować swoje małżeństwo z lordem Percym, hrabią Northumberland, na podstawie jego oświadczenia, że zawarł wcześniej ślub z Anną Boleyn (Ives, *Anne Boleyn*, str. 79, 207). Te trzy niezależne źródła wskazują, że Anna Boleyn rzeczywiście poślubiła lorda Percy’ego przed tysiąc pięćset dwudziestym siódmym rokiem. W dodatku istotny wydaje się fakt – co Chapuys stwierdza w swoim liście – że istnieją liczni świadkowie, gotowi potwierdzić zaślubiny Anny Boleyn z Percym. Jednakże Henryk VIII nie wahał się fałszować rozmaitych historii, by służyły jego celom politycznym, zmuszał też ludzi do składania fałszywych zeznań. Tak więc, choć możliwe jest, że w istocie doszło do zawarcia jakiejś umowy między Anną Boleyn i lordem Percym, kwestia, czy złożyli sobie śluby oraz czy związek został skonsumowany, pozostaje w sferze domysłów. Podobnie jak w innych epokach, nawet jeśli „prawda” jest znana, jej znaczenie i doniosłość pozostają względne i w znacznym stopniu uzależnione od zmiennych realiów politycznych.

James Forrester (Ian Mortimer)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[Nota autorska](#)

[Przypisy.](#)

[1](#) Przekł. ks. Jakub Wujek (Hi 15,2).

[2](#) Przekł. Biblia Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego w Warszawie (Hi 15,11).

[3](#) Przekł. ks. Jakub Wujek (Hi 7, 12).